

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 10

CESARZ NIHON-JA

Rangers Apprentice. The Emperor of Nihon-Ja

Tłumaczenie

Stanisław Kroszczyński

jaguar



ARALUEN i kraje sąsiednie ROK 643 WSPÓLNEJ ERY





MIZU-UMI BAKUDAI
(Wielkie Jezioro)

Ran-Koshi

Osada
Nadbrzeżna

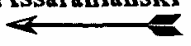
Letnia siedziba
Cesarza

PÓŁNOCNA CZĘŚĆ NIHON-JA

Iwanai

Indus i Kanał
Assaraniański

Ito



ROZDZIAŁ 1

Tosciano

- *Avanti!* - głośna komenda rozległa się na placu ćwiczebnym; trzy szeregi zbrojnych ruszyły naprzód. Za każdym krokiem podkute żelaznymi ćwiekami sandały uderzały o ziemię jednocześnie, miarowym rytmem, któremu towarzyszył szcęk broni i wyposażenia. Już po pierwszych stąpieniach uniosła się chmura kurzu.

- Z daleka rzucają się w oczy - mruknął Halt.

Will zerknął na niego z ukosa. Uśmiechnął się.

- Może o to właśnie idzie.

Generał Sapristi, który zaaranżował dla nich ten pokaz tokańskiej musztry bojowej, skinął z uznaniem głową.

- Młody dżentelmen się nie myli - stwierdził.

Halt uniósł brew.

- Może i się nie myli, bez wątpienia jest młody. Tylko co z niego za dżentelmen?

Sapristi zmieszał się lekko. Nawet po dziesięciu dniach przebywania w ich towarzystwie wciąż jeszcze nie zdołał przywyknąć do nieustannej wymiany wesołych docinków, wypowiedzianych bezustannie przez obydwu dziwnych Aralueńczyków. Nie zawsze potrafił się rozeznaczyć, kiedy mówią poważnie, a kiedy tylko żartują. Niektóre słowa, gdyby padły między Toskanami, doprowadziłyby niechybnie do bójki i rozlewu krwi, bowiem przedstawiciele jego nacji słynęli z przerośniętej miłości własnej... A w każdym razie przerastającej ich poczucie humoru. Tymczasem młody zwiadowca najwyraźniej nie poczuł się nawet urażony.

- Aha, *signor* Halt - rzekł niepewnie generał. - To zapewne żart, tak?

- Żart? Nie - odparł Will. - Natomiast jemu się wydaje, że to śmieszne. Więc poniekąd tak, to żart.

Sapristi uznał, że prościej będzie, jeśli wróci do kwestii omawianej przez zwiadowców chwilę wcześniej.

- W każdym razie - oświadczył - stwierdziliśmy, że wznoszący się podczas przemarszu naszych żołnierzy kurz często wystarcza, by skłonić nieprzyjaciela do ucieczki. Niewielu ma

odwagę stawić czoło naszym legionom w otwartej bitwie.

- Maszerują ładnie, to muszę przyznać - rzucił niedbałym tonem Halt.

Sapristi zerknął na niego; zdawał sobie sprawę, że jak dotąd pokaz nie uczynił na siwobrodym Aralueńczyku większego wrażenia. Uśmiechnął się w duchu. Nie wątpił, że za parę minut wszystko się zmieni.

- O, idzie Selethen - wtrącił Will; obaj pozostali spojrzeli w dół. Ujrzeni łatwo rozpoznawalną ze względu na wysoki wzrost postać arydzkiego wodza, który zmierzał ku trybunie, z której obserwowali plac manewrowy.

Selethen przebywał w Toscano jako przedstawiciel arydzkiego *emrikira*, by prowadzić rokowania dotyczące handlowego i wojskowego paktu zawieranego z toskańskim senatem. Toscano i Arydia wiodły ze sobą wojny od niepamiętnych czasów; ich kraje rozdzielały jedynie niezbyt rozległe wody Morza Spokojnego. Tymczasem każda z tych krain posiadała coś, czego potrzebowała druga. Pod piaskami Arydii kryły się pokłady czerwonego złota oraz żelaza, potrzebnych Toskanom do finansowania i wyposażenia ich licznej armii. Co również istotne, Toskanie znajdowali wciąż większe upodobanie w *kafay*, aromatycznej odmianie kawy będącej specjalnością Arydów.

Mieszkańcy pustyni cenili zaś toskańskie tkaniny - delikatny len i bawełnę, tak przydatne w pustynnym skwarze, oraz wyśmienitą oliwę z oliwek produkowaną w Toscano, znacznie przewyższającą jakością ich lokalne produkty. Ponadto istniała stała potrzeba uzupełniania stad owiec oraz kóz nowymi sztukami rozplodowymi, jako że śmiertelność wśród zwierząt na pustyni była wysoka.

W przeszłości oba narody walczyły, by te dobra zdobyć. Teraz jednak po obu stronach doszli do głosu rozumiejsi przywódcy; postanowiono z wzajemną korzyścią zawrzeć sojusz dla wymiany handlowej i bezpieczeństwa. Na wodach Morza Spokojnego grasowały smukłe, zwrotne galery piratów, które atakowały statki kupieckie i zatapiały je, rabując wprzódy przewożone towary.

Niektórzy mieszkańcy obu krajów z nostalgią wspominali dawne czasy, kiedy po tutejszych wodach pływały wilcze okręty Skandian. Owszem, przybysze z dalekiej Północy łupili miejscowych bezlitośnie, lecz jednak nie na taką skalę, jak działo się to obecnie, a przy tym miejscowi rabusie znali mores dzięki skandyjskim rozbójnikom.

Jednak czasy się zmieniły. Skandianie zaczęli przestrzegać prawa. Ich oberjarl, Erak, zorientował się, że od łupieskich wypraw większe profity przynosi wynajmowanie okrętów innym krajom, pragnącym zapewnić bezpieczeństwo na swoich wodach przybrzeżnych. Doszło więc do tego, że wilcze okręty zaczęły pełnić rolę morskiej policji w wielu częściach

świata. Ani Toscano, ani Arydia nie dysponowały liczącą się flotą, toteż w ramach zawartego właśnie porozumienia postanowiły zatrudnić skandyjską flotyllę, by patrolowała wody dzielące oba kraje.

Z tej to właśnie przyczyny Halt oraz Will spędzili minione dziesięć dni w Toscano. Długotrwałe animozje między oboma krajami oraz towarzysząca im w nieunikniony sposób podejrzliwość co do prawdziwych intencji drugiej strony skłoniły rządy obu krajów, by zwrócić się do kraju trzeciego jako rozjemcy i arbitra, który dopomoże w zawarciu korzystnego traktatu. Zarówno Arydzi, jak Toskanie darzyli zaufaniem Araluen. Co więcej, Aralueńczycy zadzierzgnęli więzy przyjaźni ze skandyjskim oberjarlem, toteż obie układające się strony liczyły, że ich pośrednictwo ułatwi porozumienie z dzikimi morskimi wilkami.

Naturalną kolejną rzeczą Selethen zaproponował, by w skład aralueńskiej delegacji weszli Halt oraz Will.

A także Horace, jednak młody rycerz nie mógł przybyć, ponieważ obowiązki zatrzymały go gdzie indziej.

Sformułowania i warunki traktatu nie interesowały zwiadowców. Znaleźli się tu wyłącznie w charakterze eskorty głównej negocjatorki ze strony Araluenu, czyli Alyss Mainwaring, sympatii Willa, jego przyjaciółki jeszcze z czasów dzieciństwa i jednej z najwybitniejszych przedstawicielek młodego pokolenia aralueńskich służb dyplomatycznych.

Negocjacje trwały, odbywało się roztrząsanie detali zawieranej między Arydami i Toskanami umowy.

Selethen zajął miejsce obok Willa. Trzy kompanie tokańskich legionistów, z których każda liczyła po trzydziestu trzech żołnierzy, co wraz z dowódcą składało się na tradycyjną tokańską centurię, dokonały zwrotu w prawo i przeformowały się płynnym ruchem, tak że teraz ramię w ramię zamiast trzech, stało po jedenastu zbrojnych. Pomimo szerszej formacji zachowali geometryczną perfekcję, prostą niczym ostrze miecza - pomyślał Will. Już miał wypowiedzieć tę uwagę na głos, ale powstrzymał się. Kiepskie porównanie, jeśli wziąć pod uwagę zakrzywioną klingę noszoną u boku przez Selethena.

- Jak tam rozmowy? - zagaił Halt.

Selethen ściągnął usta.

- Jak zawsze, a więc powoli. Mój kanclerz domaga się zmniejszenia cła na *kafay* do trzech czwartych procenta. Wasi prawnicy - zwrócił się teraz do Sapristiego, włączając go w rozmowę - upierają się przy pięciu ósmym procenta. Nie mogłem już wytrzymać. Czasami odnoszę wrażenie, iż to wszystko wyłącznie dlatego, że lubią się spierać.

Sapristi skinął poważnie głową.

- Zawsze tak się dzieje. My, żołnierze, narażamy życie, tymczasem prawnicy wyklócają się o ułamki procentów. W dodatku uważają nas za istoty niższego rzędu.

- Jak radzi sobie Alyss? - spytał Will.

Selethen nie omieszkał wyrazić podziwu:

- Wasza lady Alyss to istna oaza spokoju pośród szalejącej burzy sporów. Przejawia doprawdy niezwykłą cierpliwość. Choć przecież trudno mi uwierzyć, by nie kusilo ją czasem, żeby trzepnąć mojego kanclerza w łeb plikiem papierzysk - spojrział w dół, gdzie trzy toskańskie kompanie uformowały teraz znowu trzy szeregi.

- *A destra! Di corsa doppia - marc'!*

Rozkaz wydał centurion zajmujący pozycję pośrodku placu manewrowego. Wszyscy żołnierze natychmiast wykonali „w prawo zwrot”, uformowali na nowo trzy szeregi, po czym ruszyli naprzód w zdwojonym tempie. Tupot ich sandałów oraz szcęk wyposażenia rozległ się donośniej, a zarazem groźniej. Wzbiła się też obfitsza chmura kurzu.

- Generale Saprishi - spytał Selethen, spoglądając na zwarty szyk legionistów - to doprawdy spektakularny popis musztry. Tylko czy płynie z niej jakakolwiek korzyść?

- Ależ zapewniam cię, wakirze, że tak. Nasze sposoby walki polegają na dyscyplinie i szyku. Ludzie w każdej centurii walczą jak jeden mąż.

- Cóż, kiedy przychodzi do bitwy, każdy z moich ludzi walczy na własny rachunek - stwierdził Selethen. W jego głosie nietrudno było dosłyszeć sceptycyzm co do wartości bojowej takich skoordynowanych, niemal mechanicznych, manewrów. - Rzecz jasna, zadanie dowódcy polega na jak najkorzystniejszym rozmieszczeniu sił na polu bitwy. Jednak kiedy rozpocznie się już starcie, nie sposób sprawować nad nimi kontrolę. Walczą jak popadnie, byle ocalić własne głowy i unieszkodliwić jak najwięcej wrogów.

- I tutaj właśnie przydaje się musztra - odparł Saprishi. - Nasi ludzie uczą się bez namysłu odpowiadać na komendy. Dyscyplina staje się ich drugą naturą. Uczymy ograniczonej liczby podstawowych manewrów, po czym ćwiczymy je nieustannie. Aby wyszkolić doskonałego wojownika, potrzeba wielu lat. Tymczasem nieustanna musztra sprawia, że wystarczy niespełna roku, by ukształtować legion gotowy do walki.

- Lecz chyba w tak krótkim czasie nie można nauczyć się szermierki? - spytał Will.

Saprishi pokręcił głową.

- Nie muszą jej opanowywać. Spoglądaj i ucz się, zwiadowco Willu.

- *Alt!* - rozległ się rozkaz; trzy kompanie znieruchomiały.

- Chmura pyłu i trzy rzędy posągów - rzekł półgłosem Will.

Po przeciwległej stronie placu manewrowego rozległ się odgłos trąbki, zza

wznoszących się tam budynków wyłonili się wojownicy. Szybko sformowali linię natarcia, lecz nie w tak zwartym i doskonałym szyku, jak centuria legionistów. Ich uzbrojenie stanowiły ćwiczebne drewniane miecze o długich ostrzach oraz okrągłe tarcze. Jak zauważył Will, mniej więcej jedna czwarta oprócz mieczy posiadała też krótkie łuki.

Na rzucony rozkaz „nieprzyjaciel” ruszył do ataku. Linia napastników przybrała falisty kształt, niektórzy zmierzali bowiem wolniej, inni szybciej.

- *Tre righe!* - zawołał dowódca centurii.

Halt spojrzał pytająco na Sapristiego.

- Utworzyć trzy szeregi - przetłumaczył generał. - Podczas działań polowych nie używamy komend we wspólnej mowie. Po co sygnalizować wrogowi nasze zamiary?

- Rzeczywiście, po co - zgodził się Halt.

Płynnie, bez zbędnego pośpiechu trzy kompanie zajęły pozycję, tworząc prostokąt o bokach trzydziestu trzech na trzech żołnierzy. Poszczególne szeregi dzieliła odległość półtora metra.

Siły nieprzyjacielskie zatrzymały się w odległości sześćdziesięciu metrów od szyku legionistów. Żołnierze wykrzykiwali dziko i potrzęsali groźnie bronią.

Na dany rozkaz łucznicy wroga wystąpili przed szereg z orężem gotowym do strzału. Obserwatorzy dosłyszeli odgłos towarzyszący napinaniu pięćdziesięciu łuków. Jednocześnie centurion wykrzyczał następny rozkaz:

- *Tartaruga! Pronto!*

Dziewięćdziesiąt dziewięć wypukłych puklerzy, tak wielkich, że mogły osłonić całą postać ludzką, przesunęło się do przodu z głośnym zgrzytem.

- *Tartaruga* znaczy żółw - wyjaśnił Sapristi. - *Pronto* znaczy gotów.

Nieprzyjacielski dowódca wydał rozkaz, strzały świsnęły bezładnie w powietrzu. Kiedy pierwsza z nich wzbijała się w górę, toskański centurion zakrzyknął:

- *Azione!*

- Wykonać - przetłumaczył Sapristi.

Żołnierze zareagowali natychmiast. Ci w pierwszym rzędzie przykucnęli, tak że schowali się za tarczami całkowicie. Rząd drugi i trzeci postąpił krok do przodu.

Żołnierze w drugim szeregu unieśli tarcze nad głowy; dolne krawędzie pawęży zachodziły na tarcze legionistów z pierwszego szeregu; trzeci szereg uczynił podobnie. Cała centuria skryła się teraz za murem i dachem utworzonym z tarcz.

W następnej sekundzie chmara strzał opadła na nie z głośnym, lecz nieszkodliwym stukotem.

- Jak skorupa żółwia, rzeczywiście - Will nie mógł wyjść z podziwu. - Kim są napastnicy?

- To przybysze z krajów ościennych i prowincji, które zechciały przyłączyć się do naszego imperium - odparł gładko Saprستي.

Halt spoglądał na niego przez chwilę.

- Powiadasz, generale, że zechciały się przyłączyć? - powtórzył. - Czy też oszczędzono im trudu, podejmując tę decyzję za nie?

- Być może dopomogliśmy nieco w obraniu przez nie właściwej drogi - przyznał tokański dowódca. - Tak czy inaczej, to waleczni i doświadczeni wojownicy, wielce przydatni w rozpoznaniu i jako wojska posiłkowe. A przy okazji także sposobni do ćwiczeń i pokazów takich jak ten. Uważajcie teraz.

Nacierający żołnierze zatrzymali się w miejscu, z którego padła łucznicza salwa. Tymczasem na pole wybiegła liczna gromada pachołków, co najmniej setka; każdy dźwigał sporządzoną z cienkich desek tarczę o kształcie zbliżonym do ludzkiej sylwetki. Will przyglądał się z zaciekawieniem, jak pomocnicy ustawili je w pionowej pozycji, trzydzieści metrów od szeregu legionistów.

- Dla celów tego ćwiczenia - wyjaśnił Saprستي - przyjmujemy, że tę właśnie pozycję osiągnęły wojska nieprzyjacielskie. Podczas trwającej właśnie części pokazu nie możemy użyć prawdziwych żołnierzy. Koszt byłby zbyt wielki, a potrzebujemy naszych sojuszników.

Pachołkowie, z których niejeden spoglądał nerwowo w stronę nieruchomych rzędów centurii, opuścili biegiem pole, gdy tylko rozstawili tarcze.

Will wychylił się, żeby lepiej widzieć.

- Co teraz, generale?

Saprستي pozwolił sobie na drobny uśmiezek.

- Poczekaj, a ujrzysz - zapowiedział.

ROZDZIAŁ 2

Nihon-Ja, kilka miesięcy wcześniej

Horace, krzywiąc się z lekka, odsunął delikatnie na bok papierowy panel drewnianej ramy. Nauczył się już ostrożnie postępować z tutejszymi kruchymi konstrukcjami, ale podczas pierwszego tygodnia pobytu w Nihon-Ja kilkakrotnie zrujnował wejście do swojego pokoju. Przywykł przecież do potężnych, ciężkich wrót, które wymagały niemało siły, żeby je poruszyć. Jego nadzwyczaj uprzejmi gospodarze za każdym razem rozptywali się w przeprosinach, zapewniając, że to z pewnością wina nieudolnego rzemieślnika. Horace wiedział jednak doskonale, że nie zawinił nikt inny, jak tylko on sam, za sprawą własnej niezręczności. Czasami w tym kraju czuł się niczym ślepy niedźwiedź w sklepie z porcelaną.

Cesarz Shigeru podniósł wzrok na wysokiego Aralueńczyka; jego uwadze nie uszła troska, z jaką cudzoziemski gość postępował wobec drzwi jego komnaty. Uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

- Ależ, Ors-san - rzekł - to prawdziwa wielkoduszność z twojej strony, że masz wzgląd na nasze nędzne drzwi.

Horace potrząsnął głową.

- Wielce łaskawe słowa ze strony waszej wysokości.

Skłonił się. George - dawny znajomy Horace'a jeszcze z czasów sierocińca na Zamku Redmont, a obecnie jego doradca protokolarny podczas tej wyprawy, objaśnił mu już wcześniej, że wśród Nihonczyków pokłon nie oznacza poczucia niższości. Mieszkańcy tego kraju wymieniali ukłony przy każdej sposobności, okazując sobie w ten sposób wzajemny szacunek. Zazwyczaj odpowiedzią na ukłon winien być taki sam ukłon; jednak George dodał, że w kontaktach z cesarzem uprzejmość wymaga, aby kłaniać się znacznie niżej niż on. Horace'owi wcale to nie przeszkadzało. Shigeru okazał się zajmującym i łaskawym gospodarzem, ze wszech miar godnym szacunku. Pod wieloma względami przypominał Horace'owi króla Duncana, którego młody rycerz darzył szczególną estymą.

Cesarz był skromnego wzrostu, znacznie niższy od Horace'a. Niełatwo przyszłoby stwierdzić, ile może mieć lat. Wszyscy Nihonczycy sprawiali wrażenie młodszych niż w rzeczywistości. Włosy Shigeru przyprószyła siwizna, toteż Horace domyślał się, że władca

dobiegł już zapewne pięćdziesiątki. Jednak mimo drobnej budowy, cechowała go niezwykle sprawność i zdumiewająca siła.

Przemawiał zaskakująco głębokim głosem, a kiedy był w dobrym humorze, co zdarzało się często, śmiał się głośno i serdecznie.

Shigeru skinął nieznacznie głową na znak, że młodzieniec nie musi już pozostawać w wiernopoddańczej pozycji. Horace wyprostował się, a wówczas cesarz pokłonił się jemu. Lubił muskularnego młodego rycerza i cieszył się z jego towarzystwa.

Podczas sesji ćwiczebnych, odbytych z najwybitniejszymi nihońskimi wojownikami, Shigeru zaobserwował, że Horace posiada niezwykle umiejętności, władając nader skutecznie przywiezioną ze swego kraju bronią - mieczem, dłuższym i cięższym od zakrzywionych katana Nihończyków oraz okrągłą tarczą. Jednak młodzieniec nie okazywał pychy, a co więcej, wychwalał umiejętności nihońskich szermierzy oraz starał się je dogłębnie poznać.

Do tego zresztą sprowadzał się cel wizyty Horace'a. Jako mistrz miecza na Zamku Araluen i zapewne przyszły mistrz sztuk walki oraz dowódca Szkoły Rycerskiej, Horace powinien zaznajomić się z jak najszerszym wachlarzem technik wojennych. Dlatego właśnie król Duncan wysłał go do tak egzotycznego, jak by się zdawało, kraju. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że Horace najwyraźniej nudził się w stolicy. Król Duncan rozumiał, że mając za sobą tak burzliwe przeżycia, jak rozprawa z Odszczepieńcami u boku Halta oraz Willa, młodzieniec nienajlepiej znosił codzienną rutynę dworskiego życia na Zamku Araluen. Ku ubolewaniu córki Duncana, Cassandry, która coraz bardziej ceniła sobie towarzystwo Horace'a, uznał, że daleka wyprawa rozerwie młodzieńca, natomiast zdobyta podczas niej wiedza przyda się i jemu samemu, i całemu królestwu.

- Spójrz tutaj, Ors-san - odezwał się Shigeru i skinął na gościa.

Horace uśmiechnął się. Ani jeden z Nihończyków nie był w stanie opanować wymowy jego imienia. Przywykł już, że zamiast tego zwał go „Ors-san”. Również Shigeru po paru nieudanych próbach ograniczył się do uproszczonej wersji.

Cesarz wyciągnął w stronę Horace'a dłonie ułożone w czarę. Spoczywał w nich piękny, żółty kwiat o nieskazitelnym kształcie.

- Widzisz? - rzekł Shigeru. - Oto zbliża się już jesień. Ten kwiat powinien zwiędnąć i umrzeć całe tygodnie temu. Lecz dziś znalazłem go pośród kamieni mojego ogrodu. Przyznasz, że to fakt niezwykły i daje do myślenia?

- W rzeczy samej - odpowiedział Horace. Zdał sobie sprawę, że w tym kraju nauczył się bardzo wiele, wcale nie tylko w kwestiach dotyczących wojska i broni. Shigeru, choć ciążyła na nim odpowiedzialność wiążąca się z rządzeniem zróżnicowaną społecznością

często nader niepokornych poddanych, znajdował jednak czas, by skupić się na przejawach drobnego, codziennego piękna, które dostrzegał w naturze. Horace odnosił wrażenie, iż ta właśnie zdolność zapewniała cesarzowi wewnętrzny spokój i w niemałej mierze przyczyniała się do tego, jak zręcznie rozwiązywał piętrzące się problemy, nie poddając się emocjom.

Pokazawszy kwiat roslemu rycerzowi, cesarz przyklęknął i umieścił go wraz z grudką ziemi na powrót między równo zagrabionymi czarnymi oraz białymi kamykami.

- Niech tu pozostanie - odezwał się. - To miejsce wyznaczył mu los.

W kamiennym ogrodzie umieszczono większe kamienie, po których cesarz i jego gość mogli przechadzać się, nie zakłócając symetrii małych kamyków. Przypominało to jakby staw, tylko że zamiast wody lśniły w nim kamyki. Horace wiedział, że każdego ranka cesarz układał je za pomocą grabek w nieco inny wzór. Ktoś inny pozostawiłby takie zadanie służbie, lecz Shigeru lubił zająć się ogrodem osobiście.

- Jeśli wszystko za mnie uczynią - wyjaśnił Horace'owi - czego ja sam zdołam się nauczyć?

Teraz cesarz wyprostował się znowu, ruchem pełnym wdzięku.

- Obawiam się, że twój pobyt wśród nas zbliża się ku końcowi.

Horace przytaknął:

- Tak, wasza wysokość. Muszę wrócić do Iwanai. Nasz statek ma tam się pojawić pod koniec tygodnia.

- Przykro nam będzie cię utracić - stwierdził Shigeru.

- Przykro mi wyjeżdżać - odpowiedział Horace.

Cesarz uśmiechnął się.

- Lecz nie sprawia ci przykrości myśl o powrocie do domu?

Horace nawet nie próbował powstrzymać uśmiechu.

- Nie. Powrót ucieszy mnie, bo wiele czasu spędziłem z dala od rodzinnego kraju.

Cesarz skinął na Horace'a, dając znak, by młody rycerz poszedł za nim. Opuścili ogród kamieni, znaleźli się w doskonale utrzymanym zagajniku. Prowadziła przezeń ścieżka, nie kamienne wyspy, szli więc obok siebie.

- Mam nadzieję, że uważasz te odwiedziny za owocne. Czy wiele się nauczyłeś, przebywając pośród nas? - spytał Shigeru.

- Bardzo wiele, wasza wysokość. Nie jestem pewien, czy tutejszy system przyjąłby się w Araluenie, jednak nie żałuję, że się z nim zapoznałem.

Wojownicy Nihon-Ja wywodzili się z wąskiej, elitarnej warstwy zwanej senshi. Przynależność do tej warstwy społecznej zyskiwało się wraz z urodzeniem, młodzi senshi od

dziecięcych lat uczyli się władać mieczem, przy czym zazwyczaj zaniedbywano inne dziedziny nauki. W rezultacie z czasem senshi przekształcili się w agresywną, wojowniczą kastę, utwierdzając się w poczuciu własnej wyższości ponad innymi klasami nihońskiego społeczeństwa.

Shigeru także wywodził się z senshich, stanowił jednak chlubny wyjątek. Rzecz jasna, ćwiczył się we władaniu kataną od najmłodszych lat i choć nie zaliczał się do mistrzów, z pewnością był wytrawnym szermierzem. Uchodziło za rzecz naturalną, by cesarz, jako przywódca nie tylko całego narodu, lecz i swej klasy, posiadał takie umiejętności. Cechowały go jednak szersze zainteresowania - jak Horace mógł niejednokrotnie zaobserwować - oraz ciekawość świata i zdolność współodczuwania. Żywo przejmował go los warstw uważanych za najnowsze: rybaków, rolników i drwali, na których większość senshich spoglądała z góry.

- Wcale nie jestem pewien, czy system ten sprawdza się w naszym kraju - rzekł do Horace'a. - Ani też, czy się utrzyma i czy powinien się utrzymać.

Młody rycerz spojrział na niego z ukosa. Wiedział, że Shigeru od dawna zmierza do poprawy doli klas zwanych niższymi, pragnie, by także ich przedstawiciele mieli swój głos w rządzeniu krajem. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że pomysły te spotykały się ze zdecydowanym oporem znacznej liczby senshich.

- Senshi nie zgodzą się na żadne zmiany - zauważył.

Cesarz westchnął.

- O, nie. Niełatwo mi przyjdzie uzyskać ich zgodę. Zazdrośnie strzegą przywilejów. Właśnie dlatego zwykłym ludziom nie wolno nosić broni, czy też uczyć się nią władać. Senshi są nieliczni, lecz nadrabiają umiejętnościami. Nie można się spodziewać, by niewyszkoleni rybacy, rolnicy, drwale stawili czoło tak niebezpiecznym przeciwnikom. Rzecz jasna, zdarzało się to w przeszłości, lecz kiedy pospólstwo podnosiło głowę, protestujących roznoszono na mieczach.

- Mogę to sobie wyobrazić - wtrącił Horace.

Shigeru wyprostował się nieco, uniósł głowę wyżej.

- Tak, lecz senshi muszą się zmienić. Muszą się dostosować. Nie wolno mi dopuścić, żeby nadal traktowali lud - mój lud - jak istoty niższego rzędu. Chłopi są tak samo potrzebni jak wojownicy. Gdyby nie ludzie trudniący się pracą własnych rąk, senshi nie mieliby co jeść, nie mieliby drewna na budowę swych domów, ani opału, by palić w nich ogień czy rozpalać piece, w których płatnerze wykuwają miecze. Muszą zrozumieć, że do wspólnego dobra przyczyniają się wszyscy, więc wszyscy zasługują, by traktować ich równo.

Horace zacisnął usta. Nie chciał odpowiadać, bowiem w jego mniemaniu Shigeru wyznaczył sobie zadanie, któremu żaden władca nie zdołałby sprostać. Jeśli nie liczyć bezpośredniego otoczenia cesarza, większość senshich stanowczo sprzeciwiała się jakimkolwiek zmianom obecnie panującego ustroju, a w szczególności dopuszczeniu do głosu klas niższych. Shigeru wyczuł jego powątpiewanie.

- Nie zgadzasz się ze mną? - spytał łagodnie.

Horace rozłożył bezradnie ramiona.

- Ja? Ja się zgadzam - powiedział. - Tyle że moje zdanie się tu nie liczy. Pytanie brzmi, czy zgadza się pan Arisaka?

Horace poznał Arisakę podczas pierwszego tygodnia swojego pobytu w Nihon-Ja. Arisaka był przywódcą klanu Shimonseki, jednej z najliczniejszych i najbardziej wojowniczych grup senshich. Ten potężny i wpływowy wojownik nie skrywał swego przekonania, iż senshi powinni pozostać klasą dominującą w Nihon-Ja. Był także mistrzem miecza, uważanym za jednego z najgroźniejszych szermierzy kraju. Do uszu Horace'a dotarły pogłoski, że Arisaka zabił w pojedynkach ponad dwudziestu przeciwników oraz wielu więcej podczas starć, do jakich dochodziło między rywalizującymi ze sobą klanami.

Shigeru uśmiechnął się blado na wzmiankę o aroganckim wielmoży.

- Arisaka-san musi się nauczyć postępować zgodnie z życzeniami swego cesarza. Złożył wszak przysięgę na wierność.

- Zatem z pewnością jej dotrzyma - stwierdził Horace, choć żywił w tej materii poważne wątpliwości. Shigeru jak zwykle prócz słów wypowiedzianych dosłyszał także to, co się za nimi kryło; nie uszła jego uwadze troska w głosie Horace'a.

- Zapominam o moich obowiązkach gospodarza - oznajmił. - Pozostało nam mało czasu, więc powinienesz spędzić go przyjemnie, a nie kłopotać się wewnętrznymi zagadnieniami polityki Nihon-Ja. Może razem wybierzemy się w drogę do Iwanai? Ja także wkrótce będę musiał udać się w drogę powrotną do Ito.

Miniony tydzień upłynął im w beztróskiej atmosferze letniej siedziby cesarza położonej u stóp gór. Oficjalną rezydencję i siedzibę rządu stanowiła potężna, obwarowana forteca w mieście Ito, oddalonym o siedem dni drogi na południe. Mile spędzili tu czas, ale, jak zauważył wcześniej Shigeru, jesień obejmowała już panowanie nad krajem, niosąc ze sobą chłody i porywiste wichry. Letnia rezydencja nie zapewniała odpowiedniej ochrony przed dojmującym zimmem.

- Będę zachwycony. - Horace szczerze ucieszył się na myśl, że spędzi w towarzystwie Shigeru jeszcze kilka dni. Czasem zastanawiało go, skąd brało się uwielbienie i respekt, jaki

żywił wobec cesarza. Być może działo się tak dlatego, że Horace wychował się jako sierota; Shigeru ze swą nienarzucającą się siłą osobowości, spokojną mądrością i nieopuszczającym go dobrotliwym poczuciem humoru uosabiał jakby postać ojca, którego Horace nigdy nie znał. Pod niektórymi względami cesarz przypominał Horace'owi Halta, choć wyszukane maniery władcy pozostawały w jaskrawym kontraście z oschłym sposobem bycia zwiadowcy. Wskazał otaczające ich wypielegnowane drzewa, których liście lśniły żółcią i brązem, zapowiadając jesień.

- Powiem George'owi, żeby rozpoczął przygotowania do podróży - rzekł. - Pozostawię waszą wysokość sam na sam z tymi pięknymi drzewami.

Shigeru także spoglądał na kompozycję tworzącą się z ciemnych pni i barwnych liści. Kochał spokój i samotność tego ogrodu, dającą wytchnienie od polityki oraz zgiełku stolicy.

- Ich uroda stanowić będzie nikłą pociechę wobec utraty twojego towarzystwa - odrzekł cesarz z lekkim pokłonem.

Horace skłonił się także i odparł z zakłopotanym uśmiechem:

- Wasza wysokość, braknie mi słów. Wstyd mi, że nie potrafię dobrać ich tak, żeby wyrazić, co czuję.

ROZDZIAŁ 3

Toscana

Wybrzmiał kolejny rozkaz, niosąc się echem przez plac manewrowy; na oczach Willa dach z pawęży zniknął, legionieści opuścili je do zwykłej pozycji. Kolejny rozkaz i drugi oraz trzeci szereg cofnęły się o krok. Każdy z żołnierzy, oprócz krótkiego miecza przypasanego z prawej strony, wyposażony był w długi dzirynt. W następnej chwili legionieści z trzeciego szeregu obrócili w dłoniach bojowe oszczepy, unieśli je ku górze, cofając prawe ramię, gotowi do rzutu; drzewce zakończone żelaznym grotem wznosiły się pod kątem około czterdziestu stopni.

- *Azione!*

Trzydzieści trzy ramiona wyprężyły się, szarpnęły do przodu; trzydzieści trzy prawe nogi postąpiły przed siebie i dzirynty poszybowały w stronę drewnianych tarcz. Nim zdążyły w nie uderzyć, już drugi rząd powtórzył tę samą czynność, posyłając w powietrze następne trzydzieści trzy pociski.

Nikt nie mierzył w określony punkt, każdy z żołnierzy po prostu cisnął swą broń w stronę celu, przed siebie. Will zdał sobie sprawę, że podczas prawdziwej bitwy najkorzystniejszy dystans ustalać będzie dowódca centurii wydający rozkazy.

Pierwsza chmara oszczepów wzbijała się na maksymalną wysokość, po czym runęła w dół, gdy masa żelaznych grotów przeważała siłę rzutu. Rozległ się łomot i trzask, kiedy dzirynty uderzyły w cel. Owszem, połowa z nich chybiła, wbijając się w ziemię. Lecz pozostałe rozbiły w drzazgi tarcze z lekkiego drewna, przewracając je. Kilka sekund później nastąpiło drugie uderzenie, z podobnym rezultatem. Nie minęło kilka sekund, a ponad trzecia część ze stu tarcz uległa całkowitemu zniszczeniu.

- Ciekawe - rzekł cicho Halt.

Will zerknął ku niemu. Twarz Halta jak zwykle pozbawiona była wyrazu, lecz Will znał go dobrze. Pokaz uczynił na jego mistrzu należyte wrażenie.

- Najczęściej pierwszy rzut ma decydujące znaczenie - wyjaśnił Sapristi. - Wojownicy, którzy nigdy nie mieli do czynienia z naszymi legionami, wpadają w panikę, widząc ogrom poniesionych strat.

- Nic dziwnego - zauważył Selethen, przyglądając się uważnie. Willowi nietrudno było sobie wyobrazić, że arydzki wódz oczyma duszy widzi, jaki skutek odniosłyby nadlatujące dziiryty wobec szarzy lekkiej konnicy w pełnym galopie.

- Jednak dzisiaj, dla celów poglądowych, przyjmujemy, iż nasz „nieprzyjaciół” ogarnięty bojowym zapalem, kontynuuje natarcie - ciągnął generał z niezmaconym spokojem. Podczas gdy wypowiadał te słowa, ciżba wojowników zbliżała się do miejsca zasłanego rozszczepionymi na drzazgi tarczami. Dobyli mieczy, po czym ruszyli biegiem na mur utworzony z tarcz.

Obserwatorzy wyraźnie dosłyszeli łoskot, jaki rozległ się, gdy natarcie sięgnęło celu. Pierwszy szereg obrońców zachwiał się nieco pod impetem atakujących, lecz wytrzymał. Will zauważył, że żołnierze drugiego szeregu podparli swych towarzyszy, popychali ich wręcz do przodu.

Miecze napastników zataczały kręgi w powietrzu, waliły ile wlezie w wielkie, prostokątne tarcze. Jednak uderzenia na ogół nie przynosiły żadnego rezultatu, a przy tym atakujący wchodzili sobie w drogę. Tymczasem krótkie ćwiczebne miecze z drewna, którymi władali legioniści, nie próżnowały, ich ostrza niczym węzowe języki wystrzeliwały przez wąskie szczeliny między pawężami, dały się słyszeć okrzyki gniewu i bólu po stronie atakujących. Choć podczas pokazu użyto tępych, drewnianych mieczy, przecież pchnięcia nawet nimi powodowały dotkliwy ból, a legioniści nie oszczędzali swoich przeciwników.

- Czy oni coś widzą? - zainteresował się Will. Żołnierze w pierwszym szeregu kryli się niemal całkowicie za barierą utworzoną przez tarcze.

- Widzą, ale kiepsko - wyjaśnił Sapristi. - W zasięgu ich wzroku pojawia się ramię, tors albo noga, a wówczas zadają pchnięcia. To wystarczy, bowiem przeciwnik ranny w którąś z kończyn jest równie nieskuteczny, jak człowiek, któremu zadano pchnięcie w pierś. Nasze wojska po prostu prą naprzód, jak pług, zadając pchnięcia oraz tnąc wszystko, co ujrzą po jednej lub drugiej stronie swoich pawęży.

- I to dlatego nie potrzebujecie wytrawnych szermierzy - zauważył Will.

Generał spojrział na niego z uznaniem.

- Otóż to. Nie muszą uczyć się zaawansowanych technik ataku, obrony i kontrataku. Po prostu dźgają czubkami mieczy. Tego łatwo się nauczyć, a krótkie pchnięcie powoduje takie same spustoszenia, jak zamaszyste ciosy długiego miecza. Spójrzcie teraz, jak drugi szereg wkracza do bitwy.

Doskonale wyrównany pierwszy szereg kroczył z wolna naprzód, zmuszając przeciwnika do cofania się, popychając jednych napastników na drugich. Nagle żołnierze

drugiego szeregu przypadli do swych towarzyszy na przedzie, znów masą oraz siłą mięśni wzmocnili formację. Pod wpływem zwiększonego impetu przeciwnik musiał cofnąć się dalej w nieładzie, odrzucony uderzeniem ogromnych pawęży, dżgany ostrzami krótkich mieczy. W następnej chwili, uzyskawszy nieco swobody, centuria zatrzymała się w miejscu. Rozległ się przeciągły odgłos gwizdka, na co żołnierze w drugim szeregu wykonali w tył zwrot; stali teraz plecami do swych towarzyszy z pierwszego szeregu. Kolejny gwizdek i legionieści w pierwszym rzędzie dokonali zwrotu w lewo, podczas gdy drugi szereg wykonał zwrot w prawo. W następnej chwili żołnierze zamienili się miejscami. Nie minęło kilka sekund, a niebiorący dotąd udziału w bezpośredniej wymianie ciosów żołnierze z drugiego rzędu zmienili zmęczonych towarzyszy, którzy przeszli teraz na tyły, tworząc szereg trzeci; dotychczasowy znalazł się w drugiej linii. Innymi słowy, napastnicy mieli obecnie do czynienia z całkiem nowym przeciwnikiem; dawny pierwszy szereg, obecnie trzeci, mógł teraz odetchnąć i nabrać sił.

- To fantastyczne - zachwycił się Will.

Sapristi przytaknął:

- Kwestia musztry, poza tym zaś koordynacji - stwierdził. - Naszym ludziom nie potrzeba szermierczego kunsztu, bowiem takowego nabywa się w wyniku długotrwałego szkolenia, potem i tak trzeba go doskonalić przez całe życie. Wystarczy, że opanują musztrę i nauczą się działać jak jeden organizm. W tych warunkach nawet średnio wyszkolony wojownik stanie się skuteczny. A nauka nie trwa długo.

- I właśnie dlatego utrzymujecie tak liczną armię - stwierdził Halt.

Sapristi zwrócił spojrzenie na starszego zwiadowcę.

- Właśnie dlatego - odparł.

W tamtych czasach większość krajów utrzymywała stosunkowo niewielkie liczebnie wojska, złożone z wytrawnych wojowników, stanowiące jądro sił zbrojnych, uciekając się w czasie wojny do pospolitego ruszenia powołanych pod broń mniej wyszkolonych zwykłych obywateli. Tymczasem rozrastające się wciąż tokańskie imperium potrzebowało stałej armii, gotowej na każde zawołanie.

Selethen w zamyśleniu gładził palcami podbródek. Jego lewa dłoń nieświadomie przesunęła się ku rękojeści szabli. Sapristi dostrzegł to kątem oka - nie bez satysfakcji. To dobrze, że pokaz wywarł odpowiednie wrażenie na arydzkim wodzu. Zdaniem Sapristiego, nie zaszkodzi, jeśli nowy sojusznik nabierze respektu dla potęgi tokańskich legionów.

- Podejźmy bliżej, by przyjrzeć się wynikom starcia - zaproponował Sapristi.

Powstał z siedziska na drewnianej trybunie i zszedł po schodkach na dół, na pole

manewrowe, gdzie oba oddziały rozdzieliły się, zakończywszy swój pokaz: legionieści nadal stali w zwartym szyku; atakujący tworzyli raczej bezładną watahę.

- Kazaliśmy unurzać ćwiczebne miecze w świeżej farbie, w ten sposób łatwiej ocenić rezultaty - wyjaśnił Saprishi. Zbliżyli się do grupy „nieprzyjacielskiej”. Teraz Halt oraz Will dostrzegli czerwone plamy na ramionach, nogach, torsach i szyjach. Te znaki były śladami trafień, kiedy drewniane miecze legionistów sięgnęły celu.

Dłuższy oręż atakujących znaczył białą farbą. Z bliska nietrudno przyszło Araluńczykom stwierdzić, że tylko czasami długie miecze trafiały odsłonięte fragmenty ciała legionistów - natomiast białe zygzaki i plamy pokrywały obficie ich tarcze, a czasem także dały się dostrzec na mosiężnych hełmach.

- Wielce skuteczne - odezwał się do generała Selethen.

Naprawdę, niezwykle skuteczne. - Jego rzutki umysł już starał się opracować sposoby na zwalczanie tego typu formacji ciężkiej piechoty.

Najwyraźniej Halt miał podobne przemyślenia:

- Rzecz jasna, tutaj mamy do czynienia z idealnymi warunkami dla ciężkozbrojnej piechoty - stwierdził, wskazując kolistym ruchem ramienia płaski, otwarty teren. - Gdyby pojawiły się przeszkody, nierówności albo gdyby legion znalazł się na przykład w lesie, nie byłby w stanie tak sprawnie manewrować.

Saprishi nie zamierzał oponować.

- To prawda - przyznał. - Rzecz w tym, że to my dokonujemy wyboru pola bitwy, pozwalamy, by nieprzyjaciel do nas przyszedł. Jeśli tego nie uczyni, po prostu zajmujemy jego ziemię. Prędzej lub później będzie musiał stanąć do walki.

Will oddalił się na kilka kroków, żeby przyjrzeć się dokładnie jednemu z dzirytów. Broń była prosta, by nie rzec - prostacka. Drzewce ociosano tylko z grubsza, zaledwie na tyle, żeby drzazgi nie wbijały się w dłoń miotającego. Grot pocisku również sporządzono na najprostszy z możliwych sposobów - ot, gruby pręt z miękkiego żelaza o długości około pięćdziesięciu centymetrów, przekuty na zakończeniu w płaskie ostrze z zadziarami. Trzpień grotu umieszczono w zagłębieniu drzewca i umocowano za pomocą mosiężnego drutu.

Saprishi, dostrzegłszy jego zainteresowanie, zbliżył się.

- Nie są piękne - stwierdził - ale działają. Można je sporządzić łatwo i szybko. Nie trzeba do tego kowali ani zbrojmistrzów, każdy żołnierz potrafi wykonać taki oręż własnoręcznie. W ciągu tygodnia mogą ich powstać tysiące. A na własne oczy przekonałeś się o ich skuteczności w bitwie. Wskazał rzędy podziurawionych, porozbijanych tarcz.

- Skrzywił się - zauważył Will z przyganą w głosie, przesunawszy dłonią po

zniekształconym żelaznym grocie.

- Wyprostuje się go z łatwością, po czym znów będzie zdalny do użytku - stwierdził generał. - Zresztą, w gruncie rzeczy, to jeszcze jedna zaleta. Wyobraź sobie, że któryś z nich wbija się w tarczę przeciwnika. Zadziory sprawiają, że ostrze ugrzęźnie i się nie wysunie, natomiast grot się zgina pod ciężarem drzewca, które wlecze się teraz po ziemi. Spróbuj walczyć, mając pawęż obciążony prawie dwumetrowym drągiem z drewna i żelaza. Zapewniam cię, że to niełatwe.

- Jak widzę, wszystko zostało przemyślane. Każdy drobiazg ma swoje znaczenie, nieprawdaż? - rzekł z nieukrywanym podziwem Will.

- Nie można inaczej, jeśli chce się stworzyć liczne a zarazem skuteczne w działaniu siły zbrojne - odpowiedział Sapristi. - Gdyby którykolwiek z tych legionistów stanął do walki z zawodowym żołnierzem, prawdopodobnie czekałoby go sromotna porażka. Jednak gdy przeciwstawić setkę szkolonych przez sześć miesięcy ludzi wytrawnym wojownikom, którzy ćwiczyli się w sztukach walki przez całe życie, bez wahania postawię na zwycięstwo zgranej formacji.

- Krótko mówiąc, powodzenie zależy od systemu, nie od jednostki? - rzekł Will.

- Otóż to - odparł Sapristi. - Jak dotąd, nikt jeszcze nie znalazł rozwiązania, które pozwoliłoby uporać się z naszymi legionami w otwartej bitwie.

* * *

- Jak byś się do nich zabrał? - spytał tego wieczoru Halt Selethena.

Negocjacje zakończono, podpisano wszystkie umowy i ugody, podpisy poświadczili świadkowie. Następnie odbyło się oficjalne przyjęcie dla uczczenia historycznego przymierza, nie zabrakło przemów ani komplementów. Potem Selethen odwiedził jeszcze Aralueńczyków w ich kwaterach. Miał to być ostatni ich wspólny wieczór, bowiem wakir wczesnie rano odpływał swym statkiem. Selethen przyniósł nieco *kafay* przywiezionej ze swego kraju; raczył się nią teraz w towarzystwie Willa oraz Halta. Zdaniem Willa nikt nie potrafił tak smakowicie parzyć kawy jak Arydzi.

Alyss siedziała przy kominku, spoglądając na nich z lekkim rozbawieniem. Ona także lubiła kawę, ale zarówno zwiadowcy, jak i chyba Arydzi traktowali picie tego napoju jak coś w rodzaju religijnego przeżycia. Zadowolili się kubkiem świeżego, smakującego cytrusami sorbetu.

- Nic prostszego - odpowiedział Haltowi Selethen. - W żadnym razie nie wolno pozwolić, by to oni wybierali warunki starcia. Jak powiedział Sapristi, nigdy nie pokonano ich w otwartej bitwie. Trzeba więc działać w sposób płynny, elastyczny. Dopadać ich podczas

przemarszów. Uderzać z flanki szybkimi wypadami, nim zdołają sformować szyk obronny. Albo po prostu użyć machin miotających. Zwarta formacja stanowi doskonały cel. Gdy zbombardujesz ten szyk kulami z katapulty albo ciężkimi beltami z balisty, pojawią się wylomy. Zaś kiedy formacja traci swoją spójność, przestaje być groźna.

Halt pokiwał głową.

- I mnie się tak zdaje - stwierdził. - Nigdy nie dopuszczać do bezpośredniej konfrontacji. A jeśli uda się niepostrzeżenie wprowadzić oddział łuczników na ich tyły, żółwiowy „pancerz” nie zda się na wiele. Warto też mieć na uwadze inną kwestię - ciągnął. - Otóż kiedy dokonują napaści na jakiś kraj, naturalną reakcją napadniętych jest oburzenie. Niewielu istnieje dowódców, którym starczy cierpliwości, żeby prowadzić wojnę podjazdową, nękać i osłabiać przeciwnika, bowiem to zawsze trwa długo. Mało który wojskowy zdoła przekonać swoich mocodawców, że to jest właśnie najlepszy sposób. Najczęściej pojawia się nacisk, by jak najprędzej rozprawić się z wrogiem, zepchnąć go do granicy.

- A dziś właśnie byliśmy świadkami, do czego prowadzą próby takiej rozprawy - zauważył Will. - Dziryty to nadzwyczaj skuteczna broń.

- Skuteczna, lecz o ograniczonym zasięgu - przypomniał Selethen. - Trzydzieści, najwyżej czterdzieści metrów.

- Za to z tej odległości wręcz mordercza - zgodził się z Willem Halt.

- Moim zdaniem - wtrąciła wesoło Alyss - najlepiej zacząć od rokowań. Raczej negocjować, niż uciekać się do użycia siły. Posłużyć się dyplomacją, nie bronią.

- Słowa godne gwiazdy naszej dyplomacji - uznał Halt, obdarzając ją jednocześnie jednym ze swych nader rzadkich uśmiechów. Lubił Alyss, zwłaszcza że Willa od dawna łączyło z nią coś więcej niż tylko przyjaźń. Dziewczyna tymczasem skłoniła głowę w geście udawanej skromności. - Cóż jednak, jeśli dyplomacja zawiedzie?

Alyss nie wahała się z odpowiedzią ani przez chwilę:

- Wówczas zawsze można spróbować przekupstwa - stwierdziła. - Nieco złota we właściwych rękach może więcej wskórać niż cały las mieczy - rzekła z błyskiem w oku.

Selethen zerknął na nią nie bez uznania.

- Aralueńskie niewiasty nie mają sobie równych, gdy idzie o sztukę negocjacji - oświadczył. - Lady Alyss w tym względzie dała pokaz najwyższej klasy.

- O ile sobie przypominam, gdy podobnymi umiejętnościami wykazała się księżniczka Evanlyn, także nie posiadałaś się z zachwyty - zauważył Halt.

- Muszę przyznać, że trafiłem wówczas na godną siebie przeciwniczkę - przyznał.

Gdy poprzednio spotkał się z Aralueńczykami, próbował przechytryć Evanlyn podczas targów o okup za Eraka, skandyjskiego oberjarla. Jednak to księżniczka wywiodła go w pole.

Na dźwięk imienia Evanlyn Alyss zmarszczyła lekko brwi. Nie należała do wielbicielek księżniczki. Szybko jednak zapanowała nad sobą, na jej twarzy znów zagościł uśmiech.

- Cóż, kobiety są dobrymi negocjatorkami - stwierdziła. - Wolimy pozostawić te uciążliwe zmagania, pot i walkę waszym...

Przerwało jej dyskretne pukanie do drzwi. Ponieważ przebywali na misji o charakterze dyplomatycznym, to ona przewodziła aralueńskiej delegacji.

- Proszę - zawołała, po czym dodała ciszej do pozostałych zgromadzonych: - Ciekawe, co mogło się stać? Trochę już późno na wizyty.

Drzwi otwały się i Alyss ujrzała jednego ze swych służących. Mężczyzna rozejrzał się nerwowo. Zdał sobie sprawę, że przeszkadza w rozmowie prowadzonej przez swoją przełożoną, dwóch zwiadowców i najwyższego przedstawiciela delegacji arydzkiej.

- Błagam o wybaczenie, lady Alyss - odezwał się niepewnie.

Uspokoiła go ruchem dłoni.

- Ależ proszę, Edmundzie. Domyślam się, że chodzi o coś ważnego?

Sługa nerwowo przełknął ślinę.

- Tak by można rzec, pani. Przybyła królowna i księżniczka krwi, Cassandra. Pragnie widzieć się z wami wszystkimi.

ROZDZIAŁ 4

Nihon-Ja

Wiatr wzmógł się, odkąd poprzedniego dnia opuścili letnią siedzibę cesarza. Hulał teraz po dolinie, szalał w porywistych podmuchach, ściśnięty pośród stoków, a oni jechali ostrożnie wąską ścieżką prowadzącą wzdłuż zbocza. Rosnące tu drzewa pochyliły się na bok i już w tej pozycji pozostały, ustąpiwszy nieustannie szalejącemu wichrowi. Horace postawił kołnierż owczego serdaka, tak by zasłaniał uszy. Od razu zrobiło mu się cieplej.

Zerknął ku górze. Niebo lśniło lodowym błękitem, lecz przemykały już nad nim ciężkie, stalowe chmury, zasnuwając krajobraz bezgłośnym cieniem. Nad południowym horyzontem wznosiła się ciemna, nieprzerwana linia chmur. Jak przypuszczał Horace, wędrowcy znajdą się w ich zasięgu wczesnym popołudniem. Należało się spodziewać rześzystych opadów, toteż młody rycerz postanowił zaproponować cesarzowi, żeby tego dnia rozłożyli obozowisko wcześniej, zanim nękający ich wiatr nie chluśnie na domiar złego także strugami wody. Nie musieli przecież się spieszyć, port Iwanai znajdował się niedaleko, a nie uśmiechało mu się rozstawianie namiotów podczas ulewy. Lepiej, żeby tymczasowe schronienia stały już gotowe i żeby mogli się w nich schować przed nadchodzącym urwaniem chmury - póki jeszcze ich odzież pozostawała sucha.

Akurat droga, którą podążali, stała się w tym miejscu nieco szersza i wiodła płaskim terenem, toteż Horace skorzystał z okazji. Ponaglił wierzchowca, by zrównać się z cesarzem jadącym tuż przed nim. Okutany futrem Shigeru wyczuł obecność Horace'a obok siebie i spojrzał w jego stronę. Ruchem głowy wskazał pędzące górą obłoki, skrzywił się i wzruszył lekko ramionami.

Horace opuścił kołnierż, żeby się odezwać; poczuł na twarzy lodowate uderzenie wiatru.

- Czy należy spodziewać się śniegu? - zawołał, usiłując przekrzyczeć dojmujący świst wiatru.

Shigeru znów spojrzał na niebo i potrząsnął głową.

- Nie sędzę, nie o tej porze roku. Może za tydzień albo dwa trochę przyprószy. Dopiero za miesiąc zaczną się prawdziwe śniegi. Wtedy jednak będziemy już daleko stąd.

Poza obszarem górskim pogoda nie jest już tak surowa - spojrzął w stronę czerniącego się złowrogo pasa chmur na horyzoncie. - Kapieli jednak nie unikniemy - dodał wesołym tonem.

Horace uśmiechnął się także. Mało co mogło zepsuć Shigeru humor. Zapewne niejeden władca narzekałby głośno na zimno i niewygody, tak jakby narzekania mogły w jakikolwiek sposób ulżyć doli wędrowców i jakby poddani byli w stanie jakimś sposobem wpłynąć na zmianę aury. Jednak nie Shigeru. Potrafił pogodzić się z sytuacją, wiedząc, że nie jest w stanie przeciwdziałać zjawiskom takim, jak kaprysy pogody. Czyż nie lepiej spokojnie znosić przeciwności losu, niż skargami na nie utrudniać życie sobie oraz innym? - zdawała się wyrażać jego postawa.

- Może warto wcześniej się zatrzymać i rozłożyć namioty - zaproponował Horace.

Shigeru miał już odpowiedzieć, kiedy uwagę rozmówców przykuł okrzyk wydany przez jednego z jeźdźców podążających na przedzie.

Oprócz kilku służących oraz, rzecz jasna, Horace'a i George'a, Shigeru towarzyszyła dość nieliczna świta. Podczas pobytu w letniej siedzibie obowiązki straży przybocznej cesarza pełniło zaledwie dwunastu wojowników senshi pod wodzą cesarskiego kuzyna noszącego imię Shukin. To również, jak zauważył Horace, świadczyło o charakterze władcy. Shigeru nie miał powodów, by obawiać się napaści. Prosty lud darzył go miłością, wiedząc, że cesarz dąży do polepszenia jego losu. Poprzednicy Shigeru musieli otaczać się licznymi oddziałami zbrojnych w obawie przed atakami niezadowolonych wieśniaków, Shigeru wystarczała tylko symboliczna eskorta.

Jeden z senshich jechał przodem dla rozeznania, trzej kolejni jakieś dziesięć metrów przed Horace'em i cesarzem. Reszta podążała w tyle. Na wąskim szlaku brakło miejsca, by władcy towarzyszyli także jeźdźcy po bokach, jak odbywało się to w zwykłych okolicznościach.

Jeździec, który poprzednio wydał okrzyk, uniósł teraz rękę, dając całemu orszakowi znak do zatrzymania się. Horace usłyszał stukot kopyt oraz ostrzegawczy okrzyk za swymi plecami. Obejrzał się, zjechał na bok, pozwalając Shukinowi i czterem towarzyszącym mu jeźdźcom przejechać obok. Także cesarz zszedł im z drogi.

- Co się dzieje? - spytał Shigeru Shukina, gdy dowódca eskorty przejechał obok niego truchtem. Ze względu na Horace'a oraz aby uniknąć konieczności tłumaczenia, przemawiał we wspólnej mowie, nie po nihońsku.

- Jeszcze nie wiem, kuzynie - odparł Shukin. - Kaeko-san coś zobaczył. Zaraz to sprawdzę; zaczekajcie tu na mnie.

Spojrzął przez ramię, by upewnić się, czy czterej zbrojni tworzący tylną straż zbliżyli

się, po czym ruszył naprzód.

Odruchowym gestem Horace sięgnął dłonią do miecza, przesuwając go nieco, by łatwiej przyszło chwycić za rękojeść, jeśli zajdzie potrzeba. Ozdobiona herbem okrągła tarcza nadal wisiała na jego plecach. Na razie nie zamierzał po nią sięgać. W razie czego, starczy sekunda albo dwie, by znalazła się w bojowej pozycji.

Koń Shigeru przestąpił nerwowo z kopyta na kopyto, kiedy mijały go strażę. Cesarz poklepał go po szyi i przemówił łagodnym głosem; wierzchowiec uspokoił się. Potem cesarz poprawił się w siodle, spojrzął w stronę Horace'a.

- Cóż, zapewne wkrótce wszystkiego się dowiemy - rzucił niedbałym tonem, dając do zrozumienia, iż jego zdaniem z pewnością chodzi o fałszywy alarm, a strażnicy jak zawsze przesadzają w swej gorliwości. Spojrzął w stronę Shukina. Jego kuzyn zatrzymał właśnie wierzchowca, by zamienić kilka zdań z wojownikiem jadącym mu na spotkanie. Wywiązała się krótka rozmowa, po czym Shigeru i Horace ujrzeli, jak Kaeko wskazuje coś znajdującego się dalej w dolinie, tam gdzie szlak opadał zygzakiem po stromym zboczu na samo dno. Shukin podjechał do cesarza.

- Zbliża się ku nam jakiś jeździec. To jeden z twoich dworzan, kuzynie. Bardzo się spieszy.

Shigeru zmarszczył brwi. Musiało zaiste zajść coś niezwykłego, skoro któryś z oficjeli postanowił przy takiej pogodzie wybrać się w drogę.

Do Horace'a zbliżył się George. Towarzyszył mu podczas tej wyprawy jako wykwalifikowany skryba oraz legista, jednak przede wszystkim dlatego, iż należał do nielicznych znawców nihońskich obyczajów. Nie była to pierwsza jego wyprawa do tego kraju. Z racji wiedzy, jaką posiadał na temat Nihon-Ja, wybrano go na doradcę protokolarnego Horace'a, miał przy tym czynić dalsze obserwacje oraz notatki, aby uzupełnić spisany przez siebie dwa lata wcześniej słownik języka nihońskiego.

George przejawiał niekiedy pewną sztywność, bywał też nieco zarozumiały, lecz w gruncie rzeczy miał dobry charakter, a jego rady bardzo się podczas tej wyprawy Horace'owi przydały. Młody rycerz cieszył się więc z jego obecności u swego boku.

- Dlaczego stanęliśmy? - zainteresował się George.

Horace ruchem ręki wskazał drogę przed nimi.

- Nadjeżdża ku nam jakiś jeździec. Przypuszczalnie posłaniec. Czekamy, aż się zbliży.

- Posłaniec? Kto to taki? Czy pan Shigeru spodziewa się wiadomości? Czy wiemy, o co chodzi? - George wygłosił już czwarte pytanie, zanim jeszcze Horace zdążył choćby spróbować odpowiedzieć na pierwsze.

Młody wojownik potrząsnął głową i uśmiechnął się do swego towarzysza lat dziecińczych.

- Po pierwsze: nie wiem. Co do drugiego pytania: nie wiem. A jeśli chodzi o pozostałe... Nie wiem - odpowiedział. Ujrzał, jak ramiona George'a rozluźniają się, kiedy młody legista pojął, że jego dociekliwość okazała się przedwczesna. - Przypuszczam, że dowiemy się tego wszystkiego, kiedy jeździec się tu zjawi.

- Oczywiście. Jakże to nierozsądne z mojej strony - przyznał George. Wyraźnie szczerze miał sobie za złe, iż tak łatwo utracił maskę zawodowego spokoju.

- Nie przejmuj się - poradził mu Horace i nie mogąc się powstrzymać, powtórzył jedno z ulubionych powiedzonek George'a: - Kto pyta, nie błądzi. Kto nie pyta, nigdy się nie dowie.

George zdobył się na blady uśmiech. Nie znosił, kiedy ktoś sobie z niego żartował. Uważał, że to uwłacza jego godności.

- Tak, tak. Bez wątpienia, sir Horace - rzekł, kładąc nacisk na oficjalny tytuł młodego rycerza i dając w ten sposób do zrozumienia, iż docinek był tyleż zbędny, co niestosowny.

Horace zaśmiał się w duchu. Nie bądź takim ważniakiem, George - pomyślał.

Tętent galopujących kopyt wciąż się zbliżał. Jeździec minął ostry zakręt drogi, od cesarskiej świty dzieliło go już tylko sto metrów. Na rozkaz Shukina czterej wojownicy tworzący straż przednią rozstąpili się, by przepuścić nowo przybyłego.

Ten ściągnął wodze swego wierzchowca przy cesarzu i Shukinie, po czym pokłonił się, nie schodząc z siodła. To Horace'owi wydało się dziwne. Spędził już w otoczeniu Shigeru dość czasu, by zorientować się, że zgodnie z etykietą jeździec powinien zeskoczyć z siodła, a następnie przyklęknąć. A więc wiadomość musiała być naprawdę pilna.

Także George dostrzegł owo uchybienie.

- Stało się coś złego - rzekł półgłosem.

Tymczasem posłaniec szybko opowiadał o czymś Shigeru. Przemawiał przyciszonym tonem, tak żeby nikt poza cesarzem i Shukinem go nie słyszał. Horace spostrzegł, że Shigeru i jego kuzyn jakby zeszywnieli, wyprostowali się w siodłach. Jakkolwiek brzmiała treść wiadomości, niewątpliwie stanowiła dla nich zaskoczenie. I to z pewnością niemiłe zaskoczenie. Shigeru przerwał posłańcowi, po czym skinął na Horace'a oraz George'a, żeby się zbliżyli.

Obaj ponaglili wierzchowce, by dołączyć do cesarza.

- Powtórz. Opowiedz jeszcze raz - polecił Shigeru - ale we wspólnej mowie, żeby Orsan zrozumiał.

Horace skłonił się, dziękując Shigeru. Posłaniec odezwał się, teraz mówił już

spokojnie i wyraźnie:

- Panie Shigeru, Ors-san i George-san, w Ito doszło do buntu. Buntu przeciwko cesarskiej władzy.

ROZDZIAŁ 5

Nihon-Ja

Horace uniósł brwi ze zdziwienia. George najwyraźniej również nie pojmował, jak mogło dojść do czegoś podobnego. Pochylił się, by zadać pytanie:

- Czemu lud zwrócił się przeciwko swemu cesarzowi? - spytał. - Przecież wszyscy kochają pana Shigeru.

Nie było to czcze pochlebstwo ani przejaw obłudy. Zarówno Horace, jak i George niejednokrotnie przekonali się, jaką popularnością cieszy się Shigeru - kiedy razem z nim wędrowali na północ, opuściwszy stolicę Nihon-Ja. Jednak Shigeru potrząsnął tylko głową z bezbrzeżnym smutkiem, jakiego nie widzieli dotąd na jego pogodnym zazwyczaj obliczu.

- To nie lud - rzekł z goryczą w głosie - lecz senshi.

Pan Arisaka na czele swego klanu zbuntował się przeciwko mojej władzy. Zdobyli pałac w Ito, zabili wielu moich wiernych poddanych. Przyłączył się do nich klan Umaki.

A więc przeciwko cesarzowi powstały dwa najpotężniejsze rody w kraju. George i Horace spojrzeli po sobie, zaniepokojeni. George zwrócił się do Shigeru:

- Ależ wasza wysokość, przecież oba te klany przysięgły ci posłuszeństwo! Czy to możliwe, by złamały uroczyste ślubowanie? - George wiedział, że zgodnie z surowym kodeksem przyjętym przez stan rycerski w Nihon-Ja, złamanie wiernopoddańczej przysięgi wobec władcy było wręcz nie do pomyślenia.

Shigeru ściągnął usta i potrząsnął głową, przez chwilę emocje wzięły górę, głos odmówił mu posłuszeństwa. Shukin odparł zamiast swego władcy:

- Twierdzą, że to cesarz złamał dane słowo, bowiem nakłonił lud do buntu przeciw klasom wyższym. Twierdzą, że dopuścił się zdrady swego stanu, kasty senshich, toteż nie jest już godzien, by sprawować cesarską władzę.

- Wychodzi więc na to - Shigeru odzyskał głos - że ich przysięga na wierność stała się nieważna. To ja jestem wiarołomcą, nie oni.

- Ale przecież... - Horace zawahał się, starając się dobrać właściwe słowa. - Przecież wasza wysokość nie burzy ludu przeciwko senshim. Owszem, stara się ulżyć jego doli, doprowadzić, by senshi uznali, iż prosty lud także ma swoje prawa. To jednak zupełnie co

innego. Czy możliwe, żeby Arisaka do tego stopnia naginał prawdę, przeinaczał fakty?

Shigeru popatrzył młodzieńcowi w oczy. Zapanował już nad sobą i przemawiał spokojnym głosem:

- Ors-san, ludzie uwierzą w półprawdy i przeinaczenia, jeśli będą się one zgadzać z tym, w co chcą uwierzyć. Zwłaszcza w przypadku, jeśli stanowiąc będą odzwierciedlenie ich skrywanych lęków. A senshi obawiają się, choć bezpodstawnie, że chcą odebrać im władzę sprawowaną nad ludem. Na tym właśnie lęku opiera się działanie Arisaki.

- Ale czy sam Arisaka też w to wierzy? - zdziwił się George.

- Arisace przyświeca inne przekonanie - odparł Shigeru. - Poprzedni cesarz zmarł bezpotomnie, Arisaka uważa, iż to on powinien zostać wybrany cesarzem zamiast mnie.

- Knuje od miesięcy - wtrącił Shukin tonem niepozostawiającym wątpliwości, jak wielką wzdargą darzy zdrajcę Arisakę. - Siał niezgodę i lęk pośród senshich, rozpowszechniał kłamstwa o tym, że mój kuzyn zdradza swoją klasę oraz zamierza przekazać władzę prostemu ludowi. Jak widać, knowania wydają teraz owoce.

- I podobnie, jak w każdym dobrym kłamstwie, w tym również kryje się ziarenko prawdy - dodał Shigeru. - Rzeczywiście pragnę, żeby lud miał większy wpływ na sposób rządzenia krajem. Arisaka wykorzystał to i rozdmuchał obawy senshich ponad wszelką miarę.

Horace zwrócił się do przybysza, który przywiózł ponurą wiadomość. Rozpoznał w nim jednego z doradców, których widział w pałacu w Ito.

- A więc bunt wszczęły dwa klany - stwierdził. - Co jednak z pozostałymi? Co z klanem cesarskim?

- Wielu członków tego klanu już nie żyje. Próbowali opierać się Arisace, toteż zginęli z rąk jego ludzi, którzy dysponowali pięciokrotną, czy może nawet sześciokrotną przewagą. Ci, którzy przeżyli, rozproszyli się, przebywają w ukryciu.

- A pozostałe klany? - spytał George. - Meishi, Tokoradi, Kitotashi? Nie mają przecież powiązań z Arisaką.

- Żaden z nich nie jest w stanie samodzielnie stawić czoła Shimonseki. Wszystkie czekają, by się przekonać, jak postąpią inne. Jak dotąd, ich przedstawiciele zadowolają się stwierdzeniem, że jeśli słowa pana Arisaki są prawdziwe, to jego poczynania mogą się okazać usprawiedliwione.

George parsknął pogardliwie.

- „Jeżeli” oraz „mogą” - powtórzył. - Działanie na zwłokę, nic więcej. Ci ludzie po prostu czekają, co będzie dalej, i chcą w ten sposób usprawiedliwić własną bezczynność.

- Arisaka zdobył przewagę wynikającą z zaskoczenia i przejęcia inicjatywy - zauważył

Horace. Jako żołnierz rozumiał doskonale, ile można zyskać stanowczym, zdeterminowanym działaniem, stawiając potencjalnych wrogów wobec faktów dokonanych. - Gdyby stawili opór od samego początku, Arisaka mógłby ponieść klęskę. Teraz jednak, skoro opanował pałac cesarski, niełatwo go będzie powstrzymać - spojrzał na Shigeru. - Pytanie brzmi: co wasza wysokość zamierza w tej sprawie uczynić?

Shigeru zamyślił się na krótką chwilę. Spojrzał na przybyłego:

- Gdzie teraz znajduje się Arisaka?

- Wyruszył ze stolicy na północ, wasza wysokość. Pragnie pojmać waszą wysokość jako więźnia.

Shukin i cesarz wymienili szybkie spojrzenia.

- O ile go wyprzedzasz, Reito-san? - zadał pytanie Shukin. Posłaniec rozłożył ramiona.

- Nie wiem, panie. Pewnie o kilka dni. Nie zamierzał wyruszyć od razu. Natomiast niedaleko za mną podążają niedobitki cesarskiej armii. Mogą tu dotrzeć nawet za kilka godzin.

- Ilu ich jest? - spytał natychmiast Horace. Nie podjął co prawda jeszcze żadnej świadomej decyzji, ale odruchowo zaczął rozważać możliwość przeprowadzenia szybkiego kontrataku. Jednak następne słowa Reito pozbawiły go złudzeń.

- Czterdziestu, może pięćdziesięciu - oznajmił. - A Arisaka ma pod sobą co najmniej trzystu ludzi.

Horace skinął głową i przygryzł w zamyśleniu wargę. Osobista armia Shigeru nie liczyła wielu wojowników. Cesarz opierał swe rządy na powszechnym poparciu, nie na mieczach. I właśnie dlatego - uświadomił sobie - Arisaka tak szybko odniósł sukces.

- Powinniśmy więc zatrzymać się w tym miejscu na kilka godzin - stwierdził Shigeru, podejmując tym samym decyzję. - Arisaka nie zjawi się jeszcze przez kilka dni. Za to wkrótce nadejdą moi żołnierze. Najlepiej się stanie, jeśli połączymy siły. A czekając na nich, możemy postanowić, co czynić dalej.

Na niewielkiej płaskiej łączce rozciągającej się wzdłuż traktu żołnierze eskorty rozstawili dwa spore namioty - jeden dla grupy dowódców, drugi dla pozostałych. Nie zamierzali spędzać tu całej nocy, potrzebowali więc tylko tymczasowego schronienia przed wiatrem i deszczem - w oczekiwaniu na przybycie niedobitków armii Shigeru.

Tymczasem dowódcy mieli rozważyć sytuację, a następnie zaplanować dalsze posunięcia.

Na wilgotnej ziemi wewnątrz namiotu dowódców ułożono matę splecioną z bambusa, na niej zaś ustawiono niski stolik oraz pięć stołków. Wokół zasiedli Shigeru, Shukin, Reito,

Horace oraz George. Jeden ze służących przyniósł kilka imbryków pełnych zielonej herbaty oraz postawił przed nimi porcelanowe filiżanki bez uszek. Horace ucieszył się z poczęstunku - wolał co prawda kawę, ale w tych warunkach każdy gorący napój był mile widziany.

Płóciennymi ścianami namiotu szarpnął poryw wichru, zabębniły pierwsze kropelki deszczu.

- Na północ - oznajmił Shukin. - Musimy skierować się z powrotem na północ.

- To logiczne, skoro Arisaka i jego armia znajdują się na południu - przyznał Horace. - Tylko, czy północ posiada poza tym jakiegokolwiek inne zalety z naszego punktu widzenia? Czy macie tam sojuszników - czy zamieszkują ten teren jakieś klany wojowników, które można by przeciwstawić Arisace?

Shigeru potrząsnął głową.

- Na północy nie ma senshi - zaprzeczył. - Tam mieszkają tylko Kikori, nikt więcej. A Kikori nie są wojownikami.

Jego rodacy przytaknęli, ale Horace chciał dowiedzieć się czegoś więcej:

- Kim w takim razie są Kikori?

- Drwalami - wyjaśnił mu George. - Tamtejsze góry porastają gęste, wysokie lasy; Kikori ścinają drzewa na sprzedaż. Mieszkają w wioskach.

- Skoro są drwalami, muszą być sprawni i silni - stwierdził Horace. - A przy tym posiadają siekiery, toteż z pewnością potrafią się nimi posługiwać. Czy nie można zwerbować ich jako żołnierzy? Czy zechcieliby walczyć za waszą wysokość?

Shigeru i Shukin najpierw spojrzeli na siebie, potem cesarz pokręcił przecząco głową.

- Owszem, stanęliby do walki. Są wierni, nadzwyczaj lojalni. Jednak nie wolno mi tego od nich wymagać. Nie szkolono ich do walki, toteż ludzie Arisaki szerzyliby wśród nich prawdziwe spustoszenie. Nie mogę żądać, by walczyli, skoro nie ma dla nich żadnej nadziei.

George pochylił się nieco, dotknął rękawa Horace'a, by zwrócić jego uwagę, po czym dodał ściszym głosem:

- Jest też inny problem. Kikori stanęliby do walki, są odważni i szlachetni. Rzecz w tym, że ani na chwilę nie uwierzyliby, że w starciu z senshi mają jakiegokolwiek szansę na zwycięstwo - a to dlatego, iż wierzą, że nie mają prawa z nimi walczyć.

- Jak to, nie mają prawa? Co masz na myśli? Oczywiście, że mają...

- Tak ukształtowano ich umysły. Od niezliczonych stuleci wpajano im, że zaliczają się do klas niższych. Shigeru-san próbuje odwrócić ten proces, lecz taka przemiana nie może nastąpić od razu. Trzeba niemało czasu. A więc zrozum, senshim wmawiano, iż warci są więcej od przedstawicieli innych klas, natomiast Kikori uważają senshich za istoty wyższego

rzędu. Gdyby więc wyruszyli do walki przeciwko nim, uczyniliby to w przekonaniu, że skazani są na przegraną.

- Czyste szaleństwo - stwierdził Horace. Rozumiał jednak, że w słowach George'a kryje się głęboki sens.

- Horace, jesteś żołnierzem. Czy poprowadziłbyś do bitwy żołnierzy, którzy spodziewają się klęski? A nawet gorzej, żołnierzy, którzy są przekonani, iż nie mają prawa zwyciężyć?

- Nie, raczej nie. - Horace'a ogarnęło przygnębienie. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi wyjście z sytuacji, jednak George miał rację.

- Są jeszcze Hasanu - rozmyślał na głos Shukin. - A pan Nimatsu to człowiek honoru. Nie złamałby przysięgi.

- Bez wątpienia, Hasanu to wojownicy - stwierdził Shigeru. - Jednak zamieszkują daleką północ, a dzieli nas od nich potężny łańcuch górski. Aby tam dotrzeć, potrzebowalibyśmy tygodni, może nawet miesięcy. W dodatku nie mam pojęcia, jak by nas przyjęli. To dziwni ludzie.

- O ile w ogóle są ludźmi - wtrącił Reito.

Shigeru spojrzał na niego z wyrzutem.

- Reito-san, nie dawaj wiary bzdurnym przesądom - zganił go. - Hasanu są... dziwni, tak chyba można powiedzieć. Jednak jestem przekonany, że należy ich zaliczyć do rodzaju ludzkiego.

- Kim są Hasanu? - spytał Horace szeptem swego towarzysza. - To jakiś kolejny klan wojowników?

Jednak George pokręcił głową, równie zaskoczony, jak Horace.

- Nigdy dotąd o nich nie słyzałem. Na pewno to nie nazwa klanu, jestem przekonany, że znam je wszystkie.

Nim jednak zdołali dowiedzieć się czegoś więcej, Shukin odezwał się stanowczym tonem:

- Może uda nam się zgromadzić siły zdolne do przeciwstawienia się Arisace, może nie, natomiast przede wszystkim musimy zadbać o bezpieczeństwo cesarza. A to znaczy, że powinniśmy jak najprędzej udać się z powrotem w góry, na północ. Nie będziemy wymagać od Kikorich, żeby walczyli, jednak zapewne zechcą nam dopomóc w ukryciu się przed Arisaką.

Shigeru przytaknął skinieniem głowy.

- Zapewne niezbyt to rycerskie postępowanie - stwierdził - ale bez wątpienia

najrozsądniejsze. Jeśli zdołamy uniknąć Arisaki przez miesiąc czy dwa, potem nadejdzie zima, która zapewni nam bezpieczeństwo.

- Zawsze pozostaje nam twierdza Ran-koshi - zauważył Reito. Cesarz i jego kuzyn spojrzeli na niego z ukosa.

- Ran-koshi? - powtórzył Shukin. - Przecież to tylko legenda.

Reito potrząsnął głową.

- Wielu ludzi tak sądzi, lecz się mylą. Jestem pewien, że to miejsce istnieje. Kłopot tylko w tym, jak je znaleźć.

- Co to za forteca? - spytał Horace.

- Ran-koshi to legendarna twierdza, o której mowa w wielu ludowych podaniach - wyjaśnił Shigeru. - Nic dziwnego, że Shukin wątpi w jej istnienie. Podobno jest gdzieś wysoko w górach, pośrodku ukrytej doliny. Setki lat temu w Nihon-Ja toczyła się zawzięta wojna domowa o następstwo tronu.

- To akurat brzmi całkiem prawdopodobnie - wtrącił ponurym tonem Shukin; cesarz zerknął na niego.

- No, właśnie - rzekł, po czym dokończył, zwracając się do obu Araluńczyków: - Ten, kto ostatecznie w niej zwyciężył, posłużył się Ran-koshi jako swą bazą. To podobno forteca nie do zdobycia, o potężnych murach i głębokiej fosie.

- W waszej sytuacji akurat jak znalazł - zauważył Horace.

Shigeru skinął głową.

- Ale w tej chwili z pewnością jest zrujnowana - stwierdził. - O ile w ogóle istnieje.

- Jeżeli istnieje, wiem, kto pomoże nam ją znaleźć - odezwał się Reito. - Właśnie Kikori. Od niezliczonych pokoleń przeczesują góry w poszukiwaniu materiału do wyrębu, budując szlaki, którymi zwożą powalone pnie na niziny. Znają każdą piędź tej ziemi.

- Dlaczego więc nie zdradzili, gdzie się znajduje? - spytał wciąż sceptyczny Shukin.

Shigeru machnął ręką.

- A czy ktokolwiek ich pytał? - odpowiedział pytaniem. - Czy ktokolwiek uznał, że godni są, by odezwać się do nich choćby słowem? Ale nawet jeżeli, to przecież nieliczne mają powody, by darzyć sympatią klasę rządzącą naszym krajem. Nawet jeśli znają ów sekret, po cóż mieliby go zdradzać senshim? Nie chwycą za broń, by walczyć z wojownikami, lecz nie mają też powodu, by im w jakikolwiek sposób pomagać.

- To brzmi przekonująco - rzekł Horace. - A więc wystarczy teraz, żebyśmy udali się na północ, nawiązali kontakt z Kikori, a następnie schowali się w ukrytej fortecy?

Shigeru zaśmiał się cicho i przytaknął. Zdumiewające, ale po pierwszym wstrząsie,

jakim była wiadomość o buncie oraz zdradzie Arisaki, niemal już odzyskał swój zwykły dobry humor.

- Zapewne, lecz nie wszystko od razu, mój drogi Ors-san - odezwał się. - Przede wszystkim musimy uciec przed Arisaką i zgadzam się, że w tym celu powinniśmy udać się na północ. Obawiam się jednak, że owo „my” nie obejmuje ciebie.

Horace otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz poczuwszy dłoń George na swym ramieniu, umilkł.

- Jesteśmy tu z misją dyplomatyczną, Horace - przypomniał mu półgłosem prawnik. - Nie mamy prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy Nihończyków.

Stwierdzenie to przywróciło Horace'a do rzeczywistości. W pierwszym odruchu, gdy usłyszał o buncie Arisaki, chciał dopomóc cesarzowi w pokonaniu zdradzieckiego wielmoży. Teraz jednak zdał sobie sprawę, iż rzeczywiście, nie ma prawa wtrącać się w konflikt. Milczał więc, zmieszany. Shigeru dostrzegł, co maluje się na jego twarzy, obdarzył więc młodego rycerza smutnym uśmiechem.

- George-san ma słuszość. To nie jest twoja wojna. W tym kraju jesteście gośćmi, obserwatorami, a więc tak samo, jak nie wolno mi nakłaniać Kikorich, by chwycili za broń, nie mam prawa narażać waszego życia. Powinniście wrócić do swojej ojczyzny.

- Co prawda, lepiej niech Ors-san oraz George-san wystrzegają się ludzi Arisaki - zauważył Shukin. - Shimonseki mogą okazać się mniej wrażliwi na takie kwestie, jak listy żelazne i zagwarantowana cudzoziemcom nietykalność.

Shigeru musiał przyznać, że jego kuzyn ma rację. Żołnierze Arisaki są żądni krwi, zadufani w sobie po zdobyciu stolicy. Gdyby Horace natknął się na nich, łatwo mógłby dać się sprowokować. Zresztą, wiedzą, że młody Aralueńczyk przyjaźnił się z cesarzem oraz że jest wojownikiem. Nie, stanowczo należy unikać takiego spotkania.

- Nieco na północ stąd prowadzi inna droga do Iwanai - stwierdził. - Jest znacznie mniej uczęszczana niż szlak główny. Właściwie to raczej górską przecinka. Jednak sądzę, iż powinieneś nią wyruszyć. Do chwili, nim nasze drogi się rozejdą, zechciej nam towarzyszyć.

Horace nie potrafił się pogodzić z własną bezsilnością. Wiedział, że i George, i cesarz mają rację, lecz mimo to czuł się tak, jakby opuścił przyjaciela w potrzebie.

- Nie podoba mi się to, wasza wysokość - odezwał się wreszcie.

- Ani mnie się nie podoba, drogi Ors-san. Ale uwierz mi, tak będzie lepiej.

ROZDZIAŁ 6

Nihon-Ja

Minęła godzina, lecz żaden z uciekających ze stolicy żołnierzy cesarza się nie pojawił. Shukin powziął decyzję.

- Nie wolno nam czekać dłużej, kuzynie. Każda minuta opóźnienia oznacza, że ludzie Arisaki się zbliżają.

- Nie chcę porzucić moich żołnierzy. Bądź co bądź, przelewali krew w moim imieniu. Jak to będzie wyglądało, jeśli nawet na nich nie zaczekam? - odparł Shigeru.

- Sprawy przedstawiać się będą jeszcze gorzej, jeżeli zostaniesz pojmany przez Arisakę. Reito-san może udać się na ich spotkanie, a potem ich poprowadzić na umówione miejsce. Jednak teraz musisz znów wyruszyć w drogę.

- Reito twierdzi, że ludzie Arisaki wyruszyli kilka dni po nim - przypomniał cesarz, lecz Shukin nie był przekonany.

- Zapewne, on sam oraz jego armia, owszem. Jednak na miejscu buntownika wysłałbym lekkie i szybkie patrole, aby cię szukały. Mógł to uczynić od razu i ludzie ci mogą pojawić się w każdej chwili. Ponadto niedobitki z garnizonu Ito wędrują zapewne pieszo, w dodatku niosąc ze sobą rannych. Przemieszczają się więc znacznie wolniej niż konny zwiad.

Shigeru, choć niechętnie, zgodził się z argumentami Shukina. Żołnierze eskorty zaczęli rozbierać namioty i pakować je do juków. Reito oraz Shukin pochylił się nad mapą, po czym uzgodnili miejsce, do którego Reito ma zaprowadzić ocalałych z pogromu ludzi.

- Czekajcie tam na nas - polecił Shukin, pokazując wioskę zaznaczoną na mapie. - Nawiążemy z wami kontakt.

Zdawał sobie aż nadto dobrze sprawę z faktu, że Reito oraz pozostali ludzie Shigeru mogą zostać wyśledzeni i pojmani. Lepiej, by nie byli w stanie wyjawic Arisace, gdzie ukrywa się cesarz. Reito spojrzał Shukinowi w oczy, zrozumiał i skłonił się krótko.

- Za dziesięć dni czekamy na znak - stwierdził. Następnie pokłonił się Shigeru, wskoczył na konia i odjechał szlakiem wiodącym na południe.

Pozostali również dosiedli wierzchowców, lecz skierowali się ku północy, tą samą drogą, która sprowadziła ich tutaj, gdy wracali z letniej rezydencji cesarza. Po kilku

kilometrach dotarli do odgałęzienia prowadzącego w doliny, na zachód.

Shukin, który jechał przodem, zatrzymał konia. Zaczekał, aż Horace się z nim zrówna. Wskazał drogę odchodzącą w bok.

- Teraz pojedziemy tędy. Ten trakt doprowadzi nas do szlaku prowadzącego do Iwanai i tam się rozstaniemy.

Horace niechętnie skinął głową.

- Przykro mi odjeżdżać - stwierdził. - Czuję się, jakbym uciekał z pola bitwy.

Shukin pochylił się i chwycił przedramię młodego wojownika.

- Trudno mi wyobrazić sobie kogoś, kogo bardziej chciałbym mieć teraz u swego boku niż ciebie, Ors-san. Jednak słusznie rzecze cesarz, to nie jest twoja wojna - powiedział.

- Wiem o tym - odparł Horace. - Nie budzi to jednak mojego zachwytu.

Shukin uśmiechnął się niewesoło.

- Spróbuj dostrzec jasne strony sytuacji. Na przykład, zwróć uwagę, że przestało padać.

Spiął konia ostrogami, by powrócić na swą pozycję w czele małego orszaku.

George jechał teraz obok Horace'a. Kręcił się w siodle, co jakiś czas stawał w strzemionach, by ulżyć obolałemu siedzeniu. George nie zaliczał się bynajmniej do wytrawnych jeźdźców, a Shukin już od kilku godzin nie zarządził przerwy w podróży. Nieszczęsny prawnik tłukł się więc w siodle, przekonany, że jego pośladki przybrały już czarną i siną barwę. Mięśnie ud bolały go nieznośnie, dostawał skurczów. Rozumiał, że jego przyjaciel przeżywa rozterki duchowe, jednak on sam cierpiał jak najzupełniej cieleśnie. Tak czy inaczej, obaj byli w nienajlepszych nastrojach, toteż młody legista postanowił zająć myśli Horace'a czymś innym.

- Daleko jeszcze? - spytał i stłumił uśmiech, bowiem zdał sobie sprawę, że marudzi jak dzieciak na przydługiej wycieczce.

Horace także nie powstrzymał uśmiechu.

- Nie na to się pisałeś, prawda? - stwierdził. - Oczekiwałeś zapewne, że pobyt w Nihon-Ja upłynie nam na kurtuazyjnych spotkaniach oraz wykwintnych bankietach w salach cesarskiego pałacu.

- Nie da się zaprzeczyć - odparł całkiem szczerze George. - Do głowy by mi nie przyszło, że czeka mnie wielogodzinne galopowanie pod górę i w dół, pod górę i w dół... Po ścieżkach, których unikałaby każda szanująca się koza. Gdybym... Uważaj! - wrzasnął nagle i pochylił się gwałtownym ruchem w siodle, by pchnąć Horace'a na bok.

Horace usłyszał przeszywający powietrze złowrogi świst, coś mignęło przed jego

twarzą, mijając go o włos. Potem ujrzał, że George zachwiał się, z górnej części jego ramienia sterczała długa strzała. Potem prawnik zsunął się z siodła i gruchnął w błoto.

Napastnicy wyłonili się spośród drzew po obu stronach traktu. Pierwsza salwa oddana z łuków zrzuciła na ziemię nie tylko George'a, lecz także trzech zbrojnych z eskorty. Teraz do ataku z dobytymi mieczami ruszyło dziewięciu wojowników. Horace chwycił za rękojeść swego oręża, jednocześnie umieścił w pozycji bojowej okrągłą tarczę: błyskawicznym ruchem wsunął lewe ramię w skórzane pętle, dłoń odnalazła uchwyt - wszystko to odbyło się w ułamku sekundy, lata praktyki nie poszły na marne.

Horace'owi przemknęło przez myśl, iż zasadzkę nieźle urządzone. Nieprzyjaciel pozwolił przejść straży przedniej, ostrzelał ich mały oddziałek, potem ruszył natychmiast do ataku, wypadając zza drzew, by skorzystać z zamieszania.

Trzej napastnicy zwrócili się w stronę cesarza, który jechał pośrodku, kilka metrów przed George'em i Horace'em. Jeden pochwycił wodze cesarskiego wierzchowca, Shigeru dobył tymczasem miecza i ciął go z góry, lecz tamten ukrył się pod szyją konia, by uniknąć ciosu. Natychmiast dwaj pozostali rzucili się na cesarza, jak wilki na ściganą zwierzynę. Chwycili go za ramiona i ściągnęli z siodła, miecz wypadł z bezsilnej ręki władcy, wbijając się w ziemię. Żołnierze jego świty nie mogli nic wskórać, związani już walką z pozostałymi sześcioma napastnikami.

Horace podjął decyzję w jednej chwili. W normalnej sytuacji zaatakowałby konno. Nie dosiadał jednak Kickera i nie miał pojęcia, czy tutejszy wierzchowiec szkolony był do bitwy. Ponadto, cesarz leżał już na ziemi, istniała więc obawa, że by go stratował. Przerzucił więc nogę przez koński grzbiet, zeskoczył na ziemię i od razu puścił się pędem na pomoc Shigeru.

Jeden z senshich podniósł właśnie miecz, dzierżąc go oburącz, by ciąć bezbronnego władcę. Miecz Horace'a ważył więcej od katany stosowanej przez nihońskich wojowników. Był jednak zarazem dłuższy, czego nie uwzględnił atakujący Shigeru oprawca. Zdawało mu się, że zostało mu akurat dość czasu, żeby zabić cesarza, a potem stawić czoło nadbiegającemu rycerzowi. Spotkała go ostatnia w życiu niespodzianka, kiedy poziome cięcie Horace'a rozorało klatkę piersiową, odsłoniętą, gdy ręce uniosły się do zadania ciosu mieczem. Ostrze rozcięło bez trudu pokrytą laką zbroję. A potem napastnik nie czuł już nic.

Horace raczej domyślił się zagrożenia, niż ujrzał drugiego z mężczyzn, który właśnie zadawał potężny cios znad lewego ramienia. Odwrócił się błyskawicznie; jego tarcza jakby wiedziona własną wolą poruszyła się na spotkanie ostrej niczym brzytwa klingi, rozległ się metaliczny zgrzyt. Horace poczuł, że utwardzona stal katany wbiła się w jego tarczę, grzęznąc w niej na ułamek sekundy. Postąpił wówczas do przodu, zbliżając się ku napastnikowi i

kopnął go mocno w kolano. Noga mężczyzny ugięła się pod nienaturalnym kątem, atakujący wydał ostry okrzyk bólu. Szybkie pchnięcie ucięło ten odgłos, martwy Nihończyk padł u stóp Horace'a.

Wiadomo, że w trakcie walki z wieloma przeciwnikami nie wolno pozostawać odwróconym w jednym kierunku ani o chwilę dłużej, niż to niezbędne. Horace odwrócił się więc natychmiast o sto osiemdziesiąt stopni z uniesioną tarczą i zdążył akurat na czas, by wychwycić pchnięcie zadane przez trzeciego z mężczyzn - tego, który pochwycił cesarskiego konia. Nim Horace zdążył odpowiedzieć, tamten ze zdławionym krzykiem wyrzucił ramiona w górę.

Opadł na kolana, na jego twarzy malowało się zdumienie i przerażenie. Za nim stał Shukin z zakrwawionym mieczem, gotowym do następnego ciosu. Jednak niedoszły zabójca nikomu już nie mógł zagrozić, upadł do przodu, twarzą w mokrą ziemię.

Horace szybko spojrział dookoła. Przybyła straż tylna, która zajęła się pozostałymi dwoma napastnikami. Słyszał też łomot czyichś stóp miażdżących poszycie na stoku wzgórza, ktoś biegł w dół. Znaczyło to, że przynajmniej jeden z napastników uszedł żywy.

Shukin wytarł i schował miecz do pochwy. Pomógł wstać Shigeru.

- Nic ci nie jest, kuzynie? - spytał, zaniepokojony. Shigeru machnął ręką.

- Cały jestem w błocie i nieco oszołomiony, lecz poza tym nietknięty - dzięki Ors-sanowi - stwierdził i pokłonił się z uśmiechem młodemu Aralueńczykowi.

Horace potrząsnął głową.

- Całe szczęście, że na coś mogłem się przydać - rzekł, trochę zmieszany.

Zawsze czuł się niezręcznie, kiedy dziękowano mu za coś, co uważał za swój podstawowy obowiązek, kiedy po prostu wykonywał swą pracę. On także schował miecz. Starszy oficer z tylnej straży podszedł do Shukina, rozmawiali szybko po nihońsku.

- Czy to ludzie Arisaki? - spytał Horace cesarza.

Shigeru skinął głową.

- To jest znak Shimonseki - stwierdził, wskazując stylizowaną sowę wymalowaną na napierśnikach napastników.

Shukin podszedł do nich.

- Mój kapral naliczył dziewięciu - powiedział. - Dwaj uciekli. Moi ludzie zabili czterech, Ors-san dwóch, a ja dobiłem siódmego - spoglądał nienawistnym wzrokiem na trupy napastników, musiał jednak przyznać, że niewiele brakowało, a ich atak zakończyłby się sukcesem. - Byli dobrze zorganizowani. Podzielili się na trzy grupy, z czego dwie postarały się, aby odciąć przednią oraz tylną straż, a pozostała trójka napadła na ciebie, kuzynie. Sądzę,

że nie docenili tego, jak zręcznie Ors-san włada mieczem. Na tym polegał ich najpoważniejszy błąd. Straciliśmy dwóch ludzi, jeden został ranny strzałą.

Słowa te uświadomiły Horace'owi, że w ferworze walki zapomniał o skrybie.

- O, Boże! - zawołał.

Odwrócił się na pięcie i popędził ku miejscu, gdzie spadł z siodła George. Ulżyło mu, gdy ujrzał chudą postać siedzącą prosto na brzegu błotnistej ścieżki; George trzymał się ze zboląłym wyrazem twarzy za prawe ramię, w którym wciąż tkwiła długa strzała zakończona lotką z białych piór. Rękaw przesiąkł krwią, twarz prawnika pobladła - bardziej jeszcze, niż zazwyczaj - lecz żył. Horace przyklęknął obok niego.

- George! - odezwał się, w jego głosie wyraźnie słyhać było ulgę. - Dobrze się czujesz?

- Nie! Wcale nie! - odpowiedział żywo George. - Ogromna strzała wbiła mi się w ramię i boli mnie, jak wszyscy diabli! Czy ktokolwiek mógłby czuć się dobrze w takich okolicznościach?

Horace odruchowo sięgnął, by dotknąć drzewca, lecz George gwałtownym ruchem cofnął się, po czym wrzasnął, bowiem nagły ruch przeszył go dotkliwym bólem.

- Uratowałeś mi życie, George - rzekł łagodnym tonem Horace, pamiętając, że jego kościsty towarzysz pchnął go i w ten sposób ocalił od trafienia grotem.

George skrzywił się.

- Gdybym wiedział, że tak będzie bolało, nigdy bym tego nie zrobił! Pozwoliłbym, żeby to ciebie ustrzelili! Jak można żyć w taki sposób? - zadał pytanie podniesionym, piskliwym głosem. - Jak możesz to znosić? Przecież to naprawdę okropnie bolesne. Zawsze podejrzewałem, że wojownicy są niespełna rozumu. Teraz wiem to na pewno. Na przyszłość...

Horace nie dowiedział się, jakie plany miał George. Pod wpływem wstrząsu spowodowanego przez ból, osłabiony wpływem krwi skryba przewrócił oczami i zemdłał. Osunął się na bok.

Horace spojrział za siebie. Obok niego stał Shukin, przypatrując się ranionemu George'owi.

- Może i dobrze się stało - zauważył dowódca senshich. - Usuniemy tę strzałę, dopóki leży nieprzytomny.

Minęło dobrych kilka minut, nim George odzyskał zmysły. W tym czasie Shukin oraz nadworny medyk cesarza usunęli grot i drzewce z rany. Nałożyli uzdrawiający balsam na ranę wlotową i wylotową, po czym opatrzyli ramię bandażem z czystego płótna. Shukin przyjrzał

się z satysfakcją swojemu dziełu.

- Powinno się szybko zagoić - stwierdził. - Balsam przeciwdziała zakażeniu, zresztą strzała była nowa i sprawia wrażenie czystej. Jednak przez kilka tygodni będzie bolała go ręka.

Jakby na zawołanie, George zamrugał powiekami. Otworzył oczy, rozejrzył się po zatroskanych twarzach pochylonych nad nim towarzyszy. Skrzywił się.

- Ręka mnie boli - oznajmił.

Horace i pozostali wybuchnęli śmiechem, co nie poprawiło humoru George'a.

Obdarzył ich spojrzeniem pełnym urażonej godności. - Może to i śmieszne dla was, wojowników o heroicznym zacięciu - obruszył się. - Wiem, że na takie drobiazgi nie zwracacie uwagi. Ale to mnie boli.

Horace ostrożnie pomógł mu wstać i podtrzymując za zdrowe ramię, doprowadził skrybę do czekającego cierpliwie wierzchowca.

- Jazda - rzekł, pomagając towarzyszowi wspiąć się na siodło. - Przed nami jeszcze długa droga.

Z punktu widzenia Horace'a nawet dobrze się złożyło, iż George, zazwyczaj nader elokwentny towarzysz podróży, stracił nastrój do pogawędki i prawie wcale się nie odzywał podczas jazdy do rozstajów, skąd prowadził trakt do Iwanai. Horace miał wiele do przemyślenia i chciał dobrze przygotować się do czekającej go rozmowy. Wiedział, że George nie omieszka się z nim spierać, będzie więc miał do czynienia z dyskutantem biegłym w sztuce argumentacji, potrafiącym szermować logiką oraz wysławiać się jasno, precyzyjnie.

Aż wreszcie nadeszła chwila, gdy cesarz oraz Shukin ściągnęli wodze swych wierzchowców. Z tego miejsca w kierunku południowo-zachodnim prowadził ku dolinom wąski, stromy szlak.

- Tutaj się rozstaniemy - oznajmił cesarz. - Droga stąd do Iwanai zajmie najwyżej jeden dzień. Wątpię, byście napotkali na niej ludzi Arisaki. Jednak gdy znajdziecie się w porcie, miejcie się na baczności. Starajcie się nie rzucać nikomu w oczy i przedostać się w miarę możliwości niepostrzeżenie na pokład statku.

- Jeden z moich ludzi posłuży wam za przewodnika - dodał Shukin.

- Horace potrząsnął głową.

- Ale nie żaden z senshich - zaproponował. - Wystarczy któryś ze służących. Każdy ze zbrojnych będzie wam potrzebny.

Shukin skinął głową, przyznając mu rację.

- Słusznie. Cóż, w takim razie jeden ze służących.

Horace milczał, kiedy George wypowiadał słowa pożegnania. Zauważył, że cesarz zerka ku niemu pytająco, być może domyślał się, jakie zamiary żywi młody rycerz z Araluenu. Wreszcie George ujął w dłoń wodze i zwracając głowę ku dolinom, odezwał się:

- Pospiesz się, Horace. Czas na nas. Horace odkaszlnął nerwowo:
- Rzecz w tym, George, że ja zostaję.

ROZDZIAŁ 7

Tosciano

- Evanlyn? Tutaj? Co też ją może sprowadzać? - spytał Will, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Nadal nie nazywał księżniczki jej prawdziwym imieniem; poznał ją jako Evanlyn, a potem dzielili wspólnie tak wiele niebezpieczeństw oraz przygód, podczas których wciąż do niej zwracał się w ten sposób, że w jego pamięci na zawsze pozostała Evanlyn, nie Cassandrą.

Alyss od razu nabrała podejrzeń. Zjawiała się tutaj, żeby znów namieszać między mną a Willem - stwierdziła w myśli. Wiedziała, że w przeszłości jej wybranego i księżniczkę łączyła niemała zażyłość, że nadal łączyło ich wiele, co skłaniało Alyss, by przypisywać Evanlyn jak najgorsze zamiary. Ona także posługiwała się chętnie tym imieniem, określając córkę władcy, bowiem wtedy łatwiej przychodziło jej darzyć serdeczną niechęcią dziewczynę, którą uważała za swoją rywalkę. Gdyby nazywała ją choćby w myślach Cassandrą, musiałaby przyznać przed samą sobą, iż chodzi tu o księżniczkę krwi i następczynię tronu aralueńskiego, która z racji zajmowanej pozycji zasługuje na szacunek. Tymczasem do Evanlyn mogła się w duchu odnosić w taki sposób, jak na to zasługuje dziewczyna próbująca odbić jej chłopaka.

Po tej pierwszej, trochę nerwowej reakcji, przyszła pora na zastanowienie się. Alyss musiała przyznać, że jednak przesadziła ze swoimi obawami. Nawet Evanlyn nie zadałaby sobie aż tak wiele trudu tylko po to, żeby stawać na drodze wspólnemu szczęściu Willa oraz Alyss. Niewątpliwie jej nieoczekiwane przybycie musiało się wiązać z inną, istotniejszą przyczyną. Czyżby Evanlyn zjawiała się w Toscano, żeby anulować zgodę Araluen na warunki zawarte w traktacie, a tym samym zniweczyć wyniki ciężkiej pracy, jaką Alyss włożyła w trwające pięć dni rokowania? Może na przykład Araluen nie popiera już sojuszu zawartego przez Arydię i Toscano? Gdyby tak miało się okazać, stanowiłoby to nie lada kłopot, bowiem traktat został już podpisany, ratyfikowany, a Alyss poświadczyła go w imieniu aralueńskiej korony.

- Może dowiemy się czegoś więcej, jeśli poprosimy ją tu, do nas? - podpowiedział Halt, nawiązując do zadanego przez Willa pytania. Siwobrody zwiadowca dostrzegł wyraz zamyślenia na twarzy Alyss i sądził, że wie z grubsza, jaka jest jego przyczyna. Jednak,

niezależnie od osobistych animozji, nie wypadało przetrzymywać pod drzwiami następczyni tronu.

- Ależ oczywiście - zmytowała się Alyss, zła sama na siebie z racji nieprofesjonalnego zachowania. - Wprowadź ją, Edmundzie, bardzo proszę.

Lokaj, który stał jak na szpilkach, gdyż zdawał sobie sprawę, że księżniczka czeka, skłonił się głęboko, lecz pospiesznie, po czym wycofał się, nie zamykając za sobą drzwi. Po kilku sekundach pojawił się znowu, odsunął się na bok, by przepuścić gościa.

- Lady Evanlyn - zaanonsował.

Halt zmarszczył czoło. Księżniczka używała tego imienia wyłącznie wtedy, gdy podróżowała w roli nieoficjalnej lub zgoła incognito. Halt wiedział, że przypomina jej ono o czasach szczęśliwych, a przy tym bezpowrotnie minionych, kiedy surowa dworska etykieta nie krępowała jeszcze tak bardzo jej zachowania. Wstał i postąpił krok na spotkanie, wyciągając ramiona. Jako stary przyjaciel i doradca, nie składał uroczystego pokłonu, wychodząc z założenia, że skoro postanowiła podróżować incognito, nie oczekuje chyba królewskiego traktowania.

Uśmiechnęła się na jego widok i pochwyciła starego zwiadowcę za obie ręce.

- Witaj, Halt - zawołała. - Miło cię widzieć.

- Wzajemnie - zapewnił ją Halt.

Evanlyn rozejrzała się po komnacie. Uśmiech jej zrzędł nieco, gdy ujrzała Alyss.

- Witamy waszą wysokość - rzekła smukła kurierka.

Evanlyn machnęła niecierpliwie ręką.

- Bardzo proszę, lady Alyss, tym razem darujemy sobie tytuły. Nie przybywam tu w oficjalnym charakterze. „Evanlyn” zupełnie wystarczy.

Teraz jej spojrzenie spoczęło na Willu, uśmiech znów stał się ciepły i radosny.

- Jak się masz, Willu! - rzekła, a młody zwiadowca podbiegł, by ją uściskać. Wiedział, że Alyss nie będzie tym zachwycona, ale naprawdę szczerze lubił Evanlyn i nie zamierzał udawać, że tak nie jest. On i Evanlyn przeszli razem zbyt wiele, by miał witać ją oziębło. Choć trzeba przyznać, że miał dość rozsądku, by owego uścisku zbyt nie przeciągać.

- Witaj w Toscano - odezwał się.

Evanlyn spojrzała na czwartego z obecnych; w komnacie panował półmrok, więc dopiero teraz rozpoznała jego rysy.

- Seley el'Then! - zakrzyknęła, widocznie uradowana. - To prawdziwa przyjemność znów cię ujrzeć!

Selethen, którego uwadze nie uszło, iż nadal pamięta i prawidłowo wymawia jego

pełne imię, uczynił gest tradycyjnego arydzkiego powitania, dotykając dłonią ust, czoła, a następnie znowu ust, po czym skłonił się lekko.

- Lady Evanlyn, jestem uszczęśliwiony twym widokiem... - urwał, po czym dodał, przywoławszy na swe oblicze wyraz żartobliwego zatroskania: - Chyba że wasza wysokość odkryła, iż winien jej jestem pieniądze?

Potrząsnęła głową i roześmiała się z jego żartu. Zdała sobie sprawę, że wszyscy stoją, czekając, aż opowie, czemu pojawiła się tak niespodzianie. Wskazała na krzesła i puffy wokół stołu.

- Proszę, siadajcie wszyscy. Muszę z wami porozmawiać.

Selethen zawahał się, nim usiadł.

- Może powinienem was zostawić samych? - spytał, przewidując, że być może chodzi o jakąś poufną sprawę, dotyczącą tylko Aralueńczyków.

Evanlyn zastanowiła się przez ułamek chwili, po czym zaprzeczyła:

- Nie ma takiej potrzeby, Selethenie. To nie żaden sekret - dostrzegła dzbanek z kawą na stole. - Za to dałabym się poćwiartować za kubek kawy. Mam za sobą długą podróż.

- Ależ jasne! Błagam o wybaczenie! - Alyss zerwała się na równe nogi, niepocieszona, że po raz drugi w tak krótkim czasie jej gościnność zdawała się pozostawiać wiele do życzenia. Bez wątpienia nagłe przybycie Evanlyn wyprowadziło ją z równowagi. Czym prędzej nalała kubek gorącego napoju i podała nad stołem. Księżniczka skinęła głową i uśmiechnęła się z wdzięcznością; ich wzajemna niechęć odeszła na tę chwilę w niepamięć.

- Dzięki, Alyss - powiedziała. Pominęła oficjalny tytuł „lady”, dając tym samym do zrozumienia, iż jej wdzięczność jest szczerą. Alyss skłoniła się, usiadła na swym miejscu. Evanlyn upiła porządny łyk kawy, po czym spojrzała z uznaniem na trzymane w dłoni naczynie. - Domyślam się, że tobie zawdzięczamy tę kawę, Selethenie?

Uśmiechnął się. Wypiła znowu, niemal opróżniając kubek. Odstawiła go, przez krótką chwilę milczała, pragnąc pozbierać myśli, a następnie stwierdziła prosto z mostu:

- Powiem od razu, o co chodzi - oznajmiła. - Horace zaginał.

Rozległy się okrzyki zdumienia i zaskoczenia. Will jako pierwszy ujął w słowa myśli wszystkich:

- Zaginał? - spytał. - Jak to zaginał, gdzie zaginał?

- W Nihon-Ja - wyjaśniła Evanlyn. - Jakiś czas temu ojciec posłał go tam z wojskową misją. Miał okazać na dworze cesarskim list uwierzytelniający od mojego ojca, a potem spędzić nieco czasu na studiowaniu nihońskich technik wojskowych oraz broni.

- I co się stało? W jaki sposób zaginał? - dopytywał się Will.

- Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, co się stało. Posłuchaj, spróbuję ci wytłumaczyć - powiedziała, starając się nie dopuścić do słowa Willa, który już otwierał usta, by zadać następne pytanie. - Horace wybrał się w tę podróż razem z George'em...

- George'em Carterem? George'em z naszego sierocińca? To znaczy, z naszym George'em? - Will jednak zdołał jej przerwać. Mówiąc „z naszym George'em”, wykonał kolisty ruch ręką, jakby obejmując nim siebie oraz Alyss.

Widząc zniecierpliwienie na twarzy Evanlyn, Halt uniósł jedną brew.

- Może wystarczyłoby jedno z tych określeń? - zauważył. - Bądź co bądź wszystkie trzy dotyczyły tej samej osoby.

Evanlyn skinęła w podziękowaniu głową.

- To prawda - stwierdziła. - Tak, chodzi o waszego George'a. Pojechał tam jako doradca Horace'a w sprawach protokołu oraz w charakterze tłumacza.

Halt przechylił głowę na bok.

- Przecież chyba w Nihon-Ja także władają wspólną mową?

Evanlyn rozłożyła ręce.

- Nie tak powszechnie, jak w innych krajach. Nihonczycy z własnego wyboru pozostawali przez wiele stuleci w izolacji. Poza tym mój ojciec uważał, że to kwestia dyplomatycznej kurtuazji - zwróciła się w stronę Alyss - by przemawiać do cesarza w jego ojczystym języku.

Alyss skinęła głową.

- Zawsze staramy się tak postępować.

- Nadal nie rozumiem, czego Horace mógłby się nauczyć od Nihonczyków na temat broni i sposobów walki - wtrącił Will. - Przecież sam jest mistrzem miecza.

- Wojownicy z Nihon-Ja, tak zwani senshi, stosują inne techniki szermiercze - wytłumaczył Halt. - Poza tym ich kowale trudniący się wyrobem mieczy opracowali do perfekcji sztukę tworzenia niezwykle twardej stali. Wiele lat temu nasi zbrojmistrzowie dostarczający broń Korpusowi Zwiadowców przejęli niektóre z ich umiejętności.

- To dlatego ostrza waszych noży są tak niewiarygodnie twarde? - spytała Alyss. Wiedzano powszechnie, iż zwykle klingi szczerbią się w zetknięciu ze zwiadowczą saksą.

- Technika polega na skuwaniu kilku prętów żelaza o różnej twardości, potem się je skręca i znowu skuwa. Już od lat przyjęliśmy założenie, iż staramy się wykorzystać wszelkie dobre pomysły, skądkolwiek by pochodziły - dodał Halt.

- Nasi miecznicy w Dimaskarze posługują się podobnym sposobem, wykuwając nadzwyczaj twarde ostrza - wtrącił Selethen.

- Mówisz o stali dimaskareńskiej? - zainteresował się Halt. - Słyszałem o pochodzącej stamtąd broni, ale nigdy jeszcze nie widziałem ani jednego egzemplarza.

- Są niezwykle kosztowne. Niewielu może sobie na nie pozwolić - wyjaśnił Selethen.

Halt skinął poważnie głową, obiecując sobie zarazem, że przy okazji zbada tę sprawę bliżej. Potem zwrócił się do Evanlyn:

- Wybacz, Evanlyn, odchodzimy od tematu. Proszę, mów dalej.

- Zgoda. A więc, o czym to ja mówiłam, zanim mi przerwano...? - zerknęła wymownie na Willa, który uznał, że to trochę krzywdzące. W końcu nie on, lecz Halt oraz Selethen wdali się w dyskusję na temat sposobów skuwania stali. Jednak jego oburzenie pozostało niezauważone, a królowna mówiła dalej: - Nieważne. Zakładam, że wszyscy wiecie, na czym polega system depesz Rady Silazjańskiej?

Wszyscy wiedzieli doskonale. Rada Silazjańska była gildią kupiecką wywodzącą się ze wschodniej części Morza Spokojnego. Zrzeszeni w niej potentaci dla ułatwienia handlu stworzyli centralny system kredytowy umożliwiający międzynarodowy transfer pieniędzy, który pozwalał uniknąć wożenia znacznych sum niebezpieczną drogą morską czy lądową. Rzecz jasna, do tego konieczny był sprawnie działający sposób na szybkie przekazywanie wiadomości, niezbędny również dla rozwoju wymiany towarowo-pieniężnej. Stworzyli więc sieć stacji pocztowych posługujących się gołębiami oraz ekspresowych poczt kurierskich, dzięki czemu wieść mogła dotrzeć niemal z jednego końca znanego wówczas świata na drugi i trwało to nie tygodnie czy miesiące, jak w przypadku podróży konno lub statkiem, lecz zaledwie kilka dni. Nietrudno się domyślić, że usługi takie wiązały się z niebagatelnymi kosztami, jednak w pilnej sytuacji użytkownicy nieraz chętnie godzili się z wygórowanymi wydatkami.

- Otóż kilka tygodni temu otrzymaliśmy tą drogą wiadomość od George'a - dokończyła Evanlyn. - Wiadomość krótka, która przybyła z pewnego portu na rzece Ooghly w Indusie, jednego z najbardziej wysuniętych na wschód punktów sieci silazjańskiej. Wynika z niej, że doszło do buntu przeciwko nihońskiemu cesarzowi, a Horace zaangażował się w ten spór po stronie władcy, który w tej chwili dysponuje ograniczonymi siłami i się ukrywa. W chwili, gdy George opuszczał kraj, tamtejszy władca wybierał się na północ w poszukiwaniu jakiejś ukrytej w górach legendarnej fortecy. Horace mu towarzyszy.

Will odchylił się w krześle i gwizdnął cicho. To właśnie w stylu Horace'a - pomyślał - żeby dać się wciągnąć w równie szaloną, a zarazem godną rycerskich ideałów przygodę.

- I co zamierzasz zrobić? - spytał, choć odnosił wrażenie, że zna odpowiedź. Evanlyn spojrzała mu prosto w oczy.

- Zamierzam go odnaleźć - oświadczyła.

ROZDZIAŁ 8

Nihon-Ja

Słowom Horace'a odpowiedziały okrzyki sprzeciwu. Najgłośniej protestował George:

- Horace, nie wolno ci tu zostać! Czy ty nie pojmujesz? Nie mamy prawa wtrącać się w wewnętrzne sprawy nihońskiej polityki!

Horace zmarszczył brwi, patrząc na towarzysza.

- Tu idzie o sprawę nieco poważniejszą niż zwykła polityka, George - odparł. - Doszło do buntu przeciwko prawowitej władzy. Nie możemy uznać tej sprawy za zwyczajne polityczne zawirowanie. Doszło tu do zdrady stanu.

George skłonił się przepaszająco stojącym opodal nihońskim przywódcom. Zdał sobie sprawę, że jego wypowiedź mogła zabrzmieć nieuprzejmie wobec nich.

- Błagam o wybaczenie - rzekł pospiesznie. - Nie leżało w moim zamiarze obrazić waszą wysokość.

Shigeru skinął głową.

- Nie czujemy się obrażeni, George-san. I trudno nam nie przychylić się do twojego zdania. Polityka czy zdrada, to sprawa wewnętrzna Nihon-Ja.

- Otóż to - podchwycił George, zwracając się znów do Horace'a. - Araluen nie zawarł żadnego formalnego traktatu z cesarzem. Ty i ja przebywaliśmy tutaj wyłącznie w charakterze dyplomatów. Zapewniono nam swobodę poruszania się po kraju, jednak naszym obowiązkiem pozostaje zachowanie neutralności. Jeśli opowiemy się po którejś ze stron, jeśli zaangażujemy się w ten wewnętrzny konflikt, niejako z własnej woli pozbawimy się immunitetu - zawołał. - Nie możemy sobie na to pozwolić, nie rozumiesz?

- Prawdę mówiąc, doskonale rozumiem - odpowiedział Horace. - Tyle że już trochę za późno, by troszczyć się o to, co będzie, jeśli opowiemy się jednoznacznie po stronie cesarza. Obawiam się, że już to uczyniłem.

George zmarszczył brwi, nie rozumiał jeszcze, o czym mówi jego rodak. - Ale...

Horace przerwał mu.

- Podczas gdy ucinaleś sobie drzemkę przy drodze - wyjaśnił - zabiłem dwóch żołnierzy Arisaki. Obawiam się, iż może to zostać uznane za swoistą deklarację, prawda?

George rozłożył szeroko ramiona.

- Coś ty zrobił? Co cię skłoniło, żeby postąpić równie bezmyślnie i głupio, Horace? Nie mogłeś się chwilę zastanowić? Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś?

Cesarz dyskretnie odkaszlnął i nim Horace zdążył odpowiedzieć, postąpił do przodu. Położył uspokajającym gestem dłoni na przedramieniu George'a.

- Chyba dlatego, że akurat obaj jednocześnie próbowali mnie zabić - powiedział.

George'a znów zbiło z pantafelów. Niemal mimochodem przebiegło mu przez myśl, że kiepsko się spisuje jak na specjalistę od protokołu. Horace, widząc, że George'owi na chwilę zabrakło słów, wykorzystał to, by rzec:

- Nie miałem czasu na myślenie, George - wyjaśnił, a przy tym na jego ustach pojawił się jakby cień uśmiechu. - Owszem, pewnie należało przewertować nasze listy uwierzytelniające i sprawdzić w nich, jak powinienem się zachować w razie, gdyby przy mnie ktoś bezpośrednio zagroził śmiercią cesarzowi. Tymczasem przykro mi, George, ale po prostu rzuciłem się do walki i rozprawiłem się z napastnikami akurat w samą porę.

Shukin również się uśmiechał. Jednak natychmiast spoważniał, gdy usłyszał słowa cesarza:

- Prawdę mówiąc, w oczach Arisaki fakt ocalenia mojego życia to znacznie poważniejsze wykroczenie niż pozbawienie życia dwóch z jego ludzi - zauważył Shigeru.

- Jego wysokość ma słuszość - przyznał Shukin. - W ten sposób Ors-san zaliczył się do jego największych wrogów. Arisaka nie lubi, gdy ktoś staje na drodze jego planom.

George spoglądał na twarze swoich rozmówców, desperacko próbując znaleźć jakieś wyjście z tej jakże kłopotliwej sytuacji.

- Ale przecież Arisaka chyba nie musi o tym wiedzieć? Znajdujemy się w zupełnym pustkowiu, nikt nic nie widział, nic nie słyszał. Kto mu doniesie?

- Na przykład - stwierdził Horace - ci z napastników, którym udało się uciec. Ja na ich miejscu nie omieszkałbym przekazać stosownych informacji.

George, czując, że wyczerpuje się jego zasób argumentów, w desperacji pokręcił głową z niesmakiem.

- No, pięknie - rzekł znużonym tonem. - Pozwoliłeś umknąć świadkom. Skoro już zdecydowałeś się wtrącać, Horace, nie mogłeś załatwić sprawy do końca?

Horace zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że kwestia naszego immunitetu przedstawiałaby się inaczej, gdybym zabił dwukrotnie więcej ludzi Arisaki? - spytał. - Przyznam, że sens twojego rozumowania mi umyka.

- Nie, nie. Nie - zaprotestował George, ale jednocześnie pogodził się z tym, co nieuniknione. - Cóż, klamka zapadła. Jak nam pościeliłeś, tak się teraz wyśpimy.

Pośród zebranych zapanowała chwila milczenia. Shukin i cesarz spojrzeli po sobie w zakłopotaniu. Horace zerknął na nich i ledwo dostrzegalnie skinął głową. Zrozumiał, co ich trapi.

- Wasza wysokość pozwoli, że oddalimy się na chwilę i zamienimy parę słów w cztery oczy? - spytał.

Shigeru przyzwolił ruchem głowy. Horace skinął na George'a, odjechali kilka metrów od grupy żołnierzy otaczających cesarza. George podążył za towarzyszem, choć nie miał pojęcia, o co mu chodzi.

- Co znowu? - zapytał, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu. - Co jeszcze nabroileś, kiedy leżałem nieprzytomny - bo wiesz doskonale, że naprawdę straciłem przytomność. Tak się złożyło, że w moim ramieniu utkwiała strzała! - Ostatnie zdanie wypowiedział z pewnym naciskiem. Żartobliwa wzmianka Horace'a o jego rzekomej „drzemce” ubodła George'a do żywego.

Horace uspokajającym gestem uniósł dłoń.

- Wiem, wiem doskonale. Bardzo przepraszam za wcześniejsze słowa. Tym bardziej, że przecież uratowałeś mi życie.

George sprawiał wrażenie udobruchanego. Bądź co bądź, niewielu ludzi mogło przypisywać sobie podobną zasługę. Zazwyczaj Horace'owi nie trzeba było nikogo, kto by mu ratował życie, bowiem radził sobie z tym doskonale sam. Dysponował wszystkimi kwalifikacjami niezbędnymi dla nad wyraz skutecznej samoobrony. Prawdę mówiąc, kiedy George się nad tym zastanawiał, nie był pewien, czy nawet słynny Will Treaty, ich dawny współlokator z zamkowego sierocińca, mimo całej chwały, jaką sobie pozyskał, ocalił kiedykolwiek życie Horace'a w równie bezpośredni sposób.

- Cóż, być może. No, już dobrze. Ale o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

- George - zaczął Horace, po czym urwał. - Nie potrafię powiedzieć tego w taktowny sposób, więc po prostu będę walił prosto z mostu. Ty nie zostajesz.

- Jak to nie? - obruszył się George. - Jeżeli ty zostajesz, to ja też. Jestem twoim przyjacielem. Przyjaciel nie zostawia przyjaciela w potrzebie tylko dlatego, że pojawiło się niebezpieczeństwo. Owszem, może trochę marudziłem, kiedy zostałem ranny w ramię. Ale ja się nie boję, Horace. Nie jestem tchórzem, który opuściłby ciebie i pozwolił, żebyś sam stawał czoło niebezpieczeństwu!

Horace wysłuchał spokojnie tyrady George'a. Pewnie, że George nie jest tchórzem.

Horace wiedział o tym doskonale. Jednak prawdzie należało spojrzeć w oczy.

- George - rzekł - zostałeś poważnie ranny w ramię. Jednak nawet gdybyś pozostawał w doskonałym zdrowiu, nie starczyłoby ci sił na podróż, jaka nas czeka.

- O mnie się nie martw! - zawołał George, zapominając o tym, że mogą go usłyszeć nihońscy wojownicy. - Dam sobie radę. Nie będę dla was ciężarem! - jednak Horace już kręcił głową, a w głębi ducha George wiedział, że wysoki wojownik ma rację.

- Nie chcesz być dla nas ciężarem, zapewne - sprostował Horace. - Wiem, że bardzo byś się starał. Ale ty nie jesteś stworzony dla takiego życia, George. Zacznijmy od tego, że nie jesteś dość dobrym jeźdźcem.

- Ale... - George urwał. Wiedział, że to prawda.

- Dosiadasz najwolniejszego wierzchowca ze wszystkich - stwierdził Horace. - Jeśli wszyscy będziemy musieli dostosować się do jego tempa, to na pewno spowolni naszą wędrówkę. Oczywiście, to nie twoja wina, George. Jednak jeśli Shigeru ma uciec przed Arisaką, musimy przemieszczać się jak najszybciej, nie zważając na niewygody. A na ciebie i twojego wierzchowca musielibyśmy czekać, narażając tym samym życie cesarza. Tego byś chyba nie chciał?

Horace uznał, że to dobry sposób - stwierdzić, iż to koń, a nie jeździec stanowią istotną przeszkodę. Jednak choć była to po części prawda, George przejrzał jego grę. Wszak przydzielono mu powolnego, wiekowego wierzchowca właśnie dlatego, że był kiepskim jeźdźcem, z innym zwierzęciem by sobie nie poradził. Spuścił głowę.

- Wiem, nie nadaję się - rzekł zniżonym głosem.

Horace wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.

- Nie o to chodzi, że się nie nadajesz - zaoponował. - Po prostu nie jesteś przygotowany do takiego trybu życia. Czujesz się jak ryba w wodzie na dyplomatycznych spotkaniach, podczas negocjacji traktatów między krajami, na sali sądowej, gdzie nie szcędzisz błyskotliwych argumentów, które zdolne są ocalić czyjeś życie lub własność. W tym jesteś dobry. Natomiast mnie szkolono właśnie do tego - Horace szerokim ruchem ramienia wskazał ciągnący się ku horyzontowi górski łańcuch. George nie patrzył towarzyszowi w oczy. Jego wąskie ramiona uniosły się i opadły w głębokim westchnieniu.

- Wiem - odezwał się wreszcie.

- Poza tym chciałbym, żebyś przekazał wiadomość do Araluenu, żeby wiedzieli, co się ze mną dzieje. Nie chcę tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi, nie mówiąc ludziom, gdzie się podziewam.

Teraz George spojrział w oczy Horace'a.

- Uważasz, że nie wyjdiesz z tego żywy, tak? - rzekł cicho. - Twoim zdaniem Shigeru nie ma szans.

Horace potrząsnął głową.

- George, nie udawałbym się na wojnę w przeświadczeniu, że ją przegram.

- Ale przecież właśnie powiedziałeś, że znikniesz z powierzchni ziemi. W takich słowach nie słychać zbyt wielkiej pewności siebie.

Horace wyszczerzył doń zęby w uśmiechu.

- Ech, wy, prawnicy - zaśmiał się. - Na tym właśnie polega kłopot z wami. Zbyt dosłownie wszystko bierzecie. Powiedzmy więc, aby nie pozostawiać niedomówień, że zniknę z powierzchni ziemi, ale tymczasowo.

Rysy George'a ściągnęły się, jego umysł pracował intensywnie.

- Gdybym zdołał przekazać wiadomość Haltowi i Willowi - stwierdził - być może przybyliby tutaj, żeby ci pomóc. Prawdę mówiąc, jestem pewien, że tak właśnie by postąpili.

- Świetny pomysł - rzekł smutno Horace. Bo i rzeczywiście, w takiej sytuacji mieć przy sobie dwóch zwiadowców... - Ale to marzenie ściętej głowy. Miną miesiące, zanim zdołasz powrócić do Araluenu. W tym czasie sprawy tu się rozstrzygną - w taki czy inny sposób.

Jednak George już dał się porwać własnemu entuzjazmowi.

- Ależ skąd! Nic podobnego! Wcale nie muszę wracać do Araluenu. Wystarczy, że dotrę do Indus. Stamtąd mogę posłużyć się silazjańską pocztą błyskawiczną. Wiadomość dotrze do nich już za kilka dni!

Horace spojrzał teraz z uznaniem na swego towarzysza.

- Widzisz? - powiedział. - W tym właśnie jesteś dobry. W myśleniu. W szukaniu nowych rozwiązań, pomysłów. Zresztą, powiem ci prawdę: jeśli dzięki tobie wiadomość dotrze do Willa i Halta, przysłużysz nam się bardziej, niż gdybyś po prostu tutaj został.

- I pałętał się pod nogami? - dodał George, ale już z uśmiechem.

Horace odwzajemnił mu się tym samym.

- No, właśnie - wyciągnął dłoń do George'a. Nim wypuścił rękę towarzysza, dodał jeszcze: - Muszę ci coś powiedzieć. Nigdy nie zapomnę, że chciałeś tutaj zostać, George. Z twojej strony wymagało to znacznie więcej odwagi, niż ode mnie. Doceniam to, a kiedy wrócę do kraju, wszyscy się o tym dowiedzą.

George odzyskał wreszcie swą dłoń; wzruszył niedbale ramionami, choć słowa Horace'a bardzo mu pochlebily.

- No... Wiesz, to nic takiego. W końcu znamy się od dziecka, jeszcze z sierocińca.

Między kolegami to normalna rzecz. Drobiazg i tyle.

- Nie żaden drobiazg - oświadczył stanowczo Horace. - I nigdy o tym nie zapomnę.

ROZDZIAŁ 9

Tosciano

- W takim razie jadę z tobą! - zawołał natychmiast Will.

Halt uśmiechnął się do siebie. Właśnie tego spodziewał się po swoim dawnym uczniu. Bądź co bądź, Horace to najbliższy przyjaciel Willa. Razem się wychowali, walczyli ramię w ramię, stawiali czoło niezliczonym niebezpieczeństwom, niosąc jeden drugiemu wzajemną pomoc. Evanlyn rozpromieniła się.

- Byłam pewna, że tak powiesz - rzekła. - Ojciec udzielił mi zgody, abym poprosiła cię o udział w tej wyprawie, lecz wyjaśniłam mu, że wcale nie trzeba o nic prosić. Dzięki, Willu. Poczuję się pewniej, mając cię u swego boku.

- Oczywiście, ja też pojedę - dodał Halt, po czym uniósł jedną brew. - O ile ktoś mnie zechce, rzecz jasna?

- Lady Pauline powiedziała, że to właśnie od ciebie usłyszę - oznajmiła Evanlyn. - Kazała przekazać, że masz jej błogosławieństwo na tę wyprawę.

Will zerknął ukradkiem na swego mentora, bowiem nie był pewien, jak Halt zareaguje na sugestię, iż aby dołączyć do misji, potrzebuje zgody małżonki. Dawny Halt, jakim znał go od swego dzieciństwa, odburknałby nieuprzejmie, że bardzo dziękuje, ale jest w stanie sam za siebie decydować. Jednak, ku swemu zaskoczeniu, ujrzał na obliczu Halta błogi i z lekka kpiący uśmiech.

- Uf, co za ulga - stwierdził starszy zwiadowca, usłyszawszy słowa Evanlyn.

Teraz to Will uniósł jedną brew - przybierając wystudiowany grymas, którego uczył się od Halta latami. Ha, czasy się zmieniają, ludzie też - skonstatował w duchu.

Alyss odkaszlnęła nerwowo, spojrzenia wszystkich skierowały się na nią. Na obu jej policzkach widniały widoczne rumieńce.

- Też bym chciała pojechać - oznajmiła. - Horace to jeden z moich najdawniejszych przyjaciół. Pomógł Willowi uratować mnie w Zamku Macindaw, mam wobec niego dług wdzięczności. Poza tym przyda wam się ktoś, kto zna tamtejszy język.

Słowa te wyrażały zaledwie sugestię, lecz jej ton nie pozostawiał wątpliwości co do jasno wyrażonej intencji. Nie pytała nikogo o zgodę. Po prostu wyjaśniła Evanlyn, że nie

pozwole jej znów uciec na drugi koniec świata z Willem. Nie tym razem.

- Owszem, lady Pauline zapewniała również, że to właśnie od ciebie usłyszę - rzuciła oschłym tonem Evanlyn. Miałaby ochotę wytłumaczyć tej wysokiej dziewczynie, że nie żywi wobec Willa żadnych zamiarów, poza serdeczną przyjaźnią. Księżniczka zdawała sobie sprawę, że Alyss może okazać się cenną pomocniczką i sprzymierzeńcem - i to nie tylko w tej sprawie, lecz także w ciągu mających nadejść lat - pragnęła więc uporać się z wyrosłą między nimi niewidzialną barierą. Evanlyn liczyła po trosze, że zdoła tego dokonać właśnie podczas rozpoczynającej się wyprawy.

Halt uznał, że może warto wtrącić:

- Uważam, że to niezła myśl - stwierdził. - Alyss może się okazać bardzo pomocna.

Smukła kurierka spodziewała się sporu co do jej uczestnictwa, nie przypuszczała, że Evanlyn tak łatwo się zgodzi. Gdzieś w zakamarkach jej duszy zaczęły kiełkować wątpliwości. Może zbyt pochopnie osądzała Evanlyn? Zapomniała jednak o tej myśli, gdy Will zadał pytanie:

- Znasz nihoński? Kiedy się nauczyłaś?

Teraz, kiedy rozmowa zaczęła dotyczyć innych spraw, niż jej uczestnictwo w podróży do Nihon-Ja, Alyss poczuła się pewniej, jej puls zwolnił do zwykłego tempa.

- Uczę się mniej więcej od roku - odparła. - Posługuję się głównie opracowaniami George'a. Nie mówię płynnie, ale sobie poradzę.

Will uniósł tym razem obie brwi.

- No, proszę. Człowiek każdego dnia dowiaduje się czegoś nowego - oznajmił sentencjonalnym tonem.

- Mów we własnym imieniu - wtrącił złośliwie Halt.

Will ściągnął usta, zły na siebie. Muszę się wreszcie nauczyć przynajmniej jednego, mianowicie, żeby nie dawać Haltowi tak łatwej sposobności do kpin - stwierdził w duchu. Potem jednak myśl jego niczym konik polny skoczyła w całkiem innym kierunku. Zwrócił się do Evanlyn:

- Jak tam się dostaniemy? A tak przy okazji, jak ty tutaj się dostałaś?

Dosłyszał głębokie westchnienie Halta i od razu zdał sobie sprawę, że znowu wystawił się na jego docinki.

- Powiedz mi - starszy zwiadowca postawił kolejne zagadnienie nadzwyczaj rzeczowym tonem, jakby szło o kwestię, która niezwykle go nurtuje - czy zdarzyło ci się kiedyś zadać pojedyncze pytanie? Czy też zawsze musisz poruszyć więcej niż jedną sprawę?

Will popatrzył na niego, zaskoczony.

- Naprawdę tak robie? - zdziwił się. - Jesteś pewien?

Halt nie odezwał się, tylko uniósł dłonie, jakby wszystkich obecnych przywołując na świadków. „A nie mówiłem” - zdawał się przemawiać starszy zwiadowca. Selethena bawiła potyczka rozgrywająca się bezustannie między tymi dwoma, a ponieważ tego typu przekomarzenia jak najbardziej leżały w charakterze Arydów, nie potrafił się powstrzymać i wtrącił:

- Wiesz co, Halt? Może to kwestia owej słynnej zwiadowczej dociekliwości, bowiem ty sam też przed chwilą właśnie zadałeś dwa pytania naraz.

- Dzięki, żeś mi na to zwrócił uwagę, wielmożny Selethenie - odparł lodowatym tonem Halt.

Will błysnął okiem w stronę wakira, który z kamienną twarzą pokłonił się Haltowi. Potem zaś Willowi przypomniało się, że Evanlyn nie odpowiedziała na żadne z jego pytań.

- No, więc jak tu przyłynęłaś? - powtórzył.

- Skandyjskim okrętem patrolowym.

Traktat między Araluenem i Skandią obowiązywał już od dobrych kilku lat, natomiast regularnie modyfikowano jego ustalenia. Wśród ostatnio uzgodnionych klauzul znalazła się i taka, która głosiła, iż co roku Skandianie udostępnią królowi Araluenu jeden ze swych okrętów, który stacjonować będzie w pobliżu stolicy. Ponieważ wilcze okręty zaliczały się do najszybszych jednostek pływających ówczesnego świata, możliwość stałego dysponowania jednym z nich stanowiła nieoceniony atut. W zamian król Duncan płacił Skandianom określone wynagrodzenie, prócz tego zapewniał im korzystne warunki, kiedy inne z wilczych okrętów zawijały do aralueńskich portów, pragnąc uzupełnić zapasy wody, drewna opałowego na lądowe popasy oraz żywności. Rzecz jasna, natychmiast dały się słyszeć skargi innych krajów, takich jak Iberion lub Gallia, które narzekały, że w ten sposób król Duncan ułatwia Skandianom grabieżcze napaści na ich wybrzeża, lecz aralueński władca nieszczęśliwie się nimi przejmował.

- Nie sposób zadowolić wszystkich - stwierdzał. - Poza tym, któż im broni opłacać się Skandianom, żeby ich nie napadali?

Z czym, oczywiście, trudno było się spierać.

- Czyli tym samym wilczym okrętem popłyniemy do Nihon-Ja? - upewnił się Halt.

Evanlyn skinęła głową.

- Mój ojciec wyraził na to zgodę. Dotrzemy w ten sposób prędzej niż jakimkolwiek statkiem handlowym. A zresztą, Gundar bardzo chciał zobaczyć Nihon-Ja. Byłby pierwszym Skandianinem, który tam dotarł.

- Gundar? - powtórzył Will. Wiedział, że pośród Skandian to dość powszechne imię, lecz zawsze przecież istniała szansa, że wymieniony został jego stary przyjaciel. Evanlyn przytaknęła:

- Tak. To okręt Gundara zwanego „Ciężką Ręką”. Nie może się doczekać, kiedy zobaczy znów ciebie i Alyss, a jeden z członków załogi w kółko powtarza, że nic go nie powstrzyma przed wyruszeniem na pomoc „generałowi”. O ile dobrze zrozumiałam, określa tym mianem Horace'a.

Will i Alyss spojrzeli po sobie, rozbawieni.

- A jakże. Tak właśnie ludzie Gundara nazywali Horace'a. Należy z tego wnioskować, że Nils nadal służy w załodze Gundara - stwierdził Will.

- Dobrze mieć kogoś takiego pod ręką - wtrąciła Alyss, wspominając potężną postać Nilsa „Liniarza” oraz jego zręczność w posługiwaniu się bojowym toporem.

- Kiedy przyjdzie do walki, każdy Skandianin się przyda - zauważył Halt, a potem, zmieniając temat, spytał Evanlyn: - Czy zachodzi konieczność, byś pokazała się na dworze tokańskiego cesarza? Czy ciążą na tobie jakieś oficjalne obowiązki?

Evanlyn potrząsnęła głową.

- Oficjalnie mnie tu nie ma. Dlatego właśnie podróżuję jako „lady Evanlyn”. A więc, mogę wyruszyć w każdej chwili.

- W takim razie sugeruję, żebyśmy wypłynęli jak najprędzej. Kiedy tylko się da. Oficjalne pożegnania mamy już za sobą. Teraz wystarczy się wyspać, a skoro świt ruszymy do portu.

- Zechciej zająć moją komnatę, lady Evanlyn. Prześpię się tutaj, na kanapie - zaproponowała Alyss.

Evanlyn nie zgodziła się:

- Będziemy we dwie dzielić twoją komnatę, Alyss - oznajmiła stanowczym tonem. - Nie życzę sobie żadnych szczególnych przywilejów. Im prędzej się do tego przyzwyczaimy, tym lepiej. Na wilczym okręcie jest za ciasno, żeby przejmować się takimi bzdurami.

Alyss miała dość rozumu, by rozpoznać zaoferowaną jej gałązkę oliwną. Powstała i uśmiechnęła się do Evanlyn - po raz pierwszy uśmiechnęła się do niej szczerze.

- To dla mnie zaszczyt i przyjemność - oświadczyła.

Inni też wstali; Selethen ścisnął ich dłonie na pożegnanie.

- Życzę wam powodzenia - powiedział, a potem dodał, nie bez odrobiny zawiści: - Przed wami ciekawa podróż. Kusi mnie, żeby do was dołączyć. W końcu Horace to i mój przyjaciel. Ale... - urwał i wykonał nieokreślony gest dłonią, jakby opędzając się przed tym

pomysłem.

Halt skinął głową.

- Cieszylibyśmy się wszyscy, gdybyś zechciał do nas dołączyć, Selethenie. Rozumiemy jednak, że obowiązki wzywają cię gdzie indziej.

Selethen wykonał gest arydzkiego pozdrowienia, powitania i pożegnania, dotykając dłonią ust, czoła, a potem znowu ust.

- Tak - potwierdził. - Obowiązek wzywa, a to bezlitosny pan. Ale powiadam, kusi mnie.

Obdarzył ich jeszcze wszystkich na pożegnanie uśmiechem, po czym udał się do swej kwatery.

* * *

Zjawili się na przystani tuż po nastaniu świtu. Okręt Gundara, zwany na cześć młodego zwiadowcy „Wolfwill”, czyli „Wilcza Wola” albo „Wilczy Will”, został zacumowany równolegle do pomostu. Will zmarszczył brwi, widząc okręt, który pamiętał przecież doskonale, bowiem był świadkiem jego wodowania. Teraz jednak prezentował się jakby inaczej.

- Jakoś dziwnie wygląda - rzekł półgłosem.

Również Halt przyglądał się skandyjskiej jednostce.

- Czyżby przesunęli maszt? - spytał, choć nie wiadomo kogo. - Chyba znajduje się bliżej rufy niż przedtem.

- I gdzie jest reja? - zdziwił się Will. Zazwyczaj na tego typu okrętach na wysokości około siedmiu ósmych masztu wisiała długa reja, do której mocowano wielki prostokątny żagiel.

Tymczasem maszt „Wolfwill” wyraźnie tego poprzecznego drzewca pozbawiono, u topu widniała tylko skomplikowana płatanina olinowania; poza tym od strony dzioba i od strony rufy na pokładzie ułożono starannie zwinięte żagle.

- Wiem tyle - stwierdziła Evanlyn - że to najszybszy okręt, jakim zdarzyło mi się płynąć. O, jest Gundar. Możecie go wypytać.

Znajoma sylwetka, rosła i potężna, jak wszyscy Skandianie, zmierzała ku nim wzdłuż pomostu chwiejnym, marynarskim krokiem.

- Will Treaty! - ryknął Gundar, płosząc przy tym mewy w promieniu pięćdziesięciu metrów; wzbily się w powietrze, skrzecząc głośno. Will przygotował się na to, co nieuniknione. Wiedział bowiem, co go czeka, a niewiele mógł na owo nieuniknione poradzić.

I rzeczywiście, Gundar uniósł go z ziemi w zapierającym dech niedźwiedzim uścisku.

Will zdołał tylko wysapać powitanie. Mało brakowało, a jego żebra by nie wytrzymały.

- Na brodę Gorloga, chłopcze, jak dobrze cię widzieć! Miałem nadzieję, że cię spotkam, gdy Erak wyznaczył nas do stacjonowania w Araluenie. Jak się miewasz? Co porabiałeś ostatnimi czasy?

- Puść mnie... a spróbuję... ci powiedzieć - zdołał z trudem wystękać Will. Gundar wreszcie uwolnił go ze swych objęć. Will zachwiał się, stając na deskach przystani; przyjaciele zaniepokoiли się nieco, słysząc, jak desperacko chwyta w płuca powietrze.

Następnie na widok Alyss wielki marynarz pochwycił jej dłoń w jedną ze swych wielkich łap i złożył na niej niezdarny pocałunek, połączony z głośnym młaśnięciem.

- Lady Alyss! - zagrzemiał. - Przecież to niemożliwe, ale stałaś się jeszcze piękniejsza, niż byłaś!

Musimy przyznać, że w tym momencie Evanlyn nadała się nieco. Gundar nie wspomniał ani słowem o jej prezencji, zresztą sama zdawała sobie sprawę, że obok tej wysokiej, jasnowłosej dziewczyny wygląda raczej na... chłopczycę.

Natomiast Alyss była oczywiście zachwycona.

- Ach, Gundarze, nie utraciłeś nic ze swego wytwornego wdzięku. Każdej dziewczynie zawróciłbyś w głowie swą złotoustą mową.

Słowa te bez wątpienia przypadły olbrzymowi do gustu; potem zaś zwrócił swą uwagę na niepozorną, siwobrodą postać stojącą za nią.

- Tyś jest zapewne przesławnym Haltem? - ni to stwierdził, ni to spytał. - Spodziewałem się kogoś trochę wyższego - dodał sam do siebie i ruszył na spotkanie nowo poznanego.

Halt, który nie raz już miał do czynienia ze Skandianami, cofnął się.

- Tak, jestem Halt - oznajmił. - Chciałbym jednak mieć wszystkie żebra w całości, jeśli można prosić.

- Ależ oczywiście, przecież nic im nie grozi - zamiast niedźwiedzich objęć, Gundar zadowolił się solidnym, męskim uściśnięciem dłoni Halta.

Oczy zwiadowcy zaszklily się, gdy poczuł, jak jego palce i knykcie miażdży gigantyczne imadło. Potrząsnął boleśnie dłonią, gdy Gundar wreszcie ją wypuścił.

- Każdy przyjaciel Eraka jest także moim przyjacielem! - oznajmił Gundar, po czym rozejrzał się ciekawie. - A gdzie twój kudłaty konik, Willu?

- Wierzchowce pozostawiliśmy w Araluenie - wyjaśnił Will.

Zamierzali przecież spędzić zaledwie dziesięć dni w tokańskiej stolicy, nie zachodziła więc potrzeba przywożenia ze sobą Wyrwija oraz Abelarda. Pozostawiono je pod opieką

Starego Boba, tego samego, który oba koniki wyszkolił do spełniania zwiadowczych zadań. Will nie był pewien, czy żałuje teraz tej decyzji, czy nie. Miło byłoby mieć przy sobie Wyrwija, jednak czekała ich długa podróż morską do Nihon-Ja, znacznie dłuższa, niż którakolwiek z przebytych dotąd przez Wyrwija morskich wędrówek. Nie mogli więc liczyć na sposobność, by dać po drodze konikom okazję do wybiegania się, a więc trudno było stwierdzić, jak by taką podróż zniosły.

Również Ebony, suczka Willa, została w kraju, pod kuratelą lady Pauline. Edukacja Ebony pozostawiała jeszcze wiele do życzenia, istniało więc niebezpieczeństwo, iż jej nazbyt swobodne, spontaniczne zachowanie nie będzie licowało z wyniosłą godnością tokańskich oficjeli.

Gundar skinął niedbale głową. Nie miał pojęcia, jakie rozterki przeżywali obaj zwiadowcy, nim postanowili zostawić ukochanych czworonożnych towarzyszy. Zerknął dalej, na nabrzeże.

- Co to za drągał? - spytał. - On też jedzie z wami?

Czwórka Araluńczyków odwróciła się szybko. Zdecydowanym, sprężystym krokiem zmierzał ku nim wysoki, szczupły mężczyzna dźwigający tobołek na ramieniu.

- Pokusa okazała się zbyt silna - odezwał się Seleten, kiedy podszedł bliżej. - Postanowiłem wyruszyć razem z wami.

ROZDZIAŁ 10

Nihon-Ja

Gdy George rozstał się z nimi i ruszył drogą prowadzącą w doliny ku portowi Iwanai, Shukin przyspieszył marszu.

Dopiero teraz, gdy ich wierzchowce podążały równym cwałem, Horace zdał sobie w pełni sprawę, jak bardzo George spowalniał ich wędrówkę, toteż, choć nie bez poczucia winy, pogratulował sobie, iż skutecznie namówił rodaka, by udał się w drogę powrotną. Pozostali członkowie oddziału, wszyscy bez wyjątku wytrawni jeźdźcy, bez trudu dotrzymywali tempa dowódcy, a tutejsze konie, choć drobniejszej budowy niż bojowy rumak, do którego przywykł Horace, były krzepkie i wytrzymałe. Co najważniejsze, jak zdał sobie sprawę Horace po jakimś czasie, kiedy jego wierzchowiec poślizgnął się i stracił równowagę, lecz natychmiast ją odzyskał, zwierzęta poruszały się wyjątkowo pewnie po tutejszych nierównych górskich szlakach.

Jeden z żołnierzy zauważył potknięcie konia oraz to, że Horace wyprostował się natychmiast w siodle, usiłując zrównoważyć przechył. Podjechał bliżej.

- Zdaj się na swego wierzchowca, Ors-san - rzekł półgłosem Nihończyk. - Przywykł do tego terenu, poradzi sobie.

- Zauważyłem - rzucił Horace przez zaciśnięte zęby. Kiedy znów koń się poślizgnął, młody rycerz zmusił się, by nie napinać mięśni, nie próbował też utrzymać końskiego łba w górze. Wierzchowiec tylko stęknął i ruszył dalej. Horace nie potrafił oprzeć się nieco krępującemu wrażeniu, iż stęknienie owo oznaczało wyraz uznania, choć może pozbawiony nadmiernego entuzjazmu. Tak jakby koń chciał mu przekazać: *No, teraz lepiej. Po prostu siedź spokojnie, zwalisty olbrzymie i zostaw robotę tym, którzy się na niej znają.*

Wyciągnął dłoń, poklepał konia po szyi. Zwierzak odpowiedział, potrząsając łbem oraz grzywą.

Jechali dalej, utrzymując stałe tempo przez pół godziny, potem pozwalali koniom odpocząć kolejne dwadzieścia minut w niespiesznym truchcie. Przypominało to forsowne tempo marszowe zwiadowców, którego Horace nauczył się podczas wielu podróży w towarzystwie Willa oraz Halta. Zdawał więc sobie sprawę, że czas na pozór stracony,

pozwała koniom na dłuższą wędrówkę i pokonanie znacznie pokąźniejszego dystansu każdego dnia.

Towarzyszyła im mleczna obecność słońca przeświecającego przez unoszące się w górze szare chmury. Kiedy Shukin stwierdził, że wzniosło się już dość wysoko na nieboskłonie, zarządził popas; na postój wybrał niewielką, płaską polankę.

- Czas na posiłek i krótki odpoczynek - oznajmił. - Tyle tylko, abyśmy odzyskali siły - my i nasze konie.

Rozsiodłali wierzchowce, wytarli je z potu. Przy takiej pogodzie było to konieczne, w przeciwnym razie lodowaty wiatr wkrótce przyprawiłby zwierzęta o przeziębienie. Służący tymczasem rozpakowali zapasy żywności przechowywane w koszach umieszczonych za siodłami. Gdy jeźdźcy oporzadzili konie, posiłek już na nich czekał, płonął też ogień, rozpalony, by zagotować wodę.

Horace otrzymał talerz pikli, wędzonego pstrąga, do tego kilka kulek ostro przyprawionego ryżu. Siadł ciężko na powalonym pniu i cicho stęknął, kiedy kolana oraz uda powiadomiły go, że ciężko tego dnia pracowały. Jak dobrze chwilę odpocząć - pomyślał. Byle tylko przerwa nie trwała zbyt długo, nie na tyle, żeby mięśnie zeszywniały, bo wówczas pierwsze pół godziny jazdy stanowić będzie istną torturę. Postanowił wstać i przejść się po polanie, kiedy tylko upora się z posiłkiem.

Posiłkiem, dodać należy, bardzo smacznym. Lekkim, a zarazem pożywnym. Horace nie mógł co prawda oprzeć się wrażeniu, że Nihończycy, jako drobna rasa, zadowolają się śmiesznie małymi porcjami, natomiast on sam bez trudu poradziłby sobie z racją o wiele obfitszą. Natychmiast potem wrzucił ramionami. Przecież zawsze tak mu się wydawało, niezależnie od rozmiarów porcji, jaka akurat przypadła mu w udziale.

Shukin, sprawdzwszy najpierw, czy Shigeru niczego nie brakuje, dokonał szybkiej inspekcji tymczasowego obozowiska, by przekonać się, czy każdy z ludzi otrzymał posiłek i czy wszystkie konie pozostają w dobrej formie. Potem przyjął od służącego swój talerz i usiadł obok Horace'a na pniu. Araluńczyk nie omieszkał zauważyć, że Shukin, przywykły od dzieciństwa do siadania ze skrzyżowanymi nogami, sprawiał wrażenie, jakby długotrwała jazda konna nie przyprawiła go nawet o najmniejszą sztywność stawów oraz mięśni.

- Jak daleko zamierzamy dziś dotrzeć? - spytał go Horace.

Shukin skrzywił się, rozmyślając nad odpowiedzią.

- Miałem nadzieję, że zdołamy przeprowić się przez rzekę Sainaki - odpowiedział, wskazując w stronę, w którą wiodła droga. - To jeszcze dwadzieścia kilometrów stąd, cały czas pod górę. Trakt prowadzi do wodospadu i brodu znajdującego się tuż nad nim.

- Powinno się udać - stwierdził Horace. - Słońce nie zajdzie jeszcze przed upływem co najmniej pięciu godzin.

- To zależy od drogi - zauważył Shukin. - Jak dotąd jest w miarę łatwa, natomiast kilka kilometrów dalej stanie się bardziej stroma i wyboista. Wtedy, chcąc, nie chcąc, zwolnimy.

- No, tak. To zmienia postać rzeczy. W dodatku, jeżeli lunie deszcz, konie zaczną się jeszcze bardziej ślizgać, prawda? - stwierdził Horace.

Senshi skinął głową.

- Owszem, to stanowiłoby dodatkowe utrudnienie. Ale jeśli damy radę, chciałbym przebyć rzekę przed zapadnięciem ciemności.

Horace uznał plan za rozsądny. Niewątpliwie bród znajdujący się nad wysokim wodospadem nie należy do najłatwiejszych i bezpiecznych. Tak więc pod sam koniec męczącego dnia czeka ich przeprawa przez rwący nurt górskiej rzeki.

- Bród jest ciężki? - spytał.

Shukin wysunął dolną wargę i dłonią uczynił gest, jakby chciał powiedzieć „i tak, i nie”.

- Istnieją łatwiejsze - przyznał. - Mam jednak też inny powód, by pragnąć znaleźć się po drugiej stronie przed zapadnięciem ciemności. Otóż stamtąd rozciąga się rozległy widok na doliny. Zyskamy w ten sposób możliwość, by przekonać się, czy Arisaka i jego ludzie znajdują się gdzieś w pobliżu.

Dotychczas wędrowali przez gęsty, wysoki las porastający obie strony traktu, toteż nie mieli pojęcia, co dzieje się za nimi. Horace zdał sobie sprawę, że Shukin przeżywa to, co każdy dowódca prowadzący odwrót, a właściwie ucieczkę przed przeważającymi siłami. W takiej sytuacji zasadniczego znaczenia nabiera informacja o poczynaniach wroga; trzeba wiedzieć, gdzie znajdują się ścigający, jak daleko, czy poruszają się wolniej, czy szybciej od uciekinierów towarzyszących cesarzowi. Na razie Shigeru i jego obrońcy poruszali się po omacku, czemu siłą rzeczy towarzyszyło napięcie oraz niepewność. W każdej chwili spomiędzy drzew mogli wyłonić się zbrojni wojownicy, mogły rozleć się wojenne okrzyki, błysnąć klingi mieczy gotowych do uderzenia.

Tak jak się stało już wcześniej, rankiem tego samego dnia.

- A jeśli nie zdążymy przebyć rzeki przed nocą? - spytał Horace. Ambitne plany to jedno, lecz zawsze warto wziąć pod uwagę, że coś może pójść nie po myśli.

Shukin wzruszył ramionami.

- W pobliżu wodospadu znajduje się niewielka wioska. Ukryjemy się w niej na noc.

W tej właśnie chwili znów zaczął padać deszcz, który uprzednio uspokoił się prawie

na godzinę. Drobne, siąpiące kropelki tworzyły jakby mgiełkę, która zrazu wydawać się mogła zaledwie niegroźną mżawką. Ale deszcz padał wytrwale, nieustannie. Horace wiedział, że już po dziesięciu czy piętnastu minutach płaszcze i spodnie jeźdźców przesiąkną wodą, niepochlaniane już przez materiał strugi zaczną ściekać do butów. W tych warunkach niewiele trzeba czasu, żeby chłód i wilgoć dały się we znaki.

- Cóż, jeśli nie uda nam się dojechać do wodospadu - stwierdził Horace - przynajmniej spędzimy noc w suchym miejscu.

Pod wpływem deszczu nawierzchnia traktu stała się błotnista i piekielnie śliska. Konie co chwila traciły równowagę, potykały się, a Horace'owi włosy stawały dęba, gdy pośród rzędnych drzew dostrzegał w dole ziejącą przepaść.

Gęste, tłuste błoto lepilo się do końskich kopyt, co zmuszało jeźdźców do częstych postojów, aby oczyścić podkowy.

Horace zauważył, że Shukin coraz częściej spogląda na blade, wodnisty dysk słońca. Stanowczo chylił się już ku horyzontowi, więc chociaż Horace nie miał pojęcia, jak daleko zajechali, zdawał sobie jednak sprawę, iż w żadnym razie nie przebyli dystansu, jaki przebyć należało, jeśli mieli zdążyć przed zachodem słońca do brodu. Shukin najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku. Uniósł rękę, by zatrzymać nieliczny oddział i cofnął się do czekającego nań cesarza. Horace podjechał bliżej, aby usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Nie przebędziemy dziś rzeki - stwierdził Shukin.

Zawiedziony Shigeru ściągnął usta.

- Jesteś pewien? - spytał, po czym natychmiast machnął ręką i poprawił się: - Oczywiście, że jesteś pewien. Inaczej byś tak nie mówił.

- Przykro mi, kuzynie - rzekł Shukin, lecz Shigeru powtórzył tylko ten sam gest.

- Zrobiłeś wszystko, co było można - stwierdził. - Nie mogę cię winić, za to że pada deszcz ani za błoto.

Spojrzał na obłe grudy kleistej substancji oblepiające kopyta jego wierzchowca. Natychmiast jeden ze służących zsunął się z siodła i zabrał się do ich czyszczenia. Shigeru przyglądał się, jak sługa zgina lewą przednią nogę konia.

- Powinienem go odprawić i samemu się tym zająć - rzekł. - Jeździec powinien zajmować się własnym wierzchowcem. Umilkł, po czym pozwolił sobie na znużony uśmiech.

- Rzecz w tym, że jestem zbyt zmęczony.

Horace uśmiechnął się.

- Bądź co bądź, cesarz ma swoje prawa - zauważył.

Shigeru spojrzał na niego.

- O, doprawdy, jakże by inaczej. Zważ, z jak licznych przywilejów korzystam. Właśnie wybrałem się na beztrudną wycieczkę w ciepłe i wygodzie. Nie brak mi wykwintnego jadła oraz napojów, a u kresu drogi czeka miękkie łóżko. Czegóż więcej można wymagać?

Cesarz i Horace potraktowali tę wymianę zdań jako zwykły żart, natomiast Shukin spuścił wzrok.

- Przykro mi, kuzynie - rzekł z goryczą w głosie. - Nie zasłużyłeś na taki los.

Shigeru wyciągnął rękę i dotknął delikatnie ramienia Shukina.

- To ja ciebie proszę o wybaczenie - odezwał się. - Nie zamierzałem się skarżyć. Wiem, że czynisz wszystko, co w twojej mocy, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Ucieszy mnie także wiązka słomy pod dziurawym dachem.

- Cóż, obawiam się, że właśnie to nas czeka - przyznał Shukin. - Nieco powyżej znajduje się rozwidlenie drogi. Trakt na lewo prowadzi do wodospadu oraz przeprawy. My jednak skręcimy w prawo, kierując się do wioski drwali.

- Jedno mnie niepokoi - Shigeru zawahał się. - Powiedz, czy deszcz nie utrudni nam przeprawy? Czy nie podniesie się poziom wody w rzece? Może lepiej spróbować przedostać się na drugą stronę pomimo ciemności?

Shukin potrząsnął jednak głową.

- Do tego trzeba by znacznie większej ulewy - stwierdził z przekonaniem w głosie. - Poziom wody nie wzrośnie w istotny sposób, bowiem cały jej nadmiar znajduje ujście w wodospadzie.

Shigeru obdarzył uśmiechem swego kuzyna, rozumiejąc, jak ciężkie brzemię odpowiedzialności spoczywa na jego barkach.

- Cóż, w takim razie, przyjacielu, nie ma sensu użalać się nad czymś, czego dokonać nie zdołamy. Postarajmy się tedy dokonać tego, co możliwe, i odnaleźć wioskę. Jak powiedział Ors-san, przynajmniej spędzimy noc w suchym miejscu - dodał, zwracając się do Horace'a.

Shukin skinął głową i odwrócił się, by wydać rozkaz ludziom. Kiedy ruszyli, Horace zauważył, jak kuzyn cesarza prostuje się, odzyskując animusz. Nie po raz pierwszy młody rycerz zwrócił uwagę, że pogodne, pełne wyrozumiałości słowa cesarza odnoszą skutek, jakiego władca nie uzyskałby, srożąc się i wrzeszcząc; właśnie takiemu zachowaniu między innymi cesarz zawdzięczał bezgraniczną lojalność oraz skłonność do poświęceń ze strony poddanych. Wyśmienita lekcja przywództwa - pomyślał Horace.

Wspinali się znośnie jeszcze przez dwie godziny, konie potykały się, ślizgały - aż wreszcie znów znaleźli się na płaskim terenie. Shukin zarządził krótki odpoczynek, by

wierzchowce i ludzie mogli odzyskać siły. Sam zerknął tymczasem na mapę; jeden z żołnierzy trzymał nad nim nieprzemakalną płachtę. Horace'owi zdawało się, że jest już niemal zbyt ciemno, żeby dostrzec jakiegokolwiek szczegóły na pergaminie, lecz senshi złożył mapę i wskazał przed siebie.

- Jeszcze dziesięć minut - oznajmił.

Niedługo potem ujrzeli światło prześwitujące pośród pni drzew kołyszących się na wietrze. Potem nagle znaleźli się na polanie, gdzie wznosiły się kryte strzechą chaty. Przez ich pokryte woskowanym papierem ściany lśniło ciepłe, żółte światło, z kominów wznosił się dym. Woń palonego drewna przywodziła na myśl ciepło, gorący posiłek i herbatę. Horace nie mógł już się doczekać, kiedy zsiądzie z konia.

Dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzął odsuwające się drzwi, a potem mroczne sylwetki na tle światła.

Mieszkańcy wioski wychodzili z domów, by powitać obcych.

Horace miał w każdym razie nadzieję, że czeka ich powitanie, nie co innego.

ROZDZIAŁ 11

„Wolfwill” płynął na wschód od dwóch dni, zostawiwszy Toscano daleko za sobą. Okręt o niezwykleym takielunku, z dziwnym żaglem w kształcie zbliżonym do trójkąta, którego bom umocowano pod kątem do pionowego masztu, przedzierał się zwawo przez niewysokie fale, pędził z wiatrem. Wydęty żagiel przeżył się prawie równolegle do osi pokładu. Powiew świstał w linach, kadłub okrętu drżał ledwo dostrzegalnie pod ich stopami. Pęd upajał Willa i wydawało mu się, że okręt porusza się niemal tak prędko, jak towarzyszące mu morskie ptaki, szybujące z niezwykle lekkością tuż nad powierzchnią fal, utrzymując się w locie tylko nieznacznymi poruszeniami skrzydeł.

Aralueńczycy i Selethen zgromadzili się na dziobie, pozostawiając śródpokładzie marynarzom uwijającym się przy żaglu. Przy tym wietrze i tej prędkości nie zachodziła potrzeba wiosłowania, choć okręt w razie konieczności mogło też wprawiać w ruch osiem par długich wiosł, gotowych do użycia, gdyby wiatr ustał.

Dołączył do nich nawet Halt. Wszyscy mieli dość oleju w głowie, by nie skomentować faktu, iż ujrzeli go po raz pierwszy od minionych dwóch dni. Evanlyn, Alyss i Will znali delikatne usposobienie żołądka Halta podczas pierwszych godzin podróży morskiej, o czym powiadomili też Selethena, bowiem na tym punkcie siwobrody zwiadowca był wyjątkowo drażliwy.

Halt spoglądał na nich podejrzliwie. Tak ostentacyjnie unikali jakiegokolwiek wzmianki o jego nagłym pojawieniu się, iż uznał, że chyba lepiej zniesie docinki.

- No, już dobrze, dobrze! - odezwał się. - Niech ktoś coś powie! Wiem, o czym myślicie.

- Miło cię ujrzyć, Halt - rzekł poważnym tonem Selethen. Tylko on jeden potrafił zachować kamienną twarz.

Halt spojrzał po pozostałych, którzy czym prędzej wyrazili swe zadowolenie z jego powrotu do zdrowia. Dostrzegał jednak uśmiechy, które ledwo próbowali skryć. Spojrzał surowo na Alyss.

- Po tobie się tego nie spodziewałem - oznajmił. - Co innego Will i Evanlyn. Oczywiście, to bestie bez serc. Ale ty! Sądziłem, że lepiej cię wychowano!

Była to szczególnie dotkliwa uwaga, zwłaszcza że mentorką Alyss był nie kto inny, jak

lady Pauline, ukochana żona Halta.

Alyss wyciągnęła dłoń, dotykając lekko jego ramienia.

- Wybacz, Halt! Masz słuszność, nic w tym śmiesznego... Och, zamknij się, Willu - te słowa zwróciła do Willa, który bezskutecznie usiłował stłumić chichot. - *Mal de mer* to nie śmiesznego, tylko poważna dolegliwość.

Zaskoczyła tym nieco Halta. Zdawało mu się dotąd, iż nie cierpiał na nic poważniejszego od choroby morskiej. Rzecz uciążliwa, bez wątpienia, jednak owa niedogodność mijała po upływie dnia lub dwóch na morzu. Tymczasem Alyss najwyraźniej dopatrzyła się w tym jakiejś egzotycznej przypadłości. A przecież im bardziej egzotyczna choroba, tym groźniejsza może się okazać w skutkach.

- Maldemar? - spytał, lekko zaniepokojony. - Co to jest maldemar?

- To po galijsku - wyjaśniła Alyss. Użyła tego określenia, bowiem zdawała sobie sprawę, jak bardzo zwiadowca nie cierpi pospolitej nazwy swej przypadłości. Najrozsądniej było jej wcale nie wymieniać w obecności Halta. Spojrzała na swych towarzyszy, lecz szybko zorientowała się, że nie może liczyć z ich strony na żadną pomoc. Unikali jej wzroku. Tak jakby chcieli powiedzieć: „Sama się w to wpakowałaś, to teraz radź sobie sama”.

Rzeczywiście, Halt ma rację - pomyślała. - Bestie bez serca.

- To znaczy... „choroba morska” - wyjaśniła słabym głosem.

- Myślałam, że znasz galijski, Halt? - odezwała się Evanlyn.

Wyprostował się z godnością.

- Pewnie, że znam. I to wyśmienicie. Nie można jednak ode mnie oczekiwać, że zachowam w pamięci wszystkie słówka tego języka. Poza tym wymowa Alyss pozostawia wiele do życzenia.

Wszyscy czym prędzej przyznali, że oczywiście, nikt od niego niczego nie wymaga, oraz oczywiście, jej wymowa bez wątpienia daleka jest od doskonałości. Halt spoglądał na nich po kolei, aż doszedł do wniosku, że jego poczucie godności zostało we właściwy sposób zaspokojone. Trzeba przy tym przyznać, że w skrytości ducha, o ile serdecznie nienawidził upokorzeń, jakie wiązały się z chorobą morską, kiedy wreszcie mijała, troska i współczucie ze strony atrakcyjnych młodych kobiet, takich jak Evanlyn czy Alyss, sprawiała mu pewną przyjemność. Odpowiadało mu również, że Will starał się unikać drażliwego tematu, jak tylko mógł. Lubił wyprowadzać Willa z równowagi, uważając to za istotny element wychowawczy.

Wszystko jednak popsuł Gundar, który ujrawszy Halta po raz pierwszy od dwóch dni, zbliżył się czym prędzej.

- Stałeś już wreszcie na nogi? - odezwał się gromkim głosem Skandianin, wykazując

przy okazji typowo skandyjskie poczucie taktu. - Na paluchy Gorloga, takeś rzygał, stękał, że o mało nie wyrzygałeś wszystkich flaków i siebie samego za burtę!

Słyszac ten barwny opis, Alyss i Evanlyn pobladły i czym prędzej odwróciły się.

- Cóż za obrazowy sposób wysławiania się, Gundarze - rzekł Will, a Selethen pozwolił sobie na uśmiech.

- Dzięki za życzliwe zainteresowanie - odparł Halt lodowatym tonem. Skandianie odnosili się z wyjątkowym brakiem zrozumienia dla choroby morskiej, czy też, jak to określiła Alyss, maldemara. Zanotował w pamięci, by czym prędzej posadzić Gundara na konia, gdy tylko znajdą się w Nihon-Ja. Skandianie słynęli z tego, że wyjątkowo źle znoszą jazdę na końskim grzbiecie.

- I co, Albert odezwał się? - ciągnął Gundar z niezmaconym spokojem.

Nagła zmiana tematu zaskoczyła nawet Halta.

- Albert? - spytał. Zbyt późno zauważył wyszczerzone w uśmiechu zęby Gundara i zrozumiał, że dał się złapać w pułapkę.

- Myślałem, że go wołasz. Wychylałeś się za burtę i krzyczałeś „Albeeeeert!” Sądziłem, że to jakiś aralueński bóg odmętów.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, iż zaprezentowana przez Gundara przeciągła wersja tego imienia nader przypominała odgłosy wydawane przez dręczonego mdłościami Halta. Halt obdarzył wilka morskiego kamiennym spojrzeniem.

- Nie. Nie odezwał się. Może odpowie, jak zawołam do wnętrza twojego hełmu.

Wyciągnął rękę. Gundar słyszał jednak, co dzieje się, gdy Skandianie pożyczają swe rogate okrycia głowy owemu zwiadowcy, a zwłaszcza, jeśli dzieje się to na pokładzie okrętu na pełnym morzu. Cofnął się o krok.

- Nie, nie. Tam na pewno go nie ma - stwierdził pospiesznie.

Selethen, jako wytrawny dyplomata, postanowił zażegnać rodzący się konflikt i odwrócić myśli wszystkich od dolegliwości Halta.

- Kapitanie, może zechciałbyś opowiedzieć nam o tym okręcie? - odezwał się do Gundara. - Nie przypominam sobie, że bym kiedyś widział podobny. A w swoim życiu miałem okazję oglądać niejednego skandyjski wilczy okręt - dodał znaczącym tonem.

Selethen pełnił obowiązki wakira, czyli zarządcy jednej z arydzkich nadbrzeżnych prowincji. Wilcze okręty mógł podziwiać głównie podczas najazdów na tamtejsze miasta. Gundar jednak nie zrozumiał subtelnej aluzji. Natomiast, zgodnie z oczekiwaniami Selethena i jak przystało na prawdziwego Skandianina, gotów był rozprawiać bez końca o swym „Wolfwillu”.

- Bo to i nie byle jaki okręt! - rzekł z zapałem. - Samem go zbudował, na brzegu pewnej rzeki w północnym Araluenu. Pamiętasz, Willu? - spojrzął w stronę Willa, szukając potwierdzenia. Gundar oraz jego załoga rozbili się swego czasu na północnym wybrzeżu, a Will zwerbował ich do pomocy podczas oblężenia Zamku Macindaw. W nagrodę za tę przysługę pozwolono im pozostać na terenie Araluenu i wybudować nowy okręt, którym powrócili do ojczyzny. Will wystarał się przy okazji, by dostarczono im drewna, lin, płócien i smoły oraz innych niezbędnych materiałów po przyzwoitych, niewygórowanych cenach.

- Pamiętam całkiem dobrze - stwierdził Will. - Tylko że wtedy pływał pod prostokątnym żaglem. Pod tym względem coś się zmieniło.

- Ach, tak! Ożaglowanie typu Czapla. To rzeczywiście coś szczególnego - podjął Gundar. - Kadłub ten sam, ale zmieniliśmy maszt, żagle i olinowanie.

- Dlaczego Czapla? - zainteresowała się Alyss.

Gundar obdarzył ją promiennym uśmiechem. Alyss także poznał w Macindaw, a gdy znowu spotkali się w Toscano, otrzymał od niej na powitanie pocałunek w zarośnięty policzek. Gundar nad wyraz lubił być całowanym przez piękne blondynki. Czuł jednak, że akurat tę oraz Willa łączy coś szczególnego, toteż nie czynił sobie nadziei.

- Tak je nazywamy, od pierwszego okrętu, który w podobne żagle wyposażono. Nazywa się właśnie „Czapla”. Zresztą, żaden z niego okręt, ledwie trzy czwarte długości wilczego okrętu. Ale maszt i żagle świetnie pomyślane! To dzieło pewnego młodego Skandianina. Prawdziwy z niego geniusz!

- Słyszałem, że był półkrwi Araluńczykiem - wtrącił sucho Halt.

Gundar zerknął na niego spode łba. Owszem, wielu Skandian z początku krzywiło się na taki nowomodny wynalazek, lecz to jeszcze nie powód, żeby kto inny miał go sobie przywłaszczać.

- Może półkrwi, a może i nie pół - odparł Gundar, po czym ciągnął, nie przejmując się logiką: - Lecz nawet jeśli tak, to z pewnością właśnie skandyjska połowa przyczyniła się do powstania tego wynalazku. Wszyscy wiedzą, że Araluńczycy nie mają pojęcia o żeglowaniu.

- Naprawdę? - spytał uprzejmie Halt.

Gundar znów spojrzął na niego koso.

- Ależ oczywiście. Właśnie dlatego tak wielu z nich rzyga własnymi flakami, jak tylko wejdą na pokład czegokolwiek, co pływa.

Will zorientował się, że rozmowa znów kieruje się w niebezpieczne rewiry.

- Lepiej opowiedz nam, jak to działa.

- Przede wszystkim, taka konstrukcja pozwala nam żeglować pod wiatr - oznajmił

Gundar.

- Pod wiatr? - powtórzył Halt. - Jak to możliwe?

Gundar zmarszczył czoło oraz nos. Nie miał ochoty przyznawać, że jego okręt posiada jakiegokolwiek słabe strony, jednak wiedział, że jeśli nie odpowie zgodnie z prawdą, jego słuchacze uznają, iż to puste przechwałki.

- No, niezupełnie pod wiatr - przyznał. - To znaczy, nie prosto pod wiatr, lecz zakosami. Płyniemy pod kątem do kierunku wiatru, posuwając się naprzód, pomimo tego, że wieje z przeciwnego kierunku, od dzioba. Okrętom o prostokątnych żaglach przychodzi to ze znacznie większym trudem.

- Czyli właśnie dlatego bezustannie zmienialiśmy kierunek, wczoraj, kiedy wiał przeciwny wiatr? - upewnił się Selethen.

- Zgadza się. Poruszamy się wówczas pod kątem do kierunku wiatru. Potem zmieniamy kierunek, a potem znowu, czyli płyniemy zygzakiem, ale w pożądanym kierunku. Nazywamy to halsowaniem.

- Dlaczego? - spytała Alyss, na co szyper znów zmarszczył całą twarz. Nigdy się nie zastanawiał, dlaczego opisywany przez niego manewr tak właśnie się nazywa. Gundar nie cechował się szczególną dociekliwością.

- Dlatego... Dlatego, że tak to się właśnie nazywa - oznajmił. - Halsowanie.

Alyss wykazała dość rozsądku, by nie drażnić zagadnienia. Will skrył uśmiezek za dłonią. Znał dobrze Alyss i wiedział, że odpowiedź Gundara w żadnym stopniu nie zadowala jej wnikliwego umysłu. Uznał, że najlepiej ciągnąć dalej ten sam temat.

- No, więc jak to działa? - powtórzył pytanie.

Gundar znów poczuł się pewniej, bowiem potrafił to objaśnić bez trudu.

- No cóż, młody Skandianin, który dokonał tego wynalazku - tu zerknął ukradkiem w stronę Halta, na wypadek gdyby ten chciał dalej się spierać o pochodzenie genialnego konstruktora - otóż człowiek ten spędził niemało czasu na obserwacji ptaków morskich, szczególnie zaś kształtu ich skrzydeł. Pomyślał sobie, że to może dobry pomysł, aby usztywnić brzeg żagla i nadać mu kształt lekko zakrzywionego, odwróconego trójkąta, właśnie w nawiązaniu do kształtu ptasiego skrzydła. Skrócił więc główny maszt, potem wymyślił zakrzywiony bom. To drzewce naciąga i podtrzymuje brzeg żagla, dzięki niemu możemy ustawić powierzchnię płótna do wiatru. Tradycyjny prostokątny żagiel wpada w łopot, wibruje, traci kształt. Tymczasem dzięki bomowi żagiel tworzy łagodną krzywiznę, która umożliwia nam przekierowanie napędzającej siły wiatru w znacznie skuteczniejszy sposób. Okręt porusza się pod kątem ostrym do kierunku, z którego wieje wiatr. W rezultacie,

możemy poruszać się pod wiatr.

Umilkł, spoglądając po ich zaciekawionych twarzach, po czym poprawił się:

- No, dobrze. Raczej ukośnie do wiatru wiejącego z przeciwka. Ale tak czy inaczej, to znaczne ulepszenie w stosunku do starego typu ożaglowania. Żagle prostokątne nadają się lepiej tylko do tego, żeby płynąć z wiatrem.

- Ale po co drugi bom i drugi żagiel? - spytała Evanlyn. Rzeczywiście, na pokładzie spoczywał ułożony wzdłuż burt drugi bom z upiętym i przymocowanym do niego żaglem. Znajdował się po przeciwnej stronie masztu niż bom napinający użytkowany właśnie żagiel. Gundar obdarzył ją uśmiechem.

- I to właśnie jest coś pięknego, bo wynalazek został udoskonalony - wyjaśnił. - Jak widzicie, żagiel znajduje się obecnie po stronie sterburty, przy wietrze z bakburty, więc tworzy idealnie zakrzywioną płaszczyznę. Kiedy zmienimy hals... - znów zerknął niespokojnie na Alyss, która jednak ani drgnęła - ...wiatr powieje od sterburty, przyciskając żagiel do masztu, przez co straci on idealny kształt mewiego skrzydła. Lecz my zawczasu przygotowujemy drugi żagiel i drugi bom, ten po stronie bakburty. Po zmianie halsu opuszczamy żagiel na sterburcie i podnosimy żagiel na bakburcie. Połączone są liną przechodzącą przez bloczek na topie masztu, tak więc ciężar żagla opadającego pomaga podnieść żagiel, który stawiamy.

- Przemyślne - rzekł Halt po chwili.

Gundar „Ciężka Ręka” uśmiechnął się skromnie.

- Cóż, tacy właśnie w większości jesteśmy my, Skandianie. Przemyślni.

ROZDZIAŁ 12

Shukin uniósł dłoń, dając znak jeźdźcom, by ściągnęli wodze. Zatrzymali się pośrodku pustej przestrzeni otoczonej domami.

Mieszkańcy wioski spoglądali na nich nieufnie, lecz zachowywali się powściągliwie, gdyż od stuleci wpajano im szacunek wobec przedstawicieli klasy senshich, toteż czekali w milczeniu, aż nowo przybyli wyjawią, czego chcą.

Zbliżyli się nieco, tworząc luźny krąg wokół jeźdźców. Horace spostrzegł, że niektórzy z nich dzierżą ciężkie włócznie, inni zbrojni byli w topory, lecz nie wyrażali tym zaimprovizowanym orężem przybyszom, po prostu mieli je w pogotowiu. Czekali, co zdarzy się dalej.

Shukin, który jechał kilka metrów przed resztą towarzyszy, odwrócił się w siodle.

- Proszę, zechciej się do mnie zbliżyć, kuzynie - zwrócił się półgłosem do Shigeru.

Shigeru podjechał do niego, teraz obaj znaleźli się pośrodku grupy oczekujących Kikorich. Horace uznał, że to dowód odwagi ze strony cesarza. Aż do tej chwili pozostawał bezpiecznie otoczony przez swoich wojowników. Jednak teraz, gdyby doszło do walki, stał się narażony na atak ze wszystkich stron, a eskorta nie zdołałaby zainterweniować na czas, żeby go osłonić.

Deszcz znów zaczął siąpić, bębniąc cicho o strzechy i tworząc mgliste aureole wokół lamp wiszących pod okapami na gankach domów. Strużka zimnej wody wpłynęła za kołnierz Horace'a, rycerz poruszył się niespokojnie w siodle. Właściwie tylko drgnął, ale natychmiast zwróciło się nań co najmniej kilkanaście par oczu. Znieruchomiał, a zaniepokojone spojrzenia skierowały się na powrót ku Shukinowi i Shigeru.

- Ludu Kikori - zaczął Shukin. Przemawiał głosem głębokim, władczym. Nie mówił głośno, lecz tembr jego głosu sprawiał, że słowa niosły się do najdalszych zakątków polany. - Dziś waszej wiosce przypadł w udziale wielki zaszczyt.

Urwał, spoglądając po twarzach wyczekujących drwali oraz ich rodzin. W oczach tubylców nie dostrzegał nic oprócz powątpiewania. Wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy wojownicy senshi przybywali i oznajmiali im, iż oto spotyka ich niezwykle wyróżnienie. Zazwyczaj taka zapowiedź stanowiła wstęp do zwykłego rabunku żywności, plądrowania domów oraz wygórowanych żądań, kiedy intruzi domagali się pracy na ich rzecz za darmo,

przez co Kikori tracili czas i ponosili niepowetowane straty. „Spotyka was zaszczyt, bo możecie nam dać, czego zażądamy. A jak nie, i tak weźmiemy to sobie siłą”.

Niestety, do tego zazwyczaj sprowadzały się stosunki między owymi dwiema klasami społecznymi.

Shukin zastanowił się, jak dobrać słowa, by przekonać ich, że on i jego towarzysze nie pragną krzywdzić mieszkańców wioski ani ich wykorzystywać. Prosić o gościnę i schronienie, owszem. Lecz pragną zapłacić za jedno i za drugie. Mieszkańcy wioski zostaną potraktowani uczciwie. Jednak wiedział, że takie zapewnienia nikogo nie przekonają. Kikori od niezliczonych lat nie doświadczyli ze strony senshich niczego prócz arogancji, słowa na nic się tu nie zdadzą.

Nim zdołał się odezwać, poczuł lekkie dotknięcie na przedramieniu.

- Może lepiej będzie, jeśli ja z nimi porozmawiam, kuzynie - stwierdził Shigeru.

Shukin zawahał się. Nawet w tak skromnych warunkach obowiązywały przecież nadal nakazy dworskiej etykiety. Cesarz winien zostać odpowiednio zaanonsowany, należało wymienić wszystkie jego tytuły i pozwolić, by lud złożył mu pokłon.

Zaczerpnął tchu, by ująć tę myśl w słowa, lecz zdał sobie sprawę, że Shigeru zeskoczył już z siodła. Cesarz uśmiechnął się do stojącego najbliżej mężczyzny - potężnie umięśnionego, zwalistego osiłka, który najwyraźniej przez całe życie głównie wymachiwał ciężkim toporem dierzonym teraz w prawej dłoni. Twarz tamtego pozostała niczym wykuta z kamienia, milczał uparcie.

Sprawiał wrażenie lokalnego przywódcy, toteż Shigeru zorientował się, iż to przede wszystkim jego życzliwość należy pozyskać.

- Aaach! - odetchnął cesarz głośno, z ulgą, po czym rozmasował pośladki. - Od razu lepiej!

Teraz drwał nie zdołał już powstrzymać nikłego uśmiechu zaskoczenia. Szczerłość Shigeru, jego naturalne, swobodne zachowanie rozbroiły drwala, który dotąd miał do czynienia wyłącznie z wyniosłymi, butnymi senshimi.

Zaniepokojony Shukin przypatrywał się tej scenie z wysokości końskiego grzbietu, nie mogąc oderwać oczu od potężnego topora. Ze wszystkich sił pragnął sięgnąć dłonią bliżej rękojeści miecza, lecz wiedział, iż taki gest może okazać się błędem - błędem fatalnym w skutkach. Wystarczy najmniejszy przejaw agresji, a scena przerodzi się w rzeź.

Jednak Shigeru, jak się zdawało, nie żywił podobnych obaw. Podeszedł do mężczyzny, skłonił się i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Jak się nazywasz? - spytał.

Drwal oniemiał ze zdziwienia. Ten senshi nie tylko zamierzał podać mu rękę, lecz do tego wpierw się uklonił, rzecz dotąd niespotykana w relacjach kasty rycerskiej z Kikori. Miał już wyciągnąć w stronę Shigeru prawą dłoń, gdy zdał sobie sprawę, że trzyma w niej topór, więc przełożył go niezdarnym ruchem do lewej dłoni. Potem spojrział niepewnie na swą sękatą dłoń, wciąż umorusaną brudem i żywicą po całym dniu ciężkiej pracy.

Shigeru roześmiał się głośno, szczerze i serdecznie ubawiony.

- Bez przesady! - zawołał. - Popatrz tylko na mnie. Także daleko mi do nieskazitelnej czystości. - Pokazał dłoń noszącą ślady błota po całodziennej podróży, by wszyscy mogli ją ujrzeć. - Tylko nie zmiażdż moich delikatnych palców tą potężną łapą!

Stłumiony pomruk rozbawienia ze strony mieszkańców wioski starczył za odpowiedź. Horace poczuł, że napięcie w widoczny sposób zelżało. Drwal uśmiechnął się, teraz już śmieiej wyciągnął rękę, by uścisnąć dłoń Shigeru.

- Jestem Eiko - oznajmił.

Shigeru skinął głową, odnotowując jednocześnie imię w pamięci. Horace wiedział, że gdyby tego wieczoru cesarzowi przedstawiono choćby jeszcze dwudziestu ludzi, zapamięta bezbłędnie ich imiona, usłyszawszy je tylko raz. Tę umiejętność Shigeru okazywał już przy nim niejednokrotnie.

Eiko pochylił teraz głowę na bok, wyczekująco. Ciekaw był, czy senshi posunie się do tego, żeby wyjawić swe własne imię. Gdyby tak uczynił, byłoby to zaiste coś nowego. Senshi zazwyczaj oznajmiali swe imiona oraz godności podniesionym głosem, oczekując, iż klasy niższe odpowiedzą unizonymi pokłonami. Z doświadczeń Eiko nie wynikało, by mieli oni zwyczaj zawierać przyjazne znajomości z Kikori.

Shigeru wyczekał na tyle długo, by upewnić się, że uwaga wszystkich skierowana jest na niego. Potem cofnął dłoń, potrząsając nią lekko, przez co w żartobliwy sposób dawał do zrozumienia, jak silny był uścisk Eiko.

- Miło cię poznać, Eiko. Jestem Shigeru Motodato.

Zgromadzeni wieśniacy wstrzymali oddech. Rzecz jasna, znali to imię. W okolicy krążyły pogłoski, że Shigeru odwiedził swą letnią rezydencję, położoną całkiem niedaleko od ich siedzib. Słyszeli też plotki dochodzące już od dłuższego czasu, od kilku lat. Powiadano, że ten cesarz darzy przyjaźnią niższe klasy, że rozmawia z rolnikami, rybakami i cieślami, nie wynosząc się ponad nich, traktując ich jak równych sobie.

- Aha - dodał Shigeru, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniał - niektórzy nazywają mnie „cesarzem”.

Odwrócił się, by obdarzyć uśmiechem pozostałych mieszkańców wioski stojących

wokół, a przy tym uchylił zewnętrznego okrycia, ukazując herb rodu Motodato wyszyty na jego tunice - stylizowane trzy czerwone wiśnie. Ten symbol znał każdy, w całym Nihon-Ja.

Rozległ się cichy pomruk, wszyscy wieśniacy skłonili głowy i upadli na kolana przed swym cesarzem. Nie wątpili już, że to naprawdę on. Zbrodnią karaną śmiercią było noszenie cesarskich emblematów przez kogo innego niż sam władca lub członkowie jego klanu. W ich głowach nie mieściła się myśl, by ktokolwiek nieuprawniony mógł nieopatrznie dopuścić się podobnej obrazy majestatu.

Jednak Shigeru postąpił szybko krok przed siebie. Wybrał starszą kobietę, siwowłosą i przygarbioną brzemieniem ciężkiej pracy. Chwycił ją pod łokcie i łagodnie pomógł wstać.

- Ależ proszę, bardzo proszę! Nie ma potrzeby, matko! Nie warto brudzić sukni błotem z mojego tylko powodu!

- Kobieta wstała, lecz jej głowa pozostała pochylona z szacunkiem. Ku narastającemu zdumieniu wszystkich, Shigeru uniósł dłonią jej twarz, tak że spotkały się ich spojrzenia. Dostrzegł w jej oczach zdumienie i szacunek, a potem na pomarszczonej twarzy także błysk uwielbienia.

- Tak lepiej! Wszak pracowałaś ciężko przez całe swoje życie, prawda?

- Tak, panie - wymamrotała.

- No, właśnie. Ja z pewnością nie pracowałem tak ciężko ani przez jeden dzień. Masz dzieci?

- Ośmioro, panie.

- Ośmioro? Panie Amidabutsu! - zawołał Shigeru, niby to powtarzając jej słowa, lecz zmieniając intonację tak, że wraz z inwokacją do wielkiego buddy, zabrzmiał w jego głosie podziw oraz uznanie. Zgromadzeni wieśniacy zaśmiali się. - W takim razie bez wątpienia masz za sobą wiele ciężkiej pracy!

- I siedemnaścioro wnucząt, panie - uzupełniła kobieta, ośmielona już jego łaskawym obejściem. Shigeru gwizdnął i uderzył się dłonią w czoło.

- Siedemnaścioro! Na pewno je rozpieszczasz, co?

- Żadną miarą, panie Shigeru! - odparła z godnością. - Jeśli które nie zna moresu, zaraz oberwie w tyłek!

Zasłoniła usta dłonią, bo zdała sobie sprawę, że wypowiedziała wobec władcy jakże sprośne słowo. Ale Shigeru tylko się zaśmiał.

- Nie ma się czego wstydzic, matko. Przecież każdy z nas ma tyłek.

Teraz śmiech rozległ się głośniejsz. Shigeru zwrócił się do zgromadzonych i obiema dłońmi dał im znak, żeby powstali.

- Proszę was, bardzo proszę! Dość tych ukłonów i pokłonów! Wstawajcie, wszyscy!

A więc powstali, zarazem zdumieni i rozbawieni jego beztroskim, swobodnym sposobem bycia. Tych górali niełatwo było zwieść, bowiem widzieli w swoim życiu już niejedno. Ale teraz poczuli, jak bywało to udziałem większości ludzi mających po raz pierwszy do czynienia z Shigeru, że jego zachowanie jest szczere. Naprawdę lubił ludzi. Lubił poznawać ich i żartować z nimi. Nie poniżał ich i nie wywyższał się.

Mieszkańcy wioski odruchowo skupili się wokół swego cesarza. Teraz jednak wszelkie zagrożenie minęło. Chcieli po prostu lepiej się przyjrzeć legendarnej postaci. Nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś równie wysoko postawiony odwiedził ich skromną wioskę - a przy tym śmiał się i żartował z jej mieszkańcami.

- Piękne miejsce - stwierdził teraz Shigeru, przyglądając się rzędom schludnych, krytych strzechą chat. - Jak nazywacie tę wioskę? - to pytanie skierował do młodego chłopaka, na oko mającego niewiele ponad dziesięć lat.

Przez kilka sekund młodzik zapomniał języka w gębie. Wpatrywał się w cesarza szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc uwierzyć, że ktoś tak dostojny się do niego odezwał. Stojąca obok kobieta, jak uznał Horace, zapewne jego matka, szturchnęła chłopaka łokciem i syknęła coś cicho. Ponaglony w ten sposób dzieciak wyjąkał:

- Nazywamy ją Mura, panie.

Z tonu jego wypowiedzi wynikało, że Shigeru chyba powinien to wiedzieć. W tłumie rozległy się stłumione chichoty, Shigeru zaśmiał się także.

- Niezwykle trafna nazwa! - oznajmił.

Wieśniacy śmiali się już głośno.

Tylko Horace nic nie rozumiał, przynajmniej do chwili, kiedy jeden z towarzyszących cesarzowi rycerzy nie pochylił się i nie wytłumaczył półgłosem:

- Mura to po nihońsku wioska.

- Czy aby przypadkiem w pobliżu tej mura nie znajduje się jakieś gorące źródło? - spytał Shigeru.

Zgromadzeni potwierdzili; nic dziwnego, bowiem w tych górach nie brakowało gorących źródeł, a Kikori chętnie lokowali swe osiedla w ich pobliżu. Horace odetchnął z lubością. Gorące źródło oznaczało gorącą kąpiel. Mieszkańcy Nihon-Ja uwielbiali się kąpać, a Horace szybko przejął od nich ten zwyczaj. Po całym dniu w siodle, myśl, że gorąca woda przyniesie ulgę obolałym mięśniom, wydawała się aż nazbyt rozkoszna.

Dyskretna wzmianka Shigeru pomogła wieśniakom przypomnieć sobie o zasadach gościnności. Starszy mężczyzna, stojący dotąd w drugim rzędzie ludzi zgromadzonych wokół

cesarza, wystąpił teraz do przodu i pokłonił się nisko.

- Błagam o wybaczenie, panie Shigeru! W tym całym zamieszaniu i radości, zapomnieliśmy o dobrych manierach. Jestem Ayagi, przywódca starszyzny tej wioski. Proszę, każ swym dostojnikom zsiąść z koni. Moi ludzie zajmą się wierzchowcami, a dla ciebie i twych towarzyszy przygotowują gorącą kąpiel oraz strawę. Zaszczyt to dla nas, jeśli zechcecie przyjąć taką gościnę, jaką możemy wam zaoferować. Obawiam się, iż nie jest ona godna wielkiego cesarza, lecz uczynimy, co w naszej mocy!

Shigeru wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu starca.

- Przyjacielu - rzekł - w dzisiejszych czasach niełatwo określić, co godne cesarza, a co nie.

Odwrócił się i dał znak swoim senshim, by zsiadli z koni. Wieśniacy przejęli wodze ich wierzchowców. Na polecenie Ayagiego inni pobiegli, by przyrządzić wieczerzę dla niespodziewanych gości. Horace stęknął cicho, zsuwając się z siodła.

- Gorące przyjęcie, gorąca kąpiel - stwierdził. - To rozumiem.

ROZDZIAŁ 13

- Opuścić żagiel - nakazał Gundar. - Założyć wiosła, ludzie.

Odpowiedzialni za żagle marynarze opuścili długi, zakrzywiony bom, a potem położyli trzepoczący się żagiel na pokład; w tym samym czasie wyznaczeni wiosłarze pochwycili drzewca z białego dębu i umieścili je w dulkach. Nim złożono i umocowano do bomu żagiel, wiosłarze już zajęli swe stanowiska na ławach. Zakasali rękawy, splunęli w dłonie i przeciągnęli się, przygotowując mięśnie do czekającej je ciężkiej pracy.

„Wolfwill” kołysał się łagodnie na falach w odległości około stu metrów od niskiego, monotonnego wybrzeża. W zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa. Tylko brązowy nagi piasek i skały, ciągnące się jak okiem sięgnąć. Na wprost przed dziobem okrętu widniało coś na kształt ujścia niewielkiej rzeki.

- Gotowi, skirlu! - zawołał tubalnym głosem prowadzący wiosłarz. Funkcję tę pełnił Nils Liniarz, co Will skonstatował bez zaskoczenia. Nils należał do najpotężniejszych i najsilniejszych członków załogi. Nic dziwnego, że powierzono mu komendę nad wiosłarzami. Dawało to pewność, iż narzuci pozostałym mordercze tempo.

Nie zaliczał się bynajmniej do najbystrzejszych czy najdociekliwszych z ludzi Gundara, lecz Will niejednokrotnie już w ciągu minionych lat zwrócił uwagę, że te cechy, a raczej właśnie ich brak, często charakteryzują wyśmienitego wiosłarza. Kiedy nic innego nie rozprasza myśli, o ileż łatwiej skupić się bez reszty na dwóch niezbędnych w tym rzemiośle rzeczach - rytmie wiosłowania oraz kolejności: *w górę, obrót, naprzód, obrót, w dół, w tył...*

- A więc to tutaj? - odezwał się Halt, przyglądając się z zainteresowaniem niepozornej przerwie w niepozornym wybrzeżu. - To ma być ujście Kanału Assaraniańskiego?

Gundar nie odpowiedział od razu. Spojrzał jeszcze raz na słońce, potem na horyzont i znów na pergaminową mapę, którą rozłożył na małym stoliku.

- Chyba tak, jeśli wierzyć tej genoweńskiej mapie, którą kupiłem, nim wypłynęliśmy z Toscano - stwierdził. - Inaczej mówiąc, owszem, jeśli przyjmiemy założenie, że jakikolwiek Genoweńczyk potrafi wykreślić przyzwoitą mapę. Słyszałem, że lepsi z nich skrytobójcy niż kartografowie.

- Coś w tym jest - przyznał Halt. Genovesa słynęła z podejmowanych od niepamiętnych czasów dalekich wypraw morskich, lecz w bliższej przeszłości dali się we

znaki raczej pochodzący z tego miasta doskonale wyszkoleni zabójcy, znajdujący zatrudnienie na całym kontynencie najemni zbrodniarze, z którymi Will i Halt zetknęli się też całkiem niedawno na terenie Araluenu.

- Genoweńczycy nie są tacy źli - stwierdził Will - o ile zdołasz ich ustrzelić, zanim oni ustrzelą ciebie.

- Podpłynemy bliżej - zaproponował Gundar. - Wiosła! Naprzód! Na pół gwizdka, Nils!

- Tak jest, skirlu! - zagrział Nils ze swego miejsca na dziobie okrętu. - Wioślarze! Gotowi!

Szesnaście długich wiosel uniosło się jak jedno drzewce; zatoczyły łuk do przodu, gdy wioślarze pochyliłi się w stronę rufy, zapierając się stopami w umieszczone przed ich siedziskami podpórki.

- Naprzód! - wrzasnął Nils. Pióra wiosel zanurzyły się w wodę, żeglarze naparli na drzewca. Podczas kilku pierwszych cykli Nils wykrzykiwał komendy, aby nadać im rytm. Wilczy okręt natychmiast znów ożył, prując dziobem spokojne wody.

- Chcesz przepłynąć kanał na wiosłach? - spytał Halt Gundara, spojrzawszy na wełnianą nić przyczepioną do masztu. Wskazywała, że wiatr wieje lekko ukośnie w stosunku do kursu okrętu. W ciągu kilku minionych dni nauczył się, że to żadna przeszkoda, jeśli chodzi o użycie żagla. Gundar powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem, lecz potrząsnął głową.

- W tak wąskim przesmyku brakłoby nam przestrzeni do halsowania. Na otwartych wodach to nie kłopot, tutaj jednak nie dalibyśmy rady - wyjaśnił. Cały czas przyglądał się uważnie linii wybrzeża, która znacznie się do nich zbliżyła.

- Nils! - zadudnił jego głos. - Wiosła w górę! Pióra wiosel uniosły się, ociekając wodą. Wioślarze oparli się o drzewca, aby utrzymać je w górze. Przywykli do tej ciężkiej, fizycznej pracy, nawet nie oddychali szybciej niż zwykle. Okręt zwolnił, aż wreszcie zatrzymał się, kołysany łagodną falą.

Gundar przysłonił oczy od blasku, wpatrując się w ujście kanału, szerokie zaledwie na trzydzieści metrów. Zerknął na mapę oraz umieszczone na niej wskazówki, hałaśliwie wciągnął nosem morskie powietrze, po czym zmrużonymi oczyma sprawdził pozycję słońca na nieboskłonie. Will zdawał sobie sprawę, że wszystko to składa się na instynktowny system nawigacji, jakim posługują się Skandianie. Niektórzy z nich, jak choćby oberjarl Erak, osiągnęli istne mistrzostwo w tej sztuce. Gundar nie ustępował mu pod względem sprawności. Jednak najwidoczniej uznał, że na nieznanym sobie wodach warto poradzić się kogoś, kto lepiej zna tę część świata.

- Byłeś tu kiedyś, Selethenie? - spytał.

Wakir potrząsnął głową.

- Tak daleko na wschód nigdy nie zawędrowałem. Słyszałem jednak wiele o Kanale Assaraniańskim. Znajduje się w miejscu zgodnym ze wszelkimi opisami. Zwróć uwagę, że zarówno na północ, jak i na południe stąd teren staje się pagórkowaty.

Wszyscy spojrzeli wzdłuż wybrzeża. Selethen miał słuszość. Przed dziobem okrętu ciągnęło się wybrzeże niskie oraz płaskie, zaś dalej po obu stronach brązowa, sucha ziemia fałdowała się w coraz wyższe pagórki.

- Dokąd właściwie prowadzi ten kanał? - zainteresował się Will.

Evanlyn, która przestudiowała na mapach trasę ich wędrówki do Nihon-Ja, jeszcze zanim opuściła Araluen, udzieliła odpowiedzi:

- Kanał Assaraniański to kanał prowadzący przez najwęzszą część lądu. Ciągnie się czterdzieści albo i pięćdziesiąt kilometrów, a potem znajduje ujście w naturalnej drodze wodnej prowadzącej do Oceanu Wschodniego.

- Naturalnej? - podchwycił Will. - Chcesz powiedzieć, że ten kanał nie jest tworem naturalnym? - wskazał ruchem ręki niezbyt imponujące ujście widniejące przed nimi.

- Panuje przekonanie, iż zbudowali go ludzie; setki, a może nawet tysiące lat temu. Prowadzi prosto przez najniżej położony teren, zresztą właśnie dlatego tutaj go wykopano.

- No, jasne - stwierdził Will. - A kto go wykopał?

Evanlyn wzruszyła ramionami.

- Tego nikt z całą pewnością nie wie. Przyjmuje się, że Kanał Assaraniański wybudowali Assaranie. - Uprzedzając kolejne pytanie Willa, dodała: - Dawno wymarły lud, o którym wiemy nadzwyczaj mało.

- Przynajmniej tyle wiemy, że doskonale radzili sobie z kopaniem w ziemi - zauważyła Alyss.

Evanlyn poprawiła ją, choć bez złościwości:

- Czy też raczej mieli mnóstwo czasu i licznych niewolników.

Alyss przyznała jej rację:

- To nawet bardziej prawdopodobne.

Will nie odzywał się. Przyglądał się ujściu kanału. Tak niepozornie się prezentuje - pomyślał. Tymczasem ów przesmyk jest owocem morderczej pracy, jaką oznaczało wykopanie w tej surowej, suchej ziemi rowu ciągnącego się przez pięćdziesiąt kilometrów. Oszalaniające przedsięwzięcie.

Gundar chyba podjął decyzję.

- Cóż, moja mamuśka miała takie powiedzenie: „Wygląda jak kaczka, kwacze jak kaczka i człapie jak kaczka, więc to pewnie kaczka”.

- Tkwi w nim głęboka mądrość - stwierdził Halt. - Tylko co wiekopomne słowa twej matki mają wspólnego z naszą sytuacją?

Gundar wyjaśnił niespiesznie:

- Wygląda to na kanał. Znajduje się we właściwym miejscu. Gdybym ja miał kopać, tutaj właśnie bym go wykopał. A więc...

- A więc to przypuszczalnie właściwy kanał? - podpowiedział Selethen.

Gundar zaśmiał się.

- No, chyba że kaczka - stwierdził. Następnie przyłożył dłonie do ust i wrzasnął do Nilsa: - Płyniemy dalej, Nils! Z wolna, naprzód!

Wioślarz skinął głową.

- Wiosła! Gotowi!

Znów zaskrzypiały drzewca w osadach, a wioślarze zaczerpnęli tchu, przygotowując się do wysiłku.

- Naprzód!

„Wolfwill” ruszył przed siebie, z każdym uderzeniem wiosł nabierając prędkości, aż zaczął płynąć w ustalonym tempie. Gundar, mrużąc oczy w skupieniu, napierał na wiosło sterowe, zważając, by dziób okrętu nieustannie mierzył w środek kanału.

Zapadło milczenie. Jedyńm odgłosem pozostawało skrzypienie drewnianych wiosł w dulkach, gdy jednocześnie unosiły się i opadały, wędrowały w przód i do tyłu. Czasem któryś z wioślarzy stęknął wysiłku. Gigantyczne przedsięwzięcie, jakiego dokonał ongiś lud, o którym pamięć niemal zaginęła, wzbudził niemy podziw podróżnych spoglądających zza burty gładko sunącego okrętu w dal, na ciągnący się wprost przed nimi kanał.

Niewątpliwie stworzyli go ludzie - uznała Alyss. Zwykła rzeka nie płynie tak równym korytem. W miarę, jak oddalali się od wód oceanu, otoczyła ich jednostajna, brązowa pustynia, ciągnąca się po obu stronach; świeży morski powiew nie docierał tak daleko w głąb lądu. Po jakimś czasie kanał stał się szerszy, odległość między jego brzegami powiększyła się do niemal stu metrów. Działająca przez stulecia erozja osłabiła brzegi, które zapadły się, tworząc przy tym ciągnące się przez dobre dwadzieścia metrów plaże o niebezpiecznym, zdradliwym wyglądzie.

Selethen spostrzegł, że Alyss przygląda się uważnie terenowi.

- Kto wyjdzie na ten brzeg, może pożegnać się z życiem - stwierdził poważnym tonem.
- Założę się, że to ruchome piaski.

Alyss skinęła głową. Odniosła dokładnie takie samo wrażenie.

Żar lał się z góry, owijał się wokół nich niczym ciężki koc. Powietrze stało się gęste.

Gundar rzekł coś cicho do dwóch ze swych marynarzy. Wybiegli na dziób i zanurzyli wiadra, aby nabrać wody. Potem przeszli wzdłuż rzędów wiosłarzy, polewając z nich ciężko pracujących towarzyszy. Kilku z nich nawet zdobyło się na mrukliwe słowa podziękowania.

Skandianie, jako doświadczeni podróżnicy, zadbali o to, by okryć się szatami lekkimi, lecz wyposażonymi w długie rękawy; płachty takiego samego lnu zawiązali na głowach, aby chronić się przed słoneczną spiekotą. Will nieraz widywał na chłodnych wodach Północy nagie torsy tych urodzonych żeglarzy, jakby obojętnych na ziąb. Jednak jako rasa o jasnej skórze musieli z odpowiednim szacunkiem odnosić się do palącej mocy słońca, nauczyli się tego przez wiele lat łupieżczych wypraw odbywanych do krajów położonych na brzegach Morza Spokojnego.

Ich koszule przemokły od morskiej wody, lecz Will zauważył, że wyschły w ciągu kilku minut. Z własnego doświadczenia wiedział, jakich spustoszeń potrafi dokonać słoneczny żar; jeszcze teraz wzdrygnął się na wspomnienie tego, co wydarzyło się ongiś na arydziejskiej pustyni.

Wkrótce kilku innych członków załogi rozpięło płótna, w których cieniu mogli skryć się ci, którzy nie zajmowali się wiosłowaniem. I rzeczywiście, przynosiło to wyraźną ulgę. Jednak powietrze wciąż pozostawało duszne, ciężkie. Will spojrzął za rufę. Teraz nie dostrzegał już błękitnego połysku morza za nimi. Widział tylko brązowe brzegi, brązowe piaski pustyni i brązowe wody kanału.

- Jak długo to potrwa? - spytał Gundara. Sam nie wiedział, dlaczego, lecz przemawiał półgłosem, jakby wzdragając się przed czynieniem zbędnego hałasu.

Gundar zastanowił się chwilę. Kiedy odpowiedział, jego głos zabrzmiał dziwnie cicho, jakby on także uznał za stosowne go nie podnosić wobec panujących wokół ciszy i bezruchu.

- Pięć, może sześć godzin - odparł, a po krótkiej chwili dodał: - Albo i więcej. W takim upale ludzie szybciej się męczą. Skoro o tym mowa, czas zmienić wiosłarzy.

Wydał rozkazy, druga zmiana zajęła miejsca przy drzewcach. Zmieniali się parami, poczawszy od rufy, a to dlatego, aby okręt nie zwolnił biegu. Za każdym razem, gdy dwaj wiosłarze oddawali drzewca swym zastępcom, czym prędzej udawali się w cień płóciennej markizy. Widać było, że są zmęczeni, lecz z pewnością nie do granic wytrzymałości. W przeszłości Will poznał już niejedną skandyjską załogę. Ci żeglarze potrafili usnąć niemal natychmiast, niemal wszędzie i w każdej pozycji. Za godzinę będą wypoczęci i gotowi zastąpić swych kompanów przy wiosłach.

- Kiedy się ściemni, możemy nawet zarzucić kotwicę - stwierdził Gundar. - Księżyc wszędzie dopiero grubo po północy, może to i dobra myśl, żeby odpocząć w chłodzie.

Will domyślał się, co ich szyper ma na myśli. Kanał wiódł prosto, jednak nie posiadając żadnych punktów odniesienia, trudno w ciemności odróżnić ciemną wodę od niskich i zapewne grząskich brzegów. Nietrudno zboczyć z kierunku i wpaść na mieliznę.

- Nie wiem, czy to aż tak dobry pomysł - rzekł cicho Halt. - Mamy towarzystwo.

ROZDZIAŁ 14

Ayagi oraz jego ludzie ze zgrozą przyjęli wieść o buncie Arisaki przeciwko cesarzowi. Prosty lud Nihon-Ja uważał cesarza za wybrańca bogów, którzy osadzili go na tronie i udzielili pomazańcowi swego błogosławieństwa. Bunt przeciwko takiemu władcy równał się niewiarygodnemu świętokradztwu.

- Jesteśmy twym ludem, panie Shigeru - oznajmił siwowłosy przywódca wioskowej starszyny. - Wystarczy, że powiesz nam, co mamy robić, a staniemy u twego boku, by walczyć z Arisaką.

Słowom tym towarzyszył potakujący szmer i pomruk głosów pozostałych mieszkańców wioski. Horace zauważył, że prym pośród nich wiódł Eiko, potężnie zbudowany drwal, któremu Shigeru jako pierwszemu uściśnął dłoń. Ayagi co prawda przewodniczył wioskowej starszyźnie, lecz to najwyraźniej Eiko cieszył się największym poważaniem pośród młodszych Kikorich.

- Dziękuję wam, przyjaciele - odpowiedział Shigeru. - Jednak w tej chwili jedyne, czego pragnę, to uniknąć dalszego rozlewu krwi. Trzeba nam tylko przewodnika, który zaprowadzi nas do wioski... - urwał i spojrzał w stronę Shukina, by ten podpowiedział mu nazwę miejsca, które ustalił jako punkt spotkania z Reito oraz niedobitkami armii.

- Kawagishi - podpowiedział Shukin. - Osada Nadbrzeżna.

Ayagi natychmiast skinął głową.

- Znamy tę wioskę - rzekł. - Mój siostrzeniec, Mikeru, poprowadzi was tam z samego rana.

Shigeru skłonił się w siedzącej pozycji.

- Dziękuję, Ayagi. A teraz nie rozmawiajmy już o tych przykrych sprawach i Arisace. Cieszymy się razem tym wieczorem. Czy ktoś z was zechce zaśpiewać nam piosenkę, żebyśmy się rozerwali?

* * *

Gorąca kąpiel, gorący posiłek, suche odzienie i ciepłe, suche łóżko; oto czego było trzeba zmęczonemu Horace'owi.

Wkrótce po świcie cesarz i jego świta zbudzili się, zjedli śniadanie i przygotowali się do dalszej drogi. W nocy przestał padać deszcz, niebo rozjaśniło się olśniewającym błękitem.

W chłodnym powietrzu z ust Horace'a dobywała się para. Jedna z wioskowych kobiet zajęła się przez noc jego przemoczonym strojem, wyprała ubranie i osuszyła je przy ogniu. Inne niewiasty zajęły się w ten sam sposób odzieniem pozostałych towarzyszy cesarza. Dzięki temu cesarskiej świcie zapewniono przynajmniej ten luksus, że jej uczestnicy mogli ubrać się w czyste odzienie, jeszcze ciepłe od ognia.

Potem zaś nastąpiła zwykła krzątania, jak zazwyczaj przed wyruszeniem w drogę. Jeźdźcy sprawdzali popręgi, broń, dopinali pasy, poprawiali pancerze. Zgodnie ze swym zwyczajem, Horace, jeszcze zanim wsunął się pod podgrzane na noc okrycia rozesłane na macie w zajmowanym pokoju, oczyścił oraz naostrzył swój miecz. Domyślał się, że inni senshi uczynili to samo.

Kiedy wszyscy dosiedli już wierzchowców, Shukin pozostał w tyle. Sięgnął do kiesy u pasa, z której dobył garść złotych monet ozdobionych cesarskim znakiem.

Ayagi dostrzegł zamiar cesarskiego namiestnika i cofnął się, wyciągając przed siebie ręce w geście protestu.

- Nie! Nie, panie! Nie chcemy zapłaty. Cieszymy się, że jego wysokość zechciał być naszym gościem!

Shukin uśmiechnął się. Oczekiwał takiej reakcji, wiedział jednak, że los górali nie jest łatwy, a Kikori nie żyją w dostatku. Miał więc już gotową odpowiedź:

- Owszem, ugościliście cesarza - powiedział. - Nikt jednak od was nie wymaga, byście karmili kilkunastu głodnych senshich ani rosłego *gaijina*, który przerasta apetytem czarnego niedźwiedzia!

Wskazał gestem dłoni Horace'a, uśmiechając się zarazem do niego, aby młody rycerz wiedział, że władca żartuje. Horace potrząsnął głową. Nie mógł zaprzeczyć, iż zjadł więcej niż którykolwiek z towarzyszy cesarza. Tutejsze porcje zdawały mu się maleńkie, zwłaszcza że przecież nawet w Araluenie słynął ze swego wilczego apetytu.

Miejscowi zaśmiali się. Horace w ciągu minionego wieczoru zyskał sobie wśród nich niemałą sympatię. Zachowywał się wielce uprzejmie oraz skromnie, próbował też śpiewać ich piosenki, choć przejawiał przy tym więcej entuzjazmu niż muzykalności.

Nawet Ayagi się uśmiechnął. Wzdragał się przed przyjęciem zapłaty, lecz z drugiej strony zdawał sobie sprawę, iż jeśli tego nie uczyni, jego ludziom grozi niedostatek. Złoto cesarza pozwoli im zaopatrzyć się w dodatkowe zapasy żywności na targu, jaki odbywał się co miesiąc w jednej z większych wiosek.

- Cóż, w takim razie... - rzekł, poddając się wobec argumentów Shukina - ze względu na szacunek wobec *Kurokumy*...

Przyjął monety, a Horace zyskał tym samym przydomek, pod którym stał się znany w Nihon-Ja. *Kurokuma*, czyli Czarny Niedźwiedź. Jednak akurat w tamtej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy. Zajął się właśnie źle dopiętym paskiem mocującym zwinięty koc za jego siodłem, toteż umknęły mu słowa Ayagięgo.

Shukin pokłonił się, Ayagi odwzajemnił ten gest. Potem odwrócił się i skłonił przed cesarzem, a wraz z nim wszyscy mieszkańcy wioski.

- Dziękuję ci, Ayagi-san - rzekł Shigeru, a uniósłszy dłoń, dodał: - I dziękuję wam wszystkim, Kikori.

Mieszkańcy wioski pozostali zgięci w pokłonie, aż niewielka cesarska świta znikła pośród drzew.

Mikeru, siostrzeniec Ayagięgo, był smukłym, szesnastoletnim młodzieńcem o miłej twarzy i szczupłej budowie ciała. Dosiadał małego, kudłatego konika; Kikori używali takich zwierząt jako jucznych do transportu drewna. Rzecz jasna, znał okolicę doskonale, toteż poprowadził ich znacznie krótszą drogą niż trakt uwidoczniiony na mapie Shukina. Minęła niespełna godzina, gdy znaleźli się u brodu, do którego zamierzali dotrzeć poprzedniego wieczoru. Przebyli go gęsiego. Wierzchowce stąpały ostrożnie po śliskich kamieniach zalegających dno. Woda sięgała koniom do brzuchów, była lodowata i przemoczyła buty oraz nogawice Horace'a.

- Dobrze, że przynajmniej nie pada - mruknął pod nosem, gdy wjeżdżał już na przeciwległy brzeg. Jego wierzchowiec otrząsnął się z wody; on sam niestety nie potrafił tego uczynić.

- Co powiadasz, *Kurokumo*? - spytał jeden z towarzyszących mu jeźdźców. Inni roześmiali się, słysząc ten przydomek.

- Nic takiego - Horace machnął ręką, po czym spojrzał po nich podejrzliwie. - O co chodzi z tym *Kurokumą*?

Senshi z kamienną twarzą spojrzał mu prosto w oczy.

- To określenie pełne uszanowania - oznajmił. Kilku innych znajdujących się w pobliżu potwierdziło skinieniami głów. Oni także zachowali całkowitą powagę - jak przystało na Nihonczyków.

- Wielkiego uszanowania - zawtórował przedmówcy jeden z nich.

Horace spoglądał na nich uważnie, ale żaden nawet się nie uśmiechnął. Rzecz jasna, wiedział, iż kiedy ma się do czynienia z mieszkańcami Nihon-Ja, o niczym to nie świadczy. Wyczuł, że chodzi tu o żart, ale w żaden sposób nie potrafił dojść, na czym on polega. Najlepiej więc udać, że nic się nie stało - pomyślał.

- Zapewne, powinienem był się domyślić - stwierdził i ruszył dalej.

Wkrótce po tym, jak przebyli bród, Mikeru poprowadził ich na przełaj polaną ciągnącą się wzdłuż drogi do skraju urwiska opadającego aż na samo dno doliny. Znaleźli się w punkcie, z którego Shukin zamierzał zaobserwować poczynania wroga. Zsiadł z konia, Shigeru i Horace poszli jego śladem. Zbliżył się do krawędzi. Horace wstrzymał oddech. Skraj urwiska wyglądał jak ucięty nożem. Skalna ściana opadała pionowo, jak zdawało się Horace'owi, całe tysiące metrów, nim sięgała dna doliny. Widzieli stamtąd góry, na które się wspinali, oraz rozpościerające się dalej równiny.

Horace, który nigdy nie przepadał za uczuciem towarzyszącym mu, kiedy znalazł się w wysoko położonym miejscu, trzymał się w pewnej odległości od krawędzi urwiska. Shukinowi oraz Shigeru obce były podobne lęki. Stali w odległości mniejszej niż metr od straszliwej przepaści, spoglądając w dół i mrużąc oczy od blasku porannego słońca. Nagle Shukin wyciągnął przed siebie rękę.

- Tam - rzekł krótko.

Shigeru spojrział we wskazanym kierunku i skrzywił się nieznacznie. Horace, który nadal znajdował się parę metrów za nimi, próbował wyciągnąć szyję, by ujrzeć, co dostrzegli, jednak krawędź urwiska przysłaniała mu widok. Shukin spojrział w jego stronę, zauważył to i skinął dłonią.

- Podejź bliżej, Ors-san. Nic ci nie grozi. Shigeru uśmiechnął się do kuzyna.

- A dlaczego nie *Kurokuma*?

Shukin odpowiedział mu takim samym uśmiechem.

- Oczywiście. Podejź bliżej, *Kurokumo*. Nic ci nie grozi.

Horace ostrożnie przysunął się do krawędzi, odruchowo odchylając się do tyłu. Gorzkie doświadczenia z przeszłości nauczyły go, że choć nadzwyczaj źle znosi wysokość, jakaś niezrozumiała siła ciągnie go ku przepaści, której tak się lęka.

- Akurat, nic nie grozi - mruknął do siebie. - Ale dlaczego wciąż mówicie na mnie *Kurokuma*?

- To określenie pełne uszanowania - wyjaśnił go Shigeru.

- Wielkiego uszanowania - zawtórował Shukin.

Horace spoglądał to na jednego, to na drugiego. Na obu twarzach nie malował się nawet cień uśmiechu.

- Aha. To świetnie - stwierdził, przysuwając się nadal ku krawędzi drobnymi kroczkami. Potem zaś spojrział we wskazanym przez Shukina kierunku i zapomniał o lęku wysokości oraz określeniach wyrażających wielkie uszanowanie.

Po drugiej stronie doliny, na trakcie wijącym się pod górę przeciwnym zboczem, dostrzegł długą kolumnę zbrojnych. Ich broje i oręż połyskiwały w promieniach słońca.

- Arisaka - stwierdził Shukin. Skierował wzrok od kolumny drobnych postaci ku grzbietowi górskiemu, na który się wspinali, potem na kolejne dzielące ich krawędzie. - Zawędrował dalej, niż się spodziewałem.

- Na pewno? - spytał Horace. - Może to Reito i ci, którzy ocaleli z królewskiej armii.

Jednak Shigeru potrząsnął głową.

- Jest ich zbyt wielu - odparł. - A poza tym, Reito-san powinien być już bliżej nas.

- Jak sądzisz, o ile ich wyprzedzamy? - spytał Horace. Wprawdzie jechał przez te okolice, jednak nie miał pojęcia, jaki dystans w tych warunkach może pokonywać większy oddział. Poza tym tak naprawdę nie wiedział, jaka odległość dzieli armię Arisaki od świątyni cesarza.

- Są jakieś cztery dni w tyle za nami - brzmiała ocena Shigeru, lecz Shukin nie zgodził się z nią:

- Raczej trzy - stwierdził. - Musimy przyspieszyć marszu, jeśli mamy dotrzeć do Ran-koshi, zanim nas dogonią.

- To znaczy, o ile uda nam się znaleźć Ran-koshi - uzupełnił Horace. - Jak dotąd chyba nikt nie wie, gdzie ta forteca się znajduje.

Shukin popatrzył spokojnie na rycerza.

- Znajdziemy ją - zapewnił stanowczym tonem. - Musimy ją znaleźć, bo w przeciwnym razie nie mamy żadnych szans na przetrwanie.

- Ayagi-san twierdził, że mieszkańcy wioski na brzegu rzeki będą wiedzieli. Zwłaszcza ci starsi.

- Cóż, dopóki tu stoimy i gawędzimy sobie, w żaden sposób nie zbliżamy się do tamtego miejsca - zauważył Horace.

Shukin przyznał mu rację:

- Dobrze powiedziane, *Kurokumo*.

Horace zerknął z ukosa na dowódcę senshich.

- Hm, brzmi lepiej niż Ors-san - stwierdził - chociaż nie jestem całkiem pewien.

- To określenie wyraża wielkie uszanowanie - zapewnił go Shukin.

- Nadzwyczaj wielkie uszanowanie - potwierdził Shigeru.

Horace spoglądał to na jednego, to na drugiego ze swych rozmówców.

- W takim razie nie jestem pewien, czy na nie zasłużyłem.

Shigeru zaśmiał się i klepnął go po ramieniu.

- Wracajmy do naszych wierzchowców. Sam powiedziałeś, że stojąc tu i gadając, w żaden sposób nie zbliżamy się do Osady Nadbrzeżnej.

* * *

Do wioski dotarli po dwóch godzinach. Kiedy wjechali między domostwa, ujrzeli znajomą sylwetkę senshiego, który wyszedł im na spotkanie. Horace rozpoznał Reito, dostojnika, który przywiózł złowróżbne wieści o buncie Arisaki. Rozejrzał się po osadzie i spostrzegł innych senshich, żołnierzy ocalałych ze stacjonującej w Ito armii Shigeru. Wielu z nich odniosło rany, które opatrzone bandażami, niekiedy przesiąkłymi krwią. Niektórzy snuli się po wiosce, kilku z nich utykało. Co gorsza, nazbyt liczni leżeli na naprędce sporządzonych noszach. Usłyszał ciężkie westchnienie Shukina.

- Odtąd będziemy poruszać się znacznie wolniej - stwierdził dowódca.

ROZDZIAŁ 15

Wzdłuż północnego brzegu Kanału Assaraniańskiego podążał samotny jeździec, który poruszał się z tą samą prędkością, co ich okręt, równoległe do niego. Odziany był w długą, powiewną białą szatę, jego głowę zakrywał turban tej samej barwy, a długi welon chronił kark przed słońcem. Było to nakrycie głowy podobne do *kheffiyeh* noszonej przez Selethena. Przynajmniej tak się Willowi wydawało.

- A ten skąd się wziął? - zdziwił się Gundar, mrużąc oczy, by lepiej się przyjrzeć nowo przybyłemu.

- Pewnie tuż za tym nasypem znajduje się *wadi* - stwierdził Selethen. Gundar popatrzył na niego, nie rozumiejąc, toteż Aryda wyjaśnił: - Płytkie zagłębienie, parów.

- W pierwszym etapie podróży kanałem mogli oglądać całkiem rozległą połąć pustyni po obu jego stronach. Jednak w miejscu, gdzie teraz się znaleźli, brzeg stał się nieco wyższy, wznosił się kilka metrów nad poziom wody. Dostrzegali więc tylko piętrzące się nad nimi nasypy.

- Ach... No, tak. Rozumiem - Gundar umilkł. - Jak myślicie, co on knuje?

- Zapewne nic dobrego dla nas - stwierdził Selethen. - O, zobaczcie. Nie jest sam.

Pojawiło się jeszcze trzech jeźdźców, którzy jakby wyrosli nagle spod ziemi, dołączyli do pierwszego jeźdźcy. Żaden z nich nie wykazywał najmniejszego zainteresowania okrętem, który nadal sunął po wodach kanału w odległości sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu metrów od nich. Selethen miał rację co do ruchomych piasków - stwierdziła Alyss. Jeźdźcy trzymali się z dala od osypującego się, ciemniejszego w kolorze gruntu przy brzegu kanału.

Halt przyglądał się im przez chwilę. Dostrzegł krótkie, kawaleryjskie łuki przewieszane przez plecy jeźdźców. Takiej broni używali ludzie Selethena. Broni skutecznej na bliski dystans, lecz o zasięgu nie większym niż pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów. Zawsze jednak warto mieć się na baczności.

- Willu - rzekł cicho - zechciałbyś przynieść nasze łuki?

Will zerknął na Halta, po czym skinął głową. Ich oręż spoczywał w niskiej, zamkniętej nadbudówce na pokładzie rufowym, w której sypiali. Pobiegł po łuki oraz kołczany ze strzałami.

- Spodziewasz się kłopotów, Halt? - spytała Evanlyn.

Zwiadowca wzruszył ramionami.

- Czegóż innego mam się spodziewać? - odburknął. - Myślisz, że ci czterej jadą obok nas tak sobie, dla rozrywki?

- Teraz jest ich siedmiu - skorygowała Evanlyn.

Halt spojrział znów; rzeczywiście, liczba jeźdźców zwiększyła się. Spostrzegł jednocześnie, że w dłoni Evanlyn pojawiła się proca, która kołysała się w obie strony niczym wahadło. Najwyraźniej została już przez właścicielkę obciążona stosownym pociskiem. Uśmiechnął się do księżniczki.

- Trochę za daleko, jak na możliwości twojego miotacza kamieni - stwierdził.

- Może tak, może nie. A zresztą - wskazała ręką w kierunku dzioba okrętu - kanał zaczyna się zwężać.

Gdy pozostali popatrzyli w tę stronę, mogli stwierdzić, że Evanlyn ma rację. Od strony północnego brzegu kanału pojawiły się piaszczyste nasypy przypominające wydmy, które częściowo zagradzały im drogę.

Halt podrapał się po brodzie.

- Hm, nie wiem. Nie sądzę, by zdołali się do nas zbliżyć, nawet pomimo zwężenia. Piasek wygląda na dość grząski.

Tymczasem powrócił Will. Podał Haltowi jego łuk i kołczan. Własny zapas strzał już wcześniej zdążył przewiesić przez ramię, oba łuki zostały uprzednio naciągnięte. Halt skinął w podziękowaniu głową, spróbował palcem cięciwę.

- Może jednak warto popłynąć bliżej południowego brzegu? - zasugerował Selethen. Druga strona w rzeczy samej wolna była od piaszczystych nasypów, brzeg opadał stromo z wysokości kilku metrów do samej wody.

- Kusząca propozycja - stwierdził Halt. - Może nawet aż za bardzo kusząca.

- Słusznie, zwiadowco - wtrącił Gundar. Jego oczy żeglarza, nawykłe do wypatrywania ukrytych raf i innych przeszkód, dostrzegły podejrzaną zmarszczkę na powierzchni wody u południowego brzegu kanału. - Według mnie, kryje się tam tuż pod wodą coś nieprzyjemnego.

- Piaszczyste mielizny? - spytał Selethen.

Gundar był innego zdania:

- Raczej zaostrzone pale, kłody albo grube liny umieszczone z myślą o tym, żeby nas zatrzymać.

- Po czym gromada dziarskich zuchów, kryjących się po tamtej stronie, zechce zapewne złożyć nam wizytę - dokończył Halt. Od dłuższej chwili nie odrywał spojrzenia od

południowego brzegu, bowiem także jego podejrzliwość wzbudził fakt, że jeźdźcy pojawili się na brzegu północnym, podczas gdy południowa część kanału sprawiała wrażenie bezpieczniejszej. Właśnie przed kilkoma sekundami dostrzegł błysk światła, jakby słońce odbiło się przez krótką chwilę od lśniącej metalowej powierzchni - pancerza lub klingi miecza. Gotów był się założyć, że czyha tam co najmniej kilkudziesięciu zbrojnych wojowników, gotowych rzucić się do ataku, kiedy okręt ugrzęźnie, zatrzymany wypatrzonymi przez Gundara podwodnymi przeszkodami.

Opowiedział o swych obserwacjach towarzyszom, teraz wszyscy przyglądali się uważnie południowej stronie kanału. Po kilku sekundach także Will wyszedł jakiś ruch.

- Owszem. Na pewno ktoś tam jest - stwierdził.

- W całkiem sporej liczbie, jak sądzę - dodał Selethen. - W powietrzu wznosi się obłoczek kurzu, który powstał, gdy zajmowali pozycje. Nie zdążył jeszcze opaść, a nie ma wiatru, który by rozproszył kurz.

- Pewnie liczą, iż cała nasza uwaga pozostanie skupiona na jeźdźcach - skonstatowała Alyss.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, konni wysforowali się do przodu, wyprzedzając okręt. Następnie zatrzymali się i sięgnęli po łuki, po czym założyli strzały na cięciwy.

Halt rzucił Gundarowi ostrzegawcze spojrzenie, ale skirl już wcześniej dostrzegł, co się dzieje.

- Tarcze na burtę! - wrzasnął, a w następnej chwili druga zmiana wiosłarzy umieściła w specjalnych zagłębieniach drewnianego nadburcia wielkie skandyjskie tarcze, by zapewnić ochronę wiosłującym. Podczas wielu lat najazdów i napaści oraz nieustannych walk Skandianie nieraz znajdowali się pod ostrzałem, toteż doskonale wiedzieli, jak chronić się przed zagrożeniem z lądu.

- Wątpię, by ich strzały nas dosięgły - rzekł Halt. - Jednak ostrożność nigdy nie zawadzi.

Uszu żeglarzy doszedł charakterystyczny odgłos pocisków wypuszczanych z łuków i świst przecinanego powietrza, gdy pociski zmierzały parabolicznym torem ku okrętowi. Jak przewidział Halt, odległość okazała się zbyt wielka dla krótkich łuków. Sześć strzał spadło do wody, siódmy grot zaledwie trafił w kadłub metr nad linią zanurzenia, lecz brakło mu już impetu; nawet się nie wbił, tylko odpadł i utonął z cichym pluśnięciem.

- Za daleko - stwierdził Will. - Miałeś rację.

- Nie jestem pewien, czy rzeczywiście chcieli nas trafić, czy tylko zwrócić naszą uwagę - stwierdził Halt. - Ale tak czy inaczej, chyba powinniśmy ich przekonać, że to zły

pomysł, żeby tak się kręcić w pobliżu nas.

Nałożył strzałę na cięciwę, Will uczynił to samo. Jeźdźcy tymczasem oddali kolejną salwę, która również nie dosięgła „Wolfwill”.

- Zdejmij tego w tyle, w fioletowym turbanie. Ja zajmę się jeźdźcem obok - polecił cicho Halt. Will skinął głową. - Teraz - zakomenderował Halt. Unieśli łuki, napięli i wypuścili strzały niemal jednym, płynnym ruchem.

Oba pociski, jeden czarny, a drugi szary, wystrzeliły w górę, prując gorące powietrze, by wkrótce skierować się w dół.

Wybrani przez Halta jeźdźcy mieli właśnie po raz kolejny wystrzelić, gdy ze złowrogim gwizdem spadły na nich z nieba dwie ciężkie, długie strzały. Ten, do którego mierzył Halt, krzyknął z bólu, upuścił łuk i chwycił się za górną część ramienia, w którym nagle utkwiała strzała. Mężczyzna w fioletowym turbanie nie wydał żadnego dźwięku. Spadł z siodła i runął w piach z głuchym łoskotem.

Rozległy się okrzyki przerażenia, ich pięciu kompanów rozproszyło się w panice. Sytuacja stała się aż nazbyt jasna. Oni sami nie byli w stanie dosięgnąć swymi strzałami celu, natomiast oba pociski wystrzelone w odpowiedzi trafiły jeźdźców pozostających w największej odległości, a to znaczyło, że wszyscy znaleźli się w zasięgu śmiertelnej broni. Nagle poczuli się bardzo, ale to bardzo niepewnie. Zawrócili wierzchowce od brzegu i odjechali, by skryć się bezpiecznie za piaszczystym nasypem. Koń pozbawiony jeźdźca podążył w ślad za nimi.

Pozostał tylko mężczyzna w fioletowym turbanie, który spoczywał bez ruchu na brązowym piasku.

Kilka sekund później zgromadzeni na południowym brzegu zbrojni zdali sobie chyba sprawę, że ich zasadzka nie zda się na nic. Pojawili się wówczas nad krawędzią urwiska, potrząsając bronią i obrzucając obelgami oraz przekleństwami przepływający obok nich okręt. Banda liczyła ponad czterdziestu ludzi, obdartych i uzbrojonych w najrozmaitszego rodzaju miecze, włócznie i sztylety; nieliczni dzierżyli również krótkie łuki. Posłali kilka bezładnych salw, które nie uczyniły okrętowi najmniejszej szkody. Will spojrzał pytająco na Halta, następnie skierował wzrok na swój łuk, lecz brodaty zwiadowca potrząsnął głową.

- Zostaw ich - polecił Halt. - Nic nie mogą nam uczynić, a teraz już wiedzą, że bezpieczniej dla nich, jeśli dadzą nam spokój. - Zwrócił się do Gundara: - Tak czy inaczej, nie sądzę, byśmy chcieli zatrzymywać się tu na wypoczynek; ani pośrodku kanału, ani tym bardziej przy brzegu.

* * *

Słońce zachodziło za rufą okrętu, mikroskopijne ziarenka piasku unoszące się w powietrzu nadały ognistej tarczy wygląd wielkiej, krwistoczerwonej kuli zwisającej w pustynnym powietrzu. Wtedy właśnie wypłynęli z Kanału Assaraniańskiego na Morze Krwawe - wąską zatokę prowadzącą ku szerszym wodom Oceanu Wschodniego.

- Pewnie właśnie stąd ta nazwa - zauważył Will, wskazując kciukiem powierzchnię wody za nimi.

Intensywny blask zachodzącego słońca odbijał się w powierzchni wody, która zabarwiła się, wyglądając teraz jak morze krwi.

Kiedy odpłynęli kilkaset metrów od brzegu, zerwała się łagodna bryza, ciepły wietrzyk, niosący jednak prawdziwą ulgę po otepiającym skwarze dręczącym ich podczas wędrówki kanałem.

- Postawić żagiel - rozkazał Gundar.

Wobec braku ryczących wichrów i szalejących fal oceanu, mógł wydawać polecenia znacznie cichszym głosem, nie zdzierając gardła, jak do tego przywykł. Marynarze szybko i sprawnie rozwinęli żagiel na bakburcie, po czym wywindowali na maszt smukły bom. Wiatr wypełnił płótno, które wybrzusiło się, a szyper wydał następny rozkaz:

- Wciągnąć wiosła!

Pióra uniosły się, ociekając wodą. Przez kilka chwil rozlegał się głośny stukot, gdy wiosłarze wciągali drzewca na pokład i układali w specjalnych zagłębieniach. Tymczasem majtkowie odpowiedzialni za żagiel zdążyli wydźwignąć go na całą wysokość. Z początku trzepotał jeszcze na wietrze, teraz jednak utworzył wypukłą, gładką powierzchnię, a pasażerowie poczuli, że wiatr zaczyna nieść okręt na swych skrzydłach. „Wolfwill” skierował się nieco na prawo, lecz w następnej chwili Gundar napał na rumpel sterowego wiosła, kierując kadłub pod właściwym kątem do wiatru.

- Poluzować żagiel - zawołał. Wyczuwał, że płachta, nazbyt napięta, sprawiała, iż okręt nadmiernie schodzi z kursu, przez co tracił na prędkości. „Wolfwill” ustabilizował się, wyprostował, po czym zaczął pruć leniwe fale niczym szybująca w powietrzu mewa.

Gundar zerknął na swych pasażerów, nie mogąc powstrzymać radosnego uśmiechu.

- Nigdy mi się to nie znudzi! - zawołał, a ich twarze także się rozjaśniły. Radosny pęd rozweselał, szczególnie po długich godzinach przytłaczającego upału i napięcia, gdy przekraczali Kanał Assaraniański.

- Czego więc możemy się spodziewać na Morzu Krwawym, Gundarze? - spytał Will, zwracając się do zwałistego Skandianina.

Gundar przytrzymał ster biodrem i rozłożył genoweńską locję na małym blacie. Przez

kilka minut studiował starannie wykaligrafowane notatki, po czym podniósł wzrok na Willa.

- O tej porze roku możemy liczyć na stałe wiatry - rzekł. - Co prawda za miesiąc lub dwa należy się spodziewać dłuższych okresów ciszy na morzu.

Will już wcześniej zauważył, że marynarze nawet w najbardziej sprzyjającej sytuacji nie omieszkają wspomnieć o czyhających niebezpieczeństwach, choćby miały się pojawić dopiero za dwa miesiące.

- Poza tym - ciągnął Gundar - napisano tu, żeby w miarę możliwości unikać innych pływających jednostek. Ponoć tutejsze wody aż roją się od piratów.

- Piratów? - spytał Halt.

Gundar skinął głową, stukając jednocześnie palcem w mapę.

- Tak tutaj napisali. Piratów.

Halt dla odmiany uniósł akurat obie brwi naraz.

- Ach, piratów - powtórzył. - Jak miło.

ROZDZIAŁ 16

- Tak. Znam drogę do Ran-koshi - zapewnił ich drwal.

Shukin i Shigeru spojrzeli szybko po sobie. Już ogarniały ich obawy, że legendarna forteca Ran-koshi istnieje tylko w ludowych podaniach. A teraz nagle wszystko wskazywało, że znaleźli przewodnika, który ich do niej doprowadzi.

- Byłeś tam? - upewnił się Shukin. Co innego wiedzieć, gdzie się jakieś miejsce znajduje, a całkiem co innego znać je z własnej bytności.

- Stamtąd czerpiemy zapasy wonnego drewna - wyjaśnił mieszkaniec wioski.

Shigeru zmarszczył brwi, nie mogąc domyślić się, jakiego rodzaju drzewo jego rozmówca ma na myśli.

Widząc to, Shukin wyjaśnił półgłosem:

- Drzewo kamforowe.

Toru, miejscowy drwal, przytaknął:

- Owszem. Słyszałem, że i tak się zowie - ponieważ dostrzegł na twarzach obu senshich ulgę, dodał ostrzeżenie: - Niełatwo tam dotrzeć. Trzeba będzie wyruszyć pieszo i to od razu stąd. Konie nie zdołają przejść górskimi ścieżkami.

- W takim razie pójdziemy pieszo - odparł Shigeru z uśmiechem. - Jestem co prawda cesarzem, ale nie z porcelany. Mam za sobą niejedną znojną wędrówkę.

- Zapewne, panie. Ty owszem, lecz co z nimi? - spytał Toru, pokazując kolistym ruchem dłoni otwartą wspólną przestrzeń, wokół której zgromadziły się domostwa Kawagishi. Siedzieli we trzech na niskich stołkach z gładzonego drewna i spoglądali z werandy domu należącego do przywódcy tutejszej starszyny. Kiedy Jito, bowiem tak się nazywał ich gospodarz, dowiedział się, iż dostojni senshi poszukują prastarej fortecy Ran-koshi, przywołał Toru, aby ten rozmówił się z cesarzem.

Spoglądając za ruchem ręki Toru, Shukin oraz Shigeru ujrzeli rannych zalegających plac. Co najmniej jedna trzecia senshich, którzy zdołali umknąć przed armią Arisaki, odniosła rany - niekiedy bardzo ciężkie. Wielu trzeba nieść na noszach lub lektykach, niejeden z tych, którzy zdołali jeszcze iść samodzielnie, ledwo powłóczył nogami z powodu odniesionych obrażeń.

- Nasza wioskowa starszyna z pewnością zgodziłaby się nimi zaopiekować,

gdybyście ich o to poprosili - dodał Toru. - Jednak dla mieszkańców tej wioski stanowiliby wielki ciężar.

Shukin uczynił przeproszający gest dłonią, po czym dotknął sakiewki zawieszanej u pasa.

- Rzecz jasna, zapłacilibyśmy... - zaczął, lecz Toru potrząsnął głową.

- Zima prawie już nadeszła. Wieśniacy zgromadzili zaledwie tyle jada, by przetrwać zimne miesiące. Pieniędźmi się nie najedzą, a na pobliskich targowiskach nie wystarczy żywności i dla tak wielu dodatkowych gąb do wyżywienia.

Rzeczywiście, w poprzedniej wiosce sprawy przedstawiały się zgoła inaczej - stwierdził w myślach przygnębiony Shukin. Jej mieszkańcy zapewnili nocleg i wyżywienie zaledwie kilkunastu ludziom, tylko na jedną noc. Wiedział, że Toru go nie okłamuje. Nie wolno im wymagać, by tak mała wioszczyna wzięła na siebie ciężar utrzymania przez kilka miesięcy trzydziestu rannych mężczyzn. Co więcej, nie chciał ich zostawiać. Przecież wielu powróci do zdrowia, by zasilić nieliczny oddział senshich wiernych cesarzowi. W ten sposób utworzy się jeszcze nie armia, lecz zapewne jej załóżek. Nie, nie mógł sobie pozwolić, by zrezygnować z rannych. A ponadto, co się z nimi stanie, jeśli wpadną w łapy ludzi Arisaki?

- Ranni podążą z nami - stwierdził Shigeru, wtrącając się do rozmowy. Ton jego głosu wskazywał, iż ta kwestia nie podlega dyskusji. - Będziemy musieli sobie jakoś poradzić. I będziemy musieli wędrować szybko.

Toru wzruszył ramionami.

- Łatwo powiedzieć. Trudniej wykonać.

Odnosił się do cesarza z szacunkiem, lecz bez czołobitności. Jako człowiek praktyczny, nie widział powodu, by zgadzać się ze Shigeru, skoro wiedział, że władca się myli. Bezmyślne potakiwanie nie przyniesie żadnej korzyści ani cesarzowi, ani jego ludziom.

- A jednak, tak uczynimy - oznajmił Shigeru. - Może co silniejsi mężczyźni z wioski zechcą dopomóc nam, niosąc rannych. Oczywiście, zapewniam, że nie za darmo.

Toru zastanowił się. Czas wycinki drzew i zbierania chrustu kończył się właśnie. Niektórzy z młodych mogą zechcieć zarobić nieco grosza. Gotówka przyda się, kiedy nadejdą cieplejsze miesiące, kiedy na targach pojawi się więcej towarów na sprzedaż.

- To możliwe - zgodził się. Jak urodzony przekupień, by zyskać wyższą cenę, chciał właśnie dodać, że ludziom tym należał się będzie dodatkowy zarobek za rozłękę z bliskimi i za to, że opuszczają swe domostwa, by wędrować po górskich bezdrożach w jesiennej słońce... gdy uwagę wszystkich przykuły podniesione głosy dochodzące ze skraju polany, na której mieściła się wioska.

Odwrócili się w tamtą stronę, ujrzeni grupę ludzi wychodzącą spośród drzew. Było ich koło dwudziestu; jak ocenił Shukin po stroju, wywodzili się z Kikorich. Zmarszczył brwi. Najroślejszy z mężczyzn, idący przodem z siekierą w dłoni, wydawał mu się znajomy.

- Obcy - stwierdził Toru. - Ciekawym, co ich tu sprowadza?

Spojrzał znacząco na obu kuzynów. Nietrudno przyszło odgadnąć jego myśli. Jego zdaniem, w taki czy inny sposób to oni sprowadzili obcych do Kawagishi. W następnej chwili Shukin rozpoznał przywódcę nowo przybyłych. Wyglądało na to, że Toru miał słuszość.

- To Eiko - stwierdził i powstał ze stołka.

Shukin oraz Shigeru zeszli z werandy, ruszając na spotkanie Eiko oraz jego towarzyszy. Toru także poszedł za nimi, inni mieszkańcy wioski zaczęli gromadzić się wokół. Kikori nie utrzymywali szczególnie rozległych więzi towarzyskich. Tolerowali mieszkańców sąsiednich wiosek, lecz nie przyjaźnili się z nimi. Każda wioskowa społeczność dzieliła własne sekrety, strzegąc ich przed obcymi, tyczyło się to zarówno tajemnych ścieżek i schronień w górach, jak również miejsc szczególnie bogatych w rzadkie gatunki drewna - zwłaszcza takich sekretów Kikori strzegli zazdrośnie. Tak więc mieszkańcy nadbrzeżnej osady powitali przybyszy uprzejmie, lecz nie wylewnie.

Przewodniczący starszyny wystąpił przed swych pobratymców.

- Jestem Jito, przewodniczący tutejszej starszyny. Co cię tu sprowadza, w jaki sposób mogę ci pomóc? - zwrócił się do przybysza; w tonie jego głosu słychać było wyraźnie, że do udzielenia owej pomocy nieszczególnie się kwapi.

Eiko pokłonił się - raczej szybko skłonił głowę, grzeczność nie wymagała niczego więcej.

- Witaj, Jito-san. Nazywam się Eiko - następnie, patrząc za Jito, ujrzał cesarza i Shukina, których ze względu na strój nietrudno było odróżnić od mieszkańców wioski. Tym razem pokłonił się o wiele niżej. - Witaj, panie Shigeru.

Słyszając te słowa, Jito rzucił ostre spojrzenie w stronę cesarza. Daleki był od zachwyty, gdy się przekonał, że do jego wioski zawitało jeszcze więcej obcych. Już ranni senshi stanowili nie lada ciężar dla mieszkańców Kawagishi. Nie mówiąc o tym, że trzeba było się nimi zajmować w czasie, kiedy należało jak najprędzej przygotować się do nadchodzącej surowej zimy.

- Witaj, Eiko. Czy coś się stało?

Bystre oczy cesarza dostrzegły, że niektórzy z przybyłych są ranni. Co najmniej kilku nosiło bandażę, trzech inni szli, podtrzymywani przez swych towarzyszy.

- Znasz tych ludzi, panie? - spytał podejrziwym tonem Jito.

Shigeru skinął głową.

- Zeszłej nocy ofiarowali mi gościnę. Obawiam się, że droga ich to kosztowało - to ostatnie stwierdzenie było właściwie pytaniem skierowanym do Eiko, lecz nawet nim rozległa się odpowiedź, Shigeru domyślał się, co usłyszy.

Eiko skłonił się znowu.

- Prawda, panie Shigeru - rzekł. - Lecz nie z twojej to winy. Ludzie Arisaki dotarli do naszej wioski kilka godzin po twoim odejściu.

Shigeru dosłyszał, że jego kuzyn gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Przecież widzieliśmy armię Arisaki! Znajdowała się wówczas jeszcze dwa albo trzy dni drogi za nami! - stwierdził Shukin.

- Jego główne siły, zapewne. Jednak przodem posłali patrol. Oddział, złożony z tuzina zbrojnych. Takich, co to nie wożą ze sobą zapasów, aby móc szybciej się przemieszczać - dodał Eiko, wykrzywiając pogardliwie wargi. - Czegokolwiek zapragną ci ludzie, odbierają to po prostu takim, jak my.

Pośród przysłuchujących się tej wymianie zdań mieszkańców nadbrzeżnej osady rozległ się głuchy pomruk. Wyrażał zarówno gniew, jak i przelęknienie. W przeszłości każdy z nich doświadczył jak najgorszego traktowania ze strony butnych żołdaków. Eiko odpowiedział na ich reakcję znaczącym skinieniem głowy.

- Macie rację, że ich się boicie - oświadczył. - Sprawdzają kolejno wszystkie wioski w okolicy. Wkrótce zjawią się i tutaj.

Stwierdzenie to wywołało istną burzę okrzyków. Niektórzy nawoływali, by porzucić wioskę i ukryć się w lesie. Inni chcieli zostać, by strzec swego dobytku. Jito uniósł dłoń, by uciszyć gwar podekscytowanych głosów.

- Cisza! - zawołał. Wszyscy ucichli, zapadło pełne zawstydzienia milczenie. - Musimy spokojnie rozważyć, co nam wypada czynić, a nie wrzeszczeć jak przekupki - spojrzał znów na Eiko. - Niektórzy z twych ludzi są ranni. Wnioskuje z tego, że tamci senshi nie ograniczyli się do rabowania zapasów?

Eiko potrząsnął głową.

- Nie - odrzekł z goryczą w głosie. - Przetrzęsneli wioskę, szukając czegokolwiek, co ma jakąś wartość, jak to zwykle czynią. I...

- I znaleźli zostawione przez nas monety - dokończył za niego przygnębiony Shigeru.

- Tak, panie. Spozrzedli cesarski znak na tych monetach, zatem chcieli wiedzieć, skąd je mamy.

Horace jak dotąd przysłuchiwał się tej wymianie zdań w milczeniu. Po wyczerpującej

wędrowce, wzorem wszystkich doświadczonych wojowników, pozwolił sobie na długi wypoczynek, korzystając z nadarzającej się okazji. Gdy dosłyszał głosy dobiegające z centralnego placu wioski, wyszedł, przecierając oczy i nakładając koszulę. Pojawił się akurat w chwili, kiedy Eiko opowiadał o tym, co się zdarzyło. Przypomniawszy sobie wręczone Ayagiemu przez Shukina monety. Były złote, i już to wystarczyło, by wzbudzić podejrzenia, skąd bowiem złoto u tak biednych wieśniaków? Co gorsza, widniał na nich cesarski symbol trzech wiśni. Mogły więc pochodzić tylko z jednego źródła.

- Ayagi-san nie wyjawiał im, jak wszedł w posiadanie tych monet - ciągnął Eiko - więc go zabili. Potem zaczęli plądrować wioskę, mordować kobiety i starców. Niektórym z nas udało się uciec w zamieszaniu do lasu - wskazał siebie oraz swych towarzyszy.

Shigeru smutno pokiwał głową.

- Dlaczego im nie powiedział? Przecież i tak się domyślili.

- Zapewne, panie Shigeru. Lecz Ayagi był dumnym człowiekiem. Dumnym i lojalnym wobec ciebie.

- A więc to ja jestem winny jego śmierci - stwierdził Shigeru zmęczonym, przygnębionym głosem.

Eiko oraz Jito spojrzeli po sobie. Owszem, wioskowe społeczności Kikorich nie utrzymywały ze sobą bliskich stosunków. Jednak wszyscy przedstawiciele tej nacji pozostali wierni dawnym tradycjom oraz lojalni wobec cesarza, jako wobec człowieka, którego władza pochodziła od bogów, a także wobec tego konkretnego człowieka, który znalazł się pośród nich.

Jito oświadczył stanowczo:

- Nie ty jesteś winien, panie Shigeru. Zbrodnie obciąża sumienie Arisaki, tego wiarołomcy. To jego ludzie skrzywdzili Kikorich, nie ty.

- Jeśli ktokolwiek ponosi winę, to ja, nikt inny - Eiko przemawiał zbolalym głosem. - Jak tchórze przyglądaliśmy się, ukryci pośród drzew, gdy mordowali naszych bliskich i niszczyli naszą wioskę. Nie uczyniliśmy nic, by temu zapobiec!

Shukin potrząsnął głową.

- Cóż mogliście wskórać przeciwko uzbrojonym senshim? - odezwał się. - Wasza śmierć w niczym nie pomogłaby waszym bliskim.

Horace przeciskał się przez tłum, aż znalazł się tuż obok rozmawiających. Uznał, że już pora, by i on zabrał głos.

- Ani też nie dopomogliście waszemu cesarzowi - rzekł; oczy wszystkich zwróciły się na niego. - Potrzeba mu ludzi, by walczyć z Arisaką. Żywych, a nie martwych, którzy

polegli w beznadziejnej walce.

Dostrzegł, że ramiona Eiko wyprostowały się, poczuł, iż muskularny drwał powziął jakieś istotne postanowienie. Przez tłum zgromadzonych mieszkańców obu wiosek przeszedł szmer. Przytakiwali półgłosem słowom cudzoziemca. Lata ucisku i pogardy ze strony senshich nagle zaowocowały, oto pojawiła się okazja, by rzucić im wyzwanie, by szukać sprawiedliwości, stając u boku ukochanego cesarza.

- Dobrze powiedziane, *Kurokumo* - zawołał Shukin. On także wyczuł podniosły nastrój, który zapanował pośród Kikorich. Rosły *gaijin* wykazał się zdumiewającym wyczuciem sytuacji - pomyślał - a zarazem wyśmienieci dobrał słowa, by rozpaść umysły tych ludzi. Zwrócił się do zgromadzonych: - To prawda, jesteście nam potrzebni. Kikori staną się lojalnym sercem nowej armii cesarza. Wyszkolimy was. Nauczymy was walczyć!

Słowom tym odpowiedział gromki okrzyk entuzjazmu. Kikori pojęli, iż butni, arogancy senshi jak Arisaka zbyt długo cieszyli się bezkarnością w Nihon-Ja. Nawet gdyby nie doszło do krwawej jatki w sąsiedniej wiosce, zdrada Arisaki wobec cesarza wystarczyła, by ich serca obróciły się przeciwko wiarołomcy. Wciąż jednak pozostawali tacy, którzy woleli zachować ostrożność. Kiedy ucichły okrzyki, ich obawy ujęła w słowa któraś z kobiet:

- Ale co się stanie, gdy ludzie Arisaki się tu zjawią? Jeszcześmy niegotowi, żeby z nimi walczyć.

Horace spostrzegł, że Kikorich ogarnia zwątpienie. Nie potrafili uwierzyć, iż są w stanie stawić czoło uzbrojonym wojownikom senshi. Zapomnieli jednak o czymś istotnym. Wystąpił do przodu na otwartą przestrzeń, stając obok cesarza, Eiko oraz Jito.

- Powiedziałeś, że ten patrol liczy dwunastu ludzi? - spytał. Eiko przytaknęła.

- Dwunastu. Może kilku więcej.

Na tę odpowiedź Horace uśmiechnął się złowrogo. Spojrzał na zgromadzonych senshich wiernych cesarzowi - było ich także dwunastu z jego straży przybocznej i co najmniej jeszcze dwudziestu pięciu, którzy uszli nietknięci z bitwy w Ito.

- Tak się składa - oznajmił - że tym razem dysponujemy znaczą przewagą liczebną nad ludźmi Arisaki.

ROZDZIAŁ 17

Evanlyn oraz Alyss ćwiczyły szermierkę na przednim pokładzie pod czujnym, acz z lekką rozbawionym okiem Selethena.

Wyczyny Evanlyn w Skandii oraz Arydzie odbiły się w Araluenu szerokim echem; bądź co bądź, krążące opowieści dotyczyły samej następczyni tronu, a więc postaci powszechnie znanej. Pragnąc ją naśladować, wiele araluenskich kobiet i dziewcząt zainteresowało się sztukami walki. Zaliczała się do nich także Alyss, lecz w jej przypadku chodziło o coś znacznie więcej niż zwykły kaprys, który przeminie, gdy z biegiem czasu zamiast szermierki modne stanie się jakiś egzotyczny taniec. Nie potrafiła zapomnieć poczucia bezsilności, jakie stało się jej udziałem, kiedy została pojmana przez zdradzieckiego rycerza Kerena i uwięziona w Zamku Macindaw. Postanowiła, iż nie pozwoli, by kiedykolwiek jeszcze w życiu przydarzyło jej się coś takiego. Przede wszystkim zamieniła cienki i długi sztylet, stanowiący część jej kurierskiego wyposażenia, na znacznie praktyczniejszy - i śmiercionośny - ciężki nóż bojowy o szerokiej klindze.

Ćwiczyła też pilnie rzut dzirytem, a gdy opuszczała rodzinny zamek, nosiła u boku lekką szablę. Broń tego typu cieszyła się rosnącą popularnością pośród dziewcząt w jej wieku. Gdy okazało się, że w taki sam oręż wyposażona jest również Evanlyn, naturalną kolejną rzeczą uznały, że powinny ćwiczyć razem.

Wkrótce okazało się, że nie był to najlepszy pomysł.

Tak czy inaczej, okrętowy cieśla wyciosał dla nich z drewna szable ćwiczebne, po czym rozpoczęły się codzienne treningi obu pańien. Przyjrząwszy się kilku pierwszym sesjom, Selethen zaoferował swe usługi jako instruktor i arbiter, na co obie dziewczyny chętnie się zgodziły.

- A więc - zakomenderował teraz - szanowne damy, przygotujcie się do walki.

- Ja bym tak tego nie określił - mruknął pod nosem Halt, zwracając się do stojącego obok Willa. Kilku marynarzy z załogi okrętu, wolnych od obowiązków, także zgromadziło się wokół, by podziwiać widowisko. Widok dwóch nader atrakcyjnych dziewczyn, usiłujących wzajemnie porozbijać sobie czaszki drewnianymi szablami, budził ich zrozumiałe zainteresowanie.

- O jakie określenie ci chodzi? O „walkę” czy o „damy”? - spytał Will, także szeptem.

Halt zerknął na niego i potrząsnął głową.

- Zdecydowanie mówię o słowie „damy” - wyjaśnił.

- Co do „walki” nie ma dwóch zdań, bo to nawet dość ogólnie powiedziane.

Will wzruszył ramionami. Wiedział, że Alyss i Evanlyn nie przepadają za sobą, a nawet zdawał sobie sprawę, iż ma to coś wspólnego z jego osobą, lecz dlaczego tak sprawy się miały, nigdy pojąć nie zdołał.

- Broń nieco wyżej, Evanlyn - pouczył księżniczkę Selethen. - Za nisko trzymasz gardę.

Skorygowała pozycję, a Selethen zerknął na Alyss, by sprawdzić, czy jest gotowa. Już wcześniej zauważył, że ta wysoka blondynka przewyższa umiejętnościami szermierczymi następczynię tronu. Prawdopodobnie dlatego, że bardziej się koncentrowała. Podczas ćwiczeń między brwiami dziewczyny pojawiała się drobna, pionowa zmarszczka, dowód skupienia; jej ruchy stawały się opanowane i celowe. Tymczasem Evanlyn raczej szła na żywioł. Brała lekcje szermierki już od dłuższego czasu, ale nigdy nie poświęciła tej sztuce należytej uwagi, brakowało jej pilności. Co prawda przewyższała prędkością ruchów Alyss, jednak ta z kolei była od niej wyższa, co dawało jej przewagę większego zasięgu. Ponadto Evanlyn zbyt często traciła panowanie nad sobą.

- Naprzód - rzekł Selethen z niejaką rezygnacją w głosie. Mógł ze sporą dozą prawdopodobieństwa przewidzieć, co za chwilę nastąpi.

Evanlyn rzuciła się do ataku - jak się tego spodziewał. Zdecydowanie zbyt impulsywna - stwierdził w myśli - zbyt rwie się do walki, zamiast wpierv wyczuć przeciwnika.

Alyss także zdawała sobie z tego sprawę. Czekwała spokojnie na ów błyskawiczny atak ze strony Evanlyn. Zeszła z linii ciosu, zręczną zasłoną odbiła pchnięcie. Evanlyn zachwiała się lekko, próbując odzyskać równowagę, a wówczas nastąpiła błyskawiczna riposta Alyss; blondynka wykonała tylko półobrót nadgarstkiem i jej drewniana klinga wylądowała na knykciach Evanlyn ze stukotem, od którego widzów aż ciarki przeszły.

- Auu! Auu! Do diabła! - wrzasnęła Evanlyn. Oręż księżniczki upadł z trzaskiem na pokład. Tymczasem z jednych skandyjskich rąk do drugich przeszły pewne określone sumy pieniędzy. Księżniczka trzymała się za obolałą dłoń, spoglądając spode łba na Alyss. W następnej chwili wybuchnęła, zwracając się do Selethena: - Specjalnie to zrobiła!

Jednak nim Selethen zdążył odpowiedzieć, Alyss odparła z nie mniejszym ferworem:

- Pewnie, że specjalnie! Chyba po to ćwiczymy, nie? Idzie o to, żeby panować nad tym, co robimy, prawda? No, chyba że zamierzamy trenować chybienia i przypadki.

- Bardzo proszę, miłe damy... - zaczął Selethen. Nie był żonaty i nie posiadał zbyt

wielkiego doświadczenia w obcowaniu z kobietami. Właśnie zaczął się zastanawiać, czy warto się ubiegać o zdobywanie tego rodzaju doświadczeń.

- Ale to prawda, Selethenie! - Alyss nie dawała za wygraną. - Ona zawsze odsłania się na tę ripostę.

- A ty nigdy nie omieszkasz jej wykonać - rzuciła gniewnie Evanlyn, po czym przyjęła swój drewniany oręż od Skandianina, który podniósł go usłużnie z desek pokładu. - Dziękuję - rzekła krótko.

Morski wilk odpowiedział szerokim uśmiechem i rzucił półgłosem:

- Niech wasza wysokość da jej kopniaka w kostkę - zaproponował. - Postawiłem pieniądze na waszą wysokość.

Alyss nie zwróciła uwagi na tę wymianę zdań. Wciąż usiłowała przekonać Selethena, który, prócz roli instruktora, miał pełnić też funkcję rozjemcy.

- Przecież chodzi o to, żeby ona się wreszcie nauczyła, tak czy nie? Gdyby to była prawdziwa walka, nie byłoby powtórek. Nie miałyby już palców.

- Ale z drugiej strony, to ci na rękę... - zaczął Selethen i od razu tego pożałował, bo Skandianie głośno zachichotali, rozbawieni mimowolną grą słów. - ...To zbyt łatwe, jeżeli za każdym razem powtarzasz tę samą odpowiedź, jakim cudem twoja przeciwniczka ma się czegokolwiek nauczyć? Tkwimy na razie w martwym punkcie, pojmujesz?

Alyss zastanowiła się przez krótką chwilę.

- Skoro tak uważasz, Selethenie - zgodziła się, choć niechętnie. - W takim razie - zwróciła się do Evanlyn - w następnym starciu, księżniczko, twoja ręka pozostaje poza polem trafienia.

Will pokręcił głową, zdesperowany.

- Ach, Alyss, Alyss, Alyss - rzekł cichutko, tak że usłyszał go tylko Halt.

Brodaty zwiadowca uznał za rozsądne zachować milczenie.

- Nie chcę żadnych forów - obruszyła się Evanlyn. Zacisnęła dłoń na rękojeści, próbując zapomnieć o bólu potłuczonych knykcii.

Selethen przyglądał się obu dziewczętom z powątpiewaniem. Na twarzach obu pojawiły się cokolwiek niezdrowe rumieńce.

- Może starczy na dzisiaj? - zaproponował.

- Jeśli masz dość, proszę bardzo - warknęła Evanlyn, wpatrując się intensywnie w Alyss. - Ja nie zamierzam się wycofywać.

Alyss uśmiechnęła się, uśmiechem całkowicie pozbawionym humoru.

- Ja także nie zamierzam - odparła słodkim głosem. Nastąpiła dłuższa, przeciągająca

się chwila milczenia, po czym Selethen pogodził się z tym, co nieuniknione, kwitując zaistniały stan rzeczy wymownym wzruszeniem ramion.

- W takim razie, doskonale, miłe damy. - Zerknął przy tym słowie z ukosa na Halta, po czym uniósł wzrok ku niebiosom i westchnął. Halt poważnie pokiwał głową. - Pozycja...

Selethen zauważył, że tym razem Evanlyn przyjęła prawidłową pozycję szermierczą. Może wreszcie nauczyła się czegoś i nie rzuci się na oślep przed siebie - pomyślał. A kto wie, może Wielki Błękitny Wieloryb, który wedle skandyjskich wierzeń wywołuje przyływy i odpływy, wyskoczy z oceanu, rozpostrze skrzydła i okrąży okręt dla dodania świetności temu pojedynkowi.

- Naprzód - wydał komendę zupełnie już zrezygnowanym tonem.

I oto Evanlyn jak strzała wypuszczona z łuku rzuciła się przed siebie, tupiąc nogami po deskach pokładu i atakując serią szybkich cięć zadawanych krzyżowo znad głowy - ze swej lewej, prawej i znowu lewej strony. Były to cięcia niezręczne, lecz nadzwyczaj szybkie. Alyss, która oczekiwała kolejnego wypadu z pchnięciem, dała się tym razem zaskoczyć, cofnęła się, przeszła do obrony, przyjmując kolejne ciosy na drewnianą klingę, tak że powietrze wypełniło się całą serią błyskawicznie po sobie następujących stuków i trzasków.

Rozległ się pomruk aprobaty i zachęty ze strony Skandian, którzy obstawili zwycięstwo Evanlyn. Warto odnotować, że uczynili to wyłącznie z tej przyczyny, iż pośród załogi obowiązywała stawka trzy do jednego, gdyby zwycięstwo odniosła Evanlyn - rzadka okazja przy spotkaniu podczas walki dwóch osób równych sobie siłą i posturą.

Jednak z czasem impulsywność Evanlyn znów wzięła górę nad rozsądkiem. Właśnie w chwili, kiedy powinna zdać sobie sprawę, iż Alyss odzyskała panowanie nad sytuacją, wczuła się w rytm jej uderzeń i skutecznymi zasłonami parowała ataki księżniczki, zadała o jeden cios za wiele. Nie była w stanie utrzymać tego samego morderczego tempa przez więcej niż kilka cięć, toteż wyraźnie zwolniła. Alyss natychmiast to wykorzystała. Zamiast parować ostatnie uderzenie, ominęła je, drewniana klinga Evanlyn trafiła w próżnię, natomiast Alyss znów wykonała błyskawiczną ripostę.

Jednak tym razem drewniane ostrze trafiło nieszczęsną księżniczkę w łokieć.

- Auuu! - wrzasnęła Evanlyn. - Ty wstrętna, parszywa krowo!

Drewniany oręż znów upadł na pokład. Całe ramię księżniczki zdrętwiało. Riposta Alyss, rozmyślnie lub nie, trafiła w sam nerw na czubku łokcia.

- Alyss! - odezwał się gniewnym tonem Selethen.

- Przecież uzgodniliśmy...

- Owszem, mimo sprzeciwów Evanlyn uzgodniliśmy, że ręka jest poza polem trafienia

- weszła mu w słowo Alyss tonem urażonej niewinności. - Trafiłam ją w łokieć, nie w rękę. Jeżeli będziemy w ten sposób... Auuuuuuuuu!!!

Zawyła z dojmującego bólu, który przeszył jej prawą nogę. Evanlyn, ściskając zdrętwiałe prawe ramię lewą dłonią, podeszła, po czym kopnęła ją z całej siły pod kolaniem, rozdzierając pończochę i pozostawiając płytką, długą ranę. Oblicze Alyss wykrzywiło się z bólu; dziewczyna utykając, podeszła do nadburcia i oparła się. Nie spuszczała wzroku z Evanlyn; zdążyła już zdać sobie sprawę, że przecież wciąż dzierży w dłoni swój drewniany oręż, podczas gdy jej przeciwniczka jest bezbronna. Postąpiła krok do przodu.

- DOSYĆ TEGO! - wykrzyknął Halt.

Wszyscy spojrzeli na starego zwiadowcę, zaskoczeni. Nawet na Skandianach zrobił niejaki wrażenie donośnością swego głosu.

Halt spoglądał na obie dziewczyny, rozgniewany. Obie nie posiadały się z wściekłości, rozcierając obolałe kończyny.

- Może byście przestały tłuc się i wrzeszczeć jak dwie rozpuszczone, zepsute bachorzyce? - grzmiał dalej Halt. - Mam tego po dziurki w nosie. Obie powinnyście się wstydić.

Alyss natychmiast spuściła wzrok, znieruchomiała. Jednak złość Evanlyn wcale nie minęła, księżniczka gotowa była do kłótni.

- Doprawdy, Halt? Pozwól, że ci przypomnę: jedna z tych rozpuszczonych bachorzyc jest księżniczką krwi oraz następczynią tronu!

Halt odwrócił się w jej stronę jak oparzony. W oczach zwiadowcy lśniła zimna furia, Evanlyn mimo woli cofnęła się o krok. Nigdy jeszcze nie widziała Halta tak rozgniewanego.

- Księżniczka krwi? - powtórzył pogardliwie. - Następczyni tronu? Ładna mi następczyni! Gdybyś nie była już dorosła, przełożyłbym cię przez kolano i spuścił porządne lanie!

Na tę myśl Evanlyn zapalała oburzeniem.

- Podnieś tylko rękę na mnie, a mój ojciec każe cię wychłostać!

Halt parsknął wzgardliwie.

- Gdyby twój ojciec tu był, pottrzymałby mi przy tym płaszcz.

Evanlyn otworzyła usta, żeby coś odburknąć, lecz ugryzła się w język. Prawdę mówiąc, na ile знаła swojego ojca, Halt mógł mieć słuszność.

- A teraz może wreszcie zaczniecie obie zachowywać się, jak przystało na księżniczkę i damę dworu? - rzucił zjadliwym tonem Halt. - Bo jeśli nie, będę musiał odesłać Willa do domu.

- Mnie? - spytał Will nieco piskliwym głosem, oburzony i zaskoczony. - A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- To wszystko twoja wina! - krzyknął Halt do nic nie pojmującego chłopaka.

Will nie rozumiał, lecz gdy tylko padły te słowa, obie dziewczyny zdały sobie sprawę, że szpakowaty zwiadowca trafił w sedno. Z powodu zazdrości o Willa zachowywały się, jakby im rozum odjęło. Alyss pierwsza odzyskała przytomność umysłu. Uznała, że do niej należy pierwszy krok, jako że ona najbardziej zawiniła. Przecież powinna była ustąpić zdecydowanie słabszej przeciwnicze, a w dodatku następczyni tronu... Rzuciła drewnianą szablę, podeszła do Evanlyn i wyciągnęła dłoń na zgodę.

- Wybacz mi, Evanlyn. Zachowałam się okropnie - rzekła przepraszającym tonem. Bez wątpienia powiedziała to szczerze; Evanlyn, która łatwo wpadała w złość, równie łatwo wybaczała i gotowa była uznać własne przewinienia. Przyjęła wyciągniętą dłoń.

- Ja również proszę cię o wybaczenie, Alyss. Jesteś po prostu lepsza i trudno mi było znieść twoją przewagę. Nie powinnam cię kopać z byle powodu. Jak tam twoja noga?

Alyss zerknęła na strużkę krwi ściekającą po stopie.

- Prawdę mówiąc, kiepsko - uśmiechnęła się krzywo. - Ale chyba zasłużyłam.

- W rzeczy samej, nie ma dwóch zdań - wtrącił Halt. - Zdecydowanie zasłużyłaś, bo nie doceniłaś przeciwniczki. - Spoglądał jednak na dziewczęta życzliwym już wzrokiem i skinął głową, usatysfakcjonowany. Aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z panującego między nimi napięcia i od dawna spodziewał się, że prędzej lub później nastąpi wybuch. W zasadzie, im prędzej, tym lepiej, bo będziemy mieli problem z głowy - pomyślał.

Kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie brzmiał już gniew.

- Być może, powinniście na jakiś czas zrezygnować z dalszych ćwiczeń szermierczych - zaproponował.

Obie dziewczyny przytaknęły. Selethen odetchnął głęboko.

- Zgadzam się w zupełności.

Przez chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie. Przerwał je niespodziewanie Gundar:

- Nie wiem, czy kogoś to zainteresuje - rzucił niedbale - lecz odnoszę wrażenie, że w naszą stronę zmierza piracki okręt.

ROZDZIAŁ 18

Patrol senshich wynurzył się z lasu w bezładnym szyku; jeźdźcy ściągnęli wodze swych wierzchowców pośrodku Kawagishi.

Wioska zdawała się wymarła. Leśne ptactwo, które umilkło, spłoszone stukotem kopyt, najpierw nieśmiało, potem coraz głośniej wznowiło jesienny, chóralny śpiew, świergocząc zawzięcie pośród drzew. Ich śpiewowi towarzyszył szum wody w rzeczce, od której wioska wzięła swoją nazwę. Wobec braku oznak ludzkiej bytności odgłosy przyrody wydawały się aż nazbyt głośne.

Dowódca jeźdźców szarpnął niecierpliwie za wodze, spoglądając w gniewie na kolejne pograżone w ciszy, na pozór opustoszałe chaty.

- Kikori! - krzyknął. - Pokażcie się! Chcemy jeść i pić, drogo zapłacicie za zwłokę!

Las jakby połknął jego głos. Senshi nie doczekał się odpowiedzi, wciąż odzywały się tylko ptaki i szumiał górski strumień.

- Nikogo tu nie ma, poruczniku - odezwał się inny z senshich, zwracając się do oficera. Ten zmierzył go lodowatym spojrzeniem. Był zmęczony. Znużony długą jazdą. A przy tym ogarniał go coraz większy gniew na przeklętych Kikorich, którzy albo stawiali opór, odmawiając odpowiedzi na pytania, albo znikali w leśnej gęstwinie, umykając przed nim i jego ludźmi. Skoro tak, nadszedł czas, by udzielić surowej lekcji niepokornym kmiotom.

Sztywno zsiadł z konia, przeszedł kilka kroków, aby rozluźnić obolałe mięśnie. Jazda konna w tych górzystych okolicach, kiedy wciąż trzeba było wspinać się pod górę lub zjeżdżać w dół, stanowiła męczące zajęcie.

- Zsiadać - rozkazał swoim ludziom, którzy chętnie poszli za jego przykładem. Wskazał kciukiem człowieka, który przed chwilą się odezwał.

- Ty. Idź przeszukać chaty - wskazał trzy największe domostwa stojące obok siebie, frontem do wspólnego placu. - A ty razem z nim - polecił drugiemu wojownikowi.

Z dłońmi na rękojeściach długich mieczy ruszyli sztywnym krokiem. Weszli po stopniach do najbliższych dwóch siedzib. Pierwszy otworzył drzwi kopnięciem, rozwalając je, aż zawisły tylko na jednym skórzanym zawiasie. Wszedł do środka, znacząc zabłoconymi buciorami ślady i zostawiając smugi na starannie wypolerowanej drewnianej podłodze. Wejść w butach do czyjegós domu stanowiło według obowiązujących w Nihon-Ja zasad przejaw

skrajnego braku szacunku. Czekaający na zewnątrz senshi słyszeli łoskot jego butów. Minęła krótka chwila, pojawił się znów w drzwiach.

- Nikogo! - zawołał.

Drugi mężczyzna przeszukał właśnie sąsiednią chatę, z takim samym skutkiem.

- Tutaj tak samo, poruczniku! - oznajmił. - Coś mi się zdaje, że wszyscy dali nogę.

Porucznik przeklął cicho nieobecnych wieśniaków. Teraz ze swymi ludźmi sam będzie musiał szukać strawy, nikt im jej nie przyrządzi. Uważał, że to zajęcie niegodne przedstawiciela uprzywilejowanej kasty senshich. W sam raz dla chłopów, urodzonych, by służyć swym panom, jeszcze bardziej złościła go myśl, że zanim wieśniacy uciekli, przypuszczalnie ukryli gdzieś swoje zapasy. Tym więcej zachodu, tym większa strata czasu. Nie, nie zamierzał się poniżyć do grzebania w chłopskich manatkach.

- No, dosyć tego - burknął. - Spalić mi te chaty! Domostwa, sądząc po ich wielkości i umiejscowieniu w centrum wioski, należały przypuszczalnie do wioskowej starszyny. I dobrze, niech się nauczą - pomyślał. - Następnym razem trzy razy pomyślę, zanim zaszyją się w lesie, miast służyć senshim, kiedy się tego od nich wymaga. Wiał lekki wiatr, istniała więc spora szansa, że jeśli w płomieniach staną trzy wskazane chaty, ogień przeniesie się na resztę budynków, a zniszczeniu ulegnie cała wioska. I dobrze - pomyślał znowu. - Następnym razem będą wiedzieli, co im grozi, jeśli zechcą uchylać się od pełnienia swych obowiązków.

Jeden z ludzi porucznika zdjął wiszącą na werandzie latarnię, zaczął uderzać krzesiwem o krzemień. Kiedy uda się uzyskać płomień, sporządzą naprędce pochodnie i za ich pomocą podpalą strzechy, od nich zaś zajmą się drewniane ściany. Porucznik potarł grzbiet zaciśniętą pięścią, próbując rozmasować zeszywniałe mięśnie. Przyjemnie będzie popatrzeć, jak palą się domostwa - pomyślał. Zawsze odczuwał swoistą satysfakcję, kiedy budynek stawał w płomieniach, rozpalał się, aż wreszcie zapadał się w kupę dymiącego popiołu.

Jego ludzie nazbierali suchej trawy i chrustu; związali je w pęki, a teraz przybliżyli do płomyka latarni, aby się rozpałyły. Spojrzeli pytająco na dowódcę, który niecierpliwie machnął ręką.

- Pospieszcie się!

Zbliźali się już do największego z domów, kiedy usłyszeli za sobą czyjś głos:

- Panie! Litości, błagam! Nie palcie mojego domu! Proszę uniżenie!

Od strony drzew otaczających wioskę biegła jakaś obszarpana postać w typowym stroju Kikorich.

Dwaj senshi postąpili naprzód, żeby go zatrzymać, lecz oficer rzucił rozkaz, by

przepuścili tego człowieka. Przybyły zatrzymał się kilka metrów przed oficerem i upadł na kolana, chyląc nisko głowę.

- Panie, błagam. Nie palcie naszej wioski - zaskowyczał słuźalczym tonem.

Dłoń oficera sięgnęła do rękojeści miecza. Podszedł bliżej klęczącego.

- Coś ty za jeden?

- Jestem Jito, panie. Przewodniczący starszyzny wioski.

- Jak śmieliście kazać mi czekać! - wrzasnął na niego oficer, Jito opuścił głowę jeszcze niżej. - Gdzie twoje chłopstwo?

- Panie, wszyscy uciekli. Bali się.

- A ty ich nie powstrzymałeś?

- Próbowalem, panie. Ale nie słuchali mnie.

- Łżesz! - krzyknął na cały głos porucznik; klęczący mężczyzna aż zadrżał od złości, jaka skupiła się w tym okrzyku. - Jesteś kłamcą! Ty im kazałeś uciec! I ty im kazałeś ukryć przede mną całe jedzenie z tej wioski.

- Nie, panie! Ja...

- Kłamca! - krzyknął oficer, jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio. Porucznik sam siebie wprawiał w amok nienawiści. Jego ludzie spojrzeli po sobie. Widzieli już nie raz takie napady szału swojego dowódcy, więc wiedzieli, jaki los czeka klęczącego wieśniaka.

- Nie, panie! Proszę...

- Okłamujesz mnie! A ponadto obraziłeś mnie i moich ludzi! Gdzie szacunek i posłuszeństwo należne senshim? Wszyscy zawszeni Kikori powinni pełzać na kolanach oraz błagać, żebyśmy zechcieli posilić się waszą nędzną strawą i napić waszego podłego wina. Czynimy wam zaszczyt, przybywając do tej wioski, a wy, śmierdzący tchórze, uciekacie w las, jak złodzieje!

- Nie, panie! Proszę. Wielkim zaszczytem będzie dla nas...

- Zamknij kłamlivy pysk! - wrzasnął porucznik. - Ja ci pokażę, jak rozprawiamy się ze złodziejami. A potem spalę tę wioskę, aż tylko popiół z niej zostanie.

Rozległ się dźwięczny syk stali, gdy dobył długiego miecza. Ujął rękojeść obiema dłońmi.

- Uklęknij prosto i schyl głowę, złodzieju! - zawołał oficer.

Starzec chyba wreszcie pogodził się z faktem, że błagania na nic się nie zdadzą. Dotąd siedział na piętach, lecz teraz wyprostował się i pochylił siwą głowę, nadstawiając kark na cios miecza.

Porucznik uniósł broń nad głowę, przygotowując się do uderzenia. Stęknął ze

zwierzęcej rozkoszy, jaką sprawiało mu zabijanie. A potem wszystko rozegrało się bardzo prędko.

Pokorny starzec nagle klęczał już tylko na jednym kolanie. Znów rozległ się brzęk stali, spod płaszcza ukazała się dłoń dzierżąca krótki miecz *wakizashi*. Zapierniczając się lewym kolaniem o ziemię, klęczący zadał potężne pchnięcie, wbijając w pierś porucznika lśniąca klingę aż po tarczowaty jelec.

Oficer zdążył jeszcze ujrzeć, że kiedy rzekomy starzec odrzucił łachman, wyłonił się spod niego okryty skórzaną zbroją wojownik senshi, noszący na piersi znak potrójnej wiśni. Kruczoczarne włosy pokrywał popiół, nie siwizna.

Miecz wypadł z rąk porucznika, jego ciało zgięło się wpół, jakby złamane, po czym runęło, martwe, jeszcze zanim legło na ziemi. Błyskawicznym ruchem Shukin przerzucił krótki miecz do lewej dłoni, pochylił się i podniósł kataną porucznika.

Podkomendni zabitego oniemieli na kilka sekund, lecz za moment dobyli broni, gotowi pomścić śmierć dowódcy. Nie całkiem zdawali sobie sprawę, co się stało. Dopiero co wieśniak płaszczył się przed porucznikiem, a w następnej chwili oficer zachwiał się i padł martwy.

Wszystko jedno, co się tu wyprawia, jakkolwiek do tego doszło, zamierzali roznieść na mieczach podstępny kmiota.

Jednak gdy ruszyli do przodu, spośród drzew wyłoniły się inne postacie, biegnące ku nim, by oddzielić ich od Shukina.

Dwaj zbrojni, którym martwy już oficer polecił spalić chaty, znajdowali się najbliżej niego, więc ku nim się zwrócił. Z łatwością odparował uderzenie pierwszego i, kontynuując cięcie, tym samym płynnym ruchem ciął napastnika w gardło. Nim tamten zdążył upaść, Shukin krótkim mieczem trzymany w lewej dłoni zablokował atak drugiego, potem wykonał półobrót w lewo i ciosem z nad prawego ramienia rozciął klatkę piersiową również i tego napastnika.

Cofnął się o krok; padli obaj, jeden po drugim, w odstępie kilku sekund.

Pozostali najeźdźcy nie mieli sposobności pomścić swego dowódcy. Otoczyło ich trzydziestu senshich, wszyscy nosili na zbrojach cesarskie emblematy. Ludzie Arisaki walczyli zawzięcie, lecz nie mieli żadnych szans. Horace, który pełnił straż przy cesarzu w jednej z dalej położonych chat, ciekawie przyglądał się walce. Każdego z nieprzyjaciół otaczało dwóch lub czasem nawet trzech ludzi Shigeru. Jednak nigdy nie atakowali razem, odbywali raczej serie pojedynków z napastnikami. Podzielił się tą obserwacją z cesarzem, a Shigeru tylko skinął głową.

- To rzecz zwyczajna - stwierdził. - Honor zabrania rzucać się we trzech przeciwko jednemu. Zwycięzamy i przegrywamy jako jednostki.

Horace potrzęsął głową.

- W tej części świata, z której pochodzę, kiedy rozpocznie się bitwa, wszyscy walczą przeciw wszystkim, a ostatnich gryzą psy! - stwierdził. Zorientował się, że Shigeru nie pojmuje tego wyrażenia, lecz nie próbował go wyjaśnić, zajęty obserwacją walczących.

Stopniowo odgłosy bitwy ucichły, bowiem uporano się z ostatnimi ludźmi Arisaki. Nie było to jednak łatwe starcie. Czterech żołnierzy Shigeru również leżało bez ruchu na pochłapanej krwią ziemi, dwaj zostali ranieni.

Shigeru oraz Horace opuścili werandę chaty, z której dotąd obserwowali walczących, zbliżyli się do Shukina. Zaczęli też pojawiać się wieśniacy, którzy opuścili swe kryjówki w lesie. Spoglądali z podziwem i lękiem na poległych senshich.

Jito skłonił się przed Shigeru.

- Dobra robota, panie Shigeru.

Również Eiko przyglądał się zabitym z nienawistną satysfakcją. Ci ludzie winni byli śmierci jego przyjaciół i sąsiadów, zrównali z ziemią wioskę, w której spędził całe swe życie, on zaś mógł tylko przyglądać się temu beczynnie. Teraz z kolei oprawców dosięgła gwałtowna śmierć; ich pocięte klingami zwłoki zaległy na placu pośrodku wioski.

Jednak Shigeru niepokoił się. Spoglądając na zakrwawione ciała, powiedział:

- Arisaka się o tym dowie. Będzie was winił, wytoczy wojnę ludowi Kikori.

Jito przyglądał się z odrazą martwym najeźdźcom. Uniósł dumnie głowę, wyprostował się.

- Lud Kikori nie dba o to! Poprowadź nas do Ran-koshi, panie, i naucz walczyć. Lud Kikori wypowie wojnę Arisace.

Odpowiedzią na te słowa był potakujący pomruk aprobaty mieszkańców obu wiosek. Zgromadzili się wokół Shigeru, dotykali go, bili przed nim pokłony, zapewniali o swej wierności.

Shukin i Horace spojrzeli po sobie z uśmiechem.

- Mamy ludzi - stwierdził Shukin.

Horace skinął głową.

- Teraz tylko trzeba przeistoczyć ich w wojowników.

ROZDZIAŁ 19

Zbliżała się ku nim długa, niska galera o wąskim kadłubie i dwunastu wiosłach u każdej burty. Wyposażono ją także w niski maszt oraz prostokątny żagiel, który jednak w tej chwili pozostawał zwinięty. Pióra wiosel po obu stronach wznosiły się i opadały równym, jednostajnym rytmem.

- Czy zdołamy im umknąć, Gundarze? - spytał Halt.

Gundar jak zwykle najpierw spojrział w niebo, potem przyjrzał się płachcie żagla, następnie ścigającemu ich okrętowi, potem jeszcze wciągnął nosem powietrze. Dopiero wtedy odparł:

- Bez trudu, o ile wiatr się utrzyma - stwierdził. Wydał rozkaz; marynarze przesunęli bom, zmieniając ustawienie żagla wobec wiatru. Jednocześnie szyper poruszył nieznacznie drzewcem steru, przez co dziób okrętu zwrócił się kilka stopni na bakburtę. Natychmiast Will poczuł, jak pokład zawibrował, gdy „Wolfwill” przyspieszył.

Halt w zamyśleniu pocierał brodę, wciąż obserwując piracką galere. Według jego oceny załoga okrętu mogła liczyć czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi. Dostrzegał nawet kapitana, który wykrzykiwał rozkazy, by zagrzać swych podkomendnych do wiosłowania, bowiem zdał sobie sprawę, iż zostają w tyle za tym dziwnym, wyposażonym w trójkątny żagiel statkiem.

- A jeśli wiatr ustanie? - pytał dalej Halt.

Gundar wzruszył ramionami. Także przyglądał się pirackiej jednostce.

- Dwanaście wiosel po każdej stronie na naszych osiem - stwierdził na głos. - Nie, na wiosłach pewnie popłynie szybciej od nas.

Halt przetrawił tę informację w umyśle, po czym stwierdził:

- Pewnie to nie jedyny piracki okręt, jaki nam się napatoczy.

Gundar skinął głową.

- W notatkach spisano, że tu się wprost roi od piratów.

Zwiadowca znów zwrócił wzrok na piracką galere. Skutkiem wzmoczonych wysiłków wiosłarzy udało jej się nieco zmniejszyć dystans dzielący od „Wolfwill”. Jednak po chwili znów zaczynała pozostawać w tyle. Tymczasem wiosła „Wolfwill” pozostawały wyciągnięte i co najmniej połowa załogi chrapała smacznie lub wylegiwała się na pokładzie, niewidoczna z

zewnątrz. Istniała możliwość, że piraci uznali, iż mają do czynienia ze statkiem kupieckim obsługiwany przez zaledwie kilkunastu ludzi załogi.

- A czy da się tak zrobić, żeby nas dogonili, nie wiedząc, że tego chcemy? - spytał.

Gundar odpowiedział natychmiast:

- Bez trudu - odrzekł i uśmiechnął się istic wilczym uśmiechem. - Chcesz im sprawić małą niespodziankę, co?

- Tak jakby - przyznał Halt. Spojrzał w stronę wypoczywających marynarzy.

- Przygotujcie broń, ale uważajcie, żeby was nie zauważono - rozkazał. Odpowiedziało mu co najmniej kilkanaście nie mniej drapieżnych skandyjskich uśmiechów. Ci ludzie kochają bijatykę - stwierdził w myśli Halt.

Tymczasem Gundar przysunął nieco dziób na sterburkę, po czym wydał kolejne rozkazy marynarzom przy żaglu. Płótno napięło się jeszcze bardziej, a okręt aż przechylił się na bok. Wyglądało to imponująco, lecz w rzeczywistości wypadkowa działających sił stała się mniej korzystna i „Wolfwill” zaczął tracić prędkość. Piraci znów zaczęli się zbliżać. Na dziobie galery zgromadziło się ich z tuzin; wykrzykiwali jakieś obelgi i wymachiwali bronią.

- Ale hałastra - stwierdził Will. - Zacząć już zabawę?

Nałożona na cięciwę strzała czekała w pogotowiu; galera znalazła się w zasięgu pocisków. Lecz Halt potrząsnął głową.

- Jeszcze nie.

Spojrzał w stronę Evanlyn i Alyss stojących przy burcie. Evanlyn przygotowała swą procę, która kołysała się z wolna w jej dłoni. Alyss, jak zauważył, przypasała szablę - prawdziwą, nie ćwiczebną.

- Cofnijcie się tam - polecił, wskazując pokład rufowy okrętu.

Posłuchały go, choć niechętnie. Obie nieraz się z nim spierały, lecz w sytuacji, kiedy miało dojść do bitwy, rozkazy Halta wypełniały bez szemrania.

- Kiedy się zbliżymy, możesz powalić kilku z procy - rzekł Halt do Evanlyn, po czym zwrócił się do Alyss:

- Ty pilnuj jej pleców, na wypadek gdyby dostali się na nasz pokład.

Alyss skinęła głową, lecz natychmiast spytała z uśmiechem:

- Spodziewasz się, że do tego dojdzie? Wiedziała doskonale, do czego zdolni są Skandianie w boju, a tę akurat załogę swego czasu miała okazję podziwiać na własne oczy podczas bitewnych zmaganiań.

- Raczej nie - brzmiała odpowiedź. Następnie Halt wyłożył swój plan Gundarowi oraz jego załodze: - Jak już się do nas zbliżą na dobre, zawracamy i nacieramy, dziób w dziób.

Rzucamy haki, po czym przechodzimy do abordażu. Macie unieszkodliwić ich okręt.

- A co z załogą? - spytał Nils przycupnięty za ławką wioślarza.

- Jeśli wejdą wam w drogę, ich także należy unieszkodliwić - odparł krótko Halt. - Ale przede wszystkim zwalcie maszt, wybijcie dziury w kadłubie. Potem wracajcie na pokład.

- Mamy ich zatopić? - spytał Gundar, na co Halt pokręcił przecząco głową.

- Nie, właśnie nie. Chodzi mi o to, żeby okręt poważnie uszkodzić, lecz zarazem żeby zdołał wrócić do portu. Dzięki temu piorunem rozejdzie się wieść, że dziwny okręt z flagą przedstawiającą czerwonego sokoła - tu wskazał chorągiew Evanlyn powiewającą na szczycie masztu - otóż, że ten dziwny okręt wiezie na swym pokładzie załogę złożoną z kudłatych szaleńców wywijających toporami i że należy za wszelką cenę schodzić im z drogi.

- Zupełnie jakbyś mówił o nas - zauważył wesoło Gundar. Z gardzieli jego ludzi dobył się dudniący rechot. - Jens - rzucił do jednego z żeglarzy - weź ośmiu chłopów na pokład dziobowy. Przygotujcie haki. Potem, kiedy je rzucicie, poprowadzisz abordaż.

- Ja też chcę, skirlu! - odezwał się Nils Liniarz ze swego miejsca w pierwszej od dziobu ławie wioślarskiej. Gundar skinął głową.

- Pierwsze cztery rzędy z obu stron pójdą z Jensem - oznajmił. - Tylko na razie czekajcie, nie pokazujcie się jeszcze!

- Otóż to, pokażcie się dopiero, gdy dam rozkaz - uściślił Halt. - Chodzi o to, by widok waszych urodziwych twarzy stanowił dla nich prawdziwą niespodziankę.

Znów dał się słyszeć pomruk złowroziej wesołości ze strony załogi. Will uświadomił sobie, że przecież znajdują się właśnie w swoim żywiole. Niektórzy z nich już chichotali na samą myśl o panice, jaka zapanuje pośród piratów, kiedy zorientują się, że ten na pozór bezbronny statek, łatwy łup, to w rzeczywistości wilk okryty owczą skórą. Ściślej mówiąc, wilk morski.

- Evanlyn, pokaż, co potrafisz - odezwał się cicho Halt.

Księżniczce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jajowaty pocisk z ołowiu już czekał, umieszczony zawczasu w procy. Zerknęła wokół siebie, by się upewnić, czy może poruszać się swobodnie, zakręciła raz i drugi, po czym ciężki pocisk furknął w powietrzu.

Mogli śledzić jego tor zaledwie przez kilka chwil, potem znikł im z oczu na tle galery. Jednak w następnej sekundzie jeden z wrzeszczących, wymachujących rękami piratów na dziobie pirackiej jednostki nagle padł bez życia niczym worek szmat. Jego kompaniowie cofnęli się, zaskoczeni, ale już w następnej chwili ze zdwojoną wściekłością jęli ciskać obelgi, wygrażali ściganemu okrętowi, pokrzykiwali na swoich wioślarzy, żeby pospieszyli się, bo pragną jak najprędzej dopaść i srodze ukarać niepokornych intruzów. Jak wcześniej

zauważył Will, stanowili istną zbieraninę, ubrani w zszargane białe oraz kolorowe szaty i brudne turbany. Wychudzeni, o ciemnej karnacji, kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, można było dostrzec, iż uzbrojeni są rozmaicie: w krzywe szable, noże albo puginały. Wszystko wskazywało, że przywykli raczej do mordowania bezbronnych kupców, nie sprawiali wrażenia wyszkolonych i wyćwiczonych wojowników.

Halt skinął głową z uznaniem, kwitując celny strzał Evanlyn:

- Ciekawe, tylko dwa obroty? - zainteresował się. - W Arydzie kręciłaś i kręciłaś tą procą, zanim przyszło co do czego.

- Sporo ćwiczyłam - przyznała. - Zbyt wiele obrotów pozwala przeciwnikowi zorientować się w niebezpieczeństwie, prócz tego procarz siłą rzeczy pozostaje wystawiony na pociski. Idealnie byłoby osiągnąć maksymalną prędkość już przy pierwszym obrocie, ale do tego jeszcze nie doszłam. Sięgnęła do skórzanej sakwy przerzuconej przez ramię i wyjęła z niej kolejny specjalnie w tym celu sporządzony ołowiany pocisk. Dawno minęły czasy, kiedy posługiwała się znalezionymi w rzece otoczakami. - Uciszyć jeszcze jednego?

Halt spojrzał na nadciągających piratów, mrużąc oczy od blasku lśniącego w wodzie promieni słonecznych.

- Nie. Chyba już dość ich rozjuszyliśmy. Istne gniazdo szerszeni, jak się zdaje. Za to kiedy przystąpimy do abordażu, możesz tłuc w tych przy sterze, ile wlezie. - Zwrócił się do Gundara: - Już czas, jeśli jesteś gotów, skirlu.

Gundar rzutem oka ocenił kierunki, kąty i ułożenie żagla.

- Do zwrotu! - ryknął i napał na drzewce. Okręt skręcił posłusznie, niewypełnione już wiatrem płótno żagla załopotowało bezsilnie. - Opuścić żagiel! - ryknął; bom zjechał na dół, aż gruchnął o deski. Dwaj marynarze zbierali już pospiesznie płótno, by nie walało się po pokładzie.

Na pirackiej galerze nagle zapadła cisza, gdyż oto ścigana zwierzyna zwróciła się nagle przeciw myśliwemu.

- Pokażcie się, wilki morskie! - wykrzyknął Halt na cały głos.

Zza ław wioślarskich wychynęło szesnastu rosyłych, uzbrojonych po zęby drabów w rogatych hełmach.

Dopiero teraz piraci zdali sobie sprawę, że przyjdzie im mieć do czynienia nie z ledwie kilkunastoma praktycznie bezbronnymi marynarzami, lecz z długowłosymi opętańcami wymachującymi wściekle bojowymi toporami o podwójnych ostrzach.

Jednocześnie w powietrzu świsnęły dwa haki abordażowe, które z głuchym łoskotem wbiły się w burtę galery. Kapitan piratów, stojący u steru, zaczął wykrzykiwać swym ludziom

rozkazy, by przecięli liny, które teraz przyciągały galerę do okrętu cudzoziemców. Do wioślarzy krzychał, by parli na drzewca w odwrotnym kierunku, starając się uciec przed nieoczekiwanym zagrożeniem.

Will usłyszał, jak proca Evanlyn furknęła znowu w powietrzu. Kapitan piratów nagle postąpił krok do tyłu, chwycił się za czoło, potem runął jak długi plecami na pokład.

Rozległ się ogłuszający trzask, gdy oba okręty zderzyły się ze sobą; wrzeszczący Skandianie w bojowym szale zeskoczyli na pokład galery. Większości piratów zgromadzonych w przedniej części dość było rzucić okiem na olbrzymów oraz ich potężne topory, by runąć do ucieczki ku rufie. Niektórzy wybrali krótszą drogę, skacząc wprost do morza. Nielicznym, którzy zdecydowali się walczyć, niewiele zostało czasu, by tej decyzji pożałować. Oddział abordażowy, prowadzony już przez Nilsa, który przepchnął się przed Jensa, przeszedł po nich, pozostawiając za sobą bezwładne ciała.

Kilku Skandian pod dowództwem Jensa przemknęło między opustoszałymi nagle ławami wioślarzy. Zaczęli tłuc toporami w belki kadłuba pod linią zanurzenia. Wkrótce z wyrąbanych otworów trysnęły strumienie morskiej wody. Zadowoleni z osiągniętego rezultatu, zabrali się teraz za wyrzucanie wioseł za burtę, gdy tymczasem ich towarzysze rąbali już sztagi utrzymujące niski maszt okrętu. Jeden z nich wspiął się na sam szczyt i spuścił żagiel z rei, po czym jak najprędzej zsunął się z powrotem w dół. Płachta wybrzuszyła się, chwytając wiatr; w następnej chwili maszt się wygiął. Drzewce wytrzymało napięcie przez kilka sekund, po czym rozległ się przeszywający trzask; maszt runął na zawietrzną pośród płataniny olinowania oraz skłębionego płótna.

Gundar spojrzał pytająco na Halta. Zwiadowca przyglądał się dziełu zniszczenia. Około połowy piratów zabito lub uczyniono niezdolnymi do walki, ich okręt już zaczął się przechylać. Pora umożliwić pozostałym przy życiu napastnikom naprawę szkód, aby mogli wszem i wobec rozpowiedzieć, iż na tych wodach pojawił się bardzo groźny cudzoziemski okręt.

- Przywołaj ich z powrotem - polecił, na co Gundar ryknął do swych ludzi:
- Wracać na pokład! Hej, wilki morskie, wracać mi tu zaraz!

Skandyjscy wojownicy cofnęli się znów na dziób galery, a stamtąd zaczęli się wspinać na pokład wyższego od niej „Wolfwill”. Kamraci pomagali im, wciągając z góry. Ostatni powrócił Nils. Przez krótką chwilę pełnił rolę jednoosobowej straży tylnej. Jednak piraci szybko zorientowali się, że nie ma po co pchać się w zasięg wirującego topora bojowego, toteż wycofali się w popłochu. Rozjuszony Nils szeroko rozstawił stopy, potrząsał toporem i wykrzykiwał słowa wyzwania:

- No, chodźcie tu, tchórzliwe wyskrobki! Zmierzcicie się z prawdziwym piratem!

Chętnych jednak brakło, toteż już miał ruszyć przez pokład w ich stronę, kiedy rozległ się gromki okrzyk skandyjskiego kapitana:

- Wracaj na pokład, stukrotny głupcze!

Wrzask Gundara zdołał przebić się przez mgłę bojowego szału przepełniającą umysł Nilsa. Olbrzym stanął jak wryty, potrząsnął głową, po czym odwrócił się i twarz jego rozjaśnił dobroduszny uśmiech.

- Już idę, skirlu!

Will nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Nils odezwał się tonem skruszonego urwisa, którego mama woła na kolację.

Nils pożegnał jeszcze piratów obelżywym gestem, a następnie odwrócił się i lekko pomknął w stronę pokładu dziobowego. Wzgardził pomocą towarzyszy, podciągając się bez trudu na pokład „Wolfwill”.

- Ciąć liny abordażowe! - zawołał Gundar.

Dwie siekiery świsnęły w powietrzu i opadły ze stukiem. Niepołączone już okręty zaczęły z wolna oddalać się od siebie. Gundar spojrział w stronę ośmiu wiosłarzy, którzy przez cały czas pozostawali na pokładzie „Wolfwill”, nie biorąc udziału w tej krótkiej i jednostronnej bitwie.

- Założyć wiosła! Odbijać! - rozkazał.

Załoga zareagowała natychmiast, w związku z czym Will uświadomił sobie, że Skandianie wykonywali podobne manewry już wiele, wiele razy. „Wolfwill” cofał się napędzany ośmioma wiosłami, odległość w stosunku do pirackiego okrętu rosła.

- Stawiać żagiel! - nakazał Gundar; drzewce i płótno powędrowało na maszt. - Żagiel na wiatr! Do wiosła! - zawołał. Trzepoczące płótno wypełniło się podmuchami. Dziób okrętu odwrócił się, ostrząc; szyper napał na rumpel sterowego wiosła, a okręt zaczął nabierać prędkości.

Za sobą pozostawili piracką galereę, której dziób wciąż pozostawał pograżony w wodzie, a jej załoga uwijała się jak w ukropie, by naprawić potężne wyrwy wyrabane w burtach.

Gundar wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jego ludzie dobrze się sprawili. Wskazał za siebie kciukiem, w stronę na pół zatopionego pirackiego okrętu.

- Wątpię, czy zechcą nam znowu wchodzić w drogę - stwierdził.

Selethen przyglądał się, jak niedobitki piratów usiłują uratować swój statek przed zatonięciem.

- Wiesz co? - odezwał się do Halta bez cienia uśmiechu. - Prościej by było posłać tam dziewczyny z ich drewnianymi szablami.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie, po czym Halt potrząsnął głową.

- Ale mnie chodziło o to, żeby przynajmniej kilku z nich pozostało przy życiu - rzekł.

ROZDZIAŁ 20

Z każdym upływającym dniem ich liczba rosła. Świta cesarza wędrowała stromymi i błotnistymi górskimi szlakami; wspinali się na granie, schodzili po drugiej stronie, by wspiąć się na następne zbocze; zdawało się, że za każdym razem droga wiedzie coraz bardziej stromo, a wędrówka nigdy się nie skończy. Wciąż coraz to nowi Kikori dołączali w milczeniu do pochodu. Nie mówiąc ani słowa, wyłaniali się spośród drzew, przybywali tajemnymi i niebezpiecznymi ścieżkami znanymi tylko mieszkańcom gór. Składali zwykły pokłon Shigeru, a następnie ustawiali się w tyle kolumny. Wkrótce Shigeru, Shukin i Horace dowiedzieli się, że zwiad senshich pokonany w Nadbrzeżnej Wiosce nie był jedynym patrolom wysłanym, by poprzedzał wojska Arisaki. W okolicy grasowało jeszcze ponad pół tuzina takich oddziałów; przeczesywały góry, maltretowały Kikorich - pałac ich wioski i torturując starców, by wywiedzieć się, gdzie podział się Shigeru. Prześladowaniom przyświecał zamiar, by rzucić Kikorich na kolana, lecz barbarzyństwo przyniosło wręcz odwrotne skutki. Kikori, darzący wielkim respektem tradycję, przywiązywali ogromną wagę do rządów prawowitego następcy cesarskiego tronu - choć samego władcy nigdy przedtem na oczy nie widywali.

Owym spadkobiercą był właśnie Shigeru, próba obalenia go siłą kłóciła się z ich wrodzonym poczuciem praworządności. Bestialstwa ludzi Arisaki tylko umacniały ich w przekonaniu, iż ich pan jest uzurpatorem, który usiłuje zdobyć władzę w sposób graniczący ze świętokradztwem, toteż ich obowiązkiem jest stawić opór. Nie istniał inny sposób, by to uczynić, jak opowiedzieć się po stronie Shigeru.

Tak więc płonęły kolejne wioski, patrole Arisaki dopuszczały się wciąż nowych okrucieństw, a Kikori przyłączali się do Shigeru - czasem pojedynczo, czasem po kilku, niekiedy całymi rodzinami - aż wreszcie zebrało się ich kilka setek: mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy wspinali się po wiodących strzelistymi zboczami ścieżkach, pomagali dźwigać nosze z rannymi; ponadto dostarczali bardzo potrzebnych zapasów żywności. Droga była ciężka, nawet dla wychowanych w górach Kikorich, w dodatku ich marsz spowalniała konieczność transportowania ze sobą rannych. Shukin, Shigeru i Horace zdawali sobie sprawę, że ludzie Arisaki wciąż nieustępliwie podążają za nimi, a odległość między ścigającymi a ściganymi każdego dnia nieubłaganie się zmniejsza.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie on się teraz znajduje - rzekł Shukin. W południe zarządził krótki postój, aby dać chwilę wytchnienia dźwigającym nosze, którzy skwapliwie skorzystali z okazji i legli pokotem na skraju drogi. Niektórzy skorzystali z okazji, by spożyć nieco ze skromnych zapasów żywności, jakie im pozostały. Inni tylko leżeli, starając się wypocząć i odzyskać siły, wykorzystać kilka minut wytchnienia na rozluźnienie obolałych mięśni.

Choć nikt nie podjął takiej decyzji, naturalną kolejną rzeczą Horace stał się jednym z przywódców grupy. Shigeru doceniał w nim znakomitego wojownika i doświadczonego żołnierza, cieszył się więc, że przyjmuje na siebie część brzemienia, jakie dźwigał jego kuzyn, Shukin. Spoglądając teraz na tych dwóch, cesarz uśmiechnął się smutno. Ani oni, ani reszta towarzyszących mu ludzi nie przywodzili swym wyglądem na myśl cesarskiej świty. Przemęczeni, ubłoceni, przemoczeni do suchej nitki, w szatach poszarpanych, podartych przez kolce i ciernie napotkane po drodze, uginający się pod ciężarem pakunków z żywnością oraz koców, z pewnością przypominali raczej bezdomnych włóczędzów, aniżeli cesarza wraz z dwoma głównymi doradcami. A potem spojrzął na miecz jednego i drugiego ze swych najbliższych towarzyszy - długi, prosty oręż Horace'a oraz katanę Shukina, krótszą, lekko zakrzywioną, o rękojeści przeznaczonej do oburęcznego chwytu. Wiedział, że na ich ostrzach nikt nie zdołałby się dopatrzeć ani jednej plamki. Ukryte w pochwach klingi każdego wieczora były czyszczone oraz ostrzone.

- Kiedy spodziewasz się powrotu ludzi posłanych na zwiad? - spytał Horace.

Dwa dni wcześniej Shukin spytał Kikorich, czy kilku z nich na ochotnika nie zechciałoby cofnąć się trasą przebytą przez cesarza; chodziło o to, by spróbowali zorientować się, jakie postępy zdołał poczynić Arisaka ze swym wojskiem. Chętnych nie brakowało. Wybrał spośród nich czterech krzepkich młodzieńców, którzy natychmiast ruszyli w drogę.

- To zależy, ile czasu im zajmie, nim odnajdą Arisakę - odrzekł Shukin. - Mam nadzieję, że pojawią się raczej później niż wcześniej.

Horace skinął głową. Gdyby wywiadowcy powrócili tej nocy, oznaczałoby to poważne powody do zmartwienia. Nawet jeśli brać pod uwagę, że pozbawieni obciążenia Kikori, sprawni i od urodzenia nawykli do górskich wędrówek, przemieszczać się mogą znacznie prędzej niż ludzie Arisaki, musieli przecież pokonać dwukrotnie tę samą odległość - tam i z powrotem. Gdyby więc powrócili w ciągu najbliższych dwunastu godzin, należałoby stąd wnioskować, że Arisaka znajduje się już nie więcej jak dwa dni drogi za nimi.

- Jak daleko stąd do Ran-koshi? - spytał Shigeru.

Shukin odpowiedział:

- Toru twierdzi, że lotem ptaka będzie około pięciu mil.

Horace skrzywił się.

- Nie jesteśmy ptakami - stwierdził, na co Shigeru odpowiedział zmęczonym uśmiechem.

- Tym gorzej dla nas.

Pięć tutejszych długich mil, to ponad dwadzieścia kilometrów - obliczył Horace. Jednak w rzeczywistości trzeba było je przebyć, wspinając się i schodząc znowu w dół, pokonując granie, okrążając skalne występy... Toteż odległość, jaką naprawdę będą musieli pokonać, wyniesie pięć do sześciu razy więcej i przez cały czas czeka ich forsowna wędrówka.

- Zatem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, dotrzemy tam za cztery dni - stwierdził Shukin. Była to raczej dość optymistyczna ocena. Ani Horace, ani Shigeru nie odpowiedzieli, choć Horace nie mógł powstrzymać refleksji, iż nie ma powodu, by akurat teraz nagle wszystko zaczęło iść dobrze.

W tyle usłyszeli głosy, wstali wszyscy, by przekonać się, co jest przyczyną zamieszania. Horace dostrzegł biegnących po ścieżce truchtem dwóch młodych mężczyzn, którzy mijali wypoczywających Kikorich, nie odpowiadając na zadawane im pytania. Dwaj przybyli potrząsali tylko głowami. W przeciwieństwie do większości wędrowców, mieli na sobie lekki strój, bez ciężkich płaszczy lub peleryn mających chronić przed chłodnym, górskim powietrzem. Ubrani byli w szerokie spodnie, koszule i solidne skórzane buty, zaś bagażu nieśli tylko tyle, ile trzeba było, żeby pomieścić niezbędne minimum żywności i wody. Krótko mówiąc, wyposażyli się tak, by móc szybko się przemieszczać... Horace poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, gdy rozpoznał ich jako dwóch z wywiadowców, których Shukin posłał na poszukiwanie Arisaki.

- Nie wygląda to najlepiej - stwierdził, spostrzegłszy poważny wyraz twarzy przybyłych. Shukin mruknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego; wszyscy trzej ruszyli drogą na spotkanie wywiadowców.

Tamci dostrzegli ich, więc przyspieszyli biegu, aż wreszcie znaleźli się przed cesarzem. Wówczas przyklękli na jedno kolano i pochylili głowy. Shigeru zaprotestował:

- Bardzo proszę, wstańcie, przyjaciele. Błotnista droga to nie miejsce na ceremonie - spojrzał wokół, ujrzał gromadzących się ludzi, którzy pragnęli jak najprędzej dowiedzieć się, co odkryli wywiadowcy. - Czy ktoś mógłby przynieść jedzenie i ciepły napój dla tych ludzi? I ciepłe odzienie także.

Kilku gapiów ruszyło, by spełnić żądanie władcy. Za to pozostali zbliżyli się jeszcze

bardziej, nie mogąc już doczekać się wieści. Shukin machnął na nich ręką.

- Zróbcie nam miejsce - polecił. - Wkrótce wszystkiego się dowiecie.

Cofnęli się z ociąganiem, nadal bacznie obserwowali dowódców i wywiadowców. Shukin zaprowadził wszystkich do miejsca, gdzie niedawno odpoczywali.

- Siądźcie, odetchnijcie - rzekł. Nie zwlekając, opadli na mokrą ziemię. Jeden z nich chciał przemówić, lecz Shukin uniósł dłoń, uciszając go. - Najpierw zjedzcie i wypijcie - powiedział; strawa oraz gorąca herbata pojawiły się już przed nimi.

Ci, którzy przynieśli tace, stali teraz obok, w nadziei, że uda im się coś podsłuchać. Jednak wystarczyło spojrzenie Shukina i wymowny ruch głową, by odeszli. Horace zrozumiał, że polecenie dowódcy, by najpierw wywiadowcy się posili, nie wynikało tylko z dobroci jego serca. Chodziło o to, żeby nikt postronny nie usłyszał, co mają do powiedzenia.

Wywiadowcy, hałaśliwie siorbiąc, pożerali łąpczywie pożywny wieprzowy rosół z kluskami. Horace widział, jak ustępuje napięcie i zmęczenie na ich twarzach.

Shukin odczekał, aż zjedzą większość posiłku.

- Znaleźliście Arisakę? - spytał półgłosem.

Obaj przytaknęli skinieniami głowy. Jeden, akurat z ustami pełnymi jedzenia, spojrzał na swego towarzysza, dając mu do zrozumienia, żeby odpowiedział.

- Jego armia znajduje się w odległości dnia drogi stąd - zabrzmiała wieść. Horace dosłyszał ciche westchnienie Shukina. Shigeru, jak zwykle, pozostawał niewzruszony.

- Jeden dzień! - w głosie Shukina słychać było niepokój. Chwycił się za głowę. Gest ten wyrażał skrajną desperację. Na Shukinie ciążyła tak wielka odpowiedzialność za ocalenie cesarza, a tymczasem okazało się, że jego nieprzyjaciele znaleźli się jeszcze bliżej, niż się spodziewał. - Jak to możliwe, że wędrują tak prędko?

Pierwszy wywiadowca zdążył już przełknąć i odzyskał głos:

- Arisaka nie daje im chwili wytchnienia, panie - oznajmił. - Bardzo mu zależy, żeby pojmać pana Shigeru.

- Jego ludzie mu za to nie podziękują - rzekł w zamyśleniu Horace, ale Shukin tylko machnął ręką.

- Jego ludzie nie mają nic do gadania. Przywykli do ślepego posłuszeństwa, Arisaka nie musi się liczyć z ich potrzebami. - Spojrzał na wywiadowców. - Gdzie wasi dwaj towarzysze?

- Zostali z tyłu, by obserwować Arisakę - odpowiedzieli. - Gdy znajdzie się w odległości pół dnia drogi, przybędą, żeby nas ostrzec.

- Biorąc pod uwagę, w jakim tempie się posuwa, nastąpi to jutro po południu -

zamyślił się Shukin. Następnie rozwinął mapę gór, którą narysowali wraz z Toru i zaczął ją studiować. A więc Arisaka znajdował się o dzień drogi od ich obecnej pozycji. Jeśli ruszą teraz i nie będą się zatrzymywać, potrwa dłużej, zanim ich dogoni, jednak, tak czy inaczej, nie zdołają przed nim uciec. Podniósł wzrok i skinął głową.

- Dziękuję wam obu - zwrócił się do wywiadowców. - Doskonale się spisaliście. A teraz odejdźcie, ubierzcie się ciepłej i wypocznijcie choć trochę. Wkrótce ruszamy w drogę.

Pokłonili się, odwrócili, lecz przywołał ich jeszcze:

- Zechciejcie poprosić, żeby przyszedł do mnie Toru, dobrze? - powiedział.

Skłonili się znów, odbiegli. Horace oraz Shigeru nie odzywali się, gdy Shukin przyglądał się sporządzonej naprędce mapie, stukając palcami w podbródek. Po kilku minutach przybył Toru.

- Wzywałeś mnie, panie? - odezwał się.

- Tak. Tak. Mniejsza z tym - rzekł Shukin, kiedy Toru zamierzał złożyć mu formalny pokłon. - Siadaj tutaj.

Starzec opadł na kolana, po czym usiadł na piętach. Horace pokręcił głową. Potrafił wytrzymać w tej pozycji zaledwie kilka minut, potem ból w kolanach, udach i kostkach stawał się nie do zniesienia. Tymczasem miejscowi byli w stanie przesiadywać tak całymi długimi godzinami.

- Arisaka znajduje się o dzień drogi od nas - Shukin powtórzył świeżo zdobytą wiadomość. Przewodnik nie pokazał po sobie, by zrobiła ona na nim jakiegokolwiek wrażenie. - Biorąc pod uwagę prędkość, z jaką nas dogania, pozostało nam przypuszczalnie zaledwie półtora dnia. Może dwa dni, o ile damy z siebie wszystko.

Umilkł, by dać Toru czas na przemyślenie tych informacji.

- Jak sądzisz, ile jeszcze potrwa, nim dotrzemy do Ran-koshi?

Kikori spojrzał w oczy Shukina.

- Jeśli nie przyspieszymy marszu, co najmniej cztery dni.

Shukin jakby przygarbił się, obarczony dodatkowym brzemieniem. Nie zaskoczyła go ta odpowiedź, lecz wbrew nadziei liczył, iż usłyszy inną, pomyślniejszą.

- W takim razie trzeba znaleźć jakiś sposób, aby opóźnić jego marsz - rzekł po chwili namysłu.

Twarz Toru rozjaśniła się, sięgnął po mapę, przyciągnął ją ku sobie. Wskazał palcem jakiś punkt.

- Tutaj, panie - rzekł. - Tej rozpadliny nie da się przejść, ale wiedzie przez nią most. Jeśli go zniszczymy, Arisaka będzie musiał ją obejść, a to długa droga... Wzdłuż tego

grzbietu, potem wzdłuż tej grani i dopiero następnie będzie mógł przekroczyć wąską dolinę. Potem zaś czeka go droga z powrotem - zakreślił dłonią na mapie trasę, jaką będzie musiał pokonać wróg. - Straci na to przynajmniej dwa tygodnie.

Shukin skinął głową, usatysfakcjonowany.

- Wyśmienicie. Zniszczymy ten most. Kiedy do niego dotrzemy?

Mina Toru zrzędała, kiedy przewodnik zdał sobie sprawę z błędu we własnym rozumowaniu.

- Panie, od tego mostu dzielą nas jeszcze dwa dni drogi. Arisaka dogoni nas, zanim tam dojdziemy.

Przez długą chwilę panowało milczenie, po czym Shukin zwinął starannie mapę i umieścił ją w skórzanej tubie.

- W takim razie, musimy jeszcze jakoś zyskać na czasie - stwierdził.

ROZDZIAŁ 21

Zachodnie wybrzeże Nihon-Ja rozciągało się przed nimi; okręt zbliżał się do niego, sunąc po szklistej tafli wody.

Przybrzeżne równiny szybko przechodziły w gęsto zalesione wzgórza. Za nimi wznosiły się łańcuchy stromych gór o szczytach pokrytych już śniegiem; niektóre z nich ginęły pośród nagnanych wiatrem szarych chmur.

Kraj sprawia wrażenie surowego - pomyślał Will, oparty o nadburcie obok Halta, który także przyglądał się nowej ziemi. Po tygodniach spędzonych na morzu, gdy wdychali tylko świeże, morskie powietrze, tym silniej wyczuł nowy zapach przyniesiony wiatrem: węgiel albo palone drewno. Znaczyło to, że znajdują się względnie blisko jakiegoś miasta albo dużej wioski, choć w tej chwili nie potrafili dostrzec żadnych zabudowań.

- Tam - odezwał się Halt, czytając w jego myślach. Wskazał długą mierzeję, wychodzącą daleko w morze na północ od nich. Will wyteżył wzrok, lecz nadal nie widział żadnych domów. Dopiero po krótkiej chwili zdał sobie sprawę, że Halt pokazuje mu utworzoną z dymu mgłę, unoszącą się w powietrzu. Sądząc po tym, jak rozległa była ta chmura, za przylądkiem rozciągało się spore miasto.

- Czy to Iwanai? - spytał Gundara.

Skirl jak zwykle nie odpowiedział od razu; powąchał powietrze, spojrzął na żagiel, splunął za burtę.

- Wyłynęliśmy trochę za bardzo na południe - stwierdził. Sprawiał wrażenie bardzo niezadowolonego z siebie, toteż Will uśmiechnął się pod nosem. Poznał już niejednego skandyjskiego skirla i wiedział, że największą ambicją każdego z nich jest trafić idealnie w wyznaczony punkt, choćby miało to oznaczać odnalezienie portu, do którego nigdy jeszcze dotąd nie zawinęli. Bez żadnych znaków orientacyjnych oprócz gwiazd, posługując się wyłącznie swymi wiadomościami z dziedziny nawigacji oraz instynktem tudzież kompasem i prostą listwą z ruchomą poprzeczką, Gundar doprowadził ich do miejsca oddalonego od celu zaledwie o kilka kilometrów.

- Uważam, że to świetny wynik, Gundarze - rzekł spokojnie Halt.

Skirl skrzywił się.

- Słabo. Mogłoby być lepiej.

Sprawdził wskazującą kierunek wiatru wełnianą nić i napał na drzewce sterowe, by skierować dziób ku północnemu zachodowi, z zamiarem ominięcia półwyspu odgradzającego ich od portu. „Wolfwill” przechylił się na burtę, po czym dokonał zwrotu.

- Co zrobimy, gdy już znajdziemy się w Iwanai? - spytał Will Halt. Jak dotąd ich podstawowym celem było odnalezienie portowego miasta pośrodku wybrzeża Nihon-Ja. Obecnie, skoro prawie już do niego dotarli, nadszedł czas, by rozważyć dalsze plany.

- Z wiadomości wysłanej przez George'a wynika, że człowiek, który przyprowadził go do miasta z gór, wciąż przebywa w porcie - odparł Halt. - Musimy nawiązać z nim kontakt. Pozostał lojalny wobec cesarza i być może zdoła nas do niego doprowadzić.

- Tak po prostu? - zdziwił się Will. - Wyjdziemy sobie na brzeg w całkiem obcym mieście zupełnie obcego kraju i spytamy: „Przepraszam, czy ktoś tu nie widział takiego pana, który jest znajomym George'a?”

Evanlyn zajrzała do listu, otrzymanego od George'a przed tygodniami.

- Na imię ma Atsu - odczytała. - Kontakt z nim mamy szukać w *ryokanie* zwanym „Shokaku”.

- W czym, zwanym jak? Co to takiego *ryokan*? - Will najwyraźniej nic nie rozumiał.

Evanlyn także uśmiechnęła się bezradnie.

- Nie mam pojęcia - wyznała. Spojrzała w stronę Alyss, oczekując od niej pomocy. Kurierka miała okazję sprawdzić obce słowa w książce z nihońskimi słowami oraz wyrażeniami przysłanej jej przez lady Pauline za pośrednictwem księżniczki Evanlyn.

- *Ryokan* to oberża - wyjaśniła. - A *shokaku* to rodzaj żurawia.

- Takiego do podnoszenia różnych rzeczy? - spytał Will.

- Takiego do latania. Chodzi o ptaka - poprawiła go. - Prawdę mówiąc, o ile dobrze zrozumiałam, *shokaku* oznacza „latającego żurawia”.

- To nawet ma sens, sam kiedyś widziałem latającego żurawia - zauważył Halt. - Zdziwiłbym się raczej, gdyby chodziło o „żurawia grającego w karty” lub „żurawia pijącego piwo”, choć to podobno oberża - umilkł, po czym spojrzał uważnie na Alyss. - Jesteś pewna, że zdołasz się porozumieć z tubylcami?

Alyss zastanowiła się.

- Czy ja wiem? Raczej tak, chociaż to całkiem inna rzecz uczyć się obcej mowy od cudzoziemców, a całkiem inna, kiedy przychodzi do kontaktów z miejscowymi, dla których to język ojczysty. Jednak mam nadzieję, że jakoś sobie poradzę. Przyszło mi natomiast na myśl coś innego - dodała. - Otóż sądzę, że kiedy wybierzemy się na brzeg, by poszukać owego Atsu, nie powinniśmy się tam udawać w zbyt licznej grupie.

Na ustach Halta pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Całkiem słusznie - przyznał. - Przypuszczam, że w samej rzeczy zwracalibyśmy na siebie niepotrzebnie uwagę, gdyby towarzyszył nam Selethen, Gundar oraz jeszcze paru roślących Skandian. Im mniej będziemy rzucać się w oczy, tym lepiej.

- Czyli wybierzemy się tylko w czwórkę? - skonstatowała Evanlyn, ale Halt natychmiast sprostował:

- W trójkę. Alyss, bo zna tutejszy język. Will, bo chcę, żeby ktoś pilnował moich pleców.

- Ale przecież... - zaczęła Evanlyn, której policzki od razu spąsowiały. Nie musiał jej tego tłumaczyć. Rzeczywiście, na cóż mogła się przydać podczas poszukiwań dawnego przewodnika George'a? A jednak drażniło ją, że została tak bezceremonialnie odsunięta na bok. Jedną z dominujących cech jej charakteru była dociekliwość, a poza tym uwielbiała znajdować się w centrum wydarzeń.

Halt uniósł jedną brew.

- Ale? - powtórzył.

- No, to niesprawiedliwe, prawda? - stwierdziła Evanlyn. - Bądź co bądź, to moja wyprawa. - Jej protest zabrzmiał wyjątkowo nieprzekonująco.

- Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy - pouczył ją Halt. - Choć masz słuszość, to twoja wyprawa...

Nim zdołał dokończyć, Evanlyn weszła mu w słowo, bowiem zdawało jej się, że argument padł na podatny grunt.

- Właśnie! Gdyby nie ja, nikt z was by się tu nie znalazł.

- Gwoli ścisłości, znaleźliśmy się tutaj przede wszystkim dzięki Gundarowi. - Will postanowił oddać sprawiedliwość dzielnemu szyprowi.

Księżniczka spiorunowała go wzrokiem.

Halt nie zamierzał dopuścić do dalszych sporów.

- Jak mówiłem, zanim mi przerwano... To twoja wyprawa, toteż na pewno ci zależy, żeby odniosła pożądany rezultat. Zgadza się?

- No, cóż... Skoro tak to ujmujesz. Oczywiście - musiała przyznać Evanlyn.

- A to oznacza, że w pierwszym rzucie na brzeg uda się jak najmniej osób - skonkludował Halt, a ton jego głosu wskazywał, iż uważa dyskusję na ten temat za zakończoną. Dodał jednak łagodniejszym tonem: - Uwierz mi, Evanlyn. Wiem dobrze, jak bardzo niepokoisz się o Horace'a.

Słowa Halta nieco zaskoczyły Willa.

- Chyba tak samo, jak my wszyscy? - powiedział.

Halt odwrócił się i spojrział na Selethena. Zdumiewające - zdawały się mówić jego wysoko uniesione brwi - z jakim trudem pewne oczywiste prawdy docierają do umysłu mojego byłego ucznia, choć skądinąd to przecież bardzo bystry młody człowiek. Zauważył, że wakiir uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie i równie dyskretnie skinął głową.

- Sądzę, że pod tym względem wszyscy się zgadzamy - odezwał się Selethen. - Dopóki nie zorientujemy się w sytuacji, powinniśmy jak najmniej rzucać się w oczy. A pod tym względem wy, zwiadowcy, nie macie sobie równych - uśmiechnął się do Evanlyn. - Nie wątpię jednak, że każdemu z nas we właściwym czasie dane będzie odegrać istotną rolę w tym przedsięwzięciu, księżniczko.

Evanlyn poddała się. Czuła się zawiedziona, ale z drugiej strony zdawała sobie sprawę, iż Halt podjął trafną decyzję. Liczna grupa cudzoziemców, którzy zadają dziwne pytania, z pewnością zwróci na siebie uwagę. To zaś mogłoby spowodować, iż tym trudniej będzie uzyskać od tubylców jakiegokolwiek informacji. Bo też i w rzeczy samej, jeśli doszło do buntu przeciwko cesarzowi, sytuacja w Iwanai może się okazać nadzwyczaj delikatna.

- Masz rację, Halt - stwierdziła.

Zwiadowca lakonicznie skinął głową, wyrażając uznanie dla jej rozsądku.

- Miło słyszeć, jak mówi to ktoś inny niż ja - zauważył wesołym tonem Will. - Nie zliczę, ile razy ja wypowiedziałem te słowa.

Halt zerknął na niego z ukosa.

- I jakże słusznie.

Will zaśmiał się cicho, spoglądając porozumiewawczo na Evanlyn. Księżniczka już pogodziła się z losem, toteż odwzajemniła jego uśmiech. Przecież w końcu zdawała sobie sprawę, że przede wszystkim chodzi o to, by dowiedzieć się, gdzie szukać Horace'a. Wszystko jedno, kto zdoła osiągnąć ów cel!

* * *

Nihońscy żeglarze po obu stronach wylegli na pokłady swoich statków, by przyjrzeć się „Wolfwill” wpływającemu powoli do portu w Iwanai. Po sylwetce okrętu poznali, iż nie jest to statek kupiecki, bowiem wąski, smukły kadłub nie zmieściłby wiele towarów. Zorientowali się więc, iż oglądają okręt wojenny. Być może piracki. Dlatego też Nihończycy uznali, że należy zachować ostrożność. Wielu z nich zwróciło uwagę na galion w kształcie wilka zdołbiący dziób i uznali go za wymowny symbol. Tym bardziej należało uważnie obserwować wszystkie poczynania cudzoziemskiego okrętu oraz jego załogi podczas pobytu w porcie.

- Wciągnąć wiosła! - zawołał Gundar.

Woda polała się na wiosłarzy, gdy unieśli drzewca do pionu. Opuścili je zaraz i złożyli w zagłębieniach pokładu. Okręt podchodził do pomostu ukośnie, mierząc dziobem w pustą przestrzeń pozostawioną między dwoma innymi statkami. Skupiony Gundar powolnym ruchem przesunął rumpel wiosła sterowego w prawo; po chwili okręt zaczął skręcać na bakburłę.

- Cumę rufową rzuć! - zawołał Gundar, a stojący za nim marynarz cisnął zwojem liny wysoko w powietrze, aż upadła na pomost. Natychmiast pochwyciło ją trzech mężczyzn, zaczęli przyciągać okręt do pomostu. Rufa okrętu zbliżyła się do niego; robotnicy portowi owinęli cumę wokół drewnianego pachołka, wypuszczając ją stopniowo, by hamować bieg statku.

- Cuma dziobowa! - zakomenderował Gundar. Druga lina zatoczyła wysoki łuk, ją także pochwyciono i owinięto wokół drugiego słupka. Okręt wytracił już całą prędkość i teraz przesunął się tylko bokiem w stronę pomostu. Czterech z wiosłarzy na sterburcie wyrzuciło zawieszane na linach wiklinowe odbijacze, by chronić deski poszycia przed zderzeniem z chropawą kamienną ścianą pomostu.

Zatrzeszczały w głośnym proteście, kiedy burta „Wolfwill” przygniotła je do wielkich głazów, a w następnej chwili zapanowała cisza, okręt znieruchomiał. Natychmiast na nabrzeże wyskoczyło dwóch marynarzy, by własnoręcznie zawiązać cumy. Gundar nigdy nie powierzyłby tego zadania portowym ciurom. Odetchnął głęboko i zwrócił się do swoich pasażerów:

- No - rzekł - to jesteśmy na miejscu.

ROZDZIAŁ 22

Shukin natrafił na odpowiednie miejsce do realizacji swego planu rankiem następnego dnia.

Zeszli właśnie do głębokiej doliny biegnącej między dwiema potężnymi graniami, jej dnem rwała górską rzeką. W górze swojego biegu, opadała wodospadem ze stromego, skalistego urwiska. Poniżej rozlewała się szeroko. Po obu stronach wznosiły się wysokie i spadziste brzegi. Shukin zatrzymał się, czekając, aż ostatni z Kikorich przemierzą bród. Z trudem posuwali się do przodu, bowiem na płyciźnie prąd stawał się jeszcze bardziej wartki.

- Kilku ludzi zdoła się tu bronić całymi godzinami - stwierdził. - Ludzie Arisaki mogą tędy podchodzić najwyżej po dwóch naraz.

Horace szybko się rozejrzył.

- Masz rację, brzegi są tak spadziste, że nie ma innej drogi. Przejść na drugą stronę mogą tylko tędy. Pozostaje jednak obawa, iż gdzieś w dole rzeki znajduje się kolejny bród, z którego mogliby skorzystać, a następnie zejść obrońców od tyłu.

- Nawet jeśli można przekroczyć tę rzekę gdzieś dalej, las na brzegach rośnie zbyt gęsto, by móc się prędko posuwać wzdłuż jej biegu. Nie, będą musieli przejść tędy.

Shigeru przytaknął:

- Poza tym w naturze Arisaki nie leży poszukiwanie okrężnej drogi - stwierdził. - Nie wycofa się, za wszelką cenę zechce przejść właśnie tędy, nie bacząc na życie swych ludzi.

- Tak właśnie myślę - stwierdził Shukin.

- Moglibyśmy po tej stronie wbić nieco zaostzonych palików - zauważył Horace. - W ten sposób zyskamy dodatkową pewność, że wróg nie nadejdzie szerszym frontem.

- Dobra myśli - skostatował Shukin. Rozejrzył się wokół, ujrzał Eiko spoglądającego w ich stronę. Poleciał kilku Kikorim, by ścięli i ogołocili z gałęzi kilka młodych drzew, naostrzyli drażki i wbili je ukośnie w dno rzeki, tak aby ich ostre końce wystawały nieco nad powierzchnię wody. Natychmiast do pracy zabrało się kilkunastu ludzi.

- Dobrze się składa, że w naszym gronie nie brak wprawnych drwali - skomentował Horace, uśmiechając się lekko.

- A zatem, kuzynie - rzekł Shigeru, starannie dobierając słowa - powziąłeś plan, by zostawić tu niewielki oddział, który będzie bronił przesmyku i opóźni marsz Arisaki na tyle, na ile będzie to możliwe?

Jednak Shukin potrząsnął głową, jeszcze zanim cesarz zdążył skończyć - tak, jak zresztą Shigeru się tego spodziewał.

- Nie tyle zostawić, co zostać razem z nimi - odparł. - Nie mogę wymagać od nich, by narażali się na niebezpieczeństwo, jeśli sam nie będę go z nimi dzielił.

- Shukinie, jesteś mi potrzebny - rzekł cicho Shigeru.

Jednak na obliczu Shukina malowała się determinacja, powziął już postanowienie.

- Moim obowiązkiem jest zapewnić ci bezpieczeństwo - oznajmił. - Mogę tego dokonać tylko w jeden sposób, a mianowicie zatrzymując ludzi Arisaki i dając ci tym samym szansę, byś dotarł do fortecy Ran-koshi. Kiedy spadną śniegi, będziesz tam bezpieczny.

- A wiosną? - spytał Shigeru. - Czy sądzisz, że wiosną nie będę cię potrzebował?

- Do tego czasu wiele się może zdarzyć. Uwierz mi, Shigeru, przemyślałem wszystko. W ten właśnie sposób najlepiej ci się przysłużę, a poza tym, jeśli powstrzymamy ich wystarczająco długo, zdołamy może wycofać się, skryć się pośród drzew i dołączyć do ciebie później.

Horace nagle zdał sobie sprawę, że Shukin zwraca się do Shigeru po imieniu, czego nigdy dotąd nie czynił; nie posłużył się żadnym z oficjalnych tytułów cesarza, nie nazywał go już swoim kuzynem. Oznaczało to pożegnanie na zawsze, bowiem nikt z obecnych nie łudził się, iż on lub którykolwiek z jego ludzi pozostałych u brodu, by walczyć z ludźmi Arisaki, zdoła skryć się pośród drzew i umknąć z życiem.

Shigeru spoglądał na kuzyna, przepełniony bezbrzeżnym smutkiem.

- Co najmniej kilku jeszcze wojowników chętnie zgodzi się dowodzić tym posterunkiem - stwierdził. - Rozumiem, że twoje poczucie honoru cię do tego skłania. Jednak tu stawką jest coś więcej niż twój honor.

- To prawda. Toteż nie czynię tego ze względu na honor, nie zaślepia mnie pycha. Powiedz zresztą, jak sobie wyobrazasz - co tu się wydarzy?

Shigeru rozłożył ręce.

- Ludzie Arisaki spróbują przejść. Ty ze swoimi ludźmi ich odeprzesz. Zatem spróbują ponownie. Aż wreszcie pokonają was i przejdą. Nie jesteś w stanie zatrzymać ich bez końca.

- Otóż to - przyznał Shukin. - Przesmyk daje nam tę przewagę, że nieprzyjaciele mogą nas atakować tylko po dwóch naraz, lecz, patrząc z drugiej strony, tylko dwóch naszych może go bronić jednocześnie. Idzie więc o to, by byli to nasi najlepsi wojownicy. A czy znasz kogoś w naszej grupie, kto dorównałby mi w walce na miecze?

Shigeru chciał coś odpowiedzieć, zawahał się, potem spuścił wzrok, bowiem wiedział

doskonale, że to nie próżne przechwałki ze strony Shukina, lecz, rzeczowe stwierdzenie faktu.

- Nie - odrzekł. - Ty jesteś z nas najlepszy.

- Tak jest. Dlatego to ja mam największe szanse, by jak najdłużej zatrzymać tu ludzi Arisaki.

- Tylko że wkrótce również Arisaka zda sobie z tego sprawę. Pośle najlepszych szermierzy, aż wreszcie, jeśli uzna to za konieczne, sam stanie do walki z tobą - stwierdził Shigeru.

Shukin uśmiechnął się ponuro.

- Byle tylko nie wpadł na ten pomysł zbyt prędko.

Shigeru umilkł. Obaj wiedzieli, że choć Shukin był wyśmienitym wojownikiem, nie mógł jako szermierz równać się z Arisaką.

- Zostanę z tobą - odezwał się nagle Horace, przerywając milczenie. Jednak obaj jego nihońscy przyjaciele stanowczo zaprotestowali.

- Nie mogę na to pozwolić - rzekł Shigeru. - Dość nieszczęścia, że mój kuzyn gotów jest to uczynić. Nie wolno mi dopuścić, aby poświęcił się także przybysz z zewnątrz.

- A prócz tego, *Kurokumo*, zależy mi, abyś służył swoją radą panu Shigeru pod moją nieobecność - dodał Shukin. - Potrzeba mu doświadczonego żołnierza, który by stał u jego boku. Teraz widzę jasno, że zesłał cię nam szczęśliwy los. Łatwiej mi będzie stanąć na czele tylnej straży, gdy będę wiedział, że posłużysz swym doświadczeniem i wiedzą cesarzowi. Zastąpisz mnie. To więcej znaczy, niż jeszcze jeden miecz w tym starciu.

Horace zaczerpnął tchu, by coś rzec, lecz Shigeru położył dłoń na jego przedramieniu.

- Shukin ma rację, Ors-san - powiedział, nie używając tym razem żartobliwego przydomku Horace'a. - Potrzebuję twojej pomocy.

Po krótkiej chwili Horace skapitulował. Skinął ponuro głową z wzrokiem wbitym w ziemię.

- Cóż, dobrze - podniósł głowę i spojrzał w oczy Shukina. - Możesz na mnie liczyć - dodał, co dowódca skwitował poważnym skinieniem głowy.

- Wiem o tym, Ors-san.

Horace zapragnął przerwać niezręczne milczenie, które zapanowało.

- Zachowajcie kilka z tych naostrzonych drągów - zaproponował. - Twoi wojownicy zdołają ugodzić nimi niejednego z ludzi Arisaki, jeszcze zanim tamci zdołają wyjść z wody na brzeg.

Shukin uznał to za dobrą myśl.

- Widzisz? - rzekł z uśmiechem. - Właśnie dlatego pragnę, abyś pozostał u boku

Shigeru.

- Proszę cię tylko o jedno: pamiętaj, że nie masz do czynienia z człowiekiem honoru, lecz ze zdrajcą. Zdrajcą, który użyje wszelkich dostępnych środków, aby cię pokonać.

- Bądź spokojny, z pewnością o tym nie zapomnę. A teraz podaj mi rękę, Ors-san. Zaszczycem i przyjemnością było móc cię poznać. - Nikt już nawet nie próbował udawać, że Shukin oraz jego ludzie mogą jakimś sposobem ocaleć. Horace uścisnął jego dłoń, a Shukin objął go lewym ramieniem. - W moich rzeczach znajdziesz podarunek dla ciebie - rzekł Shukin. - Zawinięty w żółty jedwab. Upominek, abys o mnie pamiętał.

- Nie potrzebuję niczego, by o tobie pamiętać. Trzymaj się, Shukinie.

Cofnął się o krok i zdał sobie sprawę, jak szorstko zabrzmiały jego słowa wobec obowiązującej tu powszechnie wyszukanej grzeczności. Jednak Shukin tylko się uśmiechnął. Potem objął ramieniem Shigeru. Obaj mężczyźni odeszli kilka kroków od Horace'a, on zaś odwrócił się, aby nie być świadkiem pożegnania. Rozmawiali cicho w ojczystym języku. Shukin przyklęknął na jedno kolano, spuścił głowę, a Shigeru położył na niej dłoń gestem przypominającym błogosławieństwo.

A potem Shukin wstał i głośno wywołał imiona kilku senshich. Występowali kolejno z szeregu.

- Zostajemy tutaj, by utłuc kilka z tych dokuczliwych komarów, które za nami podążają - oznajmił im. Wszyscy zrozumieli od razu. Pokłonili się Shigeru, a potem odwrócili się w stronę dowódcy. Jak zauważył Horace, tym razem nie padła prośba o zgłoszenia na ochotnika. Cóż, ci ludzie i tak przecież byli ochotnikami. - A teraz, kuzynie, ruszaj w drogę. Musisz przebyć tamten most, nim Arisaka znajdzie inną przeprawę przez rzekę. - Shukin znów zachowywał się, jakby istniała możliwość, że Arisaka nigdy nie zdoła przemóc ich obrony i zostanie zmuszony, by szukać okrzężnej drogi.

Shigeru skinął głową i odwrócił się. Horace po krótkiej chwili wahania ruszył za nim. Rozpoczęła się długa, mozolna wspinaczka na następną grań.

Horace słyszał za sobą, jak Shukin wydaje rozkazy swojemu oddziałowi straceńców, dzieląc go na dwuosobowe zespoły.

Grzbiet, na który wchodzili, okazał się jednym z najwyższych i najbardziej stromych, jakie dotąd przebyli. Ścieżka wiodła zakosami, toteż ciągle zmieniali kierunek i znów przechodzili nad miejscem, gdzie czekał Shukin, by stawić opór wrogowi, za każdym razem nieco wyżej. Od czasu do czasu między pniami drzew porastającymi zbocze dostrzegali drobne postacie przy brodzie. Shukin posłał jednego ze swych ludzi na przeciwległy brzeg, aby cofnął się jeszcze kilkaset metrów - dzięki temu miał pewność, że zostanie zawczasu

uprzedzony o tym, że wojska Arisaki nadchodzą. Pozostali siedzieli na trawie przy brzegu rzeki i wypoczywali. Wciąż jednak trzymali broń w pogotowiu. Za którymś razem, gdy szlak wiódł przez otwartą przestrzeń, Shukin akurat popatrzył w górę, dostrzegł ich i pomachał ku nim ręką.

Reito, jako najstarszy rangą dworzanin, doradca i członek straży przybocznej Shigeru, przejął teraz dowodzenie. Ponaglał wędrowców, zmuszając ich do utrzymania stałego tempa w mozolnej wspinaczce. Pięli się zygzakami pod górę; dotarli do dwóch trzecich wysokości zbocza i kolejnego zakosu, kiedy jeden z Kikorich wydał okrzyk i ręką wskazał przeciwległy stok.

Horace zatrzymał się i wsparł ciężko na lasce, jaką sobie sporządził, by łatwiej mu się szło po stromej, błotnistej ścieżce. Wciąż nawracająca mżawka sprawiała, że nawierzchnia szlaku nie schła. Chwilami jednak przestawało padać i wtedy ich oczom ukazywał się widok na całą dolinę. Właśnie przeszła jedna z fal, siąpienie ustało, powietrze znów stało się przejrzyste. Horace spojrzał na drugą stronę doliny, w kierunku wskazywanym przez drwa. Dostrzegł wyraźny ruch.

Małe postacie schodzące drogą w dół.

- Arisaka - rzekł do siebie cicho. Nie był to patrol czy straż przednia. Drogą wiodącą ku brodowi podążały setki wojowników. Szli szybko, różnym krokiem. Mniej więcej w połowie kolumny dostrzegł powiewające na wietrze sztandary. Tam zapewne znajdował się Arisaka. Zmrużył oczy, próbując dostrzec wrogię przywódcę, lecz dzieliła ich zbyt wielka odległość. Wędrujące postacie zlewały się w jedną masę, nie potrafił odróżnić szczegółów.

Kikori zatrzymali się i spoglądali w przelęknieniu na ścigające ich wojska. Widzieli je w odległości niespełna kilometra, choć w istocie, aby ich dogonić, oddziały Arisaki musiały przebyć wielokrotnie dłuższą drogę. Wiedzieli o tym, lecz i tak widok groźnego nieprzyjaciela wpływał na nich deprymująco.

Pochwyciwszy spojrzenie Reito, wskazał w stronę przeciwległego zbocza doliny.

- Szybko idą - stwierdził. - Prędkiej od nas.

Reito przytaknął.

- Nie niosą ze sobą rannych - odparł. - Ale pan Shukin ich zatrzyma - dodał z przekonaniem w głosie.

- Zapewne - potwierdził Horace. Zastanawiał się, jak wiele czasu zdołają zyskać dzięki poświęceniu Shukina. - Ale nie zwlekajmy, nie ma czasu do stracenia.

Reito odwrócił się, wykrzyknął rozkaz. Kolumna znów ruszyła naprzód; maszerowali, potykając się i ślizgając w błocie. Najciężej szło się tym, którzy wędrowali w tyle, bowiem

nawierzchnię szlaku udeptały przed nimi setki stóp. Oczy wszystkich zwracały się ku przeciwległemu stokowi doliny. Jednak wkrótce zasłoniły go drzewa. Co prawda, dzięki temu nie mieli wciąż przed oczyma nadciągającego zagrożenia, lecz Horace czuł się jednak niepewnie, wiedząc, iż zbliża się ono nieuchronnie, a jest niedostrzegalne.

Reito zarządził dziesięciominutowy postój dla odpoczynku i polecił, by zmienili się noszowi. Ci, którzy dotąd dźwigali rannych, z ulgą wyzbyli się ciężaru, ich zadanie przejęli mniej znużeni tragarze. Czas odpoczynku upłynął niczym jedna chwila; Reito znów zarządził wymarsz. Przemieszczał się wzdłuż kolumny, do przodu i do tyłu, zachęcając niekiedy zmęczonych do wzmożenia wysiłku, czasem żartując lub podnosząc na duchu tych, którzy tego potrzebowali. Horace'owi przeszło przez myśl, że w ten sposób Reito pokonuje drogę co najmniej dwukrotnie dłuższą niż pozostali.

Zbliżali się do szczytu grani, kiedy Shigeru wskazał skalny występ nieporośnięty lasem, z którego rozciągał się rozległy widok na dolinę. Kikori oraz senshi wspinali się dalej, tymczasem cesarz wraz z Horace'em wszedł na skały, by popatrzeć w dół.

Bród znajdował się bezpośrednio pod nimi. Po drugiej stronie rzeki zgromadzili się żołnierze Arisaki. Niewielka grupa wojowników przedzierała się przez wodę, brodząc po pas, aby zaatakować obrońców. Najwyraźniej nie było to pierwsze natarcie. Kilka ciał zwisało bezwładnie na płocie z zaostzonych drągów. Inne dryfowały z biegiem rzeki. Woda spływała czerwonymi smugami krwi.

Horace wyteżał wzrok, lecz potrafił dostrzec tylko czterech obrońców. Odetchnął z ulgą, gdy wypatrzył pokrytą błękitną laką zbroję Shukina. Cesarski kuzyn stał w wąskim przesmyku, oczekując kolejnego ataku. Towarzyszył mu drugi wojownik z dobytym mieczem w dłoni. Przed nimi przyklekli dwaj pozostali, każdy z nich trzymał w pogotowiu długi, naostrzony drąg. Kiedy napastnicy zbliżyli się jeszcze, cisnęli w nich tymi naprędcie sporządzonymi włóczniami. Jeden z atakujących upadł, a jego ciało porwał prąd, niosąc je na głębokie wody rozlewiska. Drugi zasłonił się mieczem, roztrzaskując godzące weń drzewce. „Włócznik” wycofał się natychmiast, pozostawiając w pierwszej linii Shukina oraz jego towarzysza.

W głębokim cieniu doliny błysnęły ostrza mieczy. Szczęk stali zderzającej się ze stalą, choć słabo słyszalny, docierał na górę, jednak ze znacznym opóźnieniem w stosunku do widocznych ruchów walczących, co utrudniało Horace'owi zorientowanie się w sytuacji.

W tym starciu padło jeszcze pięciu nieprzyjaciół, aż w końcu atakujący cofnęli się na środek przeprawy, by dokonać przegrupowania. Teraz jednak Horace dostrzegł, że również towarzyszący Shukinowi senshi z wolna opadł na kolana. Jeden z pozostałych odrzucił na bok

naostrzony drąg, dobył miecza i stanął u boku Shukina. Ranny odczołgał się w tył; zdołał przebyć w ten sposób kilka metrów, po czym znieruchomiał.

Shigeru dotknął dłonią ramienia Horace'a.

- Spójrz - rzekł, wskazując drugi brzeg.

Po przeciwnej stronie brodu jakaś postać stanowczym krokiem wchodziła właśnie do wody. Wojownikowi towarzyszyło co najmniej dziesięciu innych, nosił zbroję pokrytą laką w jaskrawym, cynobrowym kolorze.

- Arisaka? - domyślił się Horace. Shigeru poważnie skinął głową.

- Najwidoczniej uznał, że Shukin zatrzymywał ich już zbyt długo.

Horace spojrział na cesarza. Twarz Shigeru, zazwyczaj pogodna, a zarazem nieodgadniona, zmieniła się teraz nie do poznania. Dostrzegał na niej wyraz smutku i niepokoju.

- Czy Shukin ma jakieś szanse w starciu z Arisaką? - spytał.

Władca wolno pokręcił głową.

- Nie.

Rozpoczęło się kolejne natarcie. Dziesięciu ludzi towarzyszących Arisace rzuciło się naprzód zwartą masą, wymachując mieczami. Shukin i jego towarzysze stawili im opór, tnąc zawzięcie. Znowu ciała upadły w wodę, z oddali dobiegły okrzyki bólu. Jednak napór tak licznych przeciwników zmusił obrońców do cofnięcia się. W ten sposób atakujący zdołali opanować przyczółek na brzegu rzeki, wewnątrz palisady zbudowanej z naostrzonych drągów. Większość z nich skupiła się na wojowniku towarzyszącym Arisace. Shukin zaatakował więc na bok, uderzając w kłębowisko walczących, dwaj napastnicy padli, jeden po drugim. Jednak w tym celu musiał się odwrócić, a w rezultacie odsłonił się. Nagle postać w cynobrowej zbroi przesunęła się do przodu, odpychając swoich ludzi na bok, Shukin znalazł się w potrzasku. Odwrócił się momentalnie w stronę Arisaki, odparował cios jego miecza i ciał. Arisaka cofnął się o krok.

- Ranił go! - zawołał podekscytowany Horace. Zacisnął dłoń na ramieniu Shigeru. Jednak cesarz tylko potrząsnął głową.

- Zaledwie powierzchownie - stwierdził. W następnej chwili Horace przekonał się, że Shigeru miał rację. Arisaka znowu ruszył do ataku, a Shukin musiał cofnąć się pod gradem ciosów zadawanych ostrzem miecza Arisaki. - Ostrożnie, Shukinie! Pamiętaj, że on... Ach!

Okrzyk rozpaczony wydarł się z piersi Shigeru, gdy Arisaka zadał decydujący cios. Przedtem uderzył dwukrotnie, z oślepiającą szybkością, atakując Shukina najpierw z lewej strony, potem z prawej, od góry, za każdym razem wykonując piruet, by nadać swej klindze

jak największy impet. Shukin zasłaniał się desperacko, a wówczas Arisaka wykonał jeszcze jeden, trzeci obrót, klinga Shukina uniosła się, by zasłonić swego właściciela przed trzecim ciosem. Ten jednak nie padł. Zamiast tego w połowie piruetu Arisaka z oszłamiającą, błyskawiczną prędkością opuścił miecz i ciął z boku. Zaskoczony Shukin postąpił chwiejnie na bok, miecz wypadł mu z dłoni. Skulił się, opadł na kolano.

Niemal pogardliwie Arisaka uderzył znowu, postąpiwszy krok ku niemu.

Shukin opadł twarzą na piaszczysty brzeg. Nie poruszył się już. Dopiero po krótkiej chwili do Shigeru i Horace dobiegł wydobywający się z wielu gardzieli triumfalny okrzyk ludzi Arisaki.

Przyglądali się tej ostatniej walce, klęcząc. Teraz Horace wziął cesarza pod ramię i pomógł mu wstać.

- Trzeba ruszać w drogę - stwierdził. - Musimy wykorzystać czas, który dla nas zyskał.

ROZDZIAŁ 23

„Wolfwill” stał przycumowany do pomostu przez kilka godzin, nim zainteresowały się nim władze portowe Iwanai. Haltowi spieszyło się, by wyjść na brzeg i rozpocząć poszukiwania Atsu, lecz wiedział, że gdyby to uczynił, popełniłby poważny błąd.

- Nie ma co się pchać na brzeg, zanim się nie opłaciło portowego myta - jak to ujął Gundar. Zgodnie z powszechnie praktykowaną zasadą, nowo przybyli powinni wpierw otrzymać zgodę na lądowanie - zazwyczaj przyznawaną po uiszczeniu stosownej, sówitej opłaty. Gdyby zlekceważyli ów obyczaj, zwróciliby tylko niepotrzebnie na siebie uwagę, a co jeszcze gorsze, tutejsze władze mogłyby wydać im bezwzględny zakaz wyjścia na ląd. Dopiero późnym popołudniem na pomoście pojawiło się czterech wojowników senshi. Widząc ich, portowi robotnicy oraz rybacy szybko rozpierzchli się, schodząc zbrojnym z drogi. Senshi weszli na pokład „Wolfwill” bez zaproszenia, po czym ich dowódca odbył z Gundarem krótką rozmowę we wspólnej mowie. Piątka pasażerów przyglądała się temu, ukryta w ciasnej nadbudówce na rufie.

Oficer nie wykazał zainteresowania, a raczej wzgardę, gdy skirl powiedział mu, że okręt przybył ze Skandii, kraju położonego wiele tysięcy mil na zachód. Najwyraźniej w oczach nihońskiego wojownika cudzoziemiec, nawet jeśli przybył z bardzo daleka, pozostawał zaledwie cudzoziemcem, czyli istotą niższego rzędu, nie godną uwagi szlachetnych wojowników zaliczających się do kasty senshich.

Po chwili przybysze przeszli do właściwego celu swych odwiedzin. Rozpoczęły się targi z Gundarem o wysokość portowego myta. Kiedy wreszcie ustalili sumę, wyraz twarzy Gundara zdecydowanie dawał senshim do zrozumienia, że jej wysokość bardzo mu nie odpowiada, lecz nie jest w stanie nic na to poradzić. Widok ten wyraźnie wprawił wojownika w dobry humor. Przyjął z ironicznym uśmiechem złote monety odliczone przez Gundara. Potem ze swymi żołnierzami odszedł; maszerowali sztywnym krokiem, spojrzeli jeszcze za siebie i wybuchnęli śmiechem, reagując na jakąś zjadliwą uwagę dowódcy.

Kiedy znaleźli się już w bezpiecznej odległości, Halt oraz pozostali wyszli z kabiny.

- O ile dobrze zrozumiałem, nasi gospodarze targowali się nieustępliwie? - zauważył Will, pamiętając nieszczęśliwy wyraz twarzy Gundara, gdy ten wręczał pieniądze. Ku jego zaskoczeniu, skirl roześmiał się gromko.

- Nieustępliwy? Ten chłopaczyna? Targował się tak nieudolnie, że gorzej już chyba nie można! - odparł szyper z szerokim uśmiechem. - Zbyt wiele uwagi poświęcał ciskaniu obelg na *gaijinów*... - przerwał i spojrzał na Alyss. - A tak przy okazji, co to takiego *gaijin*?

- Cudzoziemiec - wyjaśniła.

Gundar zmarszczył czoło, zdziwiony.

- No, to dlaczego mnie tak nazywał? Przecież to on jest cudzoziemcem, nie?

W kącikach ust Halt pojawił się nieznaczny uśmieszek. Gdziekolwiek losy nie rzuca Gundara, tam będzie czuł się jak u siebie w domu.

- Gadaj, ile w końcu zapłaciłeś? - wrócił do tematu, a oblicze Gundara znów się rozpromieniło.

- Ledwie połowę tego, co mógłby ode mnie uzyskać! Ten dzieciuch chyba od niedawna para się swoim zajęciem - zachichotał, wspominając rozmowę z aroganckim, lecz nieudolnym oficjelem. - Tak przy okazji, ów napuszony kogucik powtarzał kilka razy, że pobiera opłatę w imieniu pana Arisaki. A to on właśnie, jak się zdaje, sprawia kłopoty cesarzowi. Prawda?

- Ładnie to ująłeś - wtrącił Selethen. Sposób bycia i chodzenia na sztywnych nogach portowych urzędników rzeczywiście przywodził na myśl czupurnego koguta. Tymczasem Halt odpowiedział na pytanie Gundara:

- Owszem, to on. I prawdopodobnie właśnie dlatego udało ci się uzyskać tak niskie myto. Istnieje prawdopodobieństwo, że ten oficer sprawuje swój urząd dopiero od czasu przejścia władzy przez Arisakę.

Evanlyn zastanowiła się:

- Jeśli tutaj rządzą ludzie Arisaki, trudniej będzie nawiązać kontakt z Atsu.

Halt przytaknął:

- Owszem. Może to potrwać dłużej, niż się spodziewaliśmy. - Zwrócił się do Alyss: - Może powinniśmy wziąć sobie pokoje w tym miejscu, które nazywasz *ryokanem*. Wiesz, tym od pijanego żurawia.

- Chodziło o lecącego żurawia - sprostowała. - Ale to chyba dobry pomysł. W ten sposób Atsu mógłby zbliżyć się do nas, nie rzucając się w oczy. Pewnie nie chciałby, żeby go widziano w pobliżu cudzoziemskiego okrętu.

- Wyjdziemy na brzeg dziś wieczorem - oznajmił Halt Gundarowi. - Po nastaniu ciemności, bowiem zależy nam, żeby jak najmniej tubylców nas widziało. Dasz swoim ludziom pozwolenie zejścia na brzeg?

Gundar skinął głową.

- Taki miałem zamiar. Zasłużyli. Jednak dopilnuję, żeby trzymali się z dala od kłopotów.

- Doskonale. Możliwe, że zatrzymamy się w tamtej oberży na więcej niż jedną noc, toteż postaraj się, żeby twoi ludzie nie wychodzili poza region portu. Niech nie zapuszczają się dalej w miasto.

- Większość tego, czego im trzeba, znajdzie się w okolicy portu - odparł Gundar. - To coś ma się pienić, podawane zwykle bywa w kuflach i niczego im więcej nie trzeba.

Halt odezwał się teraz przeproszającym tonem do Selethena oraz Evanlyn:

- Obawiam się, że was muszę prosić, abyście zostali na pokładzie i postarali się, by nikt was nie widział - rzekł. Oboje natychmiast się z nim zgodzili, chwytając w lot tok jego myślenia.

- Masz rację - stwierdził Selethen. - Zbyt wielu egzotycznych *gaijinów* wałęsających się po okolicy mogłoby wzbudzić niezdrowe zainteresowanie, a przez to spłoszyć naszego człowieka.

Evanlyn uśmiechnęła się do wakira.

- Mnie również zaliczasz do egzotycznych *gaijinów*? - spytała, na co odpowiedział głębokim ukłonem.

- Być może najegzotyczniejsza z nas wszystkich, pani - powiedział.

Halt z zadowoleniem skonstatował, iż najwyraźniej pogodzona z jego decyzją, aby została na pokładzie, Evanlyn nie upiera się już, żeby im towarzyszyć. Nagle przypomniało mu się coś innego:

- Alyss, czy zdołałabyś coś uczynić, żeby przybrać mniej egzotyczny wygląd, skoro już o tym mowa? Szczególnie mam na myśli twoje włosy.

Skinęła głową.

- Już o tym pomyślałam. Zaraz się nimi zajmę. Wstała i już miała odejść, kiedy zaskoczyło ją pytanie Evanlyn:

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

Alyss zareagowała uśmiechem na nagłą propozycję księżniczki.

- Jak najbardziej, bardzo chętnie - odpowiedziała. - Pomoc zawsze się przyda, a chyba każda dziewczyna chętnie usłyszy opinię drugiej, jeśli bierze się za zmianę fryzury.

Obie znikły w nadbudówce na rufie. Will spoglądał na nie przez chwilę, po czym spytał Halta:

- Czy masz dla mnie jakieś zadanie? Mam może zapuścić brodę? Albo na przykład nauczyć się chodzić jak kogut?

- Owszem, chętnie poprosiłbym cię o jedno: żebyś przestał zadawać te swoje strasznie dowcipne pytania - usłyszał odpowiedź Halt. - Obawiam się jednak, że w twoim wieku ta przypadłość jest już nieuleczalna.

* * *

Halt oraz Will czekali przy trapie na Alyss. Obaj zwiadowcy przedstawiali sobą raczej niepozorny widok, okryci plamistymi płaszczami, z kapturami na głowach zasłaniającymi twarze. Oczywiście, nie sposób ukryć długich łuków, toteż Halt zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie należałoby pozostawić ich na pokładzie. Jednak uznał, że wybierają się na terytorium wroga, a nie zamierzał udawać się na taką wyprawę bez swojego podstawowego oręża.

Otworzyła się kłapa wejścia do kabiny, na pokład wyszła Alyss.

Ubrała się w długi, ciemny płaszcz, również zaopatrzone w kaptur, także zacinający jej twarz. Wzrostu, rzecz jasna, nie dało się ukryć. Jednak przygarbiła się nieco, aby zanadto się nie wyróżniać. Kiedy podeszła do nich i odrzuciła w tył kaptur, Will aż stęknął ze zdumienia.

Jej długie włosy znikły, zostały przycięte na krótko. Przynajmniej w większości zmieniły kolor. Połyskliwy blond ustąpił miejsca barwie kruczoczarnej. Uśmiechała się doń znajoma twarz Alyss, lecz w obramowaniu ciemnych włosów wyglądała zupełnie inaczej. Ależ tak, i sama twarz się zmieniła: kiedy przyjrzał się dokładniej w migoczącym świetle latarni, zdał sobie sprawę, iż posłużyła się jakimś barwnikiem, aby nadać skórze ciemniejszy odcień; przybrała teraz lekko brązowy odcień.

- O rany, o rany! - odezwał się. Ta przemiana wprowadziła go w najwyższe pomieszczenie. Oto miał przed sobą Alyss. Lecz z drugiej strony, to nie ona. Tak jakby ujrzał obcą osobę, która ma oczy jak Alyss i uśmiecha się jak Alyss.

- Nie jestem pewna, czy to miało wyrażać zachwyt - zauważyła Alyss, dzięki czemu Will miał okazję dodać do listy znajomy głos, niewątpliwie należący do Alyss.

- Wyśmienicie, Alyss - pochwalił ją Halt. - Dokonałaś naprawdę niezwyklej przemiany.

- Większości dokonała Evanlyn - stwierdziła Alyss, zwracając się w stronę wychodzącej właśnie na pokład księżniczki. - Sama nie byłabym w stanie obciąć włosów, poza tym to ona wpadła na pomysł, żeby przyciemnić mi skórę.

- O rany, o rany - powtórzył Will. Alyss spojrzała na niego cokolwiek gniewnie. Odnotował znajomą minę, niezwiastującą skądinąd niczego dobrego.

- Musisz to w kółko powtarzać? - spytała.

- Ale... Jak ty to zrobiłaś? - zapytał Will.

Alyss machnęła ręką.

- Jestem kurierką - przypomniała. - Nigdy nie wiemy, kiedy trzeba będzie udawać kogoś innego, toteż w naszym standardowym zestawie podróznym zawsze znajduje się nieco specyfików pomagających zmienić wygląd. Farba do włosów, barwnik do skóry i temu podobne. Włosy ścięłyśmy, bo miałam tylko małą buteleczkę czarnej farby do włosów.

- Cóż, na mieszkankę tej krainy i tak nie wyglądasz - stwierdził Halt - ale z pewnością nie wzbudzisz takiego zainteresowania, jakie niewątpliwie by nam towarzyszyło, gdybyś pozostała przy swej dawnej, jasnowłosej tożsamości.

Selethen przyglądał się od kilku minut nowemu wcieleniu Alyss.

- Osobiście, ponieważ przywykłem do widoku dam o ciemniejszej skórze, muszę stwierdzić z zachwytem, iż odmiana jest olśniewająca.

Alyss odpowiedziała mu uśmiechem i dygnięciem. Spostrzegła jednocześnie, że Will właśnie zaczerpnął tchu, by wygłosić kolejny komentarz, toteż nie patrząc już na niego, rzuciła:

- Jeżeli jeszcze raz powiesz „o rany, o rany”, dostaniesz kopniaka.

Ponieważ to akurat zamierzał powiedzieć, nie odezwał się wcale.

Cała trójka przeszła trapem i znalazła się na pomoście. Gdy doszli do ulicy biegnącej wzdłuż nabrzeża, zatrzymali się.

- W prawo? Czy w lewo? - spytał Halt.

- Może prosto? - zaproponował Will.

Rzeczywiście, również w tamtym kierunku prowadziła szeroka ulica, rozświetlona latarniami, zapewne pełna sklepów, tawern i barów. Trudno było rozszyfrować szyldy, bowiem wszystkie napisano w nieznanym im języku, niezrozumiałymi nihońskimi literami. Ulica nie prowadziła prosto, raczej skręcała to w jedną, to w drugą stronę, dzięki czemu lepiej można było dostrzec odchodzące od niej mniejsze uliczki i boczne alejki. Z tych trzech możliwości, droga na wprost wydała się Haltowi najbardziej obiecująca. Postąpił więc krok w tym kierunku, po czym zawahał się.

- Mężczyźni! Dlaczego mężczyźni nigdy nie pytają o drogę? - zastanowiła się na głos Alyss. Dostrzegła właśnie grupkę siedzących na nabrzeżu tubylców, dzierżących nad ciemną wodą długie wędziska. Podeszła ku nim, a kiedy zwrócili spojrzenia w jej stronę, ukloniła się grzecznie. Jeden z nich wstał i także odpowiedział ukłonem. Wysłuchał w milczeniu pytania Alyss, a następnie ożywił się, zaczął wskazywać ręką, wymachiwać ramionami - najwyraźniej chodziło o następujące po sobie zmiany kierunku. Potem jeszcze pokazał jej dłoń z

wyprostowanymi trzema palcami, aby upewnić się, że zrozumie go w pełni. Pokłoniła się znów i wróciła do Halta oraz Willa.

- Co ci powiedział? - spytał Will.

Zaśmiała się.

- Powiedział, że świetnie mówię po nihońsku. Tylko potem zepsuł wszystko, bo dodał „jak na *gaijina*”. Ale tak czy inaczej, to chyba jednak komplement.

- Czy twój wyśmienity nihoński okazał się wystarczająco wyśmienity, żebyś zrozumiała, jak dojść do tego *rokyanu*? - spytał złośliwie Will.

- Mówi się *ryokanu*, a odpowiadając na twoje pytanie: owszem. Najpierw główną ulicą, do trzeciej latarni. Potem w lewo, potem czwarta ulica w prawo. Na gospodzie umieszczono szyld przedstawiający żurawia - lecącego żurawia - dodała na użytek Halta. Siwowłosy zwiadowca tylko wzruszył ramionami.

- A więc miałem rację, trzeba iść prosto - stwierdził, gdy wyruszyli w drogę.

Budynki wznosiły się blisko siebie, sporządzono je z belek i pokryto strzechami. Drzwi oraz okna zakrywały przesuwane ekrany, przez które prześwitywało ciepłe światło płonących wewnątrz lamp. Halt podszedł bliżej do jednego z domostw i przyjrzał się panelom drzwi.

- To papier - oznajmił. - Gruby papier. Przypuszczalnie nawoskowany albo nasączony olejem, aby nie przepuszczał wody deszczowej. Jednak przepuszcza światło, a zarazem nikt nie może zajrzeć do środka. Przemysłne.

- Nie takie znów przemysłne, jeśli zbój zechce się włamać - zauważył Will. Jego zdaniem drzwi oraz okna sprawiały zdecydowanie niesolidne wrażenie.

- Może tutaj nie ma złodziei? - wyraziła przypuszczenie Alyss.

Doszli do trzeciej latarni ulicznej, wiszącej na drągu i kołyszącej się od podmuchów wiatru; skręcili, po czym weszli w boczną ulicę. Tutaj budynki tłoczyły się, jakby chciały wyjść sobie na spotkanie i wspólnymi siłami zagrozić wąski przesmyk uliczki. Główną ulicą, przestronną i szeroką, hulał tylko wiatr. Tymczasem miejscowe kobiety dreptały szybko w swych długich, wąskich sukniach, mężczyźni zaś maszerowali swobodniejszym krokiem. Przechodnie spoglądali na cudzoziemców. Od razu orientowali się po strojach, iż mają do czynienia z przybyszami, nawet nie widząc ich twarzy i rysów pod kapturami.

Z mijanych domów do uszu przybyszów dochodziły urywki rozmów, wybuchy śmiechu. Od czasu do czasu rozsuwały się drzwi, ktoś pojawiał się w wejściu, zegnając tych, którzy pozostali wewnątrz. Wychodząc na ulicę ów ktoś dostrzegał trzy sylwetki o cudzoziemskim wyglądem, przemykające pośród cieni. Czasem zatrzymywał się, żeby na nie

popatrzeć, lecz zainteresowanie wkrótce mijało. W morskim porcie, jakim było to miasto, tubylcy przywykli do widoku obcokrajowców.

- Zwracamy na siebie uwagę - rzekł półgłosem Will.

Halt spojrział na niego z ukosa.

- Ale nie tak bardzo, w biały dzień sytuacja przedstawiałaby się znacznie gorzej - stwierdził. - Widzieli nas tylko mieszkańcy miasta, nie żołnierze Arisaki. Przynajmniej jak dotąd.

- Może nie zapuszczają się w boczne uliczki o tej porze. Jak tam, Alyss?

Na zacienionej kapturze twarzy Alyss malował się wyraz wielkiego skupienia. Boczna uliczka lawirowała jeszcze bardziej niż główna, wiła się i skręcała, ponadto odchodziły od niej kolejne mniejsze alejki oraz dróżki prowadzące do poszczególnych budynków. Trudno było ocenić, gdzie zaczynała się ulica, a gdzie weszliby w zwykły ślepy zaułek.

- Cicho, właśnie liczę - powiedziała. Potem wskazała wąski przesmyk po prawej stronie. - Chyba tędy.

Zapuscili się więc w kolejny zakamarek. Aż roilo się w nim od ludzi, musieli przeciskać się pośród niespiesznego tłumu. Mieściły się tu wyraźnie liczne jadłodajnie, a przechodnie tarasowali drogę, pogrążeni w lekturze jadłospisów wypisanych na wywieszonych deskach.

- *S'mimasen* - powtarzała Alyss za każdym razem, gdy zdarzyło jej się zderzyć lub potrącić kogoś z przechodniów.

- Co to znaczy? - spytał Will, kiedy znaleźli się na mniej zatłoczonym odcinku ulicy. Imponowało mu, jak sprawnie Alyss posługuje się tutejszym językiem.

- To znaczy „przepraszam” - wyjaśniła Alyss, choć na jej twarzy pojawił się cień wątpliwości: - Przynajmniej taką mam nadzieję. Niewykluczone, że powtarzam tym wszystkim miłym ludziom „zachowujesz się jak tłusta, śmierdząca maciora”. Podobno wszystko zależy od właściwej wymowy, która może zupełnie zmienić znaczenie zdania.

- Być może, ale tego słówka chyba warto się nauczyć - uznał Halt. Widział zresztą, jak ludzie reagują na przeprosiny Alyss. Zwykle odpowiedzią było skinienie głowy, po czym szli w swoją stronę. Można było z powodzeniem przyjąć, iż używa właściwego określenia. I on pozostawał pod wrażeniem lingwistycznych popisów Alyss. Paulina będzie z niej dumna - pomyślał - i zanotował w myśli, by opowiedzieć swojej żonie, jak świetnie radziła sobie jej wychowanka.

- To tutaj - odezwała się nagle dziewczyna, wskazując piętrowy budynek po drugiej

stronie ulicy. Prezentował się okazalej od sąsiednich domostw. Jego ściany zbudowano z solidnych bali, a przestrzenie między nimi wypełniono gliną czy błotem. We frontonie budynku umieszczono kilka zasłoniętych woskowanym papierem okien, cztery spoglądały na ulicę z pierwszego piętra. Drzwi wejściowe wykonano z solidnych desek.

Obok tych drzwi wisiał w poprzek ulicy szyld przedstawiający ptaka w locie. Pod nim widniało kilka nihońskich ideogramów, namalowanych jeden pod drugim, z boku.

- Nawet przypomina żurawia, nie powiem - stwierdził Will - no, i widać, że leci.

Halt przyjrzał się desce.

- Równie dobrze mógłby to być pelikan - skrzywił się. - Ale bądźmy wyrozumiali wobec ptaszyska.

Idąc przodem, otworzył drzwi. Poczul nadchodzącą falę ciepła. Zatrzymał się na chwilę, by ogarnąć wzrokiem pomieszczenie, a następnie wkroczył do środka.

ROZDZIAŁ 24

Przemoczeni, ubłoceni i wyczerpani, dotarli wreszcie do wąskiego mostu. Horace przyjrzał się uważnie wiszącej konstrukcji. Nie sprawiała wrażenia stabilnej. Most był wąski, po ułożonych w poprzek deseczkach można było przechodzić tylko gęsiego. Cztery grube liny utrzymywały kładkę: do dwóch przymocowano deski, dwie pozostałe pełniły rolę poręczy. Cieńszymi linami połączono owo niezbyt pewne oparcie dla rąk z linami umieszczonymi niżej. W ten sposób powstała zapleciona zygzakowato barierka mająca zabezpieczyć przechodzących przed upadkiem. Poręcze rozwieszono szerzej niż samą kładkę, toteż most w przekroju miał kształt odwróconego trapezu. Kiedy Horace spojrział na przepaść ziejącą poniżej i stwierdził, że most kołysze się i wibruje lekko na wietrze, jego przeświadczenie, iż czeka ich nie lada przeprawa jeszcze się wzmogło.

Trudność była tym większa, że Horace cierpiał na lęk wysokości. Zebrał się jednak w sobie, wziął głęboki wdech i chwytając mocno za boczną linę wszedł na wąskie deseczki.

Gdy tylko postawił na nich stopę, most jakby ożył, rozkołysał się w górę oraz na boki. Uszu dobiegł szum wody płynącej daleko w dole, rozbijającej się o skalne progi. Horace cofnął się czym prędzej na stały ląd, zdając sobie zarazem sprawę, że w tej specyficznej sytuacji stał się zawadą dla towarzyszy. Przecież Kikori, przywykli do takich przepraw, przejdą przez most znacznie prędzej niż on. Gdyby Horace wyruszył jako pierwszy, opóźniłby ich przemarsz.

- Idźcie, ja zaczekam - polecił. Dał znak najbliższemu z senshich, by ruszył przodem.

Wojownik wstąpił na most. Stał przez krótką chwilę, aby pochwycić rytm poruszeń konstrukcji, po czym śmiałym krokiem poszedł przed siebie. Za nim Reito i kilku innych senshich. Dotarli szybko na przeciwległy brzeg. Potem przeszedł Shigeru, za nim pierwsi dwaj Kikori niosący nosze. Weszli ostrożnie na kładkę, idąc wolniej, bowiem musieli skoordynować nie tylko własne ruchy z kołysaniem mostu, lecz także zgrać się ze sobą wzajemnie. Eiko, który się temu przyglądał, zaproponował dwóm następnym tragarzom odmienną taktykę. Zatrzymali się i położyli nosze. Jeden z nich przerzucił rannego przez ramię i ruszył na drugą stronę. Rzeczywiście, Horace zauważył, że w ten sposób poruszał się znacznie prędzej. Drugi szedł za nim, dźwigając na ramieniu zwinięte nosze.

W ten sposób przetransportowano na przeciwległy brzeg także pozostałych rannych.

Kiedy uporali się z tym zadaniem, do przeprawy zabrała się reszta Kikorich. Ponieważ mogli poruszać się swobodnie, nie musieli przechodzić pojedynczo. Maszerowali przez most w stałym tempie, gęsiego, lekko i pewnie stawiając stopy. Gdy Kikori znaleźli się już po drugiej stronie, na most weszli pozostali w tyle wojownicy senshi. Nie poszło im tak łatwo, jak Kikorim, lecz jeśli poruszali się ostrożnie, byli w stanie iść mostem po trzech lub czterech naraz. Grupa czekająca na przeprawę szybko topniała.

Horace czekał i niepokoił się. Właśnie ujrzał, jak trzy setki ludzi przebyły most, toteż zyskał przynajmniej pewność, co do jego wytrzymałości. Spojrzał niespokojnie na drogę za siebie, wypatrując pojawienia się pierwszych ludzi Arisaki.

- *Kurokumo!* Już czas!

Ostatni z senshich pociągnął go za rękę, wskazując kciukiem most.

Horace skinął głową.

- Idź - rzekł. - Pójdę zaraz za tobą.

Odczekał, aż tamten dojdzie do połowy kładki, po czym ponownie na nią wstąpił. Odczekał, aż nieco się ustabilizuje, próbując pochwycić dziwaczny, kołyszący się rytm, po czym zaczął przesuwac stopy, stawiając je ostrożnie, jak najbliżej środka desek. Jednak mimo wszystko kołysanie przyprawiało go o zawrót głowy, ze wszystkich sił starał się nie patrzeć w dół. Nagle powróciło dawne wspomnienie - jak Will pokonał wielki most Morgaratha w Celtii. Przebiegł leciutko po wąskim belkowaniu, na którym nie ułożono jeszcze desek.

- Szkoda, że cię tu nie ma, Willu - rzekł do siebie. Parł dalej naprzód.

Zdażył przebyć dwie trzecie drogi, kiedy usłyszał z drugiej strony alarmujące okrzyki. Zatrzymał się, wykręcił tułów, by spojrzeć za siebie przez ramię. Dostrzegł zbrojnych biegnących ścieżką. Wiedział, że pozostało co najwyżej pięć minut nim dotrą do mostu. Nie spodziewał się, że przybędą tak prędko. Przyszło mu na myśl, że Arisaka pewnie posłał przodem kolejny patrol, pozbawiony jakiegokolwiek obciążenia oprócz broni.

- Nie zatrzymuj się, Ors-san! - to był głos Reito, który krzyczał do niego z drugiej strony przepaści. - Naprzód, naprzód!

Pobudzony do działania, ruszył przed siebie, nie zwracając już uwagi na wzmagające się kołysanie wiszącej kładki. Trzymał się mocno linowych poręczy; teraz niemal biegł. Kilku Kikorich ustawiło się w miejscu, gdzie umocowano liny z siekierami gotowymi do uderzenia. Słyszał rozlegające się w tyle okrzyki nadsięgających ludzi Arisaki. Rozbrzmiewały coraz bliżej.

- Przygotujcie linę! - zawołał. - Długą i mocną linę!

Z ulgą stanął na drugim brzegu. Odwrócił się natychmiast i ujrzał pierwszych ludzi

Arisaki stąpających ostrożnie po kładce.

Posuwali się do przodu powoli, niepewnie. W przeciwieństwie do Kikorich, nie urodzili się i nie wychowali w górach. Lecz jednak szli naprzód, nieubłaganie, choć powoli.

Topory Kikorich załomotały o liny podtrzymujące most. Potężne sznury nie ustępowały łatwo, zapleciono je mocno i nasączono smołą, która stwardniała przez lata niemal na kamień. Istniała więc obawa, że ludzie Arisaki zdołają dotrzeć do przeciwległego brzegu, zanim topornicy zdołają uporać się z co najmniej dwiema linami.

Horace dostrzegł jednego z Kikorich, który stał obok niego z długim sznurem. Skinął w jego stronę.

- Szybko! Obwiąż mnie w pasie!

Mężczyzna natychmiast zrozumiał, czego od niego żąda, podbiegł i szybko zawiązał wokół pasa Horace'a pętlę, zabezpieczając ją z tyłu solidnym węzłem.

- Doskonale! Wypuszczaj ją po trochu, w miarę, jak będę się oddalał! - polecił Horace. Zsunął z ramienia tarczę, wsadził rękę w uchwyty. Dobył miecza. Zacerpnął tchu i wyszedł znowu na most. Kikori, który obwiązał go liną, wypuszczał ją, zachowując między sobą a Horace'em nieco luzu, aby nie krępować ruchów młodego rycerza. Przywołał ku sobie towarzyszy, jeszcze trzech mężczyzn pochwycili za sznur.

Tym razem Horace zmierzał pewnie, bez obawy. Lęk ustąpił; teraz myślał tylko o tym, żeby powstrzymać nadchodzących nieprzyjaciół. Zdawał sobie sprawę, że prawdziwe zagrożenie na tak niestabilnym podłożu wynika przede wszystkim z napięcia mięśni, gdyby sobie na nie pozwolił. Należało się rozluźnić, poddać kołysaniu kładki. Mało kto zdołałby się z nim równać pod względem koordynacji ruchów, toteż wystarczyło, że skoncentrował się na rozluźnieniu mięśni.

- Wyobraź sobie, że jedziesz konno - polecił samemu sobie. Poskutkowało, natychmiast zdołał dostroić się do poruszeń tańczącej pod nim kładki, unoszącej się w górę i opadającej w dół, kołyszącej się na boki. Przeszedł kilka metrów, po czym zatrzymał się. Pierwszy z senshich również stanął kilka metrów przed nim, spoglądając na niezwykle, rosłą postać zagrażającą mu drogę. Przeciwnik zdawał się doskonale utrzymywać równowagę na ugiętych lekko nogach. Senshi czuł się bardzo nieswojo. Stanowczo w tej sytuacji brakowało mu pewności siebie. Jednak zdecydował się na atak, zadając Horace'owi niezdarny cios z góry.

Horace odbił uderzenie tarczą, raczej zmieniając tor klingi, niż ją blokując. W rezultacie napastnik poleciał za ciosem, tracąc równowagę. Nim zdołał ją odzyskać, Horace wykonał krótki wypad i trafił go w lewe udo, uderzając ostrzem w szczelinę pancerza.

Wydając chrapliwy okrzyk bólu, wojownik upuścił miecz, noga ugięła się pod nim, upadł na boczne liny. Zdając sobie sprawę, że tylko one go dzielą od upadku w przepaść i niechybnej śmierci, rozpaczliwie usiłował pochwycić się splotów. Idący za nim wojownik natrafił tym samym na nieoczekiwaną przeszkodę, jaką stał się walczący rozpaczliwie o życie towarzysz. Gdy usiłował przejść nad nim, Horace szybko postąpił do przodu. Senshi ciął, lecz i tym razem Horace zasłonił się tarczą. Ostrze ugrzęzło w niej na ułamek sekundy. Senshi szarpnął, lecz w tej samej chwili dosięgnął go cios miecza Horace'a.

Nihońskie miecze były ostrzejsze i twardsze od klingi Horace'a. Jednak jego araluński miecz, dłuższy i cięższy, przebił pokryty laką skórzany pancerz senshiego, miażdżąc żebra. Wojownik stęknął z bólu, zatoczył się na boczną linę, stracił równowagę i runął w dół, koziółkując w przepaść.

Kolejny z nadchodzących wojowników zawahał się, gdyż cały most zadrżał gwałtownie, a lewa poręcz obniżyła się, po czym wystrzeliła w górę. Spoglądali na siebie, każdy czekał na ruch przeciwnika. Jednak Horace wiedział, że czas pracuje na jego korzyść.

Na skraju przepaści Shigeru rzucił szybki rozkaz ludziom trzymającym linę zabezpieczającą Horace'a.

- Owińcie ją wokół tego pnia! - polecił. - Kiedy *Kurokuma* upadnie, wypuszczajcie ją po trochu, żeby złagodzić upadek!

Natychmiast pojęli, co władca ma na myśli, i czym prędzej owinęli sznur wokół grubego pnia. Topornicy jeszcze zwiększyli wysiłki, rąbali coraz prędzej, a kładka drżała za każdym uderzeniem. Shigeru zauważył, że wrogi żołnierz znajdujący się najbliżej brzegu, który opuścili, zawrócił i puścił się biegiem z powrotem, wykrzykując jednocześnie słowa ostrzeżenia. Towarzysze wkrótce podążyli jego śladem, lecz spóźnili się. Most runął nagle w przepaść, a wraz z nim Horace oraz czterech pozostałych senshich.

- Luzujcie linę! - zawołał Shigeru. Wiedział, że gdyby Horace po prostu zleciał, a potem lina powstrzymałaby jego upadek, czekałoby go gwałtowne uderzenie o strome skały. Jednak gdy lina zaczęła się napinać, Kikori za pomocą pętli owiniętej wokół pnia spowolnili gwałtowny lot w dół, dzięki temu Horace mógł zawisnąć pod przewieszką, do której jeszcze przed chwilą prowadził most.

Kiedy Horace poczuł, że kładka wali się w dół, a on wraz z nią, żołądek podszedł mu do gardła. Spodziewał się gwałtownego szarpnięcia, ale zdał sobie sprawę, że lina, choć napięta, ustępuje. Szarpnięcie nie nastąpiło, toteż zdążył rozluźnić mięśnie i próbował nawet odwrócić się twarzą do urwiska, aby złagodzić zderzenie z nim za pomocą rąk i nóg.

Ocaliła go przewieszka i wypuszczana lina. Gdyby znajdowała się tam po prostu

skalna ściana, walnąłby w nią z całego rozpędu, zbyt prędko, żeby uniknąć dotkliwych obrażeń. Jednak skoro opadając po łuku, niczym wahadło, zjeżdżał zarazem w dół, impet zderzenia został złagodzony. Owszem, zderzył się co prawda ze skałami, dwadzieścia metrów poniżej, z siłą zdolną złamać żebro czy dwa, a w każdym razie taką, że zaparło mu dech. Zaklął, bo uderzenie wytrąciło mu miecz z dłoni. Lśniąca klinga, koziołkując, spadła w przepaść. W następnej chwili poczuł, że Kikori zaczęli go wyciągać go na górę.

Gdy znalazł się bliżej krawędzi, ujrzał pośród twarzy spoglądających w dół zaniepokojone oblicze Shigeru.

Kiedy skończyła się przewieszka, odpychał się nogami od skalnej ściany; wkrótce upadł na błotnistą ziemię. Pomyślał, że musi wyglądać jak ryba wyciągnięta z wody.

Shigeru chwycił go za ramię, lecz natychmiast puścił, bo Horace'a zaboląły potłuczone żebra, toteż wrzasnął z bólu.

- Co ci się stało, Ors-san? - spytał Shigeru.

Horace obmacał obolałe żebra pod kolczugą i skrzywił się.

- Nic. Tyle że się potłukłem. No, i straciłem miecz, niech to wszyscy diabli - powiedział.

ROZDZIAŁ 25

W przeciwieństwie do hałaśliwych tawern i mijanych po drodze gospód, wewnątrz tego *ryokanu* okazało się oazą ciszy oraz spokoju.

Halt, Will oraz Alyss znaleźli się w rozległej sali o ścianach i podłodze z gładzonego drewna. W powietrzu unosił się słodkawy zapach pszczelego wosku, wskazujący, iż drewniane powierzchnie smarowano nim nieustannie. Dał się także wyczuć zapach kadzidła oraz aromat palonego drewna - ten ostatni dobywał się z kominka umiejscowionego przy bocznej ścianie; ogień z paleniska rzucał ciepłą poświatę na wewnątrz. Nikły blask wspomagały wiszące lampiony, papierowe kule, w których paliły się świece. Naprzeciw kominka, symetrycznie, znajdowało się wyniesienie, a na nim coś na kształt niewielkiej sadzawki. Powierzchnia wody odbijała refleksy światła igrające na ścianach.

Było to wewnątrz urządzone skromnie, lecz wytwornie. Przed sobą ujrzeli duży stół, a na nim dwie piękne, pokryte laką skrzynie, po jednej w każdym końcu, między nimi zaś, na środku blatu, ciężką księgę. Obok starannie ułożono przyrządy do pisania. Z tyłu na ścianie wisiało oprawione w ramy malowidło - ale nie obraz, tylko wielki nihoński ideogram. Po lewej stronie znajdowała się drewniana klatka schodowa prowadząca na pierwsze piętro oraz drewniana antresola z balustradką wokół całego pomieszczenia. Halt rozejrzał się i doszedł o wniosku, iż zapewne tamtędy można dojść do pokoi gościnnych.

Przed sobą mieli stopień, podłoga w pomieszczeniu położona była nieco wyżej niż wejście.

Will miał już wmaszerować tam i skierować się w stronę stołu, gdy Alyss zauważyła kilka par sandałów ustawionych wzdłuż dolnej części podłogi. Przypomniała sobie jedną z notatek George'a dotyczących nihońskich obyczajów, toteż chwyciła Willa za ramię.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała. - Buty.

- Co buty? - spytał.

Jednak Halt też zauważył ustawione przy wejściu obuwie oraz półkę z boku, na której znajdowało się kilka par bamboszy.

- Zdejmij buty - polecił.

- To taki nihoński zwyczaj - wyjaśniła Alyss. - Nie noszą butów w domu.

Halt ściągał już obuwie. Ustawił je przy półce. Spojrzał z uznaniem na wypolerowaną

drewnianą podłogę, mieniającą się miodową barwą w blasku ognia i lampionów.

- Skoro mają takie podłogi, nic dziwnego - stwierdził. Will oraz Alyss poszli za jego przykładem. Weszli na platformę, dobrali sobie kapcie. Przyszło im to bez trudu, bowiem wszystkie miały ten sam rozmiar i wszystkie wyglądały tak samo: proste, o plecionej podeszwie, z filcowym pasem, za pomocą którego trzymały się stopy.

- Może i lepiej, że Horace'a nie ma wśród nas - zauważył Will. Rzeczywiście, wielkie podeszwy młodego rycerza z pewnością nie zmieściłyby się do takiego obuwia. Alyss i Halt uśmiechnęli się na samą myśl. Chwilę potem, zupełnie jakby czekał, aż zaopatrzą się w owe bambosze, zza zasłony wiszącej w tyle wychynał mężczyzna. Zatrzymał się i złożył im pokłon. Podeszli w trójkę do stołu, odwzajemnili mu się takim samym powitaniem. Tutaj wszyscy kłaniają się wszystkim - pomyślał Will.

- Czym mogę służyć? - spytał gospodarz. Przemawiał głosem miękkim, lekko seplenił.

Alyss spojrzała na Halta. Ponieważ mężczyzna odezwał się we wspólnej mowie, uznała, że lepiej, by Halt poprowadził z nim rozmowę. Skinął szybko głową.

- Chcielibyśmy przenocować - oznajmił. - Dwie noce, może trzy.

- Oczywiście. Nie ma problemu. Zapewne przybywacie z tego cudzoziemskiego statku, który dziś zawinął do portu?

Halt potwierdził skinieniem głowy. Mężczyzna otworzył leżącą na stole wielką księgę. Sięgnął po narzędzie, które Will zrazu wziął za pióro, teraz jednak okazało się, iż jest to cienki pędzelek. Zanurzył go w kałamarzu wykonanym z czarnego, polerowanego drewna, po czym zapisał nim coś - księga była zapewne rodzajem rejestru.

- Czy chcecie zjeść kolację? - spytał gospodarz. - Możecie ją spożyć na dole albo podamy wam posiłek do waszych pomieszczeń.

- Chyba wolimy zjeść na górze - odparł Halt. Wskazał Willa. - Mój pomocnik i ja weźmiemy jeden pokój razem, a ta dama weźmie drugi. Lecz posiłek możesz podać nam wszystkim w naszej kwaterze.

Mężczyzna skłonił się lekko.

- Wedle życzenia. Czy życzyacie sobie czegoś jeszcze, czy od razu zaprowadzić was na górę?

Halt wymienił szybkie spojrzenie z Alyss. Zastanawiał się, czy ten człowiek domyśla się już, co ich sprowadziło. Bądź co bądź, to tu właśnie George spędził kilka dni, nim wyjechał z Iwanai. Postanowił nie zwlekać. Pochylił się w stronę gospodarza:

- Powiedziano nam, że możemy u ciebie zastać przyjaciela - zaczął, nieco niższy głos. - Nazywa się Atsu. Przybył...

Przerwał mu łomot drzwi otwartych kopnięciem tak mocnym, że aż trzasnęły o ścianę. Odwrócili się wszyscy. Do gospody wtargnęło dwóch senshich, rozległ się łomot ich stóp o drewnianą podłogę. Nie zadali sobie trudu, żeby zdjąć buciory, weszli w nich na platformę. Jeden, najwyraźniej starszy stopniem, maszerował o krok z przodu, wyprzedzając drugiego. Na twarzy właściciela gospody przez ułamek sekundy pojawił się wyraz niezadowolenia, który jednak znikł niemal natychmiast. Zgiął się w pokornym ukłonie przed przybyszami.

- Ukłońcie się - mruknął Halt do swych towarzyszy. Przez chwilę ogarnął go niepokój; obawiał się, czy gospodarz nie zdradzi ich i nie wyjawii senshim, że wypytywali o Atsu. Jednak najwyraźniej ten człowiek nie darzył przyjaźnią żołnierzy Arisaki.

Senshi prychnął pogardliwie, gardłowo, gdy skłonili się przed nim. Nie odwzajemnił ukłonu, natomiast zaczął mówić szybko po nihońsku do oberżysty. Will rozpoznał powtórzone wielokrotnie słowo *gaijin*. Spojrzał na Alyss; nasłuchiwała uważnie, starając się nie uronić ani słowa z konwersacji. Gospodarz odpowiedział ugrzecznionym tonem, wysunął dłoń z rękawa szaty, by ruchem pełnym wdzięku wskazać cudzoziemskich gości.

Senshi odwrócił się w ich stronę. Rozpoznawszy w Halcie przywódcę, podszedł do niego blisko - tak blisko, iż było to wręcz obcesowe - i stanął na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi o biodra. Przyglądał się uważnie. Will dostrzegł symbol widniejący na jego piersi - czerwoną sowę. Will wiedział już, że to znak klanu Arisaki, choć odniósł wrażenie, iż podwładnych wielmoży można rozpoznać także po aroganckim, agresywnym zachowaniu.

Halt, który w razie potrzeby potrafił przybrać pokorny wyraz twarzy, spuścił oczy pod wyzywającym spojrzeniem senshiego. Tamten mruknął coś, uznawszy ów prosty gest za przejaw słabości.

- *Gaijin!* - rzucił ostro, wskazując szybko po kolei każde z nich palcem. - Ze statku *gaijin*?

Halt przytaknął ruchem głowy.

- Tak jest, panie - rzekł. Zdawał sobie sprawę, że stojący przed nim butny żołdak nie jest żadnym „panem”, lecz uznał, że głupca najłatwiej zwieść odrobiną służalczości.

- Odsłoń twarz, kiedy rozmawiasz z senshim! - rozkazał tamten. Wyciągnął dłoń i zerwał z głowy Halta kaptur. Will wstrzymał oddech, przekonany, że Halt zareaguje gwałtownie na obelgę. Jednak brodaty zwiadowca tylko pokłonił się raz jeszcze. Dłoń nie dotknęła zresztą jego twarzy, a jedynie skraju kaptura. Senshi, wyraźnie usatysfakcjonowany, mruknął coś do siebie, a potem odezwał się do Alyss oraz Willa:

- Ty i ty! Tak samo!

Zsunęli kaptury z głów. Alyss pokłoniła się, biorąc przykład z Halta, toteż i Will uznał za słuszne, by postąpić identycznie. Zresztą, tak nawet lepiej, bowiem dzięki opuszczeniu czoła nachalny intruz nie dostrzeże gniewu, z całą pewnością widocznego w oczach młodego zwiadowcy.

Uniósł głowę dopiero wtedy, gdy odzyskał spokój.

- Dlaczego tu jesteście? - Senshi zwrócił się znów do Halta.

- Przybyliśmy, by zakupić cenne kamienie - odparł Halt. Tej samej odpowiedzi udzielił wcześniej Gundar podczas rozmowy z urzędnikiem portowym. Handel klejnotami tłumaczył brak obszernej ładowni na okręcie, wyjaśniał też poniekąd obecność na nim licznej grupy zbrojnych. Niewątpliwie okręt wiozący na swym pokładzie kosztowności musi być przygotowany, by odpierać ataki piratów. Jednak senshi zareagował na odpowiedź gniewnie. Podszedł jeszcze bliżej i wrzasnął prosto w twarz zwiadowcy:

- Nie! Nie! Nie! Dlaczego jesteście tutaj? - Tupnął, zostawiając ryse na podłodze, którą wskazał jednocześnie palcem.

- Dlaczego właśnie w tym *ryokanie*?

W tym momencie wtrącił się oberżysta, tłumacząc coś szybko po nihońsku. Przemawiał ściszym głosem, wyrażał się tonem pełnym szacunku, unikając kontaktu wzrokowego z rozeźlonym shenshim. Wojownik wysłuchał wyjaśnienia, po czym spojrzał na trójkę Aralueńczyków oraz burknął coś do kamrata. Obaj wybuchnęli śmiechem, po czym, machnąwszy pogardliwie ręką, senshi dał do zrozumienia, iż stracił zainteresowanie dla przybłędów. Obaj żołnierze odwrócili się i wyszli z *ryokanu*. Zatrzasnęli za sobą drzwi.

- O co mu chodziło? - spytał Will?

Zwrócił się z pytaniem do Alyss, ale odpowiedział gospodarz:

- Wyjaśniłem, że zatrzymaliście się u mnie, bo tutaj można się kąpać. Mój *ryokan* został wybudowany w miejscu, gdzie tryska gorące źródło. Senshi starają się kontrolować poruszenia wszystkich cudzoziemców w mieście. Dzięki temu mogą pokazać, jacy są ważni. Ktoś musiał widzieć, jak tu przyszliście i zaraz ich poinformował. Takie czasy nastały, że wszędzie pełno donosicieli - dodał ze smutkiem.

- Co może nam utrudnić wędrowkę na północ - zamyślił się Halt.

Oberżysta przytaknął:

- Nie będzie to łatwe.

- Nawiasem mówiąc, po tak długiej żegludze, chętnie bym zażył gorącej kąpieli - stwierdził Halt.

Podczas podróży musieli się zadowolić chłodną morską wodą do mycia.

- A co pan przyjemniaczek powiedział na sam koniec? - spytał Will. - Jak sędzę, coś niezwykle dowcipnego?

- Stwierdził, że sądząc po smrodzie, jaki od nas bije, kąpiel bardzo nam się przyda - wyjaśniła usłużnie Alyss.

Will uniósł brew w reakcji na obelgę, za to Halt zaśmiał się krótko.

- Trudno mu mieć za złe, bo to w gruncie rzeczy święta prawda - zauważył. Po czym dodał, zwracając się do gospodarza: - Może rzeczywiście lepiej, żebyśmy się najpierw wykąpali. Zjemy później - stwierdził.

Gospodarz skinął głową.

- Pokażę wam drogę - powiedział. - Wypocznijcie i nabierzcie sił, ja tymczasem poślę umyślnego, żeby sprawdził, czy zastaliście Atsu w Iwanai. Pojawia się, to znowu znika.

* * *

Nim Alyss udała się do kobiecej łaźni, udzieliła im kilku słów instrukcji. Gorąca kąpiel nie służyła do mycia. Chodziło o to, żeby moczyć się i odprężyć. Umyli się więc i wytarli w sąsiednim pomieszczeniu, nabierając gorącej wody z kadzi oraz polewając nią ciała. Dopiero potem zanurzyli się po szyję w ukropie. Z początku była to istna męka, lecz wkrótce Will przywykł do gorąca. Poczul, jak ustępują napięcia i przykurcze, z których nawet nie zdawał sobie sprawy, a które powstały podczas całych tygodni, gdy musieli zmagać się z kołysaniem okrętu i sypiali na twardych deskach pokładu. Wreszcie wynurzył się, osuszył, owinął ciało miękkim płaszczem kąpielowym dostarczonym przez obsługę *ryokanu*.

Alyss czekała już na nich, gdy razem z Haltem wracali do pokoju.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się niski stół, wznoszący się zaledwie trzydzieści centymetrów nad podłogę. Stół zastawiony był miskami oraz talerzami, a także podgrzewaczami do potraw - wewnątrz nich płonęły małe, płaskie świece.

Will rozejrzał się szukając krzesła, jednak tego luksusu nie przewidziano w wyposażeniu kwatery. Alyss uklękła, a następnie usiadła na piętach.

Halt mruknął, niezadowolony:

- Tego właśnie się obawiałem - stwierdził. - Jakby mało było tego, że musimy spać na podłodze.

Już wcześniej spostrzegł, że w pokoju brakuje łóżek. Kiedy spytał o nie, oberżysta wskazał grube materace, ukryte w schowku za jednym z przesuwanych ekranów.

Will zaśmiał się, sięgając jednocześnie po szaszłyk z kurczaka, pokryty smakowitym, ciemnym sosem.

- Przecież przez wiele lat sypiałeś na ziemi, bez choćby słowa skargi - zauważył. -

Odkąd zrobiłeś się taki wygodnicki?

- Co innego w obozowisku - odparł Halt. - Na wolnym powietrzu. To zrozumiałe, że kiedy znajduję się w lesie czy w polu, śpię na ziemi. Przecież nie będę woził ze sobą łóżka. Ale tu, co innego. Znajdujemy się pod dachem, a pozostawiono nam do dyspozycji tylko podłogę. Tymczasem, jeśli śpię w gospodzie, chętnie złożyłbym stare kości na łóżku. - Zdjął pokrywkę z gładzonej, drewnianej miseczki i zajrzał do środka. Wewnątrz połyskiwały tłuste oka parującego rosółu. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł nigdzie ani śladu łyżki, toteż wypił wywar wprost z naczynia. - Naprawdę doskonały - pochwalił.

Alyss poczęstowała się inną potrawą - rosółem wieprzowym z kluskami i kawałeczkami mięsa. Przyjrzała się dwóm drewnianym patyczkom, które chyba miały służyć jako sztucce, po czym uniosła miskę do ust i pomagając sobie pałeczkami, zaczęła spożywać makaron oraz wieprzowinę, siorbiąc przy tym w sposób zgoła dla dam niestosowny.

- Wiecie co, trochę liczę na to, że Atsu nie pokaże się tak od razu. Miło by było spędzić kilka dni w tych luksusach.

Halt tymczasem zmienił pozycję po raz trzeci w ciągu trzydziestu sekund; siadł teraz bokiem, na jednym pośladku.

- Wytlumacz to moim biednym, obolałym, starym kolanom - stęknął.

ROZDZIAŁ 26

Halt z początku kręcił na nie nosem, łóżka, a właściwie rozłożone na podłodze grube materace, okazały się całkiem wygodne.

Kiedy zgasili małą lampkę rozświetlającą wnętrze ich pokoju, Will, leżąc na plecach, nasłuchiwał głębokiego, regularnego oddechu Halta. Gdy oczy przywykły do mroku, dostrzegał bladą poświatę przedostającą się do środka przez szparę przy przesuwanych drzwiach wychodzących na zewnętrzną galerię, choć oberżysta kilka godzin wcześniej zgasił większość palących się na antresoli lampionów.

Przesuwany panel okienny zostawili otwarty, do pokoju dostawało się chłodne powietrze. Will podciągnął puchową kołdrę po same uszy. Oberżysta proponował co prawda wypełniony gorącymi węglami grzejnik, lecz odmówili. Obaj zwiadowcy woleli świeże powietrze.

Nie po raz pierwszy w życiu zdumiał się, w jak dziwne miejsca rzucał go los ostatnimi laty. Przecież niektórzy przez wszystkie swe lata nigdy nie oddalali się dalej niż na kilometr czy dwa od Zamku Redmont, inni nie przekroczyli w ogóle granic lenna. Na przykład Jenny - niegdyś wychowanka zamkowego sierocińca, tak samo jak Will, a teraz słynna kucharka.

Tymczasem on, Will, wylądował na drugim końcu świata, przebywszy po drodze kanał wykopany w pustyni, dzieło nieznanymi, pradawnymi ludźmi - na pokładzie przedziwnego okrętu skonstruowanego tak, że mógł żeglować pod wiatr. A przecież już dawniej przebył burzliwe wody Morza Białych Sztormów i ujrzał na własne oczy nagie skały Skorghijl, wędrował po pokrytych śniegami górach Skandii, gdzie walczył przeciwko srogim jeźdźcom przybyłym ze stepów Wschodu.

Potem znalazł się na rozpalonych słońcem pustyniach Arydii i zawarł przyjaźń z Nomadami ze szczepu Bedulinów. Stawiał czoło dzikim wojownikom z północnego plemienia Skottów. Wreszcie zaś, w towarzystwie Halta i Horace'a, przebył cały Clonmel, jedno z sześciu królestw Hibernii.

Czasami, kiedy uświadamiał sobie, jak wiele widział i dokonał w swym młodym życiu, doznawał zawrotu głowy. Przypominał sobie wtedy, że w dzieciństwie marzył, by zostać rycerzem. Jakże jednostajne, nieurozmaicone życie czekałoby go wówczas! Przecież większość rycerzy, którzy wraz z Horace'em ukończyli Szkołę Sztuk Walki na Zamku

Redmont, nigdy nie przekroczyła granic Araluenu.

Ciekaw był, czy Halt, który w życiu swym poznał te same krainy, a wcześniej widział ich o wiele, wiele więcej, również doznaje czasem podobnego zadziwienia. Nim zdążył pomyśleć, odezwał się:

- Halt? Śpisz?

- Śpię. - Ton odpowiedzi złożonej z jednego słowa nie pozostawiał wątpliwości: towarzysz nie miał ochoty na pogawędkę.

- Oj, przepraszam.

- Cicho bądź.

Will nie był pewien, czy powinien przeprosić jeszcze raz, ale zdał sobie sprawę, że przecież właśnie kazano mu siedzieć cicho, toteż zamilkł. Spojrzał w otwarte okno. Pojawił się w nich blask księżyca. Zapewne gdzieś w górach taki sam półksiężyc przyświecał Horace'owi. Ziewnął rozdzierająco i już po chwili zasnął smacznie, pomimo całego zadumania nad własnym barwnym losem.

Spał jednak zaledwie kilka minut, kiedy obudził go głos Halta.

- Willu? Czy śpisz?

Natychmiast otworzył oczy, gotów do zmierzenia się z każdym niebezpieczeństwem. W następnej chwili uświadomił sobie, że Halt odezwał się głosem całkiem spokojnym, nawet jakby z lekka rozbawionym. Rozluźnił mięśnie.

- Owszem, spałem - oświadczył, z lekka nadąsany. - Ale teraz już nie śpię.

- O, popatrz. To nie inaczej, jak ja przed chwilą - odparł Halt złośliwie. - Dobrze ci tak.

Po czym brodaty zwiadowca przewrócił się na drugi bok, podciągnął kołdrę pod brodę i usnął.

* * *

Odgłos.

Ledwo dosłyszalny, nieznaczny. Wykraczający jednak poza zwykły zestaw odgłosów nocy, jaki zarejestrowała podświadomość Willa. Coś się w nim zmieniło, toteż znów otworzył oczy i zaczął uważnie nasłuchiwać. Księżyc nie świecił już przez otwarte okienko. Spałem więc przez parę godzin - stwierdził Will.

Halt nadal oddychał miarowo i głęboko, lecz Will nie wątpił, że mistrz także się obudził. Zwiadowcy ćwiczyli umiejętność polegającą na zachowaniu niezmiennego rytmu oddechu, takiego samego na jawie, jak i we śnie, a chodziło o to, by ewentualny napastnik nie zdawał sobie sprawy, iż przebudzili się oraz że są gotowi stawić każdemu czoło. Znów ten

odgłos. Ciche skrzypienie drewna trącego o drewno. Ktoś skradał się na palcach, szedł po schodach. Znaczyło to, że intruz nie przebywał w ich pokoju. O ile był intruzem, a nie na przykład po prostu kimś z obsługi *ryokanu*. Poruszając się nadzwyczaj powoli i pilnując się, by nie wydać najmniejszego dźwięku, chłopak uniósł się na łokciu, pod czym odsunął kołdrę. W półmroku spostrzegł, że Halt robi to samo. Niemal natychmiast starszy zwiadowca uniósł dłoń, dając znak, by Will nie ruszał się już więcej. Skoro leżą i tak nisko na podłodze, trudno byłoby wstać, nie czyniąc przy tym sporego hałasu. Wnętrze *ryokanu* zbudowano z cienkich desek, paneli z nasączonego woskiem papieru lub wplecionych z chrzciny mat - którymi pokryto drewnianą podłogę. Zatem deski niechybnie będą się uginać i trzeć o siebie, tak właśnie, jak działo się to obecnie na schodach. Na potwierdzenie dosłyszeli jeszcze dwa ciche skrzypnięcia od strony drzwi. Will zerknął, by upewnić się, że oba jego noże leżą tuż obok materaca, więc w zasięgu dłoni.

Skoro zorientowali się, że nikt obcy nie przebywa w ich pokoju, nie musieli udawać, że oddychają głęboko przez sen. Oddychali więc niemal niedosłyszalnie, nasłuchując zarazem odgłosów dochodzących z zewnątrz.

Na szczęście, ten akurat pokój znajdował się bliżej schodów niż kwatery Alyss. Napastnik musiałby więc go minąć, chcąc się do niej dostać. Nikły szelest materiału ocierającego się o ścianę i następnie ciche skrzypnięcie powiadomiło ich, że ktokolwiek to był, znalazł się już na antresoli, a teraz poruszał się z wolna wzdłuż niej. Nasłuchiwali odgłosów, aż cień zasłonił smugę światła wpadającą przez szparę w drzwiach i zrozumieli, że obcy się zatrzymał. Zapadła cisza. Will odetchnął z ulgą. Kimkolwiek okaże się przybysz, nie żywi złych zamiarów wobec Alyss.

Nasłuchiwał nadal, przechyliwszy nieco głowę w stronę drzwi. Rozległo się ciche skrobanie - zapewne paznokci o papier. Bez wątpienia ktoś, kto chciałby ich zaskoczyć, tego akurat by nie uczynił.

Halt odpowiedział, drapiąc paznokciami o trzciniową matę leżącą na podłodze. Przez kilka sekund panowała cisza, człowiek za drzwiami nie poruszał się. Potem doszedł ich cichy głos, zaledwie szept:

- Jestem Atsu.

Spojrzeni szybko po sobie. Halt ruchem głowy wskazał ścianę przy drzwiach. Will wstał, starając się poruszać jak najciszej i przeszedł bosy, po czym znieruchomiał obok drzwi z długim nożem w dłoni. Halt nadal siedział na materacu.

- Wejdz, Atsu - odezwał się cicho Halt.

Drzwi otworzyły się. Ujrzeni w nich postać. Przybysz spojrzał w lewo i na prawo. Ujrzał

stojącego przy drzwiach Willa, rozłożył zatem ramiona, by pokazać, iż nie jest uzbrojony. Will zaprosił gestem Atsu do wnętrza izby. Przybysz wszedł, zasunął drzwi. Podszedł do Halta, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na materacu. Opadł na kolana, twarzą do niego. Pokłonił się.

- Witajcie, przyjaciele - rzekł.

Will przeszedł od drzwi do miejsca, z którego mógł obserwować przybysza rozmawiającego z Haltem. Zjawił się w ich kwaterze mężczyzna szczupły, niższy nawet od Willa czy Halta, lecz żyłasty i muskularny. Przy tym niemal łysy, tylko trochę włosów pozostało po bokach oraz z tyłu jego głowy. Wyglądało na to, że nie posiada broni, mógł jednak skryć nóż pod długą szatą, zwykłym strojem większości Nihończyków.

- Zawsze przybywasz tak późno w nocy? - spytał Halt.

Atsu skinął głową.

- Odkąd ludzie pana Arisaki zaczęli się tu rządzić, bezpieczniej dla mnie, abym ich unikał.

- Niedawno dopomogłeś innemu *gaijinowi* - ciągnął Halt. Było to stwierdzenie, lecz i pytanie zarazem. Jeśli przybysz podszywał się pod Atsu, mógł nie znać imienia owego *gaijina*, który przybył z gór. Atsu zrozumiał, o co mu chodzi.

- Mówisz o George-san - rzekł. - O przyjacielu Ors-san.

Halt zmarszczył brwi, nie rozpoznawszy imienia.

- Kogo? - spytał podejrzliwie. Tym razem Atsu wymówił starannie:

- Ors-san - powtórzył. - Wysoki wojownik, *gaijin*.

Will nagle rozpoznał imię. Wiedział, że w Nihon-Ja końcówka „san” jest zwrotem grzecznościowym, wyrazem szacunku dla osoby, o której mowa. I gdyby ją pominąć, pozostało „ors” - to zaś brzmiało całkiem znajomo.

- Horace - wtrącił, Atsu odwrócił się w jego stronę i skinął szybko głową, potwierdzająco.

- Tak jest. Ors-san - powiedział. - Ten, który ocalił życie cesarza.

- O, doprawdy? - Halt zamyślił się. - Obawiam się, że nie stał się przez to ulubionym cudzoziemcem Arisaki.

- O, nie. Arisaka wpadł we wściekłość, gdy się dowiedział. Ors-san zabił dwóch jego senshich. - Tym słowom Atsu towarzyszyła wyraźna satysfakcja.

- To by się zgadzało, jeśli chodzi o Horace'a - zauważył Will.

- A nasz tu obecny przyjaciel nie wylewa łez na potworną myśl, że ludzie Arisaki udali się do lepszego świata - uzupełnił Halt.

- Co zwiększa prawdopodobieństwo, iż w rzeczy samej możemy go zaliczyć do naszych przyjaciół - przyznał Will.

Halt umilkł na chwilę, zastanawiając się. Will chyba ma rację - uznał. Nie zaszkodzi jednak zadać kilku dodatkowych pytań.

- Co jeszcze możesz nam powiedzieć o George'u? - spytał.

Atsu zastanowił się krótką chwilę nad odpowiedzią. Jakich szukać argumentów, by uwiarygodnić swą osobę w oczach dwóch *gaijinów*?

- To nie wojownik. Gaduła.

Will zaśmiał się cicho.

- Całkiem trafna charakterystyka.

Atsu zerknął na niego.

- Ale jednak w górach ocalił życie Ors-sana - dodał.

Zdziwiony Will uniósł brwi.

- George uratował życie Horace'owi? - rzekł z niedowierzaniem.

- Wpadliśmy w zasadzkę. Jeden z nieprzyjaciół wystrzelił z łuku do Ors-sana. George-san zauważył to i odepchnął Ors-sana na bok. Strzała trafiła George-sana w ramię.

Halt i Will znów spojrzeli po sobie.

- Alyss mówiła, że George odniósł ranę - stwierdził Will. - Chociaż o tym, żeby uratował Horace'a, nie słyszałem.

- Skoro mowa o Alyss - stwierdził Halt - może powinieneś po nią pójść. Niech i ona usłyszy, co Atsu ma do powiedzenia.

Teraz z tonu jego głosu wynikało, iż przekonał się wreszcie, że naprawdę przybył do nich Atsu i prawdopodobnie można mu zaufać. Will uczynił krok w stronę drzwi, lecz w tej samej chwili rozległo się ciche stukanie, po czym panel odsunął się, ukazując Alyss w nihońskiej szacie.

- Czy wy dwaj zawsze tak głośno paplacie w środku nocy? - spytała. Ujrzawszy trzecią postać obecną w pokoju, odezwała się, już poważniejszym głosem: - Domyślam się, że to jest Atsu?

Logiczny wniosek - pomyślał Will. Któż inny znalazłby się w ich pokoju w środku nocy?

- W rzeczy samej. Atsu, to lady Alyss.

Niski Nihończyk odwrócił się na kolanach. Z tej pozycji pokłonił się Alyss.

- Chrr'ad Arryss-san - rzekł.

Alyss, pomimo wszelkich dyplomatycznych uzdolnień, uniosła jednak brew, słysząc

dziwną wymowę swojego imienia. Zaczekaj tylko, aż usłyszysz, jak Nihończyk nazywa Horace'a - przemknęło przez myśl Willa, gdy ujrzał wyraz jej twarzy.

- Miło mi - odezwała się Alyss, która zdążyła już zapanować nad zdziwieniem. Zamknęła drzwi i przeszła przez pokój. Siadła obok Halta na jego materacu.

- Czy Atsu może nam powiedzieć, co dzieje się z Horace'em? - spytała Halta.

- Właśnie zamierzałem go o to poprosić - odparł zwiadowca.

Atsu nie trzeba było dwa razy powtarzać.

- Ors-san ofiarował swe usługi panu Shigeru, cesarzowi Nihon-Ja, przeciwko zdrajcy i uzurpatorowi Arisace. Zgromadzili nieco ludzi pana Shigeru, schronili się w górach, zmierzając do prastarej fortecy Ran-koshi.

- To znaczy, że cesarzowi towarzyszy jego armia? - spytał Halt.

Atsu potrząsnął głową.

- Nie armia. Tylko ci, którzy pozostali przy życiu z garnizonu w Ito. Zaledwie pięćdziesięciu ludzi. Są jeszcze Kikori, ale to nie armia.

- Kikori? - spytała Alyss. Nigdy wcześniej nie spotkała się z tą nazwą.

Atsu wyjaśnił dziewczynie:

- Drwale i cieśle - rzekł. - Mieszkają w górach, pozostają wierni cesarzowi. Arisaka popełnił błąd, bo w poszukiwaniu cesarza najeżdżał i palił ich wioski. W ten sposób uczynił sobie z nich wrogów, wielu Kikorich przyłączyło się do cesarza.

- Mówiłeś jednak, że nie są żołnierzami? - upewnił się Will.

Atsu pokręcił głową.

- Niestety, nie. Za to znają góry, każdą ścieżkę, każdą dolinę. Jeśli oni ukryją cesarza, Arisaka nigdy go nie znajdzie.

- A co to za forteca, o której mówiłeś?

- Ran-koshi. Legendarna forteca, o murach wysokich i bardzo grubych. Mając nawet niewielu żołnierzy, cesarz może się w niej bronić przeciwko armii Arisaki przez długie miesiące.

Trójka Aralueńczyków spojrzała po sobie. Will oraz Alyss pozostawili Haltowi najważniejsze pytanie:

- Jak dostaniemy się do Ran-koshi? Czy możesz nas tam zaprowadzić?

Niestety, ku swemu rozczarowaniu, usłyszeli przeczącą odpowiedź.

- Podobno znajduje się gdzieś w górach Północnego Zachodu. Tylko Kikori wiedzą, jak ją znaleźć. Od dawna nikt jej nie oglądał, toteż wielu ludzi uważa, iż istnieje jedynie w legendach.

- Ty także tak sądzisz? - spytała Alyss.

- Nie. Jestem pewien, że istnieje. Jednak nawet gdybym wiedział dokładnie, jak odnaleźć ją pośród łańcuchów górskich, potrzeba tygodni, nawet miesięcy, aby tam dotrzeć. Droga wiedzie przez góry, trzeba pokonywać jedną wysoką grań po drugiej. Trwa to bardzo długo, no i rzecz jasna, zanim byście tam dotarli, w połowie drogi dopadnie was zima. Nie mówiąc o tym, że musielibyście iść przez obszar znajdujący się pod kontrolą ludzi Arisaki.

Halt w zamyśleniu potarł podbródek.

- Masz jakąś mapę? - spytał. - Mógłbyś pokazać nam z grubsza, o jakim obszarze mówisz?

Atsu przytaknął szybkim ruchem głowy. Sięgnął za poję szaty i wydobył stamtąd zwój. Rozłożył go, ujrzeni mapę północnej wyspy Nihon-Ja.

- Ran-koshi znajduje się gdzieś tutaj - rzekł, wskazując niewielki obszar w lewym górnym rogu wyspy. - To dzika, nieprzebyta kraina. Jak widzicie, zewsząd otaczają ją najwyższe góry, a dalej ciągnie się wielkie jezioro. I wszystko to musielibyście wprawdzie przebyć...

Pokazał palcem drogę ciągnącą się przez środek wyspy. Znaki na mapie rzeczywiście wskazywały, że droga cały czas wiedzie przez góry, strome i gęsto porośnięte lasem. Uniósł wzrok, przepaszającym gestem rozłożył ręce.

- Jak już mówiłem, to by zajęło całe tygodnie. Nie mam aż tyle czasu, by wam go poświęcić. Tworzy się ruch sprzeciwu przeciwko rządowi Arisaki, ja biorę udział w jego organizowaniu. Chciałbym wam pomóc w odnalezieniu Ors-sana, lecz ciężką na mnie inne obowiązki.

Halt w milczeniu przez kilka sekund przyglądał się mapie. Potem wskazał miejsce na zachód od punktu wskazanego przez Atsu.

- Gdybyśmy się znaleźli tutaj, czy zdołałbyś skontaktować nas z ludźmi, którzy pomogliby nam znaleźć cesarza? Mam na myśli właśnie Kikorich.

Atsu skinął głową.

- Oczywiście. Tylko że jak mówiłem, droga do tego miejsca zajmie całe tygodnie, kiedy zaś spadną śniegi, stanie się wprost nie do przebycia. A mnie brak czasu. Proszę o wybaczenie.

Halt skinął głową. Nie miał zamiaru wymagać od Atsu takiego poświęcenia. Już od spotkania z dwoma butnymi senshi zastanawiał się, jak przebędą tak rozległą połą wrogiemu kraju, kontrolowanego przez siły Arisaki. I chyba właśnie znalazł rozwiązanie.

- Czy zechcesz poświęcić nam cztery albo pięć dni? - spytał.

ROZDZIAŁ 27

Znajdowali się już blisko kresu wędrówki. Horace brnął z trudem przez piarg, zalegający dno wąskiej doliny. Po drugiej stronie wznosiły się przed nimi spadziste, niedostępne urwiska. W miarę jak szli przed siebie, dolina stawała się coraz węższa. W powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu, lecz daleko jeszcze było do prawdziwej zimy.

Reito dał wreszcie sygnał, nakazując odpoczynek; długa kolumna senshich i Kikorich zatrzymała się, z ulgą zrzucono toboły, odstawiono na ziemię nosze. Szli od świtu aż do późnego popołudnia. Wędrowali, utrzymując takie tempo już od tygodnia, bowiem Reito miał nadzieję, że uda im się wykorzystać przewagę czasową, jaką zyskali nad siłami Arisaki. Horace oparł się o sporych rozmiarów głaz. Żebra wciąż go bolały po zderzeniu ze skalną ścianą. Medyk Shigeru obwiązał mu klatkę piersiową, lecz niewiele więcej zdołał uczynić. W tym przypadku pomoc mógł tylko czas. Mięśnie chroniące połamane żebra zeszywniały podczas mozolnej wędrówki; gdyby teraz usiadł, a potem wstał, rozciągnąłby je, wywołując nawrót dotkliwego bólu.

- Jak daleko jeszcze? - spytał, zwracając się do Toru.

Kikori, który służył za przewodnika, zastanowił się. Horace poznał po wyrazie jego twarzy, że przewodnik nie potrafi odpowiedzieć. Na szczęście, Kikori nie zamierzał nikogo oszukiwać.

- To już ta dolina. Nie ma żadnych wątpliwości. Ale jak daleko jeszcze trzeba iść...? Trudno mi rzec.

Horace pochwycił spojrzenie Reito.

- Może ruszymy przodem, żeby się rozejrzeć? - zaproponował.

Senshi spojrzał na Shigeru, również opartego o skały, po czym skinieniem głowy wyraził zgodę. Od śmierci Shukina, dbający o bezpieczeństwo cesarza Reito podchodził nadzwyczaj poważnie do swych obowiązków. Brzemie odpowiedzialności ciążyło mu bardzo. Shukin, który od wielu lat przyjaźnił się z władcą i należał do jego rodziny, spełniał tę rolę w sposób niejako naturalny. Tymczasem na Reito ciężar spadł nagle, toteż senshi aż nazbyt gorliwie pilnował swego cesarza. Teraz jednak uznał, iż pod jego nieobecność nic Shigeru nie grozi.

- Dobry to pomysł - stwierdził. Poprawił oba miecze i ruszył przed siebie doliną. Toru,

choć nikt go nie prosił, również wstał. Wyruszyli we trzech, wspinając się ostrożnie na sterty głazów zalegające dolinę.

Droga najpierw skręcała w lewo. Potem wąska dolina wiła się pośród gór, rzadko wędrowali w jednym kierunku dłużej niż przez czterdzieści metrów.

Przed sobą ujrzeni naga, skalną ścianę, która zapowiadała następny zakręt, tym razem w prawo. Brnęli więc dalej, pod ich butami zgrzytały kamienie i piasek.

Szli w milczeniu. Na cóż słowa? Gdzieś przed nimi znajdowała się forteca Ran-koshi. Rozmowa o niej w żaden sposób nie przybliży ich do celu.

Obeszli zakręt i nagle znaleźli się na miejscu.

- A więc to już? - odezwał się Horace z niedowierzaniem w głosie.

Reito milczał. Tylko z wolna kręcił głową, przyglądając się „fortecy”.

Za zakrętem dno doliny prowadziło prosto, lecz dość stromo pod górę. Sto metrów dalej wznosiło się drewniane ogrodzenie, palisada wysokości zaledwie czterech metrów, przegradzająca dolinę w najwęższej jej części, tam gdzie skalne ściany zbliżały się do siebie na odległość niespełna trzydziestu metrów. Za zrujnowanymi umocnieniami teren wznosił się dalej, lecz dolina znów stawała się szersza. Dostrzegli kilka rozsypujących się chat, zbudowanych z poszarzałych od starości bali; strzechy tych domostw dawno rozsypały się, przegniły.

Twarz Reito pociemniała od gniewu. Zwrócił się do Toru:

- To jest Ran-koshi? - spytał przez zaciśnięte zęby. To ma być ta potężna forteca, która obroni nas przed armią Arisaki?

Zmierzali do wyczekiwanego celu całymi tygodniami, sądząc, że za zasłoną potężnych kamiennych murów znajdą bezpieczne schronienie, odpoczną i odzyskają siły; wyszkolą Kikorich, nauczą ich walczyć.

A teraz znaleźli się na miejscu. Zastali zaledwie spróchniałe bale i deski. Po lewej stronie, zachodniej, palisada chyliła się ku upadkowi. Horace stwierdził, że pod odpowiednio silnym naporem atakujących wojsk runęłaby, otwierając pięciometrową lukę w linii obrony.

Toru odparł z niezmaconym spokojem:

- Tak, to jest Ran-koshi.

Nie uczestniczył w rozmowie, podczas której Shigeru i Shukin wspominali legendy o potężnej, niezdobytej fortecy. Spymano go po prostu, czy potrafi zaprowadzić cesarza do Ran-koshi, a on odpowiedział twierdząco. Nigdy nie twierdził, że Ran-koshi to coś więcej niż tylko zwykłe drewniane ogrodzenie ustawione w poprzek doliny, zresztą o tym wiedziało wielu Kikorich. Uznał więc, że wiedzą to również zwolennicy Shigeru i sam cesarz. Dlaczego

miałby sądzić inaczej? Toteż słowa szlachetnego senshi nie uczyniły na nim większego wrażenia.

Tymczasem Reito ogarniał coraz większy gniew, połączony z poczuciem bezradności. Gorzej jeszcze, bowiem przyszło mu na myśl, że zdradził zaufanie pokładane w nim przez Shukina i Shigeru. Przedzierali się tygodniami przez góry, dźwigając rannych, brnąc zdradliwymi, błotnistymi szlakami, gdzie jeden fałszywy krok mógł okazać się zgubny. Shukin wraz z towarzyszami poświęcił życie, aby ocalić cesarza. Kiedy zaś dotarli do celu, po tym wszystkim, co musieli znieść... czekało na nich coś takiego. Przez chwilę ogarnęła go chęć, by dobyć miecza i przeszyć nim przewodnika. Opanował się jednak, spojrzął na Horace'a, zdesperowany.

- Co ja powiem cesarzowi?

Jednak Horace, choć zrazu także zaskoczony, powoli kiwał głową, badając otaczający ich teren.

- Powiesz mu, że znaleźliśmy Ran-koshi - odparł. Reito chciał coś odrzec, lecz Horace uciszył go, unosząc dłoń, po czym wskazał otaczające ich ze wszystkich stron góry.

- Oto potężne mury fortecy - rzekł. - Sama dolina jest fortecą. Nie istnieje taka armia, która zdołałaby przebyć te góry, nie ma siły zdolnej je rozbić. Drewniana palisada to tylko brama fortecy.

- Brama, która się rozsypuje! Wystarczy pchnąć, żeby się zawaliła! - jęknął Reito.

Horace położył uspokajająco dłoń na jego ramieniu. Rozumiał, że rozpacz Reito wynika z poczucia obowiązku wobec cesarza.

- Bez przesady. To ogrodzenie liczy sobie wiele lat, lecz wciąż mocno stoi, jeśli nie liczyć części zachodniej, którą przecież można odbudować - stwierdził. - Wystarczy tylko wstawić kilka mocnych belek, a tak się składa, że towarzyszy nam dwustu ludzi, którzy potrafią obchodzić się z drewnem. - Spojrzął na Toru. - Wydaje mi się, że potraficie naprawić to wszystko w trzy albo cztery dni, prawda?

- Oczywiście, *Kurokumo* - odparł. Całe szczęście, że *gaijin* potrafił docenić możliwości, jakie kryło w sobie to miejsce. - Odbudujemy też chaty, żeby mieć ciepłe, suche schronienie na zimę.

Rozpacz opuszczała stopniowo Reito. Teraz i on widział, że *Kurokuma* ma rację. Przecież żadna armia nie przedostanie się przez te skalne ściany. Trzeba tylko obronić palisadę długości trzydziestu metrów, czego dokonają bez trudu, mając do dyspozycji dwustu czy trzystu obrońców. Przyszło mu na myśl coś jeszcze:

- Kiedy spadną śniegi - stwierdził Reito - dolina stanie się nie do przebycia. Wróg nie

zdoła nawet się zbliżyć do palisady. - Zwrócił się w stronę Toru i pokłonił się nisko. - Zechciej mi wybaczyć, Toru. Niesłusznie podniosłem głos.

Toru niezgrabnie odwzajemnił ukłon. Nie przywykł do tego, by wojownicy senshi kajali się przed nim lub składali mu pokłony. Wymamrotał odpowiedź:

- Nie ma powodu, żeby przeproszać, wielmożny panie Reito.

Reito poprawił go jednak:

- Reito-san wystarczy - oświadczył stanowczo.

Kikori otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Senshi domagał się, by nie tytułować go w sposób odpowiadający jego pozycji, aby nazywać go po prostu Reito-san. Horace obserwował wymianę zdań między tymi dwoma. Teraz już oswoił się z obowiązującą etykietą, dlatego też zrozumiał, jak daleko posunął się Reito i jak wielką społeczną barierę pokonał. Dobry znak, rokujący pomyślnie na nadchodzącą długą zimę. Lepiej, by Kikori stali się równoprawnymi towarzyszami broni, nie pokornymi poddanymi. Klepnął ich obu w plecy, przyciągnął do siebie.

- Chodźcie, powiemy Shigeru, że znaleźliśmy fortecę - zawołał.

Gdy szli z powrotem ku czekającym na nich towarzyszom, Horace poczuł, że maszeruje z nową energią. Po tych wlokących się w nieskończoność tygodniach wspinaczki, osiągnęli wreszcie cel. Teraz będą mogli wypocząć.

Shigeru, widząc ich, zorientował się, że musiało wydarzyć się coś niezwykłego. Wstał.

- Znaleźliście? - spytał.

Horace skłonił się lekko w stronę Reito. Uważał, że dźwigającemu tak ciężkie brzemie odpowiedzialności dostojnikowi należy się pierwszeństwo, gdy przyszło oznajmić pomyślną wieść.

- Tak, panie - rzekł senshi. - Znajduje się zaledwie kilkaset metrów stąd. - Wskazał kierunek i dalszą część doliny. - Jednak musisz o czymś wiedzieć, panie. To nie jest... - urwał, nie wiedząc, co rzec dalej.

Horace zauważył zmieszanie, więc gładko wszedł mu w słowo:

- To nie jest taka forteca, jaką spodziewaliśmy się ujrzeć - dokończył. - Raczej naturalna warownia niż zbudowana przez ludzi. Ale równie dobrze zaspokoi nasze oczekiwania.

Po raz pierwszy od wielu dni na twarzy Shigeru zagościł uśmiech. Horacy ujrzął, że cesarz wyprostował się, jakby zdjęto z jego pleców wielki ciężar.

- Wejście wymaga naprawy - mówił dalej Horace - ale Kikori poradzą sobie z tym bez trudu. Możemy też wybudować chaty i odpowiednie schronienie dla rannych. - Doskonale

zdawał sobie sprawę, że niemogący się poruszać o własnych siłach ranni znosili bez słowa skargi doskwierający ziąb i wilgoć. Niejeden z nich nie dożył kresu morderczej wędrówki. Więc teraz, skoro pojawiła się możliwość umieszczenia ich w ciepłe, zaistniała też większa szansa, iż wydobrzeją.

Wzdłuż kolumny szybko rozeszła się wieść, że Ran-koshi znajduje się już poblizu. Choć nikt nie wydał rozkazu, senshi i Kikori wstali, na nowo przygotowując się do marszu.

- Dziękuję ci, Reito - rzekł Shigeru. - Za to, że doprowadziłeś nas bezpiecznie przez góry aż do właściwego miejsca. A teraz może dokonamy oględzin mojego nowego pałacu zimowego?

* * *

Przeszli przez ogrodzenie w miejscu, gdzie się zawaliło, uważnie stawiając stopy i omijając sterczące bezładnie belki. Gdy znaleźli się po drugiej stronie, zaskoczony Horace aż się zatrzymał.

Tutaj dolina rozszerzała się, grunt nadal się unosił. Jednak za drewnianą ścianą rozciągał się całkiem rozległy otwarty obszar. Wznosiło się na nim całe mnóstwo chat i domków.

- Ktoś tu był, niedawno - stwierdził Horace. Później, gdy przeszli kawałek doliną i mógł z bliska przekonać się, w jakim stanie znajdują się budynki, sprostował: - Może trochę przesadziłem - odezwał się do Reito. - Jednak z pewnością minęło mniej niż tysiąc lat od ostatniej ludzkiej bytności w tym miejscu.

Belki, z których zbudowano domy, poszarzały i wyschły ze starości, podobnie jak palisada. Chaty pokryto łupkiem; w większości domów podtrzymujące go belki nie wytrzymały, zachowały się tylko fragmenty dachów.

Przybysze rozglądali się, zadziwieni, zastanawiając się, kto ostatnio zamieszkiwał tę niezwykłą twierdzę. Jeden z Kikorich wyszedł z budynku, który zwiedzał. Zawołał, podekscytowany:

- *Kurokumo!* Tutaj!

Horace ruszył różnym krokiem w jego stronę. Chałupa była przestronniejsza od większości pozostałych, bez okien, z solidnymi, ślepyimi ścianami; do wewnątrz prowadził tylko jeden otwór - drzwi.

- Bardziej to przypomina skład niż dom mieszkalny - rzekł do siebie Horace. Kiedy wszedł ostrożnie do wewnątrz, zerkając niespokojnie na dach w obawie, iż w każdej chwili może mu spaść na głowę, przekonał się, że jego domysły były słuszne.

Całe wnętrze zalegały stare, rozpadające się drewniane skrzynie oraz przegniłe strzępy

materiału, zapewne resztki worków z żywnością - rozwleczone na wszystkie strony, kiedy dobrały się do nich zwierzęta poszukujące wszystkiego, co dałoby się zjeść. Jednak przede wszystkim jego uwagę zwrócił stos piętrzący się pośrodku pomieszczenia.

- To broń, *Kurokumo!* - zawołał Kikori, który go tu sprowadził. - Spójrz!

Rzeczywiście, trafili na skład starej broni: włóczni, dzid oraz prymitywnych mieczy - nie wykutych starannie z najlepszej stali kling używanych przez senshich, ale cięższych mieczy, o prostych ostrzach. Z biegiem lat skórzane rapcie i drewniane pochwy przegniły, więc obecnie sprawiały wrażenie, że rozsypią się przy pierwszym dotknięciu. Metalowe głowice rękojeści pokrywała gruba warstwa rdzy. Do niczego - stwierdził z miejsca Horace. Tani, kiepskiej jakości oręż, liche nawet wtedy, kiedy był jeszcze nowy. Przypuszczalnie miecze sporządzono ze zwykłego żelaza, nie zaś z hartowanej stali. Teraz stanowiły większe zagrożenie dla ewentualnego użytkownika niż dla nieprzyjaciela.

- Czy możemy się nimi posłużyć? - spytał Kikori, lecz Horace potrząsnął głową. Dotknął głowni jednego z mieczy, posypała się czerwona rdza.

- Za stare. Przerdzewiały - rzekł. Zwrócił się do Reito, który wszedł za nim do chaty. - Domyślasz się, kto mógł to wszystko zbudować? - spytał. - I kto zgromadził te zapasy - dodał, wskazując dłonią wewnątrz starego składu.

Reito podszedł bliżej, przyjrzał się z jednemu z mieczy. Skrzywił się, widząc, jak kiepsko zostało wykonane ostrze.

- Przypuszczalnie bandyci, czy też, jak kto woli, rozbójnicy - stwierdził. - Przecież to idealna kryjówka dla wyjętych spod prawa rabusiów, mogli napadać na wioski Kikorich oraz na podróżnych, a potem wracać do bezpiecznego schronienia.

- Cóż, w każdym razie dawno odeszli - skonstatował Horace, ścierając ślady rdzy z palców. - Myślę - dodał, zmieniając temat - że lepiej będzie wybudować nowe chaty. Wolałbym spać w miejscu, gdzie nie musiałbym się obawiać, że dach spadnie mi na głowę.

Rozłożyli się obozem na płaskim terenie za palisadą. Tymczasowo musieli nocować w namiotach, tak jak dotąd, lecz Horace naradził się już ze starszą Kikorich co do tego, gdzie najlepiej wybudować chaty oraz szpital dla rannych. Najpierw jednak najwprawniejsi cieśle zajęli się naprawą i wzmocnieniem palisady, przede wszystkim zaś jej zrujnowanej lewej części.

Nadzoru nad pracami podjął się Horace, zdejmując w ten sposób ciężar z ramion Reito, który dzięki temu mógł skupić się na opiece nad cesarzem. Reito należał do kasty senshich, lecz był dworzanim, nie żołnierzem, toteż Horace dysponował lepszymi kwalifikacjami, by zająć się umocnieniami Ran-koshi. Przemierzał dolinę, pełen energii, wraz

z kilkunastoma przedstawicielami starszyny Kikorich. Rycerzowi asystowali przywódcy wspólnot wioskowych, których członkowie przyłączyli się do orszaku cesarza.

Z zadowoleniem stwierdził, że szybko uznali jego zwierzchnictwo, akceptując też rozkazy. Jeszcze bardziej ucieszyło go, że chętnie współpracowali ze sobą. Jeśli nawet między poszczególnymi wioskami panowała pewna niechęć, teraz wszystkie animozje poszły w niepamięć.

Jeden z Kikorich zwrócił mu uwagę, że w samej dolinie brakuje materiału potrzebnego do budowy. Trzeba posłać drwali z powrotem drogą, którą tu przyszli, by narąbali drzew i przywlekli bale do fortecy.

Horace przyznał mu rację:

- Słusznie. Ale jeszcze jutro wypoczywamy - stwierdził. - Potem bierzemy się do roboty.

Zgromadzeni Kikori przytaknęli temu zamysłowi. Wiedzieli, że dzień poświęcony na odpoczynek zwróci się z nawiązką, bo później praca pójdzie szybciej.

- Zatem wyznaczcie ludzi do poszczególnych zadań - polecił Horace. Pożegnali go skinieniami głów, na które również odpowiedział takim samym gestem. Uświadomił sobie, że w krótkim czasie i on nabrał identycznego nawyku; tak samo, jak u miejscowych, ukłon wszedł mu w krew, stał się naturalnym, niewymuszonym odruchem. Starszyna rozeszła się, a Horace obejrzał się w stronę, gdzie czekali Eiko oraz Mikeru. Obaj zawsze trzymali się blisko niego; z czasem stali się jakby jego zastępcami do zadań specjalnych.

- Eiko, czy zechciałbyś wyznaczyć ludzi, którzy poszliby z powrotem naszym szlakiem, aby wypatrywać nadciągających wojsk Arisaki?

- Sam pójdę, *Kurokumo* - zaproponował potężnie zbudowany drwal, lecz Horace potrząsnął głową.

- Nie, możesz przydać mi się tutaj. Poślij ludzi, którym ufasz.

- Może ja z nimi pójdę, *Kurokumo*? - odezwał się Mikeru, młodzieniec, który służył im za przewodnika podczas wędrówki z pierwszej wioski Kikorich i tym samym uszedł cało z pogromu dokonanego przez patrol Arisaki. Bystry, pojętny, tryskający energią, zawsze był gotów do podjęcia każdego zadania, które urozmaiciłoby monotonię długiego marszu. Nadawał się więc doskonale do pracy, jaką zamierzał mu wyznaczyć Horace.

- Nie, również dla ciebie przewidziałem inne zadanie. Zbierz trzech lub czterech przyjaciół, wspólnie zbadajcie tę dolinę. Chodzi o to, żeby znaleźć tajemną drogę prowadzącą na płaskowyż po drugiej stronie gór.

Mikeru i Eiko spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Sekretną drogę, *Kurokumo*? A czy istnieje tu sekretna droga? - Mikeru spojrział dookoła; zewsząd otaczały ich skalne ściany i zdawały się nieprzeniknione, nieprzebyte. Horace uśmiechnął się.

- Ta dolina jest fortecą, ale zarazem pułapką. Ślepym zaułkiem. Żaden wojskowy dowódca nie zamknąłby swoich ludzi w takiej twierdzy, o ile nie istnieje tajemna droga odwrotu. Możecie mi wierzyć. Na pewno jakaś droga istnieje. Z pewnością wąska i trudna, ale musi tu gdzieś być. A wy powinniście ją znaleźć.

ROZDZIAŁ 28

„Wolfwill” wpłynął na wiosłach do niewielkiej zatoczki. Przy bezwietrznej pogodzie nieskazitelną, lśniąca powierzchnię zaburzały tylko kręgi fal, tworzących się od uderzeń szesnastu wiosł i prosty niczym strzała kilwater okrętu.

Przed czterema dniami opuścili Iwanai, by popłynąć na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża Nihon-Ja. Wiał wiatr południowy, toteż Gundar kazał marynarzom postawić naraz oba żagle przy bomach ustawionych prostopadle do osi kadłuba. Gundar nazywał taką metodę użycia żagli „gęsimi skrzydłami”, choć przypominały raczej ogromną literę V. Przy wietrze od rufy mógł w ten sposób wykorzystać dwukrotnie większą powierzchnię płótna.

Morze było spokojne, a dzięki użyciu dodatkowego żagla „Wolfwill” pędził wzdłuż wybrzeża istotnie niczym na skrzydłach. Jak przekonał się Halt, studiując mapę, trzy dni łatwej żeglugi oszczędziły całych tygodni niezwykle mozolnej wędrówki przez ciągnące się kilometrami łańcuchy górskie. Jednocześnie omijali patrole Arisaki. Właśnie dotarli do północnej części wyspy, czyli tam, gdzie niezbyt daleko w głębi lądu miała znajdować się forteca Ran-koshi.

- Chyba wystarczy, Gundarze - stwierdził cicho siwobrody zwiadowca.

Skirl wydał rozkaz, lecz także nie podnosząc głosu; wiosła zaprzestały równomiernych poruszeń. Wydawało się, że w tym miejscu należy zachować ciszę: panował tu niezmacony spokój, nie zadrgał nawet listek na drzewie.

Przynajmniej takie odnieśli wrażenie. Dopiero z czasem okaże się, co w rzeczywistości kryją drzewa gęsto zalesionego wybrzeża zatoki. Z morza widzieli zielone od lasów wzgórze, a dalej góry o szczytach pokrytych śniegiem.

„Wolfwill” płynął pod pełnymi żaglami, towarzyszyło mu lustrzane odbicie statku w gładkiej powierzchni wody. Załoga i pasażerowie obserwowali uważnie nadbrzeżną gęstwinę, wypatrując, czy coś się w niej nie porusza.

- Byłeś już tu kiedyś, Atsu? - spytał Selethen.

Ich przewodnik pokręcił głową.

- Nie w tej prowincji, panie - rzekł. - Nie znam tutejszych Kikorich. Jednak nie spodziewam się kłopotów. Kikori pozostali wierni cesarzowi Shigeru. Muszę tylko odnaleźć ich siedliska i nawiązać kontakt z miejscowymi.

- Obyś przy okazji nie wpadł w łapy ludzi Arisaki - przestrzegł Halt.

- Nic nam nie wiadomo, by wpływy Arisaki sięgnęły już tak daleko na północny zachód - stwierdził przewodnik.

Halt wzruszył ramionami.

- O ile się orientuję, równie dobrze mogli tu dotrzeć, jak i nie dotrzeć. Lepiej przygotowywać się na najgorsze. Dzięki temu, nawet gdy się najgorsze zdarzy, nie czeka nas rozczarowanie - rzekł, po czym zwrócił się do Gundara: - Pomyślałem, że lepiej się stanie, jeśli rozłożysz obóz na wyspie, którą minęliśmy, nie na stałym lądzie.

Skirl przytaknął:

- I mnie się tak zdaje. Kto wie, ile czasu tu spędzimy. Na pewno tygodnie, może miesiące, a może całą zimę. Na wyspie bezpieczniej.

Wcześniej już postanowiono, że Gundar oraz jego ludzie nie wyruszą wraz z Aralueńczykami i Selethenem w góry. Wilk morski niechętnie rozstawał się ze swym okrętem nawet na krótki czas, tymczasem przecież mogło się okazać, że spędzą w Ran-koshi całe miesiące. Tak więc, zgodnie z ustaleniami, Skandianie mieli odwiedzić Atsu z powrotem do Iwanai, a potem powrócić w to miejsce i spędzić zimę w obozie, wyciągnąwszy okręt na ląd, wysoko ponad linię przyływów, aby uchronić go przed zimowym wichrem i sztormami. Zamierzali wybudować chaty ukryte pośród drzew. Skandianie bardzo często zimowali w ten sposób na obcych lądach, gdy podczas swych podróży zamierzali przeczekać sztormowy sezon. W Iwanai Gundar poczynił odpowiednie zapasy żywności, by nie zabrakło jej przez długi czas. Ponadto mogli wybierać się na stały ląd, aby polować oraz po słodką wodę - rzecz jasna, o ile by się okazało, iż brak jej na wyspie. Tak się szczęśliwie składało, że nie musieli zimować na stałym lądzie. Dzielące wyspę od brzegu czterysta metrów zapewniało bezpieczeństwo oraz pewność, że zawczasu dostrzegą wroga, gdyby ktoś chciał ich napaść.

- Do brzegu dopłyniemy łodzią - mówił dalej Halt. - Jednak potem wracajcie na wyspę. My założymy obóz na brzegu i w nim przenocujemy, tymczasem Atsu spróbuje skontaktować się z tubylcami.

Po czterdziestu minutach wysadzeni na brzeg spoglądali, jak wiosła wilczego okrętu na jednej burcie powędrowały w przód, na drugiej w tył, a potem „Wolfwill” dokonał zwrotu niemal w miejscu. Następnie nabrał prędkości, wypływając w morze. Stojący na burcie Gundar pomachał im na pożegnanie.

Kiedy „Wolfwill” opłynął przylądek i zniknął z pola widzenia, Willa ogarnęło nagle dziwne poczucie osamotnienia. Uznał jednak, że to nie pora na rozmyślanie, bowiem czekała go praca.

- Doskonale - rzekł Halt. - Rozstawiamy namioty. Atsu, czy chcesz odczekać do rana? Czy spróbujesz dotrzeć do miejscowych jeszcze dziś wieczorem?

Atsu zerknął na słońce zniżające się nad horyzontem. Przypuszczalnie do zmroku zostało jeszcze około godziny.

- Może lepiej, żebyśmy wyruszył od razu - stwierdził. - Prawdopodobnie widziano nas, toteż im prędzej zdołam wyjaśnić im nasze zamiary, tym lepiej.

Halt skinął głową i kiedy pozostali zajęli się rozbijaniem namiotów oraz zbieraniem kamieni na palenisko, Atsu zapuścił się w gąszcz drzew. Will spoglądał za nim przez chwilę, po czym powrócił do wykonywanej czynności, czyli do napinania liny własnego namiotu. Kiedy się uporał z robotą, spostrzegł, iż znajdujący się nieopodal Selethen, nieobznajmiony z aralueńskimi namiotami, nie potrafi sobie poradzić. Wakir zastanawiał się, na czym polega ów system lin oraz płacht. Will podszedł do Selethena, po czym kilkoma zręcznymi ruchami rozstawił również jego namiot.

- Dzięki - westchnął arydzki wojownik. Następnie dodał z zakłopotaniem: - Prawdę mówiąc, zazwyczaj robi to za mnie służący.

- Miło, że mogłem się na coś przydać - odparł Will. - W zamian liczę na możliwość skorzystania z twoich zapasów kawy.

- Ma się rozumieć - odpowiedział Aryda. Sięgnął do osobistego zawiniątka. Niewątpliwie przywiezione przezeń ziarna kawy przewyższały smakiem i aromatem te, które posiadali w bagażach Will oraz Halt. Wszyscy oszczędzali cenny przysmak, bowiem w Nihon-Ja kawy chyba nie znano. Jednak Will właśnie uznał, że czas najwyższy na kubek smakowitego naparu.

Evanlyn z Alyss natrafiły na płynący nieco w głębi łądu strumyk. Wróciły do obozowiska po bukłaki oraz manierki, aby napełnić je świeżą, zimną wodą. Czekaając na powrót dziewcząt, Will oraz Selethen zabrali się do rozpalania ognia. Halt, który siedział oparty plecami o pniak i przyglądał się mapie, spojrzął na nich. Will zawahał się.

- Jak myślisz, Halt, czy możemy sobie pozwolić na ognisko? - spytał.

Starszy zwiadowca zastanawiał się przez chwilę.

- Czemu nie? - odrzekł. - Jak słusznie zauważył Atsu, tubylcy pewnie i tak wiedzą, że tu jesteśmy. - Zerknął ku drzewom, gdzie można było dostrzec obie dziewczyny zajęte napełnianiem manierek.

- Spodziewasz się kłopotów? - spytał Will, zrozumiawszy, że Halt z dystansu czuwa nad Alyss i Evanlyn, które oddaliły się nieco.

I tym razem Halt nie odpowiedział od razu.

- Zawsze jestem podejrzliwy, gdy znajdę się w nieznanym kraju - rzekł. - Ten sposób myślenia zwykle się oplaca.

- Zapewne dzięki niemu wciąż żyjesz - zauważył Selethen, uśmiechając się lekko.

Halt skinął głową.

- Otóż właśnie. Przynajmniej dotąd. Poza tym, pomyślałem... Atsu wydaje się przekonany, że wszystkie wioski Kikorich wspierają cesarza. Jednak brak nam gwarancji, iż niektórzy nie postanowili przejść na stronę Arisaki.

- Sądysz, że to prawdopodobne? - zadał pytanie Will.

Halt spojrział na młodego podopiecznego.

- Skąd mam wiedzieć? Wszystko może się zdarzyć. W każdym razie, zdaliśmy się na słowa Atsu, a przecież nie możemy mieć pewności, czy jego osąd jest zgodny z rzeczywistością.

Tymczasem powróciły Evanlyn i Alyss. Dźwigały pełne manierki oraz dwa spore bukłaki, niosąc je między sobą. Evanlyn przyjrzała się z uznaniem gotowemu obozowisku.

- Jak przytulnie i domowo, choć od domu daleko - stwierdziła wesołym tonem.

Alyss, która dostrzegła zatroskanie na twarzach Selethena, a także obu zwiadowców, dodała:

- I jacyście przy tym naburmuszeni. Czy coś was trapi?

Halt odpowiedział uśmiechem.

- Nie, teraz już nie - odezwał się. - Odkąd mamy wodę na kawę, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Tak więc przede wszystkim zagotowano wodę i zaparzone kawę, a potem Will zabrał się za przygotowanie wieczornego posiłku. Na targu w Iwanai nabyli kilka kurczaków, które teraz poćwiartował. Mięso umieścił w marynacie z oliwy, miodu oraz ciemnego, słonego sosu, którego Nihonczycy używali do prawie każdej potrawy.

Od Atsu nauczył się, jak gotować ryż, bowiem nigdy dotąd nie miał okazji go przyrządzać. Ustawił na rozżarzonych węglach zakryty rondel, po czym przyrządził sałatkę z małych cebulek i zielonych liści przypominających szpinak. Will, jak zawsze, miał w swoim bagażu podróżnym zestaw własnych ingrediencji, za pomocą których przygotował teraz smakowity, cierpki sos do sałatki.

- Mężczyzna, który potrafi gotować - stwierdziła Alyss. - Istny skarb.

Siedziała wygodnie przy ognisku, oparta o pień, podciągnawszy kolana pod brodę.

- Słyszałam, że i ty potrafisz upichcić niezłą potrawkę, Halt? - rzuciła nieco zaczepnym tonem Evanlyn.

Halt upił jeszcze łyk kawy. Uśmiechnął się do księżniczki znad krawędzi kubka.

- Należy to do programu szkolenia zwiadowców - odparł. - Nie ma takiego prawa, które nakazywałoby nam żywić się wyłącznie twardą jak podeszwa suszoną wołowiną i popijać rzemień zimną wodą. A smaczny posiłek wyśmienicie podnosi na duchu. Wiele lat temu Crowley poprosił mistrza Chubba, żeby przygotował dla nas specjalne receptury i przepisy. Wszyscy czeladnicy podczas trzeciego roku nauki odbywają trzymiesięczne szkolenie kucharskie.

- Doskonale. Cóż więc nam upichcisz? - spytał tym razem Selethen. Mówił żartobliwym tonem, lecz w gruncie rzeczy uważał, że tego typu nauki przydadzą się każdemu wojownikowi. Jak słusznie zauważył Halt, prosty, lecz smaczny posiłek może sprawić, iż życie obozowe stanie się o wiele przyjemniejsze.

Halt dopił resztkę kawy. Na dnie kubka pozostały już tylko fusy. Korciło go przez chwilę, żeby zaparzyć drugi dzbanek, ale zwalczył chętkę: nie mogli sobie pozwolić na rozrzutność, dysponując raczej ograniczonymi zapasami.

- Nie zamierzam gotować - odparł. - Will lubi się tym zajmować, nie chcę mu odbierać przyjemności.

Will spojrzał na mentora. Nadziewał właśnie marynowane mięso kurczaka na cienkie patyki.

- Nie mówiąc o tym, że Halt jest w stanie przypalić wodę, kiedy bierze się za gotowanie - rzucił.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Will już miał opowiedzieć jakąś historyjkę o kucharskich niepowodzeniach Halta, lecz nagle znieruchomiał, wpatrzony w cienie na skraju lasu okalającego piaszczyste wybrzeże. Odłożył przygotowany właśnie szaszłyk i wstał, sięgając po rękojeść długiego noża.

- Mamy towarzystwo.

Spośród drzew wyłaniały się kolejne postacie. Sami mężczyźni, odziani w futra i owcze skóry, wszyscy uzbrojeni w topory lub włócznie. Towarzysze Willa również powstali. Halt, który trzymał już w dłoni swój łuk, szybko sięgnął po kołczan, podniósł go z ziemi i zarzucił na ramię. Jakby kontynuując ten sam płynny ruch, wydobył strzałę i założył ją na cięciwę. Selethen położył dłoń na jego przedramieniu.

- Jest ich zbyt wielu. Może lepiej najpierw spróbujemy dojść do porozumienia.

Zwiadowca uznał, że Selethen ma słuszość. Zbliżało się ku nim co najmniej dwudziestu zbrojnych.

- Gdzie się podziewa Atsu? - syknął Will przez zęby. - Teraz właśnie by się przydał.

Rozejrzał się za przewodnikiem w nadziei, iż Atsu wróci na czas - lecz nikogo nie dostrzegł. On również trzymał łuk pod ręką, ale Selethen miał rację. Gdyby doszło do walki, stanęliby w obliczu zbyt wielu przeciwników.

Nowo przybyli ustawili się w półokrąg wokół grupki skupionej przy ognisku. Spoglądali twardym, nieufnym wzrokiem. Halt odłożył łuk, rozłożył ręce w pokojowym geście. Selethen także odsunął dłoń od rękojeści szabli.

Jeden z mężczyzn odezwał się, lecz Halt nie rozpoznał słów.

- Zrozumiałaś coś, Alyss? - spytał.

Jasnowłosa kurierka zerknęła szybko na niego, niezbyt pewna siebie.

- To po nihońsku - odparła. - Ale mówi z bardzo silnym akcentem. Trudno cokolwiek pojąć. Pytał chyba, kim jesteśmy.

- Pytanie całkiem na miejscu - przyznał Will.

Przybysz zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Wyrzucił z siebie kilka słów. O ile ich znaczenie pozostawało zagadką, ton wypowiedzi nie budził wątpliwości. Pobrzmiwała w nim groźba.

- Lepiej niech Alyss rozmawia - rzucił do Willa półgłosem Halt.

Nihończyk spojrział teraz na niego, lecz ponieważ najwidoczniej Halt pełnił rolę przywódcy obcych, fakt, iż się odezwał, nie rozgniewał go już tak bardzo.

- Spytaj, czy spotkał Atsu - polecił zwiadowca.

Alyss odezwała się, starannie dobierając słowa, jej towarzysze zdołali jedynie zrozumieć imię „Atsu”. Tymczasem Nihończyk zaprzeczył. O Atsu nigdy nie słyszał i nigdy go nie widział. Powtórzył zadane już pytanie, z jeszcze większym naciskiem.

- Znowu pyta, kim jesteśmy - przetłumaczyła Alyss. Nie musiała im mówić, iż co do Atsu, otrzymała przeczącą odpowiedź.

- Powiedz mu, że jesteśmy podróżnymi - zaproponował ostrożnie Halt. - Nasz okręt uległ uszkodzeniu, toteż załoga wysadziła nas tutaj.

Alyss zebrała myśli, aby ułożyć stosowne zdania. Na jej słowa Nihończyk mruknął gniewnie, po czym rzucił następne pytanie:

- Chce wiedzieć, dokąd się wybieramy - wyjaśniła Alyss. Spojrzała na Halta. - Czy powinnam powiedzieć im o Shi... - urwała, nie chcąc wymawiać imienia władcy; zdawała sobie sprawę, że Nihończycy prawdopodobnie je rozpoznają. W ostatniej chwili zmieniła pytanie: - O... o cesarzu?

- Nie - odrzekł pośpiesznie Halt. - Nie wiemy przecież, po czyjej stronie się opowiedzieli. Powiedz im tylko, że szukamy Kikorich.

Znaleźli się w trudnej sytuacji. Istniała pewna szansa, że ci ludzie zaliczają się do przeciwników Arisaki. Szansa, lecz nie pewność. Równie dobrze mogli rekrutować się z grona jego zwolenników. A w takim razie, gdyby Alyss powiadomiła ich, że wraz ze swymi towarzyszami szuka Shigeru, mogliby wszyscy zostać pojmani i zapewne zgładzeni przez ludzi uzurpatora.

Alyss zaczęła tłumaczyć, co powiedział Halt, lecz przybysze wyraźnie rozpoznali słowo „Kikori”. Ich przywódca wskazał kilkakrotnie palcem własną pierś, po czym wykrzyknął coś. Powtórzył przy tym kilkakrotnie słowo „Kikori”.

- To chyba rozumiecie? - odezwała się Alyss. - Ci ludzie to Kikori.

- Pytanie brzmi, po czyjej opowiadają się stronie - stwierdziła Evanlyn. Na to jednak Alyss nie była w stanie jej odpowiedzieć.

Przywódca Kikorich odwrócił się do swoich ludzi, wykonał ponaglący ruch ręką. Kikori weszli do obozowiska i otoczyli pięcioro cudzoziemców, machając gwałtownie rękami. Nietrudno było zrozumieć, co mają na myśli. Zażądali, aby obcy udali się dokądś z nimi. Will zwrócił jednak uwagę, że Kikori nie próbowali pozbawić ich oręża, natomiast wyraźnie dawali Aralueńczykom i Selethenowi znaki, by zabrali swoje bagaże oraz inny sprzęt. Will wyciągnął rękę w stronę jednego z namiotów, ale Kikori stojący przy nim wykonał przeczący gest i coś krzyknął. Powtórzył kilkakrotnie to samo słowo:

- *Dammé! Dammé!*

Will wzruszył ramionami.

- Aha. Czyli namioty zostają - stwierdził.

ROZDZIAŁ 29

Horace wraz z szefem zespołu robotników wyznaczonych do naprawy umocnień dokonywał oględzin zawalonej, zachodniej części palisady. W tym miejscu prace posuwały się wolniej niż gdzie indziej. W większości ogrodzenie z bali zostało już naprawione, wzmocniono znajdujące się w górze pomosty dla obrońców, tu i ówdzie wymieniono je na nowe. Również część bali, tam gdzie zachodziła taka potrzeba, wymieniono na nowe, wyciosane ze świeżo ściętych drzew. Jednak okazało się, że w miejscach, gdzie ściana runęła, pojawił się problem wynikający z przyczyn innych niż sam upływ czasu i jego niszczące działanie.

- *Kurokumo*, gdy śniegi topnieją, tędy spływa woda - oznajmił jeden z Kikorich, pokazując Horace'owi koryto sezonowego strumienia. - Wyplukana ziemia. Trzeba ją usypać na nowo.

Horace podrapał się po podbródku.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie padać. Co z tego, że załatamy lukę, jeśli wszystko ma spłynąć po pierwszej ulewie - rzekł.

Jednak szef robotników potrząsnął głową.

- Za zimno na deszcz. Niedługo spadnie śnieg. I woda nie popłynie tędy aż do wiosny, kiedy śniegi stopnieją. A nawet wtedy minie trochę lat, zanim poczyni szkody. To nie zdarzyło się w ciągu roku ani dwóch.

Horace spoglądał na niego przez chwilę w milczeniu. Kikori sprawiał wrażenie przekonanego, co do swej racji i, co ważniejsze, najwyraźniej znał się na wykonywanej robocie.

- Czyli, świetnie. Bierzmy się do pracy. Nie wolno nam spocząć, dopóki palisada na całej długości nie stanie się równie potężna.

- Uporamy się z tym w kilka dni. Teraz, skoro prace w innych częściach są już na ukończeniu, będę mógł tu zatrudnić więcej ludzi.

- Tym lepiej - stwierdził Horace. Ruchem ręki dał znać cieśli, by wracał do swoich zajęć. Odwrócił się, ruszył z powrotem pod górę stoku wiodącego do chatki zbudowanych już przez pracowitych Kikorich.

Kilku młodych mężczyzn zwolniono z prac budowlanych, bowiem dowódca osobistej straży przybocznej Shigeru postanowił nauczyć ich techniki walki mieczem. Pokazywał teraz

wybrańcom podstawowe ruchy, wykrzykując na głos nazwy poszczególnych cięć, pchnięć i zasłon. Horace zatrzymał się, żeby popatrzeć, jak zwykle zafascynowany odmiennym stylem nihońskiej szermierki. Na pozór zdawała się ozdobna i zbyt sformalizowana, bardziej przypominała dziwaczny balet niż proste sekwencje ruchów, jakich uczono Horace'a. Jednak młody rycerz zdążył się już przekonać, iż każdemu z tych ruchów przyświeca określony cel, a opanowanie systemu prowadzi do zabójczej skuteczności w walce.

Po chwili Moka, dowódca straży, zakończył pokaz i rozkazał Kikorim powtórzyć te same ruchy. Dzierżyli w dłoniach miecze zdobyte na senshich zabitych podczas napaści na Osadę Nadbrzeżną.

Moka przyglądał się z kamienną twarzą, jak młodzi adepci usiłują go naśladować. Poruszali się niezgrabnie, żałośnie wymachując bronią. W pobliżu stał Reito, także obserwując. Dostrzegł Horace'a i podszedł do niego.

- Nienajlepiej się spisują, prawda? - spytał Horace.

Reito wzruszył ramionami.

- Senshi uczą się tego od dziesiątego roku życia - odparł. - Trudno wymagać od drwali, by nauczyli się *iaido* w kilka tygodni.

- Obawiam się, że i kilka miesięcy nie wystarczy - odpowiedział ponuro Horace. - A przecież czeka ich starcie z wojownikami mającymi za sobą długie lata treningu. Reito przytaknął, ale zaraz rozłożył ręce.

- W istocie. Ale czy istnieje jakieś inne rozwiązanie?

Horace potrząsnął głową.

- Chciałbym je znać - mruknął.

Owszem, potężne masywy górskie i palisada z bali pozwolą przetrwać zimą, lecz z nadejściem wiosny czekało ich starcie z senshimi Arisaki.

- Czasami dochodzę do wniosku, że tylko odwlekamy nieuchronny koniec - stwierdził. Nim jednak Reito zdążył odpowiedzieć, usłyszeli, że ktoś woła Horace'a po imieniu. Odwrócili się, spojrzeli w dół, gdzie ujrzeli podekscytowanego Mikeru oraz jego dwóch młodych towarzyszy. Kilku z Kikorich zaprzestało ćwiczeń, by również spojrzeć w tamtą stronę. Prowadzący naukę dowódca zrugął ich gniewnie i kazał ćwiczyć dalej. Potulnie podjęli naukę.

- Przekonajmy się, czego chce Mikeru - rzekł Horace.

- Wygląda na bardzo ożywionego - zauważył Reito. - Może przynosi pomyślne wieści.

- Oby - mruknął Horace.

Schodzili po spadzistym dnie doliny, zmierzając na spotkanie młodego Kikori. Mikeru

spozrzegł ich, więc puścił się biegiem. Zatrzymał się przed nimi, opierając się dłońmi o kolana i dysząc ciężko.

- Znaleźliśmy je, *Kurokumo* - wydyszał.

Przez chwilę Horace nie bardzo rozumiał, o czym młodzieniec mówi. Myśli Horace'a wciąż krążyły wokół naprawy umocnień oraz beznadziejnego przedsięwzięcia, jakim zdawała się próba przemienienia prostych drwali w wojowników, skoro pozostało jedynie parę miesięcy, by tego dokonać. W następnej chwili przypomniał sobie, jakie zadanie wyznaczył Mikeru kilka dni wcześniej.

- Tajemne wyjście? - spytał.

Chłopak skinął głową, rozpromieniony i tryumfujący.

- Miałeś rację, *Kurokumo!* Tajne przejście istnieje! Bardzo wąskie i bardzo trudne, i bardzo kręte. Ale jest!

- Obejrzyjmy je w takim razie - zaproponował Horace.

Mikeru przytaknął gorliwie. Ruszył natychmiast truchtem, ale zaraz zatrzymał się, by spojrzeć za siebie i by sprawdzić, czy Horace oraz Reito podążają za nim. Chłopak przypominał Horace'owi młodego psiaka, który biegnie przed swym panem i co chwila zatrzymuje się, czekając niecierpliwie.

- Spokojnie, Mikeru, powoli - powiedział Horace, uśmiechając się mimo woli. - Przejście czeka tu na nas od stuleci. Nie ucieknie!

* * *

Mikeru nie przesadził; doskonale ukryta ścieżka okazała się wąska i trudna do przebycia. Prowadziła stromym parowem opadającym pośród skalnych ścian ku dolinie. Miejscami przesmyk sprawiał wrażenie, iż ktoś dopomógł naturze, rozkuwając pracowicie skały. Jakby pierwotni lokatorzy Ran-koshi odnaleźli ciąg szczelin prowadzących w dół, a następnie połączyli je ze sobą, by utworzyć praktycznie niedostrzegalną ścieżkę.

Ślizgali się i osuwali na stromej dróżce, zrzucając przy tym małe lawiny drobnych kamyczków, uderzające o głowy po obu stronach.

- Niełatwo byłoby tędy wejść - stwierdził Reito.

Horace zerknął na niego z ukosa.

- I o to właśnie idzie. Kto o niczym nie wie, nawet nie pomyśli, że to droga prowadząca do fortecy. A nawet, gdyby atakujący zdawali sobie sprawę z istnienia tego przejścia, to minęliśmy już kilkanaście miejsc, w których dziesięciu ludzi zdoła powstrzymać całą armię.

- Można też zastawić tu rozmaite pułapki - uzupełnił Reito. - A wejść da się tylko

pojedynczo, gęsiego.

- Zejść również - stwierdził roztargnionym tonem Horace. - Zajęłoby mnóstwo czasu, gdybyście chcieli sprowadzić tędy cały oddział.

- Sprowadzić? A po co chciałbyś sprowadzać tędy ludzi? Moim zdaniem, to dobrze, że wiemy o tym przejściu. Trzeba je umocnić i zabezpieczyć oraz umieścić tu obrońców, żeby ludzie Arisaki się nim nie posłużyli. Ale dlaczego chciałbyś sprowadzać tędy oddział?

Domyślał się, że Horace'owi nie zależy na przeprowadzaniu przesmykiem wszystkich towarzyszących cesarzowi senshich i Kikorich. Tych ostatnich zebrało się w fortecy ponad czterystu, w tym wiele kobiet i dzieci. Aby sprowadzić ich wszystkich znalezioną stromą drogą na rozpościerający się poniżej płaskowyż, trzeba by całych tygodni. Zresztą, nawet gdyby zamiar miał się udać, staliby się widoczni niemal natychmiast po tym, jak rozpoczęliby próbę przebycia otwartej przestrzeni.

Horace machnął ręką, nie odpowiedział. Sam nie miał pojęcia, o co mu chodzi, po prostu snuły mu się po głowie zaczątki jakichś nieokreślonych pomysłów. Bowiem jak dotąd podejmował wyłącznie działania obronne. Zajął się odbudową umocnień. Zadbał o to, by odnaleźć tajne przejście, gdyż domyślał się, a właściwie był pewien jego istnienia i zdawał sobie sprawę, że trzeba go bronić. Jednak natura stworzyła Horace'a do ataku; stawał się sobą właśnie wtedy, kiedy przejmował inicjatywę, zaskakiwał wroga. Tajemne przejście dawało szansę na zaskoczenie. Co prawda, nadal nie wiedział, jakim cudem miałby przeprowadzić skuteczny atak, uderzając na wojowników Arisaki, mając do dyspozycji tylko pobieżnie i w pośpiechu przeszkolonych drwali. Przyszło mu do głowy, nie po raz pierwszy zresztą, że kiepski z niego strateg, a przy tym nie ma głowy do wymyślania forteli. Owszem, potrafił zorganizować obronę. Umiał dostrzec potencjalne słabości danej pozycji, a następnie je zlikwidować. Kiedy jednak przychodziło do wymyślenia nieoczekiwanej lub wręcz nieortodoksyjnej formy ataku, po prostu nie wiedział, od czego zacząć.

- Przydałby się tu Halt - mruknął do siebie - albo Will.

Reito spojrział na niego zaintrygowany.

- Co mówisz, *Kurokumo*?

Horace potrząsnął głową.

- Nic ważnego, Reito-san. Zejdźmy lepiej na sam dół.

Dał znak Mikeru i ruszył za nim. Młody góral, jak zwykle, wysforował się naprzód, skacząc z kamienia na kamień niczym kozica.

Przesmyk wychodził na płaskowyż. Jego ujście doskonale zamaskowano: wąwóz po kilku metrach skręcał gwałtownie w prawo i na pozór kończył się skalną ścianą, jak jakieś

zwykle zagłębienie w górskim zboczu. Wejście zarosło krzakami i karłowatymi drzewkami, piętrzyła się tam również sterta kamieni. Horace gotów był się założyć, iż nie znalazły się w tym miejscu przypadkiem. Za występem skalnym, jakieś trzysta metrów od tajemnego przejścia, znajdowało się wejście do doliny, którą wiodła droga do Ran-koshi.

Horace rozglądał się uważnie.

- Powiedzmy, że dałoby się tędy sprowadzić stu ludzi. Schodzą jeden po drugim, bez zbędnego obciążenia, niosą tylko broń. To by zajęło dobre pół dnia. Potem mogliby się skryć tam, za skałami. Lepiej uczynić to w ciemności, wówczas powstaje mniejsze ryzyko, że zostaną zauważeni.

I tym razem nie zdał sobie sprawy, że wypowiada myśli na głos. Toteż drgnął, zaskoczony, kiedy Reito odpowiedział:

- Wykonalne. Skąd jednak wziąć owych stu ludzi, o których mówisz? W tej chwili mamy zaledwie czterdziestu wojowników gotowych do walki, a Arisaka dysponuje siłami dziesięciokrotnie większymi.

Horace przytaknął niechętnie:

- Wiem, wiem - westchnął. - Tylko się zastanawiam. Gdybyśmy mieli do dyspozycji siłę uderzeniową z prawdziwego zdarzenia, moglibyśmy sprawić Arisace przykrą niespodziankę.

- A gdybyśmy mieli skrzydła, moglibyśmy przefrunąć nad jego armią - odpowiedział mu Reito.

Horace wzruszył ramionami.

- Tak, wiem. Gdyby, gdyby, wciąż gdyby. Cóż. Obejrzeliśmy sobie tylne wejście. Wracajmy do twierdzy.

Droga powrotna zajęła im niepomernie więcej czasu. Słońce zachodziło już, kiedy Reito oraz Horace wyłonili się ze skalnego rumowiska. Ich ubrania były podarte w kilku miejscach, a prócz tego Horace krwawił z długiego zadrapania na prawej ręce. Skaleczył się, gdy usiłował bezskutecznie powstrzymać niegroźny skądinąd upadek - zsunął się wraz z piargiem zalegającym parów.

- Bez wątpienia - zwrócił się Horace do swego towarzysza - tak jak mówiłeś, nie sposób wspiąć się tędy i jednocześnie walczyć, jeśli obrońca nie pozwoli się zaskoczyć.

- Dopilnujmy więc, aby umieścić tu obrońców i żeby zachowali czujność.

Horace skinął głową. Jeszcze jedna sprawa, o której należy pamiętać nazajutrz.

Gdy zbliżali się do stóp stoku prowadzącego ku rozpadlinie, usłyszeli głosy. Ktoś ich wołał. Horace zmrużył oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek w narastających ciemnościach. W

pobliżu wiaty służącej za wspólną jadalnię skupiła się spora grupa ludzi. Skierował się w tamtą stronę, ale zanim doszedł, jeden z Kikorich wybiegł mu na spotkanie.

- *Kurokumo*, prędko. Pojmaliśmy pięcioro szpiegów!

ROZDZIAŁ 30

Z gromadzeni Kikori i senshi rozstąpili się przed nimi, czyniąc przejście Horace'owi oraz Reito. Młody rycerz dostrzegł więźniów otoczonych eskortą zbrojnych Kikorich. Jego serce przepełniła bezgraniczna radość. Jednak nowo przybyli nie patrzyli na niego, nie zauważyli jego przybycia.

- *Kurokumo!* - zawołał jeden z dowódców, przeciskając się przez tłumek, by wyjść na spotkanie Horace'a. - Patrol złapał ich na nizinie, przy brzegu. Nie chcą powiedzieć, po co tu przybyli. Myślimy, że to szpiedzy. Są cudzoziemcami - dodał tonem świadczącym, iż jego zdaniem ów fakt wszystko wyjaśnia i nie trzeba już nic dodawać.

- Ach, tak? - odparł Horace. - Może powinniśmy przybyszów wychłostać i w ten sposób rozwiązać im języki!

Na dźwięk jego głosu więźniowie odwrócili się, spojrzeli w stronę młodego rycerza. Jeszcze przez chwilę nie poznawali go, bowiem nosił się na nihońską modłę - miał na sobie szerokie spodnie oraz przepasany szarfą i sięgający do kolan kaftan, jaki nosili Kikori. Całości stroju dopełniała futrzana czapa z nausznikami, nasunięta na czoło.

W następnej chwili Evanlyn wydała głośny okrzyk zachwyty.

- Horace!

Zanim zdumieni Kikori zdolali ją powstrzymać, rzuciła się rycerzowi na szyję, obejmując go i ściskając tak mocno, że aż dech mu w piersiach zaparło. Dwaj z ludzi pilnujących jeńców doskoczyło, by ją odciągnąć, ale Horace machnął ręką, dając im znak, że wszystko w porządku. Czuł się nawet całkiem dobrze w objęciach Evanlyn.

- Zostawcie ich - rzekł. - To moi przyjaciele.

Z pewnym żalem uwolnił się od objęć Evanlyn, która ku jego zadowoleniu postanowiła jednak pozostać blisko, bowiem objęła go władczo ramieniem w pasie. Wyszczrzył zęby w uśmiechu do Halta, Willa i Alyss, którzy także rozpoznali przyjaciela w przebraniu obdartego, niechlujnego drwala z Nihon-Ja.

- Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięliście - powiedział - ale bardzo się cieszę.

Kikori, wciąż zaskoczeni, lecz zdający już sobie sprawę, iż cudzoziemcy nie stanowią zagrożenia, odsunęli się, by pozwolić trojgu Aralueńczykom podejść do Horace, powitać go klepaniem po plecach - jak Will czy Halt - albo uściskiem, tym razem w wykonaniu Alyss.

Evanlyn nadal trzymała Horace'a w pasie, a kiedy uznała, że uścisk trwa już dość długo, przyciągnęła rycerza ku sobie, odsuwając go zarazem od urodziwej kurierki.

Przez kilka chaotycznych chwil wszyscy przemawiali naraz, rzucając pytania, na które nie otrzymywali odpowiedzi. Wszyscy wszystkich zapewniali, jak bardzo są uradowani. Dopiero po dłuższej chwili Horace spostrzegł jeszcze jedną znajomą postać, trzymającą się na uboczu. Aż uniósł brwi ze zdziwienia.

- Seleten? - odezwał się, zdumiony. - A skąd ty się tu wzięłeś?

Aryda postąpił ku niemu, objął Horace'a, po czym zwyczajem swego ludu skłonił się, czemu towarzyszył pełen wdzięku ruch dłoni dotykającej ust, czoła i znowu ust.

- Horace - odezwał się z uśmiechem na twarzy. - Jak miło cię widzieć całego i w zdrowiu. Wszyscy niepokoił się o ciebie.

- Ale... - Horace spoglądał kolejno po znajomych twarzach. - Jak to się stało, że...?

Nim zdołał dokończyć pytanie, Will przerwał, biorąc się za wyjaśnienia. I, jak często bywa, wprowadził jedynie większy zamęt:

- Znaleźliśmy się wszyscy w Toscano, żeby podpisać układ - zaczął, po czym poprawił się: - No, właściwie Evanlyn tam nie było. Potem przyjechała. Ale kiedy przyjechała, powiedziała nam, że zaginałeś. No, więc wszyscy wsiedliśmy na okręt Gundara - powinieneś zobaczyć ten okręt! Ma żagle nowego typu, może płynąć pod wiatr. No, zresztą, nieważne. A zanim wypłynęliśmy, Seleten postanowił się do nas przyłączyć, bo przecież walczyliście ramię w ramię i tak dalej, a poza tym...

Tu jego wypowiedź urwała się nagle. Halt, widząc na twarzy Horace'a wyraz zupełnego oszołomienia, uniósł dłoń, by powstrzymać paplaninę swego ucznia.

- Prrr! Prrr! Po kolei i nie wszystko naraz, dobrze? Horace, czy znalazłbyś jakieś miejsce, w którym zdołalibyśmy bez przeszkód porozmawiać? Może spokojnie usiądziemy i wtedy wyjaśnimy sobie wzajemnie, co się wydarzyło.

- Dzięki, Halt. Świetna myśl - odetchnął z wyraźną ulgą Horace.

Will, odrobinę zawstydzony własnym słowotokiem, dokończył trochę niezręcznie:

- No, w każdym razie, oto jesteśmy.

A potem machnął ręką na zawstydzenie i uśmiechnął się od ucha do ucha, uradowany widokiem najlepszego przyjaciela. Horace odpowiedział tym samym. Rozumiał doskonale, że paplanina Willa stanowiła wyraz najszczerzej radości.

Horace przedstawił grono przyjaciół panu Reito, który kłaniał się po nihońsku kolejno każdemu. Kłaniali się także Aralueńczycy, chociaż Horace, przyzwyczajony już do tutejszego codziennego pozdrowienia, spostrzegł, iż czynią to trochę sztywno, niepewnie. Tylko

Selethen pokłonił się z wrodzonym wdziękiem, uzupełniając ukłon tradycyjnym arydzkim gestem powitania. Zgromadzeni Nihończycy stali wokół, z zainteresowaniem przyglądając się ceremonii. Kiedy Reito przywitał przyjaciół Horace'a, młody rycerz wyjaśnił wszystkim obserwującym Nihończykom, kim są przybysze. Wszyscy Kikori i senshi pokłonili się. Nowo przybyli pokłonili się znowu.

- W tym kraju nie brak okazji, by ćwiczyć mięśnie karku - zauważył półgłosem Will.

- Przywyknij - doradził mu wesołym tonem Horace. Poczucie ulgi na widok przyjaciół niemal go przygniatało. Dopiero teraz dotarło do niego, jak strasznie się cieszy.

Tymczasem Nihończycy zaczęli się powoli rozchodzić.

- Chodźcie do mojej chaty, tam porozmawiamy - odezwał się Horace. - Reito-san, czy zechciałbyś poprosić cesarza, żeby nas przyjął za pół godziny? Chciałbym mu przedstawić moich przyjaciół.

- Oczywiście, *Kurokumo* - odparł Reito. Skłonił się i odwrócił, po czym odszedł spieszny krokiem. Horace machinalnie odpowiedział takim samym ukłonem.

Obserwujący te ceremonie Will postąpił tak samo, choć nie był pewien, czy on również powinien się pokłonić.

- Czy tutaj wszyscy kłaniają się wszystkim? - spytał.

- Owszem, i to bardzo często - wyjaśnił Horace.

* * *

Jednoizbowa chatka wybudowana przez Kikorich dla Horace'a okazała się jednak całkiem przestronna i wygodna. W kącie leżało zwinięte posłanie. Pośrodku, na drewnianej podłodze, stał niski stolik, z małego pojemnika na żarzące się węgle promieniowało przyjemne ciepło.

Przyjaciele zasiedli wokół stołu, by wymienić się wiadomościami o wydarzeniach minionych miesięcy.

- Nie wiem, co stało się z Atsu - rzekł Halt, kiedy wszystko już sobie wyjaśnili. - Pewnie wrócił do naszego obozu i rozpaczliwie usiłuje dociec, co też mogło nas spotkać.

- Poślę tam kogoś, żeby przekazać mu wiadomość, że dotarliście do fortecy i że może wracać spokojnie. Tutejszych Kikorich nie zdoła odnaleźć, bowiem wszyscy są razem z nami - oznajmił Horace. - Wy natknęliście się na patrol, którego zadaniem było wypatrywać ludzi Arisaki. Ale jednego nie rozumiem, dlaczego nie wyjaśniliście im od razu, że szukacie mnie albo Shigeru?

To pytanie skierował do Alyss, jako do posługującej się językiem nihońskim rzeczniczki grupy. Machnęła ręką.

- Nie byliśmy pewni, z kim mamy do czynienia - wytłumaczyła. - Nie chcieliśmy mówić o cesarzu na wypadek gdyby okazali się zwolennikami Arisaki. Coś mi mówi, że oni w podobnie nieufny sposób odnieśli się do nas. Chyba wzięli nas za szpiegów. W dodatku cudzoziemskich, a odnoszę wrażenie, że oni tu nie przepadają za obcokrajowcami.

Horace pokiwał głową.

- I mnie się tak zdaje. - Wciąż nie mógł przywyknąć do widoku Alyss z krótkimi, ciemnymi włosami.

- Oni o tobie też nic nie mówili - wtrącił Will. - Udało nam się z nich tylko wydobyć, że zabierają nas do jakiegoś „Kurokumy”. Nawet nie wiedzieliśmy, czy to miejsce, czy osoba. A przy okazji, co to znaczy?

- Podobno to określenie stanowiące wyraz nadzwyczajnego uszanowania - powiedział Horace, nie chcąc przyznać, iż sam tego nie wie.

- Opowiedz nam więcej o cesarzu - zaproponował Halt. - Wyraźnie zrobił na tobie wrażenie.

- Owszem - przyznał Horace. - To dobry człowiek. Uprzejmy, uczciwy, niewiarygodnie odważny. Usiłował poprawić los mieszkających w tym kraju zwykłych ludzi i sprawić, by mieli większy udział w decydowaniu o sobie.

- I to z tej przyczyny Arisaka go znienawidził - domyślił się Halt.

- Otóż to. Shigeru ma dość odwagi, by nie ustąpić przed żądaniami Arisaki, lecz, niestety, nie jest urodzonym żołnierzem czy dowódcą. Owszem, wywodzi się z rycerskiej klasy senshich, toteż doskonale jeździ konno i włada mieczem, tak jak wszyscy szlachetnie urodzeni. Brakuje mu jednak umiejętności wojskowych w szerszym znaczeniu, wycucia strategii czy taktyki.

- Tę rolę pełnił Shukin, prawda? - spytała Evanlyn. Przez twarz Horace'a przemknął cień smutku.

- Tak. Właśnie tymi sprawami się zajmował. Obawiam się, że jego śmierć stanowiła ogromny wstrząs dla cesarza. Shigeru potrzebuje pomocy.

- Którą ty mu zapewniasz - uzupełnił Selethen.

Horace skrzywił się.

- Nie potrafiłbym zostawić go własnemu losowi. Jego pozostali doradcy to dworzanie, nie dowódcy. W straży przybocznej cesarza są co prawda także wojownicy z krwi i kości, lecz dysponują zbyt małym doświadczeniem, by zaplanować kampanię zakrojoną na szerszą skalę. - Jego oblicze rozjaśniło się. - I właśnie również dlatego tak się cieszę, że was widzę.

- Chyba już czas, abyśmy złożyli pokłon cesarzowi, nie sądzisz? - zauważył Halt.

* * *

Shigeru powitał ich dwornie, stwierdzając, iż raduje się, że zechcieli odwiedzić jego kraj, a następnie zapytał, jak przebiegła podróż. Potem przeprosił, że przyjął ich w tak niegodny sposób.

- Arisaka pograżył mój kraj w chaosie - stwierdził.

- Obawiam się, że nie zdołam was przyjąć z honorami, na jakie zasłujecie.

Halt odpowiedział cesarzowi z uśmiechem:

- Nie zasługujemy na zbyt wiele honorów, wasza cesarska mość.

- Wszyscy przyjaciele *Kurokumy* - rzekł Shigeru, wskazując Horace'a skinieniem głowy - zasługują w tym kraju na wielkie poszanowanie. Nasz młody przyjaciel położył ogromne zasługi dla mojej ojczyzny, Halto-san.

W drodze do zajmowanej przez cesarza chatki, wzniesionej w najwyższym punkcie doliny, Horace zdążył pokrótce objaśnić im zawilosci nihońskiej wymowy.

- Chyba trudno im wymawiać słowa, które kończą się twardą spółgłoską, na przykład „P”. Zazwyczaj dodają machinalnie jakąś samogłoskę. Toteż jeśli nie masz nic przeciwko temu, Halt, przedstawię cię jako „Halto”. Will może zostać „Wirru”. - Zastanowił się chwilę.

- „L”, to także dźwięk, który sprawia im kłopoty.

- Rozumiem, że z tej racji zostanę „Arrys”? - domyśliła się Alyss.

Horace przytaknął.

- A co będzie z Seletenem i ze mną? - spytała Evanlyn.

Horace zastanawiał się przez chwilę.

- Przypuszczam, że L w waszych imionach będą tylko słabiej wymawiać - stwierdził. - I wszystkie trzy sylaby każdego z nich będą akcentować tak samo, czyli wcale. Rozumiecie? Bez nacisku na drugą sylabę od końca, tylko jakby trzy niezależne sylaby. Ev-an-lyn i Se-let-hen. W tym samym jednostajnym rytmie.

Jego przewidywania okazały się trafne. Shigeru słuchał uważnie, kiedy Horace przedstawiał swoich towarzyszy, a następnie powtarzał starannie ich imiona. Rzecz jasna, za każdym razem dodawał grzecznościowe „san”.

Kiedy formalnościom stało się zadość, Shigeru posłał po herbatę. Wszyscy z przyjemnością skosztowali gorącego płynu, który przyjemnie rozgrzewał, zwłaszcza że na dworze zrobiło się naprawdę chłodno - wkrótce należało spodziewać się pierwszych opadów śniegu.

Horace spoglądał na swą filizankę. Nawet polubił zieloną herbatę, lecz nie był to przecież jego ulubiony napój.

- Pewnie nie macie ze sobą ani odrobiny kawy? - spytał obu zwiadowców.

- Owszem, trochę mamy - odpowiedział Will, a gdy oczy Horace'a rozblęły, dodał z żalem:

- Niestety, chyba cały zapas został w naszym obozowisku na wybrzeżu.

- Ha, pięknie. A już miałem nadzieję. Stanowczo muszę posłać ludzi, żeby przynieśli tu wasze rzeczy - oznajmił Horace.

Shigeru przysłuchiwał się tej wymianie zdań z uśmiechem. Zorientował się od razu, z jaką ulgą Horace przyjął pojawienie się przyjaciół. Zwłaszcza, jeśli chodziło o tego starszego, brodatego mężczyznę. Shigeru wiedział doskonale, jakie brzemie po śmierci Shukina wzięła na swe barki Horace i obawiał się, że może się ono okazać zbyt ciężkie dla młodego człowieka. Teraz ma z kim się podzielić się ciężarem - pomyślał cesarz. On także instynktownie zaufał Halto-sanowi i liczył, że przybysz znajdzie jakiś sposób, by stawić opór Arisace. Horace w ciągu minionych tygodni opowiadał mu wiele o przebiegłym, mrukliwym i enigmatycznym zwiadowcy.

- *Kurokuma* bardzo tęsknił za kawą - odezwał się cesarz.

- Wasza wysokość? - odezwał się młodszy ze zwiadowców, najwyraźniej pragnąc zadać pytanie. Shigeru skinął głową. - Skąd się bierze to imię, którym go tu wszyscy nazywają? Dlaczego *Kurokuma*?

- Jest wyrazem nadzwyczajnego uszanowania - zapewnił poważnym tonem cesarz.

- Owszem, Horace też tak mówił. Ale co to znaczy?

- Chwileczkę - odezwała się niepewnym tonem Alyss - czy nie chodzi tu o niedźwiedzia? O czarnego niedźwiedzia?

Shigeru skłonił się przed nią.

- Doskonale rozumiesz nasz język, Arrys-san - rzekł. Zaczerwieniła się lekko i także skłoniła głowę w odpowiedzi na komplement.

Horace, który już od dłuższego czasu usiłował się zorientować, co znaczy jego przydomek, uznał, iż w rzeczy samej brzmi całkiem pochlebnie.

- Czarny niedźwiedź - powtórzył. - Zapewne nazwali mnie tak dlatego, że uważają mnie za strasznie groźnego wojownika.

- Z pewnością - rzucił kpiącym tonem Will. - Widziałem cię w walce i rzeczywiście było to straszne.

- A może... - rzucił szybko Halt, aby ukrócić w zarodku rozpoczynającą się właśnie przekomarzanekę między tymi dwoma - ...obejrzelibyśmy teraz umocnienia. Zajęliśmy już jego cesarskiej mości zbyt wiele czasu.

- Proszę, Halto-san, nazywaj mnie po prostu Shigeru. W tych górach nie czuję się żadną mością, ani cesarską, ani żadną inną. - Powiódł spojrzeniem po twarzach wszystkich zgromadzonych. - Bardzo proszę, nazywajcie mnie Shigeru-san. To nam oszczędzi mnóstwa niepotrzebnych słów i ceremonii.

Uśmiech opromienił jego twarz, gdy wstali i zaczęli się żegnać. Uniósł dłoń.

- Księżniczko Ev-an-lyn - odezwał się - może ty i Arrys-san zechcecie zostać nieco dłużej. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twym ojcu i królestwie Araluenu.

- Oczywiście, wasza ce... - zaczęła Evanlyn, po czym urwała, kiedy pogroził jej palcem. - Rzecz jasna, chciałam powiedzieć, Shigeru-san.

ROZDZIAŁ 31

Przede wszystkim należało sprawdzić postępy w łataniu palisady. Halt przez kilka minut, dokonywał w milczeniu oględzin osłabionej części umocnień. Grupa Kikorich wyznaczonych do pracy na tym odcinku kopała pracowicie głębokie doły, by umieścić w nich nowe bale. Robota prędko posuwała się do przodu. Kikori, którzy od niezliczonych pokoleń ścinali wielkie drzewa, a następnie transportowali ich pnie ku dolinom, przywykli do pracy w zespole. Każdy z nich otrzymał określone zadanie i sprawnie wywiązywał się z powierzonych obowiązków. Will przyglądał się przez chwilę jednej z grup, która zabrała się właśnie do stawiania potężnej kłody w świeżo wykopanym dole. Działali jak zgrana drużyna, natychmiast reagując na komendy wykrzykiwane przez przewodzącego im starszego drwa.

- Dobrze zorganizowani - skomentował Will.

Horace potwierdził:

- Tak, potrafią współdziałać w grupie. Przy pracy, jaką wykonują na co dzień, to istotne, by każdy z nich miał pewność, że może liczyć na swego towarzysza.

- Horace - odezwał się nagle Halt - powiedz im, żeby na chwilę przestali, dobrze?

Niech przerwą pracę.

Horace popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale zawołał do Kikorich:

- Wstrzymajcie się! Zaczekajcie chwilę! - po czym zwrócił się do Halta:

- Coś robią źle? - spytał.

Zwiadowca potrząsnął głową.

- Nie, nie. Natomiast dostrzegam pewną możliwość... - zmrużył oczy, spoglądając na znajdujące się w oplakany stan ogrodzenie. Następnie jakby podjął decyzję.

- Ilu ludzi ma do dyspozycji Arisaka? Ile czasu upłynie, zanim tu dotrą?

- Pięciuset, a może sześciuset wojowników, tak przynajmniej wynika z doniesień naszych wywiadowców - odparł Horace. - Większa część jego armii przybędzie mniej więcej za trzy tygodnie. Już nas doganiali, ale zniszczyliśmy most, przez co czeka ich jeszcze kawał drogi. Natomiast prawdopodobnie przodem posłał poruszający się szybciej spory oddział, aby spróbować rozprawić się z nami, zanim zwały śniegu sprawią, iż dolina stanie się niedostępna.

Halt skinął głową. Tego właśnie się spodziewał.

- Czyli za jakieś dziesięć dni możemy spodziewać się nadciągnięcia oddziału liczącego, powiedzmy, setkę ludzi. Zgadza się?

- Owszem. Może dotrą prędzej, ale to mało prawdopodobne. Teren jest trudny, nawet jeśli wędrują z małym obciążeniem.

- I niewątpliwie przydałoby się utrzyć im nosa - powiedział Halt.

- Jeżeli tylko uda nam się osłabić liczebność wojsk Arisaki, tym lepiej.

- Doskonale. Zróbmy więc tak: przerwij naprawę tego odcinka. Lukę trzeba załatać, ale naprędce, niechlujnie. Użyjcie tych samych przegniłych bali, które się zwały. W ten sposób powstanie widoczny z daleka słaby punkt umocnień.

Horace pokiwał głową.

- Chcesz, żeby ich atak skupił się właśnie na tym miejscu? - Nie był pewien, czy to dobry pomysł, lecz z drugiej strony, nie zdarzyło się jeszcze, by Halt wpadał na pomysł zły.

- Chcę czegoś więcej. Wewnątrz umocnień wybudujemy drugą ścianę, w kształcie litery U, trochę niższą, żeby nie było jej widać z tamtej strony palisady. Pozwolimy im uczynić wyłom w ogrodzeniu. Kiedy się wedrą, znajdą się między trzema ścianami, tym razem wykonanymi porządnie. W ten sposób unieruchomimy ich na ograniczonym obszarze, a to pozwoli się z nimi rozprawić. Na pomostach tej drugiej palisady trzeba zgromadzić tyle kamieni i belek, ile się da, żeby odciąć im odwrót, zrzucając je, gdy znajdą się w pułapce. W każdym razie na tyle, żeby utrudnić napastnikom drogę powrotną.

Selethen przyjrzał się tymczasem stromemu zboczowi, do którego dochodziła palisada.

- Możemy też zgromadzić tam, na górze, cały stos kamieni - zauważył. - Nietrudno będzie zbudować prowizoryczną ścianę, która tymczasem utrzyma przyzmę w miejscu. Potem, kiedy nieprzyjaciele znajdą się wewnątrz, spuścimy na nich lawinę.

Halt spojrzał z uznaniem na Arydę.

- Podoba mi się twój sposób rozumowania - rzekł.

Po raz pierwszy od długich tygodni Horace uśmiechał się na myśl o zbliżającym się starciu. Bo tym razem o zwycięstwie nie rozstrzygną umiejętności szermierze; Kikori dysponować będą przewagą, znajdując się na szczycie palisady. Kamienie, włócznie i bale z pewnością skutecznie unieszkodliwią przeciwników. Tym sposobem można rozprawić się z każdym niewielkim atakującym oddziałem, zanim jego żołnierze zbliżą się na tyle, by doszło do walki wręcz.

- Naprawdę cieszę się, że tu jesteście - stwierdził.

- Cóż, przynajmniej nieco osłabimy nieprzyjaciela - skostatował Halt. - Ta sztuczka pewnie się uda tylko raz, ale kto wie, może dzięki niej zyskamy na czasie, więc zdąży spaść

śnieg i odetnie drogę Arisace.

Horace przywołał zarządzającego pracami drwala. Wy tłumaczył mu, na czym polega nowy plan. Kikoriemu aż rozbłyły oczy, kiedy zrozumiał fortel. Skinął z zapalem głową, po czym skłonił się z uznaniem Haltowi i Selethenowi jako pomysłodawcom.

Obeszło się bez sporządzania szkicu nowych umocnień, Kikori bez trudu potrafili sobie poradzić z tak prostą konstrukcją.

Przywódca grupy drwali zajął się rozplanowaniem pracy według nowych założeń, tymczasem Araluńczycy i Selethen poszli przyjrzeć się z bliska grupce senshich ćwiczących szermierkę.

Podobnie jak przedtem Horace, trzej nowo przybyli podziwiali doskonałą technikę, szybkość oraz precyzję nihońskich wojowników.

- Świetnie - stwierdził Selethen. - Doskonale.

Horace spojrzał w jego stronę.

- W starciu jeden na jednego bez wątpienia przewyższają araluńskich rycerzy - stwierdził. Z przykrością przychodziło mu to przyznać, lecz fakty mówiły same za siebie. - Najlepsi z naszych rycerzy przypuszczalnie dorównują najlepszym z nich, natomiast gdy zejść o poziom niżej, sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Przeciętny, szeregowy senshi dysponuje o niebo większymi umiejętnościami niż przeciętny absolwent naszych szkół rycerskich.

- Nic dziwnego - stwierdził Halt. - Sam powiedziałaś, że zaczynają naukę już w wieku dziesięciu lat. Tymczasem nasze szkoły przyjmują rycerskich czeladników, którzy ukończyli lat piętnaście.

Selethen pogłodził się po brodzie.

- Co by nie rzec - powiedział - w pojedynkę każdy z nich stanowi bardzo groźnego przeciwnika.

Te słowa poruszyły coś w pamięci Willa. Zmarszczył brwi, próbując zlokalizować owe wspomnienie, lecz w tej chwili nie potrafił wpaść na nic konkretnego. Spojrzał w stronę robotników, którzy już zajęli się zarówno pobieżnym łataniem palisady, jak i budową nowych, wewnętrznych umocnień.

Jak zawsze, działali zgodnie, ramię w ramię, dokonując wspólnym wysiłkiem tego, czego pojedynczy człowiek żadną miarą by nie zdołał wykonać. Nie marnowali sił ani czasu, na zorganizowanym przez nich „placu budowy” panował wzorowy ład. Potrząsnął głową, trochę zirytowany, że nie potrafi pochwycić myśli, która uporczywie wymykała się jego świadomości. Zaraz, jak to powiedział Selethen? „W pojedynkę... są groźnymi

przeciwnikami". Albo podobnie. Jak się mają te słowa do zdyscyplinowanych zespołów pracujących przy odbudowie umocnień? Stwierdził, że im usilniej próbuje dopaść niesforną myśl, tym bardziej mu się ona wymyka.

- Nieważne. Samo przyjdzie - mruknął do siebie, po czym przyspieszył kroku, aby dogonić pozostałych.

Moka nadal starał się nauczyć wybranych Kikorich podstaw szermierki. Horace dostrzegł pewną poprawę. Z natury krzepcy oraz cechujący się dobrą koordynacją ruchów Kikori wyraźnie zaczynali coś pojmować. Jednak w porównaniu z oglądanymi dopiero co podczas ćwiczeń senshimi, w dalszym ciągu prezentowali się dość żałośnie.

- Ilu macie senshich gotowych do walki? - spytał Halt.

- Może czterdziestu. Wystarczy, żeby obronić palisadę przed pierwszym atakiem. Jednak potem... - Moka rozłożył bezradnie ręce. Wiedział przecież doskonale, że Arisaka nie wycofa się, niezależnie od poniesionych strat. Dysponując tak wielką przewagą, może rzucać na drewniane umocnienia wciąż nowe siły.

- A ilu ma Arisaka? Pięciuset?

- Coś koło tego - przyznał niewesołym tonem Horace. Wszelkie fortele - pomyślał - jakie wynajdą, by osłabić wroga, nie na wiele się zdadzą. Prędzej czy później musi dojść do nierównego starcia z o wiele liczniejszą armią doskonale wyszkolonych wojowników.

- Zdolnych do walki Kikorich zbierzemy około dwustu? - spytał Selethen, a gdy Horace przytaknął, spytał jeszcze: - Jak przedstawia się sytuacja z bronią?

- Mają topory - odparł Horace. - Poza tym noże. Większość wyposażona jest w dzidy. Znaleźliśmy co prawda w głębi doliny magazyn ze starym orężem. To miejsce zapewne już nieraz w swoich dziejach służyło jako forteca. Jednak to właściwie bezużyteczne żelastwo, całkiem przerdzewiałe. Daleko mu do hartowanej stali i raczej nie nadaje się do użytku.

Halt spojrział w niebo. Nisko nad nimi unosiły się ciężkie, brzuchate szare chmury, nabrzmiałe od wilgoci.

- Cóż. Miejmy nadzieję, że wkrótce spadnie śnieg - rzekł.

* * *

- Powiedz, jak tam się układa między tobą a Willem? - spytał Horace.

Alyss odpowiedziała z radosnym uśmiechem:

- Cudownie - stwierdziła. - Wprost cudownie.

Minęły dwa dni, odkąd Aralueńczycy i Selethen przybyli do Ran-koshi. Prace przy budowie obmyślonej przez Halta pułapki postępowały w błyskawicznym tempie. Jak Horace miał już nieraz okazję zauważyć, Kikori doskonale się sprawdzali, gdy chodziło o budowanie

czegokolwiek z drewna. Ponadto teraz młody rycerz nieco pogodniej spoglądał w przyszłość, mając do pomocy dwóch starszych i bardziej doświadczonych towarzyszy.

„Pogódźmy się z faktami - rzekł do siebie. - Nie nadaję się do obmyślenia forteli. Miecz w dłoń i walić w łeb, oto mój żywioł”.

Tego dnia Halt i arydzki wakir nadzorowali budowę przegrody mającej utrzymać kamienie, które zamierzali we właściwym czasie spuścić na wroga. Evanlyn odbywała tymczasem kolejną długą rozmowę z Shigeru. Cesarz chciał wiedzieć wszystko o stosunkach społecznych w Araluenie. Szybko zorientował się, że tamtejszy porządek jest sprawiedliwszy od ścisłej hierarchii panującej w Nihon-Ja i zamierzał w przyszłości przenieść do swego kraju niektóre wzorce z odległej wyspy.

Tymczasem Horace i Alyss, nad którymi nie ciążyły żadne bieżące obowiązki, skorzystali z okazji, by spędzić kilka godzin razem. Przyjaźnili się od bardzo dawna. Wychowali się razem w sierocińcu w Zamku Redmont i czuli się doskonale w swoim towarzystwie. Zabrali ze sobą południowy posiłek, po czym weszli na skalny występ wznoszący się nad doliną, gdzie mogli oddać się błogiemu lenistwu, obserwując jednocześnie prace toczące się w dole. Stukot młotków, odgłosy piłowania oraz okrzyki senshich musztrujących przyszłych szermierzy mieszały się za sobą i napływały ku nim z daleka.

- Wiesz co? - mówił dalej Horace. - Kiedy wracaliśmy z Macindaw, myślałem, że złapię was oboje za głowy i postukam jedną o drugą. Wprost rzucało się w oczy, że coś się dzieje, a żadne z was nie chciało tego przyznać - uśmiechnął się na to wspomnienie. Cieszył się nad wyraz, że tak bliska więź połączyła Alyss, którą traktował jak siostrę, oraz Willa, najlepszego przyjaciela.

- Owszem - przyznała Alyss. - Każde z nas obawiało się wyznać prawdę, bo gdyby druga osoba myślała inaczej...

Horace zaśmiał się cicho.

- Z wami obojgiem kłopot jest taki, że za dużo myślicie. Zawsze to powtarzam. Moim zdaniem, jeżeli ktoś czuje coś istotnego do innej osoby, powinien walić do niej prosto z mostu oraz śmiało to powiedzieć.

- Tak sądzisz? - odparła Alyss, na co Horace przytaknął z wielce mądrą miną.

- Nie ma to jak szczerść - oświadczył stanowczo.

- Rozumiem. Zatem, jak się układa między tobą a księżniczką? - spytała niespodziewanie Alyss i ku swej radości ujrzała, że oblicze Horace'a przybiera czerwoną barwę.

- No... - zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. - Znaczy... Co właściwie masz na

myśli, mówiąc „między mną a księżniczką”? - zdołał wykrztusić po kilku sekundach. Jednak zwłoka wyjaśniła Alyss wszystko, czego dziewczyna chciała się dowiedzieć.

- Aha! - zawołała. - Tak właśnie myślałam. Jak to, co miałam na myśli? Kiedy tylko cię zobaczyła, wcale nie chciała wypuścić cię z rąk. Kleiła się do ciebie jak mucha do lepu.

- Nic podobnego! - oburzył się Horace.

- Oj, daj już spokój. Nie jestem ślepa. Podbiegła, rzuciła ci się na szyję, a potem wyściskała z całej siły.

- Ty też - przypomniał Horace, ale dziewczyna tylko machnęła ręką.

- To zupełnie co innego - stwierdziła. - A zresztą, czy uważasz za rzecz zupełnie zwyczajną, żeby następczyni tronu wybrała się na koniec świata, pragnąc odnaleźć jednego zaginionego rycerza?

Spuścił oczy; dostrzegła na jego twarzy nieśmiały uśmiech.

- Hmm, nie wiem. Może, skoro tak stawiasz sprawę...

Alyss zaśmiała się głośno.

- Sam przyznałeś! Między wami coś jest, wiedziałam! Mówiłam Willowi, ale nie chciał mi uwierzyć.

- Już dobrze, dobrze. Ale nie rozpowiadaj o tym na wszystkie strony, zgoda? - powiedział Horace. - Nie wiadomo, czy z tego coś nam wyjdzie. Niby rzeczywiście, zanim wyjechałem z Araluenu, trochę... No, spotykaliśmy się od czasu do czasu.

- Pewnie! Założę się, że właśnie dlatego Duncan wysłał cię tak daleko - rzuciła przekornie, ale natychmiast pożałowała, bo zorientowała się, że Horace wziął sobie żart do serca.

- Tak uważasz? Oj, nie pomyślałem. Niby racja, ona jest księżniczką, a ja - nikim...

Wzięła rycerza za ramię i potrząsnęła nim, zła na siebie.

- Horace! W żadnym razie nie jesteś nikim! Jak możesz tak mówić? Duncan byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że zalecasz się do jego córki!

- Ale jestem sierotą. Nie wywodzę się ze szlachty... - zaczął, lecz przerwała mu.

- Duncana wcale to nie obchodzi! Nie dba o takie bzdury. A ty jesteś bohaterem, czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? Stałeś się najświetniejszym z młodych rycerzy królestwa. Z pewnością byłby dumny, mając takiego zięcia.

Ku swemu rozbawieniu, dostrzegła przerażenie w oczach Horace'a.

- Zaraz, zaraz! Nie tak prędko. Zięcia? Kto tu mówi, o tym, żebym został jego zięciem?

- Tak mi tylko przyszło na myśl - odparła Alyss. - Powiedzmy, że to figura retoryczna,

nic więcej.

Horace jakby odetchnął, ale Alyss uśmiechnęła się do siebie w duchu. Gdyby Horace naprawdę nigdy o czymś takim nie myślał, po prostu wybuchnąłby głośnym śmiechem. „Wiedziałam! - tryumfowała w myśli. - Ciekawe tylko, czy on sam już o tym wie?”

Pragnąc jak najprędzej zmienić temat, Horace rozejrzał się w poszukiwaniu inspiracji. Jego spojrzenie spoczęło na Willu. Młody zwiadowca siedział na ziemi, pogrążony w rozmowie z grupą starszych Kikorich.

- Co on kombinuje? - spytał.

Rozmowie towarzyszyło pełne ożywienia wymachiwanie rękami. To Will, to członkowie starszyny rysowali coś na ziemi. Następnie, wciąż z zapalem gestykulując, dokonywano poprawek w rysunkach, cokolwiek one przedstawiały, aż wreszcie zebrani osiągnęli porozumienie. Teraz zgodnie kiwali głowami, śmiali, klepali się po plecach, wyraźnie wielce zadowoleni z osiągniętego rezultatu.

Przejrzawszy na wylot wykrety Horace'a, Alyss jeszcze raz uśmiechnęła się do siebie.

- Nie wiem. Przez ostatnie dwa dni zdawał mi się dość małowówny. Chadza na samotne spacerki. Pewnie coś go trapi. Pytałam, ale zbył mnie byle czym.

Horace jednak już nie raz miał okazję zaobserwować, jak jego przyjaciel zachowuje się w podobny sposób, toteż wiedział, czego należy się spodziewać.

- Nie, nic go nie trapi - powiedział. - Mówię ci, że on coś knuje.

ROZDZIAŁ 32

W małej chatce, którą dzieliła z Alyss, Evanlyn ślęczała nad mapą nakreśloną na arkuszu papieru. W roztargnieniu gryzła końcówkę cienkiego pędzelka; Nihończycy posługiwali się takimi narzędziami zamiast piórami do pisania. Było już późno. Pojedyncza lampa stojąca na stole świeciła tak słabo, że w kątach pomieszczenia panowały ciemności, trudno było w jej blasku dostrzec drobne szczegóły zaznaczone na mapie. Evanlyn mogłaby zapalić drugą lampę, ale Alyss spała już na swoim materacu pod ścianą, a księżniczka nie chciała jej przeszkadzać.

Od przybycia do twierdzy Ran-koshi spędzały ze sobą wiele czasu, więcej niż dotąd. Już przedtem były jedynymi kobietami w ich grupie, a teraz znalazły się w jeszcze liczniejszym otoczeniu wojowników oraz drwali, tak więc zostały niejako na siebie skazane. Rzecz jasna, wśród Kikorich znajdowały się też kobiety, ale odnosiły się do cudzoziemek z uniżonym podziwem, przy tym trudno było się z nimi porozumieć ze względu na różnice językowe oraz trudną dla Alyss tutejszą wymowę.

Nie, Alyss i Evanlyn nie zostały serdecznymi przyjaciółkami. Jednak obie dokładały starań, by utrzymać poprawne stosunki, toteż tylko czasami zdarzały się między nimi drobne tarcia. Zapewne, gdyby zawiązała się między dziewczynami nić przyjaźni, Evanlyn zapaliłaby tę drugą lampę. Jednak, ponieważ księżniczka starała się dmuchać na zimne, nie chciała dawać Alyss powodów do skarg.

Przetarła oczy i pochyliła się nad mapą. Doskwierał jej brak normalnego stołu oraz wygodnego krzesła. Tutejsze niskie stoły i ławeczki przyprawiły o ból kolan, a także pleców. Usłyszała za sobą szelest pościeli, gdy Alyss poruszyła się.

- Co robisz? - spytała sennym głosem.

- Przepraszam - odezwała się natychmiast Evanlyn. - Nie chciałam cię obudzić.

- Nie obudziłaś - odpowiedziała Alyss. - Światło mnie obudziło. - Następnie zdała sobie sprawę, że Evanlyn może to odebrać opacznie, wyjaśniła więc czym prędzej: - Nie, żartowałam.

- Aha... No, w każdym razie przepraszam - powtórzyła Evanlyn. - Śpij.

Jednak Alyss już usiadła na swoim pościeli. Wzdrygnęła się od chłodu, czym prędzej narzuciła na plecy ciepłe okrycie z owczej skóry. Następnie, ponieważ nie chciało jej się

wstawać, przeszła przez pokój na czworakach i usiadła obok Evanlyn.

- Zapal drugą lampę - zaproponowała. - Od czytania po ciemku można oślepnąć.

Evanlyn nie była pewna, czy to dobry pomysł, lecz Alyss machnęła niecierpliwie ręką.

- Zapal, zapal - ponagliła. - I tak nie usnę, bo będę zachodzić w głowę, co też robisz po nocy.

Evanlyn uległa, zapaliła drugą lampę. Przystawiła ją blisko pierwszej, aby jaśniały podwójnym blaskiem. Alyss przysunęła się bliżej, spojrzała na mapę.

- Skąd to wzięłaś? - spytała. Zorientowała się, że ma przed sobą mapę przedstawiającą północną część wyspy z zaznaczoną twierdzą Ran-koshi.

- Sporządziliśmy ją razem z Shigeru, przy pomocy Toru oraz jeszcze kilku Kikorich. Oczywiście, topografia tych okolic jest powszechnie znana, jeśli nie liczyć umiejscowienia Ran-koshi. - Stuknęła palcem w mapę tam, gdzie zaznaczono dolinę wraz z otaczającymi ją stromymi ścianami skalnymi.

Alyss przytaknęła, po czym zainteresowała się położonym na północ od doliny obszarem o dziwnym kształcie.

- Co to takiego? - odczytała nazwę: „Mizu-Umi Bakudai”?

- To wielkie jezioro. A tam, po drugiej stronie, znajduje się prowincja zamieszкана przez Hasanu.

- Słyszałam już o nich kilka razy. Kim są ci Hasanu?

Na stole stał dzbanek z naparem, Evanlyn sięgnęła, by nalać sobie filiżankę zielonej herbaty.

- Masz ochotę? Jeszcze całkiem ciepła.

Alyss potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję.

- Hasanu to dzikie górskie plemię, które zamieszkuje odcięty od świata obszar po drugiej stronie jeziora. Niektórzy sądzą, że to nie ludzie, lecz potwory. Krążą najrozmaitsze legendy o dziwacznych górskich stworach, tak jakby trollach lub demonach i tak dalej. Jednak Shigeru uważa, że chodzi o zwykłe bajki. Jego zdaniem Hasanu to normalni ludzie. Chociaż podobno są wyżsi od przeciętnych Nihończyków, a ich skórę porastają długie, rude włosy.

- Urocze - skomentowała Alyss.

Evanlyn uśmiechnęła się.

- W rzeczy samej. Podobno jednak są bez reszty oddani swojemu panu, szlachetnemu senshi, który nazywa się Nimatsu, ten zaś z kolei pozostaje lojalny wobec Shigeru. Mało tego, uważa się ich za plemię wyśmienitych wojowników - dodała znaczącym tonem.

- Ciekawe. Gdyby więc Shigeru zdołał zwerbować Hasanu, dysponowałby wówczas siłą, którą mógłby przeciwstawić Arisace - stwierdziła Alyss. Podobnie jak wszyscy Araluńczycy, zdawała sobie sprawę z ograniczonych możliwości Kikorich. - A ilu ich jest?

- Tysiące - odparła Evanlyn. - I to jest właśnie piękne. Istnieje mnóstwo klanów wiernych Shigeru, które chętnie przeciwstawiłyby się Arisace, jednak są nieliczne i nie potrafią porozumieć się ze sobą. Tymczasem Arisakę wspiera jego własny klan, Shimonseki oraz drugi, który określa się nazwą Umaki. Tak się składa, że chodzi o dwa najliczniejsze klany w kraju, toteż Arisaka dysponuje nadzwyczaj silnym poparciem. Jednak, gdyby Hasanu nam pomogli, wówczas my zyskalibyśmy przewagę liczebną, w dodatku znaczną. Zapewne wtedy również inne klany odważyłyby się stanąć po stronie Shigeru. Jest tylko jeden kłopot...

Urwała. Alyss dokończyła za nią:

- Hasanu znajdują się po przeciwnej stronie ogromnego jeziora.

- Otóż to. Tymczasem droga wzdłuż brzegu wiedzie przez góry jeszcze bardziej niedostępne niż tutaj. Shigeru powiada, że trwałoby co najmniej dwa miesiące, nim ktokolwiek zdołałby tam dotrzeć. I to samo z powrotem.

- A w tym czasie tutaj prawdopodobnie będzie już po wszystkim - uzupełniła Alyss.

Evanlyn milcząco skinęła głową. Przez dłuższą chwilę w ciszy przyglądały się mapie. Potem odezwała się Alyss:

- Może warto wykorzystać pomysł Halta? To znaczy, przepłynąć jezioro, zamiast je obchodzić.

Rzeczywiście, niezmiernie zyskali na czasie dzięki temu, że z Iwanai na północ popłynęli okrętem wzdłuż wybrzeża. W przeciwnym razie musieliby wędrować całymi tygodniami przez góry. Evanlyn jednak nie omieszkała natychmiast wytknąć słabej strony tego pomysłu:

- Może i tak, ale przecież nie mamy statku - zauważyła.

Alyss potrząsnęła niecierpliwie głową, podekscytowana, bowiem w jej głowie ukształtował się już gotowy pomysł.

- A po co nam statek? Wystarczy kayak.

- Co takiego? - spytała Evanlyn. Najwyraźniej nie знаła tego słowa.

Alyss odebrała jej pędzel i szybko naszkicowała na skraju mapy długą, wąską łódkę. - Kayak. To łódź, mała i lekka, z drewnianą ramą, na którą naciąga się nasączone olejem gęste płótno. Skandianie używają kayaków do połowu ryb. Mam taką łódkę w Redmont. Nieraz pływałam nią po rzece i po jeziorach. Świetne ćwiczenie - dodała.

Evanlyn przyjrzała się krytycznie szkicowi.

- A umiesz taką zbudować? - spytała.

- Nie - odparła Alyss, lecz nim Evanlyn zdążyła poczuć rozczarowanie, Alyss dokończyła: - Ale założę się, że Kikori uporają się z tym bez trudu, jeśli z grubsza im wytłumaczę, o co chodzi.

Przyciągnęła do siebie mapę, żeby lepiej widzieć i wykreśliła palcem trasę. - Możemy to zrobić kilkoma etapami - stwierdziła. - Tutaj jest mnóstwo małych wysepek, na których da się przenocować.

- My? - spytała Evanlyn; Alyss podniosła wzrok na nią spod mapy.

- My, a kto inny? Wszyscy mężczyźni będą potrzebni tutaj, kiedy przybędzie armia Arisaki. Tymczasem my obie nie na wiele im się zdamy. - Evanlyn chciała zaprotestować, więc Alyss dodała czym prędzej: - Och, wiem, oczywiście, że na pewno kilku z nich załatwisz swoją procą. Jednak, jeżeli sprowadzimy pomoc, dokonamy czegoś znacznie ważniejszego! A zresztą - dodała po krótkiej przerwie - przecież chyba właśnie dlatego tak się wpatrywałeś w tę mapę. Chciałeś to zrobić, przyznaj.

- Czy ja wiem? - zastanowiła się Evanlyn. - Chyba rzeczywiście tak.

- W takim razie, zróbmy, co należy! Wyruszę razem z tobą. Może ci się przydać tłumaczka, poza tym mam wprawę, jeśli chodzi o pływanie kajakami. Jeśli wyruszymy przez jezioro, niepotrzebna nam niczyja pomoc. Dopóki płyniemy łódką, nic nam nie grozi, dzięki temu nie pozbawimy Halt i innych rąk do obrony twierdzy oraz do pracy. Evanlyn zastanowiła się przez chwilę, po czym wyprostowała się. Podjęła decyzję.

- Czemu nie? - A potem zastanowiła się znów: - Ciekawe, co powie Halt, kiedy mu o tym opowiemy.

Alyss machnęła ręką.

- Przecież wszystko przemyślałyśmy. Nie może nam odmówić.

* * *

- Odmawiam! - zawołał Halt. - Nie, nie i nie, a jakby było za mało, to powtórzę jeszcze raz: nie!

- Ale czemu nie? - spytała Evanlyn podniesionym głosem, wyraźnie rozgniewana. - Przecież to przemyślane, logiczne rozwiązanie.

Halt spojrział na nią, jakby postradała zmysły.

- Może jednak wyobraź sobie, co by powiedział twój ojciec, gdybym pozwolił ci na tak nieodpowiedzialną eskapadę?

Evanlyn wzruszyła ramionami.

- Jaką znowu nieodpowiedzialną? Wszystko zostało całkiem nieźle zaplanowane.

Rzeczywiście, razem z Alyss spędziły większość minionej nocy na opracowywaniu szczegółów i sporządzaniu listy niezbędnego wyposażenia.

- A po drugie - ciągnęła - jeśli tego nie zrobimy, ojciec nigdy o niczym nie usłyszy, bo wszyscy będziemy gryźć ziemię!

- Nie bądź śmieszna! - ofuknął ją Halt.

- Halt, musisz spojrzeć prawdzie w oczy - do rozmowy przyłączyła się Alyss. - Evanlyn ma rację. Jeśli nie sprowadzimy posiłków, Arisaka zdobędzie tę fortecę. Och, oczywiście, przez jakiś czas będziemy się bronić. Ale prędzej czy później stanie się to, co stać się musi. Dysponuje zbyt wielką przewagą liczebną, sam o tym wiesz najlepiej. Ta wyprawa to nasza jedyna szansa.

- Alyss, po tobie spodziewałem się choć odrobiny rozsądku - poinformował chłodnym tonem zwiadowca. - Wiem, że Evanlyn często daje się porwać szalonym pomysłom, ale ty mnie zaskoczyłaś, jak ci się wydaje, co na to powie Pauline?

W miarę, jak mówił, policzki Alyss przybierały coraz żywszą barwę. Jednak kiedy odpowiedziała, ważyła starannie każde słowo, uważając, by złość nie zamąciła jasności jej rozumowania.

- A co byś powiedział Pauline, gdyby to był jej pomysł? - odparła.

Halt milczał. Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie zarzuciłby Pauline lekkomyślności czy głupoty. Widząc wahanie zwiadowcy, Alyss naciskała dalej:

- Powiedz mi, Halt. Oprócz tego, że będziesz się o nas niepokoił, na czym polegają słabe strony tego planu?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie odezwał się. W gruncie rzeczy nie dostrzegał żadnych słabych stron, pomijając naturalnie fakt, iż dziewczyny narażały się na niemalże niebezpieczeństwo. Spoglądał teraz na nie i już rozumiał, że obawa nie stanowi wystarczającego powodu, by sprzeciwić się urzeczywistnieniu planu. Obie już nie raz stawiały czoło niebezpieczeństwu. Jeśli dobrze pójdzie, pewnie nie raz im się to w przyszłości przytrafi.

Żadna z nich nie jest przecież bezbronnym chucherkiem. No, w dodatku Evanlyn słusznie zauważyła, że jeśli wyruszą z Alyss, nie pozbawią doliny obrońców. Owszem, ktoś będzie musiał im pomóc wspiąć się po skalnym urwisku, a następnie sprowadzić do jeziora. Jednak, gdy to się stanie, towarzyszący dziewczynom Kikori będą mogli powrócić.

- Po prostu... No, ten plan mi się nie podoba - odezwał się wreszcie.

Evanlyn podeszła, położyła dłoń na jego dłoni.

- Wcale nie chodzi o to, żeby ci się podobał - rzekła.

- Myślisz, że mnie się podoba taki plan, żebyś został tutaj z Willem oraz Horace'em i walczył przeciwko Arisace, mając za całą armię tych poczciwych drwali wymachujących toporami? Nie o to chodzi. Znaleźliśmy się wszyscy w trudnej sytuacji, więc nadszedł czas, by podejmować trudne decyzje.

Westchnął ciężko. Niestety, miały rację, a on doskonale o tym wiedział.

- Cóż, zgoda - rzekł. Widząc dwie twarze rozjaśnione nagle podekscytowanym uśmiechem, dodał ponuro: - Lecz niech Bóg ma mnie w swej opiece, kiedy usłyszą o tym Will oraz Horace.

Dziewczęta nie zdążyły nic odpowiedzieć, bowiem z zewnątrz dobiegły głośne okrzyki. W następnej chwili drzwi otwarły się, do środka wpadł młody Mikeru, wykazując przy tym niezwykle dla Nihończyków brak opanowania oraz dobrych manier.

- Halto-san! Prędko! Wojska Arisaki nadchodzą!

ROZDZIAŁ 33

Wkrótce okazało się, że podekscytowanie Mikeru było nieco przedwcześnie. Z jego okrzyków można by wnioskować, że armia Arisaki już szturmuje umocnienia twierdzy. Dostrzeżono jednak przednią straż, znajdującą się teraz w odległości jednego dnia drogi.

Jak słusznie przewidział Horace, Arisaka zastosował tę samą taktykę, co poprzednio, posyłając przed swoimi głównymi siłami pokaźny oddział. Wywiadowcy Kikori naliczyli około stu zbrojnych senshich, niosących tylko najniezbędniejszy bagaż, zmierzających równomiernym truchtem w stronę doliny.

- Skąd oni tak dobrze wiedzą, gdzie się znajdujemy? - zastanowił się Horace.

Halt wzruszył ramionami.

- Pewnie dokładnie wcale nie wiedzą. Przypuszczalnie idą po waszych tropach. Tak liczna grupa musiała z pewnością zostawić mnóstwo śladów, które bez trudu odnajdzie nawet średnio wprawny tropiciel.

- Cóż więc teraz wypada nam czynić, Halto-san? - spytał Shigeru. Zebrali się w jego chacie, by omówić sytuację. Shigeru, którego uwadze nie uszło, z jakim szacunkiem Horace odnosi się do brodatego zwiadowcy i wiedząc, iż Reito nieszczególnie nadaje się na dowódcę w czasie wojny, wypytał dokładnie młodego rycerza o kwalifikacje oraz doświadczenie Halta. Horace jasno przedstawił sprawę: mieli wyjątkowe szczęście, mogąc mieć do swej dyspozycji tak wprawnego taktyka, toteż Shigeru mianował zwiadowcę dowódcą obrony Ran-koshi.

- Palisada została naprawiona - stwierdził Halt. - A pułapka w jej zachodniej części też jest już prawie na ukończeniu. Za pół dnia będzie gotowa na przyjęcie gości. Proponuję, żebyśmy siedzieli cicho za umocnieniami, odczekali, aż zaatakują, a potem zwalimy na nich naszą lawinę.

- Ale czy zaatakują? - zastanowił się Shigeru. - Może będą woleli zaczekać na główne siły Arisaki.

Halt potrząsnął głową.

- Wątpię. - rzekł. - Jaki sens gonić za nami biegiem, by potem rozsiaść się i czekać, aż przybędzie reszta? Arisaka wie, że wkrótce dolina stanie się niedostępna. - Spojrzeli wszyscy w otwarte drzwi. Na dworze padał śnieg. Każdego dnia płatki stawały się większe i cięższe. Padało coraz dłużej. Już teraz ziemię pokrywała ośmiocentymetrowa warstwa białego puchu.

- Zapewne chce, żeby jego ludzie uderzyli, nim zaczną się prawdziwe śnieżyce. Wie przecież, że mamy tu zaledwie trzydziestu czy czterdziestu wojowników.

- Może również wiedzieć o tych dwustu mężczyznach z plemienia Kikori - zauważył Will, ale Halt machnął ręką.

- Ze wszystkiego, co opowiadał mi cesarz oraz Reito-san, wnioskuję, iż Arisaka nie spodziewa się, iżby mieli wziąć udział w walce. Zyskujemy dzięki temu znaczną przewagę.

- Owszem - skrzywił się Horace - o ile zechcą walczyć. - Obawiał się, że gdy przyjdzie do prawdziwego starcia, da o sobie znać utrwalona przez stulecia tradycja. Kikori w przeszłości rzadko buntowali się przeciw senshim, a kiedy tak się działo, spotykała ich sromotna klęska, potem zaś okrutna kara. Jego zdaniem, istniała całkiem realna obawa, iż w ostatniej chwili wpojone poczucie niższości okaże się silniejsze od słusznego gniewu. Co innego pomóc cesarzowi w ucieczce, co innego zaś stanąć do walki, mając za przeciwników setkę senshich Arisaki.

- Będą walczyć, nie ma obaw - stwierdził stanowczo Will.

Halt spojrzał na niego pytająco.

- I ja tak sądzę, ale czyżbyś coś wiedział, o czym ja nie wiem? Ostatnio obaj z Selethenem spędzacie sporo czasu w towarzystwie Kikorich. Dowiedzieliście się czegoś nowego?

Will oraz arydzki wakir spojrzeli szybko po sobie. Will pokręcił głową.

- Jeszcze za wcześnie - stwierdził. - Pracujemy nad pewnym pomysłem, nic więcej. We właściwym czasie o wszystkim opowiemy.

- Tak czy inaczej - podjął Halt, odkładając sprawę na później i wracając do podniesionej przez Horace'a kwestii - Kikorich czeka walka w pozycji obronnej, nie bezpośrednie starcie z senshimi. Oznacza to istotną różnicę. Wystarczy, że będą rzucać w nich kamieniami i drągami odpychać drabiny.

- Sądysz, że to takie proste? - spytał Horace, uśmiechając się, pomimo wyrażonych przed chwilą wątpliwości. Niewątpliwie Halt trafnie ujął sytuację: obrona umocnień nie wymaga takich umiejętności, jak walka wręcz w otwartym polu. Przy odrobinie szczęścia niewielu wojowników Arisaki zbliży się na tyle, by skrzyżować miecze z obrońcami.

- Jak sądzisz, kiedy zaatakują? - zwrócił się do Halta Selethen.

- Nasi wywiadowcy powiadają, iż powinni się tu zjawić jutro pod wieczór. Sądzę więc, że najpierw dokonają oceny sytuacji, odpoczną przez noc, a następnie uderzą o świcie następnego dnia.

Selethen skinął głową. To zgadzało się z jego oczekiwaniami. Natomiast Shigeru

sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Tak od razu? - zdziwił się - Czy nie przeprowadza się w takiej sytuacji... nie wiem, jakiś wstępnych przygotowań? - spytał.

- Nie mają żadnych ciężkich machin oblężniczych - przypomniał Halt. - Nie mogli przecież wiedzieć, że zastaną nas wewnątrz fortecy. Przypuszczam, że poświęcą całą noc na sporządzenie pewnej liczby drabin, a potem spróbują ataku. Po cóż mieliby zwlekać?

* * *

Nisko na niebie zwiślały ciężkie chmury. Na wschodzie, między dwoma górskimi szczytami, pojawiło się słońce: czerwona, rozmazana kula wznosząca się ku górze. Po dolinie hulał mroźny wicher, niosąc ze sobą płatki śniegu.

Przez świst wiatru Halt dosłyszał szybki rytm stóp ugniatających kamieniste dno doliny.

- Nadchodzą - mruknął, gdy zza ostatniego zakrętu wyłonili się pierwsi wojownicy Arisaki, biegnący ciężko w trzech nierównych rządach. Zwrócił się do Willa: - Nie marnuj strzał na tych, którzy znajdują się u stóp palisady. Dla nich przeznaczone są kamienie oraz włócznie. Zajmij się tymi, którzy zdołają wspiąć się na szczyt umocnień. Tych trzeba powstrzymać, zanim zdążą narobić szkód.

Will w milczeniu skinął głową. Stali na drewnianym pomoście po wewnętrznej stronie palisady. Nieliczni senshi po stronie Shigeru także zajęli pozycje obronne. Obok nich i za nimi przyczaili się Kikori, niewidzialni z dołu. Niektórzy trzymali w pogotowiu ciężki topory, lecz większość uzbroiła się w dzidy lub długie drewniane drągi, których naostrzoną część utwardzono w ognisku. Co kilka metrów piętrzyły się stosy kamieni przeznaczonych do miotania w napastników.

- Nie wychylajcie się, Kikori - powtarzał półgłosem Halt, mijając przykucniętych drwali. Uśmiechali się do niego nerwowo. - Wkrótce Arisakę czeka bardzo niemiła niespodzianka - mówił.

Doszli w ten sposób do zachodniej części palisady. Dziesięciu senshich i tyłuż Kikorich czuwało tu na pomoście wieńczącym załataną byle jak, chwiejną ścianę.

- Gdy tylko zorientują się w sytuacji, tutaj skupi się ich uderzenie - zapowiedział Halt. - Bądźcie gotowi do ucieczki, gdy tylko poczujecie, że palisada zaczyna się chwiać.

Odpowiedziały mu poważne spojrzenia obrońców, skupionych na mającej się wkrótce rozpocząć walce. Halt z satysfakcją przyjrzał się powstałemu wewnątrz umocnień nowemu ogrodzeniu. Było niższe, lecz znacznie solidniejsze niż stara palisada, toteż znacznie lepiej nadawało się do obrony. Spojrzał w górę, gdzie piętrzył się stos głazów, ziemi i belek

usypany na skalnej półce. Kikori postarali się zakryć skały gałęziami oraz krzakami, wetknęli tam nawet młode drzewko, aby nadać całości naturalny wygląd. Jednak ktoś, kto przyjrzałby się bardzo uważnie, mógłby dostrzec zwisające w dół liny.

- Przygotujcie się! - zabrzmiał głos Horace'a. W lewej ręce dzierżył tarczę, w prawej nihońską kataną. Usłyszeli za sobą kroki i poczuli drżenie desek pomostu. Odwrócili się obaj; ujrzeni okrytego lakowaną skórzaną zbroją Shigeru, który wchodził na górę. Towarzyszył mu Reito.

- Wasza wysokość, naprawdę wolałbym, żebyś trzymał się z dala - rzekł Halt. Wiedział, że Shigeru nie jest mistrzem, jeśli chodzi o władanie mieczem. Bez wątpienia potrafił się nim sprawnie posługiwać, lecz nie na tyle, żeby....

- Jego wysokość przyjął do wiadomości, co byś wolał, Halto-san - stwierdził Shigeru, wyraźnie nie mając zamiaru się wycofać.

Halt przez krótką chwilę spoglądał mu w oczy, po czym wzruszył ramionami.

- Cóż, uczyniłem, co w mojej mocy - odparł.

Rozległ się wykrzyczany głośno rozkaz, napastnicy gwałtownie ruszyli biegiem. Nie zachowywali określonego szyku. Utworzyli nierówny front, szeroki na tyle, na ile pozwalały strome ściany wąskiej doliny. Nacierająca grupa składała się z trzech, miejscami czterech szeregów. Halt naliczył pięć prymitywnych drabin - były to zwykłe pnie drzew z nacięciami, w których umocowano szczeble. Co najmniej dziesięciu ludzi dźwigało liny z hakami. Najwyraźniej plan napastników zakładał atak na umocnienia w kilkunastu miejscach naraz, aby zaangażować w walkę jednocześnie wszystkich broniących umocnień senshich, widocznych na szczycie palisady.

Żołnierze Arisaki nie zdawali sobie sprawy, że za drewnianymi blankami ukryło się jeszcze stu Kikorich. Pierwsze trzy drabiny oparły się z głośnym trzaskiem o belki niemal w tym samym czasie, w trzech różnych miejscach. Wojownicy Shigeru skupili się tam, by zastąpić drogę wspinającym się napastnikom. Halt odczekał, aż na każdej drabinie znalazło się co najmniej kilku ludzi.

- Kikori! Teraz! - krzyknął.

Oczekujący drwale zerwali się na równe nogi, wydając gromki, nieartykułowany okrzyk. Grad kamieni posypał się na senshich skupionych wokół drabin. Pierwszy napastnik, który dotarł na górę, usiłował ciąć jednego z Kikorich, ten jednak w samą porę zdołał się uchylić przed świszczącym w powietrzu ostrzem miecza. W następnym ułamku sekundy Moka zadał pchnięcie, żołnierz Arisaki krzyknął i runął na dół.

Horace przyjął na swoją tarczę cięcie miecza innego z napastników. Nim jednak

zdażył odpowiedzieć, jeden z Kikorich odepchnął go na bok i z błyskiem szaleństwa w oczach wbił włócznię w ramię senshiego. Napastnik krzyknął, zachwiał się i poleciał w tył, zrzucając z drabiny swych towarzyszy.

Trzecia drabina przewróciła się dzięki wspólnym wysiłkom czterech Kikorich, którzy odpychali ją długimi drągami. Senshi znajdujący się u szczytu zdołał jednak skoczyć na pomost. Utrzymał się na nim tylko przez chwilę, bowiem zanim zdołał osiągnąć równowagę, żeleźce topora przebiło jego zbroję. Upadł na deski, twarzą w dół. Inny z obrońców wsunął drzewce włóczni pod jego ramiona i bez trudu przerzucił poległego na drugą stronę, miotając ów żywy może jeszcze pocisk z powrotem na przeciwników.

W drewnianą ścianę wbiły się haki, napastnicy usiłowali wspiąć się na górę po przywiązanych do nich linach. Halt usłyszał Reito i Moke, dwóch starszych stopniem senshich cesarza, wykrzykujących rozkazy do obrońców. Choć nie rozumiał słów, domyślił się ich znaczenia. *Pozwólcie się im wspiąć co najmniej do połowy wysokości, nim przetniecie liny!* Był to jeden z istotnych szczegółów ustalonych poprzedniego wieczora: lecący z wysokości kilku metrów napastnik najprawdopodobniej nie tylko zostanie skutecznie unieszkodliwiony - zwłaszcza jeśli spadnie na towarzyszy dzierżących ostrą broń - ale też powali ich impetem spadającej masy ciała.

Mniej więcej pośrodku palisady Halt dostrzegł jednego z przybocznych senshich Shigeru walczącego z napastnikiem, który zdołał dostać się na pomost. U stóp atakującego spoczywały nieruchome sylwetki dwóch Kikorich. Właśnie w tej chwili w piersi obrońcy utkwiała strzała. Przewrócił się do tyłu, a potem runął w dół, na ziemię.

Zanim atakujący wojownik zdołał uczynić choć krok dalej, tuż obok niego wyrosła smukła postać Selethena, który zaatakował z właściwą sobie szermierczą gracją. Sztych krzywej szabli zagłębił się w szparę między hełmem a kołnierzem skórzanego napierśnika senshiego.

Widząc, że powstające zagrożenie zostało wyeliminowane, Halt rozejrzał się i ujrzał innego z obrońców, tym razem topornika z plemienia Kikorich, który padł na deski ze strzałą wbitą w pierś. Zwiadowca sondował wzrokiem dolinę. Pięciu senshich, uzbrojonych w długie, asymetryczne łuki, stosowane od wieków w Nihon-Ja, już wcześniej zatrzymało się w odległości około trzydziestu metrów w tyle za swymi towarzyszami, a teraz rozpoczęło ostrzał obrońców.

- Will! - zawołał, jego uczeń odciął właśnie linę od zarzuconego haka za pomocą swego długiego noża. Spojrzał od razu na mentora, ujrzał rękę Halta wskazującą mu grupę strzelców i zsunął łuk z ramienia.

- Ty od lewej, ja od prawej! - zawołał Halt.

Will tylko skinął głową. Zdarzyło się już raz, iż popełnili błąd, polegający na tym, że obaj strzelili do tego samego przeciwnika. Nie zamierzali go powtórzyć. Oba długie łuki zaśpiewały pieśń śmierci, senshi na obu krańcach linii łuczników postąpili w tył, wpatrując się z przerażeniem w drzewce strzały sterczącej z ich piersi; groty przebiły skórzane zbroje, jakby to był papier. Nim ich towarzysze zorientowali się, że padli pierwsi łucznicy, zwiadowcy powalili dwóch następnych. Piąty na próżno usiłował zorientować się, skąd lecą śmiertelne pociski. Ze strzałą nałożoną na cięciwę, gotów napiąć łuk i strzelić, gdy zobaczy przeciwnika... lecz nie dane mu było go ujrzeć. Trzecia strzała Willa przebiła go na wskroś. Senshi, chwytając w ostatnim odruchu brzechwę, wypuścił łączyśko z dłoni, po czym upadł i znieruchomiał.

Dowódca atakujących zdał już sobie sprawę, że pierwsze natarcie, którego impetem chciał znieść obrońców, nie odniosło powodzenia. Dokonał szybkiej oceny sytuacji. Zwrócił uwagę na zachodnią część palisady, która sprawiała wrażenie mocno naruszonej zębem czasu i tylko pobieżnie naprawionej. Uznał, że pojawia się szansa, by przeistoczyć klęskę w zwycięstwo. Przywołał do siebie dwóch ludzi, kazał im podnieść przewróconą drabinę. Po drodze zgromadził jeszcze trzech innych, wciąż wyposażonych w liny z hakami. Naprędce utworzona grupa uderzeniowa przebiegła teraz u samych stóp ściany, uchylając się przed spadającymi z góry kamieniami - aż do owego słabego punktu umocnień. Kapitan tymczasem zdołał zgromadzić wokół siebie jeszcze co najmniej trzydziestu senshich. Wskazał wykonaną z pnia drabinę, potem przegniłe belki palisady.

- Użyjcie tego jako taranu! Rozbijcie ścianę! - zawołał.

Jeszcze sześciu mężczyzn, zrozumiałwszy teraz myśl kapitana, dołączyło do dwóch senshich dźwigających drabinę. Uderzyli w ścianę raz, potem na komendę jednego z nich, który podjął się dyktowania tempa, drugi raz i trzeci. Dwa przegniłe bale palisady pękły pod naporem, rozsypały się w drzazgi, trzeci pochylił się niebezpiecznie pod kolejnym uderzeniem tarana. Z góry posypało się jeszcze więcej kamieni, ale nie tak już celnych, jak dotąd. Ogarnia ich panika - tłumaczył sobie w myśli kapitan. Krzyknął na ludzi z hakami, wskazał szczyt umocnienia.

- Rzucać! Ale nie próbujcie się wspinać, po prostu ciągnijcie z całych sił! - rozkazał. Żelazne haki świsnęły w powietrzu, poszybowały w górę, ciągnąc za sobą liny. Jeden spadł na ziemię, lecz dwa wbiły się mocno w drewno. Z miejsca ośmiu czy dziewięciu ludzi pochwyciło liny i pociągnęło ku sobie. Trzymetrowy odcinek górnej partii drewnianego częstokołu runął w dół z trzaskiem, wzbijając chmurę kurzu. Mężczyźni ciągnący za linę

stracili równowagę. Upadli, ale szybko się podnieśli. Znow poszybowały ciśnięte haki. Halt, który chybił za pierwszym razem, teraz wbił się w belki na szczycie umocnień. Coraz liczniejsi napastnicy gromadzili się przy zachodnim odcinku palisady. Prowizoryczny taran znow uderzył w ścianę, wybijając szeroką szparę między dwoma pionowymi balami. Więcej rąk pochwyciło pień, taran uderzał teraz z jeszcze większą siłą.

Wciąż z góry sypały się włócznie i kamienie, lecz napastników ogarnął bitewny szał, a przy tym zdawali sobie sprawę, że za chwilę nieuchronnie dokonają wyłomu w umocnieniach. Widzieli, jak obrońcy umykają ze szczytu walącej się ściany. Kapitan chrapliwym głosem nakazał żołnierzom obsługującym taran wycofać się. Jeszcze jeden hak śmignął, od razu ugrzązł w belkach. Pozostali co sił pociągnęli za liny; nadwerężona uderzeniami u dołu palisada z ogłuszającym trzaskiem zwała się w ich stronę, ustępując wreszcie. Oczom napastników ukazał się czterometrowy wyłom. Z dzikim okrzykiem runęli do ataku, parli naprzód, brnąc pośród potrząskanych bali.

Pierwsi, którzy znaleźli się po drugiej stronie, stanęli, osłupiali, dostrzegając przed sobą nowe, niższe ogrodzenie zamykające ich z trzech stron. Nie mogli jednak się wycofać, bowiem z tyłu napierali następni. Coraz więcej żołnierzy przedzierało się na drugą stronę, by poniewczasie zdać sobie sprawę, iż znaleźli się w matni. Ku swemu przerażeniu na szczycie nowej palisady ujrzeli sylwetki co najmniej pięćdziesięciu obrońców. W następnej chwili posypał się na nich deszcz kamieni; co więcej, znow uderzały celnie, a ciskane włócznie także nie chybiały celu.

- Naprzód! Do ataku! - kapitan, który dowodził natarciem, potrząsnął mieczem nad głową, by poprowadzić swych senshich do ostatniego szturmu. Nie było już dla nich powrotu przez wciąż zatłoczony wyłom, zavalony teraz potrząskanymi belkami. Pozostała tylko jedna, jedyna nadzieja - zdobyć wznoszące się przed nimi nowe umocnienia.

Zaczął biec, lecz usłyszał dziwny trzask, a potem głuchy rumor dobiegający z góry. Spojrzał w tamtą stronę i ujrzął, że drgnęło zbocze piętrzącej się nad nim góry. Bezwładna masa głazów, ziemi oraz belek spadała z przerażającą szybkością, miażdżąc, zmiatając wszystko na swojej drodze.

Oszalała belka wytrąciła miecz z jego dłoni, w następnej chwili kamień powalił go na kolana. Wokół grzmiała lawina, napastnik upadł na bok. Zdażył jeszcze zrozumieć, że atak zakończył się klęską, a potem wszystko pochłonęła wszechogarniająca czerń.

Oszołomieni napastnicy, z których niemal trzecia część padła lub odniosła ciężkie rany w pułapce obmyślonej przez Halta i Selethena, zaczęli wycofywać się, oddalać od palisady, pozostawiając padłych towarzyszy. Oddalali się małymi grupkami, wiedząc, że czeka ich

rozprawa z rozgniewanym dowódcą. Dowodzący oddziałem uderzeniowym generał Todoki, jeden z najzagorzalszych popleczników Arisaki, spoglądał z niedowierzaniem na pokonanych wojowników wycofujących się w nieładzie z doliny - zakrwawionych, poranionych, podupadłych na duchu. Stracił panowanie nad sobą, gdzieś się ulotniła jego zwykła godność, zadygotał z wściekłości. Krzyczał i wrzeszczał, lecz oni nie zwracali na wodza uwagi. Zabrakło go pośród nich, kiedy góra zwała się na głowy towarzyszy. Już ponad trzydziestu spoczęło na zawsze w tej przeklętej dolinie, podczas gdy pozostali przy życiu nie mogli im nawet sprawić godziwego pochówku.

Jednak tym zajęła się sama natura. Nocą spadł obfity śnieg, rankiem dwumetrowa warstwa białego puchu zalegała dolinę. Śnieg zatarł wszelkie ślady rozegranej poprzedniego dnia krwawej bitwy.

ROZDZIAŁ 34

- Jak zamierzacie przetransportować tę łódź na sam dół urwiska? - Halt dotknął kayaku czubkiem buta. Długa na prawie cztery metry łódka o lekkim, drewnianym szkielecie obciągniętym naoliwionym płótnem, napiętym niczym skóra na bębnie. Widywał już takie. Widział też kayak należący do Alyss; ten wyglądał całkiem podobnie - o ile Halt pamiętał. Kikori spisali się doskonale, budując go pod czujnym okiem Alyss.

- Eiko rozwiązał ten problem za nas - odparła Evanlyn. - Kikori opuszczą ją na linie, etapami.

Ustawili się wokół ukończonej łódki. Evanlyn oraz Alyss z nieskrywaną dumą przedstawiły konstrukcję swoim towarzyszom. I Will, i Horace podchodzili do ich pomysłu nadzwyczaj sceptycznie. Halt, który wiedział o nim już od dawna, zdążył się z tą myślą pogodzić. Nie znaczyło to jednak, by przepelniał go entuzjazm.

- Zadanie bardzo ryzykowne - stwierdził. - Poszycie może ulec uszkodzeniu... - Urwał, bowiem Alyss dała znak ręką i przykleknęła obok łódki.

- Zaczekajcie. Zaraz coś wam pokażę - powiedziała. Wyciągnęła dwa drewniane kołki mocujące jedną z czterech wręg, żeber tworzących poprzeczny profil kayaku. Biegące wzdłuż łodzi listwy nachyliły się do środka, płócienne poszycie nieco zwiotczało. Powtórzyła tę samą czynność przy trzech pozostałych wręgach i po kilku minutach z kayaku pozostały tylko lekkie deseczki ułożone na płachcie naoliwionego płótna. Pozbierała szybko drewniane części, następnie owinęła je poszyciem, tworząc schludne zawiniątko. Wstała cofnęła się o krok, ukazując im zgrabny, podłużny pakunek.

- Proszę bardzo! - oznajmiła. - W ten sposób zajmuje nieco mniej miejsca, prawda? Spakowaną łódź można bez trudu spuścić na linie.

Will podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. To coś, co jeszcze przed chwilą nawet przypominało prawdziwą łódź, podejrzenie łatwo przeistoczyło się w kilka patyków owiniętych szmatą.

- Sądysz, że utrzyma się na wodzie? - spytał z powątpiewaniem w głosie.

Alyss uśmiechnęła się do niego. Wiedziała doskonale, skąd bierze się sceptycyzm młodego zwiadowcy i nie mogła zaprzeczyć, iż niepokój Willa sprawia jej pewną przyjemność. Nie zamierzała jednak pozwolić, by obawy wpłynęły na jej decyzję. Owszem,

lękał się o nią, a to dlatego, że się w niej kochał. Nie znaczyło to jednak bynajmniej, iż stała się jego własnością albo wolno mu było decydować, na co Alyss może sobie pozwolić, a na co nie.

- Oczywiście, że się utrzyma na powierzchni wody - odpowiedziała. - A jeśli przypadkiem łódź okaże się niezdatna do użytku, wtedy po prostu wdrapiemy się z powrotem na górę.

- No, nie wiem. Nie podoba mi się to wszystko - stwierdził Will.

Horace nie omieszkał wtrącić:

- Mnie także.

- Wasz brak zachwyty został odnotowany - odparła chłodnym tonem Evanlyn.

- I zignorowany - uzupełniła Alyss. Dziewczyny uśmiechnęły się do siebie.

Will otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz przeszkodził mu Selethen, który uznał, że czas położyć kres wymianie zdań, która mogła zakończyć się niefortunnym sporem.

- Osobiście uważam, że wpadłyście na bardzo dobry pomysł - stwierdził aksamitnym głosem. - Powiem także, iż lepiej będzie mi się spało podczas długich, zimowych nocy, skoro pojawia się choć nikła nadzieja nadejścia posiłków.

W Arydii kobiety, zwłaszcza te wywodzące się z pustynnych plemion, na co dzień stawiały czoło różnym niebezpieczeństwom. Odbierały długie wyprawy pośród pustkowi, by zdobyć żywność, walczyły z drapieżnikami atakującymi stada. Selethen znał dobrze Evanlyn i zdażył poznać Alyss, zatem był przekonany, że obie posiadają dość charakteru oraz odwagi, by spełnić misję, której się podjęły. Nie przesadził też, mówiąc o nadziei, jaką niosła ze sobą szansa uzyskania pomocy. Tak jak i jego towarzysze, wiedział, iż kiedy stopnieją śniegi, nie zdołają bronić się w nieskończoność, nie utrzymają twierdzy. Arisaka w końcu odniesie zwycięstwo, nawet jeśli miały przy tym stracić połowę swoich ludzi.

- Eh... No, może - odezwał się Horace. Trochę go zaskoczyło, że Selethen opowiedział się po stronie dziewcząt.

Will spojrzał na Halta.

- Halt, powiedz, co sądzisz o tym wszystkim? Naprawdę zamierzasz na to pozwolić?

Słowo „pozwolić” sprawiło, że obie dziewczyny spiorunowały go wzrokiem. Jednak Halt nie pozwolił im dojść do głosu.

- Nie mogę powiedzieć, że bym był zachwycony - zaczął, na co Will gorliwie pokiwał głową, oczekując, że nauczyciel zgodzi się ze zdaniem swego wychowanka oraz Horace'a. Jednak dalsze słowa mentora pozbawiły go tych złudzeń.

- Ale daleki też byłem od zachwyty, kiedy w Arydii wybrałeś się na poszukiwanie

Wyrwija - dokończył zwiadowca. Spojrzał na Horace'a. - I wcale nie przypadło mi do gustu, kiedy usłyszałem, że postanowiliście zdobyć Zamek Macindaw, mając do dyspozycji tylko trzydziestu ludzi.

- Trzydziestu trzech - mruknął Horace. Zaczynał już pojmwować, do czego Halt zmierza.

Zwiadowca obdarzył go zjadliwym spojrzeniem.

- Ach, wybacz... Trzydziestu trzech. To zupełnie zmienia postać rzeczy. Niebezpieczeństwo zagraża nam wszystkim. Wobec tego Evanlyn oraz Alyss postanowiły - uczynić coś więcej niż wyłącznie siedzieć i czekać, i pozwolić nam się nimi opiekować. Chcą odegrać istotną rolę. Nie zadowolą się biernym obserwowaniem wydarzeń. Są odważne, obdarzone wyobraźnią, nie lękają się przygód. I właśnie za to je lubicie. Lubicie je, bo pasują do świata, jaki wybraliście dla siebie. Gdyby podobały się wam głupiutki, płocze panienki, których całe życie składa się z plotek oraz szydełkowania, nietrudno by wam przyszło takie znaleźć. Jednak wątpię, czy zechcielibyście na nie choć spojrzeć.

Umilkł, by przekonać się, jaki rezultat osiągnęły jego słowa. Z wolna, jakby pod przymusem, Will oraz Horace przytaknęli. Sam Halt również przeszedł te rozterki - wiele lat temu, kiedy pokochał lady Pauline. Musiał pogodzić się z faktem, że jego wybranka pełniąc obowiązki kurierki, ciągle naraża się na niebezpieczeństwa. Musiał więc zaufać, iż potrafi sobie poradzić. Tak samo jak ona musiała uwierzyć w niego, w Halta.

- Otóż sami wiecie najlepiej, że Selethen się nie myli. Nie obejdziemy się bez pomocy z zewnątrz. Wiosną rozpocznie się oblężenie, a my nie zdołamy odpierać ataków Arisaki w nieskończoność. Posiłki mogą nadejść tylko z jednej strony, jedyny sprzymierzeniec, który być może zdoła nam pomóc, znajduje się po drugiej stronie jeziora. Jest nim pan Nimatsu i jego Hasanu. Czy się mylę, Shigeru-san?

Cesarz przysłuchiwał się tej rozmowie z wielkim zainteresowaniem. Podczas długich, wieczornych rozmów z Evanlyn przekonał się, że ma do czynienia z młodą damą obdarzoną niezwykłą odwagą i determinacją. A także niezwykłą inteligencją i darem wymowy - czyli cechami, które znakomicie jej się przysługują, jeśli ma przekazać panu Nimatsu cesarską prośbę o pomoc.

- To prawda, nie możemy liczyć na nikogo oprócz pana Nimatsu. Tylko on dysponuje siłą, dzięki której może nam pomóc w pokonaniu Arisaki - rzekł.

- A wobec tego, ktoś powinien udać się z posłannictwem do pana Nimatsu. Jestem pewien, że Evanlyn i Alyss doskonale wywiążą się z tego zadania - dokończył Halt, spoglądając na obu młodzieńców.

- Wiem, wiem o tym wszystkim - odpowiedział Horace. - Nadal jednak czuję...

Nie zdołał dokończyć, bowiem Alyss weszła mu w słowo:

- Przestań czuć, Horace, a zacznij myśleć! Powiedzmy sobie wprost: kiedy przyjdzie do bitwy, nie na wiele się tu zdamy. Pewnie, że to niesprawiedliwe, ale mężczyźni dysponują po prostu większą siłą fizyczną. To fakt niezaprzeczalny, a podczas walki wręcz siła odgrywa niejaką rolę. Mogłabym ćwiczyć szermierkę dniami i nocami, ale nawet gdybym była tak szybka jak ty i posiadała wszystkie twoje umiejętności, Horace, i tak przewyższałbyś mnie siłą. Tak już to jest. Ja wiem, Evanlyn mogłaby powalić jednego czy dwóch, a choćby i dwunastu nieprzyjaciół za pomocą swojej procy. Jednak gdy dojdzie do walki wręcz, zaczną się kłopoty.

- Tymczasem pojawia się szansa, żebyśmy znacząco wpłynęły na przebieg wojny! - podjęła Evanlyn. - Naprawdę możemy się na coś przydać! W dodatku, robiąc, co robimy, nie osłabimy obrony twierdzy. Właśnie na tym polega genialny pomysł Alyss. Gdybyśmy wędrowały lądem, nie obeszczyłyśmy się bez kilku Kikorich jako przewodników i dla obrony. Tymczasem gdy popłyniemy przez jezioro, nikt nam nie może zagrozić.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Horace i Will przetrawiali usłyszane słowa. W gruncie rzeczy zdawali sobie sprawę, że rację miały dziewczęta, rację miał Halt. Plan został logicznie przemyślany, do ostatniego szczegółu, który właśnie przypomniała im Evanlyn. Rzeczywiście, płynąc przez jezioro nie potrzebują żadnego z Kikorich. Tylko że...

- Będę się o ciebie bał - wyznał Will, patrząc w oczy Alyss.

Odpowiedziała mu uśmiechem i objęła jego rękę obiema dłońmi.

- Jasne. Właśnie tak się dziać powinno. I ja będę się o ciebie niepokoić, bowiem grożą ci setki krwiożerczych wojowników Arisaki. I tak samo martwiłam się o ciebie, kiedy wyruszyłeś do Hibernii. Czy do Arydii. A także podczas wszystkich innych twoich misji. Oczywiście, że lękałam się o ciebie. Ale przecież nigdy nie próbowałam cię zatrzymać, prawda?

- Nie - musiał przyznać Will. - Ale...

- Tylko nie mów, że to co innego - ostrzegła go, grożąc palcem.

Will zamknął usta. Selethen roześmiał się głośno, wszyscy spojrzeli na niego.

- Dobry taktyk wie, kiedy wycofać się ze straconej pozycji, Willu - stwierdził.

Młody zwiadowca uśmiechnął się z przymusem. Evanlyn zwróciła się do Horace'a:

- A ty, Horace? Czy będziesz się o mnie martwić? - spytała, uśmiechając się lekko.

Horace spiekł raka i przestąpił z nogi na nogę. Unikał jej spojrzenia.

- No... cóż, tak. Oczywiście. A także o Alyss, rzecz jasna. O was obie. Będę się o was

niepokoił.

Evanlyn odwróciła się do pozostałych, rozkładając bezradnie ręce.

- Na cóż więcej może liczyć dziewczyna ze strony takiego silnego, małomównego typu?

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - oznajmił Halt. - A teraz przejdźmy do szczegółów. Kiedy zamierzacie wyruszyć?

- Najlepiej jutro - odparła Evanlyn.

Alyss skinęła głową.

- Jutro?! - wykrzyknęli chórem Will i Horace, zaskoczeni.

Oczy wszystkich zwróciły się na nich.

- To znaczy, czy nie przesadzamy z pośpiechem? Nie możecie poczekać? - dodał Will niepewnym tonem.

Alyss machnęła ręką.

- A na co mamy czekać? Pogoda się nie poprawi, a co najwyżej pogorszy. Im prędzej ruszymy w drogę, tym prędzej wrócimy.

- Pewnie masz rację. Chyba... Ale żeby tak od razu, jutro?

Jak dotąd dyskusja toczyła się wokół tego, czy dziewczęta mają wyruszyć na niebezpieczną wyprawę. Teraz nagle okazało się, że to rzecz postanowiona, a w dodatku zaplanowana już na następny dzień.

Halt położył dłoń na jego ramieniu.

- Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać, Willu. Kiedy wiażesz się z kurierką... - urwał i spojrzał na Evanlyn. - Albo z postrzeloną księżniczką. - Uśmiechnął się do następczyni tronu, żeby dać do zrozumienia, że nie zamierzał jej obrazić. - Nie pierwszy i nie ostatni to raz, kiedy musisz się pogodzić z ich szalonymi pomysłami.

Przyglądał się przez moment obu dziewczynom. Musiał przyznać sam przed sobą, że odczuwał niejaką dumę. Alyss była protegowaną jego żony, więc dzięki temu miał możliwość obserwować, jak z podlotka wyrosła na dzielną, zaradną młodą kobietę. Opowieść Willa o jej determinacji i opanowaniu wykazanym podczas oblężenia Zamku Macindaw potwierdziła jeszcze jego pochlebną opinię na jej temat. Co do Evanlyn, osobiście był świadkiem, jak walczyła z temudżeińskimi jeźdźcami i tualeskimi bandytami na pustyni. Nie wątpił w jej odwagę, znał siłę charakteru. Pasują do siebie - pomyślał. Mogą utworzyć zgrany zespół, a jeśli dzięki temu uda im się zażegnać wciąż panującą między nimi z powodu bzdurnej zazdrości niechęć, tym lepiej. Wręcz wyśmienicie. Tak, być może dzięki tej wyprawie zadzierzgnie się między nimi prawdziwa więź przyjaźni.

- Napiszę list, który przekażecie panu Nimatsu - zwrócił się Shigeru do Evanlyn - i poproszę moich służących, by przygotowali stosowną pożegnalną kolację dla was obu.

- Brzmi obiecująco - stwierdziła wesoło Evanlyn. - Co w jadłospisie?

Shigeru uśmiechnął się.

- Te same żelazne racje, które spożywamy każdego wieczora - odparł. - Lecz dzisiaj zostaną podane na specjalnej zastawie.

Halt spojrział po zebranych, zadowolony z przebiegu rozmowy, bowiem wszystko zostało omówione i uzgodnione, a Horace oraz Will zdali sobie sprawę, że zaplanowana przez dziewczęta wyprawa nie wynika ze zwykłego kaprysu, lecz w istocie stanowi konieczność, ba - być może jedyną szansę ocalenia cesarza oraz wszystkich pozostałych. Jednak od pewnego czasu coś jeszcze zaprzętało myśli siwobrodego zwiadowcy. Napotkał spojrzenie Selethena. Aryda dostrzegł szczególny błysk w jego oczach i skrył uśmiech, wiedząc już, co zaraz nastąpi.

- A więc jutro - odezwał się Halt. - Jednak zanim Alyss i Evanlyn wyruszą w drogę, chyba wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć, co Selethen oraz Will knuli przez ostatnie tygodnie.

ROZDZIAŁ 35

- Trochę jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić - wyznał Will, prowadząc zaciekawionych towarzyszy pod górę, w stronę ukrytego zakątka doliny. - Jak dotąd mamy wyposażenie tylko dla dziesięciu ludzi. Dlatego muszą ćwiczyć na zmianę.

- Ale co ćwiczą? - spytała niecierpliwie Evanlyn, lecz Halt dał jej znak ruchem ręki, żeby zaczekała.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie za niewielkim zagajnikiem otwierał się skalny parów. Selethen i Will puścili przyjaciół przodem. Wszyscy znaleźli się na płaskiej polance o rozmiarach dwadzieścia na czterdzieści metrów.

Horace ujrzał stojące rzędem wiązki cienkich gałęzi powiązanych sznurem, każdy z faszynowych chochołów przypominał wielkością ludzką postać. Stały w przeciwległym końcu polany.

- Co to takiego?

Will zaśmiał się.

- To są nasi wrogowie - zerknął na Selethena. - Chcesz wszystko wyjaśnić?

Arydzki wojownik skłonił się dwornie.

- Ależ skąd, to twój pomysł. Mnie przypada w udziale jedynie rola skromnego pomocnika.

Will skinął głową, przez chwilę zbierał myśli, po czym zaczął:

- Załazek pomysłu powstał, kiedy przybyliśmy tu i ujrzałem Kikorich przy pracy. Zaimponowali mi umiejętnością współdziałania w grupie.

- Nic dziwnego - zauważył Shigeru. - Wyrąb lasu to niebezpieczne zajęcie.

- Otóż to - zgodził się z nim Will. - Potem chyba Horace powiedział, że senshi, dzięki wieloletniej nauce, w pojedynkę są praktycznie nie do pokonania. Inaczej mówiąc, w starciu jeden na jednego znacznie przewyższają aralueńskich rycerzy. - Spojrzał pytająco na Horace, który milcząco skinął głową.

Halt oparł się wygodnie o skalę, spoglądając z uśmiechem na swego ucznia. Domyślał się już, do czego Will zmierza, jednak ciekaw był szczegółów.

- Jedno z drugim poruszyło jakąś strunę, głęboko ukrytą w zakamarkach pamięci. Pomysł zaczął kiełkować, ale wciąż nie mogłem go uchwycić. Przez kilka dni nie dawało mi

to spokoju, bo nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy słyszałem coś podobnego.

Urwał, a Halt uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc, że pozostali nieświadomie pochylają się do przodu, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu. Jego młody wychowanek najwyraźniej nie potrafił oprzeć się pokusie udratyzowania opowieści.

- Aż wreszcie sobie przypomniałem, że generał Sapristi mówił coś bardzo podobnego.

- Jaki znowu generał? - spytał oszołomiony Horace.

- Toskański generał, który urządził na nasz użytek pokaz tamtejszych sposobów prowadzenia bitwy - wyjaśnił Will. - Toskańskie legiony wykształciły swoistą metodę walki zespołowej. Metodę prostą, dzięki której nie zachodzi potrzeba ćwiczeń szermierczych. Żołnierze muszą tylko ciąć i dźgać, a poza tym przeć naprzód. Sekret polega na tym, że działają wszyscy razem - umilkł. Zaszło mu nieco w gardle od gadaniny, toteż skinął na Selethena, żeby podjął wyjaśnienia.

- Otóż, jak wyjaśnił nam generał, w pojedynkę jego legionieści nie dotrzymaliby pola wytrawnym wojownikom. Ich siła polega na działaniu w grupie oraz odpowiednim wyposażeniu. - Selethen umilkł, po czym odwrócił się i zawołał głośno:

- Kikori! Pokażcie się!

Posłali z Willem umyślnego, żeby zebrał kilku ze szkolonych górali i polecił im przygotować się do pokazu. Na dany sygnał szereg dziesięciu Kikorich wyłonił się truchtem zza piętrzącego się opodał stosu głazów. Przybysze oglądali Kikorich uzbrojonych tak, jak nigdy jeszcze żaden Kikori uzbrojony nie był. Shigeru spoglądał na nich ze zdumieniem. Każdy z mężczyzn dzierżył długą, prostokątną tarczę. Powierzchnia pawęża była z lekka wybrzuszona, wykonana z drewna, lecz wzmocniona u góry i po bokach żelaznymi okuciami. Pośrodku widniało również żelazne umbo. Oprócz tarcz, Kikorich chroniły napierśniki z twardej skóry i skórzane hełmy, także dla dodatkowej ochrony wzmocnione żelaznymi taśmami. Biegli równo, w nogę, dźwigając na ramionach długie, drewniane dziiryty.

Horace podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć.

- Dość prymitywne - zauważył.

Rzeczywiście, dziiryty wykonano z prostych drewnianych drągów długości około półtora metra oraz przymocowanych do nich żelaznych prętów, sterczących z drzewca na pięćdziesiąt centymetrów. Żeleźce każdego z dziirytów kończyło się haczykowatym grotem.

- Prymitywne, ale skuteczne. Niczego więcej nie trzeba - odparł Will. - Selethenie, zechcesz poprowadzić musztrę? - Zwrócił się do pozostałych: - Cofnijmy się trochę. Tam, na bok. Stamtąd lepiej widać.

Zaprowadził ich na małe skalne wzniesienie znajdujące się akurat w połowie wąwozu.

Tymczasem dziesięciu Kikorich czekało niecierpliwie na rozkaz Selethena. Kiedy jego towarzysze zajęli już miejsca, Will zawołał do *wakira*:

- Wróg nadciąga!

- Szyk bojowy! - rzucił komendę Selethen.

Natychmiast co drugi z mężczyzn w szeregu postąpił dwa kroki w tył. Następnie oba szeregi ścięły się, tak że w mgnieniu oka liczący dziesięć osób szereg przekształcił się w dwa szeregi, każdy liczący po pięciu zbrojnych. Trwało to zaledwie sekundy.

- Naprzód! - rozkazał Selethen.

Oba szeregi ruszyły przed siebie, noga w nogę; Kikori maszerujący na końcu prawego tylnego szeregu podawał tempo krótkimi okrzykami.

- Nieźle - rzucił półgłosem Horace.

Will zerknął na niego.

- Jak mówiłem, mają wyśmienite poczucie dyscypliny. Uczą się tej musztry błyskawicznie. - Odwrócił się i zawołał znów do Selethena:

- Łucznicy!

- Stać! - wykrzyknął Selethen. Maszerujący miarowo Kikori zastygli w miejscu.

Halt przypomniał sobie komentarz Willa, przyglądającego się tokańskim legionistom: „Chmura pyłu i trzy rzędy posągów”. Ha, generał Sapristi byłby pod wrażeniem - pomyślał szpakowaty zwiadowca.

- *Kamé!* - rozkazał Selethen.

Cesarz odchylił się w tył i spojrzał na Willa, wyraźnie zdziwiony. - Żółw? Dlaczego żółw?

Will tylko wskazał ręką w stronę dziesięciu Kikorich. Ci w pierwszym szeregu unieśli tarcze na wysokość głowy, tymczasem drugi rząd podniósł pawężę w górę; wielkie tarcze znieruchomiały równoległe do powierzchni ziemi. Ich dolne krawędzie zetknęły się górnymi krawędziami tarcz żołnierzy z pierwszego szeregu. Wszystkich dziesięciu żołnierzy zakrywała teraz skorupa bez jednej luki.

- Aha... Rozumiem. No, tak. Rzeczywiście. Żółw - przyznał Shigeru.

- *Karne opuść!* - rozkazał Selethen; tarcze natychmiast powróciły do poprzedniej pozycji. - Pierwszy szereg, *yarii!*

Pierwszy szereg postąpił krok do przodu, stając jednocześnie bokiem do wymyślanego przeciwnika. Mężczyźni obrócili w dłoniach toporne dziiryty, jednocześnie przenieśli ciężar ciała na prawą stopę, zamachnęli się. Wszystkie dziiryty ustawiły się pod kątem trzydziestu stopni, grotem do góry.

- Rzuć!

Cisnęli jak jeden mąż, wkładając w rzut całą siłę i masę całego ciała. Pociski szybowały wysoko, potem upadły, kreśląc łuk, gdyż przeważył ciężar żelźca. Trzy pęki gałęzi zostały trafione i powalone na ziemię, natomiast dwa pozostałe dziryty chybiły celu; te uderzyły w ziemię, nie czyniąc żadnej szkody. Selethen wydał już rozkaz drugiemu szeregowi, który wysunął się przed pierwszy, powtarzając ruchy poprzedników. Kolejne pięć dzirytów wzbilo się w powietrze. Jeszcze jeden cel został zniszczony.

- A teraz wyobraźcie sobie to samo, tylko z pięćdziesięcioma dzirydami zamiast pięciu - skomentował Will.

Horace pokiwał głową. Pięćdziesiąt sztuk prymitywnej broni zrzucanej na wrogi oddział odniosłoby druzgocący skutek.

- Tylko że teraz stali się bezbronni - stwierdził Shigeru. Przyglądał się uważnie, lecz nie dostrzegł, by żołnierze nosili u boku miecz, uważany przez senshich za broń podstawową i najważniejszą. Lecz gdy wypowiedział te słowa, rozległ się szcęk dobywanego oręza. Spozrzegł teraz, że każdy z Kikorich dzierży w dłoni krótką klingę.

- *Issho ni!* - zawołał Selethen.

Oba szeregi ruszyły przed siebie, osłonięte stykającymi się ze sobą tarczami.

- *Issho ni!* - okrzyk ten powtórzyło natychmiast dziesięć gardzieli, zbrojni wciąż maszerowali naprzód równym krokiem.

Will odwrócił się do cesarza.

- Przy niektórych komendach używamy języka nihońskiego - wyjaśnił. - Szczególnie wtedy, gdy zachodzi obawa nieporozumienia.

- Słusznie - stwierdził Shigeru.

Zaciekawiona Evanlyn przechyliła głowę na bok.

- A co to znaczy „*Issho ni*”?

- Razem - odpowiedziała jej Alyss.

- Ich okrzyk bojowy - mówił dalej Will. - Przypomina im, jak powinni walczyć - ramię w ramię, jako zespół.

- Przyłożył dłonie do ust i zawołał w stronę Selethena:

- Przyrowadź ich ku nam!

Aryda uniósł rękę na znak, że zrozumiał. Wykrzyknął kolejny rozkaz. Lewoskrzydłowi obu szeregów zatrzymali się, maszerując w miejscu, tymczasem ich towarzysze, nie myśląc kroku, przeszli po ćwierci okręgu, tak że cała formacja skręciła w lewo.

Horacy gwizdnął cicho.

- Doskonale. Jakby zostali do tego stworzeni. Teraz, dokonawszy zwrotu, dwusereg Kikorich stał twarzami do obserwatorów. Selethen wydał kolejny rozkaz. Formacja znów ruszyła przed siebie. Shigeru i pozostali mogli w pełni docenić korzyści wynikające z zastosowania wielkich pawęzy. Skryci za nimi żołnierze stali się niemal całkowicie niewidoczni, sponad ściany tarcz dostrzegalne pozostawały tylko czubki ich hełmów.

Cesarz zrozumiał, że w tej sytuacji wojownikowi walczącemu za pomocą miecza po prostu brak celu, w który mógłby mierzyć. Tymczasem dostrzegł w wąskich szczelinach między tarczami krótkie ostrza dzierżone przez Kikorich, które poruszały się żywo, niczym węzowe języki.

- Czy oni coś widzą? - zastanowił się władca.

Will zaśmiał się cicho.

- Trochę, choć niewiele. Dowódca patrzy za nich i określa kierunek marszu. Oni zaś tylko dźgają i tną wszystko, co ujrzą przez szczeliny między tarczami. Ramiona, nogi, tułów przeciwnika. Tylko dźgają i prą naprzód, dźgają znów i dalej prą naprzód. Nie uczymy ich szerokich cięć, jakie stosują szermierze senshi. Nie muszą poznawać żadnych wyszukanych technik. Wystarczy, że zadają szybkie pchnięcia i równie szybko cofają rękę trzymającą broń. Jeśli wojownik senshi zaatakuje któregoś z nich, na jego drodze stanie wielka tarcza. Jeśli nie zrezygnuje szybko z ataku, prawdopodobnie zostanie pchnięty przez Kikori stojącego obok.

- Skąd macie te miecze? - zainteresował się Halt.

- Niektórzy z nich dostali krótkie miecze senshich zabitych w nadbrzeżnej osadzie oraz pod palisadą. Reszta to odcięte groty włóczni z krótkim kawałkiem drzewca służącym za rękojeść, wzmocnionym dodatkowo żelaznymi okuciami.

- Ale przecież dobra katana bez trudu rozetnie na pół klingę z niehartowanego żelaza - zauważył Shigeru.

Will musiał przyznać mu rację:

- Oczywiście. Właśnie dlatego każdy z ludzi wyposażony jest jeszcze w dwa zapasowe miecze. Jednak przede wszystkim chodzi o to, że broń nie służy do stosowania zasłon czy odpierania uderzeń zadawanych mieczem przeciwnika. W tym celu mają tarcze. A jeśli klinga katany wbije się zbyt głęboko w drewno lub, co gorsza, żelazne okucie tarczy, jej właściciel znajdzie się w nie lada kłopotcie.

- Nie rozumiem - cesarz zmarszczył brwi.

Jednak Horace pojął w lot. Nic dziwnego, bowiem sam wykorzystał ten fakt raz i drugi w walce.

- Jeśli katana wbije się w tarczę, ugrzęźnie w niej na co najmniej kilka sekund, do

czasu, zanim właściciel zdoła oswobodzić ostrze. Tymczasem rzuci się na niego dwóch albo trzech Kikorich. Albo straci miecz, albo życie.

- Tak - cesarz w zamyśleniu potarł palcami podbródek. Musiał przyznać, wobec samego siebie, że pokaz zrobił na nim niemałe wrażenie. Wychował się w tradycji senshich i choć wyznawał nietypowe dla przedstawicieli swej klasy poglądy, zaniepokoiło go jednak, iż dwaj cudzoziemcy z taką łatwością stworzyli system pozwalający skutecznie przeciwstawić się technikom stosowanym przez rycerzy jego kraju.

Will uniósł rękę; Selethen wydał rozkaz, by Kikori zatrzymali się. Następna komenda - i wszyscy, znów jak jeden mąż, oparli tarcze o ziemię, po czym złożyli pokłon cesarzowi. Shigeru powstał z miejsca, w którym zasiadał, pokłonił się nisko w odpowiedzi. Ów dziwny niepokój sprzed kilku chwil ulotnił się bez śladu. Przecież to jego lud, tacy sami obywatele Nihon-Ja, w niczym nie gorsi od senshich. Dobrowolnie zgodzili się walczyć po jego stronie; pilnie i z chęcią zdobywali nowe umiejętności, byle tylko móc sprostać temu zadaniu. W pełni zasługiwali na jego szacunek oraz lojalność.

Will zsunął się z kamiennego występu, podszedł do Kikorich. Klepał ich po ramionach, gratulował udanego pokazu. Potem wraz Selethenem podziękował im. Pożegnał się, by dołączyć z powrotem do towarzyszy.

- Mamy trzy miesiące - rzekł do Halta. - Zamierzamy wyszkolić i wyposażyć dwustu zbrojnych.

Halt skinął głową.

- Dysponując dwiema setkami wyszkolonych ludzi, możesz sprawić Arisace naprawdę paskudnego psikusa. Nieźle się spisałeś, Willu. I ty także, Selethenie.

Aryda skłonił się lekko, dotknął dłonią ust, czoła, znowu zbliżył palce do ust.

- Jak już mówiłem, to pomysł Willa - odparł. - Ale podobnie jak ty, uważam, iż powstała nadzwyczaj skuteczna taktyka.

Horace tymczasem położył dłoń na ramieniu Willa. Pokręcił głową: znał chłopaka od tak dawna, a ten wciąż potrafił go czymś zadziwić.

- Posiadasz zdumiewającą zdolność tworzenia wojsk. Powstają z niczego, jakby wyrosły spod ziemi. Czy może raczej dostrzegasz możliwości, których inni nie potrafią zauważyć - stwierdził. - Swoją drogą, szkoda, że nie mamy tu setki niewolników, z których mógłbyś uczynić doborowy oddział strzelców. - Swego czasu w Skandii Will rzeczywiście stworzył nadzwyczaj skuteczną formację łuczniczą. Służyła do walki z temudżeińskimi najeźdźcami. - Jeszcze jedno - dodał Horace, marszcząc z lekka brwi. - Potrzeba ci będzie mnóstwo żelaza na hełmy, okucia tarcz i krótkie miecze. Skąd je weźmiesz?

- Już je mamy - zaśmiał się Will. - Wśród Kikorich są także kowale. Przetapiają i przekuwają metal ze starej zbrojowni, którą kiedyś odkryłeś. Nie potrzeba nam hartowanej stali ani wykwalifikowanych płatnerzy, kowale poradzą sobie z robotą bez trudu.

- Ciekaw jestem - rzekł Horace - czy kiedyś uda mi się zadać ci pytanie, na które nie znajdziesz odpowiedzi.

Will zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym odparł:

- Wątpię.

ROZDZIAŁ 36

Evanlyn obracała się powoli na końcu liny, podczas gdy kilku Kikorich opuszczało ją ostrożnie w dół.

Zwisała w próżni, kilka metrów od ściany urwiska. Jednak nieco poniżej drogę w dół przegradzał wielki występ skalny. Odwróciła się znów twarzą do ściany, tymczasem Kikori wypuścili kolejne metry liny, aż dotknęła stopami skał. Odpychając się od głazów nogami, zjeżdżała wciąż niżej. Ominęła wreszcie kamienne wybrzuszenie, znów zawisała w powietrzu.

- Już niedaleko - zawołała z dołu Alyss.

Evanlyn zerknęła przez ramię. Ujrzała kurierkę, czekającą na nią u stóp urwiska. Jeszcze tylko piętnaście metrów, nie więcej. Spojrzała teraz w górę, na linę ocierającą się o skały. Oby tylko się nie przetała, bo wówczas runę w dół jak kamień - pomyślała. Jednak lina przesuwiała się gładko po śliskiej powierzchni, a do końca zjazdu było już blisko. Wkrótce dotknęła stopami ziemi, poczuła na ramieniu dłoń Alyss, która podbiegła, by podtrzymać towarzyszkę. Lina zwiotczała, księżniczka odetchnęła głęboko z ulgą. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wstrzymywała oddech. Nogi lekko się pod nią ugięły, zapewne dlatego, że tak długo wisiała w przestrzeni nad przepaścią, niczym pajak na nitce. Alyss pośpiesznie uwolniła ją ze splecionej z lin uprząży, którą wymyślili Kikori, aby bezpiecznie opuścić dziewczęta na dno przepaści.

- Uf, dobrze, że już po wszystkim - westchnęła Evanlyn.

Alyss przytaknęła ze szczerym zapalem:

- Mało czego tak się boję, jak wysokości.

Evanlyn zdziwiła się:

- Przecież upierałaś się, że zjedziesz pierwsza?

- Tylko dlatego, że gdybym musiała przyglądać się, jak ciebie opuszczają w przepaść, nie odważyłabym się potem pójść twoim śladem. Przez większość czasu miałam oczy zaciśnięte z całej siły.

Lina, na której przed chwilą zjechała Evanlyn, zwisała teraz luźno. Alyss pociągnęła za nią czterokrotnie - umówiony sygnał dla Kikorich w górze, iż Evanlyn dotarła bezpiecznie na dno przepaści. Sznur powędrował szybko w górę, tymczasem dziewczyny rozejrzały się po okolicy.

Urwisko wznosiło się na ponad dwieście pięćdziesiąt metrów, toteż zjazdu dokonały w trzech etapach. Wprawni wspinacze z plemienia Kikori dokonali uprzednio wyboru najlepszych „punktów przesiadkowych”. Za każdym razem jeden z nich czekał wraz z Alyss i Evanlyn, podczas gdy pozostali schodzili do nich, aby dopomóc opuścić dziewczęta na kolejny, niższy poziom. Kayak, ciasno powiązany sznurem, spoczywał na kamieniach obok nich. Jeden z Kikorich opuścił się na linie razem z pakunkiem, aby uchronić go przed zderzeniem ze skalnym występem. Odwiązał łódź, po czym szybko wspiął się z powrotem, wspomagany przez towarzyszy ciągnących linę - po czym zameldował, iż transport łódki przebiegł pomyślnie.

Kilka metrów od nich rozlegał się cichy chłupot fal na wodach jeziora Mizu-Umi Bakudai. Evanlyn odetchnęła, widząc, że woda jest spokojna. Tego dnia doznała już wystarczająco wielu emocji, nie tęskniła więc wcale za dodatkowym dreszczykiem, a i tak czekało ją jeszcze nawiązanie znajomości z kayakiem.

- Chyba czas zacząć składać łódź - stwierdziła.

Nim Alyss odpowiedziała, ze skalnego występu posypały się drobne kamyki. Zakryły głowy rękami, potem spojrzały; ich oczom ukazała się para butów wystająca poza krawędź skalną. Kikori, który zjeżdżał na dół, zawołał do swych kompanów, by przestali wypuszczać linę. Zaparł się nogami o skałę, po czym podłożył pod sznur kawał wełnistej owczej skóry, miała ona oddzielać linę od skały. Najwyraźniej jemu, podobnie jak wcześniej Evanlyn, przyszło do głowy, że lina może się przetrzeć. Potem znów dał znak i ruszył w dół. W następnej chwili znalazł się obok dziewcząt. Zerknął i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Szybciej ci poszło niż nam, Eiko - odezwała się Evanlyn.

- Tyle razy już to robiłem... - Machnął ręką lekceważąco.

Dziewczyny dopiero teraz spostrzegły, że nie posłużył się uprzężą, którą wymyślił na ich użytek. Po prostu zawiązał pętlę na końcu liny, wsunął w nią stopę i takim sposobem zjechał na dół. Alyss wzdrygnęła się na samą myśl.

Eiko przywiózł ze sobą ich podróży bagaż. Położył teraz tobołki na ziemi obok niezłożonej jeszcze łodzi. Wskazał na płótno i kawałki drewna:

- Pomóc wam?

Alyss potrząsnęła głową.

- Najpierw spróbujemy bez ciebie.

Skinął głową, cofnął się. Przyglądał się, jak rozwinęły pakunek, ułożyły wręgi i wzdłużnice, a następnie połączyły szkielet łodzi w całość.

Jednak kiedy zaczęły naciągać nań płócienne poszycie, usiłując napiąć je

równomiernie, cmoknął cicho. Odezwał się:

- Jest lepszy sposób! - Wyjął kołki mocujące wręgi; szkielet łodzi zapadł się nieco. - Teraz załóżcie poszycie - rzekł, czemu towarzyszył odpowiedni gest. - Dopiero potem włożcie kołki.

Od razu zrozumiały, w czym rzecz. Naciągnęły płótno, zawiązały porządnie mocujące je sznurki i dopiero na końcu umocowały poprzeczne elementy konstrukcji. Dzięki temu poszycie napięło się idealnie.

- Miałaś rację - rzekła Alyss z uznaniem. - W ten sposób rzeczywiście dużo prościej.

- Owszem. Bo już się bałam, że złamię sobie paznokiec - dodała Evanlyn.

Alyss spojrzała na nią z ukosa, gotowa wygłosić złośliwy komentarz, lecz zdała sobie sprawę, że księżniczka pokpiwa z samej siebie. Zrobiło jej się głupio, toteż spuściła głowę i zajęła się pilnie sprawdzaniem węzłów. Kiedy ostatni został zaciśnięty, cofnęły się obie, by podziwiać wynik swych wysiłków.

- Świetnie - stwierdziła Alyss.

Evanlyn skinęła głową.

- Pewnie. Wygląda zupełnie jak łódź.

Tym razem Alyss nie zareagowała. Zrozumiała już, że żarciki Evanlyn maskują zdenerwowanie księżniczki, którą perspektywa przebycia rozległego jeziora w tak krucho prezentującej się łódce napawała niemałym niepokojem. Alyss rozumiała ją znakomicie. Wiedziała jednak, że kayak jest znacznie bezpieczniejszy i pewniejszy, niż mogło się zdawać.

Dwa wiosła o dwóch piórach stanowiły część oryginalnego pakunku; schyliła się po nie, zaniósła na brzeg jeziora. Kiedy wróciła, ujrzała Eiko nadmuchującego już drugi worek z naoliwionej świńskiej skóry; miały one służyć jako pęcherze pławne w razie, gdyby łódź wyróciła się od uderzeń wiatru. Wepchnął worki pod dziób i rufę kayaku, mocując do wręg. Następnie umieścił skromny bagaż podróżniczek między dwoma siedzeniami. Aby nie przemókł, przykrył go płachtą wodoszczelnego, nasączonego olejem płótna.

- Świetnie - odezwała się Alyss. - Łap za drugi koniec i wodujemy.

Dziewczęta pochyliły się, by podnieść łódkę, lecz Eiko je uprzedził: podniósł lekko łódkę w środku, oparł ją o biodro, po czym ruszył w stronę wody.

- Eiko - zawołał Evanlyn - Przecież mówiłyśmy. Musimy...

- Tak, tak! - Odpowiedział, machnąwszy przy tym lekceważąco wolną lewą ręką. - Musicie wszystko zrobić same. Będziecie robić to same jutro i jutro, i jutro. Dzisiaj ja.

Alyss i Evanlyn spojrzały po sobie.

Alyss wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? - stwierdziła. - W końcu rzeczywiście, mamy szansę robić to jutro, jutro i jutro. - Pokłoniła się i wskazała dłonią brzeg jeziora. - Ty przodem, Eiko, drogi przyjacielu.

Wyszczierzony w uśmiechu Kikori skierował się różnym krokiem w stronę brzegu, obie dziewczyny poszły za nim. Postawił kayak w taki sposób, że połowa kadłuba znalazła się już w płytkiej wodzie. Dziewczęta spojrzały z brzegu na rozległe jezioro. Z góry dostrzegały przeciwny brzeg, choć rysował się on bardzo, bardzo daleko na horyzoncie. Stąd jednak stał się całkiem niewidoczny, zupełnie jakby znalazły się na brzegu oceanu.

- Rzeczywiście, duże to jezioro - stwierdziła Evanlyn półgłosem. Spojrzała na Eiko. - Co to właściwie znaczy: „Mizu-Umi Bakudai”?

Barczysty drwal zmarszczył brwi.

- No, jak to? To znaczy „Mizu-Umi Bakudai” - odparł.

Evanlyn niecierpliwie tupnęła nogą.

- Tak, tak. Oczywiście. Ale co znaczą te słowa?

Alyss kaszlnęła dyskretnie, Evanlyn odwróciła się w jej stronę. Kurierka z trudem powstrzymywała uśmiech.

- Te słowa znaczą „Wielkie Jezioro” - przetłumaczyła.

Eiko przytaknął gorliwie, a Evanlyn poczuła, że się czerwieni.

- No, tak. Oczywiście. Rozumie się samo przez się.

- Nihończycy przejawiają skłonność do dosłownych nazw, jak pewnie zauważyłaś - dodała Alyss. Różnym gestem zatarła dłonie i podeszła do kayaku. Zepchnęła go na płytką wodę. - Teraz sprawdzimy, czy łódź nie przecieka.

Przy samym brzegu woda miała najwyżej kilka centymetrów głębokości, lecz dno opadało szybko i stromo, toteż już dwa czy trzy metry dalej głębokość wzrastała do pół metra. Zaraz potem zaczynała się prawdziwa głębia; doskonale dotąd widoczne przez kryształowo czystą wodę piaskowe i kamieniste dno nikło w zielonym cieniu. Alyss weszła do lodowatej wody.

- Au! Jaka zimna! Uważaj, Evanlyn, żebyś nas nie wywróciła.

- Sama uważaj - warknęła w odpowiedzi Evanlyn. W skrytości ducha wiedziała jednak doskonale, że jeśli ktokolwiek spowoduje wywrotkę łodzi, to właśnie ona. Już miała także wejść do wody, żeby pomóc Alyss, ale ją powstrzymała.

- Niech Eiko to zrobi. Jest cięższy. - Po czym zwracając się do górala, wskazała mu łódkę. - Proszę, oprzyj się na niej całym ciężarem, Eiko.

Skinął głową, na znak, że rozumie. Także wszedł do wody. Wyciągnął ręce, oparł je o burty, po czym przeniósł na nie ciężar ciała. Kadłub zanurzył się głębiej. Alyss nachyliła się

także, by dokonać szczegółowych oględzin, sprawdzając, czy nie pojawią się gdzieś krople przeciekającej wody. Jednak gęste i nasączone olejem płótno okazało się całkowicie wodoszczelne, nie pojawił się najmniejszy nawet przeciek.

- Doskonale - stwierdziła Alyss, wyprostowawszy się. Skinęła na Evanlyn. - Łap za wiosło i wsiadaj. Zajmiesz miejsce w przodu, żebym mogła mieć cię na oku.

Eiko zwrócił się w stronę Evanlyn, najwyraźniej z zamiarem zanieśienia jej na łódź, lecz Alyss powstrzymała go.

- Nie, Eiko. Im prędzej nauczy się sama wsiadać, tym lepiej. Bo wiesz - zwróciła się do Evanlyn - za pierwszym razem może być trochę trudno.

Księżniczka skinęła głową i niosąc wiosło w dłoni, weszła do jeziora. Ona także aż wstrzymała oddech, gdy jej stopy zetknęły się z lodowatą wodą.

- już rozumiem, dlaczego nie chcesz, żeby łódź się wywróciła - mruknęła.

Uniosła niezręcznie nogę, by wsiąść do kayaku. Alyss znów zainterweniowała:

- Nie, nie w ten sposób. Odwróć się tyłem i najpierw siądź na ławeczce. W ten sposób większość twojego ciężaru znajdzie się już na łodzi, potem wystarczy wciągnąć nogi.

Evanlyn bardzo ostrożnie ulokowała tylną część ciała na drewnianym siedzeniu. Łódź zachwiała się niebezpiecznie, więc spięła się natychmiast, lecz Alyss rzuciła tylko:

- Spokojnie, rozluźnij się. Trzymam łódź. Teraz podnieś nogi i płynnym ruchem wciągnij je do łodzi. Oprzyj stopy o wręgi albo o specjalny podnózek, w żadnym razie nie o płótno - dodała.

Evanlyn zgromiła ją wzrokiem.

- Masz dla mnie jeszcze jakieś inne oczywiste rady? - spytała zjadliwym tonem.

Alyss wzruszyła ramionami.

- Wybacz. To tak dla pewności - wyjaśniła. Odczekała, aż Evanlyn wciągnie nogi na łódź i usadowi się w miarę wygodnie. Następnie puściła rufę, podeszła z boku do kayaku. Eiko chciał przetrzymać łódkę, tak jak ona to zrobiła przed chwilą, ale machnęła na niego ręką.

- Nie trzeba - podała swoje wiosło Evanlyn, która czekała, trochę zaniepokojona. - Posłuchaj, Evanlyn. Kiedy wsiądę, łódka się zakołysze. Łódki mają to do siebie, że się chwieją, więc się nie przejmuj. Nie próbuj zrównoważyć wychyłu. Łódź sama się uspokoi. Nie wychylaj się na boki i rozluźnij się. Zrozumiano?

Evanlyn, spięta jak struna, skinęła sztywną głową.

Wdzięcznym i płynnym ruchem Alyss siadła na tylnej ławeczce, po czym wciągnęła nogi. Łódka rzeczywiście wychyliła się na bok pod jej ciężarem - jak zdawało się Evanlyn,

wychyliła się niebezpiecznie, toteż nie zdołała powstrzymać się i pisnęła, wystraszona. Jednak już w następnej chwili łódka się uspokoiła; Evanlyn zrozumiała, że pomału odpływają od brzegu i miejsca, w którym po kolana w wodzie stał Eiko. Uśmiechnął się do nich wesoło, pewnie chcąc dodać dziewczynom odwagi pomachał na pożegnanie. Małe falki chlupotały o napięte poszycie kayaku. Evanlyn po raz drugi odetchnęła głęboko, uzmysłowiwszy sobie, że od dłuższej chwili wstrzymywała tę ważną życiową czynność.

- Podaj mi wiosło, dobrze? - usłyszała za sobą słowa Alyss.

Księżniczka odwróciła się więc bardzo ostrożnie, by wręczyć je towarzyszce.

Łódź zachybotła się znowu; Evanlyn zamarła.

- Rozluźnij się - powtórzyła Alyss. - Poddaj się kolebaniu, tak jakbyś jechała konno. Jeżeli będziesz się tak usztywniać, trudniej ci przyjdzie utrzymywać równowagę. Spróbujmy jeszcze raz z tym wiosłem. I postaraj się nie upuścić go przy okazji do wody.

Tym razem Evanlyn podała jej wiosło, nie odwracając się. Usłyszała stłumione stęknienie, gdy pióro uderzyło Alyss w żebra.

- Wielkie dzięki - syknęła kurierka.

- Przepraszam - odpowiedziała Evanlyn. Po prostu nie znosiła takich sytuacji, kiedy traciła kontrolę nad wydarzeniami.

- Teraz spróbujemy wprawić naszą łódkę w ruch - podjęła Alyss. - Najpierw lewa strona. Wiosłuj gładko, powoli. Nie próbuj forsować. I postaraj się, żeby nie ochlapywać mnie wodą. Uwaga, na mój sygnał...

Evanlyn pochwyciła mocniej wiosło, przedmiot, z którym nie zdążyła jeszcze się oswoić. Czekala na komendę Alyss.

- No, dobra. Pamiętaj, zaczynamy od lewej strony. Raz... i dwa. Raz... i dwa... nieźle. Oby tak dalej. Bardzo dobrze... Gładko, powoli. Raz i... Brrr, jasna cholera! Jeżeli znów mnie ochlapiesz, wyrzucę cię za burtę. Więc lepiej uważaj!

Evanlyn przemknęło przez myśl, że nie jest to właściwy sposób zwracania się do księżniczki, następczyni tronu Araluenu.

ROZDZIAŁ 37

- Znakomita synchronizacja - pochwalił Horace, spoglądając na pięćdziesięciu Kikorich, którzy w dwóch rozciągniętych szeregach biegli równym truchtem przed siebie.

Selethen wykrzyknął rozkaz, a wówczas lewoskrzydłowi każdego szeregu stanęli w miejscu, wciąż jednak przebijając nogami w tym samym tempie co pozostali, przy czym jednocześnie zwrócili się o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Szeregi zdążające za nimi przeszły po łuku; rzecz jasna, żołnierze znajdujący się dalej, musieli poruszać się prędzej. Przez kilka sekund szeregi falowały. Wkrótce jednak wyrównały się znowu - a mianowicie gdy Kikori dokonali zwrotu. Gdy tylko tak się stało, padła następna komenda z ust Selethena; pięćdziesięciu ludzi ruszyło przed siebie, tym razem w kierunku prostopadłym do poprzedniego. Cała operacja zajęła mniej niż trzydzieści sekund.

Will nie odpowiedział. Obserwował uważnie przebieg manewrów, wypatrując wszelkich ewentualnych uchybień. Nie dopatrzył się jednak żadnych. Dopiero teraz spojrzał w stronę przyjaciela i odpowiedział na jego uwagę:

- Zgadza się. Koordynacja bez zarzutu.

- Widzę, że produkcja broni postępuje - zauważył Horace.

Podczas tych ćwiczeń wszyscy żołnierze w pierwszym szeregu dzierżyli wielkie, prostokątne tarcze i toporne dziiryty. Każdy z pięćdziesięciu ludzi nosił u pasa po kilka krótkich, lecz groźnie prezentujących się narzędzi przeznaczonych do dźgania.

- Tak, teraz już wszyscy mają miecze. Większość z nich sama je sporządziła, po prostu odcinając drzewca włóczni. Cieśle i kowale pracują bez przerwy, wciąż wytwarzają nowe tarcze oraz dziiryty. Wkrótce zdołamy w pełni wyposażyc cały *hyaku*.

- *Hyaku*? - powtórzył Horace, unosząc brwi.

- To po nihońsku znaczy po prostu „setka”. Tylu żołnierzy liczą tokańskie formacje bojowe, po stu ludzi w każdej grupie. Nazywają je centuriami - trzy rzędy po trzydziestu trzech ludzi oraz dowódca.

- Ile tych *hyaku* chcesz utworzyć?

- No, najwyżej dwa. Wolałbym więcej, ale po prostu brak nam ludzi. Halt powiada, że mały oddział, lecz dobrze wyszkolony i zdyscyplinowany, może wiele zdziałać na polu bitwy.

- Bez wątpienia - zgodził się Horace.

Oddział zatrzymał się, ludzie z pierwszego szeregu podali swoje dziryty żołnierzom stojącym za nimi.

- Na razie dzielą się tym, co mają - wyjaśnił Will Horace'owi. - Tymczasem muszą opanować podstawowe manewry, nic nie szkodzi, że jeszcze nie wszyscy są w pełni uzbrojeni.

Zbrojni czekali, za to teraz na pole manewrowe wbiegło dwudziestu ich towarzyszy, którzy jakieś pięćdziesiąt metrów od nich ustawili w równej linii pęki gałęzi przedstawiające nieprzyjaciół. Następnie opuścili czym prędzej pole, a Selethen znów wydał żołnierzom rozkaz do marszu przed siebie.

- *Kamé!* - zawołał *wakir*.

W jednej chwili żołnierze z pierwszego szeregu unieśli tarcze na wysokość głowy, zaś ci z drugiego udali, że unoszą tarcze poziomo, tworząc rodzaj dachu nad formacją. Osłonięci w ten sposób, nadal posuwali się naprzód, równo stąpając po twardej ziemi. Po kilku sekundach Selethen wydał następną komendę; ich tarcze, rzeczywiste i wyimaginowane, powróciły do zwykłej pozycji marszowej. Teraz znaleźli się już w odległości zaledwie czterdziestu metrów od „nieprzyjaciela”.

Znów padł rozkaz; pierwszy szereg parł dalej naprzód, tymczasem drugi stanął w miejscu i żołnierze wzięli zamach. Jednocześnie na komendę cisnęli bojowymi oszczepami nad głowami maszerujących towarzyszy; pociski zatoczyły łuk, następnie spadły morderczym gradem na ustawione wiązki gałęzi. Za chwilę drugi szereg ruszył przyspieszonym krokiem, aby dogonić wciąż posuwający się naprzód pierwszy. Połowa „wrogów” została trafiona. Niektóre wiązki rozsypały się, inne stały, lecz przekrzywione, wsparte na ciężkich drzewcach dziryków.

Selethen kazał żołnierzom przyspieszyć marszu, cała pięćdziesiątka ruszyła równym biegiem; klingi krótkich mieczy błysnęły groźnie w szczelinach między tarczami. Kiedy pierwszy szereg dotarł do linii wrogich wojsk, drugi natychmiast zbliżył się, by swymi mięśniami i masą wesprzeć impet pierwszego szeregu.

Po dłuższej chwili Selethen zarządził przerwę w ćwiczeniach; Kikori opuścili tarcze, opierając je o ziemię. Żołnierze z drugiego szeregu zaczęli zbierać dziryty.

- Selethen nieźle się spisuje - stwierdził Horace. Tymczasem wysoki Aryda kręcił się między żołnierzami, komentując postępy, zachęcając niektórych, wychwalając innych, doradzając i korygując ewentualnie niedociągnięcia. - Będzie dowodził oboma oddziałami?

- Nie - odpowiedział Will. - Muszą działać niezależnie. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Czy objąłbyś dowództwo nad jednym z nich?

- Ja? - Horace zdziwił się trochę. - Myślałem, że ty zechcesz dowodzić z którymś z *hyaku*. Bądź co bądź, to twój pomysł.

Jednak Will potrząsnął głową.

- Potrzebujemy dwóch dobrych polowych dowódców - stwierdził. - Pod tym względem jesteś znacznie lepszy ode mnie. Halt i ja możemy trzymać się w pewnej odległości, starając się zachować kontrolę nad wszystkim, co się będzie działo. Senshich Shigeru utrzymamy w odwodach, po czym pošlemy ich do walki, kiedy zajdzie potrzeba.

Horace nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Ech, wy, zwiadowcy - zaśmiał się. - Chcecie pociągać za wszystkie sznurki, prawda?

Will już miał zaprzeczyć temu żartobliwemu oskarżeniu, ale zawahał się, po czym rozłożył ramiona.

- Cóż, może i tak. Chyba masz rację. Ale z drugiej strony, sam przyznasz, że lepiej się spisujemy w walce na dłuższy dystans. Ty zaś jesteś ekspertem w dziedzinie bezpośrednich starć.

Horace nie mógłby zaprzeczyć, iż celny ostrzał z łuków Halta i Willa mógł okazać się decydujący w przełomowym momencie bitwy. Szkoda rezygnować z takiego atutu.

- To dla mnie zaszczyt objąć dowództwo nad jednym z *hyaku* - oświadczył. - Prawdę mówiąc, ostatnio czułem się raczej beużyteczny, bo właściwie nic nie miałem do roboty. - Umilkł, lecz w następnej chwili coś przyszło mu na myśl: - Będę musiał się nauczyć się komend i manewrów.

- To nie potrwa długo. Szybko je opanujesz, bo postaraliśmy się, żeby wszystko było proste. Oczywiście, bez obrazu. Chodzi po prostu o to, że jak zawsze powtarza Halt: „W bitewnym zamęcie większy pożytek z dobrze wyćwiczonych, prostych działań niż z technicznych sztuczek. Choćby najbardziej misternych”. Zajmie ci to dzień, a najwyżej dwa. Ponadto, kiedy obaj z Selethenem zajmiecie się szkoleniem Kikorich, wszystko potrwa dwa razy krócej.

Horace przytaknął ruchem głowy. Cieszyło go, że nareszcie znajdzie się dla niego zajęcie. Po tak trudnej i pełnej niebezpieczeństw drodze przez góry, kilka minionych tygodni spędzonych na całkowitej bezczynności, podczas których kurowały się z wolna jego obolałe zebra, sprawiło że rycerza ogarnęło poczucie pustki. Teraz znów zyskał cel, do którego mógł zmierzać. Uderzył dłonią w rękojeść miecza, zmarszczył brwi, wyczuwszy wciąż obcy dla niego kształt dwuręcznego uchwytu katany, którą teraz nosił.

- Muszę zrobić coś z tym żelastwem - mruknął gniewnie. - Od tylu lat obracałem w dłoni araluńskim mieczem, że teraz nihońska katana po prostu nie leży mi w łapie.

* * *

Okazja po temu nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewał. Następných kilka godzin spędził w towarzystwie Willa oraz Selethena, zapisując skrzętnie komendy, a także manewry, których miał się nauczyć, potem zaś powrócił do swej chaty na popołudniowy posiłek. Jeden ze służących Shigeru dostarczył mu stawy oraz gorącej herbaty, kiedy zaś młody rycerz zasiadł do niskiego stołu, sługa skłonił się.

- *Kurokumo*, jego cesarska wysokość prosi, byś zechciał odwiedzić jego chatę, gdy już się nasycisz.

Horace wstał od razu, lecz tamten zamachał gwałtownie rękami.

- Nie, nie! Jego wysokość zaznaczył wyraźnie, że najpierw masz się posilić. Z radością cię przyjmie o takiej porze, jaka ci będzie odpowiadała.

Horace skinął głową, na znak, że zrozumiał. Uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że dla większości władców takie polecenie oznacza: „natychmiast albo jeszcze prędzej”. Niejednokrotnie już się przekonał, że w przypadku Shigeru, wypowiedane przezeń słowa, znaczą dokładnie to, co znaczą. Cesarz nie domagał się, by na każde jego skinienie rzucać wszystko. Oto jeden z powodów, dla których tak bardzo kochali go ludzie z najbliższego otoczenia.

Jednak cesarz to cesarz, zatem Horace nie tracił czasu i prędko uporał się z posiłkiem. Gdy zjadł i umył się, narzucił ciepłą, zewnętrzną szatę, obwiązał się w pasie szarfą, zatknął za nią kataną. Buty czekały na zewnątrz, na stopniu pod daszkiem. Wciągnął je i ruszył, pośród wirujących płatków śniegu. Jakże inaczej tu wszystko wygląda niż w Araluenie - pomyślał. A jednak, pod tak wieloma względami wyglądało tak samo... W tym górskim obozowisku obowiązywały identyczne wartości, jakie wpojono mu w rodzinnym królestwie. Przyjaźń i braterstwo broni, oddanie oraz lojalność wobec rozumnego, troskliwego władcy. Wreszcie - niestety - tutaj, tak samo jak i tam, ów władca musiał stawiać czoło uzurpatorom pragnącym przejąć władzę.

Buty młodego rycerza skrzywiały na śniegu, gdy szedł ku chacie Shigeru. Różniła się nieco od pozostałych domków wybudowanych przez Kikorich. Shigeru zrazu oponował, twierdząc, że nie potrzebuje niczego więcej niż to, co otrzymują jego towarzysze. Jednak Kikori stanowczo zaprotestowali. Pałali świętym oburzeniem na myśl, że ich cesarz miałby mieszkać w takiej samej chacie, jak wszyscy inni. Postanowili choć w taki sposób okazać mu, jak bardzo wielbią go i szanują. Domek Shigeru odróżniał się więc od pozostałych zadaszonym gankiem, a składał się z dwóch izb zamiast jednej - obszernego pokoju, w którym mógł przyjmować swych doradców oraz mniejszej sypialni.

Jeden z senshich pełnił straż na ganku. Uśmiechnął się i pokłonił, rozpoznawszy Horace'a.

- Witaj, *Kurokumo!* Jego cesarska wysokość czeka na ciebie.

Horace odwzajemnił ukłon strażnika. Odpowiedział grzecznie, choć krótko, po czym zdjął oblepione śniegiem buty. Pochylił się, wszedł przez niski otwór wejściowy. Shigeru siedział ze skrzyżowanymi nogami na czerwonej macie. Mały, lecz żarzący się mocno piecyk pełen węgla promieniował ciepłem. Władca trzymał w dłoni cienki pędzelek, o kolano opierał arkusz ryżowego papieru, naciągnięty na drewnianą ramkę. Wypisywał na nim jakiś nihoński ideogram, powtarzając go wciąż i wciąż, usiłując za każdym razem zbliżyć się do uzyskania doskonałej formy. Spojrzał na gościa i uśmiechnął się.

- Ach, witaj, *Kurokumo*. Zechciej usiąść przy mnie. - Wskazał niski stołek.

Horace pokłonił się, usiadł. Wiedział, że w normalnej sytuacji etykieta stanowczo zabrania zajmować miejsca wyżej, niż zasiada cesarz. Jednak Shigeru zdawał sobie sprawę, że dla Aralueńczyków, którzy nie siadali od wczesnego dzieciństwa z podkurczonymi nogami na piętach, taka pozycja stanowi istną udrękę, powodując już po kilku minutach nieznośny ból kolan. Horace uważał to za jeszcze jeden dowód troski, jaką cesarz otacza swoich towarzyszy.

- Zechcesz napić się herbaty, *Kurokumo*?

Co prawda Horace jeszcze przed chwilą raczył się herbacianym naparem, ale wiedział, że poczęstunek stanowi istotną część rytuału, element etykiety obowiązującej podczas spotkań. Nie wypadało jej naruszyć.

- Dziękuję, wasza wysokość - odparł, kłaniając się w siedzącej pozycji. Czuł się trochę niezręcznie, bo kulił się na niskim stołeczku, z kolanami niemal pod brodą. Trochę jakby znalazł się nagle w pokoju dzieciennym... Tymczasem Shigeru, choć siedział na podłodze, prezentował się nadzwyczaj godnie i dostojnie.

Z wewnętrznego pokoju wyszedł służący, podał im herbatę. Horace napił się z przyjemnością, bo nawet podczas krótkiego spaceru ze swej chaty do siedziby cesarza dał o sobie znać przejmujący ziąb; teraz przyjemne ciepło rozchodziło się po całym jego ciele.

- Wzywałeś mnie, Shigeru-san?

Przyszło mu na myśl, że George'owi z pewnością nie przypadłoby do gustu tak bezpośrednie postawienie sprawy. Przypuszczalnie należało wpierw wyrazić podziw dla cesarskiej kaligrafii, na co Shigeru by zaprotestował, skromnie wskazując błędy oraz niedociągnięcia. Ale co począć, skoro okropnie go ciekawiło, dlaczego został wezwany. Od bitwy pod palisadą niewiele się działo w twierdzy Ran-koshi. Cesarz nie miał powodu spotykać się codziennie ze swymi doradcami, toteż w rezultacie Horace widywał go rzadziej.

Młody Araluńczyk przypuszczał, że Shigeru nader boleśnie odczuł śmierć Shukina, ponadto cesarzowi zapewne ciążyła odpowiedzialność za los tych, którzy zdecydowali się go wesprzeć. Martwił się o Kikorich, wiernych mu senshich oraz o przybyłych zza mórza cudzoziemców, którzy ofiarowali nihońskiemu władcy swoje usługi. Nie dziwiłoby więc młodego rycerza, gdyby cesarz szukał ulgi w odosobnieniu.

Takie to myśli krążyły po głowie Horace'a. Tymczasem cesarz nie okazywał zwątpienia czy niepokoju. Na jego twarzy malował się spokój, również jego zachowanie nie zdradzało wewnętrznych trosk. Uśmiechnął się do młodzieńca, który siadł przed nim, kładąc dłonie na kolanach.

- Czy ostatnimi czasy bardzo byłeś zajęty, *Kurokumo*? - spytał.

Horace pokręcił głową.

- Nieszczęśliwie, Shigeru-san. Niewiele miałem do roboty. To jednak wkrótce się zmieni. Proszono mnie, żebym objął dowodzenie nad jednym z *hyaku*.

- Ach, tak. Nad jednym z oddziałów szkolonych przez Wirru-sana - odpowiedział cesarz. - Powiedz mi, czy twoim zdaniem Kikori mają jakieś szanse w starciu z senshimi Arisaki?

Horace zastanowił się krótką chwilę. Przypomniał sobie wrażenie, jakie odniósł na polu manewrowym - wówczas Kikori wydali mu się istną potęgą, choć, rzecz jasna, na małą skalę. Przypomniał sobie, jak parli nieustraszenie naprzód, poprzedzani morderczym deszczem dzirytów.

- Sądzę, że to niewykluczone, Shigeru-san. Pod warunkiem jednak, iż uwierzą w siebie, nie wpadną w panikę - odparł. - Natomiast i szkolenie, i opracowana przez Willa taktyka nie zda się na nic, jeśli Kikori nie zyskają wiary w zwycięstwo.

- Czy wierzą w nie teraz?

Horace odparł z namysłem:

- Być może jeszcze nie. Ale uwierzą. Dołożymy wszelkich starań, by uwierzyli. Zrobimy wszystko, by wzbudzić w nich ducha walki.

- Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Przyszło mi też na myśl, że skoro zamierzasz walczyć wraz z nimi, skoro obejmujesz nad nimi dowództwo, potrzebujesz dobrego miecza.

Shigeru nieznacznym ruchem dłoni wskazał rękojeść katany sterczącą zza szarfy, którą przepasał się Horace.

- Jak się czujesz, nosząc u boku broń naszych wojowników?

- To wyśmienity oręż - stwierdził Horace, starannie dobierając słowa. - Brak mi jednak

obycia z takim mieczem. Nauczono mnie władania całkiem inną bronią.

- Aha... Prawdę mówiąc, tak właśnie myślałem. Wojownik potrzebuje broni, którą zna i której może zaufać. Dlatego też... - Shigeru odwrócił się w stronę drzwi do mniejszego pokoju, za którymi znikł służący.

- Tabai! Przynieś miecz.

Służący pojawił się znów, niosąc tym razem długi przedmiot zawinięty w jedwab. Chciał go podać cesarzowi, lecz Shigeru cmoknął cicho i ruchem głowy wskazał Horace'a. Tabai przyklęknął przed młodym rycerzem, podał mu pakunek. Horace wziął go do ręki i spojrzał pytająco na Shigeru.

- Znalazłem go wczoraj pośród rzeczy Shukina - odezwał się cesarz. - Szczerze mówiąc, zrazu nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby do nich zajrzeć, a potem zupełnie zapomniałem.

Dał Horace'owi znak, by ten odwinął tkaninę.

Horace rozchylił jedwab, przyklęknął, przyjrzał się zawartości pakunku. Wewnątrz spoczywał miecz. Jego własny miecz, w nasączonej oliwą skórzanej pochwie. Prosty stalowy jelec, mosiężna głowica i skórzana okładzina rękojeści... Jakby ujrzał z dawna niewidzianego przyjaciela, ale przecież...

- To mój miecz! - wykrztusił zdumiony rycerz. Miecz, który wpadł w głęboką przepaść, a w dodatku dnem rozpadliny płynął rwący górski potok. Horace nie potrafił odgadnąć, jakim cudem udało się broń odzyskać.

- Przyjrzyj się dokładnie - polecił Shigeru.

Dopiero teraz Horace zauważył, że skórzana okładzina jest całkiem świeża, nowa - a nie wytarta podczas tak licznych starć, które miał za sobą oraz pozbawiona śladów tysięcy i tysięcy godzin mozolnych ćwiczeń. Już miał dobyć broń, kiedy przypomniał sobie, iż uważa się to w Nihon-Ja za nader poważne uchybienie wobec obowiązującego na cesarskim dworze protokołu. Nikomu nie wolno było obnażyć brzeszczotu w obecności dostojnego władcy. Jednak Shigeru tylko machnął niecierpliwie ręką.

Świsnęła stal; Horace dobył broni. Dzierżył doskonale wyważony miecz, taki właśnie, jaki wiele lat temu stał się przedłużeniem jego własnej ręki. To mógł być jego dawny miecz. Jednak teraz, gdy widział wyraźnie ostrze, połyskujące z lekka błękitem, dostrzegł na jego powierzchni dziwne, półkolisty linie, falujące na całej długości. W świetle lampki klinga lśniła całkiem inaczej niż jego stary oręż.

- To miał być dar od Shukina dla ciebie - wyjaśnił Shigeru.

Wówczas Horace przypomniał sobie, jak na pożegnanie, gdy cesarski kuzyn

pozostawał w tyle, by strzec brodu, Shukin powiedział mu o podarunku, który młody rycerz miał znaleźć w jego rzeczach.

- Pewnej nocy, jeszcze w mojej letniej rezydencji, pożyczył sobie twój miecz, aby mógł go obejrzeć jego płatnerz. Poleciał następnie wykonać dokładną kopię.

- Ale... - zaczął Horace, nie mogąc pojąć, dlaczego Shukin zadał sobie tak wiele trudu. Shigeru, domyślając się, jakie pytanie usłyszy, uniósł dłoń.

- Ale z jedną różnicą. To ostrze wykuto z nihońskiej stali, o wiele twardszej niż klinga twojego dawnego miecza. Twardszej, a przy tym niełatwo stępić takie ostrze. Teraz, jeśli staniesz do walki z senshim, o zwycięstwie zaważą umiejętności, nie twardość stali.

ROZDZIAŁ 38

Pierwsza noc podczas tej wędrówki upłynęła bez istotnych wydarzeń, jeśli pominąć postękiwania Evanlyn, która leżąc w małym namiocie, bezskutecznie usiłowała zapomnieć o bólu przeszywającym mięśnie jej ramion oraz ud.

Razem z Alyss wiosłowała przez długie godziny, płynąc po spokojnych wodach jeziora, aż wreszcie wylądowały na małej wysepce. Po krótkiej przechadzce przekonały się, że wyspa nie jest zamieszkała, w zasadzie ów skrawek lądu składał się zaledwie z kilku skał i garstki ziemi, z której wyrastały krzaki. Rozłożyły obozowisko na wąskiej, piaszczystej plaży, po czym ułożyły się do snu.

- Czuję mięśnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia - wyznała następnego ranka Evanlyn. - A wszystkie palą żywym ogniem.

Evanlyn była w znakomitej formie, a pod względem sprawności fizycznej prezentowała się znakomicie. Nie na próżno prowadziła aktywny tryb życia. Jednak wielogodzinne wiosłowanie wprawiło w ruch mięśnie używane dotąd przez nią najwyżej sporadycznie. Alyss, która do wiosłowania przywykła, też odczuwała silne zmęczenie. Wiedziała jednak, że to nic w porównaniu z katuszami przeżywanymi przez Evanlyn, ale uznała, że nie powinna pozwalać księżniczce użalać się nad sobą.

Ciągle jęki Evanlyn nie dawały tamtej nocy Alyss spać, toteż rankiem była nawet trochę zła z tego powodu.

- Z czasem się przyzwyczaisz - stwierdziła. - Mięśnie ci się wyrobiją.

Evanlyn rzuciła jej ostre spojrzenie. Zorientowała się, że nie ma co liczyć na współczucie ze strony towarzyszki, więc zacięła usta, powziawszy postanowienie, iż odtąd postara się cierpieć w milczeniu.

Woda w kociołku ustawionym na węglach zagotowała się; Evanlyn ujęła naczynie, po czym zalała wrzątkiem liście zielonej herbaty, wsypane do małego metalowego czajnika.

- Szkoda, że nie mamy kawy - stwierdziła. Podczas wędrówek w towarzystwie zwiadowców polubiła ten napój tak samo jak oni. Podała kubek Alyss, która przyglądała się mapie jeziora, planując następny etap.

- Szkoda, szkoda - odparła roztargnionym głosem Alyss. Sączyła herbatę, rozkoszując się gorącym naparem. Po chwili rozłożyła mapę na piasku między nimi. Prostą mapę, bowiem

cóż mogłoby się znaleźć na mapie jeziora, jeśli nie liczyć pstrzących jego powierzchnię nieregularnie rozmieszczonych wysepek.

- Dzisiaj czeka nas długi dzień - stwierdziła. - Najbliższa wyspa znajduje się tutaj. - Stuknęła palcem w mapę, wskazując skrawek lądu zaznaczony pośród bezmiarów wód.

Evanlyn spojrzała, porównała odległość przewidzianą na ten dzień z dystansem przebytych dni poprzedniego, a następnie gwizdnęła cicho.

- Kawał drogi - zauważyła.

- Bliżej nic nie znajduję - powiedziała Alyss. - Nie mamy wyboru. W dodatku lepiej dopłynąć do wyspy przed zapadnięciem ciemności, zanim zerwie się wiatr. - Wiedziała z doświadczenia, jak trudno wiosłować, kiedy wiatr wieje prosto w twarz. - Obawiam się, że czeka nas pięć albo nawet sześć godzin wiosłowania.

Evanlyn jęknęła cicho.

- Och, moje biedne ręce i ramiona.

- Przejdzie, kiedy się rozruszasz - powiadomiła ją Alyss. - Powiosłujesz trochę, a mięśnie się rozgrzeją.

Evanlyn zaczęła zbierać śniadaniowe utensylia. Słowa Alyss dodały jej nieco otuchy.

- Cóż, przynajmniej jakaś pociecha.

- Niewielka - dodała Alyss, nie bez złośliwej satysfakcji - bo wieczorem, kiedy przestaniesz wiosłować, mięśnie na nowo zeszywnieją. Wtedy ból wróci ze zdwojoną siłą.

Evanlyn przerwała zawiązywanie swojego podróżnego tobołka.

- No, pięknie. Wielkie dzięki za łaskawe słowa pociechy - odparła. - Dobrze wiedzieć, na co mogę liczyć wieczorem.

Zapakowały rzeczy do kayaku, zepchnęły go z plaży. I tym razem Evanlyn wsiadła pierwsza, nadal trochę niepewnie, podczas gdy Alyss przytrzymała łódź. Potem swe miejsce zajęła także Alyss. Tym razem, kiedy łódka zachybotała się pod jej ciężarem, Evanlyn już się nie przestraszyła. Minionego dnia przywykła, że ich malutki stateczek chybotrze się od czasu do czasu na boki. Zorientowała się też, że na szczęście poruszenia niekoniecznie muszą zwiastować katastrofę. Kiedy udało jej się rozluźnić, odkryła, iż może równoważyć przechył kayaku, luźno balansując ciężarem ciała, bez paniki i zbędnego napięcia.

Jej umiejętności wiosłarskie nadal pozostawiały wiele do życzenia, od czasu do czasu zbyt płytko zanurzała wiosło, a w rezultacie bryzgi lodowatej wody ochlapwały towarzyszkę. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, Alyss odezwała się nie mniej lodowatym tonem:

- Wielkie dzięki, wasza wysokość.

Jej późniejsze komentarze stały się niedosłyszalne, sprowadzały się w zasadzie do gniewnych pomrukiwań pod nosem.

Za każdym razem Evanlyn zaciskała zęby i postanawiała solennie, że nie powtórzy już tego błędu. Jednak nawet najsilniejsze postanowienie nie zastąpi wprawy, toteż znów i znów musiała znosić dochodzące z tylnej ławeczki ledwo słyszalne, niezrozumiałe uwagi - których ton świadczył jednak dobitnie, że ich treść była nadzwyczaj nieprzychylna oraz niestosowna.

Nic jednak nie potrafiła poradzić. W końcu, jak by nie było, to jej wina, bo przecież ona bryzgała wodą w twarz Alyss.

Co jakieś trzydzieści minut robiły przerwę dla odpoczynku. Kiedy słońce stanęło w zenicie, Alyss zarządziła postój nieco dłuższy, na południowy posiłek. Dryfowały po powierzchni jeziora, wsłuchując się w usypiający chłupot fali, uderzających o płócienny kadłub łodzi. Wiał tylko słaby wietrzyk, prądu w tym miejscu nie było, toteż utrzymywały się z grubsza w tej samej pozycji. Kiedy posiliły się, napiły i odpoczęły, lecz zanim mięśnie Evanlyn zdążyły zeszywnieć, Alyss stwierdziła, że pora płynąć dalej. Miała ze sobą kompas, który wręczyli jej zwiadowcy, mogła więc w miarę precyzyjnie skierować dziób kayaku na zachód od północnego zachodu, po czym zabrała się rażno do wiosłowania.

Kiedy ich mała łódka ruszyła do przodu, Evanlyn spojrzała przez ramię, by podjąć rytm wiosłowania. Kayak ruszył ze zdwojoną prędkością, po czym nagle zboczył z kursu, kiedy Evanlyn tylko musnęła piórem wiosła powierzchnię wody, ochlapując przy okazji Alyss od stóp do głów.

- Wielkie dzięki - burknęła Alyss.

Evanlyn nie odezwała się. Przepraszała bowiem już tyle razy, że słowa skruchy straciły jakiegokolwiek znaczenie. A zresztą Alyss chyba zdaje sobie sprawę, że Evanlyn nie chlapała naumyślnie. Skupiła się więc na wiosłowaniu, zważając, by zanurzać wiosło odpowiednio głęboko i kończyć starannie każde pociągnięcie. Tym razem upłynęło co najmniej czterdzieści minut, lecz później Alyss znów spotkał zimny prysznic.

- Wielkie dzięki - rzuciła odruchowo.

Evanlyn pomyślała, że jej towarzyszka mogłaby przynajmniej wymyślić coś nowego lub ograniczyć się do komentarzy mruczanych pod nosem, jak poprzednio.

Po południu zerwał się wiatr południowo-zachodni, spychając je z kursu. Alyss musiała częściej spoglądać na kompas. Wiatr wzburzył też nieco powierzchnię jeziora, powstały fale wyższe niż dotąd. Rozbijały się o lewą burtę i dziób kayaku, a z każdą z nich wlewała się do środka odrobina wody.

Z początku było im tylko nieprzyjemnie, bowiem ich stopy kąpały się w bardzo zimnej wodzie. Jednak z czasem, kiedy wody przybywało, łódeczka stała się cięższa.

- Ja dalej powiosłuję, a ty wyczerpuj wodę - rozkazała Alyss.

Evanlyn ułożyła wiosło wzdłuż łódki, po czym wzięła od Alyss czerpak.

- Tylko uważaj, żeby nie uszkodzić poszycia - ostrzegła ją Alyss.

Evanlyn sięgnęła w stronę dna, napełniła czerpak, wylała zawartość za burtę. Niestety, za pierwszym razem chlapnęła wodą na lewą, czyli na nawietrzną stronę. Podmuchał porwał zawartość czerpaka, chlusnął nią w obie dziewczyny.

- Wielkie dzięki ci i za to - syknęła Alyss.

- Wybacz - odezwała się Evanlyn.

Potem wylewała już wodę na zawietrzną.

Spędziły mokre, chłodne, a przy tym męczące popołudnie. Mięśnie ramion oraz barków bolały Evanlyn nieznośnie od naprzemiennego wiosłowania i wylewania wody. Alyss tymczasem uparcie, nieustannie wiosłowała, toteż pomimo cierpkich komentarzy, jakich nie skąpiła, kiedy Evanlyn zdarzało się niechęć ją ochlapać, księżniczka żywiła coraz większy podziw dla siły, a również i wytrzymałości tej wysokiej dziewczyny. Alyss nie traciła energii, dzięki niej maleńka łódka wciąż parła naprzód przez fale.

- Przynajmniej - stwierdziła w pewnej chwili, miarkując zdanie, by nadal podczas wysiłku zachować równomierny rytm oddechu - dzięki temu wiatrowi łatwiej mi utrzymywać kierunek. Nie muszę ciągle spoglądać na kompas, bo przecież dopóki wieje z przodu i z lewej, wiadomo, że zmierzamy mniej więcej w kierunku wyspy.

- O ile wiatr nie zmienił tymczasem kierunku - zauważyła Evanlyn, wylewając zawartość czerpaka za burtę. Nastąpiło długie milczenie. W końcu Alyss odezwała się znowu:

- Do licha, o tym nie pomyślałam, lepiej sprawdźmy, co i jak. - Kayak zwolnił, wreszcie wyhamował. Powoli skręcił z wiatrem, bowiem Alyss zaprzestała wiosłowania. Odłożywszy wiosło, wydobyla kompas. Potrwało kilka chwil, nim jego igła się uspokoiła. Potem jednak Alyss stwierdziła z zadowoleniem:

- Nie, kierunek wiatru mamy wciąż ten sam, więc nie zboczyliśmy z kursu. Płyniemy dalej.

Evanlyn wykorzystała krótki postój, by niemal całkowicie opróżnić kadłub łódki z wody. Pochwyciła znów wiosło; wkrótce nadrobiły dystans, jaki straciły podczas przerwy. Ramiona paliły ją żywym ogniem. Postanowiła, że nie będzie już stękać i jęczeć, przygryzała od wewnątrz policzek, by powstrzymać się od wydawania jakichkolwiek głosów. Z opuszczoną głową wysuwała wiosło w przód, zanurzała je w wodzie, pociągała. Potem

podnosiła, przekręcając pióro niemal do poziomu, po czym wysuwała naprzód drugą stronę wiosła. Z każdym uderzeniem mięśnie barków oraz wewnętrznych części ramion przeszywał dotkliwy ból. Zawzięła się jednak, postanowiła, że nie przerwie wiosłowania, dopóty, dopóki nie uczyni tego Alyss. „Koniec jęków. Wiosłować, wiosłować i już”. Te słowa, choć ich nie wypowiedziała, zlały się w jeden rytm. Rytm, według którego pracowicie młóciła wodę, powtarzając sobie w myśli dwa krótkie zdania niczym dziwaczną mantrę.

Przynajmniej nie jest mi zimno - pomyślała. Co prawda, jej stopy i dłonie niemal zdrętwiały, lecz czuła strużki potu spływające po ciele. Wiosłowała nadal, byle tylko nie przestać, dopóki Alyss nie przestanie. Powoli zaczynało się ściemniać; blade, zimowe słońce zniżyło się nad horyzontem. Obszar widzenia Evanlyn zawęził się do ostrego dziobu kayaku i powierzchni wody, mającej teraz kolor grafitowy.

Nie jęczeć. Wiosłować, i tyle. I znów, i znów, i znów. Do przodu pociągnąć, wynurzyć, podnieść. Do przodu pociągnąć, wynurzyć, podnieść. Nienawidziła tego jeziora. Nienawidziła lodowatej wody. Nienawidziła wiosła. Nienawidziła kayaku. Nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z tą wyprawą. A nade wszystko nienawidziła Alyss.

- Jesteśmy na miejscu - odezwała się Alyss. - Wreszcie jesteśmy na miejscu!

Evanlyn miała ochotę ją ucałować. Podniosła głowę, ujrzała wyspę widniejącą przed nimi w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów. Wyspę większą, niż ta, na której nocowały poprzednio; nawet rosły na niej drzewa. Na tamtej zmieściło się zaledwie parę krzaczków.

Wyciągnęły łódkę na kamienistą plażę, a potem padły na ziemię, śmiertelnie zmęczone, jęcząc boleśnie. Po kilku minutach Alyss potrząsnęła Evanlyn, ujmując księżniczkę za ramię.

- Rusz się - powiedziała. - Musimy rozstawić namiot, zanim mięśnie nam zeszywnieją.

Dźwigając się z trudem, Evanlyn uznała, że przedwcześnie wybaczyła Alyss. Znów darzyła ją nienawiścią. Wiedziała jednak, że jej smukła towarzyszka ma rację. Choć padały ze zmęczenia, rozпалиły ognisko, postawiły namiot. Następnie przebrały się, zdejmując wilgotne, przesiąknięte potem odzienie. Opadły na posłania, owinęły się kocami, zbyt zmęczone, żeby jeść.

* * *

Przeciągłe, ponure wycie przedarło się przez mgłę znużenia, jakie ogarnęło śpiącą Evanlyn. Zbudziła się.

Czy ten złowrogi odgłos rozległ się blisko, czy daleko? Nie potrafiła stwierdzić.

Usłyszała go przecież przez sen. A zresztą, może w istocie to tylko sen? - pomyślała.

Lecz wycie znów się rozległo, nie miała już wątpliwości. Wycie całkiem rzeczywiste, w dodatku rozbrzmiewające nieopodal. Prawdę mówiąc, odniosła wrażenie, że stwór znajduje się kilka metrów za namiotem.

- Alyss? - odezwała się niepewnym głosem. Przecież takie wycie chyba każdego obudzi - pomyślała.

- Co to takiego?

- Sama chciałbym wiedzieć. Chyba wycie wilka. Czy na tej wyspie są wilki?

- No, z pewnością nie było to miauczenie kociaka. Wstajemy! - Alyss odrzuciła na bok koc, przykucnęła w niskim wejściu do namiotu, grzebiąc w rzeczach złożonych obok jej legowiska. Ognisko, które rozpały na zewnątrz, nim ułożyły się do snu, prawie już zgasło. Migotało jeszcze tylko kilka żółtych płomyków, rzucając dziwaczne cienie na ściany namiotu. Evanlyn usłyszała świst dobywanej klingi, ujrzała szablę w dłoni Alyss.

- Co chcesz zrobić?

- Wyjść i przekonać się, co to za hałasy - odparła Alyss.

Evanlyn pospiesznie wydostała się spod koca. Odnalazła w półmroku swoją własną szablę, naciągnęła buty - nie sznurując ich - po czym ruszyła za Alyss, która na czworakach wypełzła z namiotu.

- A niech to! - syknęła Alyss.

Evanlyn stanęła obok niej kilka sekund później. Również ujrzała szare kształty zgromadzone wokół obozowiska, na skraju kręgu światła rzucanego przez gasnący ogień.

- Wilki - stwierdziła Evanlyn. - Myślisz, że się na nas rzuca?

Alyss wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Ale chyba nie przyszły tu, by się z nami zaprzyjaźnić. Wygląda mi na to, że boją się ognia.

Zostało im już tylko trochę opału - kilka gałęzi, które zostawiły na rano, żeby rozpaść ognisko na nowo. Evanlyn rzuciła dwie z nich na żarzące się węgle. Przez chwilę jakby nic się nie działo. Potem pod wpływem żaru bijącego od węgla najpierw jedna, a następnie druga gałąź buchnęła płomieniami.

Przyglądające się w ciszy drapieźniki cofnęły się o kilka kroków. Alyss powiodła wzrokiem dookoła. Wilki czały się po stronie obozowiska przeciwnej do jeziora. Droga do kayaku oraz nad wodę pozostawała wolna.

- Do namiotu - zakomenderowała. - Bierz swoje rzeczy. Wracamy na łódź.

- Na łódź? Ale...?

Alyss przerwała jej:

- Oczywiście, możesz tu poczekać, aż ogień zgaśnie, wtedy się z pewnością przekonasz, jakie są zamiary wilków - stwierdziła. - Ja w każdym razie wypływam na jezioro, zamierzam przeczekać tam aż do rana.

- Czy wilki pływają? - spytała niepewnie Evanlyn, choć pomysł Alyss wydawał się jej jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

Alyss wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie tak prędko, jak ja wiosłuję, kiedy mnie coś wystraszy - odparła. - Zresztą, jeżeli któryś podpłynie, możemy dać mu w łeb wiosłem. A teraz rusz się wreszcie, chyba że masz lepszy pomysł.

Cofnęły się w stronę namiotu. Widząc to, wilki zbliżyły się nieco, choć nadal trzymały się poza kręgiem światła. Dziewczyny pospiesznie spakowały ubrania i sprzęt do tobołków, po czym znów wyszły na zewnątrz, dzierżąc w dłoniach obnażone szable. Przez krąg szarych obserwatorów przeszło głuche, gardłowe warczenie. Ognisko tymczasem znów przygasło.

- Nie odwracaj się do nich plecami - rzuciła Alyss. Ostrożnie wycofały się tyłem z obozowiska, kierując się w stronę kayaku. Dwa wilczyśka ruszyły bezgłośnie ich śladem. Alyss świsnęła szablą w powietrzu. Stał błysnęła w czerwonym świetle, rzucanym przez ognisko. Drapieżniki zatrzymały się. Dziewczęta cofały się wciąż, wilki podążały w pewnej odległości za nimi. Evanlyn pochwyciła lekko Alyss za połę kurtki. Spoglądając przez ramię, skierowała towarzyszkę w stronę kayaku.

- Ty ich pilnuj. Ja cię poprowadzę - zaproponowała.

Alyss mruknęła potakująco. Obawiała się, że wilki zechcą je okrążyć lub zająć z dwóch stron, aby zagrozić drogę do łódki. Jednak zwierzęta nie miały przecież pojęcia, do czego służy ten podłużny, wąski kształt. Dla tych bestii były niczym potencjalna zdobycz, dziwaczne stworzenia, którym drogę ucieczki odcinała woda.

Zatrzymały się, teraz również Alyss kątem oka dostrzegła kayak.

- Spuść go na wodę - poleciała. - I wsiadaj.

Evanlyn pchnęła, poruszyła łódkę, przesunęła ją po kamykach, następnie dalej, aż kayak zakołysał się na wodzie. Odepchnęła łódź kilka metrów od brzegu. Alyss krok za krokiem cofała się w jej stronę, wciąż grożąc obnażonym ostrzem dwóm postępującym za nią wilkom. Evanlyn schowała broń, obawiała się bowiem, że ostry sztych może uszkodzić delikatne poszycie łodzi, po czym niezdarnie siadła na swej ławeczce. Kayak zachybotał się gwałtownie, lecz teraz wiedziała już, jak się zachować. Rozluźniła się, odczekała, aż łódka się uspokoi. Odłożyła szablę na bok, sięgnęła po wiosło.

- Wsiadaj - zawołała.

Alyss ruszyła z pluskiem ku łodzi. Dwa wilki, które postępowały za nią, skoczyły od razu. Dopadły wody w kilku susach, lecz tam zatrzymały się, spoglądając niepewnie na boki. Alyss wciągała jeszcze nogi, kiedy Evanlyn zaczęła już wiosłować w tył, aby czym prędzej oddalić się od brzegu.

Jeden z wilków zadarł łeb w górę. Zawył, wyraźnie zawiedziony.

- Chyba chce przez to powiedzieć, że nie umie pływać - stwierdziła Alyss.

- Raczej, że nie mamy czego szukać na brzegu. Już tam nie wrócimy - odparła Evanlyn. Jednak Alyss potrząsnęła głową.

- Pójdą sobie, gdy nastanie świt - zapewniła. - A my musimy wrócić, tak czy inaczej, bo zostawiłyśmy namiot i resztę sprzętu. Myślę, że mogą co najwyżej zainteresować się naszymi zapasami żywności.

- No, pięknie - mruknęła Evanlyn.

Wiosłowały jeszcze przez chwilę, aż znalazły się w odległości stu metrów od brzegu, następnie rozejrzały się znów. Wiatr po zachodzie słońca ucichł. Teraz dmuchała tylko łagodna bryza, lecz i ona mogła odepchnąć je zbyt daleko od wyspy. Evanlyn przypomniało się coś, co widziała bardzo dawno temu, jeszcze kiedy razem z Willem znalazła się w niewoli, na pokładzie okrętu Eraka o nazwie „Wilczy wicher”. Przywiązała kawałek liny do czerpaka, wyrzuciła go za burtę; wkrótce wypełnił się wodą i zatonął, obciążając jednocześnie kayak.

- To się nazywa kotwica morska - wyjaśniła. - Dzięki niej nie odpłyniemy za daleko.

Zaimponowała Alyss.

- A mówiłaś, że nie masz zielonego pojęcia o łodziach.

- Nie przypominam sobie, żebym powiedziała coś takiego - odparła Evanlyn, marszcząc czoło.

Alyss machnęła ręką.

- Ach, nie? W takim razie pewnie ja to powiedziałam.

Kiedy nadszedł wreszcie świt, powiosłowały z powrotem w stronę plaży. Nie czuwały przez cały czas oczekiwania - na przemian zapadały w krótką drzemkę. Gdy znalazły się na brzegu, pozbierały sprzęt obozowy, rozrzucone przez wilki ubrania i koce - drapieżniki wyraźnie przeszukały dokładnie ich rzeczy, usiłując znaleźć coś nadającego się do zjedzenia. Dziewczyny natrafiły na rozdarty woreczek z ryżem, ziarna rozsypały się. Alyss i Evanlyn pozbierały je starannie. Wilków nigdzie nie dostrzegły.

Nie wątpiły jednak, że drapieżcy znajdują się gdzieś w pobliżu i obserwują je uważnie.

ROZDZIAŁ 39

Halt i Will przesuwali się ostrożnie po wąziutkiej skalnej półce. Ostrożność uzasadniona, bowiem skała była mokra i śliska, miejscami oblodzona. Pięćdziesiąt metrów pod nimi rozciągała się dolina, a właściwie wąwóz prowadzący do Ran-koshi.

Przed nimi zdążył Mikeru, nie zważając zupełnie na zięjącą po jego prawej stronie przepaść. Szedł swobodnie, chwilami prawie biegł, niekiedy skracał sobie drogę, przeskakując nad otchłanią z jednego skalnego występu na drugi. Wciąż spoglądał w tył, na nich, i zachęcał, by szli za nim.

- Jakby maszerował po gościńcu - zżymał się Halt.

Will zaśmiał się.

- Rzeczywiście - przyznał. - Ale przecież trudno się dziwić, skoro od dziecka skacze po skałach niczym kozica.

Choć Will także wspinał się od małego i obcy był mu lęk wysokości, nie potrafił dorównać Mikeru; młody Nihończyk wędrował niedostępną dla zwykłego śmiertelnika ścieżką ze zdumiewającą swobodą.

- Cóż, całe szczęście dla nas, że przychodzi mu to z taką łatwością. Dobrze się składa, iż natura pobłogosławiła go akurat wrodzonym wścibstwem.

Odkąd Mikeru udało się odnaleźć tajemny przesmyk, sekretne wyjście z Ran-koshi, chłopak całymi dniami buszował po okolicy, poszukując pośród urwistych stoków i skalnych szczelin nowych tajemnic, kolejnych ukrytych szlaków. Wieczorem poprzedniego dnia podszedł do Willa oraz Halta, którzy omawiali właśnie postępy w szkoleniu Kikorich. Wprost promieniał z dumy, zachwycony nowym odkryciem.

- Halto-san. Wirru-san. Znalazłem punkt obserwacyjny. Stamtąd widać ludzi Arisaki.

Nic dziwnego, że natychmiast wzbudził ich zainteresowanie. Odkąd odparli pierwszy atak senshich, nie byli w stanie zdobyć dalszych informacji, co do kolejnych posunięć Arisaki. Halt zamierzał nawet wysłać niewielki oddział rozpoznania owym sekretnym przejściem, pragnąc dowiedzieć się, jak przedstawiają się dalsze poczynania zbuntowanego wielmoży. Jak dotąd wzdrygał się, bowiem istniała obawa, że gdyby nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nieprzyjaciel zdołał pojmać lub choćby zauważyć wywiadowców, dowiedziałby się w ten sposób o istnieniu tajemnego przejścia.

Tymczasem pojawiła się szansa, by w inny sposób przekonać się o poczynaniach Arisaki. Jednak już się ściemniało, toteż odłożono wyprawę odkrytym przez Mikeru szlakiem na dzień następny.

Wyruszyli zaraz po śniadaniu; młody Kikori wprost nie mógł się doczekać. Spiesznym krokiem poprowadził ich do wschodniej ściany kanionu, po czym wskazał w górę.

- Tam jest droga. Trochę się trzeba wspiąć.

Powiadomili uprzednio o wyprawie Horace'a, który postanowił do nich dołączyć. Jednak teraz, na widok niemal pionowej i prawie gładkiej skalnej ściany, zmienił zdanie.

Z trudem dostrzegł wskazaną przez Mikeru skalną półkę prowadzącą jakieś dwadzieścia metrów nad ich głowami.

- Trochę? Ładne mi trochę - obruszył się. - Dziękuję, nie skorzystam. - Zamierzał odejść od urwiska, lecz Mikeru pochwycił go za ramię i rzekł z zachęcającym uśmiechem:

- To łatwa wspinaczka, *Kurokumo*. Dasz radę.

- Nie dam, nawet nie zamierzam próbować - oświadczył Horace i delikatnie wyswobodził się z uchwytu. - Do tego mamy zwiadowców. Wspinają się po pionowych ścianach oraz pełzają po wąskich, śliskich skalnych występach. Ja zaś jestem wykwalifikowanym wojownikiem, zbyt cennym, żebym narażał życie w takich łamańcach.

- Aha, to znaczy, że my nie jesteśmy cenni? - podsumował Will, udając oburzenie.

Horace zerknął na niego.

- Skąd znowu, nie to miałem na myśli. Ale was jest dwóch, więc jakby jeden skreślił kark, to zawsze zostaje nam ten drugi, zapasowy - odparł stanowczym tonem.

Tymczasem Mikeru wciąż rozważał sens poprzedniej kwestii Horace'a. Wyraźnie coś nie dawało mu spokoju.

- *Kurokumo*, co to są te „łamańce”?

- Najgroźniejsze czynności, jakim oddają się zwiadowcy. Zazwyczaj wiążą się one z ryzykiem gwałtownej śmierci lub przynajmniej połamania kończyn.

Mikeru skinął głową, odnotowując w pamięci nowe określenie.

- Podoba mi się to słowo, nie zapomnę go - oświadczył. - Łamańce. Tak, to dobre słowo.

- Może byśmy wreszcie zaczęli - wtrącił jadowitym tonem Halt. - Rzecz jasna, o ile skończyliście już lekcję języka obcego.

Horace pokłonił się kpiąco i wyciągnął zapraszającym gestem dłoń w stronę skalnego urwiska.

- Ależ proszę cię bardzo. Nie krępuj się.

* * *

Skalna półka ciągnęła się wzdłuż urwiska, prowadząc coraz wyżej i wyżej. Według oceny Willa, musieli się już znajdować w pobliżu ujścia doliny, jednak cały widok na płaskowyż zasłaniał im występ skalny przegradzający półkę. Widząc ich wahanie, Mikeru zawołał wesoło:

- Łatwizna! O, w ten sposób!

Przywarł do powierzchni skalnej, wyciągając prawą rękę. Mocno jednocześnie trzymał się lewą. Szukał przez kilka sekund, wreszcie najwyraźniej natrafił na uchwyt po drugiej stronie. W jednej chwili opuścił wążutką ścieżkę: jego lewa noga zwisała w próżni, a prawa sięgnęła za występ, gdzie odnalazła oparcie.

Następnie wsunął lewą stopę w wąską pionową szczelinę, przerzucił ciężar ciała na prawą stronę, a potem zniknął im z oczu. Usłyszeli jego głos, jak zwykle radosny:

- Łatwizna! Tutaj jest dużo miejsca! Chodźcie!

Halt i Will spojrzeli po sobie. Następnie Will powtórzył gest Horace'a:

- Niech piękno ustąpi przed wiekiem sędziwym - zacytował dworskiego poetę z Araluenu.

Starszy zwiadowca uniósł z lekka jedną brew.

- Chyba raczej: perły przed wieprze - odparował, po czym ruszył w ślady Mikeru.

Przez krótką chwilę szukał uchwytu, potem on także znikł po drugiej stronie, tak samo jak młody Kikori. Will przysunął się do występu. Zerknął w dół, ale przecież wiedział doskonale, że przepaść jest niegroźna - dopóki się w nią nie runie. Wiedział też, że jeśli jego poprzednicy zdołali tego dokonać, uda się i jemu. Od najmłodszych lat wspinał się na ściany, skały i drzewa, mało kto mógł się z nim równać w tym względzie. Wyciągnął rękę, sięgnął nią, jak mógł najdalej. Poczul czyjaś dłoń na swojej: pokierowała go aż do solidnego uchwytu w skale. Zsunął się ze skalnej półki, zawisł na rękach. Wyciągnął prawą nogę. Niemal natychmiast wyczuł oparcie dla niej, skalny załom nie płytszy niż pięć centymetrów. Przesunął więc lewą stopę, by wsunąć ją w tę samą pionową szczelinę, po czym mógł już przerzucić swój ciężar na drugą stronę występu, jak jego poprzednicy. Ujrzał ich na całkiem przestronnej platformie. Najwyraźniej została powiększona ręką ludzką, skały nosiły wyraźnie ślady kucia. Tak więc i wcześniej służyła za punkt obserwacyjny.

Przed sobą zaś, w dole, ujrzał obozowisko senshich.

Zmarszczył brwi.

- Tutaj może przebywać najwyżej stu pięćdziesięciu ludzi.

Jednak Halt wskazał na południe.

- Główne siły zatrzymały się tam.

Gdy Will spojrział w dal, ujrzał znacznie większy obóz, lecz ukryty pod drzewami, niemal dwa kilometry dalej. Między lasem, a ujściem doliny rozciągał się nagi płaskowyż, otwarta przestrzeń, po której hulał mroźny, górski wichur.

- Niezbyt przytulny zakątek sobie wybrali - zauważył Will, wskazując ruchem ręki mniejsze i większe obozowisko.

Halt skinął głową.

- Po cóż Arisaka miałby trzymać wszystkich ludzi, a zwłaszcza swą cenną osobę, w tak paskudnym miejscu? Zostawił tu oddział, który blokuje ujście doliny, sam zaś, z resztą żołnierzy, wybrał dogodniejszą pozycję.

Will przyglądał się z wielkim zainteresowaniem obozowi wyrosłemu u wejścia do doliny. Sprawiał raczej senne wrażenie, przechadzało się po nim niewielu ludzi. Ci, których mógł dostrzec, okutali się ciepłym odzieniem, okryli solidnymi futrami. Jak przypuszczał, większość schroniła się w namiotach; z pewnością doskwierał im dotkliwy chłód, buntowników dręczyła nuda wynikająca z bezczynności. Z każdym dniem jałowego czekania tracili ducha. Minęło już tak wiele czasu, że teraz z pewnością troszczyli się jedynie o wygodne schronienie oraz o to, by za wszelką cenę uniknąć lodowatego wiatru. To zaś znaczy, że ich czujność osłabła. Bądź co bądź, nikt w obozie Arisaki nie spodziewa się, by Shigeru zechciał opuścić bezpieczne schronienie w twierdzy - chyba, że próbowałby ucieczki. Jednak wystarczy kilku wartowników, by obserwować ujście doliny, ci zaś w razie potrzeby zawiadomią swoich towarzyszy. Zgromadzone tu wojska stanowiły jakby korek tkwiący w szyjce butelki; nie istniała możliwość, by cesarz wy dostał się niepostrzeżenie z ukrytej twierdzy, która stała się zarazem pułapką.

- Raczej niedogodna pozycja, nie uważasz? - odezwał się Will.

Halt spojrział w jego stronę.

- Ze względu na wiatr?

- Owszem, ale nie tylko. Także dlatego, że mogą stać się łatwym łupem dla kogoś, kto zechciałby ich zaatakować. Na przykład, dla nas.

Halt przez chwilę w milczeniu przyglądał się rozrzuconym po płaskowyżu namiotom. Will bez wątpienia miał rację. Mieszkańców obozu interesuje w tej chwili tylko jedno: żeby nie marznąć. Sądząc po tym, co Halt słyszał o Arisace, prawdopodobnie umieszczono tu żołnierzy, który ocaleli po ataku na palisadę, aby ich w ten sposób ukarać za poniesioną klęskę.

- Chcesz sprowadzić ludzi przesmykiem Mikeru? - spytał.

Młody Kikori rozpromienił się, słysząc swoje imię. Bardzo przypadło mu do gustu, iż posłużyło tak szybko do nazwania tajemnego przejścia. Liczył po trochu, że i to wskazane przezeń miejsce uzyska stosowne miano, na przykład „Czatowni Mikeru”.

- Tak - odpowiedział Will na pytanie Halta.

- Ujście przesmyku jest ukryte za tym występem skalnym, na którym stoimy. Nie będą patrzeć w tę stronę. Moglibyśmy sprowadzić ludzi na dół nocą, zebrać ich w miejscu znajdującym się poza zasięgiem wzroku strażników pilnujących obozu oraz doliny, a potem uderzyć, zanim się zorientują, że coś im grozi.

Słuchając Willa, Halt obserwował teren.

- Trzydziestu czy czterdziestu senshich zdoła im zadać dotkliwe straty - przyznał. - Zwłaszcza że zaskoczenie zapewni zdecydowaną przewagę.

Wielu z rannych żołnierzy Shigeru podreperowało już zdrowie na tyle, że odzyskali bojową sprawność. Czyli wystawienie oddziału w sile czterdziestu wojowników nie stanowiło problemu. Jednak Will potrząsnął głową, miał inny pomysł.

- Myślałem raczej o setce Kikorich - stwierdził. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Propozycja Willa nie zaskoczyła Halta. Wspominał co prawda o senshich, ale domyślał się, co Will zamierza. Pomysł był z pewnością dobry, lecz Halt nie omieszkął zgłosić kilku zastrzeżeń. Wciąż nie był pewien, czy jego dawny uczeń nie spieszy się zbytnio, powodowany chęcią wypróbowania taktyki, której uczył Kikorich.

- Nie zaznali jeszcze bitwy - zauważył. - A nawet najintensywniejsze szkolenie nie zastąpi praktyki.

- No, właśnie. Jeszcze jeden powód, żeby to uczynić - odparł Will. - Pojawia się doskonała okazja, dzięki której zyskają doświadczenie. Staną wobec przemarzniętego i zdemoralizowanego przeciwnika, który nie spodziewa się ataku. Mamy tu do czynienia tylko ze stu pięćdziesięcioma przeciwnikami. Nie z głównymi siłami Arisaki. Uderzymy mocno i szybko, a potem wycofamy Kikorich tajną drogą, podczas gdy nieprzyjaciele nadal będą zachodzić w głowę, co się właściwie stało. Jeśli plan się powiedzie, Kikori zyskają pewność siebie, wiążąc się w niepowtarzalną wspólnotę, jaką daje braterstwo broni.

- A jeżeli się nie uda? - zapytał Halt.

Will nie spuścił wzroku.

- Jeśli nie powiedzie nam się teraz, kiedy pod tyłoma względami dysponujemy przewagą, na wiosnę trzeba się spodziewać poważnych kłopotów, bo wówczas czeka nas sprawa z pięciokrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Za to, jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, utrzymamy Arisace nosa. I to aż do krwi, a w każdym razie uszczuplimy nieco liczebność jego

wojsk. Najważniejsze, że pokażemy Kikorim, iż są w stanie walczyć z senshimi. Że mogą ich pokonać. I o to przede wszystkim mi chodzi. Ich wiara w siebie może okazać się decydującym atutem, gdy przyjdzie do ostatecznego starcia.

- Uważam, że masz rację - powiedział Halt. - Kiedy chcesz przeprowadzić akcję?

- Najszybciej, jak tylko zdołam - stwierdził Will. - Nie ma co zwlekać. Kilka dodatkowych dni musztry nie na wiele się zda.

ROZDZIAŁ 40

Evanlyn, gdy podpływały ku brzegowi, spoglądała za burtę łódki. Przez krystalicznie czystą wodę widziała dno; zdawało się, że znajduje się na głębokości nie większej niż jakieś dwadzieścia centymetrów. Zdążyła się już jednak przekonać, jak mylnie potrafi być takie wrażenie. Trzeciego dnia, sądząc, iż znalazła się już na płyciźnie, wysiadła z łodzi i, ku swemu zaskoczeniu, wylądowała w wodzie po pas. Niemałym wysiłkiem utrzymała równowagę, mało brakowało, a runęłaby jak długa.

Ubranie wysuszyła przy ognisku. Od pamiętnego spotkania z wilkami, pilnowały skrzętnie, by ogień płonął całą noc i na zamianę pełniły warty. Spały przez to każdej nocy krócej, ale przynajmniej spały spokojnie, wiedząc, że towarzyszka czuwa, a ogień nie zagaśnie aż po świt.

Czy z powodu blasku płomieni, czy z innej przyczyny, wszystkie kolejne noce upłynęły już bez problemów.

Niewykluczone - uznała Evanlyn - że to z tej prostej racji, iż na pozostałych wysepkach wilki się nie osiedliły.

Nauczona niemiłym doświadczeniem, wymacała dno wiosłem; przekonała się, że tym razem woda sięgnie zaledwie po kolana. Przerzuciła więc śmiało nogi za burtę, szybko wstała, a potem skierowała dziób kayaku w stronę kamienistej plaży. Nauczyły się, że łódeczkę należy opuścić, nim jej dno zetknie się z lądem. Trzeciego wieczoru, kiedy dziób zaszurał o piasek i kamienie przy brzegu, płócienne poszycie rozdarło się.

Alyss przyglądała się, jak Evanlyn przyszywa łatę sporządzoną z zapasowego kawałka nasączonego olejem płótna, a potem pokrywa brzegi łaty roztopionym woskiem, aby ją uszczelnić.

- Pięknie - rzekła z uznaniem.

Evanlyn zaśmiała się i potrząsnęła wojowniczo igłą w powietrzu.

- Przecież wypada, żeby królowna potrafiła szyć, haftować i tak dalej - odpowiedziała.

- Psiakrew, nigdy nie sądziłam, że to mi się kiedykolwiek w życiu przyda.

Alyss przyglądała się uważnie następczyni tronu, gdy ta zbadała najpierw grunt, a potem wysiadła z łódki. Choć niechętnie, musiała przyznać, że podziwia księżniczkę za jej umiejętność przystosowywania się do okoliczności i za to, jak szybko się uczy. Alyss nawet

w najmniejszym stopniu nie oszczędzała królowny, kiedy ta usiłowała opanować sztukę obchodzenia się z małą łódką. Przeciwnie, traktowała Evanlyn dość bezwzględnie. Wynikało to po części z pewnej niechęci, której Alyss nie potrafiła się do końca wyzbyć, przede wszystkim jednak postawa kurierki wynikała z całkiem racjonalnych przesłanek.

Alyss wiedziała od Willa i lady Pauline, a także z własnych obserwacji, że Evanlyn, choć dzielna i sprytna, zdradza też skłonności do humorów i bywa kapryśna. Zapewne nic w tym dziwnego, skoro od małości wychowała się na królewskim dworze jako księżniczka, zawsze otoczona całymi tłumami dworaków, gotowych spełnić każdą jej zachciankę. Owszem, tylko że podczas tej wyprawy nie ma sług ani osób uprzywilejowanych. Alyss przeczuwała, że gdyby okazała współczucie Evanlyn z powodu obolałych mięśni, czy też zbyła śmiechem jej niezdarne wysiłki wioślarskie, królowna mogłaby to wykorzystać, wpadając znów w rolę osoby przez wszystkich obsługiwanej i rozpieszczanej. Tymczasem zjadliwe „wielkie dzięki ci za to” Alyss, powtarzane po każdym błędzie popełnionym przez Evanlyn, działało jak ostroga, skłaniało Evanlyn, by zawziąć się i pokazać, że potrafi lepiej, żeby starać się i wkładać w starania wszystkie siły, żeby udowodnić towarzysze wędrówki, iż królewski rodowód nie ma tu nic do rzeczy, że i ona potrafi się wykazać, że nie zawiedzie.

Pograżona w tych rozmyślaniach Alyss zagapiła się i omal nie zapomniała opuścić łódki we właściwym czasie. Wiedziała doskonale, iż nie uszłoby jej to na sucho, bowiem Evanlyn wprost marzyła, żeby móc odciąć się i odpłacić pięknym za nadobne. Aby więc uniknąć kąśliwego rewanzu, Alyss pospiesznie przerzuciła nogi przez burłę, po czym pomogła księżniczce podnieść łódź i wynieść ją dalej na brzeg.

Stanąwszy na ziemi, obie przeciągnęły się, by ulżyć napiętym mięśniom grzbietowym. Alyss postąpiła kilka kroków w głąb łądu, rozejrzała się po wąskiej plaży, którą zamykała ściana gęstego lasu.

- A więc tak to wygląda - stwierdziła.

Dotarły wreszcie do przeciwległego brzegu wielkiego jeziora. Znalazły się teraz w prowincji, gdzie pan Nimatsu władał tajemniczym, legendarnym ludem Hasanu. Tutaj ziemię również pokrywał śnieg, lecz nie taką warstwą, jak w Ran-koshi. Obszar ten osłonięty był górami przed wiatrem wiejącym od oceanu, naganiającym złą pogodę na łańcuchy górskie, które pozostawiły za sobą. Tutaj, pod osłoną tych samych gór, wiatr wiał łagodniej, szumiąc pośród gałęzi iglastych drzew wznoszących się nad głowami dziewcząt.

- Zupełnie, jakby tu nikogo nie było - rzekła cicho Evanlyn.

- No, właśnie. „Jakby”. Co wcale nie znaczy, że nikogo tu nie ma.

- Oczywiście.

Evanlyn ogarniał coraz większy niepokój, gdy tak stała na cichej i zapewne jednak bezludnej plaży. Wypytywały obie Shigeru oraz jego doradców o Hasanu, lecz nie dowiedziały się wiele. Niektórzy twierdzili, że Hasanu należą do niedobitków prastarej rasy, pół ludzi, pół małp egzystujących na tym odcięty od świata terytorium, ocalałych przed jakąś prehistoryczną zagładą. Jeszcze groźniej brzmiały ludowe podania, według których Hasanu to po prostu duchy drzewne czy leśne, które pan Nimatsu, jako czarownik parający się magią, podporządkował swojej woli.

Usłyszały przy tej okazji najrozmaitsze sprzeczne pogłoski. Niektórzy twierdzili, że Hasanu są lękliwi i unikają kontaktu z obcymi, tymczasem inni zapewniali, że to groźni, bezlitośni zabójcy. Dawne legendy zdawały się to potwierdzać: w licznych opowieściach Hasanu występowali jako niezwykle groźni wojownicy. Powiadano, że nikt nigdy nie zdołał ich pokonać. Rzecz jasna, podania tego rodzaju krążyły już od stuleci, natomiast nikt na własne oczy ani jednego Hasanu nie widział, nikt nie znał też nikogo, kto mógłby o sobie powiedzieć, że miał osobiście z nimi do czynienia. Co prawda, niektórzy twierdzili, że znają kogoś, kto rozmawiał dawno temu z kimś jeszcze innym... i ten ktoś właśnie jednego z Hasanu w swoim czasie spotkał.

Po tych długich i niewiele do tematu wnoszących opowieściach, Shigeru odprawił doradców, po czym spokojnie, rzeczowo wyznał dziewczętom, co sądzi o tajemniczym plemienu.

- Wiele się mówi o Hasanu - stwierdził. - I wiele w gadaniu przesady. Powiem wam, co o nich wiem, pomijając plotki, zabobony oraz zwykłe zmyślenia. Otóż słyszałem, iż to rasa ludzi rosnących i bardzo silnych. Ci, którzy w przeszłości miewali z nimi do czynienia, przekazują, iż całe ich ciało porastają dość długie, rude włosy. Niewykluczone. Żyją w mroźnym klimacie, tak więc, być może, ich ciała przystosowały się w ten sposób do ciężkich warunków. Przede wszystkim jednak wiem, zresztą w tym względzie zgadzają się wszystkie legendy oraz przekazy, iż są to wojownicy nieustraszeni w bitwie, przy tym wielce lojalni wobec swego suwerena. Obecnie jest nim pan Nimatsu. Odznaczają się zatem cechami pozwalającymi domyślać się szlachetnego charakteru, to zaś przeczy pogłoskom, jakoby Hasanu krwiożerczo zachowywali się wobec cudzoziemców. Odwaga i lojalność nie idą w parze z napastliwością oraz okrucieństwem.

Pan Nimatsu po wielokroć potwierdzał, iż opowiada się po mojej stronie. I tego, moim zdaniem, powinniście się trzymać podczas rozmów z Hasanu. Skoro są tak lojalni wobec Nimatsu, powinni czuć się zobowiązani do lojalności wobec mnie - a przynajmniej wobec osoby cesarza jako najwyższego władcy. Kiedy znajdziecie się w zarządzanej przez Nimatsu

provincji, okażcie cierpliwość. Zaczekajcie, aż Hasanu nawiązą z wami kontakt. Z pewnością to uczynią, a jeśli ich poprosicie, bez wątpienia przekażą Nimatsu wiadomość o was. Kiedy on się dowie, że działacie w moim imieniu, będziecie bezpieczne.

Shigeru zsunął sygnet z palca, podał lśniący przedmiot Evanlyn.

- Weź ten pierścień. Kiedy Nimatsu go zobaczy, przekona się, iż przybywacie ode mnie. Potem zaś liczę na twoją wymowność, Evanlyn-san; mam nadzieję, że zdołasz go przekonać, by zechciał nam pomóc. Rzecz jasna, dam ci też list do niego. Jednak z mojego doświadczenia wynika, iż w takich chwilach żywe słowo oraz osobowość posłańca odgrywa kluczową rolę.

Evanlyn wsunęła pierścień na palec wskazujący.

- Żałuję, iż nie potrafię służyć wam radą w szerszym zakresie - rzekł Shigeru i westchnął ciężko. - Cóż, powodzenie tej misji w wielkiej mierze zależeć będzie od waszej zaradności oraz pomysłowości. - Po czym dodał z uśmiechem: - Nie potrafię jednak sobie wyobrazić, by ktoś lepiej od was zdołał wywiązać się z posłannictwa.

* * *

- Ha - odezwała się Alyss, spoglądając na milczące drzewa. - I jak teraz znajdziemy Hasanu?

- Tym się nie przejmuj. Pamiętaj, co mówił Shigeru? To oni nas odnajdą.

Rozpakowały rzeczy wyjęte z kayaku, zabrały się do urządzania obozowiska. Alyss rozstawiła ich namiocik, tymczasem Evanlyn zebrała kamienie na palenisko, a potem spory zapas chrustu. Posługiwała się przy tym długim nożem, saksą otrzymaną wiele lat wcześniej od Halta. Operując saksą nie gorzej niż toporkiem, rąbała długą, suchą gałąź na krótsze kawałki, odpowiednie do ogniska. Nagle poczuła czyjeś spojrzenie.

Gdzieś w cieniu drzew krył się ktoś, kto się jej się przyglądał. Była tego pewna. Przerwała na krótką chwilę, potem zajęła się znów pracą, powstrzymując wysiłkiem woli naturalny odruch, by obejrzeć się i spróbować wypatrzeć obserwatora. Zerknęła z ukosa na Alyss, by sprawdzić, czy jej towarzyszka również to spostrzegła. Chyba jednak nie. Smukła kurierka poprawiała linki namiotu, sprawdzając, czy płótno naciąga się równo.

Evanlyn, pozbierawszy chrust, niespiesznym krokiem wróciła do obozowiska. Złożyła drwa obok kamiennego kręgu przeznaczonego na ognisko.

- Obserwują nas - rzekła cicho.

Alyss zamarła tylko na ułamek sekundy, po czym pociągnęła jeszcze raz za linkę. Otrzepała dłonie, zadowolona z rezultatu. Zbliżyła się do Evanlyn, aby pomóc jej rozdzielić drobniejsze gałązki na podpałkę od grubszych polan. Przyklękła obok towarzyszki i spytała:

- Widziałas kogoś?

- Nie. Ale nagle poczułam na sobie czyjś wzrok. Tylko wrażenie, nic więcej. Ale jestem pewna, że ktoś tam jest.

Prawdę mówiąc, spodziewała się ze strony kurierki jakiejś ciętej riposty. Jednak Alyss nigdy nie lekceważyła przeczuć ani intuicji.

- W takim razie zachowujmy się, jak gdybyśmy o niczym nie wiedziały - zaproponowała. - Zaparzmy sobie herbaty. Musimy zachowywać się naturalnie.

Evanlyn zauważyła, iż Alyss zerknęła jednak przy tym w stronę swojego tobołka spoczywającego u wejścia do namiotu: na wierzchu leżała jej szabla.

Wkrótce siedziały naprzeciwko siebie przy ognisku, sącząc rozgrzewającą herbatę. Alyss usadowiła się twarzą do jeziora, pozostawiając Evanlyn obserwację leśnej gęstwiny za swoimi plecami. Skoro to Evanlyn wyczuła obecność obserwatora - uznała - istnieje większe prawdopodobieństwo, że właśnie ona zdoła tego kogoś zauważyć. O ile rzeczywiście to ktoś, a nie coś - poprawiła się w myśli.

Popijając drobnymi łyżkami herbatę, Evanlyn strzelała oczami na wszystkie strony, pilnując się jednak, by nie poruszyć głową. Ktoś, kto obserwowałby ją z odległości kilku metrów, nie miałby podstaw, by domyślać się, iż dziewczyna przeszukuje wzrokiem teren.

Po chwili odetchnęła z zadowoleniem i odstawiła kubek.

- Coś się poruszyło - rzuciła niedbałym tonem.

Jej uwagę zwrócił cień, który płynnym, błyskawicznym ruchem przesunął się z miejsca na miejsce. Opanowała naturalny odruch, by odwrócić się w tamtą stronę, choć nie przyszło jej to z łatwością.

- Widzisz go teraz? - spytała Alyss, utrzymując ten sam pogodny ton rozmowy.

- Nie. Zniknął. Zaczekaj... Znów się porusza. Nie dostrzegam żadnych szczegółów. Tylko ruch w paprociach pod drzewami... Hm, kimkolwiek jest, zbliżył się teraz do krawędzi lasu.

Czekały w napięciu. Jednak niczego więcej nie udało się wypatrzeć.

- Chyba sobie poszedł - stwierdziła Evanlyn po paru minutach.

Alyss wzruszyła ramionami.

- Albo po prostu się nie porusza, tylko się na nas gapi. Słuchaj, nie możemy tak siedzieć przez cały dzień. Masz jakiś pomysł?

Evanlyn wstała, starając się unikać gwałtownych ruchów. Podeszła do swojego tobołka. Grzebała w nim przez chwilę, nim znalazła to, czego szukała: niewielkie zawiniątko z nasączonego tłuszczem papieru, a w nim przysmak, który jakimś sposobem nie dostał się

kilka dni wcześniej do wilczych paszczy. Wewnątrz znajdowały się kawałki kandyzowanych owoców - jabłek i moreli. Były to ulubione łakocie Kikorich, a Evanlyn również przypadły do gustu. Zostało jej jeszcze około tuzina kawałków. Miała nadzieję, że tyle wystarczy. Wróciła do przyglądającej się ciekawie Alyss.

- Przyszło mi coś na myśl - stwierdziła. - Nasz niewidoczny przyjaciel może chętniej się pokaże, jeśli będzie miał do czynienia z jedną osobą, nie z dwiema.

Spostrzegła, że Alyss zamierza zaprotestować, toteż uniosła dłoń.

- Nie, zaczekaj! Daj mi powiedzieć do końca. Proponuję, żebyś wzięła kayak i odpłynęła kilkadziesiąt metrów od brzegu. Ja zostanę tutaj, tylko bliżej drzew, a wtedy zobaczymy, czy Hasanu zechcą nawiązać z nami kontakt. - Potrząsnęła pakunczkiem z kandyzowanymi owocami. - Posłużę się tym dla podtrzymania rozmowy.

Alyss zastanowiła się.

- Może to i dobry pomysł. W różnych opowieściach przewijały się wzmianki, że Hasanu przepadają za słodyczami.

- Otóż to, mamy więc przynętę. Zastanów się: jeżeli odpłyniesz, chociaż pozostaniesz w zasięgu wzroku, a ja siądę bliżej, powinni chyba zrozumieć, no nie? Dajemy wyraźny sygnał, że chcemy nawiązać z nimi kontakt. Bardzo możliwe, że nasz ukryty pośród drzew przyjaciel nabierze odwagi; że to go zachęci, by wyjść na otwartą przestrzeń.

- Chyba że uzna nasze działania za sygnał, by rozszarpać cię na strzępy - zauważyła Alyss.

Evanlyn skrzywiła się.

- Owszem, tutaj rzeczywiście dostrzegam słaby punkt mojego planu. I mnie perspektywa rozszarpania nie zachwyca. Jednak myślę, że musimy zaryzykować. Mam nadzieję, że w ten sposób uda się trochę przyspieszyć bieg wydarzeń. W przeciwnym wypadku może się okazać, że czekają nas całe tygodnie wyczekiwania. No, a poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy - dodała. - Jeśli zamierzają rozerwać mnie na strzępy, twoja obecność jakoś szczególnie im nie przeszkodzi.

- Cóż, dzięki za zaufanie - odpowiedziała Alyss. - Musisz zdać sobie sprawę, w jakiej sytuacji mnie stawiasz. Strasznie głupio mi będzie, kiedy wrócę do Araluenu i będę musiała wyznać twojemu ojcu, że pożarł cię nihoński potwór. To może zaszkodzić mojej dalszej karierze.

Evanlyn wyczuła, iż Alyss kpiącą uwagą pragnie jej dodać ducha, więc zdobyła się na błady uśmiech.

- Hmm, postaram się mieć na uwadze twoją przyszłość. Ale teraz się zbieraj.

Alyss wstała, wzięła szablę, manierkę z wodą oraz kilka kawałków pieczonego królika, którego Evanlyn upolowała poprzedniego dnia za pomocą procy. Ruszyła w stronę łódki. Evanlyn poszła za nią. Wyjęły wiosło Evanlyn - którego Alyss przecież nie będzie potrzebować - po czym księżniczka pomogła towarzyszyce znieść kayak i spławić go na wody jeziora. Zaraz potem kurierka zasiadła z gracją na swoim miejscu, kilkoma pociągnięciami wiosła wprowadziła łódkę w ruch. Spojrzała przez ramię na stojącą u brzegu Evanlyn.

- Uważaj na siebie - zawołała.

Evanlyn pomachała jej w odpowiedzi ręką.

- No, pewnie - rzuciła beztróskim tonem. Odwróciła się, ruszyła po wąskiej plaży w głąb łądu.

Znalazła leżący na skraju lasu pień, na którym mogła usiąść wygodnie i czekać. Usadowiła się, potem wyjęła paczuszkę z kandyzowanymi owocami, rozłożyła kilka kawałków na pniu obok siebie.

Wzięła jeden, wsunęła łąkoć do ust. Poczowała słodki i cierpki zarazem smak. Westchnęła z przesadnym zachwytem, mlasnęła kilka razy głośno, aby dać do zrozumienia, jak smakowity to kąsek.

Czekała.

Zdawało jej się, że trwało to całą wieczność, choć w rzeczywistości minęły tylko dwie czy trzy minuty. Jej wyczulony słuch łowił najdrobniejsze odgłosy. Bez wątpienia w paprociach z tyłu, za nią, po lewej stronie - dał się słyszeć jakiś szelest. Czekała w napięciu, wciąż nasłuchując.

Czyżby to znowu szelest? Rozległ się chyba bliżej niż poprzednio. A może słyszała tylko wiatr? Spojrzała na prawo, obserwując uważnie liście paproci. Nie poruszały się. A więc to nie powiew wiatru.

Znowu! Poczowała mrowienie na karku i gęsią skórę na przedramionach. Coś szurało za nią, zbliżało się. Każdy nerw jej ciała nawoływał gorączkowo, nakazywał, by zerwała się na równe nogi, odwróciła i sprawdziła, co to takiego. Oczekiwanie z każdą chwilą stawało się coraz trudniejsze do zniesienia.

Jednak jakoś to zniosła. Z niejakim trudem przełknęła kawałek owocu, chyba cudem przeszedł przez jej zaschnięte nagle gardło.

- Mniam - rzekła uszczęśliwionym tonem. - Pyszności! Wetknęła do ust następny kawałek, znów wydała okrzyk zachwyty, a potem, jakby przyszło jej coś na myśl, sięgnęła po kolejny kawałek i położyła pół metra dalej, a następnie wskazała go dłonią.

- To dla ciebie - oznajmiła, po czym powtórzyła trochę głośniejszym głosem: - Dla ciebie!

Z całą pewnością w tyle za nią ktoś się krył. Nie miała już co do tego żadnych wątpliwości. Jakaś duża istota znajdowała się w odległości nie większej niż dwa metry. Nie wiedziała tylko, jak duża jest ta istota. Nie zdołała dosłyszeć kroków, wyłowiła uchem jedynie nieznaczny szelest liści, gałązek. Wyczuwała jednak obecność, jakby tamta istota emanowała jakąś tajemniczą energią.

Zdała sobie sprawę, że niemal przestała oddychać. Serce Evanlyn biło tak mocno i tak głośno, że tamten ktoś chyba nie mógł tego nie słyszeć.

Aby zagłuszyć ten odgłos, zaczęła śpiewać. Zaintonowała piosenkę z repertuaru Willa, słyszała po wielokroć, jak śpiewał ją przy wtórze mandoli:

*Patrzcie, jak tańczy Annalie,
Gdy promień słońca na nią padł,
Świat cały wokół jakby zbladł.
Czy już jej kiedyś nie widziałem?
Czy ja już w niej się nie kochałem?*

Jej głos drżał lekko, z trudem powtarzała tak dobrze sobie przecież znaną melodię.

Słysząc, jak się boję - pomyślała. Choć może ten... Kimkolwiek jest... pomyśli po prostu, że kiepsko śpiewam.

Zaczerpnęła tchu, by odśpiewać następną zwrotkę, jednak zabrakło jej słów. Kątem oka dostrzegła ruch.

Wysunęła się wielka dłoń o palcach zakończonych paznokciami przypominającymi szpony, porośnięta gęstym, rudym włosiem. Wysunęła się i schwyciła kawałek słodkiej moreli.

ROZDZIAŁ 41

Wojownicy wybrani do szturmowego *hyaku* maszerowali po polu ćwiczebnym w dwóch oddziałach, liczących po pięćdziesiąt osób każdy. Uformowani w trzy rozciągnięte szeregi, Kikori prezentowali się imponująco. Słabe światło słońca lśniło na wypolerowanych grotach dzirytów, żelaznych okuciach wielkich tarcz i skórzanych hełmów. Stali w równych, jakby nakreślonych od linii szeregach przed Willem, Horace'em, Haltem oraz Selethenem. Horace i Selethen mieli dowodzić pięćdziesięcioosobowymi oddziałami - czyli *goju*, jak nazwali tę formację. Will i Halt trzymali się nieco w tyle, mieli bowiem dowodzić całością operacji, choć Halt postanowił powierzyć ten obowiązek swojemu dawnemu uczniowi.

- To twoi ludzie - stwierdził. - Pod twoim kierunkiem się szkolili, a ponadto zasługują przecież, by do boju poprowadził ich dowódca, którego znają i któremu ufają.

Will skinął nerwowo głową. Wiedział, że Halt ma rację. A jednak z ulgą myślał, że doświadczony siwobrody zwiadowca stanie u jego boku, służąc pomocą w razie potrzeby. Spojrzał na oczekującego komend Horace'a, skinął głową. Młody rycerz zaczerpnął tchu, po czym rzucił rozkaz, który poniósł się echem pośród skał.

- *Hyaku!*

Wojownicy stali dotąd w pozycji „spocznij”, z szeroko rozstawionymi stopami, opierając o ziemię trzymane w wyprostowanych rękach drzewca dzirytów. Na rzuconą komendę złączyli stopy; dziiryty wyprostowały się do pionu.

- Szyk otwarty! - zawołał Horace. Pierwszy szereg postąpił dwa kroki przed siebie. Tylny cofnął się, także o dwa. Między trzema rzędami Kikorich powstały dwumetrowe odstępy, tak by mogli przejść między nimi dowódcy i dokonać inspekcji.

Horace i Selethen ruszyli wzdłuż szeregów swoich *goju* szybkim krokiem, sprawdzając wyposażenie: czy w przypominającej kołczan pochwie u prawego boku każdego z mężczyzn znajdują się po trzy ostrza, przeznaczone do dźgania nieprzyjaciela? Czy pasy służące do dźwigania tarcz nie przetały się lub nie poluzowały; sprawdzali groty dzirytów - czy umocowano je solidnie i czy lśnią od niedawnego ostrzenia.

- Chyba wszystko w porządku - stwierdził półgłosem Halt.

Horace i Selethen przebyli już połowę drogi, a jak dotąd, żaden się nawet nie zatrzymał, co znaczyło, że wszyscy Kikori zadbali należycie o sprzęt. Najwyraźniej przegląd

wypadał pomyślnie. Horace zatrzymał się tylko raz, aby wyrównać skórzany hełm jednego ze swoich żołnierzy i zaciągnąć porządniej mocujący rzemień, jednak poza tym wszystko prezentowało się bez zarzutu.

Kikori niewątpliwie stanęli na wysokości zadania, toteż Will poczuł przyływ dumy. Przecież jeszcze tak niedawno byli zwykłymi drwalami i cieślami. A teraz przerodzili się w żołnierzy, żołnierzy dumnych ze swych nowo nabytych umiejętności oraz z tego, że mogą służyć cesarzowi.

- Wojska po przeglądzie gotowe - zameldował Horace.

Will skinął głową.

- Horace, rozkaz do zwarcia szyku, a potem spoczniij.

Rosły wojownik wydał polecenia. Przedni i tylny szereg powróciły na swe poprzednie pozycje. Jak jeden mąż postąpili w przód i w tył, setka lśniących grotów pochyliła się ku przodowi.

Will podszedł bliżej do szeregów, aby lepiej go słyszeli. Spoglądał na twarze pod skórzanymi, okutymi żelazem hełmami. Widniała na nich złowroga determinacja. Jednak dostrzegł też coś więcej: w oczach wielu wojowników ujrzał błysk podniecenia, wyczekiwania. I, co stwierdził ku swemu zadowoleniu, ani śladu lęku czy choćby zaniepokojenia.

- *Goju Kuma! Goju Taka!* - zawołał; teraz spojrzenia wszystkich skierowały się na niego. Nazwy obu *goju* pochodziły od ich dowódców. *Goju Kuma* to „Pięćdziesiątka Niedźwiedzia”. Półsetka oddana pod rozkazy Horace'a, którego już teraz wszyscy nazywali *Kurokumą*. Także Selethen zyskał sobie nihoński przydomek, mianowicie *Taka*, czyli „Jastrząb” - stąd *Goju Taka*. Jak przypuszczał Will, swe przezwisko arydzki wojownik zawdzięczał haczykowatemu kształtowi nosa, przypominającemu nieco dziób drapieżnego ptaszyska.

- Jutro wasza ciężka praca przyniesie owoce - mówił dalej. - Jutro jest ten dzień, kiedy waszymi rękami cesarz zada pierwszy cios zdrajcy Arisace!

Na dźwięk imienia znienawidzonego renegata przez szeregi wojowników przeszedł groźny pomruk.

- Pamiętajcie, czego się nauczyliście, pamiętajcie, co ćwiczyliśmy. Jeśli będziecie pamiętać, odniesiecie wielkie zwycięstwo dla swego cesarza. Ale by tak się stało, musicie pamiętać! A teraz rozejrzyjcie się wokół. Spójrzcie na tych, co stoją obok was i za wami! Przyjrzyjcie się ich twarzom.

Umilkł; setka głów poruszyła się, spotkały się spojrzenia. Gdy znieruchomiały, podjął

przemówienie:

- Ci ludzie to wasi towarzysze broni. Są waszymi braćmi. Walczycie razem. Możecie im zaufać, możecie mieć pewność, że stawać będą ramię w ramię z wami. Ci ludzie wiedzą, że mogą wam zaufać, że nie zawiedziecie ich w potrzebie. Okażcie się godni tego zaufania! - Znów szeregi odpowiedziały pomrukiem, tym razem potakującym. Will uznał, że rzekł już dość. Po co tracić czas na długie i kwieciste przemówienia, jakie często wygłaszają dowódcy? Najczęściej to tylko puste słowa, służące jedynie temu, by mówca w swym własnym mniemaniu przydał sobie znaczenia. Will tymczasem pragnął przypomnieć im jeszcze tylko jedno:

- Żołnierze! Kikori! - wykrzyknął. - Jak walczymy?

W odpowiedzi rozległ się zgodny, gromki okrzyk:

- *Issho ni!* - wybrzmiała odpowiedź. - Razem!

- Jak walczymy? - powtórzył pytanie głośniejszym głosem, a odpowiedział mu okrzyk jeszcze donioślejszy niż poprzednio:

- *Issho ni!*

- Jak? - spytał jeszcze raz, a wówczas dolina zagrziała od ich odzewu:

- *Issho ni!*

Powodowany impulsem, Will dobył długiego noża i potrząsnął nim nad głową. Oba *goju* odpowiedziały, unosząc w górę dziury, a następnie uderzając ich drzewcami o zamrażającą ziemię, czemu towarzyszył, głuchy, dudniący łoskot.

Z tyłu za Willem, odezwał się głęboki, dojmujący głos, który zawołał tylko jedno słowo:

- *Chocho!*

Stu zgromadzonych przed nim żołnierzy odpowiedziało natychmiast, powtarzając okrzyk, który przerodził się w skandowanie.

- *Chocho! Chocho! Chocho!*

Zaskoczony i trochę zmieszany, Will odwrócił się. Ujrzał Shigeru, który podszedł doń podczas wygłaszanej przemowy. Cesarz odziany był w pełną zbroję, lecz nie miał na głowie hełmu. Za pas zatknął dwa miecze, ich długie rękojeści sterczały przed nim jak kły groźnej bestii. Shigeru nadal przewodził skandowaniu, oparłszy dłoń o ramię Willa.

- *Chocho! Chocho! Chocho!* - rozbrzmiewały okrzyki dobywające się z setki gardzieli. Will uzmysłowił sobie, że w jakiś sposób tyczy się to jego osoby. Potem Shigeru uniósł dłoń, by uciszyć Kikorich. Okrzyki stopniowo umilkły. Will cofnął się i pokłonił cesarzowi. Zrozumiał, że teraz Shigeru chce przemówić do swego wojska. Will zbliżył się do Horace'a.

Przyjaciół powitał go szerokim uśmiechem.

- O co chodzi z tym *Chocho*? - spytał szeptem Will.

Horace uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- *Chocho* to ty. Tak nazywają cię ludzie - oświadczył. A następnie dodał: - Określenie świadczące o wielkim szacunku, jakim cię darzą.

Stojący za nimi Halt potwierdził:

- Bardzo wielkim szacunku - rzekł. W kącikach jego ust dostrzec można było coś na kształt uśmiechu. Will zanotował w pamięci, by jak najprędzej poznać znaczenie tego słowa. Jednak teraz nie miał czasu na takie rozważania, bowiem Shigeru rozpoczął przemowę:

- Kikori, dumny jestem, że staliście się moimi żołnierzami. Dumą napawa mnie wasze poświęcenie, odwaga i lojalność. Wasz cesarz wyraża wam swoją wdzięczność!

Na terenie ćwiczebnym zapanowała cisza. Byli zwykłymi chłopami, drwalami, cieślami, o których istnieniu do niedawna cesarz miał zaledwie mgliste pojęcie. Przebywał w innym świecie, innej rzeczywistości. Teraz jednak żył pośród nich i zwracał się do nich bezpośrednio, okazując im wielki szacunek. Przemawiał prostymi słowami, lecz słyhać w nich było niekłamana szczerość, toteż Kikori czuli, iż serce rośnie w nich z dumy. Gotowi byli umrzeć dla tego człowieka. Shigeru wyczuł to, mówił dalej:

- Żołnierze! Wiem, że gotowi jesteście ponieść śmierć w mojej służbie.

Odpowiedzią był gromki okrzyk, a cesarz natychmiast uniósł obie dłonie, by go uciszyć.

- Ale ja tego nie chcę! - zawołał, przekrzykując wszystkich.

Krzyki umilkły, na twarzach żołnierzy odmalowało się zdumienie.

- Bowiem chcę, żebyście żyli na mojej służbie! - zawołał.

Pojęli teraz, więc tym burzliwiej i donośniej wyrazili swe uwielbienie dla niego. Gdy wiwaty ucichły, cesarz odezwał się znowu:

- *Chocho* nauczył was nowego sposobu walki. Wpoił wam zasadę *Issho ni* Jeśli pozostaniecie wierni tej zasadzie, odniesiecie wielkie zwycięstwo. - Umilkł na chwilę. - A ja ujrzę je na własne oczy! Idę z wami!

Rozległ się ogłuszający ryk entuzjazmu. Shigeru, ruszył przed siebie, by znaleźć się pośród swych żołnierzy. Złamali szyk, by go otoczyć, by go powitać, by składać przed nim ukłony; wyciągając dłonie, aby go dotknąć.

- Co? - zdumiał się Will. - O czym on mówi? - Postąpił krok, by pójść za cesarzem, żeby odciągnąć go od Kikorich.

Czyjaś dłoń pochwyciła go z tyłu za ramię. Odwrócił się i ujrzał twarz Halta. Jego

mistrz potrząsnął głową.

- On ma rację, Willu. Cesarz musi się tam znaleźć.

- Ale co będzie, jeśli nas pokonają! Jeśli nie damy rady... Zwolennicy Arisaki mogą go pojmać! - oburzył się Will.

Halt skinął głową.

- To prawda. On jednak zamierza postawić na tych ludzi. Wierzy w nich. A ty nie?

- Ależ tak, oczywiście, że tak. Ale jeżeli on tam się znajdzie...

- Jeżeli tam się znajdzie, będą walczyć do upadłego, byle nic mu się nie stało. Wiesz, że są w stanie pokonać senshich. Ja to wiem i Shigeru o tym wie. Pewności brak tylko im samym. Jasne, że tu i teraz dzielnie się spisują. Jednak, kiedy przyjdzie do starcia, staną twarzą w twarz z nieprzyjacielem, którego, jak zawsze sądzili, są niegodni. Od niepamiętnych czasów obowiązywał najsurowszy zakaz, nie wolno im było mierzyć się z senshimi. Największe zagrożenie polega na tym, że jutro staną oko w oko z wojownikami, którzy od zawsze wmawiali im swoją wyższość, a więc mogą utracić wiarę w siebie. Jeśli do tego dojdzie, załamają się. Będą walczyć dzielnie i dzielnie umierać, bowiem powróci przekonanie, iż nie mają prawa zwyciężyć.

- Ale... - zaczął Will, lecz teraz przerwał mu Horace.

- Halt ma słuszość, Willu - stwierdził. - Jeśli towarzyszyć im będzie świadomość, że Shigeru na nich patrzy, jest tam, ufa im, zyskają większą wiarę we własne siły.

- Ale cesarz może zginąć lub dostać się do niewoli - Will wciąż się opierał.

- Nie - zaprzeczył Horace. - Twoi ludzie do tego nie dopuszczą. A on wie, że musi tam się znaleźć.

- To wielki człowiek - rzekł ściszym głosem Selethen. - Jeden z tych, którym się służy i jest się z tego dumnym.

- Oni tak właśnie uważają - rzekł Halt, wskazując w stronę oddziałów, gdzie odkryta głowa Shigeru poruszała się pośród zakrytych skórzanymi hełmami głów żołnierzy oraz żelaznych grotów oręza. - A właśnie pewności siebie im trzeba, jeżeli mają zwyciężyć. - Umilkł, spoglądając przez półprzymknięte powieki na rozgrywającą się w dolinie scenę. - I zwyciężą - dodał. Zrozumiał, że Will wciąż nie jest przekonany, więc klepnął go wesoło w plecy. - Wysil się, uwierz w swoich ludzi, Willu. Przynajmniej do tego stopnia, do jakiego wierzy w nich cesarz.

- Nie da się go jakoś powstrzymać? - spytał zdesperowany Will.

Tym razem to Horace klepnął go w ramię.

- Jasne, że tak. Wymyśl tylko sprytny sposób, żeby powiadomić cesarza, iż zabraniasz

mu czegoś, co postanowił zrobić. To chyba łatwizna dla kogoś tak przebiegłego, jak ty.

Wszyscy trzej przyjaciele zaśmiali się. A potem Halt wskazał ruchem głowy wąwóz prowadzący do tajemnego przejścia.

- Ruszmy się. Przed nami bitwa do wygrania i to już jutro.

ROZDZIAŁ 42

Włosy Evanlyn stanęły dęba. Dosłownie. Powstrzymała odruch, by poderwać się, spojrzeć czym prędzej za siebie, stanąć twarzą w twarz z nieznaną istotą znajdującą się za jej plecami. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to musi być jeden z Hasanu. Śpiewana przez Evanlyn piosenka urwała się gwałtownie, kiedy w polu widzenia księżniczki pojawiła się owłosiona łapa. Podjęła znów, drżącym, cichutkim głosikiem:

*W krąg i w krąg, i w krąg tańczyła,
sto kręgów w słońcu zatoczyła...*

Z całą pewnością słyszała odgłos żucia, tuż za sobą. Ujęła w palce następny kawałek. Włożyła go do ust, wybrała drugi i znów położyła go daleko od siebie.

- Dla ciebie - oznajmiła, po czym nadała nuciła z pełnymi ustami melodię piosenki. Po kilku chwilach ręka pojawiła się znów, zabrała owoc. Evanlyn cmoknęła z zachwytem:

- Mniam. Dobrze.

- Mniammmmm - zawtórował jej głos w tyle i również rozległo się cmoknięcie. Odetchnęła głęboko i położyła następny kawałek.

- Dla ciebie.

I znów pojawiła się ręka. Tym razem nie cofnęła się gwałtownie, jak za poprzednimi razami. Wzięła owoc i powędrowała za pole widzenia Evanlyn spokojniej, zwyczajnie. Potem rozległ się głos - chrapliwy, jakby lekko stłumiony. I tylko jedno słowo:

- *'rigato*.

Wiedziała, że *arigato* to nihońskie słowo oznaczające podziękowanie. Pośpiesznie przeszukała pamięć, usiłując przypomnieć sobie stosowną replikę, jednak na próżno. Uznała, że tamten będzie musiał zadowolić się odpowiedzią we wspólnej mowie:

- Proszę bardzo. Został jeszcze jeden kawałek moreli.

Odczekała, aż umilknie rozlegający się za nią odgłos przeżuwania po czym i ten kawałek ułożyła dalej. Tym razem przez dłuższą chwilę panowało milczenie, a potem głos odezwał się:

- *Ié, ié!* - to znaczyło - „nie! nie!” - czyli grzeczną odmowę w nihońskim języku. Następnie ręka pojawiła się, wzięła owoc, lecz położyła z powrotem tuż przy Evanlyn. Uśmiechnęła się do siebie. Obawa, iż zostanie rozszarpana na strzępy lub pożarta żywcem

jakby nieco się oddaliła. Niedbałym ruchem dobyła noża. Natychmiast w tyle rozległ się gwałtowny szelest, jakby ktoś odskoczył. Nie zwracała na to uwagi, powtórzyła tylko za nim:

- *Ié, ié!* - Prawdopodobnie nie było to najwłaściwsze sformułowanie w tej sytuacji, innego jednak nie znała, musiało wystarczyć. Postarała się przy tym wypowiedzieć te słowa tonem lekkim, uspokajającym. Odgłosy ucichły. Wyczuła jednak, że Hasanu cofnął się o parę kroków. Posłużyła się saksą, by podzielić ostatni kawałek moreli. Schowała wielki nóż do pochwy, wzięła połowę moreli, a drugą położyła dalej od siebie. Znowu usłyszała ruch, tym razem tamten już nie starał się kroczyć bezgłośnie. Ręka zjawiła się, sięgnęła po owoc i znikła z jej pola widzenia.

- Chyba pora, żebyśmy się poznali - zaproponowała. Pilnując się, by nie czynić gwałtownych ruchów, wstała ze swego miejsca na kłodzie. Ozdobiła oblicze uśmiechem, podejmując przy tym mocne postanowienie, że cokolwiek ujrzy, uśmiech tam pozostanie. A potem, bardzo powoli, odwróciła się.

Przycupnięta na ziemi za pniem postać rzeczywiście robiła wrażenie swymi rozmiarami. Długie, zmierzwione rude włosy zwisały aż do ramion, towarzyszyła im równie niechlujna i tak samo długa broda. Najwyraźniej całe ciało również pokrywało obfite, czerwone włosie. Na razie nie zdołała dostrzec rysów twarzy. Sama uśmiechała się nieustannie; mimochodem pomyślała, iż wkrótce zdrętwieją jej mięśnie policzków. Wykonała wdzięczne dygnięcie, rozkładając na bok ramiona i schylając głowę.

Hasanu wstał. Spojrzała w górę, wciąż uśmiechnięta i wstrzymała oddech. Mierzył co najmniej dwa i pół metra, teraz też mogła przekonać się z całą pewnością, iż rzekome futro porastające jego ciało, to tylko długa szata ze zmierzwionej wełny. Skłonił się jej niezdarnie, po czym oboje powoli się wyprostowali.

Już lepiej widziała jego twarz. Twarz szeroką, o wydatnych kościach policzkowych. Płaski, lecz spory nos. Wąskie, skośne oczy połyskiwały spod bujnych, gęstych, nieprzystrzyżonych brwi. W oczach tych z całą pewnością dostrzegła błysk inteligencji, a także zaciekawienia na jej widok. A potem uśmiechnął się, pokazał przy tym duże i równe zęby, co prawda pożółkłe nieco i poplamione, ale jednak zwyczajne ludzkie zęby, nie kły dzikiej bestii.

Evanlyn przyłożyła dłoń do piersi.

- Evanlyn - przedstawiła się, po czym powtórzyła, rozdzielając wyraźnie sylaby: - Ev-an-lyn.

Zmarszczył czoło. Imię to dla niego zabrzmiało obco, lecz podjął próbę:

- Eh-wan-in?

- Świetnie! - uśmiechnęła się, również odpowiedział uśmiechem. Wyciągnęła ramię, wskazała odległy kayak, na którym czekała Alyss, zapewne wypatrując oczy.

- Alyss - oznajmiła. - Moja przyjaciółka. Al-is.

Z widocznym wysiłkiem wymówił:

- Ah-yas.

- No, prawie - stwierdziła półgłosem, po czym dodała wyraźniej: - Alyss, Evanlyn, przyjaźń. - Słowom towarzyszyły gesty: wskazała na siebie, potem na Alyss, a następnie objęła się ramionami, imitując w ten sposób serdeczny uścisk mający stanowić ilustrację „przyjaźni”. Olbrzym zastanawiał się przed chwilę, próbując pojąć, co ma na myśli. Potem dostrzegła błysk w jego oczach. Powtórzył ten sam gest, obejmując się ramionami.

- Przyjaźń. *Hai!*

Znała to słowo: *hai*, czyli „tak”. Wskazała na niego, potem na siebie. - Ty... Evanlyn... przyjaźń, *hai*?

Powtórzyła znów ten sam gest przyjaźni, czyli uścisku, a potem nagle ogarnął ją lęk, żeby wielkolud nie wziął tej sugestii zbyt dosłownie. Nie była pewna, czy jej zębra wytrzymają uścisk mierzącego dwa i pół metra leśnego olbrzyma.

Na szczęście zrozumiał, że chodzi o symbol. Pokazał palcem siebie samego.

- Kona - oznajmił.

Przybrała przesadnie pytający wyraz twarzy, pokazując na niego:

- Ty... Kona?

Przytaknął ruchem głowy, uśmiechając się.

- *Hai!* Kona - pokazał na nią, potem na siebie. - Eh-wan-in, Kona.

- Przyjaźń - stwierdziła stanowczo, wskazując palcem na przemian siebie i jego. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu, który olbrzym potwierdził gorliwym skinieniem.

- *Hai!* Przyjaźń.

- No, dzięki za to niebiosom - mruknęła do siebie.

Przechylił głowę na bok, wyraźnie nie rozumiejąc jej słów, machnęła więc niedbale ręką.

- Nieważne - stwierdziła, odnotowując jednocześnie w pamięci, by na przyszłość unikać takich zbędnych komentarzy. Kona może i wyglądał jak wielka, kudłata małpa, lecz z pewnością nie był głupcem. Pokazała mu obozowisko, a potem dała znak ręką, żeby poszedł za nią.

- Chodź - ponagliła go. Wyciągnęła do niego dłoń. Zawahał się, lecz ujął ją delikatnie i uśmiechnął się od ucha do ucha, widząc, jak ich dłonie różnią się wielkością. Zaprowadziła

go plażę aż nad brzeg, gdzie wypuściła jego rękę i pomachała do Alyss dryfującej w odległości kilkudziesięciu metrów. Tamta również pomachała w odpowiedzi.

- Wszystko w porządku? - Dobiegł ją słaby z tej odległości głos dziewczyny.

Evanlyn nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Nie. Rozszarpał mnie na strzępy! Oczywiście, że wszystko w porządku! Wracaj na brzeg!

Gdy Alyss zanurzyła wiosło, Evanlyn odwróciła się znów do Kony.

- Alyss wraca. Alyss, Kona, przyjaźń.

- Ah-yas, Kona, przyjaźń - powtórzył - lecz ton tej odpowiedzi zdradzał, że to się jeszcze okaże. Wszak Alyss jak dotąd nie podzieliła się z nim suszonymi, słodkimi morełami.

Jak się okazało, naturalny wdzięk Alyss wkrótce rozproszył te wątpliwości. Alyss potrafiła sobie zyskiwać sympatię. Zachęciła go, by obejrzał kayak co też uczynił z wielkim zainteresowaniem. Hasanu także mieli łodzie, lecz były to proste dębaki, toporne w porównaniu ze smukłym kayakiem. Szczególnie zaciekawił go kształt wiosła. Jego współplemieńcy, by poruszać swe łodzie, używali po prostu grubych gałęzi. Nigdy nie wpadli na pomysł, by zastosować płaskie pióra. Kona zapamiętał sobie, żeby w przyszłości wykorzystać ową innowację.

Kiedy już obejrzał dokładnie łódź, zapragnął też przyjrzeć się i reszcie ekwipunku. Namiot wyraźnie przypadł mu do gustu, podobnie jak łódka różnił się znacznie od prostych szałasów, które podczas swych wędrówek budowali Hasanu. Spojrzał na ich torby, jego ciekawość wzbudziły teraz leżące na nich dwie szable ukryte w pochwach.

- Katana? - spytał, pokazując broń, a potem obie dziewczyny. Najwyraźniej chciał się dowiedzieć, czy stanowi ich własność.

Alyss przytaknęła.

- Tak, są nasze.

Okazał zdziwienie. Najwyraźniej kobiety Hasanu nie zwykły nosić broni. Rozпалиły ognisko, Evanlyn zagotowała wodę na herbatę. Piła z tego samego kubka co Alyss, odstąpiwszy drugi Koni. Małe naczynie niemal ginęło w ogromnej, pokrytej włosiem dłoni. Teraz, kiedy mogły mu się przyjrzeć dokładnie, zorientowały się, że Hasanu, o ile Kona był ich przedstawicielem, rzeczywiście porośnięci są włosiem na ciele - jednak bynajmniej nie w takim stopniu, jak wynikało z zasłyszanych przez dziewczęta opowieści.

Odczekały, aż Kona wypije herbatę i upora się z kilkoma kawałkami pieczonego królika, którym go poczęstowały. Mięso najwyraźniej mu smakowało, cmokał wielokrotnie, racząc się nim. Potem nadszedł czas, by wyjaśnić mu powód ich przybycia. Na sugestię

Alyss, inicjatywę znów przejęła Evanlyn. Bądź co bądź, to ona jako pierwsza zyskała sobie zaufanie Kony.

- Kona? - odezwała się, by zwrócić jego uwagę. Gdy spojrzał na nią wyczekująco, stwierdziła: - Alyss, Evanlyn, Kona... przyjaźń. *Hai?*

- *Hai!* - zgodził się ochoczo.

Skinęła kilka razy potakująco głową, po czym rzekła:

- Alyss, Evanlyn... Nimatsu-san... - urwała w tym miejscu, widząc zainteresowanie na twarzy Kony, a także jakby wyraz uszanowania, który natychmiast przybrał. Powtórzyła więc: - Alyss, Evanlyn... Nimatsu-san... Przyjaźń!

- Nie przesadzasz? - wtrąciła półgłosem Alyss. Jak by nie było, pana Nimatsu żadna z nich nie widziała na oczy.

- Zawrzemy przyjaźń - oświadczyła Evanlyn z przekonaniem w głosie. - A teraz siedź cicho. Alyss, Evanlyn, Nimatsu-san. Przyjaźń. Wszyscy.

Kona sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. Wskazał dłonią dziewczęta.

- Przyjaźń... Nimatsu-san, *hai?*

- *Hai* - zapewniła go Evanlyn.

- *Hai!* - zawtórowała jej Alyss.

Ku ich satysfakcji, najwyraźniej ta deklaracja uczyniła spore wrażenie.

- Kona... możesz nas zabrać... do Nimatsu-san? - spytała Evanlyn, żywo gestykulując.

Kona chyba zrozumiał.

- Eh-wan-in, Ah-yas... Nimatsu-san *ikimas?*

- To znaczy „iść” - wyjaśniła Alyss półgłosem.

Evanlyn ogarnęło błogie poczucie triumfu.

- *Hai!* - odparła. - Evanlyn, Alyss, Kona... *ikimas* Nimatsu-san.

- Czasownik powinien znajdować się na końcu zdania - pouczyła ją Alyss.

Evanlyn machnęła niedbale ręką.

- A kogo to obchodzi? Ważne, że zrozumiał.

Kona zastanawiał się przez jakiś czas nad ich żądaniem, kiwając w zamyśleniu głową. Potem jakby podjął decyzję.

- *Hai!* - oświadczył. Nimatsu-san *ikimas*. - Wstał nagle i podążył długimi krokami przez plażę w kierunku drzew, tam zatrzymał się. Spojrzał za siebie na obie dziewczyny, które ani drgnęły, zaskoczone jego ruchem. Wyciągnął rękę w ich stronę, opuścił dłoń i poruszył nią tak, jakby je odpędzał.

- *Ikimashou!* - zawołał.

Evanlyn, która już miała wstać, znieruchomiła.

- Co on robi? Odpędza nas, czy co? Myślałam, że weźmie nas ze sobą?

Jednak Alyss już kilkakrotnie zaobserwowała taki gest u przebywających w twierdzy Kikorich.

- W ten sposób Nihończycy przywołują, nie odganiają - wyjaśniła. - *Ikimashou* oznacza „chodźmy”.

- To na co czekamy? - zawołała Evanlyn, zgarniając pospiesznie swój tobołek i szablę.

- Niech *ikimashou*, jak najbardziej.

Alyss poszła w jej ślady, zbierając swoje rzeczy.

- Nie musisz mówić „niech” *ikimashou*. Samo *ikimashou* wystarczy, „niech” jest już zawarte w tej formie czasownika.

- Też mi coś - parsknęła Evanlyn.

W gruncie rzeczy była bardzo z siebie zadowolona. Owszem, Alyss może i władała obcymi językami, ale to Evanlyn nawiązała nić porozumienia z olbrzymem.

- Idziesz, czy nie? - rzuciła przez ramię, ruszając czym prędzej, by podążyć za Koną.

ROZDZIAŁ 43

Sprowadzenie stu ludzi z dwóch *hyaku* wąskim i stromym przesmykiem stanowiło nie lada wyzwanie, a przy tym interesujące ćwiczenie z dziedziny logistyki oraz z pracy zespołowej.

Horace uznał, że to zbyt ryzykowne, by wojownicy schodzili tą stromą i kamienistą ścieżką obarczeni dzirytyami, tarczami oraz obciążeni zbrojami. Toteż, kiedy skończyła się odprawa kierowana przez Shigeru, poprowadził żołnierzy przed wejście do wąwozu i tam kazał im ułożyć tarcze oraz dziryty w stosy po pięć sztuk. Kikori, którzy nie zostali wyznaczeni do udziału w bitwie, posłużyli teraz za tragarzy, w czym dopomagał im także wszechobecny Mikeru wraz z grupą swych młodych przyjaciół. Sznurami powiązali dziryty w grube pęki, w sam raz do niesienia na plecach przez jednego tragarza. Ułożone płasko jedna na drugiej tarcze również związano, Kikori nieśli je po dwóch, niczym nosze. Pozostali Kikori ustawili się wzdłuż trasy, by pomagać towarzyszom w co trudniejszych miejscach lub zmienić ich, gdy tragarzy ogarnie zmęczenie. Mikeru oraz jego kompani, nieobciążeni, przeskakując z kamienia na kamień niczym kozice, ruszyli przodem, by umieścić płonące pochodnie, które oświetlą najtrudniejsze miejsca trasy. W końcu ruszyli wąwozem i sami wojownicy; obarczeni tylko ciężarem krótkiej broni ręcznej oraz noszonymi przez siebie zbrojami, zapuszczali się jeden po drugim w wąską szczelinę.

Pół godziny przed świtem *goju* Niedźwiedzia oraz *goju* Jastrzębia uformowały się na płaskim terenie za skalnym załomem u ujścia tajemnej drogi, wszyscy w pełni uzbrojeni i wyposażeni. Wędrówka na dół obeszła się bez jakichkolwiek niepomyślnych incydentów. Gorzej znieśli ją tragarze, kilku z nich nadwreżyło kostki czy otarło sobie łokcie.

Horace podszedł do miejsca, w którym Will, Halt i Shigeru przyglądali się, jak kolejni wojownicy wyłaniają się z przesmyku i w ciszy dołączają do swych formacji.

- Jesteśmy gotowi do wymarszu - oznajmił.

Will zerknął w stronę wielkiego skalnego odnóża, odległego o kilkaset metrów i przesłaniającego im całkowicie widok na obozowisko *senshich*.

- Najpierw przypatrzmy się nieprzyjacielowi - rzekł. - Miej oko na cesarza - dodał, zwracając się do Horace'a.

Obawiał się, że Shigeru oddali się dokądś albo że pokaże się wrogowi, zanim zwiadowcy zdążą się zorientować w rozdysponowaniu sił nieprzyjaciela oraz ogólnej sytuacji.

W następnej chwili oddalił się wraz z Haltem. Podążali bezgłośnie, jak cienie, wzdłuż skalnej krawędzi. Potem znaleźli się po drugiej stronie występu i znikli z pola widzenia.

Horace spojrział na cesarza. Shigeru zdawał się spokojny, lecz jego prawa dłoń na przemian zaciskała się i otwierała na rękojeści katany. Horace uśmiechnął się do niego.

- Co teraz? - spytał Shigeru.

- Teraz czekamy - odparł Horace.

* * *

Will i Halt prześlizgnęli się za skalny występ, potem wspięli się nieco wyżej, by zyskać lepszy widok na płaskowyż. Przez całą noc na odkrytym przez Mikeru punkcie obserwacyjnym czuwali obserwatorzy, gotowi natychmiast ostrzec, gdyby wojska nieprzyjacielskie przemieściły się lub zyskały posiłki albo jeśliby zaszła jakakolwiek inna zmiana w sytuacji. Żadna tego rodzaju wiadomość nie nadeszła, lecz wierny naukom Halta Will wolał osobiście upewnić się co do rozwoju sytuacji.

Obozowisko przedstawiało się z grubsza tak samo, jak kiedy przypatrywali mu się z góry. Namioty rozstawiono w nierównych rzędach, w półmroku tworzyły nieregularną, bezkształtną masę. Dostrzegli kilku wartowników, którzy przechadzali się wokół obozu; ich postawa zdradzała znużenie, przygnębienie, frustrację. Przez cały czas, kiedy przyglądali im się dwaj zwiadowcy, ani jeden z wartowników nie oderwał wzroku od przemarzłej ziemi pod stopami. Najwidoczniej całą ich uwagę zaprzętały starania, by utracić jak najmniej cennego ciepła, by nie uchylić ani rąbka zimowych okryć, którymi się okutali. Szara poświata stopniowo nabierała mocy, po jakimś czasie zwiadowcy zdołali dostrzec więcej szczegółów.

Pośród prostych, typowo funkcjonalnych namiotów, wznosił się namiot wyższy i zdecydowanie ozdobny. Pełniło przed nim wartę dwóch żołnierzy, u wejścia zatknięto chorągwie powiewające na wietrze.

- Widzisz, co jest na środkowej chorągwi? - spytał Halt. Na tej jedynej, tylko na niej, widniał jakiś znak, pozostałe pokrywały nihońskie litery. Will przysłonił oczy i przyjrzał się dokładnie.

- Wół. Tak, chyba wół - stwierdził. - Zielony wół.

- Co prawda, nic nam to nie mówi - stwierdził Halt - ale Shigeru może wiedzieć, o kogo chodzi. Will spojrział na niego z ukosa.

- Czy to takie ważne?

- Zawsze warto wiedzieć, z kim masz do czynienia - zauważył półgłosem Halt. Studiował teraz ukształtowanie terenu rozciągającego się między nimi a obozowiskiem senshich.

W przeważającej części grunt był płaski, choć część obszaru pokrywało kamienne rumowisko. Dalej, za głazami i po wschodniej stronie, teren obniżał się, tworząc niski uskok. Przed nimi, czyli w stronę południową, płaskowyż przeradzał się w łagodne zbocze, opadające ku namiotom.

- Tutaj zajmiemy pozycję - stwierdził, pokazując Willowi. - Głazy zapewnią nam względną osłonę od lewej flanki, a senshi zostaną zmuszeni do natarcia pod górę.

- Niezbyt tu stromo - stwierdził Will.

- Cóż, należy korzystać z każdej przewagi, jaką zdołamy uzyskać - pouczył go Halt. - Pora wracać i rozpocząć nasz bal.

Tą samą drogą powrócili do czekających towarzyszy. Odbyli krótką naradę wojenną. Will opisał skalne rumowisko po lewej stronie.

- Stamtąd zaczniemy - oświadczył. - Ustawcie ludzi w dwuszeregu, w ten sposób utworzymy dłuższy front. Selethenie, twoi ludzie ustawią się po prawej stronie w stosunku do *goju* Horace'a. Podążać będziecie jakieś dziesięć metrów w tyle. Dzięki temu, jeśli nieprzyjaciel zechce zająć nas z prawej flanki, możecie na niego uderzyć. Horace, jeżeli tak uczynią, pamiętaj, co wymyśliliśmy wczoraj wieczorem.

- Wiem. Zamknąć bramę za pomocą drugiego rzędu - przytaknął Horace. - Robiłem już takie rzeczy, o czym zresztą chyba wspominałem.

- Wybacz - przeprosił go Will. - Nieco później, wieczorem, zajmę się uczeniem ojca, jak robić dzieci.

Przyjaciele zaśmiali się zgodnie. Natomiast Shigeru i Selethen wyraźnie nie zrozumieli.

- Uczyć? Ojca? Czyjego ojca? Po co? - spytał Shigeru.

Arydzki wojownik rozłożył ramiona.

- Nie mam pojęcia - zerknął na Halta, lecz zwiadowca machnął ręką.

- To długa historia - odparł. - Później wam wyjaśnię.

- Aha, Shigeru-san - odezwał się Will, przypomniawszy sobie o dostrzeżonym uprzednio szczególe. - Na chorągwi oficera dowodzącego w obozowisku widnieje zielony wół. Czy to ci coś mówi?

Cesarz skinął głową.

- W takim razie dowódcą jest generał Todoki. Jeden z najzagorzalszych zwolenników Arisaki. To jego ludzie atakowali palisadę. Z pewnością zrobi wszystko, żeby zemścić się za wcześniej doznaną klęskę.

- Świetnie - stwierdził Halt. - To znaczy, że może przejawiać większą skłonność do

bezrozumnego działania. Zawsze lepiej walczyć z przeciwnikiem, który się złości.

- W takim razie, do dzieła! - dał sygnał Will.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym udali się na stanowiska. Żołnierze obu *goju*, którzy tymczasem odpoczywali, siedząc na ziemi i oszczędzając siły, na rzucony rozkaz czym prędzej powstali.

Uformowali cztery szeregi i ruszyli naprzód równym truchtem; ich sprzęt pobrzękiwał w rytmie tupotu stóp. Gdy wyłonili się zza skalnego występu, ujrzeli nieprzyjacielski obóz.

Kiedy oba *goju* znalazły się na swych pozycjach, Halt, Will oraz Shigeru weszli na mały pagórek, z którego mogli obserwować przebieg bitwy. Znaleźli się tym samym nieco za szeregami Kikorich. Loka, jeden z senshich ze straży przybocznej Shigeru, chciał im towarzyszyć, lecz Shigeru odmówił.

- Chcę, żeby Kikori przekonali się, iż wierzę w nich bez zastrzeżeń - stwierdził.

Loka pozostał wraz z dziesięcioma senshimi u wejścia do Przesmyku Mikeru. Gdyby doszło do najgorszego, ich zadaniem było bronić tego przejścia przed ludźmi Arisaki, podczas gdy Kikori podążą tamtędy z powrotem do twierdzy.

Goju rozciągnęły się w dwa długie szeregi, liczące po dwudziestu pięciu ludzi. Każdy z wojowników w drugim rzędzie dzierżył dwa oszczepy. Pierwszy rząd niósł tylko krótkie ostrza służące do walki wręcz. Rzecz jasna, na lewym ramieniu wszyscy dźwigali ogromne tarcze.

Co ciekawe, w obozie nieprzyjaciela nikt nie zareagował na ich przybycie. Najwyraźniej żaden z przemarzniętych, skulonych od zimna wartowników nie zauważył, że w odległości zaledwie stu pięćdziesięciu metrów pojawiła się nagle setka zbrojnych.

Halt z niesmakiem pokręcił głową.

- Tego się spodziewałem - stwierdził. Wyjął przygotowaną wcześniej strzałę zapalającą - czyli tak naprawdę zwyczajną strzałę, tylko owiniętą dodatkowo szmatą nasączoną oliwą. - Podpal to, Willu.

Młodszy zwiadowca skrzesał czym prędzej ognia, po kilku sekundach języczek płomienia zaczął pełzać po przesiąkniętej łatwopalną substancją tkaninie. Halt odczekał jeszcze chwilę, by upewnić się, iż zajęła się na dobre. Potem zerknął w stronę nieprzyjacielskiego obozowiska, uniósł łuk pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni, napiął go, zwolnił cięciwę.

Płonący pocisk, wzbijając się w zaciągnięte szarymi chmurami poranne niebo, pozostawił ślad w powietrzu: smugę czarnego dymu. Zniknął im z oczu, kiedy, osiągnąwszy apogeum swej trajektorii, runął w dół. Jednak już po chwili Will ujrział lśniące płomienie

wznoszące się nad zdobnym namiotem Todokiego. W następnej sekundzie płonął cały dach namiotu, ogień ogarnął go tym łatwiej, że dla nieprzemakalności płachty nasączono tłuszczem. Dobięły ich okrzyki wielu głosów naraz, nadchodzące od strony obozowiska; z namiotu wybiegło kilku mężczyzn, jeden potknął się i przewrócił.

- Obawiam się, że teraz na dobre rozzłościłeś Todokiego, Halto-san - stwierdził Shigeru.

Halt uśmiechnął się złowrogo.

- Mam nadzieję. Przecież o to mi chodziło - spojrzał na Willa i skinął głową. Młody zwiadowca zaczerpnął tchu i krzyknął w stronę Horace'a:

- Horace! Naprzód!

Horace dobył miecza, uniósł go wysoko. Selethen uczynił to samo. Rozległ się głuchy chrzęst, gdy Kikori dźwignęli ciężkie tarcze oparte dotąd o kamieniste podłoże. Potem, na sygnał Horace'a, pięćdziesięciu Kikorich zakrzyknęło jednym głosem:

- *Issho ni!*

Ich okrzyk powtórzyli niczym echo ludzie Selethena.

- *Issho ni!*

Potem już setka gardzieli powtarzała okrzyk wojenny, skandując rytmicznie. Maszerowali w nogę, do taktu, zmierzając przez płaskowyż ku obozowisku. Horace i Selethen zatrzymali ich po dwudziestu krokach, lecz okrzyk grzmiał nadal.

Żołnierze Todokiego, zaalarmowani wprzódzy zgiełkiem wywołanym przez pożar, teraz rozbudzili się już na dobre. Nagłe pojawienie się Kikorich, ich rozlegający się tak doniośle okrzyk wojenny oraz łomot stóp z początku wzbudziły zaniepokojenie, które wkrótce jednak przerodziło się w gniew. Oto szlachetni senshi zdali sobie sprawę, że napadli na nich prości Kikori, zwykli chłopcy, którymi gardzili i którym nie przysługiwało prawo podnoszenia ręki na przedstawicieli wyższej kasty. Senshi Todokiego chwytały za broń, po czym bezładną masą wybiegli z obozowiska, spiesząc, by zaatakować tych zarozumiałych śmiałków. Biegając w stronę czekających Kikorich, utworzyli nierówną linię. Rozległ się następny rozkaz, ostry gwizd przeszył powietrze.

Z głośnym trzaskiem tarcze pierwszego szeregu zwały się, szarżujący senshi ujrzeni nieprzerwaną barierę z drewna i żelaza. Dwa krótkie gwizdnięcia: ściana utworzona z pawęży ruszyła ku nim.

Ta obelga domagała się natychmiastowej kary! Pierwsi senshi rzucili się na drewniany mur, usiłując znaleźć przeciwnika, któremu mogliby zadać cios. Jednak Kikori dobrze ukryli się za tarczami. Rozwścieczeni senshi usiłowali ciąć mieczami znad głowy, lecz górne

krawędzie tarcz wzmocniono żelaznym okuciem. Klingi wbijały się w tarcze, lecz nie zdołały się przebić przez okucie. Usiłujący uwolnić ostrza, które ugrzęzły, senshi zdali sobie sprawę z nowego niebezpieczeństwa.

Kikori nie zatrzymali się, dalej parli naprzód; idący w drugim szeregu wsparli szereg pierwszy, dodając mu siły oraz impetu. Tarcze uderzyły w senshich, zmuszając do cofnięcia się. Niektórzy wypuścili z dłoni rękojeści mieczy, których nie zdołali oswobodzić, kiedy wgrzyły się mocno, głęboko.

Teraz ci senshi, którzy znaleźli się w bezpośredniej bliskości, dostrzegali już atakujących przez wąskie szczeliny między tarczami. Próbowali zadawać przez nie pchnięcia, lecz gdy tylko któraś klinga znalazła się między dwoma pawężami, trzymający je Kikori zderzali tarcze, a potem nasuwali jedną na drugą niczym gigantyczne dachówki, wytrącając tym sposobem oręż z dłoni właściciela. W zrozumiałym odruchu senshi sięgali na ziemię, by podnieść broń - z fatalnym dla siebie skutkiem.

Krótkie, lecz piekielnie ostre żelazne groty pojawiały się zza tarcz, dźgając bezlitośnie ramiona, nogi, tułowie, mierząc w nieosłonięte zbroją fragmenty ciała. Jeden z rycerzy zamachnął się mieczem, by zadać morderczy cios Kikoriemu po lewej stronie, który ukazał się jego oczom przez powstałą na krótką chwilę lukę między tarczami. Jednak w tej samej chwili poczuł przeszywający ból pod ramieniem, gdyż wbiło się tam ostrze Kikoriego znajdującego się po jego prawym boku. Katana wypadła z dłoni buntownika, kolana ugięły się pod nim; w uszach rozbrzmiewał powtarzany bezustannie okrzyk wojenny.

- Issho ni!

To były ostatnie słowa, jakie tego dnia usłyszało wielu senshich. Horace oraz Seleten z dobytą bronią przemieszczali się między dwoma szeregami, wypatrując, czy Kikori nie słabną, czy nie potrzeba im pomocy. Nie znaleźli jednak żadnej luki. Wyćwiczeni przez długie tygodnie wojownicy, świadomi, że spoczywają na nich oczy cesarza, spisywali się jak sprawna machina bojowa. Machina, która dźgała, cięła, miażdżyła, spychała senshich w doskonale opracowanym planie zniszczenia.

Kilku senshim udało się jednak spowodować straty. Próbowali dźgać na oślep ponad wielkimi tarczami, kilkakrotnie sięgnęli celu. Niewielu przeżyło, by się tym chlubić. Wymierzając pchnięcia, odsłaniali się na uderzenia z boków, zadawane przez towarzyszy wojowników, których usiłowali ugodzić.

Najczęściej jednak cofali się, bezradni. Brakowało tam miejsca na szerokie, mordercze cięcia, na wyszukaną szermierkę, której uczyli się od swych najmłodszych lat. Cały czas napierały na nich tarcze, a żelazne żądła pojawiały się i znikwały, dźgając i tnąc, raniąc i

zabijając.

Ludzie Todokiego nigdy przedtem nie brali udziału w takiej bitwie. Senshi przywykli do tego, że ścierają się z przeciwnikiem jeden na jednego; jeśli ten zostanie pokonany, podejmują pojedynek z następnym. Tutaj nie mieli do czynienia z pojedynczymi nieprzyjaciółmi, lecz z bezosobową ścianą tarcz, która naciskała ich niczym ruchoma forteca. Zdezorientowani, bezsilni, nie wiedząc, jak uporać się z miażdżącą, niepokonaną siłą, widząc, jak padają ich towarzysze, martwi lub ranni - tych zresztą dobijali Kikori w drugim szeregu - postąpili tak, jak postąpiłby każdy rozsądny wojownik.

Odwrócili się i uciekli.

ROZDZIAŁ 44

- Przykro mi to rzec, lecz nie mogę wam pomóc - zwracając się do Evanlyn, oznajmił pan Nimatsu. Znajdowali się w sali audiencyjnej jego zamku. Była to wielka budowla, wykonana z grubych bali, wysoka na cztery kondygnacje i umiejscowiona na szczycie górującego nad okolicą wzgórza, otoczona głęboką fosą. Każde piętro zajmowało mniejszą powierzchnię od kondygnacji znajdującej się poniżej, w ten sposób tworzyły się tarasy, doskonale miejsca wypoczynku, gdy sprzyjała pogoda, idealna pozycja obronna w razie ataku nieprzyjaciela.

Pokryte dachówką dachy kolejnych kondygnacji były niezbyt spadziste, za to o uniesionych, zakręconych rogach, co nadawało budowli niezwykle wygląd - niezwykle z punktu widzenia przybyłych tu dziewcząt, bowiem w Nihon-Ja podobne konstrukcje widywało się dość często.

Wnętrze urządzone oszczędnie, po spartańsku. Wielkie poduszki ułożono bezpośrednio na podłodze z wypolerowanego drewna wokół pokrytego czarną laką stołu. Słudzy Nimatsu postawili na nim herbatę, której towarzyszył prosty posiłek. Na ścianach zawieszono kilka pasów jedwabiu ozdobionych nihońskimi ideogramami. Wystrój prosty, lecz piękny - stwierdziła w myśli Alyss. W zamku spotkały się z gościnnym, serdecznym przyjęciem. Nimatsu powitał je, rozpoznał pierścień Shigeru, który okazała mu Evanlyn, po czym zaoferował gościnę. Wykapały się, zachwycone gorącą wodą, bowiem przez dłuższy czas na jeziorze marzyły prawie bezustannie, ponadto miały za sobą cały dzień marszu od brzegu aż do zamku. Kiedy nacieszyły się już kąpielą, czekały na nie świeże szaty, a także obszerne zewnętrzne okrycia, w jakich lubowali się Nihończycy. Włożyły je, po czym udały się do sali jadalnej, by spożyć posiłek, na który zaprosił je pan tego zamku.

Evanlyn wyjawiała powód odwiedzin, przedstawiając prośbę Shigeru o pomoc ze strony pana Nimatsu. Władca Hasanu przez dłuższą chwilę rozważał jej słowa w milczeniu. Był to szczupły, wysoki mężczyzna, przypuszczalnie około pięćdziesiątki. Nie nosił brody ani wąsów, także włosy na głowie zgolił do skóry. Jego twarz cechowały wysokie, wydatne kości policzkowe; głęboko osadzone oczy spoglądały śmiało, szczerze, bez śladu zmieszania.

A jednak Nimatsu odmówił spełnienia prośby Shigeru, odmówił przyjęcia z pomocą swemu władcy.

Evanlyn i Alyss spojrzały jedna na drugą. Dotąd przemawiała głównie Evanlyn, lecz

niespodziewana odmowa sprawiła, iż zabrakło jej słów. Przecież podczas posiłku Nimatsu zapewniał, jak wielkim szacunkiem darzy cesarza i mówił o swej lojalności zarówno wobec jego osoby, jak i dostojnego urzędu. Skinęła nieznacznie głową w stronę Alyss, dając znak, by podjęła rozmowę, księżniczce zostawiając czas do namysłu i przemyślenia dalszych posunięć.

- Nimatsu-san - odezwała się Alyss; ciemne oczy wielmoży zwróciły się w stronę kurierki. Zdawało jej się, że dostrzega w nich jakby cień smutku. Być może decyzja o odmowie sprawiła mu jednak przykrość, to zaś pozostawiało jeszcze jakąś nadzieję. Przemawiała, ostrożnie dobierając słowa, aby w żadnym razie nie okazać braku szacunku.

- Jesteś wiernym poddanym cesarza - stwierdziła. Wypowiedziała to zdanie, używając takiej intonacji, iż stwierdzenie domagało się odpowiedzi.

Przytaknął.

- Tak jest.

- Zaś twoi ludzie wierni są tobie i pozostają wierni cesarzowi?

Znów potwierdził skinieniem głowy.

- Zapewne nie żywisz przywiązania wobec generała Arisaki? - ciągnęła; natychmiast zaprzeczył:

- Uważam Arisakę za zdrajcę i krzywoprzysięzcę - oznajmił. - Mogę żywić wobec niego tylko wstręt.

Alyss bezradnie rozłożyła ramiona.

- W takim razie nie pojmuję, dlaczego miałbyś odmawiać pomocy panu Shigeru - dokończyła. Przyszło jej na myśl, że zapewne należało sformułować to zdanie, posługując się wytworniejszymi określeniami, lecz z drugiej strony, w tak poważnej sytuacji, musiała uzyskać jasną, jednoznaczną odpowiedź.

- Wybaczcie - rzekł Nimatsu. - Źle się wyraziłem. Oczywiście, że zaoferuję pomoc jego cesarskiej wysokości Shigeru. Przysięgałem wspierać go i przysięgi dotrzymam.

Evanlyn próbowała mu przerwać:

- W takim razie, dlaczego...

Nimatsu uniósł dłoń, dając jej znak, że jeszcze nie skończył.

- Ja wyruszę na pomoc cesarzowi, obawiam się jednak, że Hasanu za mną nie pójda.

- Nie usłuchają twojego rozkazu? - spytała Alyss. Znów zwrócił na nią spokojne spojrzenie.

- Nie mogę wydać takiego rozkazu, ponieważ nie chcę stawiać ich w sytuacji, kiedy odmówią jego wykonania. Jeśli zaś nie spełnią polecenia swego prawowitego zwierzchnika,

oznaczałoby to dla nich straszliwą hańbę.

- Ale jeśli im rozkażesz, przecież muszą... - Evanlyn urwała. Zbyt wyraźnie w jej głosie pobrzmiwała frustracja, a przecież zdawała sobie sprawę, że gniew nie zda się na nic. Jako księżniczka i następczyni tronu przywykła wydawać rozkazy, które spełniano natychmiast. Nie potrafiła pojąć, dlaczego Nimatsu nie miałby uczynić tak samo.

Jednak Alyss, bardziej obeznana z meandrami dyplomacji, dostrzegła coś na kształt punktu zaczepienia. Nimatsu odmówił, lecz jakby wbrew sobie. Najwyraźniej pragnąłby udzielić pomocy, tylko z jakiejś przyczyny nie potrafił.

- Nimatsu-san, czy zechcesz nam wyjawić, dlaczego nie możesz poprosić ludu Hasanu, by dopomógł swemu cesarzowi? - spytała. Z rozmysłem powiedziała „nie możesz”. Dawała mu w ten sposób do zrozumienia, iż pojmuje, że Nimatsu odmawia z jakiegoś istotnego powodu.

Spojrzał jej w oczy; wówczas zrozumiała, iż przypuszczenia były słuszne.

- Hasanu boją się - rzekł po prostu.

Alyss odchyliła się, zaskoczona.

- Lękają się Arisaki?

Potrząsnął głową.

- Aby przybyć do Ran-koshi, musielibyśmy najpierw przejść przez las Uto - rzekł. - Tymczasem Hasanu hołdują przekonaniu, iż w tym lesie straszy zły duch.

- Zły duch? - powtórzyła Evanlyn, nie wierząc własnym uszom.

Pan Nimatsu przytaknął skinieniem głowy, co stanowiło zarazem wyraz ubolewania. Obie rozumiały, iż to dla niego przykry temat. Nie chciał przecież ośmieszać swych poddanych w oczach cudzoziemek. Przemógł się jednak i wyjaśnił:

- Tak. Demon. Wierzą, że w lesie Uto mieszka straszliwy demon, więc nie odważą się tam zapuścić.

- Przecież to jakieś zabobony! - wybuchnęła Evanlyn. - Chyba nie zamierzasz...

Alyss położyła dłoń na jej ramieniu. Niczego przecież nie zyskają, spierając się z Nimatsu. Nihoński dostojnik spostrzegł jej gest, nie omieszkał też zauważyć, jak Evanlyn wysiłkiem woli powstrzymuje oburzenie.

- Ten zabobon zabił już siedemnastu ludzi - odparł.

Evanlyn aż zamurowało. Hasanu, choć nieśmiali wobec obcych, cechowali się potężną budową i okazałym wzrostem, cieszyli się zresztą reputacją groźnych wojowników. Jaka moc mogła doprowadzić do zguby tak wielu z nich?

- Czy wierzysz w tego demona, panie? - spytała Alyss.

Znów odpowiedział jej, patrząc prosto w oczy:

- Nie wątpię, że w tym lesie grasuje jakiś straszny drapieżnik - rzekł. - Czy to demon? Nie, nie sądzę. To jednak bez znaczenia. Hasanu wierzą w demony i wierzą, że ten stwór w lesie jest demonem. Nie ośmielą się więc przejść przez las Uto. Ja zaś nie wydam im takiego polecenia. Po cóż wydawać rozkaz, skoro wiem, że go nie spełnią? Gdyby doszło do nieposłuszeństwa, oznaczałoby to w takim samym stopniu pohańbienie dla mnie, jak i dla Hasanu.

- Czy nic nie możemy zrobić? - spytała Evanlyn.

Wzruszył ramionami.

- Nie przychodzi mi na myśl żaden argument, jakim zdołałybyście ich przekonać.

Alyss rozprostowała się, zaczerpnęła tchu.

- A gdybyśmy zabiły demona?

ROZDZIAŁ 45

Generał Todoki spoglądał najpierw z niedowierzaniem, a potem z narastającą wściekłością, jak jego ludzie wycofują się w popłochu. Zrazu pojawiło się tylko kilku, lecz gdy pierwsi wyłamali się z szeregu i uciekli, również ich towarzysze stracili ducha, rzucając się do panicznego odwrotu, byle dalej od bezosobowej, śmiercionośnej ściany tarcz i morderczych ostrzy.

Todoki w otoczeniu kilku przybocznych zagroził zmykającym drogę. W biegu dobył miecza, wykrzykując rozkazy do wycofujących się senshich.

- Tchórze! Banda tchórzów! Stać! Zawróćcie i stawcie czoło wrogom! Przecież to tylko chłopcy! Stać, do boju!

Biegający najbliżej zatrzymali się. Niespieszno im jednak było zawrócić i znów walczyć ze stojącymi teraz w milczeniu *goju*. Oficerowie biegali od jednego z ogarniętych wstydem ludzi do drugiego, odwracali ich siłą, przodem do nieprzyjaciela; obrzucali obelgami, grozili, bili pięściami lub płazami mieczy. Jednak nawet żołnierze skupieni w najbliższym otoczeniu generała ani myśleli o walce; najwyraźniej nie przejawiali ochoty, by wkroczyć w bój, uparcie odwracali się plecami do przeciwnika. Todoki podszedł do któregoś z wojowników, aż ich twarze znalazły się od siebie w odległości ledwie kilku centymetrów i wrzasnął. Drobinki śliny prysnęły na twarz żołnierza.

- Tchórz, śmierdzący tchórz! To tylko chłopstwo, a ty jesteś senshi. Zawróć i walcz!

Oczy wojownika napotkały spojrzenie generała. Todoki dostrzegł w nich zawstydzenie, lecz także zmieszanie i lęk.

- Panie - rzekł senshi - oni zabili Ito i Yokiego, którzy stawali tuż obok mnie!

- A więc wróć i pomścij towarzyszy! - nie posiadając się z wściekłości, Todoki uderzył mężczyznę mocno w twarz. Z kącika ust żołnierza pociekła strużka krwi, jednak ten, choć skarcony, nadal nie wykazywał chęci, by powrócić do walki. - Zabij ich! - wrzeszczał Todoki. - Zabij pięciu za każdego z poległych druhów! Wracaj i walcz, tchórz! Niech zrozumieją, że nie mogą równać się z senshimi!

Lecz słowa generała padały w próżnię. Ci wojownicy przed chwilą zobaczyli na własne oczy oraz sprawdzili na własnej skórze, że Kikori, przedstawiciele chłopskiego plemienia, zaiste potrafią równać się w boju z senshimi, a wielu rycerzy z uprzywilejowanej

kasty przypląciło tę świeżo nabytą wiedzę życiem. Trzydziestu pięciu padło już na placu boju.

- Panie - zaprotestował wojownik - jak mogę zabić kogoś, kogo nie widzę?

Zdając sobie sprawę, że spoczywają nań oczy innych senshich, Todoki poczuł wzbierającą złość. Przez swe tchórzostwo ci ludzie okryli go hańbą. A teraz ów dezertier, który splamił się ucieczką z pola bitwy, ośmielił się z nim spierać. To bunt - uświadomił sobie - bunt, który może okazać się zaraźliwy. Gdy jeden żołnierz nie wykona rozkazu, inni gotowi są pójść za jego przykładem.

Ostrze generalskiego miecza błysnęło w świetle poranka, uderzając w następnej chwili między hełmem a napierśnikiem. Senshi wydał zduszony, chrapliwy okrzyk, zachwiał się i padł. Todoki postawił stopę na jego piersi. Zwrócił się do pozostałych żołnierzy, którzy cofnęli się przed dowódcą. Zakrwawionym mieczem wskazał milczące szeregi Kikorich.

- Tam czeka nieprzyjaciel. Do ataku! Naprzód! Wybijcie ich do nogi!

Przestrach, jaki wzbudził, a przy tym wpojone poczucie dyscypliny, wzięło górę nad obawą przed *goju* Kikorich. Poganiani, popychani przez przybocznych Todokiego, ruszyli niechętnie na spotkanie nieprzyjaciela.

Przyglądający się polu bitwy z pagórka Will zauważył, iż nihoński generał przegrupował swe wojska. Kusiło go, żeby ustrzelić Todokiego, lecz generała otaczała spora grupa przemieszczających się wciąż ludzi, toteż istniała obawa, że któryś z nich znajdzie się przypadkowo na linii strzału. Lepiej poczekać na lepszą okazję, która zapewne wkrótce się nadarzy.

Starcie przebiegało zgodnie z jego przewidywaniami; teraz nadszedł czas, by wprowadzić do gry drugi element opracowanej przezeń taktyki.

Podniósł palce do ust, gwizdnął dwukrotnie.

Selethen i Horace na ten sygnał wydali rozkaz swoim *goju*. Horace zakrzyknął:

- W tył zwrot. W zdwojonym tempie, biegiem, marsz! Kikori zawrócili w miejscu, po czym ruszyli szybkim truchtem w stronę wyjściowych pozycji, młóćąc ziemię stopami w perfekcyjnym *unisono*.

- Stać! - zawołał Horace; wojownicy stanęli niczym wryci. - W tył zwrot!

Odwrócili się znów przodem do nieprzyjaciela, jednym zgranym ruchem.

Widząc to, generał Todoki zawołał do niekwapiących się wojowników:

- Patrzcie! Cofają się! Drugi raz nie obronią się przed wami! Do ataku!

Lecz podwładni wcale nie podzielali przekonania Todokiego. Nie uszła ich uwadze precyzja i skoordynowanie manewru. Co pojętniejsi zrozumieli od razu: nieprzyjaciel po prostu wycofał się na dogodniejsze pozycje obronne - a dokonał tego nadzwyczaj sprawnie i

szybko.

Todoki nie to jednak dostrzegł, lecz zwątpienie, brak zdecydowania wśród własnych żołnierzy. Spoglądał gniewnie wokół... I po raz pierwszy zauważył trzy postacie stojące na pagórku za szeregami Kikorich. Przyglądał im się przez chwilę, nie wierząc własnym oczom.

Jako żywo, było ich trzech, trzech mężczyzn obserwujących przebieg wydarzeń. Dwaj, w borych płaszczach, sprawiali wrażenie osób niepozornych, przeciętnych, poza tym tak jakby rozmywali się na tle górskiego zbocza, trudno było im się przyjrzeć wyraźnie. Jednak trzeci, okryty pełną zbroją... Z całą pewnością miał przed sobą cesarza. Przywołał oficerów. Wskazał klingą miecza stojącą w oddali postać.

- Tam jest Shigeru - oznajmił. - Biegnijcie po łuki. Jeśli go zabijemy, Kikori nie wytrzymają naszego naporu.

Czterej przyboczni cofnęli się pospiesznie w stronę namiotów. Wrócili po paru minutach, niosąc wielkie łuki. Szlachetnie urodzeni z kasty senshich oprócz sztuki władania mieczem ćwiczyli się też powszechnie w strzelaniu z łuku. Todoki raz jeszcze wskazał im cesarza i kazał strzelać.

* * *

- Co tam się dzieje? - zastanowił się Halt, widząc, jak kilku senshich odłącza się od oddziału i biegnie ku obozowisku. Z tej odległości trudno było wypatrzeć, co przynieśli, jednak gdy składali się do strzału, wszelkie wątpliwości się rozwiały. Siwobrody zwiadowca i Will zsunęli własne łuki z ramienia.

Will dostrzegł, iż pierwszy senshi wypuścił już pocisk; w tej samej chwili pojął, gdzie został wymierzony.

- Dostrzegli Shigeru!

Miał już odwrócić się i pchnąć cesarza na ziemię, jednak nim zdążył to uczynić, jego oko dostrzegło coś, a mięśnie zareagowały jak automat.

Kiedy później pytano go, co właściwie zrobił, nie potrafił odtworzyć własnego ruchu i nie wiedział, jakim cudem udało mu się dokonać tego, co dokonał. Nie potrafiłby też świadomie takiego wyczynu powtórzyć. Zadziałał powodowany wyłącznie instynktem, dając pokaz niewiarygodnej szybkości reakcji ręki na to, co zobaczyły oczy.

Strzała pędziła w dół, prosto na Shigeru, a Will uderzył łączykiem w taki sposób, że trafił w jej drzewce, odbijając pocisk. Grot zgrzytnął o kamienie, strzała złamała się na pół. Nawet Halt przez sekundę osłupiał ze zdumienia.

- Wielkie nieba! - zawołał. - Jak to zrobiłeś?

W następnej chwili zdał sobie sprawę, że czas na pogawędki nadejdzie potem, toteż

czym prędzej ustrzelił nieprzyjacielskiego łucznika.

* * *

Todoki obserwował trajektorię pierwszej strzały. Ogarnęła go gorączkowa radość. Wszyscy czterej jego przybocznicy byli wyśmienionymi łucznikami. Wobec czterech tak wyborowych strzelców Shigeru nie miał żadnych szans. I wtedy usłyszał cichy świst oraz głuchy odgłos; ten, który pierwszy oddał strzał, pochylił się, potem upadł na ziemię. Strzała o belcie z czarnych piór nadleciała jakby znikąd, przebijając skórzany napierśnik.

Kiedy Todoki pochylił się nad trupem, dwaj inni z oficerów wrzasnęli, po czym upadli. Jeden nie poruszył się już, przeszyty szarą strzałą. Drugi chwycił się drżącą dłonią za ramię, z którego sterczała strzała czarna; jęczał z bólu. Todoki napotkał spojrzenie czwartego łucznika, dostrzegł w nim strach. Trzej ludzie zostali powaleni w jednej chwili, tymczasem ani generał, ani jego oficer nie mieli pojęcia, skąd nadlatują strzały. Strzelec zdążył otworzyć usta, zapewne, by coś powiedzieć, kiedy z nieba spadł jeszcze jeden pocisk. Oficer postąpił krok w tył, pchnięty siłą uderzenia, po czym osunął się, śmiertelnie raniony, nie wydając głosu.

Todoki przez ułamek chwili nie wiedział, co robić. Spojrzał w stronę stojącego w oddali Shigeru. Dopiero teraz zrozumiał, że łucznikami zapewne byli ci dwaj stojący obok, okryci szarymi płaszczami. Zerknął w stronę leżącego obok na ziemi łuku, który wypadł z dłoni powalonego strzelca. Ale dotarło do niego w tej samej chwili, że jeśli sięgnie po broń, wykona ostatni ruch w życiu. Przypadł do ziemi, przywołał nagłym głosem senshich:

- Do mnie! Zasłońcie swojego dowódcę!

Uczynili to, choć niechętnie, bowiem widzieli, jaki los spotkał przed chwilą czterech oficerów. Jednak wpajana przez lata dyscyplina wytrzymała twardą próbę, zgromadzili się wokół generała. Większość przewyższała wzrostem Todokiego, który był niższy od przeciętnego Nihończyka, toteż żywy mur zasłonił go skutecznie. Nim jednak generał zdążył odetchnąć z ulgą, usłyszał dochodzący od strony Kikorich gromki okrzyk:

- *Okubyomono!*

Słowo, które dobyło się z niemal stu gardeł, rozległo się najpierw raz, potem drugi i trzeci:

- *Okubyomono! Okubyomono! Okubyomono! Tchórze! Tchórze! Tchórze!*

Na ciskaną raz po raz prosto w ich twarze obelgę, senshi poruszyli się niespokojnie. Lecz skandowane okrzyki nie milkły. Todoki dostrzegł nadarzającą się sposobność. Skoro groźby już nie działają, niech do boju pchnie jego podwładnych urażona duma, która każe dokonać zemsty na prostakach, tak bezczelnie kpiących ze szlachetnie urodzonych.

Nieprzyjaciel popełnił błąd - pomyślał.

- Naprzód! - wykrzyknął na cały głos. - Do ataku! Wybijcie ich!

I rzeczywiście, jego ludzie ruszyli przed siebie, kierując się ku bliższej z dwóch nieprzyjacielskich formacji.

Horace przyglądał się przez chwilę, po czym wydał rozkaz:

- Tarcze w górę!

Ogromne pawęże były zbyt ciężkie, by trzymać je przez cały czas. Toteż podczas chwili przerwy, Kikori oparli je o ziemię. Teraz uniosły się znów z chrzęstem, na nowo tworząc nieprzenikniony mur. Po kilku sekundach wojownicy z *goju* Selethena uczynili to samo.

- Tylne szeregi! Otwarty szyk! - ryknął Horace. Drugi szereg każdego *goju* cofnął się o dwa kroki.

Każdy z wojowników ustawionych w tym drugim szeregu dzierżył po dwa bojowe oszczepy.

- Gotuj się do rzutu! - zawołał Horace.

Gdy tylko wybrzmiały jego słowa, każdy z dzirytników odłożył jeden z ciężkich oszczepów na ziemię obok i przygotował się do rzucenia drugim. Pięćdziesiąt prawych stóp postąpiło w tył, zamachnęło się pięćdziesiąt ramion dzierżących w pięćdziesięciu dłoniach dziryty w punkcie ich ciężkości; mordercze żelazne groty uniosły się w górę.

Horace odczekał spokojnie, aż nadciągający senshi znajdą się w odległości trzydziestu metrów. Atakujący nie widzieli przygotowań, jakie poczynił drugi szereg, gdyż widok przesłaniał im mur z tarcz.

- Rzucaj! - zakrzyknął Horace; pięćdziesiąt dziryków wzbilo się w powietrze i spadło zaraz potem w dół, zasypując nadciągających senshich.

Efekt był piorunujący. Senshi ginęli na całej linii, przybijani do ziemi ciężkimi pociskami. Ich atak zatrzymał się, nie wiedzieli, co czynić dalej - przerażeni, osłupiali, zdezorientowani śmiertelnościami deszczem żelaza oraz drewna. Wówczas runęła na nich druga salwa.

Atak zachwiało się pod siłą zmasowanego uderzenia. Co najmniej trzydziestu senshich leżało pokotem, zabitych lub rannych. A wtedy rozległa się inna komenda i pozostali przy życiu senshi usłyszeli ów przeraźliwy okrzyk wojenny:

- *Issho ni! Issho ni!*

Ściana tarcz ruszyła na nich, znów błysnęły śmiertelne ostrza. Niektórzy z senshich próbowali kłuć pomiędzy tarczami, wiedząc już, że cięcie z góry nie odniesie

żadnego skutku. Tym razem jednak Horace wiedział, jak się temu przeciwstawić.

- *Kamé!* - zawołał Drugi szereg, który zbliżył się do pierwszego natychmiast po wyrzuceniu drugiej serii dziryków, uniósł tarcze nad głowy, tworząc formację zwaną „żółwiem” i blokując skutecznie pchnięcia skierowane w dół, zasłaniając równocześnie szereg pierwszy skorupą niemal nie do przebicia. Znowu poszły w ruch kąśliwe ostrza, znowu na senshich naparła bezlitosna ściana z drewna i żelaza, na nowo rozpoczęło się żniwo śmierci.

Niektórzy z senshich, zdając sobie sprawę, iż wciąż przewyższają liczbą wojowników w *goju* Horace'a, próbowali obejść formację z prawej flanki, aby zaatakować napierających od tyłu lub z boku. Gdy ujrzał to Horace, wydał następny rozkaz:

- *Kamé w dół!* Brama!

Wojownicy w drugim rzędzie, opuściwszy tarcze, płynnym ruchem dokonali zwrotu w prawo i jeszcze ćwierć obrotu w tym samym kierunku, po czym pobiegli przed siebie, momentalnie tworząc nową linię, pozostającą pod kątem prostym do frontowego szeregu i stawiając czoło atakowi nadchodzącemu z nowego kierunku.

O tym właśnie manewrze Will rozmawiał z Horace'em przed rozpoczęciem bitwy jako o „zamykaniu bramy”. Rzeczywiście, gdyby ktoś spoglądał z lotu ptaka, tak to by właśnie wyglądało.

Senshi, którzy próbowali obejść z boku oddział Horace, natchnęli się na kolejną nieprzebytą ścianę zbudowaną z tarcz. Uderzyli na nią, lecz bez skutku, a ponieważ zdali sobie sprawę z kolejnego niebezpieczeństwa, jakie im zagrażało.

Teraz bowiem przysła kolej na Selethena. Jego *goju*, ustawione nadal w dwa szeregi, dokonało zwrotu w lewo, po czym ruszyło szybkim biegiem, by wpaść na tyły senshich atakujących przeformowany drugi szereg oddziału Horace'a.

Schwytani w pułapkę senshi znaleźli się między młotem a kowadłem, nie mieli żadnych szans. Zdezorientowani, ogłupiali, bezsilni wobec przeciwnika, z jakim dotąd się nie spotkali, nie mogąc niczego wskórać wobec przyjętej przez wroga taktyki, odwrócili się i uciekli, już po raz drugi tego dnia. Minęli obozowisko, biegli nadal, w panice zmierzając ku dalekim namiotom pośród drzew, gdzie stacjonowały główne siły Arisaki, pozostające jeszcze w błogiej nieświadomości tego, co właśnie się wydarzyło. Lecz gnała tam ledwie żalonna garstka ocalałych nieszczęśników. Znaczna większość żołnierzy pozostała na polu bitwy, martwych, lub ranionych i niezdolnych nawet do ucieczki.

Z jednym wszelako wyjątkiem. Pośród pustki i trupów wciąż trwała krępa postać okryta drogą, kunsztowną zbroją, zbroją ozdobioną znakiem zielonego wołu.

Oszalały z wściekłości oraz wstydu, Todoki już wcześniej wyszedł przed osłaniających go wojowników. Teraz pozostał sam, lecz zmierzał zdecydowanym krokiem w stronę milczących szeregów Kikorich. Dostrzegł pośród nich wysoką postać; przypomniał sobie opowieści o *gaijinie*, wojowniku zza mór, który zawarł przyjaźń z Shigeru. Todoki zatrzymał się w pewnej odległości, po czym zaczął obrzucać obelgami przybłędę - ten zaś niespiesznie wysunął się przed szeregi swojego *goju*.

Horace nigdy nie miał głowy do języków obcych, toteż kiepsko pojmował wypluwane przez oszalałego z wściekłości Todokiego obraźliwe określenia, lecz wystarczyła sama tonacja, by zrozumieć.

- Czyżby miał mi coś za złe? - mruknął do siebie pod nosem; tamten niestrudzenie wykrzykiwał niezrozumiałe plugastwa.

- Horace! - zawołał ostrzegawczo Will ze swego pagórka, lecz młody rycerz tylko rzucił przez ramię:

- Wszystko w porządku, Willu. Ten człowieczek już mnie znudził.

Ze świstem dobył miecza i ruszył na spotkanie Todokiego. Widząc to, nieprzyjacielski wódz wydał okrzyk pełen wścieklej nienawiści. Puścił się biegiem w stronę młodego rycerza.

Todoki zwrócił uwagę na długi, prosty miecz przybłedy. Wiedział co nieco o cudzoziemskim orężu. Wykuwano go ze stali, która nie dorównywała surowcowi, z jakiego sporządzano broń *senshich*. A katana Todokiego powstała w kuźni jednego z najlepszych płatnerzy w Nihon-Ja; jeśli tylko uderzy dość mocno, jej klinga przetnie na pół ostrze przeciwnika.

Nie dbając więc o harmonię i równowagę, jaka towarzyszy cięciom zadawanym zgodnie z zasadami nihońskiej drogi miecza, postawił na brutalną siłę. Włożył w uderzenie całą swoją moc, całą masę. Ciął, z donośnym okrzykiem.

Pomimo zaślepienia i bojowego szału, jakaś część jego umysłu pracowała chłodno, z wyrachowaniem: najpierw pozbawi wroga przewagi, jaką daje mu dłuższy oręż, potem się z nim rozprawi. Rozległ się przeraźliwy szcęk, gdy ostrze uderzyło o ostrze. Oczy Todokiego rozwarły się szeroko z przerażenia, gdy zdał sobie sprawę, że miecz *gaijina* pozostał nietknięty. Wytrzymał morderczy cios. Generał stracił równowagę; niesiony własnym impetem, zachwiał się lekko, opuścił gardę.

Horace dokonał gwałtownego wypadu szermierczego. Wyrzucił w przód prawą stopę razem z ramieniem dzierżącym miecz, rozprostował rękę i pchnął z największą siłą, na jaką było go stać. Mierzył nieco ponad napierśnik Todokiego, tam, gdzie tylko miękka, wyprawiona skóra osłaniała gardło przeciwnika.

Nie chybił; wykute przez nihońskiego płatnerza ostrze przebiło bez trudu cienką osłonę.

Oczy Todokiego, napełnione przerażeniem i zdumieniem, jeszcze przez ułamek sekundy spoglądały na Horace'a znad białej niemal po kręgosłup klingi miecza, bowiem generał do ostatniej chwili nie pojmował, jaki to zły los go dopadł tego dnia.

W następnej chwili oczy zamgłyły się. Zagasło w nich życie, a renegacki generał opadł ciężko na kamienistą ziemię. Horace wyszarpnął klingę, odwrócił się - i ujrzał przed sobą dwa rzędy górali, uformowanych w dwóch *goju*. Wojownicy Kikori - bo teraz już naprawdę stali się wojownikami - unieśli do góry krótkie miecze. Najpierw jeden, pojedynczy głos wznosił okrzyk, lecz w następnej sekundzie podjęło go sto gardeł:

- *Kurokuma! Kurokuma! Kurokuma!*

Horace pomachał do nich w odpowiedzi. Selethen wyszedł naprzeciw rycerza, uśmiechnięty szeroko. Padli sobie w objęcia, a potem, wciąż przy wtórze triumfalnych okrzyków, podeszli razem do Willa, Halta i Shigeru.

- Cały czas jestem ciekaw, skąd wziął się ten przydomek - stwierdził Will.

Shigeru odwrócił się w jego stronę. Ten jeden raz, gdy mówiono o nadanym Horace'owi przezwisku, na jego twarzy nie widniał ani ślad rozbawienia.

- Czymkolwiek sobie na niego zasłużył - rzekł cesarz - to jest z całą pewnością wyraz wielkiego uszanowania.

ROZDZIAŁ 46

Alyss zawiązała supeł mocujący ostatnią gałąź, po czym przyjrzała się krytycznie dość topornemu podestowi, jaki wybudowała w rozgałęzieniu konarów drzewa.

- Chyba wystarczy - stwierdziła.

Sporządzona z powiązanych sznurami gałęzi platforma mierzyła z grubsza dwa na dwa metry, zapewniając dość miejsca dla Alyss i Evanlyn. Obie wspólnie mogły tam się rozsiąść i czekać na tajemniczego drapieżcę, siejącego postrach w lesie Uto.

Znajdowały się głęboko w kniei, w miejscu, gdzie aż czterech Hasanu padło ofiarą bestii - zwanej przez ten lud *Kyofu*, czyli Groza.

Evanlyn, która czekała cztery metry niżej, rozejrzała się nerwowo. Słońce zachodziło właśnie, wkrótce miała nadejść noc - a wszyscy wiedzieli, że *Kyofu* poluje po nastaniu ciemności. Co innego siedzieć w bezpiecznym zamku pana Nimatsu i odnosić się sceptycznie do zabobonów, którym hołdują Hasanu, a całkiem inna rzecz - stać tutaj, w śniegu, pośród wydłużających się cieni, w samym sercu ponurego, zimowego lasu. W pełnym świetle dnia Evanlyn nie miała nic przeciwko temu, żeby zbierać gałęzie służące do budowy platformy. Jednak kiedy w pobliżu gałęzi już zabrakło, musiała wybrać się znacznie dalej, a tymczasem zaczynało już zmierzchać, toteż spoglądała raz po raz przez ramię, reagując nerwowo na najlżejszy leśny odgłos.

- Rzuć linę - zawołała. - Wchodzę.

- Jeszcze chwileczkę.

Alyss uniosła się powoli i przeszła na środek podestu. Stąpając z największą ostrożnością, sprawdzała wytrzymałość konstrukcji, aby stwierdzić z całą pewnością, że powiązane gałęzie są dość mocne, by wytrzymać jej ciężar. Kiedy z pomyślnym skutkiem dokonała już oględzin, podeszła do krawędzi. Zrzuciła czubkiem buta zwój liny z węzłami, która zawisła pośród konarów. Evanlyn wspięła się po linie na górę, wykazując przy tym niezbyt licujący z godnością księżniczki pośpiech. Gdy znalazła się w rozwidleniu, wciągnęła sznur na platformę i zwinęła go, po czym znalazła miejsce, w którym mogła usiąść wygodnie - chociaż trudno mówić o wygodzie, gdy ktoś zasiada na sękatych gałęziach.

Alyss powitała księżniczkę uśmiechem.

- Bałaś się, że *Kyofu* wlezie za tobą?

Evanlyn rzuciła kurierce lodowate spojrzenie, nie odpowiedziała. Nie zamierzała przyznawać, że owszem, tego właśnie się obawiała.

W lesie szybko zapadał mrok. Było im zimno oraz niewygodnie. Pośród ciszy rozlegało się tylko pochrząkiwanie i popiskiwanie prosiaczka, którego przywiązały do okolicznego drzewa. Zwierzątko stanowiło przynętę, miało wywabić *Kyofu* z kryjówki. Kiedy zaś bestia się pokaże, Alyss zamierzała ją uśmiercić za pomocą dwóch lekkich włóczni, które leżały w pogotowiu obok. Pożyczyła sprzęt do polowania od Hasanu. Upłynęło nieco czasu, zanim znalazła broń dość lekką, by móc nią władać swobodnie. W końcu zdecydowała się na oręż ćwiczebny, przeznaczony dla dzieci. Całkiem niezłe rzucała oszczepem, a poza tym, rzecz jasna, miała przy sobie Evanlyn z jej procą oraz zapasem ciężkich, ołowianych pocisków.

- Biedna świnka - westchnęła cicho Evanlyn.

- Możesz zamienić się z nią miejscami w każdej chwili. Zleziesz, kiedy tylko zechcesz - zapewniła ją Alyss.

- Jak myślisz, co to za bestia? Mam na myśli tego demona zwanego *Kyofu*.

- Z pewnością jakiś duży drapieżnik, tak jak sugerował pan Nimatsu. Może niedźwiedź. W tych okolicach żyją niedźwiedzie. Aha, zachowały się przekazy, że wiele lat temu grasowały tu również tygrysy.

- Nikt go nigdy nie widział ani nie słyszał. To niepodobne do żadnego znanego mi niedźwiedzia - zauważyła Evanlyn.

Alyss zerknęła z ukosa.

- Znasz tak wiele niedźwiedzi?

Evanlyn nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- W każdym razie jednego jestem pewna - dodała Alyss - to nie żaden demon z zaświatów. A teraz siedź cicho.

Na migi dała znak Evanlyn, żeby dziewczyna odpoczęła trochę, podczas gdy ona, Alyss, obejmie wartę. Evanlyn ułożyła się więc na nierównych, sękatych gałęziach. Wierciła się przez dłuższy czas, usiłując znaleźć najwygodniejsze miejsce. Zamknęła oczy, lecz upłynęło sporo czasu, nim zdołała zasnąć. Przeszkadzały jej nerwy; nasłuchiwała więc poszumu wiatru pośród gałęzi drzew, rozlegającego się czasem cichego trzepotu skrzydeł nocnych ptaków oraz najrozmaitszych innych odgłosów wydawanych przez żyjące w ciemnościach stworzenia.

Zdawało jej się, że zaledwie na kilka minut się zdrzemnęła, kiedy poczuła na swym ramieniu dłoń Alyss.

- Coś się dzieje? - spytała szeptem.

Alyss potrząsnęła głową. Odpowiedziała tak samo ściszym głosem:

- Nic. Jakies dwadzieścia minut temu prosiak obudził się, ale chyba znowu usnął.

Wpatrywały się intensywnie przez gąszcz gałęzi. Po drugiej stronie polanki uwiązany zwierzak leżał uśpiony przy drzewie.

- Chyba śpi spokojnie - stwierdziła Evanlyn. - Może śniły mu się jakieś świństwa...

Przysunęła się do brzegu platformy, ujęła w dłoń zwój liny. Alyss chwyciła ją za ramię. Choć nadal przemawiała szeptem, Evanlyn dosłyszała w jej głosie zaniepokojenie.

- Co ty wyprawiasz?

Evanlyn zaczerwieniła się, choć w mroku Alyss nie mogła tego dostrzec.

- Nagłący zew natury - wyjaśniła. - Wypiłam za dużo wody podczas posiłku. Jedzenie było za słone i przez to chciało mi się pić - uśmiechnęła się przepraszająco.

Stanowczym gestem Alyss odebrała jej zwój liny, odłożyła go z powrotem na gałęzie.

- Wytrzymasz - stwierdziła. - Żadna z nas nie zejdzie na dół przed świtem.

- Alyss, bądźże rozsądna. Gdyby potwór znajdował się gdziekolwiek w pobliżu, prosiak kwiczałby wniebogłosy z przerażenia. Głowę dam, że nic nam nie grozi. Przecież niczego nie słyszałyśmy.

- Siedemnastu Hasanu, których ten stwór zamordował, również niczego nie słyszało. Przypomnij sobie, że trzy ofiary bestia wywlokła z obozowiska, podczas gdy inni spali. Evanlyn, bezpieczne jesteśmy tylko tutaj, w górze. Chociaż i tego wcale nie jestem taka pewna.

Evanlyn zawahała się. Rzeczywiście, Nimatsu opowiedział im o *Kyofu* historii, od których włosy stawały dęba.

- No... Niech ci będzie - rzekła z godnością, udając, że zgadza się, choć niechętnie. Jednak w rzeczywistości, kiedy uświadomiła sobie, że Groza może przebywać gdzieś w pobliżu, skradać się ku drzewu, na którym czatowały, omal jej nie zemdlilo. Rzecz jasna, wobec Alyss nie zamierzała się do strachu przyznawać. - Teraz ty idź spać. Ja popilnuję.

Alyss popatrzyła surowo.

- Tylko niech ci nie strzeli do głowy, żeby zleźć na dół, korzystając z mojego snu - rzuciła ostrzegawczym tonem.

Evanlyn potrząsnęła głową.

- O, nie. Nie ma obawy.

Alyss położyła się, owinęła płaszczem. Usnęła znacznie prędzej, niż udało się to Evanlyn. Już po kilku minutach oddychała równo, głęboko, czasami tylko stękając cicho, gdy

we śnie zmieniała nieznacznie pozycję: od uwierających sęków nie było ucieczki.

Evanlyn nudziła się setnie, odrętwiała od chłodu i bezruchu. Księżyc wzeszedł, przemierzył nieboskłon nad lasem, a potem powędrował w dół i zniknął, pograżając na nowo cały świat w ciemnościach. Zapadła cisza, ptaki oraz zwierzęta umilkły. Słyszała już tylko wiatr. Tylko raz, przed samym świtem, odniosła wrażenie, iż zaszumiało mocniej. Evanlyn wyprostowała się wtedy, rozejrzała nerwowo wokół. Jednak w następnej chwili uświadomiła sobie, że w uszach świsnął pewnie jakiś powiew, toteż oddała się na powrót oczekiwaniu, aż skończy się noc. Ziewnęła rozdzierająco. Powieki jakby same opadały. Drgnęła, zdawszy sobie sprawę, że opadła też jej głowa i przez kilka sekund Evanlyn spała. Otrząsnęła się. Oddychała głęboko, obserwując jednocześnie słabo oświetlony teren. Ciemny kształt prosiaka wciąż leżał nieruchomo na śniegu. Niczego godnego uwagi nie zauważyła.

Przysunęła się do brzegu platformy, popatrzyła prosto w dół. Tam również niczego nie dostrzegła.

Ziewnęła znowu. Gałęzie wokół pokrywała cieniutka warstwa śniegu. Dłonią nabrała trochę puchu, potarła twarz i powieki. Pomogło na kilka minut, orzeźwiający chłód przywrócił czujność. Wkrótce jednak powieki znów zaczęły ciążyć, głowa opadła. Walczyła zawzięcie z sennością, przeklinając zarazem własną głupotę.

Po co nażłopalam się tyle wody - zadała sobie w myśli pytanie. Jeszcze nigdy w życiu nadejście świtu nie uradowało jej w równym stopniu. Pierwsza szara poświata z trudem przebiła się przez gałęzie drzew; Evanlyn zdała sobie sprawę, że dostrzega już szczegóły, a nie tylko zarysy kształtów. Wkrótce na wschodzie pojawiła się połyskująca za płataniną gałęzi różowa poświata.

A potem nawet nie zauważyła, kiedy nastał dzień. Przefiltrowany przez stalowoszare chmury blask słoneczny rozjaśnił las i polanę. Zdumiewające - pomyślała - w świetle dziennym wszystko wydaje się o wiele mniej straszne.

Alyss poruszyła się, przewróciła na drugi bok. Chwilę potem usiadła, przetarła oczy.

- Działo się coś? - spytała, choć przecież gdyby nastąpiły jakieś godne uwagi wydarzenia, Evanlyn nie omieszkałaby jej obudzić.

- Nic. Chyba wybrałyśmy sobie najnudniejsze miejsce w tym lesie. Nic a nic, tylko odgłosy nocnych ptaków, aż w końcu i one miały dosyć, więc poszły sobie spać. Chyba na przyszłość musimy...

Evanlyn urwała. Alyss chwyciła ją za ramię tak mocno, że aż zabolalo.

- Popatrz - odezwała się. - Popatrz na świnkę. Evanlyn spojrzała i zmartwiła z przerażenia. Śnieg wokół zwierzątka pokrywały czerwone plamy. Alyss chwyciła zwój liny i

zbliżyła się do krawędzi platformy, zamierzając zrzucić sznur, by się na nim opuścić. Znieruchomiała jednak, po czym cofnęła się prędko.

- A teraz spojrzysz w dół - rzekła ledwo dosłyszalnym głosem. - Nie wstawaj, bo spadniesz! - ostrzegła.

Evanlyn podpełzła do krawędzi na czworakach, zerknęła w dół przez konary. Śnieg wokół pnia ich drzewa pokrywały liczne ślady jakiegoś wielkiego zwierzęcia, które wyraźnie po wielokroć okrążyło pień. Nieco z boku dostrzegła wgłębienie, w którym bestia ułożyła się, by czekać na nie i obserwować dziewczyny, którym zdawało się, że to one zaczały się na zwierza.

- Niczego nie słyszałaś? - spytała Alyss.

Oniemiała z przerażenia Evanlyn potrząsnęła głową.

- Nic a nic - wykrztusiła. Potem jednak przypomniała sobie: - Chociaż nie, tuż przed świtem zdawało mi się, że gwałtowniej powiał wiatr. Ale to wszystko - spojrzała w stronę martwego prosiaka. - Wcale nie słyszałam, jak to się stało! A przysięgam, że czuwałam przez cały czas.

Zadrzała z lęku na wspomnienie tego, jak zamierzała zejść nocą z platformy.

- O, rany! - rzekła cicho. - A ja chciałam zleźć na dół! To coś mogło już tam czekać!

Alyss przytaknęła bez słowa. Także czuła się wyjątkowo nieswojo. Nie miały pojęcia, przez jak długo wielka bestia - cokolwiek to było za zwierzę - czaiła się, warując u stóp drzewa.

Zebrały się wreszcie na odwagę i zeszły po linie, by przyjrzeć się śladom odcisniętym w śniegu.

- Wygląda na jakiegoś wielkiego kota - stwierdziła Evanlyn. Nie potrafiła się powstrzymać, kiedy badała odciski łap, wciąż spoglądała przez ramię, za siebie. Alyss tymczasem przyjrzała się zagłębieniu wygniecionemu w śniegu przez wielkie stworzenie.

- Cielsko potwora mierzy co najmniej cztery metry długości - mruknęła. - Szkoda, że nie ma tu Willa. Potrafiłby z widocznych wokół tropów wywnioskować o wiele więcej.

- Też żałuję, że go z nami nie ma - zgodziła się Evanlyn. Miała jednak na myśli raczej obronę, jaką zapewniłby im potężny łuk zwiadowcy oraz jego strzały o szarych brzechwach.

Alyss zerknęła podejrzliwie na księżniczkę, lecz w następnej chwili zrozumiała, co Evanlyn ma na myśli. Wstała, przeszła na drugą stronę polanki, gdzie spoczywało truchło prosiaka, teraz już zimne i sztywne. Evanlyn ruszyła za nią, z dłonią na rękojeści szabli. Alyss trąciła zwierzątko drzewcem jednego ze swych oszczepów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa prosiak zginął w jednej chwili, gdy jego kark przetrąciły zaciśnięte na

grzbiecie potężne kły.

- Bestia zabiła prosię. Ale nie próbowała go pożreć - stwierdziła. - Ani zabrać ze sobą zdobyczy.

Evanlyn spojrzała na nią lękliwie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, choć zdawało jej się, że zna odpowiedź.

- Zwierz nie chciał, żeby prosiak narobił hałasu. Poza tym potwora wcale nie interesował taki nędzny łup. Zasadzała się na nas, to my miałyśmy być jego kolacją.

ROZDZIAŁ 47

- Następnym razem - stwierdził Halt - nie pójdzie nam tak łatwo.

W trakcie bitwy stracili tylko sześciu ludzi, dwunastu dalszych odniosło obrażenia, w tym czterech zostało ciężko rannych. Naliczyli zaś ponad siedemdziesiąt mieczy, napierśników oraz hełmów zdobytych na poległych przeciwnikach, a przecież z pewnością jeszcze liczniejsi wrogowie odnieśli rany.

Wojownicy Kikori oraz wierni cesarzowi senshi wycofywali się wąskim przesmykiem. Halt polecił Mikeru oraz kilkunastu jego towarzyszom zlikwidować tymczasem ślady prowadzące do tajemnego przejścia. Młodzi Nihończycy uporali się z zadaniem, zacierając znaki na śniegu za pomocą wielkich płóciennych płacht ze zdobycznych namiotów. Wygładzili w ten sposób znaczny obszar. Halt stwierdził w myśli, że dobrze mieć pod ręką kogoś takiego, jak Mikeru. Chłopaka wprost rozpierała energia, wykazywał mnóstwo dobrych chęci oraz inicjatywy. Grupa senshich ze straży przybocznej Shigeru pozostała na straży, pilnując wąwozu na wypadek, gdyby wróg odkrył jednak wejście.

Dowódcy zebrali się w chacie Shigeru, aby omówić przebieg bitwy. Halt wypowiedział właśnie na głos myśl, która niepokoiła większość z nich.

- Arisaka nie jest głupcem - przytaknął Shigeru. - Nie rzuci się na oślep do ataku, jak Todoki. Postara się wymyślić jakiś sposób, by przeciwdziałać nowej taktyce wymyślonej przez *Chocho* - skinął głową w stronę Willa, który zmarszczył lekko czoło, słysząc ów przydomek. Lecz wiedział przecież, że nie pora na lekcję języka.

- Musimy wejść w jego skórę, postawić się na miejscu Arisaki - oznajmił Halt. - Spróbujmy się zastanowić, w jaki sposób staralibyśmy się zwalczyć dwa *goju*.

- Cztery - poprawił go Will, a gdy oczy Halta zwróciły się na niego, wyjaśnił: - Nim dolina stanie się zdatna do przebycia, liczba wyszkolonych Kikorich wzrośnie co najmniej do dwustu żołnierzy.

Selethen skinął głową na potwierdzenie oceny Willa.

- Świetnie - rzekł Halt. - Jednak, tak czy inaczej, nadal przewaga liczebna pozostanie po stronie wroga, a element zaskoczenia nie zadziała teraz na naszą korzyść. Arisaka już wie, jak walczymy. Zatem, co byśmy uczynili na jego miejscu?

Selethen odkaslnął, wszyscy spojrzeli na niego.

- Jak pamiętacie, rozmawialiśmy o tym w Toscano - przypomniał. - Pociski wyrzucone z katapulty lub balisty zdołałyby przełamać szyk *goju*. Wtedy zaś senshi mogliby już walczyć tak, jak zazwyczaj, jeden na jednego.

- Arisaka nie ma katapult - odparł Halt. - Nie zdoła też w krótkim czasie, jakim dysponuje, przywlec machin przez góry.

- Zgoda - przyznał Selethen. - W takim razie pozostają łucznicy - zwrócił się do Shigeru: - Jak sądzisz, ilu strzelców ma do swej dyspozycji?

Cesarz zastanawiał się przez kilka chwil.

- Może trzydziestu - odparł.

Rycerze senshi niższego stopnia zazwyczaj nie ćwiczyli się w strzelaniu z łuku. Umiejętność ta stanowiła zastrzeżoną domenę szlachty wyższej rangą.

- Trzydziestu łuczników zdoła poczynić niemało szkód - zauważył Will.

Horace pochylił się do przodu.

- Ale dla przeciwdziałania nauczyliśmy naszych ludzi posługiwania się techniką *kamé* - stwierdził, nawiązując do „żółwia” tworzonego z tarcz przez Kikorich.

- Owszem, i „żółw” zadziała, o ile nie zajdą nas z flanki, a potem nie zaatakują od tyłu - zauważył Selethen.

- Wówczas drugi szereg musi stawić czoło kolejnemu natarciu, przez co zachowanie szyku *kamé* stanie się niemożliwe. Nie mogą przecież trzymać tarcz nad głowami, jeśli przyjdzie im odpierać bezpośredni atak.

Horace machnął ręką.

- Trzeba więc wybrać takie miejsce, gdzie nie zdołają zająć nas z boku. Albo po prostu czekać za palisadą.

- Na to nie możemy sobie pozwolić - stwierdził Halt. - Musimy zmusić Arisakę do podjęcia otwartej bitwy. Jestem pewien, że prędzej czy później sprowadzi z południa posiłki, a mając dość ludzi, zdoła pokonać obronę palisady. Jednak nie w tym rzecz... - urwał, zastanawiając się, jak najtaktowniej ująć myśl kielkującą w jego głowie.

Shigeru spojrzał na niego uważnie.

- W czym kłopot, Halto-san?

Zwiadowca odrzekł:

- Nie możemy pozwolić sobie, żeby po prostu kryć się za umocnieniami i bronić ich w nieskończoność. Jeśli ograniczymy się wyłącznie do odpierania ataków, Arisaka w końcu nas pokona. Co więcej, na pewno z chęcią wybiłby zwolenników cesarza do nogi, jednak jeśli okaże się, że zajmie to zbyt wiele czasu, po prostu zostawi tu oddział na tyle liczny, żeby

uniemożliwić nam opuszczenie doliny, a sam uda się do stolicy i obejmie tron. Z pewnością rozgłosi, że cesarz nie żyje, a wieść taka rozejdzie się w mig po całym kraju - wyjaśnił Halt cesarzowi.

Shigeru w zamyśleniu pokiwał głową.

- A skoro już raz zasiądziesz na tronie, po dwakroć trudniej będzie go pokonać.

- Otóż to. Toteż trzeba go zmusić do walki, i niech mu się wydaje, że warto się w nią zaangażować. Jeśli tego mamy dokonać, musimy myśleć tak jak on, czyli przewidzieć, w jaki sposób zechce przeciwstawić się opracowanej przez nas taktyce.

- Podsumowując - podjął z wolna Will - musi rozbić naszą ścianę z tarcz, a jednocześnie zająć nas z boku. Zgadza się?

Pozostali przytaknęli, mówił więc dalej:

- Wiemy, iż dysponuje przewagą, która pozwala mu na oflankowanie sił cesarskich, o ile staniemy w otwartym polu. Jeśli zdoła zaatakować, a zarazem utrzyma dystans, zmusi nas do marszu naprzód. W przeciwnym bowiem razie nasze krótkie ostrza nie zadadzą przeciwnikowi żadnych strat. Lecz kiedy przemieścimy się do przodu z przygotowanej pozycji, zdążając do nawiązania kontaktu, narazimy się na obejście z boku.

Horace słuchał uważnie. Brzmiało to całkiem rozsądnie, ale...

- W jaki sposób może nas atakować, nie zbliżając się zarazem? - spytał.

- Myślałem o czymś w rodzaju macedońskiej falangi - wyjaśnił Will.

Shigeru zwrócił uwagę, że Halt, Horace i Selethen jednocześnie zareagowali w ten sam sposób: ich twarze rozjaśniły się zrozumieniem.

- Czym jest macedońska falanga? - spytał.

- Otóż Macedończycy, wojownicy z zamierzchłych czasów, opracowali nader skuteczną taktykę przy użyciu formacji zwanej falangą - wyjaśnił mu Halt. - W największym skrócie, polegała ona na tym, iż żołnierzy wyposażano w długie, ciężkie włócznie, mierzące nawet do czterech metrów. Dzięki nim potrafili uderzyć w pierwszy szereg nieprzyjaciela, zanim ten był w stanie podjąć jakiegokolwiek skierowane przeciwko nim działania.

- Sądysz, że Arisaka słyszał o owej falandze?

- Wątpię - odparł Halt. - Zapewne jednak przyjdzie mu do głowy, by posłużyć się jakąś długą bronią, pikami czy włóczniami. Zdziwiłbym się, gdyby do tego nie doszło, bo rozwiązanie wprost się narzuca - z logicznego punktu widzenia. Dzięki niemu zdołają zaatakować naszych, nie narażając się jednocześnie na uderzenia ich krótkich ostrzy.

- To nas zmusi, by wyjść im naprzeciw - dodał Horace. - Trzeba będzie ruszyć naprzód i zmusić ich do walki w zwarciu, bo inaczej nasz mur utworzony z tarcz rozsypie się w

drzazgi.

- A kiedy ruszymy z miejsca, ich towarzysze zdołają zająć nas z boku i od tyłu - uzupełnił Selethen.

- Moglibyśmy zastosować dziryty w charakterze włócznie - zaproponował Horace. - Najpierw posłużą do rzucania, ale jeśli wyposażymy żołnierzy w odpowiednią ilość tej broni, każdemu z nich pozostanie jeszcze jeden dziryt, by posłużyć się nim jako bronią długą podczas walki wręcz.

Halt podrapał się po podbródku.

- Owszem, to jest jakaś myśl. Przypuszczam, że ludzie Arisaki nie zdołają łatwo poradzić sobie z bronią równie długą jak macedońska *sarissa*. Trzeba całych lat ćwiczeń, by nabrać odpowiedniej siły oraz wprawy. Niewykluczone, iż użyją zwyczajnych włócznie, co oznaczałoby w najlepszym razie sytuację patową - włócznie przeciw włóczniom. Tak czy inaczej, nasi ludzie muszą dążyć do walki na krótki dystans, bowiem na walce z bliska polega ich przewaga. Nie, potrzebujemy zatem jakiegoś specjalnego sposobu, by skutecznie uniemożliwić przeciwnikowi zajęcie nas z boku.

- Przydałoby się pięćdziesięciu łuczników. Lub coś koło tego - zauważył Will.

- Cóż, nawet gdybyśmy mieli pięćdziesiąt łuków, nie zdołalibyśmy w tak krótkim czasie nauczyć ludzi z nich strzelać - skrzywił się Horace.

Will skinął ponuro głową. Jednak, gdy spojrział na dawnego nauczyciela, dostrzegł w oczach Halta błysk.

- Otóż chyba mam inny pomysł - stwierdził stary zwiadowca. - Willu, chodźmy poszukać młodego Mikeru.

* * *

Will, Halt oraz Mikeru znaleźli się na placu manewrowym, gdzie zazwyczaj ćwiczyły *goju* Kikorich. Wojownicy wypoczywali po bitwie, więc obaj zwiadowcy wraz z bystrym chłopakiem mieli cały teren tylko dla siebie.

- Mikeru - spytał Halt - czy potrafisz rzucać dzidą? Młody Kikori gorliwie pokiwał głową.

- Oczywiście, Halto-san. Wszyscy Kikori się tego uczą, od dzieciństwa.

- Doskonale.

Halt wręczył młodzieńcowi zwykłą włócznię, używaną przez Kikorich do rzucania podczas polowań. Wskazał mu słup sterczący w odległości jakichś czterdziestu metrów, na którym uprzednio zawiesił jeden ze zdobycznych napierśników.

- Zobaczmy, czy trafisz w tę zbroję.

Mikeru zważył w dłoni włócznię, odnalazł środek ciężkości. Podszedł bliżej, aż od celu dzieliło go już tylko trzydzieści metrów. Cofnął prawe ramię, przeniósł ciężar ciała w tył, prostując lewą nogę, a następnie cisnął włócznią, która zakreśliła w powietrzu płytki łuk. Wbija się w napierśnik, dziurawiąc go i zrzucając na ziemię.

Halt zwrócił uwagę na znakomitą harmonię ruchów prawej ręki oraz ramienia, tułowia, a także koordynację górnej części ciała z pracą nóg - dzięki której chłopak nadał rzuconemu pociskowi maksymalny impet.

- Świetnie - pochwalił. - Willu, bądź tak miły, powieś cel na nowo.

Will podniósł uszkodzony fragment zbroi, wyszarpnął z niego włócznię. Zawiesił napierśnik na słupie. Halt w tym czasie odprowadził Mikeru na odległość pięćdziesięciu metrów od celu. Will dogonił ich szybko. Halt odebrał mu włócznię, wręczył ją Mikeru.

- Teraz sprawdzimy, czy trafisz także stąd - rzekł. Jednak Mikeru od razu potrząsnął głową.

- Za daleko. Włócznia jest zbyt ciężka, zebym dorzucił nią na tę odległość.

- Tak też sądziłem - stwierdził Halt. Odwinął z płóciennego rulonu dziwny przyrząd, który podał następnie Mikeru.

Był to rodzaj gigantycznej strzały, długiej na metr, o drzewcu z lekkiego bambusa, lecz zakończonej ciężkim żelaznym grotem. Na drugim końcu znajdowały się trzy skórzane lotki, przyklejone do drzewca i dodatkowo przywiązane do niego - przypominające pierzysko strzały, lecz znacznie większe. Wokół brzechwy tego pocisku, tuż przed lotkami, widniało płytkie wyżłobienie.

- Spróbuj teraz - zaproponował Halt.

Mikeru zważył w ręce pocisk, lecz i tym razem pokręcił głową.

- Zbyt lekki ten oszczep, Halto-san. Nie zdołam rzucić nim z odpowiednią mocą.

- Bez wątplenia - przyznał Halt. Wyciągnął z kieszeni zwój rzemienia, zakończony z jednej strony węzłem, z drugiej pętlą. Owinął rzemień wokół wyżłobienia, tak że docisnął nim samą końcówkę, tuż przy suple. Pilnując, żeby rzemień pozostawał wciąż napięty, rozciągnął go wzdłuż drzewca, aż do jego środka, oplecionego cienkim sznurkiem, tworzącym wygodny uchwyt dla dłoni. Ujął prawą rękę Mikeru i założył na nią pętlę, potem umieścił dłoń chłopaka na rzeczonym uchwycie - cały czas uważając, aby rzemień pozostawał naciągnięty.

Will ujrzał w oczach młodego Kikoriego błysk zrozumienia.

- Spróbuj teraz - polecił Halt.

Mikeru odpowiedział łobuzerskim uśmiechem, zerknął w stronę napierśnika, odchylił

się, po czym z całej siły cisnął. Skórzany rzemień zadziałał jak dźwignia i przedłużenie jego ramienia, co sprawiło, iż podczas rzutu monstrualna strzała nabrała o wiele większego rozpędu. Pocisk świsnął złowrogo w powietrzu, owinięty wokół zagłębienia rzemienia po prostu puścił i opadł w dół, by zawisnąć u przedramienia chłopaka.

„Strzała” minęła o włos napierśnik, po czym wbiła się mocno w ziemię jakieś osiem metrów za nim. Mikeru nie posiadał się z zachwyty.

- Coś takiego - powiedział. - Niesamowite.

Miał już ruszyć po wyrzucony pocisk, lecz Halt powstrzymał go. Wskazał płócienny zwój, w którym czekały jeszcze trzy takie same oszczepy.

Mikeru, z natury silny i sprawny, dysponował wyśmienitą koordynacją ręki i oka. A przy tym posiadał już nie lada zręczność w ciskaniu włócznią. Nie potrzebował ćwiczyć wiele, by zaznajomić się z nową techniką rzutu. Za czwartym razem grot wbił się w sam środek skórzanej zbroi, zostawiając w niej wyrwany strzępiasty otwór.

Halt klepnął chłopaka w plecy.

- Pokaż tę sztuczkę swoim przyjacielom - rzekł. - Zróbcie więcej takich oszczepów i ćwiczcie tak długo, aż wszyscy zdołacie trafić z tej odległości w cel. Do wiosny mamy jeszcze siedem czy osiem tygodni. Chcę, żeby trzydziestu z was nauczyło się władać tą bronią. Przydadcie się, kiedy znów staniemy twarzą w twarz z wojownikami Arisaki.

Mikeru przytaknął z zapalem. Jak dotąd, nie brał jeszcze aktywnego udziału w walce z uzurpatorem. Teraz i on dostał broń do ręki; nie mógł się doczekać, kiedy posłuży się nią w boju. Wiedział również, że tak samo myślą oraz czują jego towarzysze.

- Będziemy gotowi, Halto-san - oznajmił, wyprostował się, złożył pokłon przed zwiadowcą.

Halt odpowiedział mu, skłaniając głowę. Odeszli razem z Willem, pozostawiając Mikeru na placu - by pozbierał oszczepy i dalej ćwiczył nowo nabytą umiejętność.

- Teraz się przekonamy, jak to będzie, kiedy spróbują zająć nas z boku - stwierdził Halt.

ROZDZIAŁ 48

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytała Evanlyn z niepokojem w głosie.

Alyss spojrzała na nią znad roboty - sprawdzała właśnie ekwipunek.

- Nie. Wcale nie. Ale pojawił się przynajmniej jakiś pomysł, innego zresztą nam brak. Zostaje mi tylko nadzieja, że strzelasz tak dobrze z procy, jak twierdzisz.

- Nic takiego nie mówiłam - zaprotestowała Evanlyn. - Owszem, zdarzało się, że ktoś mnie chwalił..

- A ja nie słyszałam, żebyś wtedy zaprzeczała - weszła jej w słowo Alyss kpiącym tonem.

Rozmowę przerwało dyskretne pukanie we framugę drzwi dzielonego przez nie pokoju.

- Proszę - zawołała Alyss, drzwi odsunęły się na bok i ujrzały pana Nimatsu. Na twarzy szlachetnego Nihonczyka malowało się z troskanie. Spojrzał w stronę łóżka, na którym Alyss rozłożyła swój ekwipunek.

- Ariss-san - rzekł, kłaniając się jej - jak widzę, nie zmieniłaś swych zamiarów.

- Obawiam się, że nie mam wyjścia, Nimatsu-san. Twoi ludzie nie zechcą zapuścić się do lasu Uto, o ile nie przekonamy ich, że *Kyofu* nie żyje. Musimy więc bestię zabić, a nie potrafię wpaść na lepszy sposób, żeby tego dokonać.

- Nie lepiej spróbować jeszcze raz ze świnią albo może tym razem wziąć na przynętę kozę? - Nimatsu nie dawał za wygraną.

Alyss jednak potrząsnęła tylko głową.

- *Kyofu* udowodnił już, że zwierzęta go nie interesują. Zabił prosiaka. Tak go uciszył, by kwik nie powiadomił nas o obecności drapieżnika. Potem nawet nie tknął świńskiego mięsa. Bestia siedziała pod naszym drzewem całymi godzinami, czekając, żebyśmy zeszły. Potwór łaknie ludzkiego mięsa. To ludojad. Cóż, tym razem, ja stanę się świnią - umilkła na krótką chwilę, zerknęła w stronę Evanlyn. - Właściwie choćby przez grzeczność mogłabyś zaprotestować przeciwko temu sformułowaniu - rzuciła.

- Nie czas na żarty, Alyss. To zbyt poważna sprawa - oburzyła się Evanlyn. - Pan Nimatsu ma rację. Narażasz się na straszliwe niebezpieczeństwo. Nie wiem, czy nie pokładasz zbyt wielkiego zaufania w mojej zręczności w obchodzeniu się z procą.

Wolałabym, żebyśmy ciągnęły losy i w ten sposób zdecydowały, która ma być przynęta.

One rozmawiały, pan Nimatsu zaś spoglądał to na jedną, to na drugą, w końcu rzekł:

- Otóż to. Ryzyko jest ogromne, Ariss-san. Czy Ev-an-in-san rzeczywiście tak dobrze strzela z procy?

- Znacznie lepiej, niż ja rzucam oszczepem - odparła Alyss. - Tak więc ja posłużę za wabika, a ona pełnić będzie rolę myśliwego. Jeden z naszych przyjaciół twierdzi, iż Evanlyn potrafi za pomocą swojej procy trafić komara w oko.

- Oj, to chyba lekka przesada - stwierdziła niepewnie Evanlyn.

Alyss uniosła jedną brew.

- Cóż, wybrałaś nieodpowiednią chwilę, by mnie o tym powiadomić.

Evanlyn puściła uwagę mimo uszu. Zdawała sobie sprawę, że złośliwości ze strony Alyss biorą się ze zdenerwowania. Nic dziwnego, bądź co bądź, jej towarzyszka zamierzała wystawić się na niewiarygodne wprost niebezpieczeństwo.

- Zresztą - mówiła dalej Alyss - gdy przyjdzie co do czego, ja znajdę się w bezpiecznym schronieniu, pod moją tarczą. Za to ciebie nic nie będzie chronić przed naszym kiciusem.

Sporządzony według jej wskazówek wielki, drewniany pawęż stał oparty o ścianę. Prostokątny, niemal dwumetrowej wysokości, lekko wybrzuszony. Wyglądał bardzo podobnie do tarcz używanych przez Kikorich - i miał kurierce posłużyć jako osłona przed napaścią *Kyofu*.

Nimatsu westchnął ciężko. Podziwiał z całego serca tę wysoką, dworną cudzoziemkę, lecz obawiał się, że dziewczyna nie przeżyje nadchodzącej nocy.

- Powtarzam, nie podoba mi się ów pomysł - stwierdził, choć zdawał sobie sprawę, iż nie zdoła jej wyperswadować szaleńczego przedsięwzięcia.

Alyss uśmiechnęła się do niego, choć niezbyt wesoło.

- Mnie także ten pomysł nie zachwyca. Tylko że akurat w tej chwili innego nie mam.

* * *

Gdzieś w pobliżu miarowo pohukiwała sowa. Gdy Alyss usłyszała ptaka po raz pierwszy, włosy stanęły jej dęba. Teraz jednak zdążyła już się przyzwyczaić, nawoływanie sowy stało się częścią zwyczajnych głosów nocy, wraz z szelestem gałązek i cichym poszumem wiatru.

Stała, oparta plecami o największe drzewo, jakie zdołała znaleźć w okolicy, trzymając przed sobą ciężką tarczę, z przedramieniem przesuniętym przez skórzane pasy, gotowa podnieść puklerz w każdej chwili. Znad górnej krawędzi widać było tylko czubek głowy oraz

oczy Alyss. U prawego boku dziewczyna przypasała saksę Evanlyn. Ta krótsza broń wydawała jej się przydatniejsza, łatwiejsza do użycia niż długa szabla - zakładając, rzecz jasna, iż w ogóle zdoła jakiejś broni użyć. Obok sterczały wbite w ziemię dwa oszczepy, chociaż wątpiła, by mogły na coś się przydać. Jednak na wszelki wypadek przyniosła je ze sobą. Głowę, twarz i prawe ramię owinęła grubą skórą dla ochrony przed pazurami *Kyofu*. Po namyśle doszła do wniosku, że drapieżnik jest z pewnością jakimś wielkim kotowatym. Słyszała niejedną opowieść o tygrysach oraz o ich niemal nadnaturalnej umiejętności bezgłośniego podchodzenia ofiar. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić, aby podobnego wyczynu zdołał dokonać tak niezdarny zwierzak jak niedźwiedź.

Oparła się mocniej o drzewo. Bolały ją nogi. Stała tu od kilku godzin, toteż zmęczyła się, w dodatku dokuczał jej przenikliwy ziąb, przez co sztywniały mięśnie. Marzyła wprost, by usiąść na kilka minut, lecz zdawała sobie sprawę, że gdyby potwór pojawił się akurat wtedy, kiedy ona usiadzie, znalazłaby się w nader niekorzystnej sytuacji. Stojąc, mogła natychmiast się poruszyć, unieść tarczę w górę, gdyby atak nadszedł z przodu, i w razie potrzeby dodatkowo odwrócić ją na bok. Pień drzewa osłaniał dziewczynę z tyłu.

Poruszyła nogami, próbując przywrócić krążenie krwi. Przeniosła ciężar ciała z jednej kończyny na drugą. Chwilowa ulga przyprawiała kurierkę o jeszcze większy dyskomfort, kiedy trzeba było znowu stanąć na odpoczywającej przez chwilę nodze. Która też może być godzina? - zastanowiła się Alyss. Cienki sierp księżycy znikł już dawno, cienie pod drzewami ziały atramentową czernią. Spojrzała na platformę umiejscowioną na drzewie, naprzeciwko jej stanowiska. Ledwo dostrzegała jej zarys, a postać czuwającej tam Evanlyn stanowiła jedynie czarną plamę. Takiej to dobrze - pomyślała - przynajmniej może sobie siedzieć.

Nagle...

Coś zaczęło się dziać.

Wyczuła. W lesie coś się zmieniło. Serce łomotało głośno, kiedy próbowała zorientować się, na czym polega różnica. Zaraz potem zrozumiała.

Sowa przestała pohukiwać. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Alyss odruchowo w myśli liczyła jej nawoływania. Ptak wydawał ponure puchania regularnie, narachowała ich jakieś sto pięćdziesiąt albo nawet sto sześćdziesiąt. Potem umilkł, choć ona w myśli liczyła dalej, doszła do stu siedemdziesięciu trzech.

Wyczuwała obecność. Bliską, groźną. Zerkała znad tarczy na wszystkie strony, usiłując przebić spojrzeniem mrok, desperacko wypatrując drapieżnika. Za wszelką cenę usiłowała się zorientować, z której strony nadejdzie atak.

- Z lewej! Alyss, z lewej!

Mroczny las rozbrzmiał przenikliwym wrzaskiem Evanlyn; Alyss natychmiast odwróciła się w lewo, unosząc tarczę, by zasłonić się przed szarżującą na nią masą, której nie zdążyła nawet dokładnie dostrzec.

W tej samej sekundzie nastąpiło potężne uderzenie, które odrzuciło ją w tył. Rozpaczliwie zaciskała dłoń na uchwytych, byle tylko nie wypuścić tarczy, jedynej nadziei na ocalenie. Upadła na plecy w puszysty śnieg, stęknęła głucho. Zaraz potem jakiś piekielnie ciężki i wielki stwór, niewiarygodnie przy tym silny, przygniótł ją; skuliła się, by jej głowa oraz nogi znalazły się jak najdalej od krawędzi drewnianej osłony. Potwór usiłował dobrać się do łupu. Dosłyszała mrożący krew w żyłach odgłos, gdy *Kyofu* darł drewno pazurami, usiłował potężnymi zębiskami rozgryźć górną krawędź tarczy.

Kocim zwyczajem podkurczył tylne łapy, gdyż chciał jednym potężnym uderzeniem rozpruć brzuch złowionej zwierzyny. Natrafił jednak nie na miękkie ciało, lecz na solidne deski, wzmocnione żelaznymi okuciami. Bestia rozorywała więc drewno, złościła głębokie rysy w żelazie.

Zwierz parsknął z bólu i gniewu, bowiem w poduszki jego łap wbiły się długie drzazgi. Wiedział, że tuż pod nieustępliwą powierzchnią kryje się świeże mięso i ciepła krew, nie zamierzał tedy dawać za wygraną.

* * *

Kiedy Evanlyn dostrzegła nagle poruszenie na skraju polany, ledwo zdążyła ostrzec Alyss; w następnej chwili potwór zderzył się z tarczą, powalając dziewczynę na ziemię. Jednak jak dotąd, drewniana osłona spełniła swe zadanie. Alyss zdołała schronić się za pawężem przed atakującym drapieżcą. Teraz przyszła kolej na Evanlyn. Zrzuciła czym prędzej zwój liny, zsunęła się parę metrów, potem zeskoczyła na ziemię.

Już trzymała w dłoni procę; ledwie tylko jej stopy dosięgły twardego podłoża, od razu zakładała jeden z ciężkich, odlanych z ołowiu jajowatych pocisków. Aby uzyskać maksymalną siłę, zakręciła procą dwukrotnie, nim wypuściła ołów w stronę szalejącego drapieżcy.

Wydawało jej się, że wszystko odbywa się powoli, jak we śnie. Spostrzegła, że *Kyofu* to wielki kot, potężniejszy nawet od pustynnych lwów, które Selethen pokazywał jej podczas podróży przez Arydię. Naprawdę ogromny, porośnięty białym futrem w szare, niewyraźne pręgi.

Tygrys śnieżny - przeszło jej przez myśl. Pocisk trafił bestię w lewą łopatkę; rozległo się obrzydliwe chrupnięcie miażdżonej kości. Nie zwlekając ani chwili, machinalnie sięgnęła po kolejny, zakręciła znów, wystrzeliła.

Łup! Ołów trafił w żebra, krusząc je. Tygrys zawył, targany wściekłością i bólem. Odwrócił łeb w jej stronę.

Ukryta za tarczą Alyss słyszała następujące w krótkim czasie po sobie dwa głuche uderzenia. Nacisk po prawej stronie zelżał, gdy lewa przednia łapa zwierzęcia zwiśla bezwładnie. Potem usłyszała drugie chrupnięcie, po którym *Kyofu* nie próbował już rozszarpać tarczy na strzępy. Kiedy uniósł paszczę, by odszukać Evanlyn, nacisk zelżał jeszcze bardziej, była już w stanie poruszyć prawą ręką. Wypuściła z dłoni uchwyt, sięgnęła po rękojeść przypasanej u prawego biodra saksy. Dobyła oręża z siłą straceńca.

Evanlyn wymierzyła uważnie trzeci strzał; pocisk zgruchotał kość biodrową zwierzęcia. Teraz również lewa tylna łapa odmówiła posłuszeństwa, toteż na niczym spełził zamiar bestii, by jednym susem dopaść postaci, którą już dostrzegła po drugiej stronie polanki. Morderczy w założeniu skok okazał się tylko niezgrabnym szarpnięciem. Oszałały z bólu zwierz odwrócił się, by kłapnąć zębiskami w stronę źródła cierpienia gruchoczącego kości. Cierpienia, które sprawiało mu tak straszliwy ból.

W tej samej chwili czwarty ołowiany pocisk Evanlyn trafił dokładnie w sam środek wielkiego pyska.

Jednocześnie Alyss sięgnęła spod krawędzi tarczy. Ostrą klingą przeciągnęła po podbrzuszu zwierzęcia, zostawiając ranę długą na pół metra.

Potwór ryknął rozdzierająco; wydarł się zeń ryk śmiertelnej grozy, gardłowy skowyt agonii. Podwójnie okulawiony, z rozprutymi trzewiami, legł na bok w śnieg, który poczerwieniał od krwi.

Odpychając się gwałtownie nogami, Alyss wysunęła się spod tarczy. Ślizgała się na plecach, byle dalej od szarpiących w śmiertelnych drganiach pazurów. Evanlyn podbiegła, chwyciła za ramię i odciągnęła kurierkę, pomagając jednocześnie towarzyszce wstać. Przywarły do siebie na chwilę. A potem *Kyofu* zacharczał raz jeszcze, następnie zaś znieruchomiał.

- Zdechł - stwierdziła bezbarwnym tonem Evanlyn.

Alyss nie odpowiedziała. Oparła się o drzewo. Gwałtownie zwymiotowała.

ROZDZIAŁ 49

Gdy nastał dzień, wyruszyły do pobliskiej wioski, gdzie wypożyczyły dwa konie, by zaciągnąć nimi truchło potwora do zamku pana Nimatsu.

Jak trafnie stwierdziła Evanlyn, był to tygrys śnieżny. Jednak tygrys niezwyklej wielkości, mierzył bowiem od nosa do ogona prawie pięć metrów. Kiedy wędrowały przez miasto u stóp wzgórza, Hasanu wylegli, by przyglądać się im z podziwem. Tu i ówdzie rozbrzmiewały okrzyki zdumienia, gdy oczom kolejnych gapiów ukazywało się wielkie cielsko, poplamione krwią i brudem. Łatwo też dawało się dostrzec spustoszenia poczynione pociskami Evanlyn - lewa przednia łapa wykręciła się pod dziwnym kątem, a zmiażdżona dolna szczęka niemal oddzieliła się od czaszki stwora, trzymała się tylko na ścięgnach; pysk oraz szyję zwierzęcia pokrywała zaschnięta, zamarzła krew.

Najbardziej jednak rzucało się w oczy rozcięcie na brzuchu bestii, wokół którego futro także przesiąkło posoką.

Łeb podskakiwał na nierównościach drogi. Półprzymknięte ślepia zaszyły śmiertelną mgłą. Jednak nawet martwy tygrys w pełni zasługiwał na swój przydomek - *Kyofu*, czyli Groza.

Wieść rozchodziła się szybko, coraz liczniejsi Hasanu pojawiali się, by obejrzyć potwora. Budził przecież strach w całej okolicy. A potem spoglądali na dwie drobne dziewczyny, które powaliły olbrzyma. Blade, wycieńczone zarówno od wysiłku, jak i od przeżytego lęku. W zestawieniu z ogromem bezwładnego truchła, przedstawiały sobą widok zgoła niepozorny. Kurtka Alyss oraz jej spodnie rozdarły się w kilku miejscach, poplamily się też ziemią, kiedy upadła na plecy. Zdjęła z twarzy i ramion skórzane osłony. Tarczę zawiesiły na chomać konia człapiącego po lewej stronie; dopiero w świetle dnia przekonały się, jakich spustoszeń dokonały kły i łapy *Kyofu*. Górna krawędź osłony pękła, a większość jej powierzchni pokrywały głębokie bruzdy. Także żelazne okucia lśniły zadrapaniami tam, gdzie w metal wbiły się potężne pazury.

Kiedy dwie dziewczęce postacie, drobniutkie wobec olbrzyma *Kyofu*, kruche nawet w zestawieniu z potężnie zbudowanymi przedstawicielami plemienia Hasanu, wędrowały przez miasteczko, mieszkańcy kłaniali się im, coraz to nowi, kolejni - wyglądało to jak łan zboża pochylający się pod naporem wiatru.

- Może powinniśmy im pomachać albo coś w tym rodzaju? - spytała półgłosem Evanlyn. Zalecenia wpajanej od dzieciństwa dworskiej etykiety nie przewidziały takiej sytuacji.

- Machaj sobie, jeśli chcesz. Ja jestem zbyt zmęczona - odparła Alyss.

Spojrzała do przodu. Główna ulica miasteczka prowadziła pod górę, kończyła się przy zamku. Czekał tam na nie pan Nimatsu. Kiedy zbliżyły się, złożył im najniższy z możliwych pokłonów.

Alyss z Evanlyn spojrzwały po sobie, odpowiedziały tym samym - sztywno, nie wiedząc, co począć z rękami.

- Ariss-san, Ev-an-in-san - odezwał się szlachetny wielmoża, wyprostowawszy się - wyświadczyłyście mojemu ludowi ogromną przysługę.

Evanlyn skinęła głową, rozejrzała się wokół i wskazała wielkie cielsko leżące na ziemi.

- Nimatsu-san, oto *Kyofu* we własnej osobie. Martwy.

- O, widzę to. Widzę - odparł cicho Nimatsu. Podszedł, by przyjrzeć się tygrysowi z bliska, a także obejrzeć straszliwe rany, jakie zadały mu te niepozorne cudzoziemki.

- Nic wam nie jest? - spytał.

Alyss machnęła ręką.

- Cała jestem obolała i potłuczona, na pewno będę miała siniaki.

Evanlyn zaśmiała się krótko.

- A ja myślałam, że umrę ze strachu. Jednak, poza tym, nie narzekam. Gdybyś tylko zobaczył tamtego, co z nami zadarł... - urwała, po czym, niby to żartobliwym tonem, poprawiła się: - A, no tak, prawda. Przecież możesz go zobaczyć. Leży sobie tutaj.

- Tygrys śnieżny - stwierdził półgłosem Nimatsu. Przyklęknął obok powalonego cielska, dotknął białego futra. - Nigdy nie widziałem równie wielkiego. Myślałem, że już dawno opuściły tę okolicę.

- Jak widać, jeden postanowił zabawić dłużej - stwierdziła Alyss.

Nimatsu podniósł spojrzenie znad cielska martwego tygrysa i popatrzył w oczy dwóch przybyłych zza morza cudzoziemek. Pan Nimatsu w swym życiu bywał niejednokrotnie świadkiem bohaterskich wyczynów podczas bitwy. Nigdy jednak nie spotkał się z większą odwagą. Zwrócił się do zgromadzonych Hasanu, którzy przyglądali się, wciąż w milczeniu.

- Ludu Hasanu! - rzekł podniesionym głosem, by słyszeli go wszyscy; ku niemu zwróciły się setki twarzy. - *Kyofu* odszedł na zawsze!

Zupełnie jakby czekali na oficjalne potwierdzenie oczywistego już faktu. Dopiero teraz

rozległ się potężny, nieartykułowany ryk triumfu. Alyss z Evanlyn znów nie wiedziały, jak się zachować. Prawdę mówiąc, spieszyło im się, by zniknąć wszystkim z oczu i pozbierać się po wydarzeniach strasznej nocy.

Nimatsu uniósł ręce, zbiorowy okrzyk tłumu stopniowo ścisł.

- *Kyofu* uśmiercił siedemnastu z naszych przyjaciół i sąsiadów. A teraz te dziewczęta, te młode kobiety z cudzoziemskiego kraju położyły kres Grozie!

Alyss uniosła jedną brew. Nie użył słowa *gaijin*. To określenie oznaczało cudzoziemca lub cudzoziemkę, jednak miało lekko pejoratywny odcień. Najwidoczniej pan Nimatsu z rozmysłem wypowiedział się tak, by w głowie żadnego ze słuchaczy nie pojawił się nawet cień nieprzychylnego skojarzenia.

- Ludu Hasanu, dziękujcie Ev-an-in-san oraz Ariss-san!

Rozległ się teraz okrzyk, wprost ogłuszający. Alyss zerknęła na stojącą obok Evanlyn. Księżniczka uśmiechnęła się.

- Chyba jednak wypada im odpowiedzieć - stwierdziła.

Podziękowały więc machaniem, kwitując gromki aplauz. Pan Nimatsu podszedł do nich.

- Dzisiaj musicie wypocząć - rzekł. - Ja tymczasem roześlę wici, by zebrać armię Hasanu. Sądzę, iż pod koniec tygodnia zdołamy wyruszyć na pomoc cesarzowi Shigeru.

* * *

Alyss pławiła się z rozkoszą w gorącej wodzie, niosącej ukojenie mięśniom obolałym po walce z *Kyofu*. Wciąż miała żywo w pamięci obezwładniające przerażenie, jakie ogarnęło ją, gdy potężna bestia wyskoczyła z mroków nocy. Rozpamiętywała nieludzki, zwierzęcy strach, od którego zasychało w gardle, kiedy kuliła się pod drewnianą tarczą - słysząc, jak pazury i zębiska rozrywają deski - czując, że nie wytrzymają już długo wściekłego naporu. I pamiętała ulgę, niewysłowioną ulgę, kiedy zorientowała się, że ołowiane pociski Evanlyn bombardują cielsko zwierza.

- Jednak jest w tym dobra. I ci, którzy tak powiadają, wcale się nie mylą - mruknęła sama do siebie.

Choć z żalem, uznała, że czas już zakończyć pluskanie. Owinęła się w obszerny, ciepły płaszcz kąpielowy; stęknęła cicho, bo nawet dotknięcie miękkiej tkaniny przypomniało o siniakach na całym ciele. Jednak za sprawą kąpeli ból znacznie już zelżał. Rozległo się ciche stukanie w obramienie drzwi.

- Proszę - zawołała.

Drzwi rozsunęły się, weszła Evanlyn. Ona również zażyła kąpeli. Miała na sobie

podobny płaszcz, jej krótkie, jasne włosy jeszcze nie wyschły.

- Jak się czujesz? - spytała księżniczka.

Alyss podeszła do niskiego stołka. Usiadła, krzywiąc się boleśnie. Wskazała Evanlyn drugie siedzisko.

- Jakoś przeżyję - stwierdziła z krzywym uśmiechem.

- Muszę przyznać, że gorąca woda to cudowny lek. Co mnie nie ugotuje, to mnie wzmocni - dodała, przekręcając znane powiedzenie. Potem spoważniała, spojrzała Evanlyn prosto w oczy. - Przyszło mi do głowy - rzekła - że z tego wszystkiego zapomniałam o jednym: zapomniałam ci podziękować.

- Podziękować mi? - powtórzyła Evanlyn tonem pełnym niedowierzania. - Nigdy w życiu nie widziałam, by ktoś dokonał takiej rzeczy, jak ty zeszłej nocy! Chyba nawet nie słyszałam, żeby ktoś wykazał podobną odwagę! A właściwie skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

Alyss zaczerwieniła się odrobinę, ale ponieważ nabrała już kolorów od gorącej kąpieli, trudno byłoby spostrzec zmieszanie.

- Selethen opowiadał mi w Toscano, że na południu Arydii nomadzi polują w ten sposób na lwy. Pozwalają, żeby drapieżnik rzucił się na myśliwego osłoniętego tarczą, dają się powalić, a potem dźgają spod osłony. Uznałam, iż to może się okazać dobrym sposobem na *Kyofu*. Weź pod uwagę - dodała z uśmiechem - że tamci łowcy nie dysponują niewątpliwym atutem, jakim jest ktoś, kto waliłby w lwa ołowianymi kulami. Nie masz pojęcia, z jaką ulgą odetchnęłam, patrząc, jak pierwszy pocisk miażdży bestii łapę.

Patrzyła z powagą na towarzyszkę. Wszyscy rozpływali się nad odwagą Alyss, która postanowiła odegrać rolę przynęty. A tylko Alyss zdawała sobie sprawę, że kiedy do akcji wkroczyła Evanlyn, nie dysponowała niczym, co mogłoby ją chronić. Gdyby nie strzelała z procy tak celnie, stanęłaby oko w oko z rozwścieczoną bestią, nie posiadając tarczy, zbroi ani żadnej innej osłony.

Fakt, Alyss bez wątpienia naraziła życie, żeby pokonać *Kyofu*, lecz Evanlyn ryzykowała w takim samym stopniu. Kto wie, być może nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Alyss nabrała dla niej ogromnego szacunku - nie tyle z racji zręczności następczyni tronu w posługiwaniu się procą, co z powodu jej gotowości, by wystawić się na niebezpieczeństwo, kiedy przyszła pora ocalić towarzyszkę.

No, tylko że... Alyss stanowczo odsunęła od siebie jakże niegodną myśl. Jednak chyba rozważania Evanlyn podążały podobnym torem.

- Alyss - odezwała się ostrożnie, lecz z odcieniem stanowczości w głosie, jakby

powzięła jakąś decyzję. - Posłuchaj, nadejdzie taki dzień, że zostanę królową. Zaprawdę wówczas otoczy się ludźmi, których cechuje odwaga, oddanie i otwarty umysł.

- Ze wszech miar słusznie - przyznała Alyss.

- I powiem ci szczerze, chcę mieć wśród swych doradców wiele kobiet. Uważam, że kobiety spoglądają na świat z innej perspektywy, czego po tylekroć dowiodła twoja mentorka. Pragnę, byś znalazła się w ścisłym gronie moich doradców - i moich przyjaciół. Uważam, że wiele zdołamy zdziałać razem, współpracując.

Alyss pokłoniła się na nihoński sposób, nie wstając z siedziska. Skrzywiła się lekko, gdyż obolałe mięśnie przypomniały o sobie.

- Zawsze z radością będę służyć mojej królowej i mojemu krajowi. Ze wszystkich sił - zapewniła.

Evanlyn rozłożyła bezradnie ręce.

- Alyss, czy ty musisz być taka sztywna? Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć? Naprawdę, nie potrafię przebić się przez tę skorupę. Zrozum: szanuję cię. Podziwiam cię. Lubię cię! Chcę zostać twoją przyjaciółką! Mój ojciec udowodnił, że najlepiej rządzić, mając za doradców serdecznych przyjaciół. Halt, Crowley, baron Arald... To nie tylko doradcy. Od wielu, wielu lat łączy ich przyjaźń. A przyjaciele zdobędą się na to, żeby powiedzieć mi, kiedy się mylę. I tego właśnie chcę!

- Ależ, wasza wysokość, czyżbym kiedyś okazała nieprzyjazne uczucia? Zawsze starałam się spełniać swoje obowiązki wobec...

Twarz Alyss przypominała teraz maskę, natomiast policzki Evanlyn zaczerwieniły się.

- Jak grochem o ścianę! - przerwała kurierce, na dobre już rozzłoszczona. - „Wasza wysokość to, wasza wysokość tamto. Nieprzyjazne uczucia. Zawsze staram się spełniać swoje obowiązki” - przedrzeźniała rozmówczynię. - Usiłuję ofiarować ci moją przyjaźń, ale ty się chyba uparłaś, żeby ją odrzucić. Dlaczego? Powiedz mi wreszcie, o co ci chodzi? Uporajmy się z tym raz na zawsze!

Alyss zaczerpnęła tchu. Wahała się jeszcze. Słowa, które cisnęły się na usta dziewczyny, mogły zaważyć na całej jej przyszłości, zrujnować karierę. Lecz nie potrafiła już się powstrzymać, tama puściła.

- Obie wiemy, o co chodzi! Trzymaj ręce precz od Willa. I tyle, rozumiesz? - Zerwały się obie na równe nogi; Alyss przewyższała Evanlyn wzrostem, spoglądała na nią z góry, jednak księżniczka nie dała się zastraszyć:

- Will? A co tutaj Will ma do rzeczy? Chodzi o mnie i o ciebie, nie o żadnego Willa!

- Jak to nie? Przecież ty się w nim kochasz! Myślisz sobie, że jak jesteś księżniczką, to

dostaniesz wszystko, czego zapragniesz. A chcesz dostać Willa. Każdy głupi o tym wie!

- Jeśli tak ci się zdaje, to przykro mi, lecz do tych głupich przede wszystkim zaliczasz się ty sama, Alyss Mainwaring. Bo ja wcale nie „kocham się” w Willu. Kocham Horace'a - to ostatnie zdanie Evanlyn wypowiedziała przyciszonym głosem, lecz pomimo tego nie zabrzmiało ono mniej stanowczo.

- Jak to nie? Nie próbuj zaprzeczać. Przecież... - dopiero teraz do świadomości Alyss dotarło, co powiedziała księżniczka; urwała więc w pół zdania. - Słucham? - wyjąkała. - To znaczy, wiem, że Horace się w tobie kocha. Ale ty...?

- Ja kocham jego. I to głęboko. Jego. I tylko jego. Jak myślisz, dlaczego tłukę się przez pół świata, żeby go ratować? Dlatego, że dobrze tańczy? Jasne, że lubię Willa. Bardzo go lubię. Ale lubić, to nie to samo co kochać. Przeszliśmy razem tak wiele, a on okazał się wspaniałym przyjacielem; bronił mnie i chronił, zresztą, ja także czasem mu trochę pomogłam. Wiesz, wiele lat temu, kiedy wróciliśmy ze Skandii, tak, wtedy wydawało mi się, że jego właśnie kocham. I przyznaję, próbowałam go zdobyć. On jednak poszedł swoją drogą. Staliśmy się więc przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Z tym także nie potrafisz się pogodzić?

Alyss wahała się. Nadal nie była przekonana, czy potrafi zaufać Evanlyn w sprawach dotyczących Willa.

- Ale... - zaczęła.

Evanlyn znów jej przerwała:

- Niech cię wszyscy diabli, dziewczyno! Powiedz mi, co czujesz do Horace'a?

- Do niego? - odezwała się zaskoczona Alyss. - No, wychowaliśmy się razem. Jasne, że strasznie go lubię. Trochę tak, jakby był moim bratem.

- No, właśnie! A teraz powiedz, czy miałam kiedykolwiek coś przeciwko temu? Czy miałam do ciebie o Horace'a pretensje?

Alyss uśmiechnęła się kwaśno.

- Cóż, kiedy go odnalazłyśmy, omal nie złamałaś mi ręki, starając się odciągnąć Horace'a ode mnie - stwierdziła, co Evanlyn skwitowała ciężkim westchnieniem. - Ale nie... Chyba nie o to ci wtedy chodziło. Zresztą, nie miałaś żadnego powodu. Nic takiego... wiesz... No, między mną a Horace'em nigdy nic nie zaszło.

- Aaaaaaagggggghhhhhh!!! - wrzasnęła na cały głos Evanlyn. Alyss aż cofnęła się o krok, zaskoczona. - Właśnie to ci usiłuję powiedzieć! Bo tak właśnie jest między mną i Willem, że nic takiego między nami nie zaszło! Zrozum to wreszcie! Do wszystkich diabłów, zrozum to!

Bardziej niż osłupiała, Alyss przyglądała się stojącej przed nią, kipiącej gniewem

postaci. Musiała przyznać, że wywód Evanlyn trafił jej do przekonania. Tymczasem Alyss przez kilka minionych miesięcy, a właściwie przez czas o wiele dłuższy, odnosiła się do niej podejrzliwie, nieufnie, mając jej za złe każdą chwilę spędzoną z Willem. I dopiero teraz zdała sobie sprawę, że także Evanlyn, gdyby tylko zechciała, mogłaby żywić równie bezzasadną zazdrość wobec Alyss z powodu jej przyjaźni z Horace'em.

A jednak nie. Pogodziła się z tym, a może nigdy jej to nie trapiło.

I wtedy Alyss nagle poczuła się okropnie podle, bowiem przypomniała sobie wszystkie docinki, wszystkie złośliwości (nie licząc obitych knykcii), jakie znaczyły ich dotychczasowe stosunki. Tymczasem Evanlyn zawsze zachowywała się przyzwoicie - jak uznała Alyss, wielkodusznie, popadając z jednej skrajności w drugą. - To ja zawsze zachowywałam się wstrętne, byłam małostkowa i zazdrosna. A przecież Evanlyn to szlachetna, odważna dziewczyna. Nie zawahała się narazić życia, gdy Alyss znalazła się w niebezpieczeństwie. Działała szybko, skutecznie.

Ofiarowała Alyss swoją przyjaźń, a ona jak zwykle ją odepchnęła.

- Wybacz - bąknęła pojednawczym tonem. - Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób.

Ogarnął ją wstyd. Przez kilka chwil nie potrafiła spojrzeć Evanlyn w oczy. Jednak gdy znowu rozległ się głos księżniczki, usłyszała w nim uśmiech.

- No, całe szczęście, żeśmy z siebie wreszcie wszystkie kwasy wyrzuciły. Bądź co bądź, nasi przyszli małżonkowie są najlepszymi przyjaciółmi. Byłoby piekielnie kłopotliwe, gdyby dalej panowała między nami nienawiść.

- Nigdy cię nie nienawidziłam - zaprotestowała Alyss, na co Evanlyn tylko uniosła jedną brew, przybierając tak dobrze znany wszystkim przyjaciółom Halta wyraz twarzy.

- Doprawdy? - spytała tylko.

Alyss machnęła niezgrabnie ręką.

- No... Może, troszeczkę. Ale teraz to już przeszłość. Spojrzała na Evanlyn, uśmiechnęły się do siebie. W ich uśmiechach zagościło prawdziwe ciepło, jakiego dotąd między nimi brakowało. Alyss uzmysłowiła sobie, że ciepło owo może się stać początkiem pięknej przyjaźni, która przetrwa całe życie.

- Naprawdę chcesz wyjść za Horace'a? - spytała, zaintrygowana.

Evanlyn przytaknęła.

- Jasne, a co myślałaś? - odparła, po czym dodała: - Przyda mi się wysoka druha. Będę przy tobie wyglądać jak krucha, drobna istotka. Bardziej kobieco, rozumiesz?

ROZDZIAŁ 50

Halt klepnął znużonego wywiadowcę w ramię.

- Dzięki, przyjacielu - rzekł. - Teraz pożyw się nieco, odpocznij. Dobrze się przysłużyłeś cesarzowi.

- *Hai*, Halto-san! - odparł wycieńczony wędrowną młodą Kikori. Miał za sobą cztery dni nieustannego napięcia i wysiłku, kiedy przekradał się do Ran-koshi, omijając stanowiska ludzi Arisaki. Pokłonił się nisko cesarzowi, potem jeszcze pozostałym dowódcom. Odwrócił się, po czym odszedł. Halt odczekał chwilę, aż chłopak się oddali.

- Moim zdaniem, ta wiadomość przesądza o wszystkim - odezwał się. - Musimy nakłonić Arisakę do podjęcia bitwy, zanim nadejdą posiłki.

- Teraz wiemy, dlaczego zwlekał - rzekł powoli Horace. Dolina prowadząca do Ran-koshi stała się możliwa do przebycia już kilka dni wcześniej, potem zaś stopniały resztki śniegu. Oczekiwali ataku ze strony Arisaki w każdej chwili, tymczasem dni mijały, a atak nie nadchodził. Obecnie wyjaśniło się, skąd bierze się owa opieszałość zbuntowanego wielmoży. Generał Yamada, nieoczekiwany sojusznik, wyruszył mu na pomoc wraz z oddziałem liczącym trzystu senshich.

Zgodnie z doniesieniami, jakie właśnie otrzymali, dodatkowe siły mogły pojawić się w ciągu najbliższych dni. Shigeru smutno potrząsnął głową.

- Miałem nadzieję, że Yamada zachowa przynajmniej neutralność. Nigdy nie przypuszczałem, że uwierzy w kłamstwa rozpowszechniane przez Arisakę.

W ciągu zimy Kikori nawiązali kontakt z siatką wywiadowczą stworzoną przez Atsu, dzięki czemu do Ran-koshi stale docierały wiadomości z całego kraju. Pragnąc uzyskać poparcie niezaangażowanych dotąd klanów, wysłannicy Arisaki rozgłaszali wszem i wobec, że Shigeru porzucił tron, a następnie uciekł z kraju. Arisaka utrzymywał, że skorzystał z tego bliżej nikomu nieznanego uzurpatora podszywającego się pod cesarza, aby podstępem zdobyć tron.

- Im bezwstydniejsze kłamstwo, tym chętniej ludzie dają mu wiarę - stwierdził współczującym tonem Halt. - Nikt nie pomyśli, że Arisaka łże, skoro rozgłasza tak nieprawdopodobne brednie.

- Lecz z pewnością kiedy Yamada i jego ludzie ujrzą Shigeru, zorientują się, że to bzdura? - wtrącił Will.

Halt pokręcił głową.

- Ilu ludzi Yamady zna cię z widzenia? - spytał cesarza.

Shigeru ściągnął usta.

- Znąją mnie nieliczni. A sam Yamada źle widzi, musiałby podejść bardzo blisko, żeby stwierdzić, czy to na pewno ja.

- Arisaka z pewnością postara się, by za twojego życia do żadnej konfrontacji nie doszło - odparł Halt. - Jednak jeśli zdołamy rozbić siły Arisaki przed przybyciem Yamady, wówczas uzyskasz szansę udowodnienia mu, że jesteś cesarzem.

- Pod rozkazami Arisaki walczy przynajmniej pięciuset zbrojnych - zauważył Will. - Jeśli chodzi o przewagę liczebną wobec naszych, to więcej niż dwóch na jednego.

- Jeżeli zaczekamy na przybycie Yamady, zrobi się proporcja czterech na jednego - stwierdził Halt. - A zresztą, jeśli wystąpimy z inicjatywą, zyskamy możliwość wyboru pola bitwy.

Zwrócił się do Jito, naczelnika starszyny w wiosce Kawagishi, który stał na uboczu, trzymając się w odległości kilku kroków od pozostałych. Jito wciąż nie ośmielał się zanadto zbliżyć do cesarza, choć uczyniono go pełnoprawnym uczestnikiem narad. Halt powierzył mu kwestie logistyczne oraz organizację obrony.

- Jito, czy „jeże” gotowe?

Jito przytaknął:

- Tak, Halto-san. Mamy ich pięćdziesiąt. Kazałem znieść je Przesmykiem Mikeru, są w każdej chwili gotowe do złożenia i rozmieszczenia.

Ci z Kikorich, którzy nie ćwiczyli się na wojowników, zajmowali się przez minione miesiące wytwarzaniem najrozmaitszego sprzętu, w tym właśnie „jeży”, przenośnych zasieków pomysłu Halta.

- A więc uczyńcie, co należy, dzisiejszej nocy. Rozstawcie je między skałami a zboczem góry.

- Tak jest, Halto-san. To nam zajmie cztery do pięciu godzin.

- O świcie wszystko musi być gotowe. Zaczynajcie od razu albo później - nie narzucam wam rytmu pracy, lecz za wszelką cenę uporajcie się z tym, nim wzejdzie dzień.

- Tak się stanie, Halto-san. - Jito pokłonił się cesarzowi, po czym wyszedł z namiotu.

Horace podszedł, by przyjrzeć się przygotowanej przez Halta mapie.

- Widzę, że zamierzasz walczyć z Arisaką w tym samym miejscu, gdzie stoczyliśmy pierwszą bitwę.

Halt skinął głową.

- Z prawej flanki osłania nas uskok. Skały po lewej stronie wystarczyły, kiedy tamci nie dysponowali tak wielką przewagą liczebną, lecz teraz trzeba nam więcej. „Jeże” osłonią nas aż po tamto zbocze. Tym sposobem staniemy się bezpieczni z obu stron.

Selethen, spoglądając na mapę, drapał się po brodzie w zamyśleniu.

- Względnie bezpieczni - poprawił Halta. - Jeśli dać im trochę czasu, przedrą się przez zasieki z „jeży” - stwierdził.

Halt zerknął w stronę Arydy.

- W rzeczy samej. Dlatego właśnie oszczepnicy Mikeru znajdują się po tej właśnie stronie. Pozostaną ukryci za rumowiskiem, a potem uderzą na senshich, którzy będą próbowali tamtędy się przedostać. Rezerwowi *goju* zajmie się tymi, którzy zdołają przejść. Ludzie Moki im w tym dopomogą, jeśli zajdzie potrzeba.

Moka, dowódca straży przybocznej Shigeru, przysłuchiwał się rozporządzeniom cudzoziemców ze zmarszczonymi brwiami.

- Halto-san - spytał - czy nie prościej wydać im bitwę w dolinie? Tam bez trudu znajdziemy miejsce, w którym jej strome zbocza osłonią obie nasze flanki.

- Gdybyśmy tak uczynili - wyjaśnił Halt - Arisaka nie zechciałby nas zaatakować. Przecież wie, że w każdej chwili możemy się wycofać i schronić za palisadę. Za to jeśli wyjdziemy na płaskowyż, uzna, że straciliśmy drogę odwrotu.

- Jeśli nie liczyć Przesmyku Mikeru - wtrącił Will.

- Zgadza się - przyznał Halt. - Jednak Arisaka nie wie o jego istnieniu. Dojdzie więc do wniosku, że sami wystawiliśmy się na nieuchronną zagładę i zechce rozprawić się z nami raz na zawsze.

- Gdyby doszło do najgorszego, nigdy nie zdołamy się wycofać tym wąwozem. Jest zbyt wąski, by przeprowadzić tamtędy odwrót w pośpiechu. Nasi ludzie utknęliby u samego ujścia - stwierdził Horace.

- Zgadza się - przytaknął Halt. - Podejmujemy ryzyko. Uważam jednak, że podjąć je trzeba, stawiając wszystko na jedną kartę.

Na twarzy cesarza malował się wyraz zatroskania. Spojrzał na Horace'a, potem znów na Halta.

- Halto-san, powiadasz tedy, że aby Arisaka zechciał nas zaatakować, musimy zająć tę niebezpieczną, odsłoniętą pozycję?

Halt wytrzymał jego spojrzenie.

- Otóż to, wasza wysokość. Gdy dochodzi do bitwy, zawsze pojawia się niebezpieczeństwo. Wojna to niebezpieczna gra. Bez ryzyka nie mamy szans na zwycięstwo.

Rzecz w tym, by podejmować takie ryzyko, które się opłaci.

- Skąd jednak wiesz, kiedy należy ryzykować, a kiedy unikać ryzyka? - spytał Shigeru.

Halt zerknął znacząco na swoich młodszych towarzyszy. Uśmiechając się od ucha do ucha, odpowiedzieli chórem:

- Kto zwycięży, ten się przekona!

Shigeru skinął głową.

- No, tak. Chyba mogłem się domyślić waszej odpowiedzi.

Will oraz Horace, tak samo jak Halt, wiedzieli doskonale, iż decydują się na nadzwyczaj śmiało przedsięwzięcie, lecz w przypadku tak miażdżącej przewagi liczebnej właśnie brawura daje jedyną szansę na zwycięstwo.

- Niech *goju* staną gotowe do wymarszu na dwie godziny przed świtem - rozkazał szpakowaty zwiadowca.

- Wyjdziemy bramą w palisadzie. Droga przez dolinę jest bezpieczniejsza i szybsza niż Przesmykiem Mikeru - którego zresztą używają teraz ludzie Jito.

* * *

Rozeszli się, na miejscu pozostali tylko Halt i Shigeru. Cesarz spoglądał wyczekująco na zwiadowcę. Wiedział, że Halt chce z nim porozmawiać, a domyślał się przy tym, jaki temat jego zamorski doradca chce poruszyć.

- Wasza wysokość - zaczął Halt - istnieje jeszcze jedno rozwiązanie, którego nie omówiliśmy...

Urwał, zastanawiając się, jakich słów dobrać. Shigeru uprzedził go:

- Halto-san, chcesz zapewne powiedzieć, że mógłbym wymknąć się i uciec z twierdzy, prawda?

Halta zamurowało, nie spodziewał się, że cesarz potrafi tak łatwo czytać w jego myślach. Szybko jednak odzyskał rezon:

- Tak, wasza cesarska mość. Niekoniecznie na długo. Muszę jednak przyznać, że znajdujemy się w niekorzystnej sytuacji. Być może lepiej się stanie, jeśli udasz się na wybrzeże. Kilka dni drogi stąd czeka nasz okręt, ukryty w zatoce. Skandianie mogliby zabrać cię na pokład i...

- I tym samym kłamstwo Arisaki przeistoczyłoby się w prawdę - wszedł mu w słowo Shigeru.

Halt skrzywił się.

- Niezupełnie. Przecież byś wrócił, żeby zaprowadzić porządek. Zyskałbyś w ten sposób czas, by zjednoczyć przeciwko Arisace południowe klany.

- A Kikori? Czy o nich pomyślałeś? - spytał Shigeru. - Co się z nimi stanie, jeśli teraz ich opuszczę?

Halt machnął ręką.

- Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie, Shigeru-san - stwierdził. - Przecież wcale ich nie porzucasz...

Shigeru zaśmiał się kpiąco.

- Owszem, pozostawiłbym ich własnemu losowi w przeddzień bitwy, którą mają stoczyć w moim imieniu - rzekł. - Nawet ty powiadasz, że w tym starciu grozi nam klęska. Odejdźcie w tak niepewnej sytuacji równałoby się zdradzie wobec moich żołnierzy.

- Oni nie będą tak uważać. Zrozumieją, walczą przecież dla ciebie - Halt upierał się, choć zdawał sobie sprawę, że nie zdoła przekonać cesarza.

- I właśnie dlatego, że walczą dla mnie, muszę tu pozostać - uciął Shigeru. Po chwili dodał jeszcze: - Powiedz, Halto-san, gdybym zdecydował się na ucieczkę, czy towarzyszylibyście mi - ty oraz twoi przyjaciele?

Halt milczał przez krótką chwilę, po czym odpowiedział zgodnie z prawdą:

- Nie, wasza wysokość, tego byśmy nie uczynili. Wyszkoliliśmy tych ludzi, nauczyliśmy ich walczyć. Naszym obowiązkiem jest pozostać i poprowadzić oddziały, gdy przyjdzie do bitwy.

- Otóż to. Ja zaś nakłoniłem ich, by walczyli w mojej sprawie. Gdy przyjdzie do ostatecznej rozgrywki, moim obowiązkiem jest wierzyć we własnych wiernych poddanych. Podobnie jak wy, muszę tu pozostać i podjąć ryzyko.

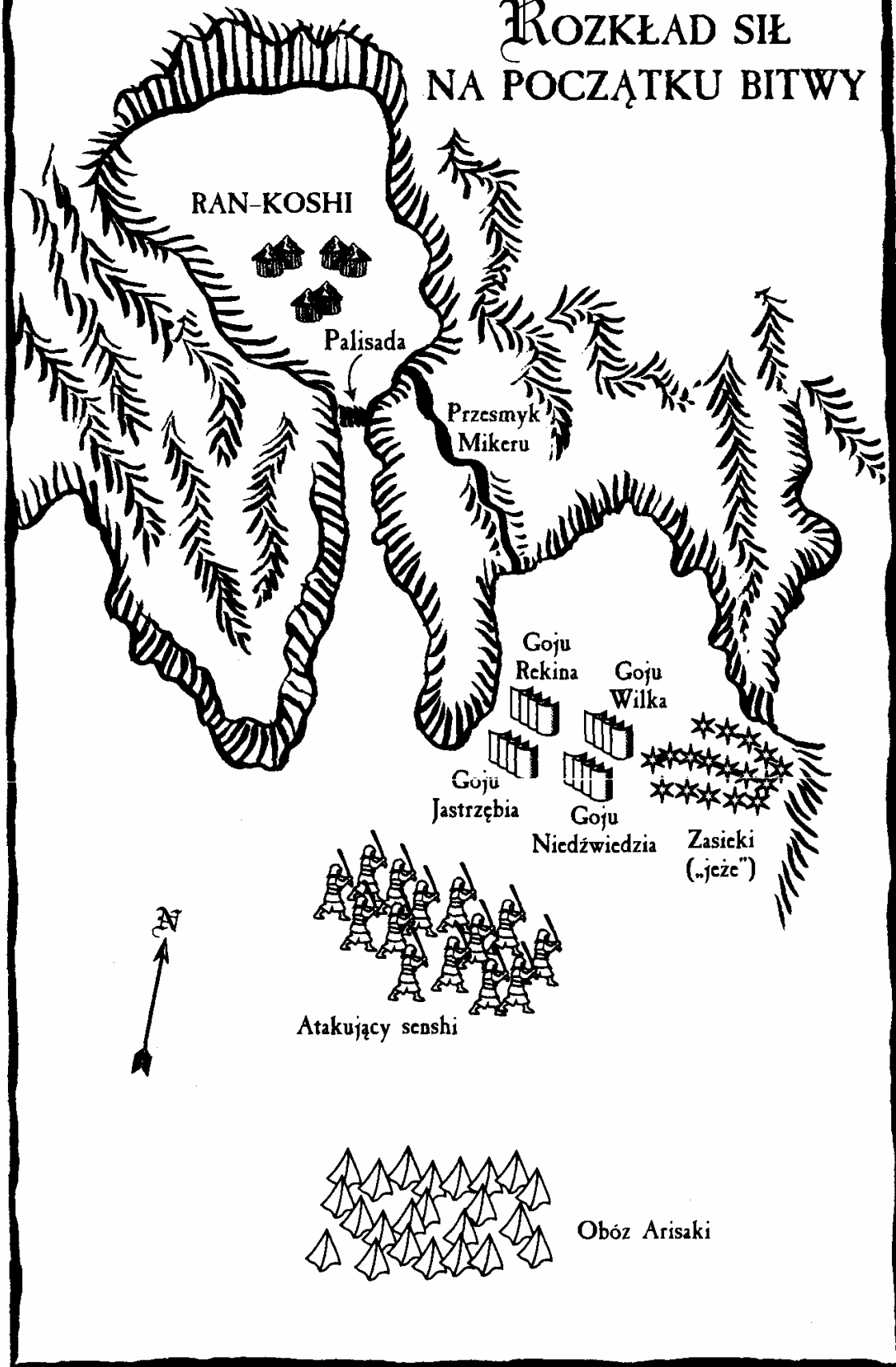
Milczeli obaj przez dłuższą chwilę. A potem Halt ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami:

- Cóż, w takim razie musimy się postarać i wygrać tę bitwę - mruknął.

Shigeru uśmiechnął się do niego.

- I dlatego właśnie ja muszę tu być.

ROZKŁAD SIŁ NA POCZĄTKU BITWY



ROZDZIAŁ 51

Cztery *goju* przekradły się przez bramę w palisadzie na dwie godziny przed świtem. Uformowały szyk, każdy ustawił się trójkami, po czym zbrojni ruszyli doliną.

Halt z satysfakcją stwierdził, że wśród Kikorich panuje żelazna dyscyplina. Szli w ciszy, rozlegały się tylko wydawane stłumionym głosem komendy dowódców oraz szczeł ekwipunku tudzież rytmiczny stukot butów o kamieniste podłoże. Przynajmniej przez jakiś czas odgłosy te stłumią wyniosłe zbocza doliny, strażnicy obozu Arisaki nieprędko usłyszą nadchodzących.

Gdy dotarli do ujścia doliny, prowadzący *goju* - czyli Niedźwiedzie - na dany rozkaz dokonał zwrotu w lewo, po czym skierował się za skalny występ, by zająć pozycję na płaskowyżu. Niedźwiedzie, uformowane teraz w dwuszereg, rozstawiły się na lewej flance cesarskich wojsk, a przedłużenie utworzonej przez nich linii stanowiły zasieki rozstawione nocą przez Jito i jego podkomendnych. Jastrzębie Selethena utworzyły prawe skrzydło.

Dwa pozostałe *goju*, czyli Rekiny oraz Wilki, zajęły miejsca za nimi - tak, że poszczególne oddziały nachodziły poniekąd na siebie, zamykając lukę między dwoma *goju* pozostającymi w przodzie.

Moka oraz pięćdziesięciu *senshich* Shigeru zapewniał niezbędną rezerwę rozmieszczoną za wszystkimi *goju*; jego zadanie polegało na natychmiastowej reakcji w razie utworzenia się jakiegokolwiek wylomu.

Szyk uformował się bez zbędnych hałasów, obeszło się bez nieporozumień. Każdy z żołnierzy wiedział doskonale, gdzie ma się znaleźć, toteż wszyscy podążali bez wahania na wyznaczone miejsca. Zajęli je, zanim pierwsze szare blaski światła rozjaśniły niebo po wschodniej stronie. Will, Horace i Selethen chodzili między Kikorimi, przestrzegając półgłosem, by nie marnowali sił przed zbliżającą się bitwą. Niech odpoczywają, póki mogą. Zasiedli więc w szeregach, odkładając na bok ciężkie tarcze. Krążyły pośród nich kobiety, którymi kierował Jito. Rozdawały wodę, kulki ryżu oraz wędzoną rybę.

Inni z podkomendnych Jito kończyli jeszcze zajęcia związane z „jeżami”. Horace podszedł tam, by z bliska przyjrzeć się owym konstrukcjom. Pomysłowość Halta oddaje nieoszacowane usługi - pomyślał. - Najpierw pułapka za palisadą podczas pierwszego ataku, teraz to.

Każdy „jeź” składał się z sześciu naostrzonych drągów dwumetrowej długości. Związano je w środku liną, owijając następnie każdy z nich osobno, by utrzymać w miejscu poszczególne elementy. Tym sposobem tworzył się kształt przypominający złączone ze sobą trzy wielkie litery X. Konstrukcja prosta i lekka, łatwa do zmontowania. Jednak kiedy została już rozstawiona, bardzo trudno ją było przemieścić, bowiem szeroko rozkraczone, ostre drągi łatwo wgryzały się w ziemię. Ponadto po cztery „jeże” połączono biegnącymi poziomo mocnymi drewnianymi prętami oraz łańcuchami, przez co tym trudniej byłoby je przesunąć. W końcowym etapie prac obwieszono zasieki linami, zwisającymi swobodnie między poszczególnymi krzyżakami. Horace wiedział, że do sznurów przymocowano całe mnóstwo ostrych żelaznych haczyków. Małych, toteż prawie niewidocznych na pierwszy rzut oka. W pośpiechu niejeden przeciwnik z pewnością zawadzi o nie swym ekwipunkiem lub ubraniem, co spowolni go, unieruchomi przynajmniej na chwilę.

Linia zasieków prowadziła aż do skalnego uskoku, kamiennej ściany wznoszącej się na cztery metry, która stanowiła naturalną barierę dla kogoś, kto zapragnąłby obejść siły Shigeru z tej strony.

Usłyszał za sobą kroki; odwrócił się. Ujrzał Willa, który doń dołączył, by również przyjrzeć się przeszkodom.

- Kawał dobrej roboty - stwierdził Horace.
- Nie chciałbym znaleźć się pośród tych ludzi Arisaki, którzy tu ugrzęzną - rzekł Will.
- Widziałeś sam, jak groźni stali się Mikeru i jego oszczepnicy.

- Owszem. Nadzwyczajnie skuteczni. Cóż, kolejny znakomity pomysł Halta.

Will już miał coś odpowiedzieć, gdy obaj usłyszeli odległe okrzyki. Ktoś wołał na alarm, potem rozległ się ostry dźwięk piszczałki unoszący się nad równiną. Spojrzeli obaj w kierunku obozu Arisaki.

- Chyba ich wartownik nas spostrzegł - stwierdził Will. Ucisnął dłoń Horace'a. - Powodzenia, Horace. Trzymaj się.

- Powodzenia, Willu. Spotkamy się znowu, kiedy Arisaka weźmie nogi za pas.
- On nie ucieknie - odparł Will. - Jeśli jednak zdołamy się z nim rozprawić, zanim nadejdzie wojsko Yamady, mamy spore szanse.

- A jeśli nie zdołamy? - spytał Horace.

Will przez chwilę patrzył na przyjaciela w milczeniu.

- O tym wolę nawet nie myśleć - odezwał się w końcu.

Horace skinął głową. Poluzował miecz w pochwie.

- Ciekawe, co dzieje się z dziewczynami? - powiedział.

Will spoważniał jeszcze bardziej.

- Przypuszczam, że im się nie udało. Gdyby zdołały przekonać Nimatsu i jego poddanych, żeby nam pomogli, nasi niedoszli sojusznicy zjawiliby się tu już z tydzień temu. Obawiam się, że pozostajemy zdani tylko na siebie.

* * *

Armia Arisaki jak zwykle uformowała luźny szyk, tworząc szeroki front o głębokości trzech czy czterech ludzi. Zbliżali się w równomiernym tempie do milczących, uformowanych w szeregi czterech *goju*. W przeciwieństwie do Kikorich, senshi nie poruszali się w nogę, po prostu biegli niespiesznym truchtem. Każdy z nich walczył osobno, na własny rachunek, i tak też maszerowali.

Nastąpiła tylko jedna modyfikacja. Arisaka usłyszał o tym, jakim niebezpieczeństwem grozi ściana z tarcz tworzona przez Kikorich, toteż wiedział, iż musi w jakiś sposób rozbić tę formację. Will domyślał się, że spróbuje użyć czegoś przypominającego macedońską falangę, ów zwarty szyk żołnierzy wyposażonych w długie, ciężkie włócznie przeznaczone do rozbijania linii przeciwnika. Arisaka nigdy nie słyszał o falandze, natomiast znał dobrze proste urządzenie, jakim jest taran.

W pewnej odległości od siebie żołnierze Arisaki taszczyli pięć pni młodych drzew, ociosanych i naostrzonych. Każdy z nich dźwigało po sześciu wojowników, dzierżących zrobione ze sznura uchwyty. Sześciometrowej długości bale, rozkołysane na wysokości pasa, miały następnie uderzać jak taran i wybijać luki w linii obrony nieprzyjaciela - zanim Kikori zdołają nawiązać kontakt z napastnikami. Nikt nie zdołałby utrzymać tarczy po takim uderzeniu. Gdy zaś rozbita zostanie ściana z tarcz, Kikori utracą swą największą przewagę, a mianowicie możliwość walki w zespole, kiedy każdy z wojowników wspiera i ochrania sąsiadów.

- Aha, więc to tak - mruknął pod nosem Horace. Przyglądał się nadchodzącej linii senshich, nacierających znacznie szerszym frontem niż linia Kikorich. - Ponieważ przestrzeń zwęża się, ci idący na skrzydłach będą musieli przejść na tyły - pomyślał.

Will biegł wzdłuż tylnego szeregu dwóch przednich *goju*. Wołał do Horace'a:

- Drzwi! Drzwi!

Horace uniósł dłoń na znak, że zrozumiał. Taktyka co prawda przygotowana została dla obrony przed długimi i ciężkimi włóczniami, lecz nadawała się w zupełności do zastosowania przeciw taranom. Will pobiegł dalej, aby przekazać tę samą komendę Selethenowi.

Horace czym prędzej dołączył do swego *goju*. Przemieszczał się szybko wzdłuż

drugiego szeregu, nawołując do swych ludzi:

- Kiedy się zbliżą, użyjcie taktyki „drzwi”! Dowódcy poszczególnych sekcji stojący w pierwszym szeregu odwracali się i kwitowali ten rozkaz skinieniami głów.

Nadciągający senshi wkrótce znaleźli się już w odległości pięćdziesięciu metrów, a więc niemal w zasięgu dziryków.

- Drugi szereg, szyk otwarty! - wrzasnął Horace; jego podkomendni zareagowali jak jeden mąż, cofając się trzy kroki, by uczynić sobie miejsce do rzutu. - Przygotować dziryki!

Dwadzieścia pięć ramion uniosło się i cofnęło; dziryki skierowały swe ostrza w górę.

- Rzucajcie, ale dopiero za chwilę, w stronę taranów! - rozkazał Horace. Spoglądał jeszcze przez krótką chwilę na nacierających, aż stwierdził, że znaleźli się w zasięgu. - Rzut!

Dziryki świsnęły w powietrzu, runęły w dół na nieprzyjaciela, linia nacierających złamała się w kilku miejscach pod gradem ciężkich pocisków. Jeden z taranów gruchnął na ziemię, gdyż połowa ludzi niosących go została trafiona, pozostali nie zdołali utrzymać lin. Turlający się ciężki bal spowodował dodatkowy zamęt pośród atakujących. Jednak trwało to tylko chwilę, a w *goju* Niedźwiedzi wciąż mierzyły jeszcze dwa tarany.

Najbliższy z nich wysforował się przed linię senshich, dźwigający go wojownicy przeszli nagle od truchtu do szybkiego biegu. Ta nagła zmiana prędkości zaskoczyła Horace'a, toteż zdążyli rozkołysać ciężki bal i uderzyć nim w pierwszy szereg. Dzierżący tarczę Kikori upadł, pociągając za sobą dwóch pozostałych. Tarannicy działali szybko, aby wykorzystać zamieszanie, jakie udało im się wywołać. Tymczasem drugi szereg Kikorich zbliżył się, rzuciwszy dziryki. Za pomocą tych, które im pozostały, dźgali teraz wroga nad głowami żołnierzy pierwszego szeregu, mierząc w operujących taranem wojowników. Bal tymczasem cofnął się znów i w następnej chwili powtórnie uderzył w tarcze. Upadli kolejni Kikori, a senshi wydali triumfalny okrzyk, widząc, że niezdobyta dotąd ściana zaczyna się rozpadać. Taran przygotował się do następnego uderzenia...

- Drzwi! Drzwi! - wykrzyknął Horace ochryłym głosem przez zaschnięte gardło.

Tym razem, gdy ciężki kloc zadał kolejny cios, Kikori cofnęli się i odsunęli na boki, tworząc lukę. Uderzywszy w pustkę, taran nie napotkał żadnego oporu, toteż dźwigający go stracili równowagę, pociągnął ich więc za sobą. Otworzył się także drugi szereg; kilku Kikorich pochwyciło pień, wciągnęło go za szeregi. W ruch poszły śmiertelne krótkie ostrza Kikorich. Ci z dźwigających taran, którzy ocaleli, znaleźli się teraz na przestrzeni za drugim szeregiem, ogłupiali i oddzieleni od swych towarzyszy. Za ledwie zdali sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znaleźli, dziesięciu wojowników z pierwszego szeregu Rekinów wysunęło się naprzód, otaczając schwytych w pułapkę. Minęło kilka sekund, a ludzie

Arisaki już padli trupem. Jednak gdy przyszło do tego rodzaju otwartej walki, nie obeszło się bez strat także po stronie Kikorich, z których pięciu zginęło podczas starcia.

Wojska Arisaki z głośnym, wściekłym okrzykiem runęły do ataku. Jednak „drzwi” zamknęły się tak prędko, jak się otwały, toteż napastnicy natknęli się znów na niepokonaną ścianę tarcz. Usiłowali ciąć, lecz brakło im przestrzeni potrzebnej, by wykorzystać przewagę, jaką daje długi miecz. Tymczasem krótki oręż Kikorich błyskał między tarczami - raniąc, kalecząc, zabijając.

Senshi cofnęli się, by umknąć poza zasięg krótkiej broni. Niektórzy z nich podjęli precyzyjniejsze ataki, mierząc w luki między tarczami. Tym razem jednak cofali czym prędzej klingi swych mieczy - wiedzieli doskonale, że jeśli tego nie uczynią, mogą zostać rozbrojeni za pomocą wielkich pawęży. Ich wysiłki nie pozostały bezskuteczne; niejeden Kikori padł, a miejsce wojowników wyeliminowanych z walki zajmowali ludzie znajdujący się dotąd w drugim szeregu.

Horace spojrział wzdłuż linii, by sprawdzić, co dzieje się z drugim taranem. Dźwigający go napastnicy, widząc, jaki los spotkał towarzyszy, zachowali większą przeczność. Uderzali taranem z mniejszym rozmachem, lecz za to częściej. Tarcze pękały, padali ludzie. W następnej chwili odrzucili ciężki taran; dobywszy mieczy rzucili się na pierwszy szereg Kikorich, korzystając z poczynionego wylomu.

Przez kilka minut znajdowali się w sytuacji, jaka im odpowiadała - linia obrony została przerwana, mogli wykorzystać długie klingi swych mieczy. Zadawali więc obrońcom ogromne straty. Potem jednak wkroczył drugi szereg, opędzając się dzirydami, by wypełnić luki w szeregu pierwszym. Horace zaś nadbiegł ze swego punktu obserwacyjnego, szarżując na żołnierzy Arisaki. Oslaniał się puklerzem przed ich uderzeniami, a szybkość i siła ciosów zadawanych przez niego zaskoczyła napastników. Zaczęli się cofać - przed atakiem jednego człowieka. Widząc to, Horace zawołał do swych Kikorich:

- Naprzód! Naprzód! *Issho ni! Issho ni!*

Po odtworzeniu formacji, *goju* Niedźwiedzi ruszył naprzód, naciskając nieprzyjaciela, odpychając go, wywołując zamieszanie w jego szeregach i wciąż dźgając krótką bronią. Jednak nawet w odwrocie długie katany senshich dosięgały żołnierzy napierającego oddziału.

Jastrzębie Selethena na prawym skrzydle radziły sobie nieco lepiej. Tej formacji zagrażały dwa tarany, ponieważ jednak zajmowała pozycję cofniętą o kilka metrów w stosunku do linii Horace'a, Selethen zdążył rzucić rozkaz do otwarcia drzwi, tuż przed pierwszym uderzeniem ciężkiego pnia. Kikori odskoczyli na boki, bal wraz z tarannikami siłą bezwładu runął naprzód; podkomendni Selethena rozprawili się z nimi w mig za pomocą

dziurytów i krótkich mieczy. Przedni szereg zwarł się tymczasem znowu, by stawić czoło dalszym napastnikom.

Drugi taran nie zdołał dotrzeć do frontu Jastrzębi. Czterej z sześciu dźwigających padli w jednej niemal chwili, powaleni strzałami o czarnych brzechwach. Halt, który stał obok Shigeru na wzgórzu, skinął głową z satysfakcją, widząc rezultat oddanej przez siebie salwy: dwaj pozostali, nie będąc w stanie utrzymać ciężkiego pnia, upuścili go na ziemię. Odbił się i potoczył, powalając czterech z senshich, którzy zamierzali wdrzeć się śladem tarana w utworzony wyłom.

Korzystając z powstałego zamętu, Selethen wydał ten sam rozkaz:

- Naprzód! *Issho ni!*

Zagrzeni w ten sposób do boju Kikori podjęli okrzyk, idąc do ataku niczym fala przyływu.

- *Issho ni! Issho ni!*

Uderzyli w senshich; rozpoczęła się rzeź. Jednak ci podwładni Arisaki, tak samo jak przeciwnicy walczący z podkomendnymi Horace'a, wiedzieli, iż nie wolno im dopuszczać Kikorich na zbyt krótki dystans. Cofnęli się więc, nie przestając zadawać pchnięć sięgających nad tarczami i między nie. Ginęli wojownicy po obu stronach, choć jednak walka w zbliżeniu bardziej odpowiadała Kikorim. Selethen, tak samo jak Horace, patrolował całą linię, rzucając się w wir walki, gdy obrona słabła, odbijając małą ręczną tarczą uderzenia i pchnięcia, zadając ciosy swą krzywą szablą.

Zerknął z ukosa na *goju* Horace'a; zorientował się, że jego ludzie wysuwają się przed podkomendnych towarzysza, tworząc niebezpieczną lukę. Wykrzyknął natychmiast rozkaz:

- Jastrzębie, stać! Tyłem marsz! Cofnąć się, dziesięć kroków!

W zwartym, nienagannym szyku linia Jastrzębi ruszyła w przeciwnym kierunku. Zgodnie z tym, jak ich wyszkolono, żołnierze drugiego szeregu pochwycili za ramiona swych towarzyszy walczących w szeregu pierwszym, którzy dzięki temu nie musieli odwracać się plecami do nieprzyjaciela. *Goju* po prostu przesunął się w tył.

Selethen ocenił dystans dzielący go od senshich, po czym odwrócił się, by dać umówiony znak dowódcy *goju* Rekinów. Tamten wykrzyknął kolejne rozkazy.

Ludzie Arisaki, mając przed sobą nieprzyjaciela, z którym walczyli w bezpośrednim starciu, nie zdawali sobie sprawy, że czeka ich grad dziurytów ciśniętych przez *goju* Rekinów. Pociski przeleciały nad głowami Jastrzębi. Gdy sięgnęły celu, następni senshi padali wzdłuż całej linii. Selethen, korzystając z tego, że wszystkie tarany zostały już wyłączone z akcji, dał sygnał do następnej salwy.

Widząc wyrwy powstające w ich szeregach i nie mogąc przewidzieć, kiedy nadleci kolejna chmara dzirytów, dowódca senshich wydał swym ludziom rozkaz, ci zaś odwrócili się i zbiegli z pola rażenia.

Horace spostrzegł, że teraz jego ludzie zbyt wyprzedzają Jastrzębie. Wydał rozkaz; podkomendni rycerza zatrzymali się; wojska obu stron zastygły naprzeciwko siebie w pełnym wyczekiwania bezruchu. Senshi nie kwapili się do kolejnej próby frontalnego ataku, nie spieszo im było znaleźć się w zasięgu spadających z nieba dzirytów oraz krótkich mieczy dźgających zza tarcz. Tymczasem jednak od głównych sił Arisaki oderwał się oddział, liczący około pięćdziesięciu wojowników. Senshi podjęli próbę przebycia drewnianych przeszkód, które spostrzegli na lewym skrzydle nieprzyjaciela. Przedzierałi się między gwiaździstymi „jeżami”, tnąc zawzięcie liny; umieszczone na nich haczyki chwyciły niejednego z nich. Szczególnie uciążliwe okazały się powrozy rozciągnięte na wysokości kolan.

Żaden napastnik nie zwrócił najmniejszej uwagi na dźwięk rogu, który doszedł ze wzgórza, gdzie bitwie przyglądał się Halt. Niewielu spostrzegło grupę lekkobrojnnych młodych ludzi, która wyłoniła się zza skał po ich prawej stronie.

Mikeru spojrział na odległą postać w szaro-zielonym płaszczu. Ujrzał, że Halt podnosi z wolna do góry rękę, najpierw raz, potem drugi, następnie zaś wskazuje za siebie. Młody Kikori odruchowo skinął głową, zrozumiałwszy rozkaz - po czym wydał polecenia swym trzydziestu oszczepnikom.

- Dwa oszczepy - zawołał. - A potem się wycofujemy.

Każdy z nich dźwigał w skórzanej tubie zawieszanej na plecach aż osiem lekkich oszczepów. Halt jednak uważał, iż tę cenną broń należy oszczędzać.

- Gotowi! - zawołał Mikeru.

Spojrzał na podkomendnych, po czym wykrzyknął rozkaz:

- Rzuć!

Oszczepy o żelaznych ostrzach, wprawione w pęd dzięki przeznaczonym do tego celu rzemieniom, wydawały w locie charakterystyczny świst. Niektórzy z przedzierających się przez zasieki wojowników Arisaki dosłyszeli dziwny dźwięk i spojrzeli w górę, ciekawi, co jest jego źródłem. A potem trzydzieści oszczepów zważyło się na nich niczym grom z jasnego nieba. Rozległy się krzyki bólu i przerażenia, kiedy ostre groty przebijały skórzane zbroje. Nim ci, co przeżyli, zdążyli choć trochę ochłonać, posypały się na nich następne pociski.

Kilkunastu zabitych zawisło już na linach i drewnianych krzyżakach. Przedarło się tylko jedenastu, lecz stanęli teraz twarzą w twarz z pięćdziesięcioma wojownikami Moki. Z nieustraszonymi senshimi wiernymi Shigeru, którzy choćby za cenę życia pragnęli przyczynić

się do zwycięstwa swego cesarza. Rozegrała się krótka, nierówna potyczka. Nie ocalał żaden z napastników. Widząc, co się dzieje, pozostali ludzie Arisaki usiłujący dotąd zająć siły Shigeru z flanki, wycofali się pospiesznie.

To samo działo się na całym polu bitwy. Żołnierze Arisaki, po nieudanej próbie przebicia ściany tarcz, cofali się, by dokonać oceny sytuacji. Podczas pierwszego starcia padło wielu ich towarzyszy, lecz przecież nie zostali pokonani.

Co więcej, zadali Kikorim znaczne straty. Wiedząc już, czego się spodziewać, senshi nie atakowali na oślep, jak uprzednio. Tym razem okazali się bardziej zdyscyplinowani, a poza tym wiedzieli, kiedy należy się wycofać.

Teraz odstąpili, jedni i drudzy, by - spoglądając na siebie wzajemnie - ocenić poczynione szkody i poniesione straty. Halt spojrział na zbliżającego się Willa. Zauważył, że w kołczanie jego dawnego ucznia brakuje co najmniej połowy strzał. Najwyraźniej także Will przyczynił się do uszczuplenia sił Arisaki.

- Jak tam? - spytał krótko Halt.

Młody zwiadowca potrząsnął głową.

- Nienajlepiej. Straciliśmy ponad dwudziestu ludzi. Do tego mamy jeszcze dziesięciu rannych.

Halt gwizdnał cicho. Stanowiło to jedną trzecią stanu dwóch wiodących *goju*.

- Sądysz, że wytrzymamy następny atak?

Will zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział:

- Tak, sądzę, że tak. Arisaka stracił niemal dwustu żołnierzy. Nam zaś pozostały jeszcze dwa *goju*, nietknięte, gotowe do walki. Są całkowicie wypoczęci. Rozmieszczę ich teraz na pierwszej linii, niech zastąpią Jastrzębie i Niedźwiedzie.

- Ponadto mamy oszczepników Mikeru. Doskonale się spisali. Nie zapominajmy też o naszych pięćdziesięciu senshich.

- Otóż to. Wydaje mi się, że dotrzymamy pola Arisace, choćby nie wiem co. O ile tylko nie nadejdą posiłki.

Pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział, jakaś przesądna część umysłu usiłowała mu wmówić, że wymieniając na głos taką możliwość, czyni ją realniejszą. Odepchnął absurdalną myśl. Przecież kilka wypowiedzianych słów nie sprawi, że nadciągną kolejni nieprzyjaciele.

Po przeciwległej stronie pola, gdzie zgromadziła się armia Arisaki, rozległ się nagle donośny, triumfalny okrzyk. Spojrział w tamtą stronę.

- Z czego tak się cieszą? - spytał.

Halt wskazał mu południowo-zachodni kraniec płaskowyżu. Will ujrzał nadciągających zbrojnych.

- To Yamada - stwierdził.

ROZDZIAŁ 52

Z kamienną twarzą Will przyglądał się nowo przybyłym. Nadciągali rozległą, bezładną masą, a słabe poranne słońce odbijało się w ich orężu i zbrojach.

- Co najmniej trzystu - mruknął do siebie.

Z ponurego zamyślenia wyrwał go kąśliwy głos Halta.

- Może byś się łaskawie ruszył? Słyszałem, że masz zamiar przegrupować powierzone ci wojska - rzucił szpakowaty zwiadowca. - Chyba że zamierzasz się poddać?

Will otrząsnął się gniewnie. Ruszył biegiem ku swoim podkomendnym, zostawiając w tyle Halta oraz Shigeru. Posłał ludzi, którym wyznaczył zadanie pozbierania jak największej ilości dziryków, wydał też rozkaz, by Wilki i Rekiny zajęły pozycje na linii frontowej, zastępując w ten sposób mocno okaleczone *goju*, które dotąd dźwigało główny ciężar zmagania. Horace oraz Selethen mieli dowodzić tymi świeżymi siłami. Trzej przyjaciele zamienili kilka słów w pośpiechu:

- Tym razem nie mają już taranów - stwierdził Will. - Stosujemy więc zwyczajną taktykę. Wykorzystajcie dziryty. Po dwie salwy, nie musimy już ich oszczędzać. Starajcie się zbliżyć do wroga, nasi doskonale sobie radzą w zwarcium, a senshi bardzo tego nie lubią.

Skinęli głowami w odpowiedzi. Horace zerknął w stronę stojącego na wzgórzu Shigeru, okrytego pełną ceremonialną zbroją.

- Może zdołałbyś go namówić, żeby się schował? - spytał przyciszonym głosem.

Will potrząsnął głową.

- Halt próbował. Ale cesarz zamierza towarzyszyć swym ludziom do końca, na dobre i na złe.

- Tak przypuszczałem - stwierdził półgłosem Selethen. Wszyscy cudzoziemcy darzyli szacunkiem cesarza, poznawszy siłę jego charakteru oraz spokojną godność.

- W takim razie musimy odnieść zwycięstwo - stwierdził Horace. Jednak już sam fakt, że zadał tamto pytanie, stanowił dowód, iż teraz już nie wierzył w możliwość powodzenia. Wszyscy wiedzieli doskonale, że ich jedyną szansę stanowiło pokonanie wojsk Arisaki, zanim nadejdą żołnierze Yamady. Niestety, los postanowił inaczej.

Słyszeli już stukot wielu stóp i szcęk oręża nadciągających sił Yamady. Za kilka minut znów rozpęta się zażarta bitwa.

- Cóż - rzekł Will. - To chyba wszystko. Czas...

- *Chocho! Chocho-san!* - doszedł ich czysty, młodzieńczy głos. Odwrócili się wszyscy trzej, by ujrzeć biegnącego ku nim Mikeru. Tuba pełna dzirytów podskakiwała na jego plecach, tworząc grzechotliwy kontrapunkt dla łomotu jego stóp.

- O co im chodzi z tym *Chocho*? - mruknął do siebie Will. Przyjaciele jednak dosłyszeli.

- To określenie wyraża wielkie uszanowanie - odparli jednogłośnie.

Spojrzał na nich koso.

- Dalibyście spokój - warknął.

Mikeru zdołał już do nich dobiec. Pochylił się i oparł dłońmi o uda, dysząc pospiesznie. Przez chwilę nie potrafił wykrztusić ani słowa.

- Mikeru, będziesz potrzebny tam, na lewym skrzydle... - zaczął Will. Nieliczna, lecz nad wyraz skuteczna formacja oszczepników zajmowała pozycję na samym końcu linii obrony. Mikeru jednak pokręcił głową. Odzyskał wreszcie oddech.

- *Chocho* - zdołał wysapać - nadchodzą! Nadchodzą żołnierze!

- Wiemy, wiemy - rzekł Horace, wskazując kciukiem zbliżających się senshich. - Trudno ich nie zauważyć.

Jednak Mikeru pomachał przecząco dłońmi.

- Nie tam! - zawołał. - Tam! - Pokazał na wschód.

Trzy pary oczu spojrzały w ślad za jego palcem. Rzeczywiście, na wschód od ich pozycji, za lewą flanką wojsk Shigeru oraz za niskim skalnym uskokiem, w odległości dwóch kilometrów ciągnęła się kolejna grań, zza której wylinali się zbrojni. Coraz liczniejsi, następni i następni. Nad nimi unosiły się chmury kurzu wzbijanego niezliczonymi parami stóp.

- Dziewczyny - rzucił półgłosem Horace. - Udało im się. Przyprowadziły ze sobą Hasanu.

- Całe tysiące Hasanu - stwierdził Selethen, widząc niekończącą się kolumnę. Teraz do ich uszu dochodziło już odległe skandowanie. Will zdał sobie sprawę, że słyszą je, ponieważ triumfalne okrzyki żołnierzy Arisaki ucichły, gdy oczy wszystkich skierowały się na wschód.

- *Kotei! Kotei! Kotei!*

- Co to znaczy? - zwrócił się z pytaniem do Mikeru.

Młody wojownik uśmiechnął się radośnie.

- To znaczy: „Cesarz! Cesarz! Cesarz!” - wyjaśnił.

Will odetchnął z ulgą. Spojrzał w stronę Halta. Ujrzał, że jego mistrz odgarnął kaptur i

skinął głową do swego ucznia.

Hasanu tymczasem wyszli już na równinę i kierowali się wprost na senshich Arisaki. Ich okrzyki rozlegały się coraz głośniejsze, coraz bliżej; żołnierze buntowniczej armii zwrócili się więc w stronę nadciągającej masy wojska. Lecz nawet uwzględniając siły Yamady mieli teraz do czynienia z liczebną przewagą wynoszącą co najmniej trzech wojowników na jednego. Co więcej, mogli już przyrzeć się nieco dokładniej nadciągającym Hasanu - roslim, bo każdy z nich mierzył ponad dwa metry wzrostu, pokrytym - jak się zdawało - długim, czerwonym owłosieniem; uzbrojonym w najeżone kolcami maczugi, piki oraz ciężkie włócznie. Rebelianci odruchowo ścieśnili szyki wobec nowego, przerażającego zagrożenia.

A czyniąc to, jakby zapomnieli, że za ich plecami szczerzą się groźne kły Wilków i Rekinów. Will jeszcze raz rzucił okiem na oba *goju* ustawione w nieskazitelnej szyku. Uświadomił sobie, że oto nadarza się idealna okazja, by zmiażdżyć armię Arisaki. Jego nieliczne, lecz nad wyraz sprawne wojska zadziałają jak młot, a wielka armia Hasanu stanowić będzie kowadło, na którym ostatecznie rozgniotą buntowników.

- Mikeru - odezwał się - przeprowadź swoich ludzi aż do „jeży”. Uderzcie w senshich z boku. Użyjcie wszystkich oszczepów, a potem wiejcie, ile sił w nogach.

Mikeru skinął głową i ruszył biegiem, by wykonać rozkaz. Will zawołał teraz do Horace'a i Selethena:

- Ruszajcie wszystkimi czterema *goju*, uderzcie na nich z tyłu!

Obaj dowódcy pobiegli na wyznaczone pozycje. Rozległy się rozkazy, a potem charakterystyczny odgłos, gdy wszyscy wojownicy unieśli tarcze; Wilki i Rekiny maszerowały już na wroga, za nimi - gotowe pomścić śmierć swych towarzyszy - Niedźwiedzie oraz Jastrzębie.

Część żołnierzy Arisaki zorientowała się w sytuacji, odwrócili się więc znowu ku nim. Rebelianckie siły znalazły się w pułapce. Skrzydła nadciągających Hasanu już wkrótce, w ciągu zaledwie minut, miały odciąć im drogę odwrotu. Groźna bojowa machina Kikorich zbliżała się z przeciwnej strony. Lecz senshi byli urodzonymi wojownikami. Nie mieli co prawda szans, ale zamierzali drogo sprzedać swe życie.

Tymczasem pierwsze dwa szeregi Kikorich znalazły się już w odpowiedniej odległości. Horace rzucił rozkaz; zatrzymali się, żołnierze w drugim rzędzie postąpili w tył, dziryty uniosły się...

- Stójcie!

Głęboki, dźwięczny i donośny głos rozległ się na polu bitwy.

Will odwrócił się szybkim ruchem. Ujrzał Shigeru i u jego boku Halta, zmierzających

pospiesznym krokiem w stronę linii Kikorich. Młody zwiadowca wahał się chwilę, po czym skierował się w ich stronę, aby dołączyć do cesarza. Shigeru w uniesionej nad głowę dłoni dzierżył gałąź pokrytą zielonymi, wiosennymi listkami, nihoński odpowiednik białej flagi oznaczający rozejm. Na polu bitwy zapanowała cisza; tysiące wojowników znieruchomiało w oczekiwaniu, nasłuchując i spoglądając. Dla jednej strony rokowania stanowiły ostatnią szansę na utrzymanie się przy życiu, zaś dla wojsk wiernych cesarzowi - nadzieję na ocalenie wielu wojowników, którzy padliby podczas zmagania. Wszyscy uszanowali zieloną gałąź jako symbol święty, którego nikomu pogwałcić nie wolno.

Halt, Will i Shigeru maszerowali przez równinę, aż zatrzymali się w pół drogi między liniami Kikorich oraz senshich. Tam cesarz uniósł jeszcze wyżej zieloną gałąź.

Również od masy wojsk Hasanu oderwała się grupka postaci, która skierowała się w ich stronę - także niosąc pokrytą liśćmi gałąź. Will uczył, jak kamień spadł mu z serca, kiedy dostrzegł Alyss oraz idącą obok niej Evanlyn. Księżniczka starała się dorównać kroku wyższej towarzyszce, zachowując zarazem stosowną godność. Obie szły za wysokim, okrytym zbroją wojownika Nihończykiem o szlachetnym wyglądem. Kiedy znaleźli się bliżej, spojrzenia Willa i Alyss spotkały się, radość rozjaśniła młode twarze.

- Nimatsu-san, jak miło cię ujrzeć - odezwał się Shigeru.

Rosły Nihończyk pokłonił się nisko.

- Do usług, wasza wysokość - ja i mój lud. Wydaj tylko rozkaz.

Shigeru milczał przez chwilę. Następnie odwrócił się w stronę buntowników, odległych teraz od niego o zaledwie pięćdziesiąt metrów.

- Arisako! - zawołał. - Musimy porozmawiać.

Przez chwilę nie działo się nic. Potem pośród szeregów wszczął się jakiś ruch, a jeszcze po chwili wojownicy senshi rozstąpili się, by przepuścić trzech mężczyzn: Arisakę, skrywającego twarz za zasłoną hełmu przedstawiającą groteskowo wykrzywionego demona oraz jeszcze dwóch innych. Zatrzymali się. Po prawicy Arisaki znajdował się jeden z jego poruczników, krzepki senshi uzbrojony w wielki łuk. Po jego lewej stronie stanął również odziany w pokrytą laką zbroję starszy już wielmoża.

Shigeru pokłonił się właśnie jemu.

- Yamada-san, czy mnie poznajesz?

Starzec wpatrywał się intensywnie w postać władcy. Brakło mu pewności. Oczy zawodziły, nie tak sprawne jak ongiś, a od sylwetki pytającego dzieliła go jeszcze spora odległość. Jednak niewątpliwie człowiek ten wyglądem przypominał cesarza.

- Powiedziano mi, że miejsce cesarza zajął uzurpator - rzekł niepewnym głosem.

Nagle poruszył się łucznik stojący na prawo od Arisaki; napiął łuk, strzałę już wcześniej założył na cięciwę.

- Precz z uzurpatorem! - zawołał, oddając jednocześnie strzał. Shigeru nawet nie drgnął, gdy pocisk przeszył jego lewe ramię. Na białym, lnianym rękawie cesarskiej szaty wykwitła ciemna plama krwi.

Po obu stronach rozległ się gniewny pomruk. Pohańbiono przenaświętą znak rozejmu, zieloną gałązkę - a stanowiło to w oczach Nihończyków najwstrętniejszą zbrodnię. Jednak, zanim ktokolwiek zdołał choćby drgnąć, zanim łucznik sięgnął po kolejny pocisk, Will wyszarpnął strzałę ze swego kołczanu, po czym jednym płynnym ruchem nałożył ją, napiął łuk, a następnie wystrzelił.

Jego grot przebił zbroję szlachetnie urodzonego niczym gorący nóż wetknięty w masło. Tamten zachwiał się pod wpływem uderzenia, łączysko wypadło mu z martwych dłoni. Runął na ziemię.

Nagle zapanowała cisza. Wszyscy zdali sobie sprawę, z jak niewiarygodną prędkością Will zareagował na zdradziecką napaść. Potem rozległy się głosy, zrazu niepewne. Jednak Shigeru uniósł dłoń, aby je uciszyć. Szybkim ruchem ściągnął chustę zawiązaną wokół szyi, zawiązał ją ponad raną. Zdrową ręką sięgnął po łuk Willa, odebrał go młodemu zwiadowcy. Rozległ się głos cesarza:

- Zaprzestańcie! Dostyc rozlewu krwi! Panie Arisako, zakończmy ten spór.

Miecz Arisaki świsnął, dobyty z pochwy. Spotkało się to również z dezaprobatą zgromadzonych na równinie wojowników, nie tylko przeciwników, lecz również żołnierzy Arisaki. Dobyć broni, gdy odbywały się rozmowy pod znakiem zielonej gałęzi, stanowiło jawne pogwałcenie obowiązującego wśród senshich rycerskiego kodeksu.

- Ten spór zakończyć może tylko twoja śmierć, Shigeru! - wrzasnął Arisaka.

Na twarzy Yamady odmalował się gniew i wstyd.

- Shigeru? - powtórzył. - A więc jednak! To znaczy, że od początku wiedziałeś! To wcale nie uzurpator. Okłamałeś mnie i moich ludzi!

Arisaka, przejęty gniewem, nad którym nawet nie próbował panować, zdarł z głowy hełm wraz z zasłoną. Cisnął go na ziemię.

- On jest słaby, Yamado! Słaby i przez to groźny! Unicestwi wszystko, co dla nas najważniejsze! - przypatrywał się Shigeru, jego oczy gorzały od nienawiści. - Pragnie unicestwić wszystkich senshich oraz wszystkie święte dla nich wartości! Nie pozwolę ci na to! Powstrzymam cię!

- Arisako - w przeciwieństwie do histerycznego krzyku renegata, głęboki głos cesarza

brzmiał spokojnie, rozsądnie. - Nigdy nie było mym zamiarem działać na szkodę senshich. Sam się z senshich wywodzę. Natomiast od zbyt dawna pozostali mieszkańcy Nihon-Ja spotykali się ze wzgardą, działa im się krzywda. Zamierzam być cesarzem całego ludu. Także obecnych tu Kikorich, obecnych tu Hasanu. Prości ludzie mają prawo zabierać głos w sprawach dotyczących ich kraju. Każ swoim ludziom złożyć broń, żyjmy w pokoju.

- Nie! - rozległ się ochryply krzyk Arisaki. - Moi ludzie staną do walki z tobą. Jeśli tak trzeba, wszyscy zginiemy! Nawet jeśli zdołasz nas pokonać, nie czeka cię łatwe zwycięstwo. W dzisiejszym dniu padną tysiące wojowników!

- Na to pozwolić nie mogę - oświadczył Shigeru.

Arisaka zaśmiał się pogardliwie.

- Cóż zdołasz uczynić, by temu zapobiec?

- Ustąpię - odparł Shigeru.

Arisaka ze zdumienia aż zaniemówił, natomiast pośród żołnierskich tłumów rozległy się okrzyki zaskoczenia.

- Owszem, ustąpię z cesarskiego tronu. Jeśli to jedyny sposób, by powstrzymać twoje szaleństwo, ustąpię. Znajdźcie sobie innego cesarza - ciągnął Shigeru. - Yamada-san, Nimatsu-san. Liczę na was. Dopilnujcie, aby wybór padł na godną tego osobę. Nie mogę patrzeć spokojnie, jak tysiące Nihończyków, przedstawicieli mojego ludu, traci życie, oddając je w imię mej dumy. Ustąpię, by tego uniknąć.

- Łżesz, Shigeru! - zawołał Arisaka. - Kto ci uwierzy, że dobrowolnie oddasz tron?

- Przysięgam, że to uczynię - o ile tylko dzięki temu ocalę tysiące ludzkich istnień. - Shigeru spojrzał po twarzach żołnierzy Arisaki przysłuchujących się temu starciu dwóch osobowości. - Przysięgam na mój honor, wobec was wszystkich tu obecnych.

Na takie słowa zapadło milczenie, bowiem zdali sobie sprawę, że cesarz z całą powagą wypowiada przyrzeczenie. Wśród żołnierzy Yamady wzmógł się pomruk. Przybyli tu przecież w dobrej wierze, wprowadzono ich w błąd. Arisaka okłamał ich, okłamał ich seniora. Nakłonił, by złamali przysięgę złożoną na wierność prawowitemu władcy. Jeśli Arisaka każe im walczyć, Yamada z pewnością odmówi. Odmówią i oni. Odtąd Arisaka mógł liczyć tylko na wojowników z własnego klanu.

Matsuda Sato pełnił rolę podoficera w armii Arisaki. Dowodził grupą dwunastu mężczyzn, stał na czele pododdziału, służąc swemu panu już od dwudziestu siedmiu lat. Niewiele przez ten czas uzyskał oznak wdzięczności za swe usługi oraz wierność. Widział za to na własne oczy, jak Arisaka maltretuje podległych sobie ludzi, zmusza do nadmiernego wysiłku, a karze ich surowo, jeśli tylko mu się wyda, że nie spełnili pańskich zachcianek.

Arisaka nigdy nie nagradzał, za to nie szczędził tych, którzy mu się narazili. Sato, z braku innych wzorców, przyjmował zawsze, iż to niezbędna cecha silnego przywódcy. Teraz uzmysłowił sobie, że właśnie stał się świadkiem pokazu prawdziwej siły. Na jego oczach cesarz, dysponujący przecież najwyższą władzą w kraju, a w obecnej chwili także miażdżącą przewagą liczebną, gotów był zrezygnować z walki i z tronu tylko dlatego, by ocalić poddanych. Oto przywódca - zrozumiał Sato. Oto człowiek, który zasługuje na to, by mu służyć. Arisaka sam się zdemaskował jako oszust i człowiek winny świadomego złamania przysięgi. Sato wysunął zza pasa pochwę z tkwiącym w niej mieczem. Rzucił broń na ziemię, dając tym samym znak, że nie zamierza walczyć.

- Shigeru! - zawołał, unosząc nad głową zaciśniętą pięść. Otaczający go wojownicy spojrzeli, zaskoczeni. A potem jeden z nich uczynił tak samo. Potem jeszcze jeden, później jeszcze dwóch, kilkunastu.

- Shigeru! Shigeru!

Okrzyk poniósł się przez szeregi poddanych Arisaki. Łomot padających na ziemię mieczy rozlegał się niemal nieprzerwanie, coraz liczniejsze głosy wznosiły ów okrzyk; jeszcze kilkunastu, pięćdziesięciu, później setka głosów i jeszcze więcej.

- Shigeru! Shigeru! Shigeru!

Dołączyli do nich Kikori, wypuszczając z dłoni tarcze i dziryty, które leciały na ziemię. A potem zagrzmiały też dudniące głosy Hasanu. Skalne ściany rozbrzmiewały echem skandowanego imienia:

- Shigeru! Shigeru! Shigeru!

Rozjuszony do ostatnich granic, niepanujący nad sobą Arisaka potoczył wściekłym spojrzeniem po własnych wojownikach. Ogłuszający ryk wyrywający się z setek gardzieli doprowadzał go do szału, lecz fakt, że nawet i jego ludzie ośmielili się wznosić okrzyki na cześć cesarza - tego już za wiele. Miecz wielmoży błysnął.

Matsuta Sato, dowódca dwunastu wojowników ujrzał swego pana i władcę na wprost przed sobą; ogarnęło go zdumienie: dlaczego widzi go przez czerwoną mgłę? Odrętwienie promieniowało od miejsca, w którym miecz Arisaki rozciął jego pierś. Potem zaś czerwień przerodziła się w mrok.

Pełne zgrozy milczenie zapanowało na równinie, gdy wojownicy obu stron pojęli, jakiej potworności dopuścił się Arisaka. Wielmoża wystąpił przed szeregi, po czym zwrócił się do swych wojsk, łącząc żołnierzy, niepomny na nic - oni zaś odruchowo cofnęli się, byle dalej od zbrukanego krwią zbrodniarza.

- Zdrada! Zdradziliście mnie! - wrzeszczał Arisaka. - Okryliście mnie hańbą!

Zbrukaliście mój honor!

- Ty nie masz honoru!

Drgnął jak oparzony, odwrócił się na pięcie, wciąż dzierżąc zakrwawiony miecz w dłoni. Słowa, które rozległy się wyraźnie w panującej teraz ciszy, wypowiedział jeden z cudzoziemców. Młodziak, okryty dziwnym, zielono-szarym płaszczem. Oczy Arisaki zwężyły się.

Chłystek, ten sam, który tak celnie i szybko powalił jego łucznika. Jednak teraz ciężkie, proste łączysko trzymał w swej dłoni Shigeru. Młodziak stał bezbronny.

- Jesteś zdrajcą, tchórzem pozbawionym honoru, Arisako! - cedził cudzoziemiec.

Arisaka skierował ostrze miecza prosto na twarz młodzieńca.

- A coś ty za jeden, *gaijinie*? Co ty możesz wiedzieć o honorze?

- Mówią na mnie *Chochó* - odparł Will. - I dobrze wiem, co to honor, bo ludźmi honoru są Kikori, których wyszkoliłem do walki z tobą. Twoi senshi również wiedzą, co to honor, bo potrafili uznać prawdziwego władcę Nihon-Ja. Ale ty, Arisako, honoru nie masz. Jesteś tylko podłym, tchórzliwym i kłamliwym zdrajcą! Rozpiera cię bezrozumna pycha, lecz honoru nie ma w tobie ani za grosz!

- *Chochó*? - wycedził Arisaka, trzęsąc się z gniewu. - Motyl? Ha, przyszpilić motyla!

Skoczył naprzód, by zadać kataną mordercze pchnięcie nieuzbrojonemu cudzoziemcowi. Lecz wtedy prawe ramię Willa wyskoczyło spod płaszcza niczym sprężyna, dokonał jednocześnie wypadu prawą nogą. Prawa ręka zatoczyła łuk od dołu, ciskając saksą. Ciężki nóż mignął jak błyskawica, furknął w powietrzu i wbił się w gardło szarżującego Arisaki, tuż nad nadgarstkiem jego zbroi.

Potężne uderzenie szarpnęło do tyłu głowę Arisaki. Uczuł, że miecz wypada z jego bezwładnych nagle palców, poczuł strumień gorącej krwi spływający po piersi. A potem... Nie czuł już nic.

Will wyprostował się, Shigeru podszedł do niego i położył dłoń na ramieniu chłopaka.

- Wygląda na to, że pomylił motyla z osą - westchnął cesarz.

ROZDZIAŁ 53

Zakończyły się już pożegnania. Will, Halt, Selethen i obie dziewczyny znalazły się na pokładzie „Wolfwill”. Okręt stał na płyciźnie, z dziobem utkwionym w piasku tej samej zatoczki, w której jesienią Aralueńczycy wyszli na nihoński brzeg. Gundar oraz jego ludzie spędzili zimę całkiem wygodnie, na przybrzeżnej wysepce - choć Gundar żałował serdecznie, iż ominęła ich bitwa.

W każdym razie Skandianom nie brakowało ryb oraz skorupiaków zamieszkujących tutejsze zimne wody, nadbrzeżne lasy obfitowały w zwierzynę. Jednak teraz żeglarzom nie mniej niż ich pasażerom spieszno było skierować okręt na rodzime wody.

Na plaży pozostał tylko Horace. Stał naprzeciw Shigeru, wyższy od cesarza co najmniej o głowę. Gdy przyszło się z nim pożegnać, w oczach młodego wojownika zakręciły się łzy. Podczas miesięcy spędzonych w Nihon-Ja pokochał dzielnego, wyrozumiałego władcę; nauczył się darzyć wielkim szacunkiem jego poczucie sprawiedliwości oraz podziwiać niezmiennie dobry humor. Wiedział, że nie zapomni głębokiego, donośnego śmiechu Shigeru - tak donośnego, że aż dziwne się zdawało, iż śmieje się ktoś jakże drobnej budowy.

Teraz, gdy przyszło go pożegnać, za gardło młodego rycerza ścisnęło coś, co nie pozwalało wybrzmieć tak wielu słowom, które chciał powiedzieć.

Shigeru podszedł i objął go ramionami. Niemało zawdzięczał temu młodzieńcowi. Odwaga Horace'a, jego lojalność i determinacja podtrzymywały na duchu władcę wraz z nielicznymi wiernymi towarzyszami, zwłaszcza podczas trudnych, niebezpiecznych tygodni ucieczki przed Arisaką. Pamiętał dobrze, jak Horace bez wahania przejął obowiązki Shukina, kiedy kuzyn cesarza padł z ręki rebelianta.

Rzecz jasna, obaj zwiadowcy oddali nieocenione usługi dzięki wynalezionej przez siebie taktyce i bitewnym planom, za cesarza walczył też dzielnie ciemnoskóry arydzki wojownik o jastrzębim nosie. Evanlyn oraz Alyss dzięki pomysłowości oraz bezprzykładnej odwadze ocaliły jego tron, sprowadzając na pomoc potężną armię Hasanu. Odczuwał wdzięczność wobec wszystkich cudzoziemców.

Jednak, gdyby nie *Kurokuma*, żadne z nich nie przybyłoby do Nihon-Ja. Gdyby nie *Kurokuma*, teraz Arisaka rządziłby na cesarskim tronie.

- Shigeru... - Horace zdołał wykrztusić choć to jedno słowo, lecz umilkł znowu, dławiło go w gardle. Postąpił krok w tył, z opuszczoną głową, łzy ściekały po jego policzkach.

Shigeru poklepał go po muskularnym ramieniu.

- Nielatwo jest się pożegnać, *Kurokumo*. Lecz ty i ja na zawsze pozostaniemy razem. Spójrz w umysł swój i wniknij w serce, a zawsze mnie tam znajdziesz. Nigdy o tobie nie zapomnę. Nigdy nie zapomnę, że zawdzięczam ci wszystko.

- Ja... Ja nie... - Horace nie zdołał wykrztusić nic więcej, lecz Shigeru wiedział, co młodzieniec próbował powiedzieć.

- Pragnąłbym, żebyś mógł z nami zostać, mój synu. Ale potrzebny jesteś swojemu krajowi, swojemu władcy.

Horace przytaknął skinieniem głowy; zaiste, tęsknił za ojczyzną, lecz zarazem pozostawił serce w tym egzotycznym kraju. Shigeru nie przypadkiem nazwał Horace swoim „synem”. Wiedział, że Horace wychował się jako sierota, pozbawiony ojcowskiej miłości i rady od najmłodszych lat. Potem Shigeru uśmiechnął się. Przemówił ściszym głosem, by nikt inny nie dosłyszał:

- Zdaje mi się, że pewna młoda księżniczka bardzo cię potrzebuje. Dbaj o nią, bo to bezcenny klejnot.

Horace spojrzał na Shigeru zaczerwienionymi od łez oczami. Zdobył się na błądy uśmiech.

- Bez wątpienia, bezcenny - przyznał.

- Ujrzymy się jeszcze. Serce mi to podpowiada. Wiesz, że w Nihon-Ja jesteś zawsze mile widziany. Jesteś jednym z nas.

- Powrócę któregoś dnia - rzekł. - Obiecuję, naprawdę. A ty mógłbyś wybrać się do Araluenu.

Shigeru ściągnął wargi.

- Owszem. Ale nie w najbliższym czasie. Chyba muszę wpierv zająć się licznymi sprawami tego kraju - odparł. - Ale kto wie? Gdyby nadarzyła się jakaś ważna państwowa okazja, na przykład małżeństwo zawarte przez kogoś z królewskiego rodu?

Nie dokończył myśli; uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Cesarz sięgnął do szerokiego rękawa swej szaty i wydobyl z niego niewielki rulonik owiazany czarna, jedwabna tasiemka. Wręczył go Horace'owi.

- Ale tymczasem, przyjmij tę oto skromną pamiątkę na dowód mej przyjaźni.

Horace ujął dar w dłoń. Wahał się, więc Shigeru gestem dał mu znak, żeby rozwinął.

Na cienkim, lnianym papierze widniał malunek wykonany typową dla nihońskiej sztuki stylizowaną, pozornie prostą kreską. Przedstawiał niedźwiedzia, chwytającego łososia przy wodospadzie. Twórca odmalował tylko najistotniejsze detale, a jednak, dzięki jego zręczności, oko dopowiadało brakujące linie i rysy, dopełniając całości obrazu. Im dłużej Horace przyglądał się, tym bardziej niedźwiedź wydawał mu się żywym stworzeniem. Niemal słyszał szum strumienia. A wszystkiego artysta dokonał za pomocą zaledwie kilku mistrzowskich pociągnięć pędzla.

- To twoje dzieło? - spytał Horace, ponieważ dostrzegł w lewym dolnym rogu znak przedstawiający trzy wiśnie.

Shigeru skłonił się lekko.

- Owszem, cokolwiek niezdarne, lecz wykonane z miłością w sercu.

Horace powoli zwinął papier, zawiązał tasiemkę, po czym schował malunek bezpiecznie do kieszeni na piersi.

- To prawdziwy skarb - stwierdził. - Zachowam go na zawsze.

- Jeśli przypadł ci do gustu, moja radość nie zna granic - odpowiedział Shigeru.

Horace rozłożył bezradnie ręce. Nie pomyślał o żadnym pożegnalnym prezencie dla Shigeru.

- Nie mam czym się odwdzińczyć... - zaczął. Lecz cesarz uniósł wdzięcznym gestem palec, by go uciszyć.

- Podarowałeś mi mój kraj - rzekł.

Spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę bez słowa. Od strony okrętu rozległo się wołanie Halta. Zwiadowca przyzywał Horace'a, choć nieco przeproszającym tonem:

- Horace! Gundar powiada, że nadchodzi odpływ. Czy może przyływ. Nie wiem, cokolwiek nadchodzi, ale to oznacza, że pora nam w drogę!

Znany z szorstkiego obejścia Halt tym razem przemówił niemal łagodnym głosem. Rzecz w tym, że obserwował swego młodego przyjaciela oraz Shigeru, toteż wyczuł, iż nadeszła właśnie najtrudniejsza chwila każdego pożegnania, gdy powiedziano już wszystko, lecz nikt nie potrafi się zdobyć na ostateczne zerwanie więzi - i odejść. A wówczas trzeba, by ktoś, lub coś, pomogło rozstać się przyjaciołom.

- Czas na mnie - rzucił ochryplym głosem Horace.

Shigeru skinął głową.

- Tak.

Wymienili jeszcze szybki uścisk, choć ostrożnie, by nie pognieść zwoju w kieszeni Horace'a. Następnie młody rycerz odwrócił się szybko i wbiegł po drabince na pokład.

Ledwie jego stopy dotknęły pokładu, załoga wciągnęła drabinę. Żeglarze zaczęli odpychać okręt drzewcami wiosel; po chwili skierowali dziób „Wolfwill” w stronę otwartego morza.

Horace przeszedł na rufę. Uniósł dłoń w geście pożegnania. Stojący na plaży Shigeru wykonał ten sam gest.

Prąd odpływu pochwylił okręt w swe objęcia, niosąc go coraz dalej od brzegu. Tymczasem załoga wciągnęła trójkątny żagiel. Gdy marynarze umocowali brasy, płótno wypełniło się wiatrem. Horace wciąż stał na rufie, spoglądając na coraz odleglejszy brzeg i coraz mniejszą postać cesarza. Po kilku minutach stanęła obok niego Evanlyn, obejmując go ramieniem w pasie.

Will chciał do nich dołączyć, aby także wesprzeć i pocieszyć przyjaciela. Jednak Alyss chwyciła go za ramię.

- Zostaw ich w spokoju - powiedziała półgłosem.

Zmarszczył czoło. Po chwili zrozumiał, jego usta ułożyły się w bezgłośnie:

- Aha.

Okręt pochylił się pod naporem wzmożonego powiewu, fale zachlupotały głośniej; wilczy okręt coraz wyraźniej nabierał prędkości.

Wkrótce opłynęli przylądek, Horace stracił z oczu swego przyjaciela, cesarza Nihon-Ja.

ROZDZIAŁ 54

- Ale dlaczego „Motyl”? - spytał Will. - Dlaczego?

- Zapewne ten przydomek wyraża wielkie uszanowanie - odparł z namaszczeniem Selethen. Wyrecytował tę formułkę z powagą, która wydała się Willowi mocno podejrzana.

- Dobrze ci mówić - zaprotestował. - Ciebie nazwali Jastrzębiem. Jastrząb to wyśmienity przydomek. Drapieżny, wojowniczy. Ale... „Motyl”?

- Owszem - przytaknął Selethen. - Przyznaję, że Jastrząb bardzo mi odpowiada. To drapieżnik o wielkiej odwadze i szlachetnym sercu.

Halt odkasznął, arydzki władca popatrzył w jego stronę z uniesionymi brwiami.

- Obawiam się, że chodziło im raczej nie tyle o twoje serce, co o inną część ciała - stwierdził niewinnym tonem Halt. Dotknął przy tym palcem swego nosa i postukał lekko. Już od dawna czyhał na sposobność, by posłużyć się tym gestem, skorzystał więc z tak wyśmienitej okazji. Selethen parsknął i odwrócił się, udając, że nie rozumie.

Płynęli już od pięciu dni, co tłumaczyło pogodny nastrój Halta. Miał już za sobą długie godziny, które spędził, skulony, przy nadburciu na zawietrznej, blady jak płótno. Przyjaciele wykazali się taktem i oszczędzili mu docinków, czekając, aż przywyknie do kołysania.

Przy stałym wietrze wiejącym ukośnie z tyłu, od bakburty „Wolfwill” pożerał morskie mile w drodze do domu. Wspaniały zachód słońca ubarwił nisko zawieszony chmury odcieniami złota oraz oranżu. Wszyscy sześcioro siedzieli na niskich, płóciennych krzesłach rozstawionych opodal miejsca, gdzie u steru czuwał Gundar - i omawiali przydomki, jakie otrzymali od Kikorich.

Selethena nazwano Jastrzębiem. Alyss zyskała sobie przydomek *Tsuru*, czyli Żuraw. Piękny, pełen gracji ptak o długich nogach - trafne określenie. Evanlyn stała się dla Kikorich *Kitsune*, było to nihońskie słowo oznaczające lisa - w hołdzie dla jej sprytu i zwinności.

Co dziwne, Halt pozostał przez cały czas jedynie Halto-sanem. Być może dlatego, że jego imię najłatwiej było wymówić Nihończykom.

Jednak Will podczas konfrontacji z Arisaką odkrył, że jego przydomek - *Chocho* - oznacza motyla. Brzmiało to w uszach młodego zwiadowcy niezbyt nobliwie i całkiem niewojowniczo. Motyl nie kojarzył się z chwałą zyskaną w boju... Nie mógł przy tym w żaden sposób dojść, dlaczego taki właśnie przydomek mu nadano. Rzecz jasna, przyjaciele nie

omieszkali pospieszyć z pomocą:

- Pewnie dlatego, że taki z ciebie strojniś - stwierdziła Evanlyn. - Wy, zwiadowcy, wprost mienicie się od barw, no nie?

Will spiorunował ją wzrokiem, a w dodatku, ku swemu oburzeniu, usłyszał chichot Alyss, rozbawionej zarcikiem królowny. Oczekiwałyby od tej akurat dziewczyny, że opowie się raczej po jego stronie.

- Moim zdaniem, chodzi raczej o to, jak biegałeś tam i z powrotem po polu manewrowym, tu tłumaczyłeś, jak trzymać tarczę, tam korygowałeś sposób rzucania dzirytem - stwierdził Horace, co brzmiało już nieco pochlebniej. Jednak w następnej chwili zepsuł cały efekt, dodając: - Chociaż, trzeba przyznać, że przy tej okazji poły płaszcz rzeczywiście trzepotały jak skrzydełka motyla.

- Nic podobnego - odezwał się Halt; oczy wszystkich spoczęły na nim. - Spytałem o to Shigeru - wyjaśnił. - Cesarz powiedział, że wszyscy spostrzegli, z jak wielką prędkością umysł i wyobraźnia Willa przeskakuje z jednej myśli na drugą - w tył, w przód, na boki, w całkiem nieprzewidywalny sposób. Sam nieraz zwróciłem na to uwagę. Tak naprawdę, jeśli się nad tym zastanowić, nadali ci całkiem odpowiedni przydomek.

Udobruchał ostatecznie Willa.

- Cóż, jeśli ma on oznaczać pomysłowość, lotność umysłu... Obleci. Brzmi jednak jakoś tak... dziewczynsko - zorientował się w porę, więc nim Evanlyn lub Alyss zdążyły cokolwiek powiedzieć, dorzucił pospiesznie: - Oczywiście, ja akurat nie mam nic przeciwko temu. To przecież komplement. W istocie, słowo wyrażające wielki szacunek.

- Podoba mi się, jak mnie nazwali - stwierdził Horace nieco żartobliwie, udając pyszałkowaty ton. - Czarny Niedźwiedź. To dobrze oddaje moją niezwykłą siłę oraz zdumiewające męstwo w obliczu wroga.

Alyss pewnie darowałyby mu w innej sytuacji, jednak uważała, że przesadził, porównując płaszcz Willa do motyli skrzydeł.

- Niezupełnie - wtrąciła. - Pytałam Mikeru, skąd wzięło się twoje nihońskie imię. Odpowiedział mi, iż zawdzięczasz je niezwykłemu apetytowi. O ile dobrze rozumiem, kiedy uciekaliście przez góry, Shigeru oraz jego towarzysze obawiali się, że sam jeden pochłoniesz całe zapasy żywności.

Rozległ się chóralny śmiech - do którego bez wahania dołączył też Horace. Haltowi, który obserwował go uważnie, przeszło przez myśl, że chłopak wyrósł na wspaniałego młodzieńca. Dzielny, lojalny, niepokonany w boju... Prawdziwa chluba Zamku Redmont oraz tamtejszej Szkoły Sztuk Walki. Halt wielkodusznie nie uwzględnił istotnej roli, jaką w

procesie kształtowania się charakteru młodego rycerza odegrał jego osobisty wpływ oraz przykład.

- Cóż - odezwała się Evanlyn - wkrótce będzie używał innego tytułu.

Spojrzeni na nią wszyscy, zdziwieni tymi słowami. Will spostrzegł, że jego przyjaciel poczerwieniał jak burak. Evanlyn trąciła łokciem siedzącego obok Horace'a.

- Powiedz im - rzekła, uśmiechając się radośnie.

Horace odchrząknął, odkaszlnął, potem znów odchrząknął, aż wreszcie przemówił:

- No, bo to jest tak... Widzicie... My, jakby to powiedzieć... - umilkł, znów odkaszlnął dwa lub trzy razy.

Evanlyn szturchnęła go, tym razem już nie tak delikatnie.

- Powiedz im wreszcie! - powtórzyła.

Słowa popłynęły niczym woda przez zerwaną tamę.

- Wczoraj wieczorem oświadczyłem się Evanlyn a ona powiedziała tak. - Gdy wyrzucił to z siebie, zwolnił, by dokończyć nieco wyraźniej: - Więc, kiedy już wrócimy, weźmiemy ślub i mam nadzieję...

Powiedział jeszcze więcej, nikt jednak dalszych jego słów nie dosłyszał, pośród chóru zachwyconych okrzyków oraz powinszowań wygłaszanych jednocześnie przez wszystkich przyjaciół. Zdumieni Skandianie odwrócili się ku nim, zaskoczeni nagłym gwarem oraz ożywieniem. Will podbiegł, by uściskać najpierw Horace'a, potem Evanlyn, rozradowany szczęściem przyjaciół. Halt odwrócił się tymczasem w stronę Gundara:

- Skirlu! - zawołał. - Sięgnij no do swych najlepszych zapasów i nie żałuj wina ani piwa. Dziś wieczór ucztujemy!

- Wyśmienicie! - zawołał Gundar, uśmiechnięty od ucha do ucha. Dosłyszał ogłoszoną przez Horace'a nowinę. Wieść o zaręczynach rozeszła się migiem pośród wioślarzy wypoczywających na ławach. Na samym dziobie ozwał się ryk zachwytu, a chwilę potem ujrzeli niedźwiedzią postać Nilsa Liniarza nadbiegającego ciężkim krokiem po deskach pokładu. Krzyczał na cały głos:

- Że co? Generał? Zaręczony? W takim razie, generale, oto moja łapa i gratulacje!

Określenie „łapa” okazało się nieścisle. Nils pochwycił Horace'a w potężne imadło najserdeczniejszego ze swych uścisków. Kiedy już wioślarz uwolnił Horace'a ze swych objęć, przyszedł pan młody padł na deski, z trudem chwytną oddech. Następnie Nils zwrócił się ku Evanlyn. Dziewczyna wstała, cofnęła się ostrożnie. Jednak wilk morski capnął tylko jej rękę, zgiął się wpół, uniósł dłoń księżniczki do swych ust i wycisnął na niej mokry pocałunek, któremu towarzyszyło głośnie cmoknięcie.

- Chcę być pazurem na tym ślubie! - zakrzyknął Nils.

Evanlyn roześmiała się, wycierając ukradkiem dłonie o kurtkę.

- To dopiero będzie widowisko - stwierdziła. Zerknęła na Alyss, która przyglądała jej się z uśmiechem. - A skoro już mowa o szczegółach dotyczących ceremonii, mam nadzieję, że zechcesz zostać moją drużną?

- Będę zachwycona - odpowiedziała Alyss. - Rozumiem, iż mogę stąd wnioskować, że zdołam wreszcie odtańczyć weselny tan z Willem.

Nikt nie wątpił, że drużną zostanie Will. Swego czasu na ślubie Halta, kiedy również pełnił tę zaszczytną funkcję, jego taniec z Alyss przerwało pojawienie się Svengala, który przyniósł wieść o porwaniu Eraka.

- Wpadłem na świetny pomysł! - zawołał Horace, który zdołał już jako tako odzyskać dech. Spojrzał po kręgu otaczających go przyjaciół. - Mam tu, na miejscu, drużną i drużbę. Może od razu urządzimy ślub? Gundar, jako kapitan, ma prawo udzielać ślubów. Prawda, Halt? Gundarze, przecież możesz dać nam ślub, no nie?

- Nie jestem pewien, czy to aż tak wyśmienity pomysł... - zaczął Halt, lecz grzmiący głos Gundara zagłuszył jego słowa:

- Na zęby Gorloga, chłopie! Nie wiem, czy mogę, czy nie mogę. Ale wystarczy, że ktoś poda mi słowa, jakie mam wypowiedzieć, a je wypowiem!

- Hm, Horace, kochanie - wtrąciła Evanlyn, ostrożnie dobierając słowa. - Gundar jest nie tyle kapitanem okrętu, co byłym piratem i poganinem - zerknęła przeproszająco na Gundara. - Bez obrazy, Gundarze.

Skirl wzruszył ramionami i zaśmiał się wesoło.

- Jaka tam obraza? Całkiem dobrze powiedziane. Chociaż zaraz, dlaczego „byłym”? - spytał po krótkim namyśle.

- Nie jestem przekonana, czy mój ojciec przyjąłby z całkowitą aprobatą nasz ślub na okręcie. Sądzę, że życzyliby sobie, żeby wpieryw poinformować go o naszych zamiarach - ciągnęła Evanlyn.

Niezbity z tropu Horace machnął ręką.

- Dobrze - rzekł. - Jak chcesz. To tylko taki pomysł. Ale jeśli mówisz nie, no, to nie.

Halt podszedł i klepnął go lekko w ramię.

- Widzę, że zaczynasz się uczyć - rzekł. - Tym lepiej dla ciebie.

EPILOG

Świętowali do późna w nocy. Kiedy wszyscy poszli już spać, Will oraz Alyss stali jeszcze na dziobie okrętu. Młody zwiadowca obejmował dziewczynę w talii. Noc była piękna, księżyc lśnił nisko nad horyzontem, zdobiąc srebrzystą smugą ciemne wody.

W tyle za nimi rozlegał się od czasu do czasu pomruk rozmów marynarzy sprawujących wachtę.

- Cieszę się, że zaprzyjaźniłyście się wreszcie z Evanlyn - odezwał się Will.

Alyss oparła głowę o jego ramię.

- Ja także. To świetna dziewczyna.

- Oczywiście - stwierdził.

Alyss spojrzała na młodego zwiadowcę.

- Owszem, ale nie musiałeś tego tak podkreślać - pouczyła go. Potem jednak uśmiechnęła się i znów oparła głowę o jego ramię.

- No... Będą się żenić. To znaczy, Horace z Evanlyn. Co ty na to? - Will potrząsnął w zadumaniu głową.

- Też się cieszę - stwierdziła, nie wiedząc, do czego ta rozmowa zmierza.

- Bo wiesz... - umilkł, jakby chciał umocnić się w swym postanowieniu, po czym dokończył: - Może i my powinniśmy się nad czymś takim zastanowić.

Nagłym ruchem cofnęła się, postąpiła krok do tyłu.

- Powinniśmy się nad czymś takim zastanowić? - powtórzyła, podnosząc głos z każdym słowem. - To niby miały być oświadczenia?

- No... ja... Wiesz... - wykrztusił Will.

Nie miał jednak najdrobniejszego choćby pojęcia, co rzec dalej. Alyss zresztą nie dała mu szansy już na ani jedno słowo.

- Bo jeśli tak, to musisz się postarać dużo, dużo bardziej!

Odwróciła się na pięcie, ruszyła szybkim, gniewnym krokiem przez pokład. Will postąpił krok za nią, ale potem cofnął się. Chciał coś zawołać, lecz nie wiedział, jakich słów użyć. Czuł, że zachował się zupełnie nieodpowiednio. Całkiem, ale to całkiem nie tak, jak należało. Widział jej szczupłe plecy, sztywne i wyprostowane, które aż emanowały świętym oburzeniem.

Nie widział natomiast czegoś innego, bowiem widok ów nieprzeznaczony był dla jego oczu - otóż Alyss skrzętnie skrywała przed nim uszczęśliwiony uśmiech, który zagościł na jej twarzy.

PODZIĘKOWANIA

Po dziesięciu tomach czas wyrazić wdzięczność wobec kilku osób, które przez te wszystkie lata uczestniczyły w powstawaniu serii książek o zwiadowcach.

Jeśli chodzi o tom niniejszy, pragnę podziękować mojemu przyjacielowi i koledze po piórze, Simonowi Higginsowi, za jego sugestie oraz uwagi dotyczące europejskiej oraz japońskiej broni tudzież sposobów walki. Zapewniam, że jeśli coś pokręciłem, moja to wina, nie jego.

Dziękuję też Ryoko oraz Akiko Sakai, że tak uprzejmie wyraziły zgodę, bym nazwał cesarza pojawiającego się w tej książce imieniem ich zmarłego ojca, Shigeru. *Arigato*, Ryoko-san i Akiko-san.

Najwyższy czas, bym pokłonił się nisko moim wydawcom - Zoe Walton w Random House Australia oraz Michaelowi Greenowi z amerykańskiego wydawnictwa Philomel. Latami znosili moje dziwactwa i humory. Ich wskazówki oraz doświadczenie okazały się nieocenione - co więcej, zazwyczaj potrafili sprawić, że zgadzałem się na rozmaite zmiany, tak jakby to były moje własne pomysły. Cieszę się, mogąc uważać ich nie tylko za kolegów w zawodzie, lecz także za moich przyjaciół. Wielkie dzięki.

Na koniec zaś pragnąłbym spośród wielomilionowego grona moich czytelników wyróżnić cztery przemile osoby.

W Australii, Ginger i Meny Hansen były moimi pierwszymi korespondentkami, dostałem od nich listy po opublikowaniu *Ruin Gorlanu*. Pozostały w kontakcie ze mną przez wszystkie te lata, a ich aprobatą dla kolejnych wychodzących tomów stała się dla mnie jakby szczęśliwym talizmanem. Pod koniec zeszłego roku miałem wreszcie okazję poznać te urocze młode damy osobiście. Dziękuję wam obu.

W Stanach Zjednoczonych na początku roku 2010 spotkałem się również z dwiema piszącymi do mnie od dawna czytelniczkami i cieszę się niezmiernie, że za moim skromnym pośrednictwem zawarły ze sobą przyjaźń. Maddie Jones - żywiołowa, tryskająca energią, entuzjastyczna, pełna najczystszej radości życia - co bym bez ciebie zrobił, Maddie? Oraz Shea Megale, młoda dama, która zyskała szczególne miejsce w moim sercu, a której odwaga i subtelna ironia zachwycaly mnie przez parę ostatnich lat.

Dziękuję Wam wszystkim.

John Flanagan